

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIwersum METRO 2033

TULLIO AVOLEDO

KORZENIE NIEBIOŚ

Tytuł oryginału
Ěetro 2033 Universe: Le Radici del Cielo Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2010

Copyright © Tullio Avoledo, 2011

Pierwsze wydanie oryginału © Multiplayer.it Edizioni, 2011

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted Pomysł serii „Uniwersum Metro 2033” Dmitry Glukhovsky, 2009

Przekład z języka włoskiego Piotr Drzymała Projekt okładki Ilja Jackiewicz Projekt logotypu serii Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com

Redaktor prowadzący Piotr Mocniak Redakcja i korekta Lidia Kowalczyk, Dominika Pycińska Konwersja Tomasz Brzozowski Ilustracje © Aleksander Kulikow, 2011

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2013
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ta jest dziełem wyobraźni. Nazwiska, postacie i wydarzenia zostały wymyślone przez autora i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do zdarzeń, miejsc lub osób rzeczywiście istniejących obecnie lub w przeszłości jest czysto przypadkowe.

O God! Can I not save
One from the pitiless wave?
Is *all* that we see or seem
But a dream within a dream?

Edgar Allan Poe, *A Dream Within a Dream*

Lazarus, Lazarus
Why all the tears?
Did your faithful chauffeur
Just disappear?

Conor Oberst, *Milk Thistle*

Dzień Pierwszy: Dwa słowa od twórcy Uniwersum

W mojej powieści *Metro 2033* garstka ocalałych z Ostatniej Wojny schroniła się w tunelach i stacjach moskiewskiego metra, największego schronu przeciwlotniczego na świecie.

Minęło dwadzieścia lat, odkąd cywilizacja została zmieciona z powierzchni ziemi przez rakietę nuklearną i broń biologiczną, a ludzie nadal nie mogą – i zapewne nigdy nie zechcą – wyjść na skażoną powierzchnię, nie zobaczą już nigdy światła słonecznego i nie pogrzebią swoich najbliższych...

Nie ma już łączności radiowych z innymi miastami i krajami, a sieć globalna nie działa od dwóch dekad. Krążą opowieści o radiotelegrafistach szczęśliwcach, którzy odebrali sygnał SOS od desperatów z odległych zakątków świata, ale w rzeczywistości to tylko legendy. Ci, którzy ocaleli, są przekonani, że moskiewskie metro jest ostatnim bastionem ludzkości w zniszczonym świecie pełnym mutantów.

W książce *Metro 2033* nie mówię o całej reszcie świata. Los Ameryki i Europy, Chin i Afryki, Australii i Japonii pozostaje tajemnicą.

Ale przecież ten świat tam jest: olbrzymi, nieodkryty i niebezpieczny. Uwolnił się od nas, ludzi, i żyje teraz własnym, dziwnym życiem... I woła nas, i rzuca nam wyzwanie, żebyśmy wypełzli z tuneli i zobaczyli utraconą Ziemię, żebyśmy zbadali ją i odzyskali... o ile wystarczy nam odwagi.

Nie pamiętam już, ile razy czytelnicy pytali mnie o to, co się stało z ich miastami i ojczyznami, a młodzi autorzy przychodzili ze słowami: „chciałbym napisać o mojej stacji”, „piszę powieść o moim mieście w świecie, który ty stworzyłeś”. W scenerii Uniwersum *Metra 2033*.

Od samego początku, czyli od narodzin w sieci, *Metro 2033* było doświadczeniem interaktywnym: moi czytelnicy śledzili na żywo publikacje powieści na stronie internetowej i przesyłali swoje komentarze, wpływając w ten sposób na całą historię i pomagając mi uczynić ją bardziej precyzyjną i mniej przewidywalną.

Gdy więc dwa lata temu po raz kolejny spytano mnie, co się stało z Sankt Petersburgiem, i czy młody pisarz mógłby o tym napisać powieść, pomyślałem: Do licha! Pociągnijmy te interaktywne poszukiwania i zróbmy z tego wielką zabawę. Spróbujmy zbadać i opanować Uniwersum *Metra 2033* wspólnie, niech inni autorzy tworzą ten świat razem ze mną.

Do tej pory wydaliśmy już ponad 30 powieści. Akcja każdej z nich toczy się w 2033 roku, w świecie *Metra 2033*. W Rosji, gdzieś między Sankt Petersburgiem, Syberią a górami Uralu, pomiędzy północą a południem, ale również w innych krajach. W Zjednoczonym Królestwie, na Kubie, a teraz również we Włoszech!

Chyba nigdy dotąd tylu autorów z różnych krajów nie wyraziło chęci osadzenia akcji swoich powieści w tych samych realiach, wplatając w nie przy okazji swoją kulturę i mentalność, niepowtarzalny styl i wizję społeczną, nie mówiąc o języku. Nigdy przedtem pisarze pochodzący z różnych stron świata nie stworzyli swojej szczególnej, spójnej wizji przyszłości, jakkolwiek ponurą by ona nie była.

Jestem dumny, że tak genialny pisarz jak Tullio Avoledo, innowator i intelektualista, postanowił włączyć się do naszego projektu i opowiedzieć nam o tym, co wydarzyło się we Włoszech po Ostatniej Wojnie, i co dzieje się tam teraz, w 2033 roku.

Korzenie niebios to wspiana powieść, a zarazem wielki początek Uniwersum *Metra 2033* we Włoszech. Będą kolejne książki napisane przez innych autorów reprezentujących różne narodowości, które opowiedzą historie z Moskwy i Sankt Petersburga, z Anglii i Kuby, ze Stanów Zjednoczonych i... nie wiadomo, na czym poprzestaniemy.

Witajcie zatem na pokładzie! I pamiętajcie, proszę, o jednym: w Uniwersum *Metra 2033* nie jesteście tylko czytelnikami. Możecie go współtworzyć z nami. Gorąco was do tego zachęcamy! To czyni ten świat żywym i namacalnym na równi z tym prawdziwym. A jesteśmy dopiero w Pierwszym Dniu

naszego tworzenia. Przy odrobinie szczęścia będziemy mieli przynajmniej tydzień na zbudowanie świata porównywalnego z obecnie istniejącym.

A teraz z mgły tajemnic wyłania się powoli jeden punkt na mapie świata 2033 roku... Widzę Koloseum, Watykan... Tak, to Rzym...

Dmitry Glukhovsky

Prolog: W Mieście Światła

Kroki łowców rozbrzmiewają niczym uderzenia werbla przed egzekucją.

Jest ich trzech.

Ich nawoływania są głośniejsze od świszczącego wiatru, który smaga stare mury.

Nie próbują się nawet ukrywać.

Są szybcy, zdeterminowani.

Pewni siebie.

Ukryty na dnie studni słyszę, jak się zbliżają.

Przywieram do wilgotnej, lodowatej ściany, próbuję stać się niewidzialny. Nie patrzę w górę, gdzie światło zmierzchu rysuje nieregularne koło wylotu studni. Nie muszę nawet tego widzieć, wiem, że zawieja śnieżna jest jak szare prześcieradło. Wiem, że skrywa chmury o jeszcze ciemniejszym odcieniu szarości, które wiszą nad martwym miastem. Wiem to, nie muszę nawet podnosić głowy.

Wtulam się w ceglany mur, jak w dzieciństwie kuliłem się w pościeli ze strachu przed potworami.

Teraz potwory naprawdę na mnie polują.

I nie ma już ojca, który przepędzi je, zapalając światło. Ani przytulnych ramion matki, w których mógłbym się schronić.

Rana na ramieniu pulsuje. Ale na razie ból jest odległy. Jakby ręka miała pięć metrów długości. Kula przeszła na wylot, pozostawiając wyraźny otwór. Zatkanem go byle szmatką, żeby jakoś zatamować upływ krwi.

Czuję się słaby.

Wiele razy wyobrażałem sobie tę chwilę, ale nie przygotowało mnie to wcale na zderzenie z rzeczywistością. Nie spodziewałem się takiego końca – na dnie studni bez wyjścia, w mieście pełnym koszmarów i zjaw.

W głowie kłębią mi się tysiące wspomnień bez związku, fragmenty rozbitego lustra.

Gottschalk szaleniec i jego kościół na kołach.

Las starych pali.

Takim właśnie ujrzałem Miasto Światła po raz pierwszy. Po raz pierwszy, kiedy spacerowałem wyschniętymi kanałami. Stare pale, na których spoczywają budynki, wydały mi się lasem korzeni.

Korzeni niebios.

A potem szkielet morskiego potwora. Maski. Taniec martwych dusz, w Pałacu...

Alessia.

Doskonałe złudzenie chłodnego dotyku jej palców na mojej rozpalonej gorączką skórze.

Jej śmiech, niczym wodna kaskada.

Kroki słysząc już zupełnie blisko. Wkrótce moi prześladowcy spojrzą w dół.

Wyciągną ku mnie pochodnie, by rozproszyć ciemności.

Zamykam oczy.

Przypominam sobie, jak się to wszystko zaczęło. Zaledwie kilka tygodni temu, choć wydaje się, że minęły całe wieki.

Przez ten krótki czas postarzałem się o tysiąc lat...

A wszystko zaczęło się w czterdziestym trzecim roku mojego życia, w Rzymie. Bardzo daleko stąd.

W katakumbach Świętego Kaliksta. Starożytne miejsce śmierci przywrócone życiu.

Lub temu, co w tych czasach nazywamy życiem...

W pomieszczeniu, w którym kazano mi czekać, unosiła się gryząca woń...

Rozdział 1: Ludzie i szczury

W pomieszczeniu, w którym kazano mi czekać, unosi się gryząca woń kurzu...

Kurzu i gęstego dymu świec: oświetlające tysiącsiedmiusetletnie freski świece kiedyś zrobiono by z czystego pszczelego wosku. Teraz robimy je z czego się da, z tego, co jest pod ręką. Parafina, stearyna. Tłuszcz – zwierzęcy, ale nie tylko. W naszym nowym świetle nie wyrzuca się niczego. Ani ciała, ani pomysłów.

Odkrywamy na nowo przeszłość. Techniki sprzed lat. Jak odlać świeczkę, zbudować kuszę, zedrzeć skórę ze szczura i ją wyprawić.

Jakbyśmy podróżowali w czasie, wstecz. A z drugiej strony, świat sprzed Wielkiej Zagłady też odkrywał jedynie na nowo wynalazki z przeszłości. Już wtedy byliśmy karłami na ramionach gigantów. Pasożytami na przeszłości.

Echa gregoriańskiego śpiewu dochodzą chwilami aż tutaj, dźwięczne i czyste, pomimo wielu krętych korytarzy.

Kamienna ławka jest niewygodna. Dwaj gwardziści stojący przy drzwiach wyglądają na zmęczonych. Udaje im się zachować postawę, ale spojrzenia zdradzają oczywistą nudę. Nazywa się ich nadal Gwardią Szwajcarską, chociaż nie przypominają już w niczym żołnierzy w operetkowych mundurach sprzed lat. Żadnych halabard, tylko praktyczny pistolet w odpiętej kaburze. Skończyły się czasy jaskrawych mundurów, które, wedle fałszywej zapewne legendy, miał projektować sam Michał Anioł. Jediną pozostałością są kolory Medyceuszy – niebieski, czerwony i żółty – na trzech wstążeczkach kieszonki polowego munduru. Nad wstążkami naszyty jest herb z szarej tkaniny, przedstawiający skrzyżowane klucze świętego Piotra pod baldachimem: symbol *sediswakancji*. Rzym bez papieża.

Mijają prawie dwie godziny, nim w końcu otwierają się drzwi do biura kardynała kamerlinga i strażnik pozwala mi wejść.

Kardynał Ferdinando Albani jest niskim, puciołowatym mężczyzną, o miękkich palcach, pulchnych jak serdelki. W tych czasach gruby mężczyzna to rzadkość.

Ściskam jego dłoń chyba zbyt długo, bo cofa ją dość gwałtownie.

Odchrząkuje.

– Zapraszam, ojciec Daniels. Proszę wybaczyć, że nie mogłem przyjąć ojca wcześniej, ale musiałem się zająć pewną nieoczekiwaną sprawą.

Biurko, za którym kardynał zaraz zasiądzie, to ciężki stary mebel. Zastanawiam się, ile wysiłku trzeba było, żeby je tu znieść. Ile straconych istnień. Wielka biblioteka za biurkiem wygląda na równie starą. Stoją w niej cenne dzieła oprawne w skórę. Za grawerowanymi szybami będzie tego przynajmniej z dwieście tomów. Przypuszczalnie największy księgozbiór ocalały z Wielkiej Zagłady.

Nigdy wcześniej tu nie byłem. Kardynał uśmiecha się, widząc, jak przyglądam się wysokiemu sklepieniu i zdobiącym je freskom.

– Interesuje ojca sztuka?

– Hm... Nie zwracam już na nią za bardzo uwagi.

Albani patrzy na jakiś wizerunek w małej niszy na ścianie. Jezus trzymający Ewangelię:

– Chrystus Pantokrator – objaśnia z przesadną dumą, bo freskowi daleko do arcydzieła.

Później wskazuje na obraz wiszący obok.

– Święty Urban, papież i męczennik.

Wstaje z fotela, który skrzypi w proteście.

Podchodzi do ściany po lewej stronie biurka.

– Zanim powstało moje biuro, była tu krypta Świętej Cecylii. Z jej sarkofagiem. Proszę spojrzeć, pokażę ojcu.

Odsuwa powoli zasłonę z czerwonego atłasu, za którą widnieje nisza w murze. W migoczącym świetle kandelabrow ukazuje się marmurowy posąg leżącej młodej kobiety z głową zwróconą ku ścianie. Głos Albaniego przybiera śpiewny ton.

– Święta Cecylia – szepcze. – Wielki rzeźbiarz Maderno przedstawił ją w pozycji, w jakiej została znaleziona i jak wyglądała podczas identyfikacji w 1599 roku. Widzi ojciec palce? Trzy wyprostowane palce ręki prawej i jeden lewej. Według tradycji, w chwili śmierci święta chciała zmanifestować swoją wiarę w Boga w Trójcy Jedynej. W tej niszy stał jej sarkofag do 821 roku.

Kardynał zaciąga zasłonę z głębokim westchnieniem.

– To jest, niestety, tylko kopia. Oryginał...

Gestem ręki wskazuje górę, jego ciałem wstrząsa dreszcz.

„Stracony na zawsze”, takie jest znaczenie tego gestu.

„Jak wszystko tam, na górze”.

Wraca za biurko i siada.

– Napije się ojciec czegoś?

Potrząsam głową.

– Nie, dziękuję.

– Sądzę, że mamy jeszcze parę saszetek herbaty. Naprawdę nie zechce ojciec filiżanki?

– Lepiej nie. Dużo czasu zabrało mi zapominanie smaku herbaty i kawy. Lepiej nie budzić tęsknot.

– A więc woda – konkluduje prałat z uśmiechem.

Klaszcze dwa razy w dłoń. Zza kotary w głębi pomieszczenia wychodzi stary sługa ubrany w żakiet tak zużyty, że wygląda, jakby go wydobyto z wraku Titanica.

– Anselmo, byłbyś łaskaw podać zimną wodę ojcu Danielsowi? I herbatę dla mnie, dziękuję.

Starzec kłania się i wychodzi.

– Anselmo był w służbie u papieża – mówi półgłosem kardynał. – To jemu zawdzięczamy relację z ostatnich godzin życia naszego nieodżałowanego biskupa Rzymu. To cud, prawdziwy cud, że sam przeżył.

Tu, w podziemiach, wszyscy znamy szczegóły śmierci papieża Benedykta z tego, co nam opowiedziano. Ostatnia homilia wygłoszona z balkonu Bazyliki przed placem Świętego Piotra, na którym zgromadziło się ponad dwieście tysięcy ludzi, podczas gdy poza kolumnadą tłoczyło się ich pięć razy więcej, modlących się na kolanach, zdezorientowanych. Papież zawierzył Rzym i cały świat opiece boskiej, błagając o przebaczenie. Jego ostatnie słowa zostały zagłuszone przez syreny alarmowe, których w Rzymie nie słyszano od końca drugiej wojny światowej.

Bomba spadła kilka minut później, pięć kilometrów na północny wschód od placu, a fala uderzeniowa natarła z siłą tsunami, zmiatając kopułę Bazyliki z kolumnadą Berniniego i obracając w popiół tłum zgromadzony na modlitwie.

Tak przynajmniej mówią.

Tak to nam opowiedzieli.

Nie było tam nikogo z nas. Dowiedzieliśmy się od innych, którzy z kolei dowiedzieli się od kogoś, kto może, może, był tam sam tego dnia.

– Anselmo mówi, że poczuł się jak zdrajca, odwracając się plecami, żeby dobiec do najbliższej stacji metra. Ale jego świadectwo jest tak cenne, że to zapewne sam Bóg natchnął go tamtego dnia.

Kardynał milknie, kiedy stary powraca z filiżanką i szklanką na plastikowej tacy. Dopiero kiedy podchodzi bliżej, w świetle świecy stojącej na biurku dostrzegam długie blizny na twarzy, plamy od oparzeń na szyi.

– Dziękuję ci, Anselmo. Posłodzona? Dwie kostki? Dziękuję.

Patrzy na dymiącą filiżankę. Z zamkniętymi oczami wdycha aromat herbaty, uśmiechając się z rozkoszą. Po chwili otwiera oczy i kręci głową z miną winowajcy.

– Wiem, nie powinienem. To ostatnie saszetki, a później już nie będzie żadnej herbaty. To i tak

niewiarygodne, że przetrwały tak długo. Jak to się nam udało, Anselmo?

– Trzymamy je w zamrażarce, Eminencjo.

– A, właśnie, w zamrażarce. Dziękuję ci, mój drogi. Możesz już iść.

Po wyjściu służącego kardynał wraca do swojej opowieści.

– Od tamtego dnia jesteśmy sierotami, bez ojca. Benedykt był ostatnim papieżem. Konstytucja apostolska *Universi Dominici Gregis* reguluje w szczegółach wszystkie procedury, według których należy postępować po śmierci papieża. Ale z pewnością nie można było przewidzieć takiej sytuacji. Według procedur powinienem był stwierdzić śmierć najwyższego kapłana, uderzając srebrnym młoteczką w jego czoło i przyzywając trzykrotnie jego imienia w obecności Mistrza Papieskich Ceremonii Liturgicznych, Sekretarza i Kanclerza Kamery Apostolskiej. Ale papież Benedykt jest już tylko prochem na wietrze. Czy miałem stąd wyjść i uderzyć srebrnym młotkiem w niebo nad Rzymem? Musiałbym go jeszcze mieć...

Albani potrząsa głową.

– Sam celebrowałem dziewięciodniowe uroczystości żałobne po śmierci papieża. Pogrzebałem w tych katakumbach garść popiołu zebranego na przedmieściach.

Schyliłem głowę. Ja też uczyniłem coś takiego przed schronieniem się tutaj. Nikt z nas nie wie, co się stało z jego rodziną, przyjaciółmi. Moi rodzice i siostra byli w Bostonie, brat w Seattle. Podejrzewam, że oba te miasta znalazły się wśród najważniejszych celów. Zanim zszedłem tu, na dół, zebrałem garść popiołu i wsypałem do skórzanego woreczka. Noszę go ciągle przy sobie. Nie wiem, czyje lub czego są to popioły: mężczyzny, kobiety czy psa. A może drzewa. W każdym razie czegoś, co kiedyś było żywe, a teraz już nie jest. Kiedy rzeczywistość skrywa się przed nami, kiedy rzeczywistości nie można się przyjrzeć, pozostaje nam zadowolić się symbolami.

Kardynał pije swoją herbatę.

Ja podnoszę do ust szklankę. Delektuję się wodą.

Kiedyś wychyliłbym ją niedbale jednym haustem. Ale teraz stała się cenna, taki dar, który należy saczyć kropelka po kropelce.

Albani odstawia powoli filiżankę na podstawek, bez najmniejszego odgłosu.

Wszyscy, tu na dole, poznaliśmy wartość ciszy. Jest często jedynym sposobem na przeżycie.

– Jak ojciec dobrze wie, z końcem żałoby, jako kardynał kamerling, powinienem był wezwać kardynałów elektorów i zwołać konklawe, żeby wybrać nowego papieża... Jednak był pewien problem, i nadal jest. Jestem jedynym kardynałem. Nie ma innych. To znaczy, ktoś teoretycznie mógł przeżyć, gdzieś w innej części świata. Tyle że praktycznie jest tak, jakby go nie było. Sam nie mogę otworzyć konklawe. I tak od ponad dwudziestu lat pontyfikalny tron pozostaje pusty. Nie mamy papieża. Ale dwa miesiące temu...

Kardynał robi długą przerwę. Potem łączy palce obu rąk tak, że tworzą trójkąt.

Zdaje się ważyć każde słowo, zanim je wypowie.

– Dwa miesiące temu oddział rozpoznania przeszukujący okolice Ankony, gdzie mamy stały przyczółek, uratował pewnego handlarza. Jediną osobę ocalałą z konwoju, który wyruszył z Rawenny. Konwój złożony z pięciu wozów wpadł w pułapkę na kilka kilometrów przed posterunkiem i został doszczętnie rozbity. Handlarz zdołał się uratować, chroniąc się w jakimś budynku, starym nabrzeżnym bunkrze, którego stalowe drzwi pozostały miłosiernie otwarte. Mówię miłosiernie, bo widzę boską rękę w ocaleniu tego człowieka.

Tu, na dole, nie wzywamy często imienia Boga, chyba że podczas obrzędów i modlitw. Tak jakbyśmy podzielili naszą wiarę na strefy: nie zaprzestaliśmy Go wzywać, ale w życiu codziennym wolimy o Nim nie myśleć.

Kardynał wypija herbatę do końca. Ja trzymam w dłoniach szklankę, rozkoszując się chłodem wody poprzez szkło.

– Kiedy gwardziści go odnaleźli, biedak był bliski śmierci ze strachu i głodu. Przez trzy noce musiał słuchać hałasów i nieludzkich głosów stworzeń krążących wokół bunkra. Pierwszej nocy bestie, których handlarz nie potrafił opisać, urządziły sobie bankiet z resztek konwoju. Drugiej nocy próbowały sforsować drzwi bunkra. Trzeciej wydawało się, że dały za wygraną, ale kiedy próbował wyjść, przyczajona bestia niemal zdołała go schwytać. Kiedy gwardziści go odnaleźli, był odwodniony i oszalały z przerażenia.

Wyobrażam sobie. Każdy z nas nasłuchiwał się opowieści o stworzeniach grasujących po nocy. Jakbyśmy je widzieli na własne oczy. Są w naszych sennych koszmarach od lat.

– Zanim umarł, opowiedział strażnikom niewiarygodną historię. Mówił, że na północ od Rawenny znajduje się miasto zamieszkałe przez duchy.

– To bardzo rozpowszechnione legendy. Mówią, że również w Rzymie...

– Bardzo proszę, ojcie Johnie, proszę mi nie przerywać.

– Przepraszam. Nie miałem zamiaru...

– Nie o duchy tu chodzi. Handlarz powiedział jeszcze coś, na co strażnicy w pierwszej chwili nie zwrócili uwagi. Powiedział, że choć nigdy tam nie był, mieszkańcy pewnej wsi pod Rawenną, ci sami, którzy opowiedzieli mu o duchach, twierdzili, że te zjawy więżą w podziemiach wysokiego dygnitarza kościelnego.

Albani robi długą, obliczoną na efekt przerwę. I kończy:

– Chodzi o kardynała patriarchę. A tym miastem jest Wenecja.

Wenecja...

Nie widziałem nigdy Wenecji.

Choć spędziłem we Włoszech prawie połowę życia, była to połowa bardzo nieodpowiednia na podróż. Słowo „turystyka” dołączyło do grupy słów tak fantastycznych jak „hipogryf” czy „jednorożec”. Słowo Wenecja ma dla mnie takie samo znaczenie jak Atlantyda. Mityczne miasta utraconej przeszłości.

Przybyłem do Rzymu z Bostonu w wieku dwudziestu trzech lat. Byłem jeszcze studentem St. John’s Seminary, a moja nauka miała tu potrwać rok. Ale wojna wybuchła już sześć miesięcy później. A po wojnie do Bostonu zrobiło się równie daleko, jak na Księżyc. Tu przyjąłem święcenia kapłańskie, dwa lata po Wielkiej Zagładzie. Bardzo szybka ceremonia, w niczym nieprzypominająca tego, co sobie wyobrażałem.

Z całych Włoch zobaczyłem bardzo niewiele: kilka plaż na wybrzeżu Lacjum, Neapol, Pompeje... Teraz cały świat to jedne wielkie Pompeje. Popiół i ciemność. Mówią, że chmura pyłu wyrzucona z Wezuwiusza przysłoniła słońce i wywołała sztuczną noc. Tak jest z całą planetą, którą przykrył całun ciemnych chmur. Ziemia – a przynajmniej to, co możemy dojrzeć – spowita jest wiecznym zmierzchem. Pięknie byłoby pomyśleć, że daleko stąd nadal istnieje błękitne niebo, trawa, kipiące życiem morze. Ale to tylko marzenie. Naukowcy dawno już to wszystko przewidzieli. Nazwali to nuklearną zimą. Były o tym i powieści, i filmy. Ale żyć w tej rzeczywistości – to zupełnie co innego.

Potrząsam głową.

– Nasłuchaliśmy się już tylu plotek...

– To nie jest plotka. Opowieść handlarza była bardzo szczegółowa.

– To opowieść bazująca na opowiadaniach innych ludzi. Rawenna jest daleko od Wenecji.

– Ale wieści szybko się rozchodzą. My, Włosi, zawsze byliśmy narodem plotkarzy.

Uśmiecham się mimowolnie.

– Nawet gdyby przyjąć, że ten tajemniczy patriarcha istnieje, czy zechce mi Eminencja wyjawić, dlaczego zostałem wezwany?

– Od razu do sedna. Dobrze, bardzo dobrze. Wezwałem ojca jako jedyne żyjącego członka Kongregacji Nauki Wiary.

To prawda. Jak i to, że stara nazwa Kongregacji Nauki Wiary to Święta Inkwizycja.

Jako Amerykanin wychowywany od małego w duchu wolności myśli i słowa, z dużym trudem widzę siebie w roli inkwizytora.

– Nigdy nie wykonywałem obowiązków wynikających z tej funkcji. Tu, na dole, jest raczej posucha na herezje.

Kardynał Albani nie należy do osób, które akceptują odmowę.

– Niezależnie od wszystkiego, wziął ojciec na siebie to zobowiązanie.

– To była czysta formalność.

– Aż do dzisiaj.

Hierarcha milknie, pozwalając płynąć czasowi.

Patrzę na krzyż wiszący za jego plecami. To stary krzyż, bizantyjski. Oczy Chrystusa są nieskończenie smutne.

W końcu kardynał przerywa milczenie. Mówi półgłosem, ważąc każde słowo.

– Nasze zasoby są ograniczone. Gdyby dowiedziano się, że wykorzystuję je do sprawdzenia zwykłych plotek, zostałbym żywcem pożarty. Moja pozycja nie jest stabilna. Proszę posłuchać, co powiem, a potem natychmiast o tym zapomnieć: moja władza jest pochodną władzy Rady Miejskiej. Autorytet Kościoła został wystawiony na szwank przez... przez Wielką Zagładę. Jesteśmy coraz bardziej zależni od władzy świeckiej. To oni zapewniają ludności żywność i wodę. Jedyńm naszym mocnym punktem jest Gwardia Szwajcarska. Nie daj Boże, żeby zabrakło jej wiary w Kościół. To byłby nasz koniec.

Wychyla się ku mnie nad biurkiem i jeszcze bardziej ścisza głos. Jego oddech pachnie miętą.

– Mam zamiar przydzielić ojcu grupę siedmiu gwardzistów. To jedna piąta całych sił zbrojnych Watykanu. Robiąc to, podejmuję straszne ryzyko. To powinno uzmysłowić ojcu wagę tej misji. Oficjalnie uzasadnię ją koniecznością wykorzenia niebezpiecznej herezji. Tylko ja i ojciec będziemy znali prawdziwy cel misji. Rozumiemy się, ojcze Johnie? Tylko ja i ojciec.

– Nie, nie rozumiem.

– Czego?

– Dlaczego Rada miałaby przypisywać większą wagę zagrożeniom płynącym z jakiejś herezji niż poszukiwaniu kardynała ocalałego z katastrofy?

Albani uśmiecha się jak dziecko.

– Mówi ojciec o uzasadnieniu oficjalnym. Ja natomiast, tak prywatnie, szepnę do ucha kilku członkom Rady, że jednym z celów naszej misji jest odzyskanie ważnych relikwii przechowywanych w skarbcu bazyliki Świętego Marka. Oczywiście, wraz ze świętymi relikwiami, zostałyby odzyskane także relikwiarze. A to oznacza setki kilogramów złota i klejnotów.

– Które w obecnych okolicznościach nie są nam do niczego przydatne. I które trudno będzie tu przewieźć.

Kardynał wzrusza ramionami.

– Człowiek jest dziwnym stworzeniem, ojcze Johnie. Pobudki naszego działania nie zawsze są racjonalne. Blask złota wciąż fascynuje, szczególnie młodszych spośród nas. A co do logistyki... Cóż, pomyślimy o tym później.

– Jest jeszcze inny aspekt, Eminencjo, którego nie należy lekceważyć. Ośmiu ludzi na taką misję? Ile mil jest stąd do Wenecji?

Nawet po dwudziestu latach system metryczny nie przyjął się w mojej głowie. Zresztą teraz, w naszym nowym świecie, odległości mierzy się już na kroki, a nie na mile czy kilometry...

– Pięćset kilometrów. Plus minus. Zależy od stanu dróg. Kapitan Durand uważa, że można je pokonać w piętnaście nocy. Chyba że zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności.

– Kim jest kapitan Durand?

– Dowódcą drużyny gwardzistów, którą ojcu przydzielimy. Spotkacie się niebawem. To człowiek o

bardzo dużym doświadczeniu.

– Ale mimo wszystko, piętnaście nocy na wolnym powietrzu...

– Wiem. To dużo. Ale pokładam nadzieję w Bogu i w sprawności specjalnie dobranych ludzi. A więc? Jaka jest ojca odpowiedź? Pojedzie ojciec do Wenecji?

– Jakże mógłbym odmówić? Eminencja jest moim przełożonym.

– To trudne czasy. Wierność i dyscyplina czasem nie wystarczają.

Wzruszam ramionami.

– Dla mnie są wystarczające.

Z pulchnych ust Albaniego wydobywa się westchnienie ulgi.

– Chciałbym coś ojcu pokazać przed wyjazdem.

I nie czeka na odpowiedź. Wstaje zza biurka, dając mi znak, żeby iść za nim.

Odsuwa kolejną zasłonę wiszącą od sufitu do samej podłogi i rusza przede mną ciemnym, wąskim korytarzem.

Sala, do której wchodzimy, jest jeszcze większa od kardynalskiego biura. Trzy sześcioramienne kandelabry oświetlają ją aż po sam sufit, który podparty jest dwiema pięknymi marmurowymi kolumnami. Byłem już kiedyś w tym pomieszczeniu, w czasie tak odległym, że wydaje się, jakby to było w zupełnie innym życiu.

– To krypta papieży – szepcze Albani, pokazując mi szerokim gestem nisze na sarkofagi i wnęki w ścianach. – Tu pochowanych jest dziewięciu papieży z trzeciego wieku. Prawie wszyscy byli męczennikami.

Wskazuje na imiona wyryte na kamieniach nagrobnych.

– Poncján, Anteros, Fabian, Lucjusz I, Sykstus II, Eutylian... Są tu też Stefan I, Dionizy i Feliks I, choć ich płyt nagrobnych nigdy nie odnaleziono. Ale są tutaj, pochowani w tych murach. Kiedyś tę kryptę nazywano małym Watykanem. Zastanawiam się, czy podczas Wielkiej Zagłady nie przyciągnęły nas tutaj właśnie te relikwie, jak światła latarni. To najświętsze miejsce, jakie nam zostało.

Ja też się często zastanawiałem nad tym, co kazało mi szukać schronienia właśnie tutaj, w katakumbach Świętego Kaliksta. Zwiedzałem je przed katastrofą, i zrobiły na mnie olbrzymie wrażenie. Przyszedłem zimą, kiedy prawie nie było turystów, kiedy w tych olbrzymich, a jednocześnie klaustrofobicznych podziemnych przestrzeniach królowała cisza: niemal dwadzieścia kilometrów tuneli i komór, w niektórych miejscach rozmieszczonych na czterech kondygnacjach. Przewodnik powiedział, że pogrzebano tu pół miliona chrześcijan. Naga liczba, która mnie oszołomiła. To oszołomienie nie mija do dziś, a na myśl, że to miejsce, ten ogromny cmentarz stał się ostatecznym schronieniem dla życia, wręcz zapiera mi dech.

– Zechce się ojciec ze mną pomodlić? – pyta kardynał i, nie czekając na odpowiedź, klęka na gołej posadzce. Po chwili wahania robię to samo.

Albani opuszcza głowę na złożone dłonie.

– O Panie, który w swej niezmierzonej mądrości kazałeś złożyć na nasze ramiona ciężkie brzemie w Dzień Wielkiej Zagłady, spraw, by nie przygniótł nas ten ciężar i byśmy zdołali go dźwigać do samego końca. Opiekuj się naszym bratem Johnem i ludźmi, którzy towarzyszyć mu będą w jego świętej misji. Bądź dla nich przewodnikiem i światłem w ciemnościach, które przyjdzie im pokonać. Natchnij swoją siłą ich nogi i ręce. A duch Twój niech wzmocni ich serca, aby nic nie mogło ich powstrzymać. Chroń ich od demona południowego i od potworności nocy. I sprowadź do nas z powrotem całych i zdrowych.

Amen wypowiadam, czyniąc znak krzyża.

– Proszę mi pomóc wstać – uśmiecha się kardynał.

Podtrzymuję go za łokieć, pomagając dźwignąć z ziemi niebagatelną masę jego ciała.

– Widzi ojciec? Z trudem sam się podnoszę. A co tu mówić o dźwignaniu na ramionach ciężaru całego Kościoła. Potrzebuję pomocy kogoś silniejszego i młodszego ode mnie.

Mógłbym przypomnieć mu, że Kościół katolicki nie jest już tym, czym był kiedyś. Nie jest już bytem uniwersalnym. A może jest? W gruncie rzeczy nasze uniwersum ogranicza się już tylko do tego, co widzimy, do odległości, którą możemy pokonać pieszo. Kościół katolicki skurczył się do rozmiarów tych podziemi.

Albani, jakby czytał w moich myślach, kładzie mi dłoń na ramieniu, patrząc mi prosto w oczy:

– Proszę nie dać się zwieść pozorom. Proszę nie myśleć, że Kościół to jest... to. Że wszystko jest zamknięte tutaj. Słowo „katolicki” w grece znaczy „uniwersalny”, jak ojciec dobrze wie. To nasza misja. Sama treść naszej egzystencji: nieść słowo Chrystusa w każdy zakątek globu.

Mógłbym mu odpowiedzieć, że powrót tutaj, na cmentarz z czasów, kiedy Kościół był prześladowany, a jego wierni rzucający na żer lwom, jest dużym krokiem wstecz. Jak w tej starej grze planszowej, kiedy niefortunny rzut kostkami kazał się cofać na początkowe pole. Ale moje usta milczą.

– W ciągu ostatnich pięciu lat stworzyliśmy solidną podstawę wewnątrz tych murów. A w ostatnim dwuleciu udało nam się rozwinąć sieć przyczółków aż po Ankone na północy. Miasto, choć wymarłe, jest ciągle nienaruszone i okazało się prawdziwą kopalnią różnych zasobów. Poza tym mogliśmy stamtąd nawiązać kontakty z innymi ocalałymi społecznościami. Póki co wydaje się, że najlepiej rozwija się społeczność, która zasiedliła Rawennę. Samo miasto też chyba poniosło niewielkie szkody podczas Wielkiej Zagłady i później. To ciekawe...

– Co takiego?

– Fakt, że u schyłku cesarstwa rzymskiego Rawenna też stała się bastionem cywilizacji, jednym z ostatnich. Kiedy Rzym upadł, Rawenna została stolicą.

Wracamy do jego gabinetu. Do komory, która kiedyś była grobem świętej. To ironia losu, choć może powinienem powiedzieć, że to absurd: gdyby ciało Cecylii pozostało tutaj, nadal byłoby nienaruszone. Dziś bazylika Świętej Cecylii na Zatybrzu, do której przeniesiono ciało na początku IX wieku, jest jedynie zwaliskiem ruin, a z relikwii świętej został już tylko popiół.

– Proszę usiąść – zaprasza Albani.

Kiedy już siedzimy, otwiera szufladę biurka i wyciąga skórzane etui wielkości mniej więcej dawnych portfeli.

– Tu są listy uwierzytelniające i zlecenia dotyczące całej wyprawy, które nadają ojcu uprawnienia do wykorzystania wszystkich i wszystkiego, co okaże się przydatne na terytoriach kontrolowanych przez Kościół. Jest też list prezentacyjny dla Kościoła w Rawennie. Biskup Giuliano zapewni ojcu i eskorcie wszystko, co niezbędne, aby podjąć ostatni etap wyprawy. Różni prosi eskorty – myślę, że już czas poznać towarzyszy podróży.

Rozdział 2: Droga przez pył

Wystawiając na próbę mój zmysł orientacji, kluczymy szeregiem korytarzy – tu tysiącsześciusetletnich, tam dopiero co wydrążonych – najpierw w jedną stronę, później w drugą. Niektóre z nich są szerokie, a w ich ścianach otwierają się przejścia i wnęki grobowe. Inne są bardzo wąskie, ich widok przyprawia wręcz o duszności. Kardynał kamerling kroczy przede mną, poruszając się z zaskakującą szybkością jak na kogoś tak korpulentnego. Domyślam się, że po dwudziestu latach zna te podziemia tak dobrze, że mógłby się tu poruszać z zawiązanymi oczami. Kongregacja Nauki Wiary, której pozostałem jedynym członkiem, ma siedzibę daleko stąd, w rejonie katakumb zwanym Regionem Liberiusza, na północ od tuneli, którymi właśnie zmierzamy ku wschodowi, jeśli nie myli mnie mój zmysł orientacji. W przyćmionym świetle nielicznych lamp oliwnych oświetlających to krecie miasto mogę dojrzeć ślady po freskach, połyskiwanie marmurów, zdania wyryte w kamieniu dłońmi współczujących przed szesnastoma wiekami. Niektóre epitafia znam już na pamięć, po przetłumaczeniu ich z łaciny. Na przykład epitafium z kamienia nagrobego Valentyny, napisane przez jej rodziców: „O Valentino, łagodna i tak ukochana, pokonał mnie szloch nieprzeparty i słowa jednego wyrzec nie mogę. Komu uśmiech swój posłałaś, temu został on w sercu i łez teraz dodaje, a bólu nie zdejmuje. I tak nagle niebo porwało cię dla siebie”. Albo epitafium dla małego Accuziano, „który żył dziesięć lat. Odpoczywa w pokoju. W tym grobie spoczywa chłopiec o bystrym języku wbrew wiekowi młodemu. Baranek porwany do nieba i Chrystusowi darowany”.

Gdybyśmy mieli napisać same inicjały imion wszystkich dzieci, które zginęły w wyniku Wielkiej Zagłady, nie wystarczyłoby ścian w tych katakumbach. Niewiele z nich zostało pogrzebanych. Jeden z naszych zwiadowców opowiadał mi, jak pewnego dnia, podczas ekspedycji w poszukiwaniu pożywienia, natknął się w piwnicy jakiegoś przedszkola na pokój pełen dziecięcych kości. Prawdziwy dywan z kości. „Łamały się jak patyki pod naszymi butami...”

Któregoś dnia w odległej przyszłości, jeżeli nasz gatunek wyginie, co jest wysoce prawdopodobne, jakiś obcy archeolog odkryje może jeden z naszych schronów i będzie się zastanawiał, jak żył *homo callistianus*. Ile błędnych hipotez wysnuje, znajdując te olbrzymie cmentarzyska kości? A gdy się natknie na grotty z okopconymi ścianami, jakie zdanie sobie o nas wyrobi? Jak będzie mógł powiązać nasze szczątki z okazałością otaczających nas ruin? Czy będzie w stanie odgadnąć, że jesteśmy ostatnimi spadkobiercami wielkiego bogactwa, które trwało dwa tysiąclecia?

Nie znałem dobrze Starego Watykanu, nim został zniszczony. Widziałem go z zewnątrz, jak wszyscy turyści. Wyobrażam go sobie jako miejsce tętniące życiem, prawdziwy ul. Kiedyś jakiś pisarz powiedział, że Bazylika Świętego Piotra nie wzbudza w nim żadnej duchowości. Że przypomina mu siedzibę zarządu międzynarodowego holdingu. Czy doceniłby zmianę, gdyby mógł zobaczyć Nowy Watykan? Teraz, kiedy cały ten przepych, złoto i cenne obrazy obróciły się w proch, kiedy Kościół doznał oczyszczenia w atomowym ogniu, staliśmy się rzeczywiście bardziej godni szacunku?

Nigdy nie żałuję przeszłości. Nikt z nas tego nie robi. Przynajmniej otwarcie.

Musimy patrzeć w przód, cały czas w przód. Przeszłość to mauzoleum nękanie przez upiory.

Ale gdzieś w środku, w skrytości serca, strzeżemy pamięci o minionych czasach, jak skąpiec strzeże swojego skarbu.

Przechodzimy przez komory zaadaptowane na magazyny, inne zmienione w stołówki, zbrojownie, czytelnie. Dormitoria i izby chorych znajdują się gdzie indziej, oddzielone drzwiami i kotarami. Kiedy przechodzimy, prawie nikt nie wstaje. Tylko jakiś starzec lekko się kłania. Większość patrzy na nas podejrzliwie lub z otwartą wrogością. Brak papieża nie robi Kościołowi dobrze. Wielu przypuszcza, i nie czynią z tego tajemnicy, że kardynał kamerling uzurpuje sobie władzę, która mu się nie należy. Z biegiem lat jego autorytet powoli topniał, gdy w tym samym czasie rosło znaczenie Rady Miejskiej,

władzy świeckiej, od której Kościół jest zależny w sprawach utrzymania, i na którą Albani ma mniejszy wpływ niż kiedyś. Polityka zawsze była pasją Włochów. I nadal jest. To stara tradycja, jak mafia. A Rada zdecydowanie przypomina mafię, zdominowana przez „historyczne” rody, którym zawdzięcza się utworzenie tego schronu. Chociaż mówienie o „historii” jest śmieszne, gdy cała historia ma dwadzieścia lat...

Polityka, seks, władza...

Wszystko, z czego zrezygnowałem.

W ogólnodostępnych salach przy ogniu często słyszy się dyskusje o tych ustawieniach władzy i o kryjących się za nimi intrygach. Kiedyś mówiono o tym po cichu, a dziś robi się to otwarcie, bez zahamowań. To najbardziej jaskrawy znak schyłku Albaniego. Jedynym powodem, dla którego trzy rody z Miasta jeszcze się z nim nie rozprawiły, jest to, że same przechodzą trudny okres. Po śmierci absolutnego despoty, Alessandra Moriego, zmarłego przed sześcioma miesiącami, muszą uporać się z przejściem władzy przez jego syna Patrizia, który po krwawej zemście odniósł zwycięstwo nad swoimi braćmi, Ottavianem i Mariem. Władza Patrizia Moriego musi się umocnić. To jasne, że kardynał kamerling próbuje to wykorzystać. Kiedyś nazywano to podziemnymi intrygami. Cóż za trafne określenie na dzisiejsze czasy...

Patrzę na pozornie niezdarne ciało kardynała i odczuwam wobec niego jakiś podziw, poczucie dumy. Wydawać by się mogło, że to ostatnia osoba, która jest w stanie przeżyć wszystkie te tragedie. A jednak potrafił przejąć kontrolę i zreorganizować to, co pozostało z Kościoła. Na zewnątrz nie widać nic z jego wielkości. Ale jest wielki. Zasłużył na godne miejsce w podręcznikach historii.

Idziemy długo przez zatłoczone miejsca, w których nagromadzenie ciał odwykłych od mydła nasyca powietrze mdłą wonią stęchlizny konkurującej z wszechobecnym odorem ziemi i grzybów, co rujnuje ci oddech.

Napady kaszlu, rozmowy prowadzone półgłosem. Tu, na dole, w tych ciasnych przestrzeniach wyglądających bardziej na kajuty statku niż na dom, uczymy się mówić po cichu i poruszać wolnym krokiem.

Najbardziej brak mi muzyki. Kiedy maszerowałeś ulicami Rzymu przed Wielką Zagładą, muzyka była jak fluid otaczający cię ze wszystkich stron, a ty poruszałeś się w rytmie miasta: muzyki z barów, zza szyb samochodów. Głosy kobiet rozwieszających pranie pomiędzy murami uliczek. Muzyka była wszędzie, wydawało ci się, że nią oddychasz.

Na dole panuje cisza. Nigdy nie słyhać, żeby ktoś śpiewał. Ani jednej nuty z jakiegokolwiek instrumentu, jakby muzykę skazano na banicję. Jakbyśmy byli w żałobie.

A jednak i tu nie brakuje przyjemności.

Tu i ówdzie w ciemniejszym kącie stoją przytulone do siebie dwie postaci – prawie zawsze kobieta i mężczyzna. Postękiwania i ocieranie się o siebie nie pozostawiają wątpliwości. Albaniemu nawet nie drgnie powieka.

– Wie ojciec, skąd się wzięło słowo „cudzołożyć”, *fornicare*? – pyta szeptem.

– Nie, Eminencjo.

Przeskakujemy nad jakąś parą obejmującą się na ziemi, przykrytą podartym skórzanym workiem.

– Zaskoczę ojca.

Zastanawiam się, czy nie mówi czasem tylko po to, żeby oderwać się od tego, co nas otacza – od nieprzerwanego radosnego naruszania szóstego przykazania.

Albani uśmiecha się. W żółtawym świetle lampki jego cera ma niezdrowy kolor, jak u żywego trupa.

– Kiedy w dzieciństwie nie miałem jeszcze pojęcia, że zostanę kapłanem, często słyszałem, jak ksiądz wołał z ambony: „*Non fornicare!*”, i myślałem sobie, że to słowo ma coś wspólnego z mrówkami – *formiche*... Później ksiądz wyjaśnił mi, że *fornicare* znaczy popełniać czyny nieczyste.

– W angielskim nie ma tak zabawnej zbieżności słów. Szóste przykazanie brzmi: *Thou shalt not*

commit adultery. Nie popełniaj cudzołóstwa.

– No właśnie. A jednak nie jest to aż takie proste. Trzeba pamiętać o kontekście historycznym i kulturowym, w którym zostały sformułowane przykazania. W hebrajskim *nef* to nie tylko cudzołożnik. Kościół uprzywilejował tę interpretację z uwagi na szerzenie się cudzołóstwa w monogamicznym małżeństwie. Jednak w świecie poligamicznym, w którym napisany został Dekalog, słowo *na'af* oznaczało nie tylko cudzołóstwo, ale wszelkie wypaczenie w postępowaniu mężczyzny lub kobiety w stosunkach ze sobą i z innymi. Zatem *nef* to cudzołożnik, drań, oszust, wykolejeniec, bezwstydnik z inklinacjami do wszelkiego rodzaju występków, również seksualnych, ale nie tylko.

Albani przystaje. Patrol złożony z dwóch mężczyzn i kobiety oddaje mu honory, końcami długich policyjnych pałek dotykając daszków czapek. Ten gest jest wyrazem szacunku, jednocześnie nim nie będąc.

Kardynał wzdycha.

– Mówiłem o pochodzeniu czasownika *fornicare*. Pochodzi on od łacińskiego *fornix*, czyli łuk, w znaczeniu elementu architektonicznego. prostytutki wykonywały swój zawód pod łukami portyków. Czasownik wziął się właśnie stąd.

– A więc nie od mrówek.

– Nie. Ciekawe, prawda?

Przechodzimy przez lepiej oświetlone miejsce. W zatłoczonej sali stoją lady z wystawionymi towarami: odzieżą, przedmiotami sprzed wojny. Towar wyłożony jest również we wnękach, które kiedyś kryły ciała pierwszych chrześcijan. Jedną z nisz zajmują na całej długości stare komiksy i pisma pornograficzne. Kardynał maszeruje szybkim krokiem, nie rozglądając się na boki. Jego korpulentna postać z pewnością nie wzbudza lęku ani czci. Dostojnik ma na sobie kombinezon, jak my wszyscy. Jedynym znakiem wyróżniającym jest purpurowy kapelusz. Oprócz tłuszczu, który przydaje mu wagi. Wszyscy jesteśmy tu o wiele chudsi i, przeciętnie, zdrowsi od ludzi sprzed Wielkiej Zagłady. Głównymi przyczynami śmierci nie są już cholesterol czy palenie tytoniu. Ani nawet wypadki samochodowe. A jednak śmiertelność jest większa niż dawniej. Mój przyjaciel profesor powiedział mi kiedyś, że główną przyczyną śmierci w naszych czasach jest nadmierne odprężenie. Nie możesz sobie na to pozwolić. Nie, kiedy ze wszystkich stron otaczają cię wszelkiej maści zagrożenia. Z których każde może być śmiertelne.

Przez teren targu przechodzimy przy ogólnej obojętności i pod wrogimi spojrzeniami kilku osób. Wchodzimy teraz do niemal pustych korytarzy. Unosi się w nich zapach ziemi i pleśni. Myślę, że w tych lochach nosimy go na sobie wszyscy. Tyle że po pewnym czasie przywykamy do tego. Ale tu woń jest zdecydowanie silniejsza. I gorsze oświetlenie. Generatory nie dostarczają wystarczająco dużo prądu, aby wszędzie zachować pozory cyklu dzień – noc. Są strefy mniej ważne, jak właśnie ta, w których światła elektrycznego po prostu nie ma. Albani szpera w kieszeni kombinezonu i wyciąga latarkę. To cenny przedmiot. Nie wiedziałem nawet, że takie przetrwały. To latarka diodowa, którą ładuje się poprzez kręcenie korbką. Kiedy była nowa, zaledwie minuta obracania korbką zapewniała wiele minut światła. Teraz kardynał musi ładować ją bez przerwy, żeby świeciła. Ale i tak jest nadzwyczajną rzeczą, a wiązka światła, jaką emituje, jest czymś nad wyraz pożądanym, bo miejscami oświetla przerażające przedmioty: grymas bezzębnej czaszki albo stos kości udowych i piszczeli w innej ściennej wnęce. Pajęczyny zwisające z góry jak całuny. Prawdziwy tunel grozy. Chwilami moja dłoń muska w ciemności coś, co się rusza. Szczura albo coś innego. Mówią, że są w ciemności rzeczy o wiele gorsze od szczurów.

– Okolica do wykorzystania. Pewnego dnia stanie się przedmiotem spekulacji budowlanej. Jak mówią specjaliści od nieruchomości, ma duży potencjał.

Nie wiem, czy kardynał żartuje, czy mówi serio. Tak jak nie umiem powiedzieć, ile uszliśmy – może ze dwie mile – od jednego do drugiego poziomu krypt, zanim dotarliśmy do czegoś, co wydaje się wyspą światła: do pomieszczenia oświetlonego lampami naftowymi.

Kardynał przestaje ładować latarkę.

– Proszę wybaczyć, jeśli będą się zachowywać nieco... gburowato. To żołnierze. Dobre maniery nie są ich mocną stroną. Co ojciec wie o świecie zewnętrznym?

– Bardzo niewiele. Tyle, ile można usłyszeć od zwiadowców.

– Ludzie, których zaraz spotkamy, wiedzą o nim wszystko. A przynajmniej tyle, ile trzeba, żeby przetrwać. Są najlepszą eskortą, jaką mogłem ojcu znaleźć. Zapraszam.

Żaden z mężczyzn w pokoju nie zdradza oznak zainteresowania, kiedy wchodzimy.

Pokój jest mały i zatłoczony. Oświetlają go tylko dwie lampy i jakiś tuzin mdłych świec. Mężczyźni w półmroku wyglądają jak woskowe posągi.

Albani uśmiecha się, unosząc wyniośle swoje otyle ciało wśród tych chudych jak szakale, jak bezpieczeństwa psy mężczyzn. Idę za nim, lustrując dyskretnie twarze żołnierzy, ich sposób poruszania się, niezwykle powolny, jakby każdy gest, każdy najmniejszy ruch musiał być starannie wyważony.

Jest ich sześciu. Różnego wzrostu, ubranych w mundury polowe o rozmaitych kombinacjach barw. Bez trudu rozpoznaję ich dowódcę. Tylko on stoi, a od pozostałych jakby biegły ku niemu proste linie – uwagi i szacunku.

– Kapitan Marc Durand – szepcze Albani, przedstawiając nas sobie. – Ojciec John Daniels z Kongregacji Nauki Wiary.

W oczach Duranda widać rozbawienie. Ale usta pozostają zaciśnięte w cienką aseptyczną fałdę. Jest smukły niczym chart, ma koło pięćdziesiątki. Przypomina mi kogoś, jakąś postać z przeszłości, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. Robi krok w przód, wyciąga do mnie rękę i chwyta moją dłoń w mocnym, suchym uścisku.

– Jak pan sobie radzi z bronią? – pyta bez zbędnych wstępów.

– Używałem jej, kiedy byłem chłopcem.

– To musiał upłynąć szmat czasu, tak na oko.

– Koło trzydziestu lat.

Mężczyzna siedzący u boku Duranda uśmiecha się kpiąco, kiwając głową.

To niski, krępy typ, z blizną na ogolonej głowie i dystynkcjami sierżanta na kurtce.

Durand klepie go w ramię.

– Pauli, pożycz swój pistolet ojcu Johnowi.

Sierżant wyciąga pistolet z kabury i podaje mi go, ciągle tak samo uśmiechnięty.

– Z czego pan strzelał, kiedy był pan chłopcem?

– O, z wielu rzeczy. Karabiny, pistolety. Karabiny maszynowe, karabiny snajperskie, miotacze ognia, dezintegratory, taktyczne bomby atomowe...

Kapitan patrzy na mnie, jakbym bredził.

– Paralizatory plazmowe, katapulty, łuk walijski, gladius, działo cząsteczkowe...

– Ejże, ejże! Chwila. O czym ojciec mówi?

– O moim jedynym doświadczeniu z bronią. W grach komputerowych i PlayStation.

Kapitan Durand kręci głową.

Sierżant drapie się w podbródek.

– Coś mi się zdaje, że to się nie liczy. Naprawdę nigdy pan nie strzelał? Mam na myśli prawdziwy pistolet.

– Nie. Ani razu.

Sierżant odwraca się do swojego przełożonego i mówi do niego po francusku tak szybko, że z trudem udaje mi się wychwycić słowa „problem” i „amunicja”.

Durand wyciąga mi pistolet z dłoni.

– Wie ojciec, co znaczy wyjść stąd na zewnątrz, gdy nie umie się strzelać? To znaczy mieć takie szanse na przeżycie, jak płatek śniegu w piekle.

– Sądziłem, że strzelaniem zajmiecie się wy.

Durand przygląda mi się surowo.

– W tej misji każdy musi być w stanie radzić sobie sam. Nie ma miejsca na bezwładne ciężary. Więc każdy musi umieć się obronić. W przeciwnym razie wystawia na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale całą ekspedycję. Jasne?

Potakuję. Durand przyjmuje to skinieniem głowy.

– *Bon.* Szkolenie teoretyczne możemy sobie darować. Amunicji nie ma w nadmiarze. Szkolenie praktyczne natomiast odbędzie się na miejscu. O ile będzie konieczne. Ale obawiam się, że będzie. A w zasadzie szkolenie teoretyczne zrobię natychmiast. Pierwsza i ostatnia lekcja... W mojej drużynie zasady są dwie: jeden strzał, jeden trup.

Patrzę na niego.

– To jedna zasada – mówię. – A druga?

– Druga zawiera się w pierwszej: nie tolerujemy marnotrawstwa amunicji.

Kardynał Albani odchrząkuje.

– Byłby pan uprzejmy przedstawić ojcu Johnowi pozostałych członków drużyny, kapitanie?

Durand wskazuje na krępego typa u swego boku.

– Sierżant Paul Wenzel, zwany Pauli. Specjalista od technik destrukcji. Oczywiście w tej dziedzinie pozostanie zawsze numerem dwa. Nikt nie jest lepszy niż generał Fubard.

– Fubard?

Durand uśmiecha się.

– Gra słów. *FUBAR Day*. Czy pan wie, co to jest sytuacja FUBAR, ojczcie Daniels?

– Przyznaję się do niewiedzy.

– W amerykańskim żargonie wojskowym trudne sytuacje są... były... określane skrótami *SNAFU*, *TARFU* i *FUBAR*, w zależności od wagi ich znaczenia. *SNAFU* tworzą inicjały słów *Situation Normal*, *All Fucked Up*, czyli „sytuacja normalna, wszystko spieprzone”, *TARFU* bierze się od *Things Are Really Fucked Up*, czyli „wszystko naprawdę spieprzone”. Akronim *FUBAR* oznacza sytuację najgorszą: *Fucked Up Beyond All Recognition*, co znaczy „spieprzone ponad wszelkie pojęcie”. A oznacza to sytuację tak fatalną, że lepiej zrównać wszystko z ziemią i zacząć od początku. *FUBAR Day*...

– To, co my nazywamy Wielką Zagładą.

– Właśnie, wy.

Durand daje znak głową dwu ludziom siedzącym po jego prawej stronie. Chudszy czyści sobie paznokcie nożem do rzucania. Drugi obserwuje mnie niezwykle białymi oczami osadzonymi w twarzy czarnej jak heban.

– Ten biały to Yegor Bitka, nasz spec od komunikacji, między innymi. W rzeczywistości fachman od komunikacji tam, na górze, jest potrzebny jak szklanka w piekle. Radio to zbędny ciężar. Ale tradycji musi stać się zadość, więc nosimy ze sobą radio, które nie zdaje się na nic. Ten Murzyn to kapral Marcel Diop. Ekspert od wszystkiego. Do tego wielki upierdliwiec.

Słowo „Murzyn” w jego ustach nie brzmi napastliwie.

Obaj żołnierze wykonują coś na kształt lekkiego ukłonu. Ukłon Diopa wygląda na szczery, Bitki zaś – na ironiczny.

– Bitka to serbskie nazwisko? – pytam.

Nie odpowiada. Jest bladym blondynem, a mięśnie jego szyi są napięte jak lina cumownicza.

– *Bitka* w serbsko-chorwackim znaczy „bójka” – mówię.

– Ach tak? A Diop? Diop też coś znaczy? – rzuca sarkastycznie. – I tego się dowiem?

Nie odpowiadam.

– Ci dwaj dżentelmeni – ciągnie kapitan Durand – to żołnierz Guido Greppi i kapral Marco Rossi.

Obaj są młodzi.

Z pewnością urodzili się po wojnie.

– Myślałem, że Gwardia Szwajcarska jest, no... szwajcarska – mówię.

– Kiedyś tak. Teraz poszukiwanie kadr na tę odległość jest, jakby to powiedzieć, dość złożone. A i tak jesteśmy międzynarodowi. Jak sam Kościół, zresztą. Daniels to nie jest zapewne włoskie nazwisko.

– Urodziłem się w Ameryce. W Bostonie.

Rozglądam się dookoła, próbując zlokalizować ostatniego członka drużyny.

Wtedy do pokoju wchodzi najdziwaczniejszy facet, jakiego w życiu widziałem. Zapina sobie właśnie guziki rozporka i podśpiewuje nieznaną mi piosenkę.

– Przepraszam. Kiedy obowiązek wzywa... – mówi prześmiewczo, po czym puszcza wstrząsającego bąka. – Przepraszam – powtarza tonem kogoś, komu nie jest w najmniejszym stopniu głupio.

Każdy widoczny milimetr skóry żołnierza pokryty jest tatuażami. Orły, węże, krzyże, gwiazdy i komety. Tatuaże są błękitne, jak jego oczy. Trudno odgadnąć wiek, ale na oko będzie miał koło czterdziestki.

– Ojciec Daniels – mówi kapitan – przedstawiam szeregowego żołnierza: Karl Bune. Gdyby nie zebrał więcej wyroków niż kompania karna, doszedłby już do stopnia majora. Ile miał procesów, Karl?

– *Numerari non potest* – odpowiada bezbłędną łaciną zagadnięty szeregowiec.

„Nie da się zliczyć”.

– Karl był seminarzystą, zanim stał się kimś jeszcze bardziej interesującym. Tatuaże krzyży są z czasów seminarium, Karl?

Żołnierz kręci głową. Smoki na jego ogolonej głowie pochylają się, jakby czały się do skoku.

– *Nah*, mój kapitanie. Krzyże zrobiłem później. Jedynymi tatuażami z tych nieszczęśliwych lat pośród Szarych Murów są sznyty, które sobie robiłem na kutasie. Chcesz zobaczyć, księżę? Chcesz je policzyć?

Kapitan Durand piorunuje go wzrokiem. Pokazuje oczami kardynała Albaniego w głębi pokoju.

– O, przepraszam bardzo, Eminencjo. Proszę wybaczyć niegodnemu synowi Świętego Kościoła Rzymskiego...

– Możesz iść się wypowiedać u kardynała dziś wieczorem – proponuje Durand, udając poważnego.

Żołnierza zwija się, jakby dostał w brzuch z pięści. Trzęsie się i trudno odgadnąć, czy to tylko gra.

– Nie, kapitanie. Nie, błagam. To właśnie w konfesjonale straciłem dziewictwo.

– Przestań błaznować. Usiądź.

Żołnierz posłusznie siada.

– Nie zważajcie na niego. Bune jest idiotą. Do tego skończonym kłamcą. Czy to się ojcu podoba, czy nie, to jest nasza drużyna. Będzie ojciec musiał przeżyć w towarzystwie tych dżentelmenów całą podróż.

– Może nie całą... – mówi cicho sierżant Wenzel, ale na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli.

– W jakim sensie? – pytam.

– W tym sensie, że to bardzo długa podróż... Mało prawdopodobne, żebyśmy wszyscy dotarli do Wenecji... i jeszcze wrócili...

– *Morituri te salutant!* – wykrzykuje Karl, podrywając się na nogi z ramieniem podniesionym w parodystycznym geście nazistowskiego pozdrowienia.

„Pozdrawiają cię idący na śmierć”.

Patrzę na ścianę za plecami mężczyzn.

W półmroku kolory fresków są wyblakłe, ziemiste. Jakiś apostoł w aureoli rozpościera ramiona w modlitewnym geście. Napis u jego stóp jest nieczytelny, strawiła go wielowiekowa wilgoć. Ta sama, która rozmazała czerwoną farbę na jego ustach, przemieniając go w jakąś złą istotę, w ociekającego krwią demona.

Wstrząsa mną dreszcz.

– Proszę sobie łyknąć, ojciec – pokpiwa Karl, wyciągając ku mnie kufel zalatujący zabójczym destylatem z ziemniaków, który jest tu jedynym dostępnym trunkiem do masowej konsumpcji. – Ktoś

próbował nawet pędzić z grzybów, wbrew zakazom prawnym. Mówią, że efekty bywają... dziwaczne, jak powiedziałyby Yegor. Prawda, Yeg? Wiesz o czym mówię, co? Yegor widzi upiory – dyszy mi do ucha z błazeńskim grymasem. Jego oddech zajeżdża gorzelnią. – Yegor słyszy upiory...

– Dziękuję, nie piję – odpowiadam, może zbyt pospiesznie.

– Co? Z takim nazwiskiem? A to dobre!

– Co znaczy, przepraszam, „z takim nazwiskiem”?

– John Daniels. A zdrobnienie od John w amerykańskim to nie jest przypadkiem Jack? Więc Jack Daniels! Ojciec Jack Daniels, jak ta słynna whisky.

Powinienem go poprawić. Powiedzieć mu, że Jack Daniels to nie jest jakaś whisky, tylko amerykańska whiskey, a to zupełnie co innego. Ale wolę skłamać i powiedzieć mu, że nie piję. Przystać na jego grę słów.

Nie zdając sobie sprawy, że to przezwisko przylgnie do mnie do samego końca podróży.

– Dość już tego gadania, chłopaki – ucina krótko Durand. – O misji wiecie wszystko, co trzeba, więc nie musimy tracić czasu. To cywil, którego mamy eskortować do celu i z powrotem. Kropka.

Znajomość zawrzecie w drodze. Jakies pytania?

Jeden z Włochów, którego imię zdążyło mi już wylecieć z pamięci, podnosi rękę jak uczeń w szkole.

– Mów, Marco.

– Zastanawiałem się, czy jest przewidziany dodatek za misję wojenną.

Durand potrząsa głową.

– A ja zastanawiam się, gdzie się podział stary zdrowy pęd do chwały. Forsa, forsa. Nie potraficie myśleć o niczym innym. W każdym razie, odpowiedź brzmi nie, to nie jest misja wojenna. Na nikogo nie polujemy. Jediną rzeczą do zrobienia jest zapewnienie eskorty temu cywilowi do celu i przywiezienie go z powrotem całego i zdrowego. Nic wielkiego, według mnie.

– Może i nie będziemy, jak pan mówi, na nikogo polować, ale na pewno ktoś będzie polował na nas. A poza tym, ile czasu mamy spędzić na zewnątrz?

Durand przygląda mu się dłużej, zwlekając z odpowiedzią.

– Pięćset kilometrów, plus minus, do samej Wenecji...

– Fiu, fiu, pięćset kilometrów... – Włoch zdaje się być pod wrażeniem.

– Liczę, że możemy zrobić jakieś dwadzieścia kilometrów dziennie, nie forsując zbyt tempa. To znaczy, że może zdążymy w cztery tygodnie.

– Cztery tygodnie na zewnątrz?

– Mniej więcej.

– Niemożliwe! Plus drugie tyle na powrót... A jak długo musimy zostać w Wenecji?

– To zależy od ojca Danielsa.

Czuję, że wszystkie spojrzenia obecnych kierują się na mnie.

– Nie mam pojęcia, szczerze mówiąc – odpowiadam. – Nie wiem, ile czasu będę potrzebował, kiedy już tam będziemy. Może niewiele.

– A może nie – wybuchają Karl i Bune. – Może bardzo wiele. Na wolnym powietrzu. W nieznanym terenie...

W jego głosie pobrzmiewa groźba. Ten ton skłania kardynała Albaniego do zabrania głosu.

– Proszę, posłuchajcie mnie – mówi z wyciągniętymi rękami. – To dla Kościoła jest misja najwyższej wagi...

Bune mamrocze coś z zaciśniętymi zębami. O ile słowa są niezrozumiałe, o tyle ton jest zupełnie jasny.

Durand ucisza go jednym złym spojrzeniem, czego kardynał nie zauważa.

– Dzieci boże, wy jesteście ramieniem Kościoła. Naszą tarczą i naszym mieczem...

– Całą kupą rzeczy – komentuje Bune, rechocząc.

– Jeśli poniesiemy klęskę w tej misji, los Kościoła będzie przesądzony. Ale jeśli wam się uda... Ciszę, jaka zapada w tym momencie, można by krajać nożem.

– To prawda, Miasto nie uznaje tej ekspedycji za misję wojenną. Nie pozwoliło przeznaczyć na nią żadnych dodatkowych środków. Ale Kościół ma swoje zasoby. Jeśli wam się uda, nagroda będzie bardzo duża. Ponad wszelkie wasze oczekiwania.

– Ale na ile duża? – pyta jeden z dwóch Włochów. – Chociaż z grubsza.

Kardynał nie odpowiada od razu, wstrzymuje oddech. Widać niemal, jak pod zmarszczonym czołem tryby mózgu miałą hipotezy i propozycje.

Oficjalną walutą Kościoła jest lir watykański. Euro było jedynie krótkim, zapomnianym już epizodem. Ale lir pozostaje walutą czysto wirtualną. Bije się go bardzo mało, ze srebra i miedzi odzyskanych ze starych kabli elektrycznych, i od dwudziestu lat widnieje na nim symbol *sediswakancji*. Wypuszcza go mennica watykańska, bardziej w hołdzie tradycji, niż żeby wprowadzać do obiegu. Większa część tych monet pozostanie na dnie kas pancernych albo zostanie użyta jako dar podczas dyplomatycznych spotkań. Jeśli kiedykolwiek jeszcze będziemy mieli papieża, jak powiedział mi kiedyś Maksim, to jego pierwsza moneta będzie ze złota. Ze złota odzyskanego ze starych naczyń kościelnych, poczynając od najmniej cennych.

Ale to nie lir watykański jest prawdziwą walutą w tych lochach.

– Pięć litrów whisky – rzuca w końcu Albani, przy czym raczej wydmuchuje z siebie słowa, niż je wypowiada. – Plus dwie ryzy papierosów.

– MS? – Bune ma na myśli najpowszechniejszą markę krajowych włoskich papierosów przed Wielką Zagładą.

Te dwudziestoletnie papierosy zamknięte są szczelnie w foliowych paczkach, co sprawia, że teoretycznie można je jeszcze palić. Ale nikt nie otwiera tych paczek. Dzisiaj są już tylko walutą, a nie artykułami konsumpcyjnymi. To samo dotyczy kawy, której nikomu nie przyszłoby do głowy wypić. Również dlatego, że po takim czasie jest już pewnie nie do picia. To towar wymienny, tym cenniejszy, że dziś już nikt nie jest w stanie go wyprodukować. A whisky jest najcenniejszą wśród tych walut. W przeciwieństwie do papierosów i kawy, nawet po dwudziestu latach trunek nadal nadaje się do spożycia.

Ale jako waluta warta jest o wiele więcej. Wypicie jej można by porównać z podpalaniem ogniska banknotami o nominale tysiąca euro w starych czasach.

O wartości towaru stanowi jego niedobór.

– Marlboro. – Albani uśmiecha się dwuznacznie, czekając na efekt swoich słów.

Bune wybałusza oczy ze zdumienia.

– Plus dwieście naboii. Sami wybieriecie kaliber. Plus...

To słowo jest jak przynęta na końcu żyłki. Jak przystało na dobrego wędkarza, kardynał popuszcza przynętę do samego końca, zanim poderwie wędkę.

– Plus dziesięć procent ze wszystkiego, co odzyskacie w Wenecji.

– Dziesięć procent dla każdego?

Albani śmieje się szczerze rozbawiony. Kręci głową.

– Dziesięć procent razem, do podziału. Wprawdzie ubieram się w czerwień, ale nie jestem Świętym Mikołajem...

W rzeczywistości jedynym czerwonym elementem jego ubioru jest piuska na czubku głowy, bowiem kardynał, jak wszyscy cywile Nowego Watykanu, nosi zwykły jednoczęściowy kombinezon z dobrego materiału i szyty na miarę. Ten ubiór go nie zdobi. Brzuch wystaje, jakby prałat był brzemienny. Długie sutanny noszone kiedyś przez kardynałów ukryłyby ten defekt.

– Zapewne nie jest pan Świętym Mikołajem, ale oferta palce lizać – puentuje Bune, rozwalając się w fotelu z przymkniętymi oczami, jakby już dotykał myślami swojego wynagrodzenia.

– Nie mówiąc o glorii płynącej ze służby Watykanowi w misji najwyższej wagi – dodaje kardynał,

ale nie osiąga już takiego poklasku.

– Dobra, chłopaki – ucina Durand wstając. – Słyszeliście Eminencję. Czeka was duża nagroda.

Oprócz chwały, rzecz jasna.

Kłania się lekko przed kardynałem.

– Kiedy mamy wyjechać?

Ferdinando Albani zamyka oczy i wypowiada dwa słowa:

– Dzisiejszej nocy.

Rozdział 3: Za każdą fortuną kryje się przestępstwo

Zaskoczył mnie spokój, z jakim żołnierze przyjęli informację o natychmiastowym wyjeździe. Wyobrażałem sobie, że ten, na dobrą sprawę, kilkugodzinny termin wzbudzi chór protestów. Ale kapitan Durand ograniczył się do skinienia głową, po czym powiedział do swoich ludzi: – Przygotujcie się. Widzimy się tutaj za dwie godziny. Obowiązuje kombinezon polowy. Zaopatrzenie na trzy dni. Jeżeli musicie pożegnać się z waszymi pięknymi, ograniczcie się do szybkiego numerku.

Wszyscy zareagowali natychmiast, jedni zawołali: „Na rozkaz, kapitanie”, inni – mniej oficjalnie...

Potem Durand zwrócił się do mnie.

– Proszę za mną, ojciec Daniels.

– Może pan do mnie mówić John.

– Na razie wolę „ojciec Daniels”. Proszę ze mną, pójdziemy po pański ekwipunek.

Odwracam się do kardynała.

Albani uśmiecha się uspokajająco.

– Proszę iść, ojciec. Zobaczymy się przed waszym wyjazdem.

Kapitan odsuwa zasłonę w głębi pokoju. Za nią ciągnie się długi ciemny korytarz.

Wchodzi do niego, nie czekając na mnie. Idę za nim. Korytarz ma chropowate ściany, pachnące ziemią i rdzą.

– Ciasno, prawda? – komentuje Durand, którego nie widać w ciemnościach. – Przynajmniej ojciec nie zbłądzi. Cały czas prosto. Proszę się trzymać ściany...

Jakby w ogóle można było to zrobić inaczej. Nie mam szerokich ramion, ale często muszę przeciskać się bokiem, żeby zmieścić się w zwężeniach korytarza.

Po kilkudziesięciu metrach korytarz przechodzi w szeroką przestrzeń, równie ciemną. Durand kładzie mi dłoń na ramieniu i zatrzymuje mnie.

Z ciemności przed nami dobiega nagle jakiś głos. Nie spodziewałem się tego, serce podskakuje mi do gardła.

– Hasło!

– *Homo homini lupus* – wypowiada wolno Durand. „Człowiek człowiekowi wilkiem”.

Przed nami zapala się słabe czerwone światło. Jakiś facet o twarzy insekta opuszcza lufę karabinu maszynowego.

– Kapitanie Durand – salutuje po wojskowemu.

– Z jednej strony twoja gorliwość mnie cieszy, Martini. Z drugiej jest jak cierń w dupie. Nie widziałeś, że to ja?

– Był z panem ktoś obcy, kapitanie.

– Ten obcy to ojciec John Daniels z Kongregacji Nauki Wiary.

Nawet w tym nikłym świetle zaskoczenie na twarzy strażnika jest oczywiste.

– Święta Inkwizycja – objaśnia przełożony. – Pamiętasz? Chcesz skończyć na kole tortur? Albo na stosie?

– Nie za bardzo, kapitanie.

– Więc zapamiętaj sobie dobrze twarz tego człowieka, żołnierzu Martini. Pamiętaj, kim jest, gdyby miał się tu kiedykolwiek zjawić. Nie nastrasza go znów niepotrzebnie.

– Na rozkaz, *mon capitaine*.

Przechodząc obok tego człowieka, dostrzegam jego profil i zauważam, że to, co nadawało jego twarzy wygląd insekta, to noktowizor na podczerwień. Nawet karabin maszynowy w jego rękach wygląda w półmroku jak najeżone kolcami odnóża modliszki.

Przechodzimy przez kolisty plac. W czerwonym świetle dostrzegam wnęki, posągi, fragmenty

fresków. Za czarną zasłoną wchodzimy do kolejnego korytarza, mniej ciasnego niż poprzedni. Tu też czerwone światło słabo rozświetla naszą drogę. Tu też ściany są wydrążone. Z małych wnęk patrzą na nas puste oczodoły ludzkich czaszek różnej wielkości: dorosłych, ale i dzieci. Pokryte są kurzem. Tu i ówdzie kości zawinięte są w resztki jakiejś tkaniny. Inne wnęki zasłaniają pajęczyny. Dziwne światło, w którym jesteśmy zanurzeni, przypomina mi ciemnię fotograficzną z czasów przed Wielką Zagładą. Światło z czerwonych lampek, żeby filmy się nie naświetliły, odbitki w kuwecie z wywoływaczem. Rzecz jasna, przed wojną nie wywoływano już prawie wcale zdjęć w ten sposób. Błony fotograficzne stały się niezwykle rzadkie i przestarzałe, jak kasety VHS. Ale niektórzy ich jeszcze używali. Jak ojciec Miny, dziewczynki mieszkającej w domu obok nas. Pamiętam emocje, kiedy biały kartonik zaczynał ciemnieć w kuwecie z wywoływaczem, a na powierzchni zaczynały się wolno pojawiać obrazy. Podobnie czerwone światło tej lampki odkrywa powoli detale szczątków umarłych, którzy spoczywają wszędzie wokół nas.

Pomieszczenie na końcu korytarza, za metalowymi drzwiami, jest jak koniec jakiegoś sennego koszmaru. Ma wymiary cztery metry na cztery. Tu światło jest normalne, choć wątle. Na środku stoi metalowa lada, a za nią regały przy ścianach, też metalowe. Na regałach leżą skrzynki z amunicją, stosy ubrań, dziesiątki par wysokich butów, manierki, noże. A na najniższej półce wystawa najrozmaitszej broni.

Durand wita gestem dłoni mężczyznę za ladą. Ten, z dystynkcjami sierżanta na rękawie munduru, podrywa się i staje na baczność z precyzją godną parady wojskowej.

Jednym z wymogów dla kandydata na strażnika Gwardii Szwajcarskiej był niegdyś wysoki wzrost. Teraz chyba stali się mniej wybredni w sprawie kryteriów zaciągu, bo stojący przede mną facet nie może mieć więcej niż metr sześćdziesiąt. Szeroka twarz, niczym talerz, na którym podano spłaszczony nos, małe oczy, usta złożone w uśmiech kpiarza.

Kapitan zwraca się do niego po niemiecku. To język naszego ostatniego papieża. Uczyłem się go dwa lata. Czasu to tu nam nie brakuje. A nauka jest dobrym sposobem na przeżycie nudy.

– Spocznij, sierżancie. To jest ojciec John Daniels.

– Tak jest.

– To nazwisko, nie rozkaz.

– Piękne nazwisko, panie kapitanie.

– Chciałbym, żebyś wyekwipował ojca Daniela od stóp do głów. We wszystko, co potrzebne jest w trakcie misji.

– Na rozkaz. Jak długa ta misja?

– Cztery tygodnie.

Sierżant otwiera szeroko oczy.

– To żart?

– Nigdy nie byłem bardziej poważny. Trzeba też pomyśleć o jakiejś broni. Miałbyś jeszcze jakiegoś schmeissera dla mnie?

– Są jakieś ostatnie sztuki.

– I po raz trzeci – sprzedane! Dorzuć cztery pudełka naboju dziewięć milimetrów parabellum.

– Cztery pudełka to dużo.

– Cztery tygodnie to też dużo.

– Na zewnątrz jest wiele opuszczonych koszar.

– Nie tam, gdzie idziemy. Wiesz co? Daj pięć pudełek. Potem przyjdą pozostali. A jak stoimy z granatami?

– Mogę wam dać trzydzieści.

– A nie pięćdziesiąt?

Sierżant kręci głową.

– Góra czterdzieści.

– Czterdzieści jest okej. Postaramy się, żeby wystarczyły.

Patrzę zdumiony na karabin maszynowy, który sierżant wyjmuję z jakiejś starej drogowej reklamy Martini i kładzie na blacie. Broń wygląda na nowiutką, naoliwioną, że aż błyszczy i nie ma ani jednego zarysowania. Taki automat widziałem w jakimś starym filmie wojennym, kiedy byłem dzieckiem.

– Proszę tak nie patrzeć – sierżant puszcza do mnie oko. – Ta piękność przespała pod ziemią prawie dziewięćdziesiąt lat. A jednak nie postarzała się ani o jeden dzień, odkąd ją tu pochowano. Prawdziwy wampir.

Słyszałem kiedyś o tym znalezisku – niedaleko katakumb Świętego Kaliksta odkryto dwa podziemne arsenały, w których Wehrmacht ukrył broń i amunicję w zamieszczeniu przed odwrotem w 1944 roku, kiedy oddziały alianckie deptały już po piętach niemieckiemu okupantowi. Broń była zakonserwowana, zatopiona w smarze, w drewnianych, zapieczętowanych skrzynkach. Zachowana w tak doskonałym stanie, ma bezcenną wartość. W tych czasach znalezienie broni w stanie jakiejkolwiek używalności jest jak wygranie losu na loterii. A znalezienie broni, praktycznie rzecz biorąc, nowej – graniczy po prostu z cudem.

Poza uzbrojeniem znalezisko kryło posągi, stare obrazy i inne skarby sztuki, które teraz zdobią ściany Nowego Watykanu i Rady Miejskiej.

Bardziej Rady Miejskiej niż Watykanu, by rzec prawdę. Ciężar cywilnego aparatu administracyjnego coraz bardziej przechyla szalę władzy na swoją stronę w tej codziennej grze o równowagę, która uchodzi tu za politykę. Kardynał Albani słusznie się martwi. To, co dzisiaj określa się brzmącą zupełnie niegroźnie Radą Miejską, nie ma w rzeczywistości nic wspólnego z organem wybieralnym, który niegdyś sprawował władzę w mieście, choć dzisiejsza Rada próbuje mienić się jego spadkobiercą. Obecnie jest to komitet złożony z trzech rodzin – tych, które jako pierwsze wpadły na pomysł wykorzystania sieci chodników w katakumbach. W ciągu sześciu najważniejszych dni po zajęciu lochów, te trzy rodziny walczyły bez pardonu przeciwko masom łachmaniarzy uciekających z płonącego miasta i próbujących znaleźć tu schronienie. Ludzie byli zdesperowani, tak po jednej, jak i po drugiej stronie. Ale ci, którzy bronili podziemi za masywnymi kratami wejścia do katakumb, byli desperatami z bronią. Dziesiątki szkieletów leżą jeszcze na zewnątrz nieopogrzebane, a wiele z nich to szkielety kobiet i dzieci. O kilku ciemnych epizodach tej krótkiej wojny opowiada się jeszcze teraz po cichu, z dala od niedyskretnych uszu. Mówi się, że niektóre korytarze nawiedzane są przez duchy więźniów zakatowanych na śmierć pałkami albo zamurowanych żywcem w chodnikach odległych od zamieszkałych miejsc. „Jeśli przyłożysz ucho do muru w niektórych miejscach – opowiadają matki dzieciom – usłyszysz głosy”.

Kiedy uchodźcy zaczęli błagać, żeby ich wpuszczono, zamiast okładać pięściami kraty, kopać je i pomstować na próżno, obrońcy katakumb zrewidowali, przynajmniej pozornie, swoją politykę dostępu. Ale tylko pozornie.

W opowieściach o tamtych dniach miesza się nierozzerwalnie przerażenie z nadzieją. Oczami wyobraźni widzę kolejki tych nieszczęśników stojące przed uzbrojonymi ludźmi. Selekcjonerzy w maskach gazowych i ciężkich fartuchach ochronnych chodzą wzdłuż kolejki, przypatrują się, wybierają. Od czasu do czasu kładą rękę na ramieniu któregoś desperata, co znaczy, że ten mężczyzna lub ta kobieta, wybraniec, może zejść do katakumb, w bezpieczne miejsce. Wyobrażam sobie intensywność przeżyć w takich chwilach, kiedy wskazana osoba musiała wybrać między pewnością schronienia a swoimi uczuciami. Wyobrażam sobie dziewczynę. Jest bardzo piękna, młoda. Wygląda zdrowo. Człowiek w masce, ze świszczącym oddechem, w grubiański sposób daje jej znak, żeby poszła za trzema uzbrojonymi mężczyznami. Dziewczyna odwraca się w stronę swojej rodziny. Czy jej serce stwardnieje, czy też ulegnie uczuciom? Zejdzie pod ziemię, wybierając życie, czy zostanie na zewnątrz, by umrzeć od zatrutego powietrza?

W tym akcie przyjęcia nie ma żadnej wspaniałomyślności. Zwykła kalkulacja korzyści. Dziewczyna jest piękna. Wpuszczenie jej zredukuje dysproporcję między mężczyznami i kobietami tam, na dole.

Najpierw wybrana przypada trzem szefom tej społeczności. Później kolej na strażników. W końcu, po kilku tygodniach, zostanie oddana do pary kawalerowi, który zapłaci najwięcej. Taki jest ten świat.

Strażnicy wprowadzają wybraną. Zamykają bramę. Piskliwy dźwięk metalowych zawiasów jest jak złośliwy śmiech.

Kiedy dziewczyna zeszła do lochów i zamknęła się za nią brama, trzech uzbrojeni mężczyźni kazali opróżnić kieszenie nieprzyjętym uchodźcom. Bagaże zostały na ziemi. Wewnątrz toreb, walizek na zużytych kółkach i wózków sklepowych było wszystko. Żywność, drogocenne przedmioty, książki ocalone z płomieni. Strażnicy zaprowadzili uciekinierów za budynek. Był tam wykopany dół przykryty folią. Kiedy ją zdjęli, w powietrze wzbiła się chmura much. Zanim więźniowie zdążyli pojąć, co przedstawia ten widok, dał się słyszeć dźwięk odbezpieczanej broni. Ostatni odgłos przed strzałem.

I tak robili przez całe miesiące. Czasami, kiedy grupy były małe, prowadzili ludzi na dół, stwarzając wrażenie, że są w bezpiecznym miejscu, po czym zabijali ich uderzeniami pałek, jak króliki. Czasami, kiedy im się spieszyło, a więźniów było zbyt wielu, grzebali ich żywcem w ten sposób, że powodowali zawał jednego z tuneli.

Przybycie uchodźców z Watykanu postawiło tę technikę selekcji pod znakiem zapytania. O tym pamiętnym dniu opowiedział mi Maksim.

Od dłuższego czasu przed wejściem do katakumb nikt się już nie pojawiał. W oddali, nad zamarzną tundrą, która niegdyś była urodzajnym wiejskim terenem wokół Rzymu, nie unosiła się już żadna chmura pyłu.

Informacje o tym, co robiono uchodźcom, musiały jakoś przecieć. Może ktoś podejrział „selekcję” z ukrycia. Albo ludzie przestali po prostu wychodzić z miasta. Sytuacja w katakumbach stawała się krytyczna. Wszystkie sklepy i domy w okolicy zostały już doszczętnie ograbione. Półki dwóch najbliższych supermarketów były puste, a ekspedycje do dalszych sklepów wróciły z pustymi rękami. Stu piętnastu mieszkańców katakumb Świętego Kaliksta zdanych było na coraz ostrzejsze racjonowanie żywności. Chodziły słuchy, że ktoś przygotowuje plan przeżycia przewidujący spożycie ludzkiego mięsa. Ale plotki na tym nie poprzestawały: szeptano, że w rejonach zamieszkałych przez szefów podawano czasami „dziwne mięso”.

Naturalnie były to tylko plotki.

Naturalnie.

I nagle, jednego dnia, wszystko się zmieniło.

Ludzie z Watykanu przybyli o świcie w kolumnie dwunastu wojskowych ciężarówek prowadzonych przez samochód pancerny z wymalowanym biało-żółtym godłem, którego nikt ze strażników nie był w stanie rozpoznać.

Kolumna zatrzymała się trzydzieści metrów przed wejściem do katakumb. W ciszy słychać było tylko stłumiony warkot silników diesla wypuszczających w mroźne powietrze powolne chmury spalin.

Szyby samochodów były ciemne. W środku nie było nic widać. Ta nieruchoma scena trwała bardzo długo, gdy tymczasem dwaj strażnicy przy bramie robili się coraz bardziej nerwowi. Trzeci pobiegł na dół zawiadomić szefów.

Minęło dziesięć minut. Z końca kolumny wyjechało czarne auto z dwiema chorągiewkami na masce, na których widniał identyczny biało-żółty symbol jak na wieżyczce pojazdu pancernego.

Auto wyglądało imponująco. Wojskowy model Humvee. Brzydki, złowrogi SUV, pasujący bardziej do Schwarzeneggera niż do mężczyzny, który z niego wysiadł, czepiając się kurczowo drzwiczek i zeskakując z zewnętrznego stopnia na ziemię.

Miał na sobie nieskazitelnie biały plastikowy kombinezon przeciwpromienny. Na głowie mały hełm z tego samego tworzywa, z ciemnym wizjerem.

Ze swoją tuszą wyglądał jak człowieczek Bibendum Michelina. Dwóm wygłodniałym strażnikom, którzy przyglądali mu się z niedowierzaniem zza krat, wydał się wręcz magicznym zjawiskiem. Nie

zdziwiliby się bardziej na widok jednorożca.

– Witajcie, dzieci. Co słytać? – zapytał, a jego głos popłynął przez głośnik na dachu SUV-a. – Jestem kardynał kamerling Ferdinando Albani, tymczasowy rektor Stolicy Apostolskiej. Przybywam, żeby odzyskać własność Kościoła.

– Tak? To spróbuj – ryknął ktoś w odpowiedzi.

Alessandro Mori, bo to on krzyczał, był faktycznym dowódcą okupujących katakumby Świętego Kaliksta. Był najstarszy i miał największą liczbę zwolenników, przynajmniej na razie. W drżącej dłoni trzymał pistolet sygnałowy. Broni było jak na lekarstwo: trzy karabiny i garść naboji do każdego stanowiły cały arsenał broni strzeleckiej w podziemiach, jeśli nie liczyć starego pistoletu sygnałowego Very w rękę Moriego.

– Mam nadzieję, że nie będzie to konieczne, proszę pana – odpowiedział głos z megafonu. – Bo Kościół brzydzi się rozlewem krwi.

Gdy wymówił te słowa, z tylnej części jednej z ciężarówek wysiadł jakiś tuzin ludzi w kombinezonach przeciwpromiennych, tym razem nie białych, lecz w barwach ochronnych. W rękach trzymali długą broń o zabójczym wyglądzie: karabiny szturmowe z laserowymi celownikami.

Moriego i jego ludzi obsypały czerwone punkciki, jakby nagle zapadli na jakąś zakaźną chorobę. Każdy z tych punktów oznaczał wymierzony karabin: w czoło, w serce, w ramiona.

– Oczywiście, wybór należy do pana – oświadczył Albani z anielskim spokojem. – Co pan na to, żeby tu podejść i porozmawiać?

W tym momencie mogło się wydarzyć wszystko, i historia naszego małego oblężenia wyglądałaby inaczej. Była to chwila, w której mogło powstać wiele prawdopodobnych światów, zamiast tego, który był rzeczywistością. Niektóre z tych możliwych światów byłyby pewnie lepsze od naszego. Nigdy się tego nie dowiemy. Faktem jest, że Mori wetknął rakiernicę za pas i dał znak swoim ludziom, żeby otworzyli bramę. Ktoś podał mu plastikową płachtę, ale stary odepchnął ją gwałtownie.

Ruszył w stronę kardynała niedbałym krokiem chuligana z przedmieść, którym za młodu rzeczywiście był, nim wraz z synami i wnukami oddał się lukratywnemu handlowi kradzionymi autami i motocyklami na peryferiach metropolii.

Zatrzymał się dwa kroki przed Albanim. Przez ciemną grubą pleksi maski nie mógł dojrzeć oczu kardynała. Gdyby mógł je zobaczyć, dostrzegłby, że nie był on znowu aż taki spokojny. Wymierzone prosto w niego karabiny trzech strażników... Z całą pewnością stanowił łatwy cel.

Kardynał przyjrzał się twarzy starego. Zobaczył na policzku brzydką bliznę po oparzeniu. Palce lewej ręki wydawały się złane w bezkształtną, groteskową pięść.

Albani wyciągnął rękę. Stary jej nie przyjął. Splunął na ziemię.

– Zimno tu na dworze – powiedział kardynał.

– Przyzwyczailem się. Do rzeczy, bez ceregieli.

– Jak pan chce.

– Ty masz kombinezon, ja nie mam nic. Nie boję się umrzeć, ale nie mam czasu do tracenia tu, na zewnątrz. Więc mów, co masz do powiedzenia, i zabierajcie się stąd. To miejsce jest nasze.

Albani pokręcił głową.

– Technicznie rzecz biorąc, jest inaczej. Katakumby Świętego Kaliksta są dla Kościoła miejscem świętym.

– Macie Watykan. Nie wystarczy wam? Za mało miejsca?

– Nawet za dużo. Szczególnie teraz, kiedy to już tylko radioaktywne *open space*. Watykan nie istnieje. To jedynie spalona ziemia.

– Wasz pieprzony interes.

– Spędziliśmy pół roku w podziemiach Zamku Świętego Anioła.

– Mogliście tam zostać. Na pewno są wygodniejsze od naszego domu.

– To, co nazywacie waszym domem, jest własnością Kościoła.

– Już nie.

Albani nie odpowiedział. Patrzył tylko na starego. Mori przesunął dłoń w stronę paska. Na jego twarzy wykwitło natychmiast pięć czerwonych punkcików.

Uśmiechnął się.

– Na dole jest setka uzbrojonych ludzi. Jeśli nie wrócę za pięć minut, wyjdą i was sprzątną.

Albani podniósł rękę. Jego palec wskazujący poruszał się w przeczącym geście jak wahadło metronomu.

– Długo was obserwowaliśmy. Ludzi, którzy wychodzą, żeby... przyjąć uchodźców, jest tylko trzech. Zawsze ci sami. Karabiny też zawsze te same.

Albani wskazał na swoich ludzi, którzy klęczeli na jednym kolanie w pozycji gotowej do strzału.

– Żołnierze Gwardii Szwajcarskiej. Broń maszynowa w ich rękach to karabiny szturmowe M4.

Wszystko, co mogę zobaczyć po waszej stronie, to trzy strzelby i stary pistolet sygnałowy z wyposażenia łodzi. Sądzę, że używaliście go na stadionie, kiedy Roma strzelała gola...

– Lazio – warknął stary. Albani pokiwał głową. Rywalizacja tych dwóch piłkarskich drużyn wydawała się już tak odległa. Futbol był czymś z przeszłości, co miało stać się legendą, jak Atlantyda i cyklopy. To, że ktoś złościł się jako kibic, mogło być na swój sposób wzruszające, gdyby nie fakt, że tym kimś był odrażający starzec morderca.

Cóż, nie pierwszy raz Kościół zniża się do rozmowy ze zbrodniarzem – pomyślał kardynał. – Dla dobra wyższego.

– Przepraszam. Ja też jestem kibicem Lazio – skłamał.

Stary Mori spojrzał na niego nieufnie. Jego oddech, który zmieniał się w małe obłoki pary, zalatywał czosnkiem. Zęby miał w strasznym stanie.

Czerwone punkciki tańczyły na jego twarzy. Chwilami trafiały w oczy, i wtedy stary przymykał powieki z rozdrażnieniem.

Kardynał westchnął i zdjął ochronny hełm. Spoczone włosy przykleiły mu się do skóry głowy. Przeszył go zimny dreszcz na mroźnym powietrzu. Pot od razu zaczął się zamieniać w lód.

– A wracając do poważnych rzeczy... – uśmiechnął się, usiłując zachować przyjazny wyraz twarzy.

– Dysproporcja między naszymi siłami jest oczywista. Moglibyśmy wejść bez trudu pomimo pana sprzeciwu.

– Spróbujcie tylko – rzucił wyzywająco Mori.

W swoim zachowaniu był jak pies, który broni kawałka mięsa przed innym bezpańskim psem.

Zresztą wszyscy staliśmy się nimi po Wielkiej Zagładzie.

Bezpańskimi psami.

– Proszę posłuchać – Albani pokręcił głową. – Dla nas alternatywą nie jest odejść lub zostać. W ten czy inny sposób wejdziemy do katakumb.

– Czemu nie zostaliście w swoim zamku?

– Bo to za blisko epicentrum wybuchu. Promieniowanie jest tam, na dłuższą metę, śmiertelne. A do tego Rzym mimo wszystko jest nadal... jak by to powiedzieć... zbyt zamieszany, żeby się tam czuć bezpiecznie. Wynieśliśmy się poza miasto. Spędziliśmy dwa tygodnie w opuszczonych koszarach. To tam znaleźliśmy ciężarówki i broń. A ten monstrualny humvee był kiedyś własnością producenta filmowego. Robi wrażenie, co?

Kardynał przerwał i spojrzał staremu głęboko w oczy.

– Mówię panu to wszystko, bo jakkolwiek to się nie skończy... – Wskazał na bramę. – Możemy wejść siłą, a wtedy pan i pana chłopaki dołączycie z pewnością do ludzi, których zmasakrowaliście tam, z tyłu, w tym dole. W tym przypadku pańska wiedza o nas nam nie zaszkodzi. Albo nas wpuścicie jak przyjaciele, i wtedy będziecie mieli z nami coś wspólnego. Wybór należy do pana. Osobiście, chociaż

nie żywię do pana żadnej sympatii, wolałbym znaleźć jakieś porozumienie. Zbyt wiele ludzi już zginęło. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze zabijanie.

– Wy, księża, potraficie gadać.

– To jedna z zalet naszej misji. Musimy przekonać ludzi, że istnieje Dobro i pewność lepszego życia po tym tutaj. Jednocześnie, w miarę możliwości, musimy poprawiać życie tu, na ziemi. Nasza owczarnia poniosła już zbyt wiele strat. Musimy uratować jak najwięcej istnień. Nawet tych, które wydają się mniej godne. Nawet z chorego ziarna może wyrosnąć przepiękne drzewo.

– Ty to masz gadane.

Kardynał wybuchnął śmiechem.

– Gadane? Musiałbyś zobaczyć, jakie gadane ma ten sprzęt... – i wskazał kciukiem na żołnierzy za swoimi plecami.

Wesoły i szczery śmiech Albaniego zrobił pewnie na Morim większe wrażenie niż karabiny wycelowane w niego i jego ludzi.

Maksim mi się przygląda.

Jego opowieści o tym dniu są niezwykle cenne. Ja trafiłem do Świętego Kaliksta dopiero kilka miesięcy później, kiedy sytuacja już się unormowała. O ich przybyciu wiedziałem tylko z opowieści Maksima.

– Naturalnie, wpuścili nas. Nie rozwinęli czerwonego dywanu, ale wpuścili, zwłaszcza gdy zobaczyli, co ze sobą przywozimy. Pełne ciężarówki wszelkiego dobra. Oczywiście jako pierwsi zesłi na dół Durand i jego chłopaki. Wyszli po godzinie ze zde gustowanymi minami. Powiedzieli, że na dole jest gorzej, niż się spodziewali. Większość z ponad stu mieszkańców katakumb żyła w ciemności i spała na zimnej, wilgotnej ziemi. Często wręcz bez żadnego przykrycia. Niektóre miejsca nie były wcale wietrzone. Choroby i niedożywienie zagrażały życiu niemal dwóch trzecich mieszkańców Świętego Kaliksta. Tych, którzy żyli w kwaterach „normalnych”. Strefa zastrzeżona dla elity nie była dostępna.

Słucham mojego współlokatora, a jednocześnie na zmianę pakuję i opróżniam plecak, próbując ustalić, co przyda mi się naprawdę, lub raczej co przyda mi się bardziej tam, na zewnątrz. Tymczasem Maksim pracuje nad jednym ze swoich absurdalnych urządzeń. „Stół laboratoryjny” składa się z dwóch chropawych desek spoczywających na koziółkach – to pozostałości po zdemontowanym rusztowaniu. Na deskach leżą w nieładzie jakieś części elektroniczne, radia, wybebeszone telewizory przenośne, stos starych obwodów drukowanych. Maksim wyławia, pozornie na chybił trafił, ten czy inny komponent, przygląda się mu i, w zależności od wyniku tych oględzin, wkłada troskliwie do kartonu albo rzuca na ziemię.

– Co budujesz? – spytałem, wchodząc i przyglądając się dziwnemu wihajstrowi, który przybierał jakiś kształt dzięki magii jego dłoni. Było to coś między radiem a elektroniczną maszyną do pisania. Ciekawe, ile urządzeń oddało swoje części temu małemu Frankensteinowi z metalu i plastiku.

– O, to... zależy... Jeśli nie zadziała, pozostanie tylko marzeniem.

– A jeśli zadziała?

– Pracuję nad tym od lat. Chyba wreszcie zebrałem wszystkie części, żeby skończyć. A czy zadziała, czy nie, to już zupełnie inna sprawa.

– Ale gdyby zadziałało, to co będzie robić?

– Zasadniczo jest to radio.

– To było radio, jeszcze zanim je rozebrałeś. A przecież radia nie działają. Za duże promieniowanie.

– Ale to jest radio specjalne. To radio kwantowe.

– Cokolwiek to znaczy.

– Gdybym miał czas, wyjaśniłbym ci. W zasadzie ja mam czas. A ty?

– Obawiam się, że nie.

– Powiedzmy, że to jest radio emitujące fale, które mogą podróżować w czasie. Plus minus. W

skrócie. Nadaje na światy równoległe. W Cambridge w Anglii była grupa uczonych, którzy już w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku skonstruowali nadajnik kwantowy. Tak przynajmniej głosiła miejska legenda. Problem w tym, że nie mając odbiornika, nie wiedzieli, czy ich wiadomość zostanie przez kogoś odebrana...

– Mieli tylko nadajnik?

– Tak. Nietrudno go skonstruować. Mam ich dużo. Są małe, nie trzeba wiele, żeby je zbudować.

Wiesz co? Weź jeden. Już kiedyś pomyślałem sobie, żeby ci go dać. Możliwe, że zanim wrócisz, zdążę dostroić odbiornik.

Wsunął mi aparacik w dłoń. Rzecz przypominała latarkę z głośniczką i klawiaturą QWERTY o szerokości dziesięciu centymetrów, która przytwierdzona była niezwykle cenną taśmą instalacyjną.

Nie wyglądało to wcale na radio.

Pokręciłem głową z uśmiechem.

– Jesteś kompletnym wariatem, Maksim.

Wzruszenie ramionami. I uśmiech na twarzy pokrytej zmarszczkami niczym suszone jabłko.

– Co ci pozostaje w tym strasznym świecie, jak nie szaleństwo?

– Opowiadaj dalej o tym, jak tu przybyliście – mówię do niego, wracając do dnia dzisiejszego.

– Dowiedziałem się z pewnego źródła, że kapitan Durand prosił kardynała kamerlinga o pozwolenie na zastrzelenie na miejscu Moriego i pozostałych szefów schroniska. „Proszę mi dać wolną rękę, a załatwię to w niespełna dziesięć minut”, błagał. Ale kardynał się nie zgodził. Szkoda.

Przyznaję mu rację.

– No właśnie, szkoda.

Gdyby tak się wtedy stało, dzisiaj to miejsce mogłoby być rajem.

– Z ciężarówek Watykanu wyładowano dziesiątki skrzyń z żywnością i wodą mineralną. Wody na dole nie brakowało. Wykopano ręcznie dwie głębokie studnie. Ale woda z nich miała paskudny smak. Trzeba ją było zagotować przed wypiciem. A drewna na opał było mniej niż wody...

W ślad za żołnierzami – strażnikami Gwardii Szwajcarskiej, jak kazali siebie nazywać – na dół zeszli mężczyźni i kobiety w zniszczonych, ale czystych kombinezonach. Byli zupełnie skonsternowani wonią – smrodem. Lekarzy ogarnęło przerażenie na widok tak zwanego szpitala: dwanaście osób, mężczyzn i kobiet, leżało bezpośrednio na klepisku. Jedna z nich miała na ramieniu bandaż szary od brudu. Ropiejąca rana. Pozostałe leżały bez żadnej opieki medycznej.

To było jak na tym filmie nakręconym przez Anglików w obozie zagłady Bergen-Belsen. Takie same wychudłe ciała. Stan kompletnego zaniedbania. A przecież Mori i jego strażnicy wcale nie byli chudzi. Cieszyli się zdrowiem, jak wszyscy pozostali zamieszkujący „VIP-owskie dzielnice”. Te, które teraz nazywają Radą Miejską.

– Dlaczego nie odjechaliście? Mogliście zawrócić ciężarówki i pojechać na poszukiwanie innego schronu...

Maksim kręci głową.

– Nie wiem. Zdecydował kardynał, ale faktem jest, że żaden z nas nie zaprotestował, kiedy oznajmił, że zostajemy. Może to z wrażenia, że znaleźliśmy tak dużą grupę ocalałych. Nie wiem. Było tak, jakbyśmy wrócili do domu. Nawet jeżeli ten dom był obrzydliwy. Gdyby na to patrzeć jak na małżeństwo, to my byliśmy bogatą i piękną panną młodą, a panem młodym był troll, zupełny golec, który zabierał ją na całe życie do zimnej, mokrej piwnicy.

Uśmiecham się.

– Piwnice nie są dziś takie złe. Za naszych czasów zdecydowanie ich nie docenialiśmy.

– Nie stworzeniście, by żyć jako szczury... – komentuje Maksim.

Dante w *Boskiej Komedii* napisał: „Nie stworzeniście, by żyć jak bydłota”. Ale ta zmiana w wierszu jest bardzo trafna: żyjemy jak szczury, nasi rodzice uznaliby takie życie za niegodne. Żywimy się

plugawym jedzeniem. Myszkuje w opuszczonych domach, łupimy je, świętujemy znalazłszy coś, co przed Wielką Zagładą uważalibyśmy za odpadki. Chowamy się przed okrutnym światłem dnia, uciekając coraz głębiej pod ziemię. Upiornie bladzi. Skażeni. Jesteśmy ponurą karykaturą dawnej ludzkości.

Ale żyć, przeżyć, to znaczy uciec się do głębokich pokładów dumy.

– Ważne, by żyć – odpowiadam.

Maksim kręci głową. Jego gęsta siwa czupryna (którą niewiadomym sposobem utrzymuje zawsze w czystości) faluje jak grzywa lwa. Maksim do złudzenia przypomina polskiego aktora z ubiegłego wieku, Daniela Olbrychskiego.

– Nie zgadzam się – mówi. – Równie ważne jest to, jak się żyje. W sytuacjach nie do zniesienia styl jest wszystkim. Wiem, wiem: nie zgadzasz się. Nie wysilaj się, nie musisz tego powtarzać. Ale ja tak to widzę.

Obcy akcent u Maksima jest ledwo słyszalny. Jego włoski też jest zdecydowanie lepszy od mojego. W swoim poprzednim życiu był profesorem fizyki teoretycznej na Uniwersytecie w Sankt Petersburgu. W dniu, w którym wszystko się zmieniło, był w Rzymie na konferencji organizowanej przez Papieską Akademię Nauk. Rok później został jej członkiem, dziś już ostatnim.

– Prędzej czy później mnie też wyślą z jakąś ekspedycją, i już nie wrócę. Jak wielu innych przede mną. Rada nie ma żadnego poważania dla nauki. Nie mogę im odmówić racji po tym, co zmagistrowaliśmy. Ale w gruncie rzeczy fizyka teoretyczna nigdy nikogo nie zabiła. Znaczący... nie bezpośrednio.

Ja i on dzieliliśmy ten pokój przez prawie dziesięć lat. Znamy się jak stare małżeństwo. Albo jak współwięźniowie. Czy tego chcemy, czy nie, wymiary otoczenia zmuszają nas do intymności.

Albo też doprowadzają do szaleństwa.

Maksim powiesił nad swoją składaną pryczą serię zdjęć. Piękna kobieta, dużo młodsza od niego. Dwie małe dziewczynki o jasnych włosach i błękitnych oczach. To nie są prawdziwe zdjęcia, ale wycinki z jakiegoś starego czasopisma o modzie, z poszarpanymi brzegami.

– Nie mam żadnego zdjęcia Aleksji ani Iriny. Ani mojej żony – wyznał mi pewnego wieczoru, patrząc na te skrawki gazet. – Jedyne, co mi po nich zostało, to wspomnienia. Nie wiem nawet, czy żyją. Przypuszczam, że nie. Prawdopodobieństwo niemal równe zeru. Ale to i tak nie byłoby życie. Nie wiem, czego bardziej im życzyć. Albo nam.

Obok zdjęć wiszą cztery kartki. Most Brookliński. Kreml. Wieża Eiffla. Ermitaż.

Po kilkunastu latach w wilgoci i brudzie zdjęcia są powyginane na brzegach niczym pergamin. Kolory wyblakły. Zastanawiam się, co się stało z tymi miastami. Martwe jak starożytne Teby. Jak świątynie Angkoru. Zły stan tych obrazków jest zapewne niczym w porównaniu z ruiną miast, które przedstawiają.

W ostatnich godzinach przed wyjazdem Maksim mówił mi o tym, co możemy napotkać po drodze. Opisał mi zmiany klimatyczne i inne konsekwencje nowej epoki lodowcowej. Jak cofnęły się morza. Mówił o dziwnych stworzeniach grasujących na zewnątrz w ciemnościach, a nawet w bladym, śmiertelnym świetle słońca. Śmiertelnym dla nas, ale nie dla nich.

Podarował mi całą swoją wiedzę. Wsunął mi do plecaka notes oprawiony w czarną, wytartą skórę, pękaty od poprzyklejanych do stron różnych kartek.

– Co to jest? – spytałem.

– Weź. Przyda ci się. To owoc długiej pracy. Głos wielu osób, których już nie ma. Korzystając z niego, uhonorujesz ich poświęcenie. I moją pracę. Czytaj po trochu naraz.

Kartkując grubego moleskine'a, zobaczyłem dziesiątki rysunków, map, zawitych tabel z przeliczeniami. Niektóre rysunki były dziwne. Nie znajduję innego sposobu na ich określenie. Monstrualne stworzenia. Żywe albo w przekroju, z organami dobrze widocznymi poprzez rozwarte żebra. Organami, na które nie znajdowałem nazwy. Domyślałem się, że w wyobraźni każdego z nas pełno jest tego

rodzaju rzeczy. Pewnego dnia, kiedy siedziałem w bibliotece seminaryjnej, przechodził obok mnie jakiś ksiądz i wymierzył mi policzek. Odwróciłem się wściekły, a on pokazał mi tylko palcem rysunek, który zrobiłem w zeszytach. To była kobieta ze skrzydłami. Pochłonięty nauką, nie zauważyłem nawet, kiedy ją narysowałem. Przypuszczalnie to, co go uraziło, to nie była sama kobieta, całkiem obyczajnie ubrana, ale skrzydła.

Może w taki sam sposób Maksim rysował te potworności na marginesie swoich zapisków o mechanice. Każdy z nas ma swoje ciemne strony.

Wsunąłem notatnik do kieszeni kurtki, nie do plecaka. Jego ciężar na piersi, tam, gdzie jest serce, wbrew wszystkiemu daje mi poczucie bezpieczeństwa. Pozostanie tam przez całą podróż. W tych czasach przyjaźni jest mniej niż wody i ciepła.

W drzwiach Maksim żegna się ze mną, ścisza mnie w ramionach, które kiedyś miały siłę niedźwiedzi, a teraz należą do starca. Potem wypuszcza mnie z objęć ze słowami:

– Tylko uważaj mi tam na górze.

– Będę uważał.

– Chciałbym cię o coś prosić – mówi cicho niezdecydowanym głosem.

– Śmiało.

– Kiedy tam będziesz...

– Tak?

– Fajnie by było, gdybyś znalazł czas na zrobienie paru notatek w tym notesie. A jeszcze lepiej, gdybyś mógł po prostu prowadzić dziennik podróży.

– Dobrze.

– Zobaczysz ciekawe rzeczy. Czasami przerażające, ale ciekawe. W nadchodzących czasach nauka będzie zagrożona, i musimy zrobić wszystko, żeby przetrwała. Dlatego cokolwiek ci się wyda interesujące, cokolwiek szczególnego zobaczysz lub pomyślisz, zapisz to, żeby mogło też być udziałem innych, którzy to przeczytają.

– Zgoda. Tak zrobię. A teraz muszę iść.

Maksim kiwa głową, po czym spogląda mi w oczy.

– Wziąłeś radio?

– Nie lubię muzyki. Rozprasza mnie. A tam, na zewnątrz, nie możesz sobie pozwolić na dekoncentrację.

– Wiesz dobrze, o jakim radiu mówię. Weź je.

– Dobrze.

Maksim drapie się po głowie. Chmura łupieżu opada na ramiona jego laboratoryjnego kitla.

– Zauważyłem, że nie włożyłeś do plecaka Ewangelii. I że odczepiłeś krzyż z bluzy.

– Tam, gdzie idziemy, Ewangelia i krzyż mogłyby się nie spodobać.

– Ale na bluzie jeszcze go widać. Patrz. Po krzyżu zostało ciemniejsze miejsce. Jakby zostawił ślad.

I jest w tobie jeszcze Ewangelia.

– Możliwe.

– Więc nie wiem, czy to wystarczy. Mówią, że niektóre stwory na górze potrafią czytać w myślach.

– W takiej sytuacji spróbuję nie myśleć.

– To świetnie wychodzi żołnierzom. Ale nie jestem pewny, czy ty jesteś do tego zdolny.

– Zobaczymy.

– Właśnie. Zobaczymy. Zatem żegnaj, John.

– Żegnaj jest zbyt dramatyczne. Wolę cześć. Po włosku.

– Zatem *ciao*, John.

– *Ciao*, Maksim.

Zarzucam na ramię plecak. Wychodzę z pokoju, który przez te wszystkie lata był moim domem. Nie

odwracam się za siebie. Nie zostało tam nic mojego. Jest mój przyjaciel, to prawda. Ale przyjaźń nosi się w sercu. Jak tęsknotę i żal. Musisz myśleć, że tak jest, jeśli chcesz przeżyć w tym strasznym nowym świecie. Że uczucia są płomyczkiem pełgającym w twoim sercu. Jeśli się obejrzysz, jeśli będziesz szukał pamięcią ukochanych osób i miejsc, możesz zamienić się w słup soli, jak biblijna żona Lota.

Rozdział 4: Na zewnątrz marsz!

Wchodzę z trudem po schodach prowadzących na zewnątrz.

Plecak ciąży mi na grzbiecie. Szelki wrzynają się w ramiona. A przecież mój bagaż to nic w porównaniu z tym, co niosą żołnierze Gwardii Szwajcarskiej, przytłoczeni olbrzymimi plecakami, nie mówiąc o broni i kamizelkach kuloodpornych. Na głowach mają amerykańskie hełmy z noktowizorami. Mam taki sam przytroczony do plecaka. Poprawiam sobie pasek schmeissera, próbując naśladować pozostałych w sposobie noszenia broni. Nie mam pojęcia, jak się nim posługiwać, ale ufam, że prędzej czy później ktoś mi to powie.

Jakiś biegnący facet potrąca mnie tak, że wpadam na ścianę.

Ciężar plecaka pozbawia mnie równowagi. Wywijam kozła. Spada mi hełm i toczy się pod przeciwną ścianę.

– Przejdźcie!!! – wrzeszczy Karl Bune, mijając mnie z szyderczym chichotem.

To on mnie potrącił. Jest tak obciążony bronią i bagażami, że zajmuje ponad połowę szerokości korytarza. Truchta jak spłoszony koń w stronę wyjścia. Wydaje się wręcz niemożliwe, że może tak biec pod całym tym ciężarem.

Stopuje go kapitan Durand.

– Stój, żołnierzu!

Bune staje na baczność, przechodząc w jednej chwili z beładnego biegu do absolutnego bezruchu.

– Tak jest, panie kapitanie!

– Dokąd ty się wybierasz?

– Tak jest, na zewnątrz, kapitanie!

– Przestań robić z siebie pajaca, żołnierzu Bune.

– Udawałem należyty entuzjazm, panie kapitanie. Z całym szacunkiem, panie kapitanie, ale jestem żołnierzem Gwardii Szwajcarskiej, a nie żadnym pajacem, panie kapitanie. Pajace noszą śmieszne ubranka i mają duże nosy z czerwonej gumy.

Kapitan kręci głową.

– Spocznij, żołnierzu. I już nie biegaj. Wiesz, że jak złamiesz nogę w drodze, będziemy cię musieli zostawić.

– Żeby mnie uratowały miejscowe, panie kapitanie? Żebym się nauczył tańczyć *hula*?

– Raczej żebyś popraktykował sobie gotowanie. Od strony różna. A teraz wynoś się.

Bune salutuje po wojskowemu i rusza do wyjścia.

Durand podaje mi rękę i pomaga wstać.

– Wszystko w porządku, ojczu? Nic się nie stało?

Prostuję się. Otrzepuję z kurzu.

– Ranny nie jestem. Nie licząc dumy.

– Mówią, że te rany są najgorsze. Jadł coś ojciec?

– Nie byłem zbyt głodny.

„A teraz, kiedy poczułem twoją woń, wcale już nie jestem”, chciałoby się dodać. Ubranie Duranda uwalnia obrzydliwy fetor. Taki sam poczułem, kiedy przebiegł obok Bune.

– Proszę coś zjeść, ojczu Daniels. Czeka nas krótki spacer dzisiejszej nocy. Później ojciec przywyknie, ale pierwsze kilometry będą ciężkie, trzeba to wiedzieć. A jak ojciec radzi sobie z plecakiem?

– Lepiej niż myślałem.

– Dobrze. Oczywiście, gdyby był kłopot, rozdzielimy ojca bagaż między żołnierzy.

– Myślę, że dam radę. Naprawdę.

W pokoju długo jeszcze stałem przed otwartą szafą, zanim zrezygnowałem z butelki whiskey podarowanej przez kardynała. W końcu dałem ją Maksimowi, któremu odjęło mowę na ten widok.

I dobrze. Przy upadku mogłaby się zbić. W każdym razie, była zbyt delikatnym przedmiotem, żeby ją obnosić pośród tych wszystkich niebezpieczeństw zewnętrznego świata.

Dotykam kieszeni kurtki i odczuwam ulgę, rozpoznając pod palcami kształt czarnego notesu Maksima. W gruncie rzeczy butelka była dobrym sposobem na zrewanżowanie się za ten prezent.

– Wszystko w porządku? – pyta Durand. Wszyscy pozostali, którzy stoją za jego plecami, gotowi są już do otwarcia olbrzymich pancernych drzwi, szczelnie izolujących schron od zewnętrznego, spustoszonego świata. – Maska działa?

– Jestem gotowy – odpowiadam głosem zniekształconym przez maskę przeciwigazową. Chociaż w rzeczywistości wcale nie jestem o tym przekonany.

– Proszę pamiętać o kontrolowaniu dozymetru.

Patrzę na urządzenie. Nie jest to jeden z tych rękodzielniczych wihajstrów, które każdy z nas trzyma w swoim pokoju. To aparat z czasów przed Wielką Zagładą. Plastik panelu kontrolnego jest tak starty, że niemal przezroczysty, ale dozymetr i tak pozostaje bezcennym skarbem.

– Kiedy wskazówka wejdzie na czerwone pole, proszę zawracać najszybciej, jak się tylko da. Jasne?

Potakuję.

Świat zewnętrzny jest miejscami tak napromieniowany, że ani kombinezon, ani maska już cię nie chronią. Dozymetr jest tam twoją najważniejszą bronią. Twoim jedynym orężem w walce z niewidzialnym, śmiertelnym wrogiem.

Durand uśmiecha się.

– No to w drogę.

Patrzę na zegarek. Ósma.

Dwóch ludzi – kapral Diop i szeregowiec Bitka – stoi obok pierwszych drzwi. Na znak dowódcy zaczynają otwierać pancerne wrota. Przyciągnięto je tutaj z podziemi pobliskiego banku. Wyrwanie ich i przeniesienie do katakumb trwało trzy miesiące. Ekipy wyruszające wtedy na kolejne zmiany tej niezwykle niebezpiecznej pracy na otwartym powietrzu przywodziły mi na myśl stare litografie ilustrujące transport i stawianie obelisku na placu Świętego Piotra. Całe sznury ludzi wyglądających jak mrówki. Cofnęliśmy się o czterysta lat.

Bitka i Diop kręcą olbrzymim metalowym kołowrotem pod czujnym okiem czterech posługaczy z Rady Miejskiej. Drzwi Fichet-Bauche otwierają się wolno, milimetr po milimetrze, obracając się na olbrzymich zawiasach. Dwaj Włosi, których imion wciąż nie mogę zapamiętać, celują z broni w to, co może pojawić się za drzwiami. Ich oczom ukazuje się jednak tylko ciemność nocy. Latarki – rzadki i bezcenny przedmiot – oświetlają od czasu do czasu schody prowadzące do bramy. Kiedyś były tu kamery, a jeszcze wcześniej strażnicy, ale po założeniu pancernych drzwi Rada Miejska postanowiła nie marnotrawić energii elektrycznej i części zamiennych na monitoring. Nikt nie chciał też trzymać straży na zewnątrz. Zbyt niebezpiecznie.

Serce wali mi jak młot, kiedy wchodzę po schodach. Spodziewam się wszystkiego. Każdy następny krok może być ostatnim. Za naszymi plecami ludzie z Miasta zamykają drzwi, niczym grabarze zasypujący powoli grób. Idziemy wciąż w górę. W nerwowych snopach światła rzucanych na lewo i prawo przez trzech żołnierzy zwiadu skrzą się zasypane śnieżne, podobnie migoce lód na prętach bramy. Nasze kroki rozbrzmiewają głucho w tej ciszy, zapadając się w pokrywie śnieżnej z odgłosem rozdzieranego papieru. Docieramy bez problemów do bramy. Naśladując pozostałych, wkładam rakiety śnieżne, które leżą w szalasiu obok nieczynnej budki wartowniczej.

Gdy przygotowujemy się, żeby wyjść poza strefę bezpieczeństwa, patrzę w noc i mam wrażenie, że noc też na mnie patrzy. To spojrzenie przejmuje dreszczem. Dookoła nas wyje lodowaty wiatr, pod jego

naporem zginamy się wespół, jak pod ogromnym ciężarem. Za murem, choć ich nie widać, znajdują się doły pełne trupów, niewinnych ofiar polityki Rady Miejskiej.

Mówią, że nocą, spod zwałów ziemi przykrytych śniegiem, dochodzą głosy pełne skargi. Tej nocy słyhać jedynie wyjący wiatr, ale i ten dźwięk jest wystarczająco ponury.

Durand klepie mnie w ramię. Daje znak, żeby ruszać.

Bitka otwiera bramę, a kapral Diop kieruje swoją broń to na lewo, to na prawo. To nie jest schmeisser, tylko coś zdecydowanie bardziej nowoczesnego, z mocną latarką przyczepioną do lufy.

Durand przysuwa głowę do mojego zmarzniętego ucha.

– Nie pójdziemy zbyt długo pieszo. Tylko parę kilometrów. Proszę się trzymać zawsze w środku grupy i nie wyziębiam się. Dobrze? Maski jest w porządku?

Mogę tylko potaknąć.

Bitka otwiera bramę. Pokazuje, żeby wychodzić, obserwując jednocześnie jak tylko może ciemności poza zasięgiem latarek.

Opuszczamy pospiesznie ogrodzoną strefę bezpieczeństwa. Wenzel i Bune zamykają tyły.

Dziwnie jest poruszać się na otwartej przestrzeni. Żyję od tak dawna pod ziemią, że chyba doznałbym szoku pod rozgwieżdżonym niebem. Ale gwieździste niebo należy już do przeszłości.

Pokrywa chmur, z której spada lepki śnieg, jest jak niskie sklepienie grobowca. Czasami myślę sobie, że Ziemia stała się olbrzymim grobem, mogiłą dla całej ludzkości, i że my, nieliczni ocaleni, jesteśmy jedynie niewygodnymi anomaliami statystycznymi, żalowaną resztą z działania matematycznego, które powiodło się niemal perfekcyjnie.

Nie ma sensu używać noktowizorów w tej śnieżnej zawiei.

Biegniemy przyczajeni, jakbyśmy poruszali się w jakimś niskim tunelu. I naprawdę tak jest: to tunel z ciemności i mrozu, w którym każdy krok może okazać się ostatnim. Tyle krąży historii o tym, co dzieje się na zewnątrz. Kiedy tego słuchasz, siedząc bezpiecznie w czterech ścianach, chce ci się tylko śmiać albo wręcz zakpić z opowiadającego. Ale tutaj to zupełnie inna para kaloszy. Tu, na zewnątrz, jesteś sam, ty i ciemność. Ty i śmierć.

Idziemy po czymś, co niegdyś było drogą. Wysokie zasy śnieżne pojawiające się tu i ówdzie wokół nas to pogrzebane i uwięzione w lodzie samochody. Aż strach bierze na myśl, że w wielu z nich siedzą jeszcze trupy. Widziałem je na własne oczy, kiedy biegłem tą drogą w przeciwną stronę, uciekając ze zniszczonego, śmiertelnie ugodzonego miasta.

Wtedy samochody było jeszcze widać. Blaszane karoserie były mizernym albo żadnym schronieniem przed zabójczym promieniowaniem. Za szybami tych aut siedzieli mężczyźni i kobiety, ale też wiele dzieci. W mercedesach slk i w rzęchach imigrantów załadowanych walizami.

I ludźmi.

Pamiętam obrzmiałą, zieloną twarz mężczyzny, z policzkiem rozpląszczonym na szybie jak przyssawka. Wyglądał, jakby zmienił się w monstrualne morskie stworzenie.

Pamiętam polityka w czarnej opancerzonej lancii. Siedział niczym mumia faraona.

Mam ciągle przed oczami młodą kobietę, która w drgawkach agonii wbiła sobie paznokcie w oczy. A paznokcie po śmierci nadal przecież rosną, w tym przypadku jak jakaś przerażająca roślina.

Ale najstraszniejsze były dzieci. Wyglądały jak zabawki rzucone na kanapę. Długie, jeszcze miękkie włosy przykrywały trupi grymas. Dzieci przytulone do pluszaka albo do matki, jakby walczyły w objęciach śmierci. Minęły zaledwie dwa tygodnie od Dnia Wielkiej Zagłady. Tak nazywa go Kościół, by uniknąć najbardziej rozpowszechnionej definicji Dnia Sądu Ostatecznego.

Jakiś desperat, który wraz ze mną uciekał ze zniszczonego miasta, otworzył drzwi jednego z aut, skuszony, jak przypuszczam, lśnieniem biżuterii pasażerki. Jej szyja tak nabrzmiała w wyniku rozkładu, że szmaragdowy naszyjnik wyglądał jak garota. Mężczyzna, któremu też nie zostało wiele dni, sądząc po tym, jak kasłał i spluwał, otworzył drzwi drapieżnym ruchem i wyciągnął rękę ku szyi kobiety.

I wtedy padł z wrzaskiem na ziemię.

Smród wydobywający się z samochodu był straszny, zapierał dech w piersi.

Mężczyzna próbował odczołgać się od auta, ale martwe ciało, pozbawione podparcia, zsunęło się wprost na niego. Gość krzychał, próbując wydostać się spod tych koszmarnych zwłok, które rozlewały się na nim jak worek z galareta. Scena niczym z filmowego horroru.

Przebiegłem obok, nie zatrzymując się. Po chwili przestał wrzeszczeć, przyszedł do siebie. Ale smród zgniłego ciała na długo pozostał mi w nozdrzach.

Taki sam smród czuję teraz, choć nie może pochodzić od tego, co jest wokóło.

To smród żołnierzy kroczących obok mnie.

Nie może dobiegać z aut.

Samochodów pogrzebanych pod śniegiem jest bardzo dużo.

Idziemy przez olbrzymi cmentarz.

Wydaje mi się, że maszerujemy tak już dwie godziny, ale zegar pokazuje, że minęło niecałe trzydzieści minut.

Drogi na przedmieściach są zakorkowane. Bardzo wielu ludzi próbowało uciec w te pierwsze dni. Miejscami natykamy się na pozostałości po karambolach: auta wbite jedno w drugie wyglądają jak elementy jakiejś koszarnej układanki. Śnieg, niczym całun, miłosiernie przykrywa zwłoki. W świetle latarek wyłaniają się sporadycznie jakieś koszarne szczegóły. Porywy wiatru, niczym olbrzymia dłoń, rzucają nas chwilami w bok albo przygniatają do ziemi. Śnieg lodowacieje na futrzanych brzegach kurtki z kapturem, kłuje odkrytą skórę twarzy i oczy.

Niemal zderzam się z pierwszym murem. To jakiś wiejski budynek z cegieł.

Faceci wokół mnie przystają.

Czyjaś dłoń niespodziewanie klepie mnie w ramię – podrywam się z miejsca.

Durand pokazuje ręką w stronę śnieżnego muru przed nami.

Przekrzykuje świst wiatru.

Stuka mnie palcem w pierś.

– Proszę kontrolować dozometr. Czy ojciec to robi?

– Nie.

– Proszę pokazać.

Podnosi plastikowy krążek zawieszony przy lewej kieszonce mojej kurtki.

– Bez obaw – mówi w końcu. – Wszystko w normie. Proszę pamiętać: co pięć minut.

– Mam nadzieję, że wiecie, dokąd idziemy.

– Proszę się nie obawiać. To tam, przed nami. Już niedaleko.

Kiwam głową.

Durand jakby się wahał, jakby chciał coś dodać. Jest zakłopotany.

– Chciałem ojca prosić...

– Tak?

– Mógłby się ojciec pomodlić? Wprawdzie żaden z nas nie jest dobrym chrześcijaninem, ale wszyscy myślimy, że modlitwa nie może zaszkodzić.

Przyglądam się mu.

Kiwam głową.

– Dobrze.

Rozkładam ramiona. Zamykam oczy. Kłujący śnieg topnieje mi na twarzy, spływając po policzkach niczym łzy.

– Panie, Ojczy wszechmogący, powierzamy nasze życie Twemu miłosierdziu. Zawieramy się Twojej opiece, szykując się na wejście do tej cienistej doliny śmierci. Nie odmawiaj nam Swojego błogosławieństwa i wlej w nas siłę Twego potężnego ramienia. Błagamy Cię o to w imię Ojca i Syna, i

Ducha Świętego.

– Amen – rozległo się wokół mrukliwie. Ale pierwszą rzeczą, jaką widzę po otwarciu oczu, jest ironiczna, drwiąca twarz Karla Bunego.

– Piękne słowa, ojczu. Naprawdę piękne. Przyznaję, że złapałem się za jaja, gdy usłyszałem te słowa o dolinie śmierci, ale ogólnie to była naprawdę niezła mowa.

– Dobrze – wzdycha Durand, kręcąc głową. – Ruszajmy dalej. Dziękuję, ojczu.

– Nie ma za co.

– A ty, Bune, zachowaj dla siebie swoje recenzje. I tak nikogo nie interesują.

Kapitan bierze swój automat.

– Idziemy.

Poruszamy się teraz przy samym murze, ciemnym od dymu.

– Dokąd się kierujemy? – pytam.

– Zażyć trochę sportu – szydzi Bune, wybuchając śmiechem.

I oddala się na prawo, a jego latarka oświetla kolejne auto. Kolejny grobowiec.

Wkrótce znika w śnieżnej zawierusze. Diop bez słowa zajmuje miejsce Bunego po mojej prawej stronie. Jego paradne nakrycie głowy z przepasek wygląda jak turban Tuaregów.

Wcale nie czuję się spokojny wśród tych facetów, bo nie wiem, czy mogę im ufać. Nie uspokaja mnie ich brawura w podejściu do nieznanego. Sama myśl o maszerowaniu na zewnątrz, wystawianiu się na zabójcze promieniowanie i niebezpieczeństwa nocy przysporzyłaby koszmarów każdej normalnej osobie. A ci żołnierze, ci najemnicy – bo przecież tym właśnie są, najemnikami – poruszają się na wolnym powietrzu ze spokojem, który ma w sobie coś z absurdu.

Pomimo zapewnień kapitana Duranda, maszerujemy jeszcze długo, poruszając się w ciemnościach jak robaczki świętojańskie. Idziemy przez zniszczoną ziemię, obcy pejzaż, w którym sam odgłos naszych kroków napawa lękiem. Idziemy tak pół godziny, każdy za swoją strużką światła, ufając, że pierwszy w tym sznurze wie, co robić i dokąd iść. W pewnym momencie, kiedy wydaje mi się, że zrobiliśmy już z pięć mil, albo po prostu zatoczyliśmy koło, wraca do mnie Bune, rozglądając się z czujnością.

– Czy ojciec słyszał? – pyta po niemiecku.

Odpowiadam mu odruchowo.

– Aaa, więc mówi ksiądz moim językiem!

Podobnie jak sześcioma innymi, mógłbym mu odpowiedzieć. Ograniczam się do skinienia głową.

– Wróciłem, żeby ksiądz ostrzec.

– Ostrzec mnie? Przed czym?

– Przed niebezpieczeństwem.

– Jakim niebezpieczeństwem?

– Upadku.

Patrzę na niego skonsternowany. On uśmiecha się do mnie szeroko i, nim się spostrzegam, łapie mnie za szelki plecaka i rzuca mną daleko.

Szykuję się na zetknięcie z ziemią, a tu nic – lecę w próżnię.

Macham ramionami dla zachowania równowagi, ale wszystko na nic. Lecę w dół, a spadaniu nie ma końca.

Spadam w nicość.

Dziura!

Głęboka!

Łąduję z głuchym odgłosem upadku w puszystym śniegu. Zapadam się jakiś metr. Czuję w ustach śnieg o metalicznym smaku.

Spalone żelazo.

Próbuję stanąć na nogi, pogrążony w zupełnych ciemnościach. Kompletnie ślepy. Kiedy tak się

dźwigam, moje dłonie wyczuwają na dnie dziury coś na kształt kuli i jakieś podłużne przedmioty, które połamaly się pod moim ciężarem. Podnoszę kulę z ziemi, macam ją palcami. Przez rękawiczki wyczuwam gładką powierzchnię z dwoma otworami. „Kula do kręgli”, podpowiadają mi wspomnienia z dzieciństwa. Ale kiedy zdejmuję jedną rękawiczkę i dotykam jej konturów, przez plecy przebiega mi dreszcz.

To nie kulę trzymam w dłoniach.

Tylko ludzką czaszkę.

Rozpoznaję oczodoły, nierówną powierzchnię zębów.

Upuszczam ją. Moja ręka trafia na inne przedmioty, długie jak kij, ale to muszą być kości.

Czołgam się do tyłu, dopóki moje plecy nie trafiają na coś stałego. Mur. Gładki. Wspieram się na nim i wstaję na nogi.

Od samego początku słyszę jedynie swój ciężki oddech w masce i szum krwi w uszach.

Po jakimś czasie łowię inny dźwięk.

Cichy, tak cichy, że zrazu wydaje mi się złudzeniem.

Ale po chwili dociera do mnie, że to nie złudzenie.

Że w ciemności znajduje się przede mną coś, co wydaje przerażający głos: to warczące zwierzę. Zwierzę, które szczyrzy zęby. Duże zwierzę.

Coraz bliżej.

Patrzę w górę.

Nic.

Śnieg osiada mi na twarzy. Kłuje w oczy. W ciemnościach nawet go nie widzę.

Zwierzę jest o kilka kroków przede mną. Przystaje. Czuję, jak mnie bada.

Próbuję wstrzymać oddech. Nie wykonywać żadnego ruchu.

Jakiś szmer po prawej stronie.

Jakiś hałas w dole po lewej stronie, odgłos rozdarcia.

Coś dotyka mi nogi.

To nie jest jedno zwierzę. Jest ich więcej. Oparty plecami o mur czuję się otoczony.

Nie odpuszczają.

Nagle z góry spada ostrze światła. I jeszcze jedno.

Oświetlają mnie, ranią mi oczy.

Ukazuje mi się scena mrożąca krew w żyłach.

Trzy przerażające stwory uciekają przed światłem, które pada z góry. Zakrywają sobie oczy i potykają się o wysokie zasyпы śniegu. Promienie światła biegną za nimi, uderzają w nie.

– Łap! – krzyczy jakiś głos. Rzucają mi coś, co pojawia się przez ułamek sekundy w moim polu widzenia, po czym znika z metalicznym błyskiem w śniegu u moich stóp.

Schylam się i podnoszę. To nóż z ostrzem długim na przynajmniej dwadzieścia centymetrów. Ostry, zabójczy.

– Użyj go, dupku! – wrzeszczy inny głos.

Światło latarek znika, monstra mogą w każdym momencie zaatakować. Po chwili wahania rzeczywiście wracają i znów mnie otaczają.

– Włóż okulary! – słyszę znajomy głos.

Zrazu nie pojmuję. Później dotykam noktowizora na hełmie. Opuszczam go.

Moje okulary nie są tak nowoczesne, jak wizjery pozostałych. Są mocno porysowane i starsze o przynajmniej dwie generacje od okularów Bunego i kapitana Duranda. Ale spełniają swoją funkcję, i to natychmiast, bo światła przygasają, a wielka dziura, jaką jest moja pułapka, pogrąża się w mroku.

Trzy świetlne postacie krążą wokół mnie niczym ektoplazma w zielonej mgłę będącej noktowizyjnym obrazem ciemności. Teraz przerażają jeszcze bardziej. Żywe trupy, jak z filmów.

Poruszają się powoli, ale miewają gwałtowne podrygi, jak zwierzęta, choć nie mogą nimi być. To bez wątpienia ludzkie istoty, jakkolwiek przerażająco zmutowane. Smród zepsutego mięsa dociera nawet przez maskę.

Żadna z nich nie jest uzbrojona. Poruszają się z dużą ostrożnością. Boją się mnie. Mojego noża. W jakiś sposób wiedzą, że jestem uzbrojony. Kręcą się wokoło, przyglądając mi się badawczo. Widzą w ciemności.

Jeden z nich, jakby czytał w moich myślach, skacze do przodu, próbując mnie zaskoczyć. Jego dłoń – jego szpon – trafia mnie w ramię. Nagłe ukłucie piekącego bólu. Czuję na sobie inne dłonie, obmacują mnie, biją. Reaguję instynktownie. Nóż skacze do przodu, przeszywa jakieś ciało, ramię. Krew rozkwita jak plamy światła na wycofującym się cieniu. Próbuję zadać kolejny cios. I jeszcze jeden. Ruszam do przodu, przeszywam powietrze ostrzem dwa razy, później znów trafiam w coś żywego. Jedna z trzech sylwetek pada na ziemię, zwijając się jak gmatwanina węży. Coś rozdrapuje mi szyję poprzez ubranie. Uderzam z góry ponad ramieniem. Warknięcie i odgłos padającego ciała. Teraz ja jestem myśliwym. Ostatni potwór trzymający się jeszcze na nogach wycofuje się tyłem, drobnymi podskokami. Nie pojmując, co robię, brnę przez śnieg niezdarnie jak niedźwiedź, biegnę za stworem i powalam go pchnięciem na ziemię. Wbijam mu nóż w plecy, trzy razy, przerażony dzikim krzykiem, dopóki nie dociera do mnie, że ten zwierzęcy wrzask wydobywa się z moich ust.

Odwracam się gotowy znów uderzyć. Jeden ze stworów się rusza, tarza się po ziemi. Wymierzam mu kopnięcie w głowę. Jeszcze jedno. Słyszę, jak coś pęka, i zwierz nieruchomieje.

Ściskając nóż w prawej ręce, pochylam się zdyszany. Oddycham ciężko w masce, wizjer pokrywa się parą. Obraz się rozmywa. Zrywam noktowizor, i dobrze, bo nagle ostre snopy światła padają z góry i oświetlają dno dziury. Patrzą w górę. W wirującym śniegu widzę światło sześciu mocnych latarek. Wszystko wydaje mi się zaczarowane, jak w dzieciństwie, kiedy budzisz się z koszmaru i zaczynasz powoli rozpoznawać to, co cię przestraszyło.

Trzy ciemne ciała leżą w nienaturalnych pozycjach. Krew różowi śnieg, który zaczyna przypominać lody truskawkowe. Jeden się jeszcze rusza. Porusza nogą, później ręką. Przychodzi do siebie.

Z góry pada strzał i głowa potwora eksploduje. Dwie, trzy postacie zeskakują na dno.

– No już, księżulku. Wychodź.

Bune wyciąga do mnie rękę.

– Zdałeś egzamin, księżu. No chyba nie chcesz tu zostać z tymi ropnymi worami, co?

Patrzą zmieszany na trzy ciała. Twarze obrzękłe od wrzodów i ran. Paznokcie u rąk długie i ostre jak szpony zwierzęcia.

– Co... Co to jest? – bełkoce.

Bune wzrusza ramionami.

– Oni nie są jak te... no... zombie z filmów. Ci są żywi. Mieszkają tu w gruzach. Rabusie. Są napromieniowani, że aż im dupami wyłazi. Spójrz na te twarze. Chociaż ci tutaj to jeszcze świeżaki. Musiałbyś zobaczyć naprawdę zgniłych. Ci to dopiero wyglądają jak żywe trupy.

Ciągnie mnie za ramię i popycha w kierunku metalowej drabinki wiszącej dwa metry nad ziemią, na ścianie z niebieskich, paskudnie brudnych płytek. Bez najmniejszego trudu, a przynajmniej tak to wygląda, podnosi mnie jak piórko, aż udaje mi się wdrapać na drabinkę. Cztery ramionami pomagają mi się podciągnąć, aż do krawędzi otworu.

Odwracam się.

Na dole Bune skierował się ku przeciwnej ścianie. Prycha niczym koń i bierze rozbieg. Jego nogi pracują jak tłoki, depcząc zbity śnieg. Półtora metra od ściany oddaje skok i jest już na pierwszym szczeblu drabinki. Wspina się po niej zręcznie jak małpa, staje przede mną na szeroko rozstawionych nogach i stroi do mnie głupią minę.

– Bitka! – wrzeszczy. – Sprawdź tylko, czy ojciec nie narobił w spodnie.

Radiowiec podśmiechuje się kpiąco, ale ani drgnie.

Bune podaje mi mój noktowizor. Później mnie policzkuje.

– Wiesz, co są warte te okulary, księżulku?

– To jest basen – wrzeszczę. – Co robiły te monstra na dnie basenu? I dlaczego mnie tam zrzuciłeś?

– To ja mu kazałem – odpowiada za Bunego kapitan Durand, stając przede mną w swobodnej pozycji, w której jednak jest coś z cichej groźby. Ręce ma skrzyżowane za sobą, jakby w ogóle nie obawiał się mojej reakcji.

– Dlaczego?

– Wszyscy przez to przechodziliśmy. Proszę to uznać za obrzęd inicjacyjny. Musieliśmy wiedzieć, czy w razie potrzeby potrafi ojciec posłużyć się bronią. A przede wszystkim chcieliśmy wiedzieć, czy gotów jest ojciec odebrać komuś życie w obronie własnego. Albo też życia kompanów.

– Obrzęd? Czyj obrzęd? Wasz? Tak zwanej Gwardii Szwajcarskiej?

– W pewnym sensie. My to nazywamy *Trier*. Proszę mnie nie pytać dlaczego. W każdym razie dobrze sobie ojciec poradził, prawda?

– Było ich trzech. A gdyby mnie zabili?

– To by ojca zjedli. A czyje są te kości na dnie basenu, jak ojciec myśli?

– Chce pan powiedzieć, że trzymacie zmutowanych ludożerców na dnie basenu, żeby szkolić swoich ludzi?

– Nie trzymamy ich cały czas. Tylko kiedy potrzebujemy. Nie jest łatwo ich znaleźć. No i trzeba ich przygotować. Wydzielać po trochu jedzenie, drażnić. Potrzeba tygodnia na przygotowanie dobrego *Triera*. Zwykle robimy to z jednym zombie. W tym przypadku musieliśmy trochę improwizować. Bune uważał, że właściwym przeciwnikiem dla kogoś dobrze wyszkolonego mogą być trzy niewytrenowane zombie. Coś mi się zdaje, że niezupełnie tak jest, ale próba się udała. Pozostajemy przyjaciółmi?

Odpycham szorstko wyciągniętą dłoń.

– Gówno, a nie przyjaciółmi.

– Gówno... – pokpiwa Bune. – Popatrz, popatrz...

– Cicho, Bune – nakazuje kapitan.

Ten natychmiast się uspokaja.

– Opatrz księdza. Ramię i szyję. Zdezynfekuj i zaklej.

I wskazując na mnie zwraca, się do pozostałych:

– Ojciec Daniels zdał egzamin. Teraz już wiemy, że może być częścią ekipy, na równych zasadach.

Wiemy, że jest gotów walczyć, i że robi to najlepiej, jak potrafi. Pogratulujcie mu i przywitajcie w drużynie.

Podchodzi do mnie każdy z nich z osobna: Bitka, Diop, Karl...

Ściskają mi dłoń, wypowiadają jakieś słowo albo rzucają coś dowcipnego, jak Bitka.

Ostatni staje przede mną Bune. Patrzy mi w oczy z tym swoim półuśmiechem wypisanym na twarzy. Później wyciąga rękę: – Bez urazy, księżu?

Stoję chwilę bez słowa.

Po chwili odwzajemniam uścisk.

– Bez urazy.

Pomiędzy nami z upiornym wyciem hula wiatr.

Igła dozymetru niebezpiecznie zbliża się do czerwonego pola. Gdyby ten instrument wydawał jakiś dźwięk, pewnie byłoby to wycie skarżącego się wiatru, który próbuje z nas zerwać ubrania wraz z ciałem.

Rozdział 5: Przybywają potwory

W milczeniu ruszamy znów w drogę, a zawieja śnieżna z minuty na minutę gęstnieje. Mam wrażenie, że w drużynie zaszła jakaś ważna zmiana. Rozmawiając, mniej ścisząją głos, tak jakby wcześniej mieli coś do ukrycia. Jakbym już nie był obcym.

Przyspieszam kroku, żeby dogonić Duranda idącego na czele.

– Kapitanie!

– Słucham.

– Jakie niespodzianki mnie jeszcze czekają w drodze do Wenecji?

Durand odpowiada, nie odwracając się. Maski i wycie wiatru zniekształcają jego głos.

– Z naszej strony żadne. Ale nie wykluczam, że będą. Ojciec pewnie zdążył się już zorientować, że na zewnątrz zbyt bezpiecznie nie jest.

– Nawet bez waszego udziału, chce pan powiedzieć?

Durand kręci głową.

– Poradził sobie ojciec, tak?

– Z pewnością nie dzięki wam.

Oficer nic na to nie odpowiada. Idzie ze wzrokiem wbitym w ciemności przed sobą.

– Pozwoliłby mnie pan zabić? – pytam.

– Nie.

– Tam przy basenie powiedział pan, że tak.

– Tak powiedziałem.

Po tej dwuznacznej odpowiedzi maszerujemy dalej w milczeniu. Otaczające nas ciemności są deprymujące.

– Bune przewrócił mnie dzisiaj już drugi raz. Za pierwszym razem to też był pana pomysł, kapitanie?

– Nie, akurat to Karl zrobił sam. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Mogłem zginąć na dnie tego basenu.

– Mógł ojciec, ale tak się nie stało. Jak mawiał ten święty? „Co mnie nie zabije, to mnie wzmocni”...

– Napisał to Friedrich Nietzsche. Nie żaden święty Kościoła.

– Coś takiego! Nietzsche? Ile to człowiek może się nauczyć przy was, księżach.

Durand uśmiecha się i przyspiesza. Po kilku minutach rezygnuję z prób dotrzymania mu kroku.

Tymczasem zrównuje się ze mną Bune.

– Nadal wściekły? Myślałem, że przebaczenie dla was, księży, to coś jak obowiązek – drwi sobie ze mnie.

– Przebaczenie zakłada skruchę.

– Ależ ja jestem pełen skruchy, wasza świętobliwość. Szczerej skruchy.

– Pewnie. Jasne.

– Gdyby sprawy przybrały zły obrót, wkroczylibyśmy do akcji.

– Tak, słyszałem. Ale mogę cię zapewnić, że dla mnie to już przybrało zły obrót.

– E tam, tych parę zadrapań! Widziałem je. Blizny wyjdą znakomicie. I będą świetnym tematem do rozmów z kobietami.

– Bune, robisz sobie ze mnie jaja?

– Proszę do mnie mówić Karl, ojczu. A czy ja mogę się do ojca zwracać Jack?

– Nie.

– A dlaczego?

– Bo mam na imię John. John, a nie Jack. John Daniels, a nie Jack Daniels. Jack Daniels to whiskey.

– W porządku. Jak sobie ojciec życzy. Czyli przestrzega ojciec ślubu tego... no... jak to się nazywa?

– Zależy o jaki ślub ci chodzi.

– No o ten, co nie pozwala chodzić z kobietami. To o ten się ojciec obraził, nie?

– To się nazywa ślub czystości.

– Ale ojciec...?

– Tak. Ja tak.

– Żartowałem. Wiem, co to ślub czystości. Kiedyś też ślubowałem. Teraz na pewno jest dużo łatwiej go dochować. Kobiet w okolicy mało, a te nieliczne nie są zbyt sexy. I śmierdzą.

– Wszyscy śmierdzimy, Bune.

– Karl.

– Karl, niech będzie. Jak chcesz. Karl.

– Od kobiety oczekujesz gracji, wytworności. A nie, żeby śmierdziała zmokłym psem albo zepsutym serem. To na dole, nie wiem, czy ojciec rozumie...

– Rozumieć rozumiem. Tylko nie uśmiecha mi się rozmawiać z tobą na pewne tematy.

– Dobra. Ej, widziałeś tam?

– Gdzie?

– Czeka tu. Stań za tym autem.

Pokazuje mi stożkową zaspę. Zastanawiam się, jakie auto kryje się pod tą ciężką białą kołdrą. Może jeden z tych małych elektrycznych samochodów, które zaczęły się pojawiać na europejskich drogach, i które może nawet wyparłyby stare, gdyby z nieba nie spadł młot Wielkiej Zagłady.

Biegnę ukryć się za tą osłoną. A Bune przywiera do ziemi i kieruje automat w ciemność. Noktowizor nie pokazuje śladów jakiegokolwiek aktywności. Nie rozumiem, co on mógł zobaczyć. Próbuję wstać, ale ten, nie odwracając się nawet, daje mi znak, żebym siedział na miejscu i się nie ruszał. Jakby miał oczy z tyłu głowy.

Pozostaję w bezruchu.

Mija minuta. Dwie.

Wtedy dostrzegam to, co zaniepokoiło Bunego. Sznur sześciu istot wyglądających jak ludzie, ale przebranych w białe szmatki, niczym upiory. Idą ostrożnie, krok za krokiem, powoli jak ospałe zwierzęta, jak leniwce, wodząc za czymś dookoła oczami. Jakby oczy były latarkami zdolnymi do rozpraszania ciemności. Wydają się nieuzbrojeni, ale ich masywne postaci wzbudzają poczucie autentycznego zagrożenia.

Bune zniknął mi z oczu. Jakby się zlał ze śniegiem. Nie widzę też pozostałych. Gdzie się ukryli?

I wtedy, tak jakbym powiedział to głośno, a nie pomyślał, zdradzając w ten sposób swoją pozycję, jeden z upiorów podnosi głowę i zwraca ją w moją stronę. Kilka razy wciąga intensywnie powietrze przez nos. Nie ma maski. Ma ludzką sylwetkę, ale w oczach jest jakaś nienormalna uporczywość. Jak u trupa.

Biała postać posuwa się o krok w stronę mojej kryjówki, co mrozi mi krew w żyłach.

Kolejny krok.

Czuję jego zapach.

Nawet przez filtr maski.

To nie jest smród zepsutego mięsa tych żywych trupów z dna basenu.

To przyjemny zapach...

Przychodzi mi do głowy jedno słowo.

Wonność.

Od dawna go nie używałem.

Wielka Zagłada zabiła wonności.

Nawet żywność już nie pachnie, kiedy gotujesz ją na cuchnącym piecyku naftowym albo

podgrzewasz na zardzewiałym grillu brudnym od tłuszczu i dymu niezliczonych poprzednich posiłków.

Woń bijąca od człowieka w bieli jest przyjemna.

To zapach kwiatów. Aż nachodzi chęć, żeby wychylić głowę z ukrycia i nacieszyć się nim bardziej.

Nagle coś ciągnie mnie w tył. Błyskawicznym bezszelestnym gestem jakaś dłoń zatyka mi usta, nie pozwalając krzyknąć.

Leżę na ziemi. Nie mogę ruszyć ani jednym mięśniem.

Śnieg jest lodowaty, ma metaliczny zapach, który zagłusza przyjemną woń anielskiej istoty, istoty...

Ręka odsłania mi usta. Odwraca mnie jak piórko.

Bune wygląda na rozbawionego. Ale nawet uśmiech wygląda ponuro na tej twarzy.

– Mówię ci, księże, masz więcej szczęścia niż rozumu. Ledwo się wywinąłeś mięśniowi! Mógłbyś o tym opowiadać wnukom, gdyby twój Kościół pozwolił ci je mieć...

– Co to było? Co to jest mięsień?

Odwracam się i spostrzegam z przerażeniem, że stwór nadal tam jest, kilka metrów od nas. Jak gdyby nigdy nic Bune wstaje, podaje mi rękę, a kiedy ją chwytam, szarpie mnie w górę, jakby wrywał korzeń.

– Mięsień to jest to – mówi głośno, wskazując palcem białego stwora. – Sześć kwintali mięsa bez oczu i uszu, ale z doskonałym nosem.

Rusza w kierunku stwora. Ten wydaje się go nie zauważać i wraca do swoich towarzyszy, oddalających się w przeciwną stronę.

– Dziwne stwory. Widzisz?

Bune wskazuje na ich pysk – bo inaczej nie można tego nazwać. Rysy nietoperza: płaski nos o rozdętych nozdrzach. Puste, ślepe oczy robią straszne wrażenie.

Z ciemności wyłaniają się dwaj inni żołnierze.

To niewiarygodne, ale stwory ich też nie zauważają i poruszają się w jednym rytmie: sześć nóg stawia krok w lewo, sześć nóg stawia krok w prawo... Jakby byli jedną istotą podzieloną na sześć ciał.

Nie zważając zupełnie na kręcących się wokół nich gwardzistów, stwory kontynuują swój marsz w tak precyzyjnym rytmie, że masz wrażenie, jakby chodzili od zarania dziejów i mogli tak jeszcze przez całe wieki bez zatrzymywania się.

– Czym oni są? – pytam szeptem.

Bune nawet nie ścisza głosu.

– To organy zmysłu. Czyje? Nie wiemy. Wiemy tylko, że te potwory łążą tak i wachają powietrze, nie przejmując się promieniowaniem i zagrożeniami. Jest ich zawsze sześć, i mogłoby się wydawać, że to wciąż te same stwory, ale nie. Widzieliśmy raz z dachu budynku trzy grupy patrolujące teren niewiele większy niż boisko piłkarskie. Tak właśnie sądzimy – że robią obchody. Wyprawy poszukiwawcze.

– Czego szukają?

Bune już ma się podrapać w głowę pod kapturem. Ale daje spokój. Sprawić sobie najdrobniejsze zadrapanie nie jest najlepszym pomysłem nawet w schronie. A co dopiero na zewnątrz.

Stwór wyprzedza nas, poruszając rytmicznie rękami i nogami, jak maszyna, po czym znika w ciemności.

Durand spada na Bunego niczym sokół na królika.

– Bune, ty idioto!

– Ejże, kapitanie! Dlaczego pan tak na mnie wrzeszczy? Co takiego zrobiłem?

– Ty jesteś odpowiedzialny za księdza!

– To nie moja wina, że ten skurwiel mięsień namierzył właśnie jego!

Pochyliła się nad moimi plecami. Obwąchuje mnie.

– Ten sobie odpuścił pryskanko! Kapitanie, nie spryskał się! Musieli go wywęszyć.

Durand kręci głową.

– Gdyby go dorwali, już by nie żył.

I sam wacha mój mundur, po czym mówi do Bunego z gestem zniecierpliwienia: – Zajmij moje miejsce na czele kolumny. Ja się zajmę ojcem Danielsem.

Bune oddała się, przeklinając przez zaciśnięte zęby.

– Trochę za dużo emocji jak na jeden dzień, co? – mówi kapitan.

– Raczej.

– Nazywamy ich mięśniami.

– Wiem.

– Mięśnie, bo są chyba częścią jednego organizmu. Jakby ręce i nogi ludzkiego ciała, oddzielnie, ale zdolne do skoordynowanego działania.

– Więc to nie są ludzkie istoty?

– Niezupełnie. Nie w zwykłym znaczeniu. To dziwne stworzenia, ale w gruncie rzeczy wydają się niemal normalne przy tych wszystkich innych... rzeczach... które tu się kręcą.

– Co one robią? Są niebezpieczne?

Twarz kapitana wykrzywia grymas.

– A jak ojciec sądzi? Przecież mięśnie to myśliwi. Używają dziwnego zapachu do hipnotyzowania swoich ofiar. Jak wytwarzają te wonności i co robią ze zdobyczą, tego nie wiemy, ale wątpię, żeby chwyтали ludzi w jakimś sympatycznym celu.

– Wydają się tacy słabi...

– Ich siła tkwi w liczebności. W tej chwili może być w okolicy jakieś dziesięć, dwanaście zespołów, o ile to dobre słowo. Sądzę, że w rzeczywistości są formą złożonego organizmu. Proszę sobie wyobrazić krąg: na zewnątrz jest tych sześć mięśni. A wewnątrz... wewnątrz jest chyba mózg. Ale nigdy nie podeszliśmy wystarczająco blisko, żeby to sprawdzić.

Białe sylwetki wtopiły się w śnieżną zawieruchę. Zniknęły. Jakby ich nigdy nie było.

– Bune mówił o jakimś pryskaniu.

Durand potakuje.

– Tak, pryskanko. Zawsze to robimy przed wyjściem na zewnątrz. Pewnie nie uszedł uwadze ojca nasz zapach...

– Trudno, żeby uszedł.

– Wcieramy w ubrania pewne... rzeczy...

– Typu?

– Typu... No, proszę bardzo, tego typu...

Otwiera jedną z kieszeni swojego plecaka i wyciąga chusteczkę całą w żółtych plamach. Zawinięty w nią jest brązowy szklany flakonik, który kiedyś zawierał może jakieś lekarstwo. Durand odkręca korek, upuszcza kroplę czegoś czarnego na swoją rękawicę. Z uśmiechem zbliża rękę do mojego nosa.

Efekt jest natychmiastowy, piorunujący, pomimo filtrów maski. Upadłbym, gdyby nie przytrzymały mnie ręce Duranda.

– Boże wszechmogący! Co to za smród?

Durand zamyka fiolkę.

– A jak ojciec myśli! To sok z trupa. Tak nazywają go ci, którzy wychodzą na powierzchnię i za każdym razem muszą go użyć. Sok z trupa, zupa z trupa, pryskanko, trupi kwas... W praktyce, koncentrat płynów z rozkładu ciała. Pracował nad tym ten rosyjski profesor, który dzieli z ojcem mieszkanie.

– Maksim?

– Tak. Miewa genialne pomysły. Sok z trupa służy do zmylenia mięśni, żeby nas nie wywęszyły. Wydałem rozkaz, żeby ojca... przygotowano... przed wyjściem. Ale najwyraźniej ktoś nie posłuchał.

– Kto?

– Za pozwoleniem, to moja sprawa. Sam się tym zajmę. Może ojciec być pewny, że winny za to

zapłaci.

– Ale jeżeli nie zostałem... przygotowany, to jakim cudem mnie nie wyczyły?

Durand wzrusza ramionami.

– Myślę, że uratowała ojca walka z *Revenants*.

– Z kim?

– Z tymi z basenu. *Revenants*, zombie, proszę wybierać. Oni nie są martwi, a przynajmniej nie w powszechnym znaczeniu tego słowa, ale są niewątpliwie w rozkładzie. Ich smród musiał gdzieś ojcu zostać. Nie aż tyle, żeby sprostać bliskiej konfrontacji, ale na tę odległość zadziałało. Miał ojciec niebawale szczęście. Straciłem już trzech ludzi przez tych... przez te stwory...

Z porywem mroźnego wiatru dociera do naszych uszu jakiś metaliczny odgłos skrobania.

– Proszę za mną – mówi kapitan.

Skrećamy za róg. Pozostali członkowie ekipy ustawili się w bezpiecznej odległości od jakiegoś sklepu. Szeregowy Bitka i kapral Diop podnoszą zardzewiałą roletę, na której wielkimi czerwonymi literami ktoś koślawo napisał: NIEBEZPIECZEŃSTWO. NIE ZBLIŻAĆ SIĘ.

– Do środka, szybko – popędza Durand i popycha mnie mocno w stronę ciemnej śmierdzącej pleśnią sieni. Zupełnie nie przejmuję się ostrzeżeniem. Pozostali przebiegają obok mnie z gracją tabunu nosorożców, ścinając mnie nieomalże z nóg. Kiedy wszyscy są już w środku, Bitka i Diop spuszczaają na powrót roletę.

Wizjery szybko przystosowują się do słabego światła przeciskającego się przez szczeliny w rolocie. Lokal zawałony jest skrzyniami i innymi przedmiotami o nieregularnych kształtach, które trudno rozpoznać.

Rozdział 6: Smoki Edenu

– W porządku, chłopaki – odzywa się kapitan. – Wszyscy są? Doskonale. Zdejmijcie okulary, szybko.

Posłusznie wykonuję polecenie.

Jakiś dziwny hałas, coś jak pomruk olbrzymiego zwierzęcia. I syknięcie gdzieś w górze.

Sześć z dziesięciu długich lamp neonowych zawieszonych u sufitu zapala się, kiedy Bune uruchamia generator prądu.

Dawno już nie czułem zapachu benzyny. To przyjemny zapach, tak przyjemny jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem i wciągałem w nozdrza gryzącą woń paliwa, jakby to były perfumy. Tak samo lubiłem zapach kleju modelarskiego. Kiedyś uważano, że ropa naftowa zabija ludzkość. A teraz, dwadzieścia lat później, benzyna jest cenniejsza od złota, to koniec świata... hm, ten akurat nastąpił, ale benzyna nie miała z tym nic wspólnego.

Oddycham hałaśliwie. Pozostali uśmiechają się.

– Pyszne, co? – prześmiewa się Bune. – Znacznie lepsze niż Wypociny Trupa.

Jeszcze jeden termin z żargonu tej drużyny do mojego słownika, myślę sobie. Chciałbym zrewanżować się uśmiechem. Ale zdumienie wobec tego, co mnie otacza, nie daje mi zamknąć ust.

Pokój jest czysty. Ani śladu kurzu. A szare płótna skrywały jakiś tuzin nowiusieńkich skuterów śnieżnych. W miarę jak gwardziści je odkrywają, ukazują się ich kształty. I kolory. Boże wszechmogący, jakie są piękne...

„Ognista czerwień, elektryczny błękit, szmaragdowa zieleni...”

Nazwy tych kolorów przychodzą mi od razu na myśl, przenoszą do czasów, kiedy świat był nie tylko szary i czarny, ale miał piękne światła, i barwy, i dźwięki...

Podchodzę do jednej z maszyn. Muskam palcami krągłości zbiornika i przez grube rękawice odbieram wrażenie czegoś gładkiego, doskonałego...

To Graal z mitycznej, utraconej epoki, kiedy takie pojazdy królowały na Ziemi. Już ich nie ma. Nie ma nawet zwierząt, które mogłyby nas wozić wierzchem. Żadnych koni, osłów czy mułów. A przynajmniej nie tutaj. Nie w świecie, w którym koty, żeby nie wspomnieć o psach, uważane są za cud.

Pożarliśmy wszystkie stworzenia, jakie uznaliśmy za jadalne.

W tym człowieka.

W różnym stopniu wszyscy jesteśmy ludożercami. I nie trzeba być potworem, żeby żywić się bliźnimi. W uprawach hydroponicznych w podziemiach Świętego Kaliksta ciało i kości zmarłych używa się jako nawozu. A świece ozdabiające nasze podziemne ołtarze, oświetlające nasze biurka... z czego są zrobione, jak myślicie? Z wosku pszczelego? Pszczół już nie ma. Kiedyś ktoś powiedział, że świat zginie, że wydarzy się jakaś katastrofa, kiedy wyginą pszczoły. Nie ma zapylania, nie ma owoców. „Biada nam, jeżeli pszczoły wyginą!” Cóż, zadziało na odwrót: katastrofa zgładziła pszczoły. A Era Postępu zmieniła się w nowe średniowiecze.

Oczywiście nie wiemy, jak rzeczy mają się gdzie indziej.

Byłoby wielką ironią losu, gdyby ciemności zstąpiły tylko na ten kraj, a wkoło życie toczyło się nadal normalnie. Maksim potrząsnął głową, kiedy podzieliłem się z nim tą wątpliwością.

„Obawiam się, że tak jest wszędzie – powiedział. – Cały świat musiał się tak spierdolić. Najpierw bomby, a później to, co kiedyś nazywali zimą nuklearną.

Może za tysiąc albo za milion lat jakiś insekt – choćby karaluch, jedyne zwierzę, jakie nam zostało do towarzystwa – wyewoluuje w formę podobną do pszczoły. Jakieś głęboko ukryte ziarno wykiełkuje. Nasza planeta znów pokryje się zielenią, wróćą kolory i światło, i bzyczenie owadów, i ćwierkanie ptaszków...”

Ale póki co, świat śpi snem głębokim jak śmierć, a po Ziemi chodzą stworzenia rodem z koszmaru. „Ale nas już nie będzie”, zakończył przyjaciel, wznosząc pusty kieliszek w ironicznym toastie za nasz gatunek.

Odrywam rękę od błyszczącego metalu pokrytego tak nieskazitelnym lakierem, jakby to był nowy sprzęt.

Na boku pojazdu lśni napis YAMAHA.

– Umie ojciec prowadzić takie coś? – pyta Durand i odsłania kolejny skuter, czarny, wydęty jak skarabeusz.

– Tak. Tam, gdzie mieszkałem w dzieciństwie, mieliśmy syberyjskie zimy. Dawno już nie jeździłem skuterem, ale chyba nie będę miał problemów, żeby...

– Szczerą prawdą. Mówią, że jazda na rowerze jest jak seks – komentuje Bune za moimi plecami, zdejmując plandekę z czerwonego skutera, takiego jak ten przede mną. – Chociaż to, oczywiście, nie jest rower, a ksiądz – co równie oczywiste – nie wie, jak to jest z uprawianiem seksu.

– Wynoś się, Bune – nakazuje Durand.

– Proszę o błogosławieństwo, kapitanie, bo prawdę rzekłem – podśmiewa się ciągle żołnierz, odchodząc w stronę warsztatu, wokół którego zgromadzili się wszyscy uczestnicy wyprawy z wyjątkiem kaprała Rossiego. Mały Włoch stoi przy drzwiach ze wzrokiem utkwionym w roletę, jakby się bał, że mu zaraz ucieknie.

Durand uśmiecha się.

– Całe szczęście, że umie ojciec jeździć skuterem. Na lekcje jazdy nie mamy już czasu.

– Najważniejsze, żeby Bune nie dawał mi więcej lekcji na temat seksu. Przyznaję, że mocno mnie tym drażni.

Durand pociera sobie dłonią szorstki policzek poplamiony sadzą. Śnieg może i nawet wydaje się biały, ale wcale nie jest. Popioły z przedmiotów i ludzi strawionych przez atomową pożogę Wielkiej Zagłady wciąż podróżują w czasie i raz po raz osiadają na nas, zimne i niepokojące jak pieszczoła nieznajomego.

– Proszę nie osądzać Bunego zbyt surowo, ojcie. Za każdym człowiekiem stoi jakaś historia. A historia Bunego jest straszna. W dzień FUBAR... Wielkiej Zagłady, czy też w Dzień Sądu, albo jak tam sobie ojciec to nazwie... W ten dzień Karl stracił całą rodzinę. Żonę i dwie córki. Pracował w Ostii, na jednym z wykopalisk archeologicznych w rejonie portu...

– Jak to?

– Nie jako robotnik przecież. Karl Bune był poważanym badaczem greckich epigrafów. Jednym z najbardziej utalentowanych w swojej dziedzinie.

– Ostia to rzymskie miasto, nie greckie.

Durand kręci głową.

– Bune opowiedział mi o tym, jak różnorodnym miastem był Rzym, zamieszkiwany przez wiele ras i mniejszości, z których każda posługiwała się własnym językiem w mowie i w piśmie. Jedynym wspólnym był grecki.

Przyglądam się żołnierzowi, jak śmieje się i żartuje ze swoimi towarzyszami broni, chwilami wręcz prostacko: poklepywanie po tyłkach, strojenie głupich min...

Trudno go sobie wyobrazić w roli archeologa.

– Bune opowiadał mi, że w podziemiach ruin jakiegoś budynku w Ostii, który musiał być przez jakiś czas wykorzystywany jako więzienie, znaleziono liczne napisy greckie wyrte na jednej ze ścian, przypuszczalnie zaostrzoną skorupką z naczynia. Nikt ich nie zauważył, dopóki pewien fotograf, który miał zilustrować przewodnik historyczny po Ostii, nie użył oświetlenia pośredniego. Odkryło ono napisy na ścianie celi, które później w pełni ukazała obróbka środkami chemicznymi.

– Co to były za napisy?

– Bune powiedział mi tylko, że były straszne. Że jak tylko je przeczytał, poczuł instynktowną potrzebę ucieczki, gdzie pieprz rośnie. Uciec i zostawić za sobą wszystko. Wychodził właśnie z krytego okopu wykopalisk, kiedy ziemia zaczęła drżeć i trząść się. Jeden raz, drugi, trzeci, w miarę jak kolejne pociski spadały na stolicę. Bunego rzuciło na ziemię, a strop okopu zwałił się na niego. Szczęśliwie nie stracił przytomności i udało mu się wygrzebać spod zwałów ziemi i tufu...

Kiedy profesor Bune wyszedł z okopu, zobaczył czarne niebo, upstrzone krwawą czerwienią. Na wschodzie zapaliło się wielkie światło, po którym wystąpiło przerażające dudnienie i gwałtowny podmuch powietrza, jak oddech smoka. Tak właśnie to opisuje. Pozostał w podziemiach trzy dni, bo zrozumiał, co zaszło. Telefon komórkowy nie działał. Podobnie satelitarny telefon kierownika wykopalisk, który nie potrafił pojąć, co się stało. Choć Bune starał się, jak mógł, żeby mu to wyjaśnić, samo pojęcie wojny nuklearnej było czymś tak przerażającym, że większość z nich nie chciała o tym nawet myśleć. Tłumaczyli to sobie na tysiące różnych sposobów, byle tylko uniknąć konfrontacji z rzeczywistością. Dlatego Bune ocalał – podczas gdy inni postanowili spróbować szczęścia, opuścili antyczną Ostię i usiłowali dostać się do centrum Rzymu w próżnej nadziei, że w sercu miasta jest większa szansa na ratunek, on został na miejscu, zamknięty w swoim bólu i w swoich lękach. Wszyscy pozostali odeszli, zostawiając mu jakieś zapasy, których nawet nie tknął. Wrócił na dół, zwinął się w kłębek i w tej embrionalnej pozycji przespał całe trzy dni, gdy na powierzchni płonęły lasy piniowe, a gryzący, tłusty dym przykrywał ziemię, zatruwając wszystko. Kiedy się przebudził, podszedł do ściany celi i zaczął przepisywać litera po literze wszystkie wyryte tam napisy. Ponieważ nie miał nic do pisania, a chciał mieć pewność, że nie utraci ani jednego słowa, wytatuował je na własnym ciele przy użyciu noża i atramentu z zepsutego pióra. Potrzebował na to kolejne trzy dni – gdy skończył, całe jego ciało, oprócz twarzy, jak daleko mógł sięgnąć ręką, pokryte było greckimi literami. Wtedy, nagi i krwawiący, w dreszczach gorączki, wyszedł na powierzchnię i ruszył do Rzymu. W tym stanie znalazło go dwu innych ocalałych, którzy dali mu pić, nakarmili i zabrali ze sobą zadziwieni alfabetem wyrytym na jego skórze. Poprosił ich o przepisanie wszystkiego na papier. Pokazał im palcem pierwsze zdania. Zgodzili się. Kiedy skończyli, odeszli, zostawiając go w gorączce w opuszczonym domu. Pozostał tam przez trzy dni i trzy noce, bez picia i jedzenia. Potem wstał i poszedł jak w transie w stronę Rzymu.

– Znaleźliśmy go z krwawiącymi nogami, z ciałem pokrytym cienkimi bliznami w kształcie greckich liter... Wciągnęliśmy go do drużyny. I w ten sposób Bune z archeologa stał się żołnierzem. Proszę go nie lekceważyć. To dzielny żołnierz i zaufany przyjaciel. I ma umysł najwyższej próby. Cała reszta to poza, zgrywa. Taki sposób na ułożenie się z rzeczywistością. Proszę nie dać się zwieść.

– Nie widzę Bunego jako archeologa – wyduszam w końcu z siebie.

Durand kręci głową.

– A jako duchownego ojciec go widzi? Karl Bune był księdzem. Jak ojciec. Pozory czasami myślą. Mówi o tym nawet wasza Ewangelia, czyż nie? „Widzimy jakby w zwierciadle, niejasno...”

– Myślałem, że to również pańska Ewangelia. Co było napisane na tym murze? Co było napisane na skórze Bunego?

Kapitan nie odpowiada. Patrzy na mnie, uśmiecha się.

– Proszę zaufać Bogu. Ale proszę też pamiętać o kontrolowaniu dozymetru od czasu do czasu.

Po czym odwraca się, wciąż z tym samym uśmiechem na ustach, i rusza ku skuterowi.

Żołnierze wracają z warsztatu ze skrzynkami narzędziowymi i plastikowymi kanistrami pełnymi zielonego płynu o ostrym zapachu. Otwierają baki skuterów i leją do pełna. Jeden skuter śnieżny przypada na dwóch ludzi. Pierwszy ma prowadzić, a drugi trzymać broń gotową do strzału. Rycerz z giermkim.

Za skuterem Duranda przytraczą małą przyczepkę, na której mocują metalową, niezbyt dużą, ale chyba ciężką skrzynię. Na boku są jakieś napisy. Poprzez rozcięcie w przykrywającej ją folii widzę ich fragment. Cyfry, skróty. Musieli ją wziąć stąd, bo przecież nikt nie dałby rady przynieść jej z Nowego

Watykanu.

Klepięcie w ramięomal mnie nie przewraca. Odwracam się gwałtownie.

Zbyt gwałtownie.

Yegor Bitka cofa się instynktownie.

– Ejże, jestem tylko ojca numerem dwa...

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć.

– Nie wystraszyłem się. Gdzie mogę to położyć?

Pokazuje mi wielki worek.

– To moje radio – wyjaśnia. – W gruncie rzeczy zbędny ciężar, bo nawet stąd nie damy rady połączyć się z bazą.

– Więc po co je zabierasz?

– Bo Durand mnie zastrzeli, jeśli się zgubi albo zniszczy.

– Jasne. Myślę, że możesz włożyć je tutaj – mówię i pokazuję mu boczny uchwyt, który, jak sądzę, wytrzyma.

– Muszę mieć wolne ręce. To prawda, że te maszyny są szybkie, ale tam, na zewnątrz, niektóre stwory biegają szybciej od skutera śnieżnego...

– Więc nie pierwszy raz ich używacie?

– Nie.

– Wyglądają jak nowe.

– Bo używaliśmy innych. Są na zewnątrz, sam złom. Używamy nowych w każdej misji.

– Co to za misje?

– O, to i owo... Proszę pokazać ten uchwyt. Dobra. Pasuje.

– Skoro już musimy się trzymać tak blisko, możesz mi mówić na ty.

– Okej, ojcie. Tylko proszę tego nie brać za podryw.

Puszcza do mnie oko, jak mały chłopiec. Na tej pooranej zmarszczkami i starymi bliznami twarzy wygląda to wręcz jak magiczne zjawisko.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Chwila uwagi, panowie – wszystkie oczy kierują się na kapitana Duranda. – Za pięć minut wyjeżdżamy. Jedziecie za pierwszym skuterem, pamiętajcie, że musimy dotrzeć do stacji Aurelia przed świtem, a wcześniej robimy postój w metrze, na EUR. Oba punkty są już ustawione w nawigacjach skuterów. Pamiętajcie, że jeśli się zgubicie, będziecie musieli wrócić do bazy. Nie próbujcie, powtarzam, nie próbujcie nas odnaleźć. Nie mamy czasu do stracenia. Nie możemy zatrzymywać się dla nikogo. Czy to jasne?

Odpowiada mu seria niesynchronicznych i dalekich od entuzjazmu głosów:

– Jasne.

– Chwileczkę – mówię. – Nikt mi nie wspominał o tej stacji Aurelia. Co to ma być? Gdzie to jest?

– Dowie się ojciec przed świtem.

Metro rzymskie było (jakżeby inaczej) pierwszy schronem dla ludności, kiedy radioaktywność zaczęła domagać się swojego śmiertelnego myta. Domyślałam się, choć może nigdy się tego nie dowiemy, że to samo stało się w innych częściach świata. Tyle że metro rzymskie, w odróżnieniu od innych – moskiewskiego czy londyńskiego – sięga dość płytko pod ziemię. Daje więc marne schronienie. I było pierwszym etapem w długim marszu do ocalenia, który dla tysięcy osób zmienił się w marsz ku śmierci.

Nie wiemy, ilu ludzi żyje w tych podziemnych korytarzach. Znamy zaledwie kilka stacji nieopodal Nowego Watykanu. Nigdy nie uznali naszej władzy. Jeżeli nas szanują, to tylko dzięki naszej militarnej sile i famie, jaka krąży o naszym okrucieństwie. Ale pewnie z dużą radością wykorzystaliby moment słabości, żeby nam skoczyć do gardeł.

Trzy stacje linii A – Agnanina, Cinecittá i Subaugusta – tworzą kruchą, stale kurczącą się wspólnotę.

Taki przynajmniej obraz wyłania się z raportów watykańskiej *intelligence*, jedynej być może na świecie działającej służby kontrwywiadowczej. Podejście Rady Miejskiej do tych siedlisk jest o wiele bardziej prozaiczne – czysto militarne, ograniczające się do zainteresowania możliwością aneksji. Pewnego dnia Rodziny uznają, że gra jest warta świeczki, i to będzie koniec niepodległości dla wszystkich trzech stacji. Same w sobie nie są wcale interesujące, ale linia A prowadzi wprost do centrum Rzymu, przez dzielnice bogate w sklepy i składy materiałów. Kontrola nad nią mogłaby się okazać strategiczną, gdyby Rada postanowiła rozszerzyć swoją strefę wpływów.

Ale stacja, na której zrobimy pierwszy postój, nie należy do tych trzech, które znam. Ku mojemu zaskoczeniu Durand pokazuje mi na mapie stację linii B.

EUR Fermi.

– Dlaczego robimy postój akurat tu?

Patrzy na mnie. Uśmiecha się.

– Tego też dowie się ojciec przed świtem.

Bune i Diop podnoszą zardzewiałą roletę, próbując zrobić jak najmniej hałasu. Ich skuter stoi na środku pomieszczenia z odpalonym silnikiem. Ryk czterech pojazdów między ścianami tego garażu jest ogłuszający. Reflektory są wyłączone. Poza prostokątem światła rzucanym przez lampę w pomieszczeniu panują kompletne ciemności.

Diop i Bune rzucają się do swojego skutera. Zapalają się cztery potężne światła. Silniki warczą na maksymalnych obrotach.

Pierwszy, rzecz jasna, rusza Durand. Nie mogę dojrzeć, kto siedzi za nim. Potem odjeżdża Diop, wyprzedzając z prawej strony mój skuter. Bune, w objęciach czarnego, wydaje z siebie dziki okrzyk kowboja, wymachując kaskiem niczym teksańskim stetsonem.

Czuję klepięcie w bok. Ruszam, dodając gazu.

Skuter niemal ucieka mi spod ud, rwie do przodu, obdarzony czymś na kształt własnej woli. Zupełnie jakbym dosiadał zwierzę. Mijam bramę i wio, w ciemność. Motorowe sanie pędzą z zawrotną szybkością, sypiąc na boki śniegiem. Odzyskuję równowagę i wyrównuję tor jazdy.

Pozostałe skutery – dwa z przodu, jeden z tyłu – zapalają światła. Szukam po omacku właściwych przycisków i włączam swoje reflektory. Ciemność przesywa tunel światła, a po obu stronach uciekają do tyłu pokryte śniegiem auta, mury, bezkształtne zwały złomu, które mijam z radosnym sercem. To niesłychane – poczuć znów prędkość, coś, co utraciliśmy, kiedy świat się zawalił. Fantastyczne uczucie. Jakbym leciał ponad śniegiem z potężnym światłem reflektora przed sobą, które tnie ciemności niczym ostrze. Świst powietrza opływającego kask i warkot silnika to najczystsza muzyka. Ten hałas i to światło są wyzwaniem rzuconym Złu, które nas otacza, i które chciałoby nas dopaść: długie cienie, szybkie cienie, straszne rzeczy czające się w każdej dziurze, która kiedyś była oknem lub drzwiami. Pędzimy tak przez noc, mając wszystko gdzieś, nieprzejednani, wzbijając tumany śnieżnego puchu skrzącego się w świetle. Ciemność, smród naszych schronisk, strach przytłaczający nasze podziemne nory – wszystko to w jednej chwili znika od tego kopa adrenaliny, który sprawia, że serca wyrwywają się nam z piersi.

Słyszę jakiś głos, wrzask pierwotnej radości. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to ja krzyczę. Mój kowbojski okrzyk natychmiast podłapuje siedzący za mną Bitka.

Musimy wyglądać niczym jakaś piekielna zgraja: ośmiu chłopa drących się jak opętani na żelaznych rumakach-potworach.

Ciemność szybko zamyka się za nami. Pieczętuje nasz przejazd. Zakrywa ślady.

Połyka nas.

Rozdział 7: Pierścień Rybaka

Nie znałem wystarczająco dobrze Rzymu przed katastrofą. Dlatego widok zrujnowanego miasta nie robi na mnie aż takiego wrażenia. Odurzeni prędkością, szybcy jak wiatr, nie zauważamy ponurej, pełnej niebezpieczeństw scenerii dzielnic, którymi pędzimy.

Do tego jedziemy ulicami względnie wolnymi od zwalisk. Nie napotykamy żadnych śladów życia. Miasto jest martwe, mroczne.

Jak po ciemnej stronie Księżyca.

Yegor Bitka klepie mnie lekko po ramieniu. Pokazuje jakąś pograżoną w mroku bryłę po prawej stronie.

– Szpital Sant’Eugenio! – krzyczy mi do ucha.

Nie rozumiem, co chce przez to powiedzieć.

Pięć minut później skuter prowadzący hamuje, wzbijając wachlarz zmrożonego śniegu.

Durand gasi silnik.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – pytam Bitkę.

A on przykłada palec wskazujący do ust, dając znać, żebym milczał.

Panuje absolutna cisza.

Wszyscy wokół mnie trzymają w pogotowiu schmeissery i śledzą nerwowo ciemności przez swoje noktowizory.

Mija dziesięć minut.

Powoli wzrok przyzwyczajają się do warunków. W zielonej mgiełce pojawia się kilka regularnych form, ale z braku perspektywy nie potrafię określić, w jakiej są odległości. Po chwili dociera do mnie, że to budynki stojące w odległości może pół kilometra.

W naszym kierunku zmierza jakaś miniaturowa postać.

Kiedy jest o sto metrów od nas, podnosi ramię w geście powitalnym.

– Odkryliśmy stację rok temu. Ja i sierżant Wenzel eskortowaliśmy grupę odzyskową, która miała zbadać szpital, ten, który pokazywałem księdzu przed chwilą. Sant’Eugenio. Ale nie wiedzieliśmy, że ci z EUR też wysłali swoją ekipę P&O, poszukiwań i odzysku...

Dzielnice EUR zaprojektowano w czasach faszyzmu na potrzeby Wystawy Światowej w 1942 roku. Wybuch drugiej wojny światowej przeszkodził w ukończeniu prac. Nie odbyła się też sama wystawa, ma się rozumieć. Ale została nowa dzielnica, ze swą metafizyczną architekturą, z takimi futurystycznymi budowlami jak Pałac Cywilizacji Włoskiej zwany Kwadratowym Koloseum.

– Sprawdzaliśmy właśnie piwnice – ciągnie Diop – gdy wpadliśmy wprost na taką ekipę jak nasza. Już mieliśmy nacisnąć na spusty, ale tamci mieli na tyle dużo zdrowego rozsądku, że podnieśli ręce do góry. Było ich mniej, i mieli tylko białą broń. Żadnych masek przeciwgazowych.

Pewnie trudno było się przedstawić po takim powitaniu...

– Trzej mężczyźni i kobieta z tamtej grupy powiedzieli, że przychodzą ze stacji metra Fermi na EUR. Sierżant nie za bardzo w to uwierzył. Z tego, co wiedział, Fermi było stacją na powierzchni. Trudno uznać ją za bezpieczne schronienie. Do teraz nie wiemy – kończy kapral Diop – czy pochodzą rzeczywiście stamtąd, czy może z jakiegoś innego miejsca. Spotykamy się w połowie drogi.

– Więc spotykaliście się już z nimi kilka razy?

Czarny nie odpowiada. Może zorientował się, że już i tak za dużo powiedział.

Idący ku nam mężczyzna ma na sobie wymyślny kombinezon. Kompletnie odmienny od naszych improwizowanych ubiorów ochronnych. Zamiast niewygodnej maski przeciwgazowej ma na głowie hełm ze żłocistego odblaskowego szkła. Wygląda bardziej na astronautę niż na ocalałego. Tylko butle na plecach, tu i ówdzie pordzewiałe, połatane taśmą izolacyjną uszkodzenia kłóć się z wyglądem tego

futurystycznego pomarańczowego kombinezonu.

W prawej ręce trzyma dubeltówkę. Rozśmieszyłoby mnie to, gdybym nie był przestraszony swoim pierwszym wyjściem poza Nowy Watykan.

W lewej ręce trzyma wytarty skórzany neseser, co tylko dodaje absurdu tej sytuacji.

Durand podchodzi do nieznanego.

Podnosi rękę w geście powitania.

W odpowiedzi mężczyzna w kombinezonie podaje mu walizkę.

Durand wsuwa ją pod pachę. Ścisną tamtemu dłoń.

Potem obaj odwracają się od siebie.

Durand wraca do nas, gdy tamten znika w ciemnościach.

– Trzymaj – mówi kapitan, podając walizkę sierżantowi Wenzlowi. – Jedziemy. Straciliśmy już za dużo czasu. Świt jest blisko.

Pędzimy, jakby sam diabeł deptał nam po piętach.

Zatrzymujemy się znowu, kiedy pierwszy promień słonecznego światła przebija się przez chmury i mgłę, zapowiadając niebezpieczeństwa dnia. Podróż była szybka, mordercza. Prowadzenie w nocy nie jest łatwe: omijanie przeszkód, potwory wychodzące niby z cienia, żeby cię dorwać, które okazywały się martwym drzewem lub dźwigiem zwalonym na drogę. Często omijałem przeszkody w ostatniej chwili, odbijając w bok. Yegor klepał mnie wtedy w plecy i rzucał wyzwiskami. Śnieg ciął niczym żyłki, chłód wchodził aż pod maskę, przedostawał się pod watowaną kurtkę, przez wszystkie warstwy ubrań. Wydawało się, że przenika do kości, a w uszach brzmiał jakby krzyk dławionej, miażdżonej, obłąkanej duszy.

Yegor wyciąga rękę i wskazuje palcem na wschodzie promień słońca zmieniający się w cienkie ostrze świetlne. Potem pokazuje kilka razy na jakiś szary zarys na godzinie jedenastej. Jadąc za innymi, kieruję mój skuter śnieżny o nazwie Bombardier w stronę tego właśnie obiektu o niezrozumiałej funkcji i architekturze. Pozostali poruszają się coraz ostrożniej, w miarę jak się rozjaśnia. Jakby dzień był bardziej niebezpieczny od nocy.

Jesteśmy coraz bliżej. Powoli wyłaniają się kształty długiego, niskiego budynku, nad którym góruje olbrzymia szara masa. Przypominają mi się absurdalne filmy science fiction, w których gigantyczny robal atakuje miasto. Tutaj ta szara masa to nadmuchany worek, długi przynajmniej na trzydzieści metrów, a wysoki na cztery. Gigantyczny ślimak falujący na wietrze.

Cały czas jadę za innymi saniami, kierującymi się wprost na budynek, jakby miały się wbić w jego mury. Obiekt ma surowy, niemal wojskowy charakter. To wrażenie potęgują lufy sterczące z prawie zupełnie zamurowanych okien, zredukowanych do otworów strzelniczych, i zwoje drutu kolczastego otaczające całość, tworzące ogrodzenie nie do przebycia.

Skuter Duranda hamuje, wzbija w powietrze fontannę śnieżnego puchu i zatrzymuje się przed przeszkodą. Kapitan zeskakuje na ziemię i podnosi ramię w kierunku obiektu. Przez moment widzę oczami wyobraźni, jak karabiny maszynowe robią z niego sito. Po chwili z boku budynku otwiera się metalowa brama. Wychodzi z niej niski krępy mężczyzna. A może jest tylko niski, a jego wygląd bierze się z wielu warstw ubrań, które nałożył na siebie, próbując uchronić się przed syberyjskim mrozem. Syberyjski to również słowo z przeszłości. Z tego, co wiemy, nie jest wykluczone, że na Syberii jest dzisiaj cieplej niż w Rzymie.

Postać zbliża się drobnymi krokami, jakby w obawie, by nie zapaść się w śniegu. Przystaje przed Durandem. Twarz ma ukrytą pod czarną maską z lustrzanym wizjerem. W srebrzonym plastiku odbija się sylwetka kapitana. Mężczyzna wyciąga dłoń. Durand ją ścisną, potrząsając w górę i w dół, gest, jakiego nie widziałem od lat: prawdziwy uścisk dłoni. Dziś archaizm. Rozmawiają ścisłymi głosami, a świst wiatru i odległość nie pozwalają usłyszeć niczego z ich rozmowy. Na znak, który krępy mężczyzna daje ręką, pojawia się czterech ludzi z karabinami na ramionach. Z pomocą drągów i przy zaangażowaniu

dużej siły podnoszą dwa zwoje drutu kolczastego i przesuwają je, otwierając w ogrodzeniu kilkumetrowe przejście.

Przejeżdżamy skuterami na minimalnych obrotach silnika.

Drut kolczasty wraca na swoje miejsce, a zwoje zostają połączone ze sobą łańcuchem.

Jeden z nieznanym daje nam znak, żeby jechać za nim. Przed nami otwiera się fragment muru, ukazując szare, puste pomieszczenie oświetlone długimi lampami neonowymi.

Parkujemy skutery na środku stacji. Brama zamyka się z metalicznym dźwiękiem, a wtedy człowiek zdejmuje kask i maskę. Zarzuca długimi blond włosami.

To kobieta.

Byłaby piękna, a wręcz olśniewająca, gdyby nie długa blizna, która szpeci lewą stronę jej twarzy. Twarz ma czystą, jak na dzisiejsze standardy. I chudą, a nawet wychudzoną, więc hipoteza o wielu warstwach ubrania wydaje się najbardziej prawdopodobna. To, co w niej uderza, to oczy – tak błękitne, że aż przezroczyste. Twarz arystokratki. Piękna i inteligentna.

Uwalnia się z kombinezonu niczym poczwarka z kokonu. Uśmiecha się i obejmuje Duranda, jakby go chciała zmiążyć. Całują się. Długi, intensywny pocałunek, w którym ich usta niemal stapiają się w jedno.

Odwracam wzrok z zakłopotaniem, a gwardziści podśmiewają się kpiąco na widok mojego zawstydzenia.

Durand spogląda na mnie rozpromieniony.

– Ojciec Daniels, proszę pozwolić, że przedstawię moją towarzyszkę, doktor Adcle Lombard. Adcle, to ojciec John Daniels ze Świętej Inkwizycji.

– Nie nazywamy tak... – próbuję wytłumaczyć, ale Durand ucina krótko: – Wysłany z misją przez kardynała Albaniego.

Kobieta wydaje się autentycznie poruszona.

– Miło mi poznać – z uśmiechem wyciąga do mnie rękę. Jej dłoń jest zaskakująco chłodna, niemal lodowata. – Jak się ojciec zapewne domyśla, nie przyjmujemy wielu gości.

– Kapitan nie widział swojej pięknej już ze sześć miesięcy... – śmieje się hałaśliwie Bune i pokazuje obsceniczny gest palcami. – Przywiózł jej piękny prezent... Coś błyszczącego... och, jak błyszczący...

– Cicho bądź, Bune – rozkazuje Durand.

Bune przeprosza teatralnym gestem i wycofuje się tyłem zgięty w pół, co również zakrawa na kpinę.

– Witamy na stacji Aurelia, ojciec Daniels – mówi doktor Lombard. – To zaszczyt i przyjemność gościć członka Kościoła.

Ktoś rechocze, gdy pada słowo członek.

– R propro przyjemności, nie możemy zaoferować zbyt wiele, ale czyste łóżko i dobrą kolację tak.

– Tym bardziej, że to będzie ostatnia, którą możemy się trochę porozkoszować – komentuje Durand, ściągając watowaną kurtkę.

– Możemy zaoferować jeszcze jedno – ciepły prysznic. No... prawie ciepły. Powiedzmy letni.

– Byłoby wspaniale.

– Jest wspaniale.

– Przepraszam za zapach. Ja...

– Przyzwyczailiśmy się już. Proszę za mną, pokażę ojcu pokój.

Od długiego czasu nie spałem w prawdziwym pokoju. A przede wszystkim sam, bez chrapania i astmatycznego oddechu Maksima, nie mówiąc o zapachu naszej schnącej bielizny. Pomieszczenie jest duże, białe. Środek zajmuje wojskowe łóżko polowe. Od razu po wejściu przesuвам je pod ścianę po prawej stronie. Siła przyzwyczajenia.

Żadnych okien. Światło pada z plastikowej ramki na suficie. Jest mała metalowa dwudrzwiowa

szafka. A na ścianie krucyfiks.

Wycieram włosy.

Wraz z kluczami od pokoju dali mi mały ręcznik i mydełko, które mnie zmyliło. Ale powąchałem i okazało się, że to nie przedwojenny rarytas, lecz produkt współczesny, zrobiony z najgorszego tłuszczu i, jak to się mówi, uszlachetniony kilkoma kroplami mdławych, zwierzęcych substancji zapachowych.

Powtarzałem sobie, że nie powinienem grymasić. Że mydło to mydło. Najważniejsze, że zmyje ze mnie zmęczenie i smród trupa. Ten sam, którym mnie spryskają, kiedy będziemy stąd odjeżdżać.

Woda prysznicowa była ledwo letnia, w zimnym powietrzu zbiorowej łaźni prawie nie parowała. Za to z ust para leciała mi obficie, kiedy przestępowałem z jednej nogi na drugą, żeby utrzymać krążenie krwi. Byłem sam, nagi w pomieszczeniu o popękanych ścianach, z dwunastoma natryskami bez żadnych przepierzeń. Pomieszczenie oświetlone było neonówką. Rury drżały, strumień wody chwilami zanikał, a kiedy powracał, woda miała kolor rdzy. „Ale zawsze to prysznic... prawdziwy prysznic!” – powtarzałem sobie, wkładając głowę pod wodę, letnią lub nie, która zmywała mi mydło z włosów.

Na komódce leży książka. Sądziłem, że to Pismo Święte. Ale to podręcznik dla ocalałych. Jedna z tych książek z czasów zasobnego, żyjącego w pokoju świata, kiedy ludzie z rozbawieniem czytali o tym, jak zedrzeć skórę ze szczura i ugotować go, albo jak upolować karalucha...

Otwieram książkę. Należała do jakiegoś Massima Oliviera. Jest w dobrym stanie, chociaż ostatnie strony zniszczyła woda, albo inny bezbarwny płyn. Przerzucam kartki. Czytam właśnie porady, jak zrobić garnek z kory brzozy, kiedy nagle ktoś puka do drzwi.

– Moment – odpowiadam i kończę wycierać głowę ręcznikiem. – Już idę.

Otwieram; w drzwiach stoi kapitan Durand.

Od lat tak sobie nie podjadłem.

A od dwudziestu nie skosztowałem świeżej ryby.

Kiedy zobaczyłem ją na talerzu, pomyślałem, że to cud.

– Pomysł jednego z naszych techników... – uśmiecha się Adčle, a jej francuski akcent brzmi bardzo egzotycznie. Coś egzotycznego jest też w rysach jej twarzy – azjatycki układ oczu, drobne rysy... – ...
Czytał książkę jakiegoś Anglika, starą ilustrowaną rzecz, w której pokazywali, jak założyć samowystarczalny folwark. Była tak dobrze napisana, że nawet dziecko potrafiłoby z niej skorzystać. Niestety, nasze możliwości praktyczne były zdecydowanie ograniczone, zważywszy że uprawianie czegokolwiek pod gołym niebem było niemożliwe, a zwierząt hodowlanych nie mieliśmy żadnych... Ale z biegiem lat szczęście uśmiechnęło się i do nas. W podziemnym zbiorniku jakimś cudem znalazły się karpie, nie wiadomo skąd. W ten sposób można było utworzyć wanny do dekantacji wody i wprowadzić ryby w cykl produkcyjny. Prawie nigdy ich nie jemy. Tylko przy okazji wielkich wydarzeń. Takich jak wizyta ojca.

– Nie wydaje mi się to aż tak wielkim wydarzeniem.

Adčle wzdycha.

– W tych murach nigdy nie celebrowano mszy. Osobiście, proszę wybaczyć szczerość, nie odczuwam takiej potrzeby, ale pozostali tak. Prawie wszyscy. Więc zastanawiałam się...

– Czy mógłbym odprawić mszę?

– Tak.

– Z przyjemnością.

– Zatem po kolacji.

Z rybą podano gotowane jarzyny: ziemniaki, marchewkę i korzenie innych roślin o pikantnym smaku. Potem danie z delikatnego, soczystego mięsa z ryżem. Ryż pakowany próżniowo – zdążyliśmy to już odkryć w naszych podziemiach – jest o wiele trwalszy, niż wskazuje to data przydatności do spożycia wydrukowana na opakowaniu.

Nie jadłem mięsa od tak dawna, że pierwszy kęs zapiera mi dech w piersiach, takie jest smaczne.

Delektuję się wszystkim z największą przyjemnością. Dzik, sądząc po smaku. Zastanawiam się, dlaczego gospodarze są tacy smutni. Mają spuszczone oczy. Prawie nie jedzą, wyglądają na wychudzonych.

Durand i jego ludzie natomiast pochłaniają wszystko, jakby mieli zamiar pożreć nawet talerze.

Odwracam się do Adčle, żeby zapytać, dlaczego nie jedzą. Wtedy dostrzegam przez chwilę w jej pochylonej nad talerzem twarzy pożądlive spojrzenie. Trwa to bardzo krótko, więc może po prostu uległem złudzeniu przy tym słabym oświetleniu sali. Kiedy spostrzega, że na nią patrzę, błyskawicznie zmienia wyraz twarzy i uśmiecha się.

– Tak? Chciał mnie ojciec o coś spytać?

– Ja, noo, tak...

Ale nie ośmielam się zadać pytania, które mam na końcu języka. Improvizuję.

– Chciałem spytać, co to za worek na dachu tego budynku.

Zdaje się, że pani doktor Lombard wyraźnie ulżyło.

– A, worek. Ten pomysł przyszedł nam do głowy przy oglądaniu starych zdjęć. Z worka pochodzi energia, która zasila stację. Jest wypełniony metanem produkowanym przez nasze... hodowle. Paliwo z biomasy. Mniej więcej tak to wygląda. Nie jestem technikiem.

– Nie jest bardzo wypełniony.

Adčle przygryza lekko dolną wargę.

– Nie. Rzeczywiście nie jest... bardzo wypełniony. Ale wkrótce będzie. Nawet bardzo szybko.

Życzy sobie ojciec jeszcze mięsa?

– Nie, dziękuję. Najadłem się. Pani nie je?

– Ja... nie, dziękuję. Nie czuję się zbyt dobrze.

– Jeśli pani nie je – zaskrzeczał ze swojego miejsca w głębi stołu Bune – to proszę mi tu kopsnąć ten towar. Zobaczysz pani, że sam wam załatwię cały zapas metanu.

I bez najmniejszej żenady wydaje z siebie straszliwe pierdnięcie, głośne i długie, po czym wybucha śmiechem. Nikt z obecnych nie wydaje się oburzony. Sala, w której jemy, odbija echem najmniejszy hałas.

– W zamian za mięso, pani doktor, oferuję świeżutką, premierową informację.

– Cicho bądź, Bune – rozkazuje kapitan. Ale rozbujany żołnierz nie przerywa swojego show.

– Kapitan Durand ma coś dla pani doktor. Coś dużego... Ale ale, to coś nowego, nie ten tam...

– Bune...

– No już, kapitanie, proszę pokazać. Proszę jej to dać...

I zanim Durandowi udaje się go powstrzymać, Bune skacze ku niemu, unieruchamia jedną ręką, a drugą grzebie mu w kieszonce oliwkowej kurтки i wyciąga z niej małe niebieskie pudełko.

Trzyma je w wyciągniętej wysoko ręce.

– Bune, przeklęty narwańcu! Nie rób...!

– Oto dowód miłości, który kapitan chciał pani wręczyć, oczywiście w wielkiej tajemnicy. Ale ja pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jak wszyscy zobaczą ten wspaniały dar, który świadczy o olbrzymiej wspaniałomyślności i szlachetności jego serca.

Twarz pani Lombard przykrywa rumieniec.

Sprawne palce Bunego otwierają jubilerskie pudełeczko.

Jakiś przedmiot lśni w świetle, migocząc złotymi odblaskami.

Żołnierz bierze go i podnosi, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

To złoty pierścień. Bardzo duży. Wygląda na ciężki.

Jego kształt...

Otwarta ręka kapitana Duranda ląduje z siłą na policzku Bunego. I łapie w locie pudełko, które wypada z rąk żołnierza.

Durand wkłada pierścień z powrotem do kieszonki.

– Do celi z nim – rozkazuje dwóm miejscowym strażnikom.

To jedyni uzbrojeni ludzie w tej sali, ponieważ Durand i jego gwardziści musieli oddać schmeissery i inną broń, gdy tylko weszli do stacji Aurelia.

Bune nie stawia nawet symbolicznego oporu. Pozwala się wywlec z sali. Na progu podnosi jeszcze rękę do czoła w wojskowym salucie, by zaraz potem zniknąć nam z oczu.

Drzwi zamykają się za nim.

– Wybaczcie to zamieszanie – mówi Durand i siada jakby nigdy nic.

Nie mogłem nie zauważyć, jak obaj strażnicy bez chwili zwłoki wykonali rozkaz kapitana. Nawet nie spojrzeli po sobie, by się upewnić. Posłuchali i tyle, bez szemrania.

Po zejściu ze sceny Bunego kolacja dalej przebiegała prawie w milczeniu. Współbiednik po mojej prawej stronie, którego Adčle przedstawiła jako diakona Fiori, jest najbardziej milczący wśród uczestników kolacji. Od czasu do czasu Adčle lub ktoś inny zwraca się do niego z szacunkiem ściszym głosem. Domyślam się, że jest tu szefem, a przynajmniej jakimś uznanym autorytetem. Podobnie jak inni, nie wydaje się zainteresowany tym, co ma na talerzu. Mięso pozostaje nietknięte, aż żal bierze, bo jest naprawdę doskonałe. Podobnie myślą gwardziści, sądząc po ich pożądlivych spojrzeniach. Ale talerze zostają zabrane przez dwóch posługaczy, milczących i opanowanych niczym roboty.

– Ilu was tu jest? – pytam dla podtrzymania rozmowy.

Adčle wzdryga się na to pytanie.

Odpowiada Durand.

– Stacja Aurelia ma niewielu mieszkańców. Ci, którzy tu siedzą, plus kilku strażników.

– Ale ten obiekt mógłby pomieścić o wiele więcej osób – wyrażam swoje zdumienie, wskazując na tę marną dwudziestkę zgromadzoną przy stole.

– Jest wiele... zmiennych, o których trzeba pamiętać – przebąkuje pani Lombard.

– Życie nie jest tu tak proste, jak mogłoby się wydawać – dodaje diakon Fiori.

– Poza tym – konkluduje kapitan Durand – to nie jest kolonia, tylko normalna stacja postojowo-kontrolna. Nie jest przystosowana do pomieszczenia więcej niż trzydziestu osób.

– Życie nie wydaje się tutaj z pewnością gorsze niż w Nowym Watykanie – zauważam.

Durand wzrusza ramionami.

– Jest tu ojciec krótko. Trudno w tej sytuacji wydawać sądy.

Po kolacji profesor Lombard oprowadza mnie po, jak mówi, folwarku. Tu wytwarza się żywność, którą spożywaliśmy. Nie przyłączył się do nas nikt inny.

To kompleks podziemnych pomieszczeń, oświetlonych wielkimi panelami zawieszonymi na suficie, które emitują światło niemal identyczne jak światło słoneczne.

– Próbowujemy zachować rytm dzień–noc, szczególnie dla roślin – wyjaśnia kobieta. – Mamy szczęście, że jest tu niewyczerpane źródło wody...

– Podobnie jak my. To znaczy w Nowym Watykanie.

– Wiem. Wy też uprawiacie grzyby, prawda?

– Oczywiście. Nie aż tak piękne jak wasze, ale zawsze.

– Dziękuję.

– To szparagi?

– Tak.

– Nie do wiary. Nie widziałem szparagów całą wieczność...

– To jeszcze nic. Proszę za mną, pokażę coś ojcu.

Odsuwa ciężką zasłonę, później kolejną.

Jak w starym kinie.

Wchodzimy do innej, słabo oświetlonej sali. Światło jest tu zielone. I czuć mocniejszy, raczej nieprzyjemny zapach.

Kiedy oczy zaczynają już widzieć w półmroku, dostrzegam wielki plastikowy zbiornik osadzony na dwóch stojakach. Kiedyś używano takich na otwartym powietrzu jako małych basenów. Woda spływa z niego do mniejszego, niższego zbiornika, a stąd do jeszcze mniejszego, z którego potem ścieka do kratki w posadzce.

Pani doktor pokazuje mi najwyższy ze zbiorników.

– W tym są karpie. Wrzucamy tu nieprzetwarzalne odpady organiczne. Te, których nie wykorzystujemy do nawożenia. Karpie żywią się nimi, a woda wzbogacona ich odchodami przepływa do niższego zbiornika...

Pokazuje drugi zbiornik, w którym na powierzchni wody unoszą się liście i kwiaty nenufarów.

– Nenufary oczyszczają wodę i żywią się odpadami spływającymi z wyższego zbiornika. Kłocza kwiatów są bogate w skrobię. Teoretycznie są jadalne, ale my używamy ich przede wszystkim jako paszy dla zwierząt. Same kwiaty natomiast mają właściwości lecznicze. Są dobre na sen, leczą kaszel i zapalenia oskrzeli.

– Sądziłem, że nenufary lubią słońce.

– Właśnie. Ale w tym pomieszczeniu cykl dzień–noc został odwrócony. Proszę mnie nie pytać dlaczego. Nasz ekosystem jest skomplikowany.

„Ale wygodny”, chciałoby się dodać. Temperatura w tym podziemiu osiąga przynajmniej osiemnaście stopni. Raj w porównaniu z Nowym Watykanem.

– Trzeci zbiornik, ten ostatni, gości te oto sympatyczne zwierzątka...

Wkłada rękę do wody. Kiedy ją wyciąga, pomiędzy palców ześlizgują się do wody dziesiątki małych szarych raczków, prawie przezroczystych.

– Sympatyczne – przyznaję.

– I bardzo smaczne – dodaje pani doktor, wpuszczając wszystkie z powrotem do wody. – Są podstawą wielu dań. Cieszą się tu dużym wzięciem.

Pokazuje mi teraz kratkę, przez którą woda ścieka dalej.

– Tam woda jest oczyszczana przez sześć połączonych filtrów, organicznych i chemicznych, i może być znów użyta w razie potrzeby.

– A ja zrozumiałem, że macie jakieś naturalne niewyczerpane źródło...

Doktor Lombard robi dwuznaczną minę.

– Lepiej nie ufać losowi... Zapraszam, pokażę ojcu coś jeszcze.

– Chętnie obejrzałbym waszą hodowlę. Od dawna już jedynymi zwierzętami jakie widuję, są szczury.

Kobieta przygryza dolną wargę.

– Może jutro. Teraz zwierzęta odpoczywają. Jest coś o wiele bardziej interesującego do zobaczenia.

Pomieszczenie jest wprost niewiarygodne.

Nie znajduję innych słów, żeby je opisać.

Mieści się na najniższym poziomie stacji, ma trzydzieści metrów długości i dwadzieścia szerokości. Niskie ściany są całe pokryte obrazami: wielkie olejne płótna przedstawiające sceny batalistyczne, renesansowe portrety, flamandzkie martwe natury. Na środku stoją rzeźby, które wyglądają, jakby wyszły z jakiegoś podręcznika do historii. Sławne rzeźby, jak *Brutus Kapitoński* i *Wilczyca z Romulusem i Remusem*.

Patrzę z rozdziawionymi ustami, nie dowierzając własnym oczom.

– Nie traciliśmy energii jedynie na poszukiwanie pożywienia i amunicji – mówi piękna Adcle. – Próbowaliśmy też uratować najbardziej zagrożone dzieła sztuki. Na razie udało nam się zrobić bardzo niewiele. Ale mamy nadzieję, że w przyszłości zdołamy więcej. Wielu z nas oddało życie, żeby uratować te skarby.

Są jeszcze cztery takie sale.

„Niewiarygodne”, powtarzam w duchu, gdy moje oczy wędrują od jednego cudu do drugiego.

I naraz uderza mnie widok jednego z przedmiotów – jakbym dostał pięścią w brzuch.

Próbuję nie dać tego po sobie poznać.

Odwracam oczy.

Lombard chyba nie zauważyła mojej reakcji.

To, co błyszczy w kącie sali, ten blask złota ledwo przyprószonego kurzem, to *Crux Vaticana*, krzyż podarowany miastu Rzym przez cesarza Justyna II w VI wieku. Ten krzyż był jednym z najstarszych i najbardziej czczonych skarbów Kościoła – nie tyle przez wartość złota i szlachetnych kamieni, ile przez to, co zawiera. Kawalek prawdziwego krzyża Chrystusa. Tak przynajmniej sądził darczyńca.

Ale dech w piersiach zapiera mi dopiero myśl, że krzyż przechowywany był w miejscu, w którym od ponad dwudziestu lat nie powstała rzekomo ludzka stopa.

Skarb Świętego Piotra.

I nagle uświadamiam sobie znaczenie tego, co widziałem przy kolacji. Ten złoty klejnot pobłyskujący w dłoni Bunego, a później Duranda...

Ten ciężki pierścień z litego złota.

Pierścień Rybaka.

Papieski sygnet.

Papież sygnował nim urzędowe pisma, a po jego śmierci insygnium było łamane przez kardynała kamerlinga.

Ten sygnet był teraz w kieszeni kapitana Duranda.

A mógł zostać znaleziony tylko w jednym miejscu.

W Starym Watykanie.

I był tylko jeden sposób na jego zdobycie.

Zdjęcie go z serdecznego palca najwyższego kapłana.

Rozdział 8: Paukenmesse

Spałem naprawdę krótko.

Nie tylko z powodu tego, co widziałem, i co to może znaczyć.

W tym miejscu jest zbyt ciepło. I słyszę ciągły hałas, jakby za ścianą pracowała turbina. Kiedy spytałem mężczyznę, który odprowadzał mnie do pokoju, co to za hałas, odpowiedział tylko: „Jaki hałas?”.

Domyślam się, że to klimatyzacja, która umożliwia cyrkulację świeżego powietrza tu, na dole. Tylko się domyślam, nie mogę mieć pewności. Tak jak nie mogę mieć pewności, że to lustro przykręcone wkrętami do ściany, to naprawdę lustro, a nie szyba, zza której ktoś mnie obserwuje.

Odkąd tu jestem, mam przedziwne wrażenie. W młodości podróżowałem na tyle dużo, że wiem, co znaczy mieszkać za granicą. W tym miejscu mam podobne odczucie. Panuje tu atmosfera – język gestów i milczenia – zupełnie odmienna niż w Nowym Watykanie. Ludzie jakby wolniej chodzą, jakby ważą każdy krok, najmniejszy ruch. Mało się tu mówi, wszyscy wydają się nieustannie zajęci jakąś ważną pracą, która nie pozwala im się zatrzymać i z tobą porozmawiać. A kiedy już uda ci się zamienić parę słów z mężczyzną lub kobietą i oddalisz się, nie możesz pozbyć się wrażenia, że gdy tylko zniknąłeś im z oczu, wpadli znów w totalną apatię, niczym roboty po wciśnięciu wyłącznika.

Tej nocy, kiedy nie mogłem zasnąć i czuwałem w ciemności z zamkniętymi oczami, próbując skoncentrować się na modlitwie, chwilami docierały do mnie dziwne dźwięki. Niepokojące. Jakiś jęk albo długi monotony krzyk. Echo odbijające się od betonowych murów niosło ten hałas i zniekształcało go tak, że w końcu wydawał się krzykiem wieloryba pod wodą...

Wydawało mi się, że słyszę też jakiś stłumiony głos dorosłego, smutny, bliski płaczu, który wypowiadał niezrozumiałe słowa.

Hałasy i głosy. Przez całą noc. Na granicy moich zmysłów, a jednak obecne.

Teraz myślę sobie, że może jednak mi się przyśniły.

Że może w którymś momencie zasnąłem.

Może. Albo i nie.

Bo we śnie miałem też widzenie tak wyraźne, że niemal rzeczywiste.

W dzieciństwie zafascynował mnie pewien obraz. Na chłopcu wychowanym w rodzinie metodystów piorunujące wrażenie zrobił pewien rysunek w książce. To była książka kolegi z klasy, katolika. Obraz przedstawiał ubraną na niebiesko kobietę o jasnych włosach i błękitnych oczach, z dzieckiem na ręku. Oczy tej przepięknej dziewczyny patrzyły na wprost, jakby mogły wszystko przenikać. A dziecko, niemowlę, siedziało w nienaturalnej pozycji, jak dorosły, wyprostowane na jej ramieniu. Miało oczy takiego samego koloru jak matka, ale nic nie mogło się równać z czułością i mądrością spojrzenia kobiety.

„Madonna – szepnął kolega – Umiłowana Matka Boża”.

W tym śnie też słyszę jakiś głos.

W tym śnie też jestem zmęczony, jakbym chodził milion dni, przeszedł milion mil. Wyrazisty kobiecy głos szepcze mi do ucha, żebym otworzył oczy. Ona tu jest, stoi przede mną ubrana na niebiesko i, chociaż włosy ma przykryte kapturem i widzę jedynie część twarzy, mam pewność, że to kobieta z tamtej książki, Matka Boża.

Jej śmiech jest jak tręł klarnetu, jak szum potoku.

„Nie, nie jestem Madonną. Możesz mnie nazywać...”

Wypowiada swoje imię, ale nie mogę zrozumieć. To frustrujące.

„Spotkamy się niedługo”.

Podnosi ramię. Jej gest otwiera przed moimi oczami czarujący pejzaż – spokojne morze mieniące

się słonecznym światłem, a na czystej powierzchni wody unosi się łódź o białych żaglach.

Pogrążony we śnie nie mogę wymówić ani jednego słowa.

Kobieta odwraca się plecami. Idzie wolno ku morzu.

Jestem jak sparaliżowany. Patrząc na nią, nie mogąc zrobić nic innego.

Po kilku krokach odwraca się.

Uśmiecha się do mnie, a jej uśmiech to świt.

„Głosy, które słyszysz, wkrótce zamilkną”.

Wraz z tymi tajemniczymi słowami jej ciało jakby zaczęło się rozpląwać, blednąć, aż zniknęło, pozostawiając za sobą przejrzystą toń wody. Zostało tylko morze, jego błękit, a potem próżnia bez snów, która pociąga mnie na samo dno.

O szóstej rano światło na suficie zapaliło się samo. Przez chwilę, krótko przed świtem, śniło mi się jeszcze, że jestem w domu rodzinnym w Medford, małym miasteczku kilka mil na północ od Bostonu. Okna były otwarte, świeże wiosenne powietrze wchodziło do domu, poruszając lekkimi firankami. Ptasi świergot zapowiadał dzień, a z dołu dochodziły odgłosy naczyń rozkładanych przez ojca, który robił śniadanie...

Przebudziłem się nagle, z powodu światła. Żadnych ptaków, jedynie budzik na podłodze. Mechaniczny, na sprężynie. Jakaś chińszczyzna z demobilu z poprzedniego wieku. Jedyna bryza, jaką czułem, to powietrze, niezupełnie świeże, wydobywające się z kratki wentylacyjnej pod sufitem.

Przetarłem oczy, zmawiając w duchu pacierz za matkę i ojca, za brata i jego rodzinę. Pacierz pełen niepewności, coś między modlitwą błagalną a requiem.

Ze środka sali jadalnej usunięto meble. Stoły i krzesła stoją jedne na drugich pod ścianą w głębi. Przed skleconym naprędce ołtarzem ze stolika i czystego, jakkolwiek spektakularnie zacerowanego obrusu, stoi około piętnastu osób. Diakon Fiori w pierwszym rzędzie obok kobiety o siwych włosach, która mogłaby być zarówno jego żoną, jak i matką. Nie widzę doktor Lombard i nikogo z Gwardii Szwajcarskiej.

Nie mam szat liturgicznych. Jedynie „stułę” na ramionach zrobioną z drapowanej serwety. Krzyż za moimi plecami zrobiony jest z dwu prostych kawałków drewna zawieszonych na ścianie.

Pytam, czy do mszy mogą włączyć muzykę.

Jest przenośny odtwarzacz Philipsa, tak zrujnowany, że trudno uwierzyć, żeby mógł coś jeszcze zagrać. Podłączają go do prądu z namaszczeniem godnym znawcy otwierającego butelkę najcenniejszego wina.

Diakon pokazuje mi parę starych płyt CD. Większości z nich nie da się odtworzyć, bo zszedł z nich cały lakier. Inne są pogięte, jeszcze inne głęboko zarysowane.

To ironia losu, że jedyną nieuszkodzoną płytą jest *Paukenmesse* Haydna. *Msza czasu wojny*. Muzyka, która zawsze fascynowała mnie swoją energią i witalnością. Nic bardziej odległego od tego zgromadzenia żywych umrzyków, którzy stoją jak zawieszeni na sznurku i mechanicznie odpowiadają na każdą moją inwokację.

Nie takiej reakcji się spodziewałem.

Odprawiam mszę tyłem do wiernych. Po dniu Wielkiej Zagłady modlimy się w ten właśnie sposób, tak zdecydował kardynał kamerling. Zwyczajni ludzie, którzy zgrzeszyli, niszcząc Ziemię, stracili prawo do rozmowy z Bogiem. Tylko celebrans może patrzeć na tabernakulum. W tym przypadku jest to metalowy puchar do lodów przykryty białą chusteczką. Zawiera dwadzieścia cieniutkich plasterków chleba. I już to, samo w sobie, jest cudem. Ostatni kłos zboża przepadł dwadzieścia lat temu. To nie jest prawdziwy chleb. Wyjaśniono mi, że mąka, z której go robią, pochodzi z jakiegoś hybrydowego zboża uprawianego tutaj w świetle lamp neonowych. Ale w smaku przypomina prawdziwy chleb.

Jest też wino, i wydaje się najnormalniejsze, choć nie piłem go od lat. Winorośl, z którego powstało, ręce, które przy nim pracowały, to wszystko obróciło się w proch. Ale smak pozostał i kiedy je pijesz,

czujesz ciepło tamtej ziemi sprzed lat, piśszczotę słońca.

Chleb, wino i wiara.

Jednego z tych trzech elementów mi brak.

Ale odmawiam wszelkie formuły jak trzeba, robię wszystko zgodnie z rytuałem. Chwałę Boga i błagam Go, odmawiam *Credo* razem z tymi, którzy przez ten krótki czas są moją trzodą.

Kiedy nadchodzi właściwy moment, odwracam się i idę z pucharem wypełnionym hostiami do moich wiernych.

Ale tylko dwie osoby stają w kolejce, by przyjąć komunię. Pozostali stoją nieruchomo na swoich miejscach ze zwieszonymi głowami. Patrę na żonę diakona. Choć ma spuszczoną głowę, dostrzegam łzy na jej policzkach. I drżące gardło. Widać, że powstrzymuje płacz.

Myślałem, że po mszy zostaną, żeby ze mną porozmawiać. Ale nie, poszli sobie, a ja zostałem sam i porządkuję wszystkie rzeczy, które posłużyły mi do jej odprawienia. Zdejmuję improwizowaną stulę i odkładam ją tak samo starannie, jak zrobiłbym to z prawdziwą, jedną z tych haftowanych, złoconych stul, które przydawały liturgii atmosfery dawnych wieków. Potem spożywam pozostałe hostie, aby uniknąć jakiegokolwiek profanacji.

To jest rzecz, której nigdy nie rozumiałem. Czyż może być gorsza profanacja niż przepuszczenie chleba i wina przez swoje trzewia, by następnie wydalić je jako ekskrementy?

Ale nauczyłem się posłuszeństwa. Kościół to nie jest demokracja.

Kiedy puchar do lodów jest już pusty, przez chwilę waham się, co z nim zrobić. Jest ciężki, zrobiony z metalu podobnego do srebra. Ma taki kształt, że można by go przypisać do jakiegokolwiek epoki. Na zewnątrz znać już ślady zużycia, podczas gdy wewnątrz nadal błyszczy. Przez chwilę, wążąc jego ciężar w rękę, mam głupie wrażenie, że to może być Graal.

Ktoś puka cicho do drzwi.

– Proszę.

W drzwiach ukazuje się starcza twarz żony diakona.

– Czy mogę wejść, ojcze?

– Oczywiście, proszę bardzo.

Kobieta jest bardzo mała. Kiedyś taka nie była. Może nawet była piękna. Ale teraz wygląda jak wyschnięte drzewo.

Jednak przyglądając się jej z bliska, zdaję sobie sprawę, że wrażenie starości było mylne. Że tak naprawdę nie może być wiele starsza ode mnie. Że to zmęczenie. Nie tylko fizyczne.

– Co mogę dla pani zrobić? – pytam.

Kobieta waha się. Kręci głową.

– Czekałam już od wielu lat...

Po czym odwraca się nagle i chce wyjść. Ale przytrzymuję ją za ramię. A ona nie robi nic, żeby się wyswobodzić.

– Nie tutaj – szepcze z zamkniętymi oczami.

– Dlaczego?

Nie odpowiada.

Puszczam ją.

Robi dwa kroki w stronę drzwi. Przystaje. Wraca.

– Proszę za mną – mówi.

Idziemy dobrze oświetlonymi korytarzami, tak różnymi od korytarzy Nowego Watykanu, i nie spotykamy żywej duszy. Unosi się tu lekka woń kurzu, ale to nic w porównaniu ze smrodem, do którego już się zdążyłem przyzwyczaić. Jest tak wiele niewykorzystanej przestrzeni i jest tak ciepło nawet w korytarzach, że gdy myślę o warunkach życia w katakumbach, to podobne marnotrawstwo wydaje mi się przestępstwem.

Stajemy przed metalowymi drzwiami. Kobieta naciska klamkę. Wchodzimy.

To szatnia. Może dawniej, kiedy była tu stacja metra, pomieszczenie służyło obsłudze obiektu. Jest ławka, długa prawie jak sam lokal, i cała ściana z szafkami. Kobieta otwiera dwie z nich. Widzę ją przez szczeliny w drzwiczkach, widzę jak klęka i składa ręce do modlitwy.

– Chciałabym się wypowiedzieć, ojcze. Pragnęłam tego od lat, ale nie było tu nigdy księdza.

– Ale dlaczego tutaj? Mogliśmy to zrobić tam, gdzie odprawiałem mszę.

– Chciałam, żeby coś było...

– Żeby nas coś oddzielało? Jakaś kratka?

– Tak.

Jedyne, co mogę zrobić, to usiąść na podłodze.

– Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam.

Milknie. Wzdycha.

– Nie pamiętam, co się robi... Mówi... Już tak dawno nie...

– Słucham cię, córko. Słowa nie są ważne. Mów, jak ci wygodnie.

Kręci głową.

– To nie jest łatwe.

Zamyka oczy i zaczyna mówić.

To nie jest łatwe.

To wcale nie jest łatwe.

Jest o wiele łatwiej osądzać. Myśleć, że całe zło jest tylko po jednej stronie, a dobro po drugiej.

Ale tak wcale nie jest. Tak nie jest. Widzi ojciec, czasami zło... czasami trudno jest je rozpoznać... Ktoś o czymś decyduje, a inni myślą, że tak jest dobrze, albo przynajmniej, że to nie jest aż takie złe, i wtedy wszyscy robią to samo. Może na początku ktoś się opiera, ktoś mówi, że to nie tak, że tak się nie robi, ale w końcu i on musi ustąpić...

Zauważył ksiądz, że prawie nikt nie przystąpił do komunii dzisiaj? Ani ja, ani mój mąż... Myśli ksiądz, że nie chcieliśmy? A tych dwóch, którzy przyjęli... Zastanawiam się, czy to zrobili, bo nie zdają sobie sprawy ze swoich grzechów, czy może... chcieli skosztować chleba po tych długich latach przerwy...

Ciało i krew Chrystusa, doprawdy...

Bóg, który stał się człowiekiem i oddał za nas swoje ciało i krew...

– Nie rozumiem – mówię.

Mówi ojciec, że nie rozumie. Nie rozumie...

Ja i mój mąż jechaliśmy akurat metrem, kiedy spadły bomby. Pociąg wykoleił się w tunelu. Wybuch wyrzucił go z torów. Myśleliśmy, że to zamach. Że jacyś terroryści podłożyli bombę. Pamięta ojciec grupy terrorystyczne? Ponad połowa pasażerów zginęła albo odniosła rany. Ci, którzy przeżyli, postanowili iść pieszo w ciemnościach, żeby dotrzeć do końca tunelu. Powiedzieliśmy pozostałym, że przyślemy pomoc. Zostawiliśmy ich w tych ciemnościach, bo przecież nie było prądu.

Mieliśmy dwa wyjścia: wrócić na stację, którą chwilę wcześniej minęliśmy, albo pójść w stronę następnej. Postanowiliśmy głosować. Ktoś powiedział, że wybuchy słychać było bardziej od strony miasta. Dlatego zdecydowaliśmy iść naprzód. Używając zapalek, zapalniczek i zaimprovizowanych z gazet pochodni, ruszyliśmy wzdłuż torów ku wyjściu. Przerazała nas myśl, że kiedy włączą prąd, usmażymy się na torach.

Przeszliśmy bardzo długi kawałek w tunelu, zanim zamajaczyło przed nami w oddali nikłe światło. To była ta stacja.

Spodziewaliśmy się jakiejś ekipy ratunkowej. Ale na stacji zastaliśmy tylko samych przestraszonych ludzi. Jedni mówili monosylabami, inni w ogóle jakby stracili mowę. A jeszcze inni paplali bez ładu i składu, prowadzili długie i niezrozumiałe monologi, jakby byli niespełna rozumu. Mieli naprawdę jakieś

szaleństwo w oczach...

Jeden z nich pociągnął mnie za ramię. Miał paskudną ranę głowy. Był cały w białym pyłe. Wyglądał jak upiór. Pociągnął mnie za sobą na zewnątrz, żeby mi coś pokazać. Uniósł palec w kierunku na wschód.

Nad rzymskim niebem unosiła się olbrzymia biała chmura, gigantyczny grzyb. Wtedy zrozumieliśmy, co się stało.

Kobieta waha się długo, czy mówić dalej. Jej głos jest suchy niczym pył.

Pierwsze dni były najgorsze. Nad ziemią zapadła ciemność, jakby niebo przykryto wielkim workiem. Zaczął padać śnieg. Brudny, ciemny śnieg. Mężczyźni i kobiety włóczyli się po ulicach jak zjawy. Niektórzy byli niebezpieczni. W pobliżu znajdował się jakiś plac budowy. Wzięliśmy stamtąd taczki i narzędzia. Pracując na zmiany, mężczyźni zaczęli zabezpieczać stację. Mieliśmy też dwa pistolety do obrony. Raz ich użyliśmy.

Mężczyznom udało się obwarować to miejsce. A my, kobiety, myszkowałyśmy w tym czasie w okolicznych domach i sklepach w poszukiwaniu jedzenia, baterii i butelkowanej wody. Kiedy mieliśmy już wystarczająco dużo zapasów, zamurowaliśmy bramę i zamknęliśmy się na dolnych poziomach stacji.

Jest chłodno.

A wręcz zimno.

Mój oddech kondensuje się w obłoczkach pary.

I tak spędziliśmy tam dwa miesiące.

Było nas trzydzieści dziewięć osób.

Dwadzieścia dwie dorosłe, a reszta dzieci – jechały akurat na wycieczkę.

Wysłaliśmy ekipę do wykolejonego pociągu. Żeby odnaleźć rannych, których tam zostawiliśmy.

Wrócili i powiedzieli, że nikt nie przeżył.

Nie roztrząsaliśmy sprawy.

Zapomnieliśmy o nich, koniec, kropka.

Po dwóch miesiącach skończyły nam się zapasy.

Zaczynam obawiać się ciągu dalszego.

Nam pewnych rzeczy jednak oszczędzono.

Ale one się wydarzyły. Wszędzie.

I to nie raz.

Wie ojciec, co mówi poeta? Dante w *Boskiej Komedii*...

Poscia, più che il dolor poté il digiuno...

Głód silniejszym był od bólu.

Drzwi szafki zamykają się.

Twarcz kobiety jest tuż obok mojej.

Zwieszona głowa.

Po policzkach płyną łzy.

Była też pewna cygańska rodzina. Ojciec, matka i troje dzieci. Żebrali w wagonach metra. Oj, jak dobrze ich pamiętam... A jeśli nie ich, to kogoś bardzo podobnego... Było tak wielu Cyganów i żebraków w metrze...

Wsiadali do metra, ojciec albo ktoś, kto go udawał, grał na skrzypcach czy harmonijce ustnej, albo na niczym nie grał i mówił tylko „Jestem biedny, mam trójkę, czwórkę, piątkę małych dzieci do utrzymania...”, i dzieci maszerowały z wyciągniętymi rękami. Wsiadali na kolejnej stacji, żeby wsiąść do wagonu obok. Matka udawała starą albo chorą. Mówię, że udawała, bo kiedy wysiadała, starość i choroba, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdzieś znikają, a po peronie biegną dalej zwinna młoda dziewczyna.

Nie wiem, czy ci Cyganie byli tacy sami...

Jak powiedziałam, zapasy żywności skończyły się na początku trzeciego miesiąca.

I to wtedy... się zdarzyło.

Pierwszy zniknął najmłodszy cygański chłopczyk.

Poszedł bawić się gdzieś w tunelu.

Nikt go już później nie widział.

Ojciec i matka oskarżyli nas, ale my upieraliśmy się, że nie wiemy, gdzie zniknął.

Dwa dni później zniknął ojciec.

A na naszych stołach zaczęło pojawiać się mięso.

Pulpety, siekane nożem i pieczone na zaimprovizowanym grillu. Myśliwi twierdzili, że to mięso z polowania w tunelu, i że lepiej nie pytać, z jakiego zwierzęcia. Ały my wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy wszyscy, co to było za mięso...

Kobieta podnosi rękę, robi gest, jakby chciała powiedzieć: *basta*, wystarczy. Ale mówi dalej.

Kiedy mięso się skończyło, przyszła kolej na kobietę.

A później na pozostałe dzieci.

Kiedy przydusiliśmy Cyganek do ziemi, umierając rzuciła na nas klątwę.

Powiedziała, że po nich pożremy również własne dzieci.

I tak się stało.

Tak się stało...

Nie ma dzieci na stacji Aurelia...

Kobieta łapie się za czoło, jakby jej głowa stała się strasznie ciężka.

– Łatwo jest osądzać tym, którzy mieli wygodne życie – szepcze.

– Nikt z nas go nie miał w ostatnim czasie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że wypowiedziałem to zdanie zbyt twardo.

Kobieta spuściła głowę. Przez siwe cienkie włosy widać różową skórę czaszki. Mógłbym przydusić ją do ziemi i zmiażdżyć pod stopą. Chyba byłaby wdzięczna.

Kładę prawą dłoń na opuszczonej głowie. Wypowiadam słowa rozgrzeszenia.

– *Ego te absolvo in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.*

Oczy kobiety patrzą na mnie z dołu, przesłonięte siwymi włosami.

– Nie da mi ojciec żadnej pokuty?

– Nie. Nie ma potrzeby.

– Jak to? To, co zrobiliśmy... co zrobiłam... Musi mi ojciec dać jakąś pokutę.

– To życie jest już wystarczającą pokutą.

Kobieta kręci głową. Coraz szybciej i szybciej, aż do szaleństwa. Jakby zwariowała.

Podnoszę jej głowę i patrzę w oczy.

– Wszyscy zrobiliśmy coś strasznego – mówię.

– Nie rozumie ojciec.

– Kościół wybacza. Zwłaszcza to, co zostało zrobione... bo było nieuniknione... podczas Wielkiej Zagłady. Zło konieczne.

Kobieta patrzy na mnie, jakby nic nie rozumiała.

– Ale my to zrobiliśmy... nie tylko wtedy...

Podrywa się z energią, o którą trudno byłoby podejrzewać jej wątłe ciało.

Idzie tyłem, potyka się o jakąś skrzynię i upada. Wyciągam dłoń, żeby ją podnieść. Odpycha ją.

Uderza mnie w ramię.

– TO NIE BYŁO TYLKO WTEDY! – krzyczy i ucieka.

Rozdział 9: Odkrycia

– Muszę z panem porozmawiać, Durand. Proszę zaczekać.

Kapitan Gwardii Szwajcarskiej nie skraca swego miarowego kroku nawet o milimetr. Właściwie muszę biec, by nie pozostawać w tyle.

Ryk syreny alarmowej przeszywa powietrze podziemnego korytarza.

– Nie teraz, ojcie. Do wyjazdu została niespełna godzina. Zaraz się ściemni. A do tego mamy jeszcze alarm.

– To pilne!

Durand zatrzymuje się nagle. Naprzeciwko mnie. Z twardym wyrazem twarzy.

– Ojcie Daniels, proszę wracać na górę. Mamy tu problem i musimy go rozwiązać.

Skręcamy w inny korytarz, później w kolejny. Durand upiera się, by mnie nie słuchać. A ja niemało się natrudziłem, żeby go tu znaleźć. Spowiedź tej kobiety była czymś tak wstrząsającym, że nie mogłem podarować sobie rozmowy z oficerem. Pytałem wszystkich, ale nikt nie chciał przyznać, że wie, gdzie jest kapitan. W końcu sam Bune powiedział mi, żeby spróbować w kotłowni. Jeden z mieszkańców pomógł mi trafić na najniższy poziom stacji, gdzie znajdują się pomieszczenia gospodarcze.

I w tym momencie zaczął wyć alarm.

Wchodzimy pospiesznym krokiem do dużego pomieszczenia oświetlonego długimi jarzeniówkami, z których jedna miga, najwyraźniej zepsuta.

Wygląda to jak maszynownia na statku.

– W czym problem? – pyta Durand mężczyznę o wyglądzie zaszuszonego kruka, pochylonego nad jakąś maszyną, z której wydobywa się gryzący dym.

– Problem? Nie ma żadnego problemu. Wszelkie problemy mamy już za sobą! Ta maszyna jest po prostu skończona!

– Co mam zrobić? Może potrzebna jest jakaś część zamienna?

– Żadna. Widzi pan to? To jest sabotaż, ktoś ją celowo zniszczył. Już nigdy nie będzie działać. Jest skończona, jasne?! Skończona!

– Kto to mógł być? – warczy Durand.

– A co za różnica? Jesteśmy ugotowani! Rozumie pan? Ugotowani! Jeśli ta maszyna zdechnie, to my zdechniemy razem z nią!

Durand wyciąga z kieszeni walkie-talkie.

– Zbierzcie cywili. Chcę mieć wszystkich w stołówce o ósmej zero zero! Jeżeli kogokolwiek zabraknie, macie go odnaleźć. Chcę mieć tu wszystkich, zrozumiano? Wszystkich! Łącznie z księdzem – kończy, chowając urządzenie do kieszeni i oddala się rozwścieczony.

Człowiek ptak popłakuje, patrząc na dymiącą maszynę. Smród spalonego plastiku przyprawia o mdłości.

– Co to jest? – pytam. – Do czego to służy?

– To komputer dozujący strumień paliwa z worka metanowego do instalacji grzewczej. Bez niego światła nie będzie już za parę godzin, a ogrzewania... Kwestia jednego, góra półtora dnia. A potem będzie tu mroźno jak w grobie...

– Nie macie piecyków?

– Jasne. A czym w nich napalimy? To gazowe piecyki!

Mężczyzna ma spojrzenie opętanego. Michał Anioł wybrałby go na modela jednego ze swoich proroków w Kaplicy Sykstyńskiej. Prorok zwiastujący same nieszczęścia.

– Kto to mógł zrobić? – powtarzam za Durandem.

Mężczyzna kręci głową.

– Tylko jakiś szaleniec.

– Czyli?

– Czyli każdy z nas. Tu, na stacji Aurelia, wszyscy jesteśmy szaleńcami. Nie wiedział ksiądz?

Wszyscy! Wszyscy jesteśmy szaleni! Zjedliśmy owoc z drzewa poznania i oszaleliśmy. Skąd ksiądz wie, że to nie ja? Ja najlepiej znam ten sektor stacji i...

Głowa mężczyzny eksploduje i otwiera się jak róża biało-szarymi odłamkami. Jedna strona twarzy odrywa się jak maska i uderza w ścianę ze strasznym odgłosem. Reszta ciała – tułów i bezwładne ramiona – osuwa się na ziemię.

Oparty o futrynę drzwi Bune dmucha w lufę swojego karabinu niczym rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu.

– O jednego mniej – dworuje.

– Idioto skończony! – wrzeszczy Durand, wpadając do pomieszczenia. – Dlaczego go zabiłeś?

– Właściwie się przyznał.

Kręczę głową.

– Powiedział, że to mógł być każdy z nas – koryguję.

Durand mierzy Bunego z niesmakiem.

– Powinienem cię postawić przed sądem wojennym. A ty wiesz, jak działa prawo wojenne w strefie działań wojennych, prawda? Ty, ja i kulka.

– *Jawohl, mein Führer!*

– Wynoś się, idioto!

– Nie ukarzę go pan? – pytam z niedowierzaniem Duranda.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Przed chwilą z zimną krwią zabił człowieka!

Kapitan wzrusza ramionami.

– Najdalej za dwa dni to miejsce będzie jednym wielkim grobem. Ten, kto to zrobił, chciał popełnić samobójstwo. A ponieważ są tu jego towarzysze, to zabrał ich ze sobą. Jeżeli ten człowiek był winny, to tym lepiej. Ale to i tak bez różnicy. Wszyscy są skończeni.

Przez chwilę kusi mnie, żeby mu powiedzieć o spowiedzi żony diakona. Ale powściągam się.

– Dlaczego pan mówi, że są skończeni? Mogą pojechać do Nowego Watykanu.

– Ach tak? A czym? Nam to zajęło parę ładnych godzin na skuterach śnieżnych. Oni musieliby pójść tam pieszo. Straciliby na to ze trzy dni, jak nic. Nikt by nie przeżył. Lepiej, żeby zaczekali tutaj. Szkoda cieplarni. Przyjemnie było zjeść od czasu do czasu coś świeżego. Trudno.

– Trudno? Jak pan może być tak cyniczny? Mówimy o życiu kilkudziesięciu ludzi!

– Kwestia punktu widzenia. Nie każdy tak myśli.

– Co powie kardynał Albani, jeśli pozwolicie im umrzeć?

Durand wybucha śmiechem. To nie jest przyjemny śmiech.

– Albani nie wie nic o tym miejscu. My je odkryliśmy. Jest nasze.

– Wasze?

– Nasz zbrojny przyczółek. Podlega naszej władzy. Jest do naszej dyspozycji. Proszę go uznać za... protektorat. My gwarantujemy im bezpieczeństwo. A nasze milczenie...

– Jakie milczenie? Na jaki temat?

– To nie pańskie sprawy, księżu.

– Do wczoraj mówił pan do mnie ojciec.

– Wczoraj to było wczoraj.

Wskazuję na maszynę. Dym jest coraz gęstszy. Gdzieś w tej czarnej mgłę zaczynają się pojawiać płomienie ognia, małe, ale groźne, jak głowy węży.

– Tak to zostawicie?

– To już nie jest nasz problem. Proszę za mną, ojcze.

– A gdybym nie posłuchał?

– Może ojciec tu zostać – odpowiada krótko Durand, odwraca się i wchodzi po schodach.

Stołówka wygląda jak zagroda dla bydła. To wrażenie płynie z pełnych uległości twarzy mieszkańców, ale i ze sposobu, w jaki sprawują nad nimi nadzór gwardziści – niczym pasterze nad stadem.

Zgromadzili ich na środku sali. Nie wszyscy są obecni. Nie ma żony diakona i doktor Lombard.

Trzech gwardzistów – Diop i dwaj Włosi – trzymają wycelowane w nich automaty.

To nie jest zebranie.

To apel więźniów.

Instynktownie, jakby prowadziły mnie moje nogi, dołączam do cywilów na środku sali.

Durand zwinnie wskakuje na stół. Splata ręce za plecami, ugina się na nogach, patrząc w oczy to jednemu, to drugiemu ze swych więźniów. Nie wypowiada ani słowa, dopóki na salę nie wchodzi Adèle Lombard.

Spodziewam się, że i ona dołączy do stojących na środku. Ale nie – wspomagana z całą galanterią przez kapitana, wchodzi na stół, co zbija mnie z pantałyku.

Ona i Durand wymieniają zatroskane spojrzenia. To ona zwraca się do więźniów.

– Kapitan opowiedział mi o tym, co się stało w kotłowni. To straszne. Szalone. Ktoś dokonał sabotażu, niszcząc komputer regulujący temperaturę. Wiecie, co to znaczy? To pewna śmierć dla tej wspólnoty. Nie ma sposobu na to, żeby ją uratować. Ktokolwiek to był, nasz los jest przesądzony.

Ostry metaliczny dźwięk oznajmia wszystkim przybycie Yegara Bitki i sierżanta Wenzla, którzy ciągną między sobą jakieś ciało. Upuszczają je na ziemię, gdzie leży bezwładne niczym szmaciana lalka.

– Naszliśmy tę dziwkę w schowku na dole – anonsuje z dumą sierżant. – Próbowwała się zabić.

Pokazuje nadgarstki kobiety zabandażowane niechlujnie jakimś brudnym, postrzępionym materiałem.

– A zobacz, co miała w kieszeni – uśmiecha się Wenzel.

I triumfalnie pokazuje wkrętek i klucz francuski. Zardzewiałe obcęgi.

Durand zeskakuje ze stołu.

Ktoś wychodzi z grupy cywilów. Klęka przy kobiecie. To mąż, diakon Fiori.

Głaszcz je, obejmuje. Kołysze w ramionach jak matka swoje dziecko.

Durand podnosi go za włosy.

– Skończony idioto! Twoja żona oszukała was wszystkich! Spytaj ją dlaczego!

– A kto wam powiedział, że to ona? – protestuje Fiori.

Kobieta podnosi powoli głowę. Ma rozcięte usta, złamany ząb. Oczy czerwone od płaczu.

– To ja – wyznaje spokojnie.

Diakon kręci głową.

– Nie słuchajcie jej. Zwariowała.

– A mnie się wydaje, że rozumuje zupełnie dobrze – oponuje Durand, wolno zbliżając się do kobiety lekkim krokiem oprawcy.

– Dlaczego to zrobiłaś, dziwko?

– Bo musiałam.

– Musiałaś? Co ty, kurwa, chcesz przez to powiedzieć? Mów prawdę, wredna dziwko! Kto ci to kazał zrobić?

Kobieta z trudem się prostuje. Odpowiada kapitanowi dumnym spojrzeniem.

– Bóg mi to nakazał.

Kapitan odpina kaburę pistoletu. Przykłada broń do skroni kobiety.

– Pytam cię po raz ostatni, kobieto: kto ci kazał zniszczyć to miejsce?

To niewiarygodne, ale na jej ustach pojawia się uśmiech.

– Bóg.

Automat wypala.

Krew bryzga na kurtkę diakona, na siwe włosy. W samym środku jego czoła widnieje czarna dziura.

– Słuchaj, pytam już naprawdę ostatni raz. Kto zlecił ci sabotaż na stacji Aurelia?

Kobieta rzuca pogodne spojrzenie na zwłoki męża. Kręci głową.

– Nie chcesz zrozumieć.

– Powiedz mi, kto to był!

– Już ci powiedziałam: Bóg.

Durand parska śmiechem.

– Yegor, chodź tutaj.

Bitka podchodzi do przełożonego.

– Weź stąd tę... tę starą i spraw, żeby ci wszystko wyśpiewała. Nazwiska, fakty. Muszę wiedzieć.

Idź.

Kapral Bitka brutalnie podnosi starszą kobietę. Ona staje na nogi, próbując się wyprostować jak to tylko możliwe. Dumna, z wypiętą piersią.

Przed wyjściem, z uśmiechem niewinnego dziecka, Bitka zabiera ze stołu klucz francuski, obcęgi i wkrętak, które rzekomo Wenzel znalazł przy kobiecie. I z ironicznym wojskowym salutem wychodzi z pomieszczenia, ciągnąc za sobą swojego więźnia.

– Wróćmy do was, dzielni obywatele stacji Aurelia. Czy coś leży wam na sercu w sposób szczególny? Coś, o czym chcielibyście mi koniecznie opowiedzieć?

Nikt nie odpowiada.

– Na przykład ktoś spośród was mógłby mi powiedzieć, jak zamierzacie sobie radzić teraz, kiedy wasza przyjaciółka postanowiła odciąć wam światło i ogrzewanie. To prawda, że już nie było zbyt dobrze z zapasami metanu, ale oszczędzając i przy odrobinie poświęcenia...

Durand uśmiecha się złowrogo, wymawiając to słowo.

– ...mogliście jeszcze trochę pociągnąć. Teraz wszystko jest jednak zdecydowanie trudniejsze. Tak na oko nie damę wam więcej niż trzy dni życia.

– Przecież moglibyście nas eskortować do Nowego Watykanu...

Durand kręci głową.

– Nie mogę. Zapominacie, kim jesteście? Co zrobiliście? Poza tym, nic tam nie wiedzą o waszej wspólnocie. Dla nich nie istniejecie.

– Możemy im dać żywność, technologie...

– Kto to powiedział?

Jakiś mężczyzna pod czterdziestkę, ubrany w workowe płótno, podnosi rękę. Występuje dwa kroki naprzód, przed szereg więźniów.

– Ktoś ty?

– Ernesto Rabito.

– Nie wydajesz mi się naukowcem, Ernesto.

– Teraz jestem chłopem. Ale nie zawsze nim byłem. Kiedyś studiowałem medycynę. Sądzi pan, że to się już nie liczy? Nie potrzebujecie lekarzy w Nowym Watykanie? A Carlo, ten tutaj, jest agronomem.

Dajcie mu metr ziemi, a pokaże wam cuda.

– Mogę mu dać ten metr ziemi? – pyta Bune Duranda. – Może nawet półtora metra...

– Pohamuj swój język, żołnierzu. To, co mówisz, jest bardzo interesujące, bracie Rabito. Niestety, w Nowym Watykanie ustawiliśmy się już w tym względzie. Może nie organizujemy bankietów, ale uprawiamy wszystko, co nam jest potrzebne do życia. Grzyby, szparagi, ziemniaki...

– Monotonna dieta... – kwituje Rabito.

– Lepiej taka niż życie po waszemu – ucina Durand. – Okej. A teraz wyjaśnię wam, dlaczego nie

możemy wam pomóc. Mamy pewną misję. Ważną misję, którą powierzyła nam najwyższa władza w Watykanie. Nie możemy tracić na was czasu. Ale nie damy też rady wywieźć waszego sprzętu. A bez tego cała wasza wiedza jest gównem warta.

Uśmiecha się do mężczyzny ubranego w worek.

– Wróć na swoje miejsce, Ernesto. Dziękuję za twoją gotowość.

Kiedy Rabito odwraca się do niego plecami, Durand wyjmuje pistolet i zabija go na miejscu dwoma strzałami w kark. Grupa więźniów cofa się jak odpływ morza.

– To po to, żebyście wiedzieli, jaki jestem na was wściekły. Na wszystkich. Nie chcę już wysłuchiwać bzdur. Znaczący dla mnie tylko ty. Ale jestem piekielnie wkurwiony, bo przez te wszystkie lata broniliśmy was, prosząc o bardzo niewiele w zamian, a wy tak nam się odwzajemniacie.

Durand odwraca się do doktor Lombard.

– Adłce, nie mów mi, że ty też nie masz pojęcia, dlaczego nam to zrobili...

Lombard zeskakuje ze stołu. Kręci głową.

– Od jakiegoś już czasu Chiara okazywała zmęczenie. Może ostatnia... ofiara... poświęcona na wczorajszy bankiet dla was...

– Milcz! – rozkazuje jej oficer. Ona patrzy na mnie przez chwilę w dziwny sposób. Wyrachowana, podejrzliwa. – A gdyby nawet... – grzmi Durand, patrząc mi przez chwilę prosto w oczy, by zaraz potem odwrócić wzrok. – Jakim cudem zwariowała tak nagle? Dlaczego akurat teraz?

Jakaś względnie młoda kobieta, naznaczona trudami i niedożywiona, podnosi nieśmiało rękę, jak mała dziewczynka w szkole.

– Chiara była... pełna skruchy. Mówiła, że wszyscy będziemy musieli odpokutować.

– Odpokutować... – powtarza Durand. I znów patrzy mi prosto w oczy.

Jakby mnie o coś podejrzewał.

– Co za kurestwo – komentuje w końcu półgłosem.

Wraca Yegor Bitka, bez więźnia.

W sali zapada grobowa cisza.

– Dziewka nie żyje, kapitanie – odzywa się Bitka.

– Powiedziała coś?

Bitka chwilę się waha, potem odpowiada:

– Nie.

– Kurwa.

– Dałem z siebie wszystko. Przykro mi.

– Dobra. Nieważne. Co mówiłaś, kobieto? Coś tam o pokucie...

– Tak. Ona... Chiara... Chiara powtarzała zawsze, że zapłacimy za to, co zrobiliśmy. Ale nikt nie traktował jej poważnie. Myśleliśmy, że... że tylko tak mówiła. A ona naprawdę tak myślała... O mój Boże! Co teraz z nami będzie?

Twarz Duranda tężeje.

– Jedna rzecz jest pewna. Nie możecie pójść do Nowego Watykanu. Prędzej czy później prawda wyszłaby na jaw. Już wam powiedziałem, co Kościół myśli o waszych... zwyczajach. Gdyby komuś przyszło do głowy drążyć w tunelu metra... Odtworzono Świętą Inkwizycję, a jej metody... Są straszne. Kardynał kamerling bezlitośnie tłumi wszelkie odstępstwa od ortodoksji. Będziecie musieli pójść gdzie indziej.

– GDZIE?! – krzyczy naraz wiele głosów. – DOKĄD MAMY PÓJŚĆ?

Durand wzrusza ramionami.

– Daleko od miasta. I od morza. Morze jest... niebezpieczne.

Muszę zapamiętać, żeby go spytać, dlaczego powiedział coś takiego. Ale jeszcze bardziej chciałbym go spytać o te wszystkie bzdury, których nawygadywał. O Inkwizycji i o Albanim...

Jest jeszcze coś. I to jest najstraszniejsze. Wiadomo już, za jaki grzech żona diakona poświęciła siebie i ludzi. Ale przecież Kościół wybaczył o wiele gorsze grzechy. I współistniał bez robienia skandalu z morderstw na miarę Alessandra Moriego. Co jest gorsze – zabić przez rozbój czy z konieczności, z głodu? Kościół rozpaczliwie poszukuje nowych istnień, świeżej krwi. Katakumby Świętego Kaliksta mogłyby bez trudu przyjąć tych ludzi. A trzy, cztery dni nie zaszkodziłyby wielce naszej misji...

Podchodzę do Duranda.

– Muszę z panem porozmawiać – mówię półgłosem.

– Słucham.

– Nie tutaj. Nie chcę, żeby ktoś nas usłyszał.

– Nie ma czasu na te głupoty. Zaraz się ściemni i będziemy musieli wyjechać. Czeka nas długa podróż przed następnym postojem. Nie jesteśmy turystami.

– Ci ludzie, kapitanie...

– To nie są moi ludzie, ojcie. Ani pańscy. Proszę się nimi nie zajmować. Jedyne problem jest taki, że tracimy doskonałą bazę. Tych ludzi nie trzeba żałować. Ani martwić się nimi.

– Powinniśmy ich dowieźć do...

– Powinniśmy? Powinniśmy?

Głos Duranda kipi wściekłością i sarkazmem.

– Kto powinien? Ojciec? Przecież ojciec już prawie dał się złapać mięśniom. To znaczy, że ja i moi ludzie musielibyśmy ryzykować życie dla tych tu... dla tych ludzi. Nie mam na to najmniejszej ochoty. Te dzielnice nie są w tak złym stanie jak centrum miasta. Doskonale sobie poradzą ze znalezieniem nowej nory, żeby się ukryć. A jeżeli będą racjonować zapasy, to może nawet dotrą do Zamku. To nasz przyczółek wojskowy, tylko dziesięć kilometrów stąd.

– Spacerek. Zważywszy, że przez dwadzieścia lat stąd nie wychodzili.

– Nic na to nie poradzę. Niech się ojciec przygotowuje. Wyjeżdżamy jak tylko się da najszybciej. I proszę nie myśleć, że można tu zostać z tymi ludźmi. Mają... bardzo wyostrzony instynkt samozachowawczy. A ojciec jest dla nich obcym. Świeżym mięsem...

Na mojej twarzy musiało się pojawić przerażenie, widzę to w oczach kapitana. Próbuję sobie przypomnieć, czy on też jadł mięso, czy może ograniczył się do ryby. Pamiętam za to doskonale, że sam zjadłem dwa kawałki tego wybornego mięsa. Oto dlaczego pani Lombard nie pokazała mi hodowli, z której pochodziło. Ale...

Przypominają mi się hałasy, jęki, które słyszałem w nocy.

Odwracam się do kobiety w białym kitlu. Rzucam jej wyzywające spojrzenie. Ona nie odwraca wzroku ani na sekundę. Nie wygląda wcale na poruszoną.

– Czego ojciec chce?

Czuję, że mój głos mógłby zadrzeć. Dlatego mówię najsurowszym tonem, jakim tylko potrafię: – Jest mi pani winna jeszcze jedną wizytę.

– Co?

– Pani hodowlę. Pamięta pani?

Rozdział 10: Zielone pastwiska Pana

- Nie spodoba się to ojcu.
- Spodoba czy nie, muszę to zobaczyć.
- Nie rozumiem dlaczego.
- Sam sobie to powtarzam. Że nie rozumiem. Więc muszę zobaczyć. Muszę wiedzieć.
- Wedle życzenia – wzdycha pani Lombard, otwierając kolejne drzwi. Mówi coś półgłosem, ale nie rozumiem. To słowa złości.

W korytarzu za ostatnimi drzwiami panuje ciemność. Króluje tam nieprzyjemny zapach stłumiony odorem środka dezynfekującego. Chwilami moim oczom udaje się dojrzeć coś w ciemności, bo też nie jest to ciemność absolutna, jakieś nikłe światło wydobywa z niej nieruchome zarysy przedmiotów, sterty białych szmat na ziemi.

Nagle jedna z tych stert reaguje na światło, porusza się.

Wygląda to tak, jakby po ziemi pełznął ogromny ślimak. A potem ten ślimak otwiera oczy.

Kiedyś w seminarium jakiś stary ksiądz powiedział, że dzieci są jak lilie na zielonych pastwiskach Pana. Całe szczęście, że nie ma go teraz tutaj, i że nie widzi przerażającego plonu tych łąk. Stworzenia oślepiłe wskutek życia w ciemnościach, we własnych ekskrementach, jak świnie. Czy doznały kiedykolwiek jakiejś czułości, choćby jednego gestu? Czy zdarzyła się taka chwila, w której ziarno zwątpienia wykiełkowało w ludziach, którzy je tak traktowali? Czy powstała im myśl, że w tych istotach może tlić się iskra boża?

Nie sądziłem, że po tym wszystkim, co już przeszedłem, po bólu, jaki sprawiła mi pewność utraty najbliższych i śmierć drogich mi osób, nie myślałem, że będę mógł jeszcze tak płakać. Łzy nie przestają płynąć, zraszając tę zepsutą ziemię, tę ziemię brudną od ścieków i wszelkich obrzydliwości, z których największą jest szaleństwo tego, kto tę potworność wymyślił.

Kiedy spytałem panią Lombard, czy to był jej pomysł, zelżyła mnie i spytała, czy zwariowałem.

– Przybyłam tu trzy lata temu. Marc mnie tu przywiózł. Uprzedził, czego mogę się spodziewać, ale i tak... To było straszne...

Pochyliła się nad jednym ze stworzeń. Jest chude i wyniszczone. Ma cztery ramiona. I oczy błękitne jak chabry.

– To samiec – odpowiada Lombard, jakby czytała mi w myślach.

Współczynnik urodzeń nienormalnych dzieci tu, na stacji, wyjaśniła, wynosił sto procent. Kiedy mieszkańcy zorientowali się, że nie rodzą się już normalne dzieci, powoli zaczęło do nich docierać, że dotknęła ich klątwa Cyganki.

– Rzecz jasna, marnowanie cennych protein byłoby absurdem. Wobec tego wszyscy, oprócz matki i ojca dziecka, brali udział w czymś, co nazywali, za przeproszeniem ojca, komunią ciała...

Okaleczenia niektórych dzieci nie są wrodzone. Amputowana noga, amputowana ręka...

– Boże wszechmogący...

Do moich spodni sięga malutka rączka, chwyta materiał. Ma siedem palców.

Myślę, że Bóg nigdy dotąd nie wystawił mnie na taką próbę. Nauka Kościoła każe mi uważać za świętość każdą formę życia. Zakazuje zabijania. Ale w tym momencie jestem posłuszny władzy wyższej niż władza Kościoła. Słucham własnego sumienia.

Jęki dzieci rozdzierają serce.

– Czy one cierpią? – pytam cicho doktor Lombard.

– Oczywiście, że cierpią.

– Więc proszę im dać wolność. Zaklinam panią, proszę je uwolnić – wzdycham i odwracam wzrok od zniekształconej rączki.

– Jest ojciec pewien, że tego chce?

– Tak. Proszę, pani doktor.

Lombard wyciąga z kieszeni kitla strzykawkę z bardzo długą igłą. Z największą delikatnością odgarnia szmaty przykrywające pierś monstrualnego dziecka. Szuka palcem właściwego miejsca na białym ciele. Wbija energicznie długą igłę w klatkę piersiową i wciska do końca tłoczek. Strzykawka jest pusta. Powietrze dostaje się do serca. Oczy dziecka rozszerzają się, potem nieruchomieją, jak na zdjęciu.

Odmawiam modlitwę, moczę kciuk w złotym ciepłym płynie wypełniającym do połowy metalowy bukłak. To oliwa, cenna pozostałość z przeszłości. Niekoniecznie oliwa z oliwek, ale i tak nie jest już jadalna. Ma za to ogromną wartość symboliczną.

Robię znak krzyża na czole martwego dziecka.

– Następny – mówię.

Dziesięć minut i jest po wszystkim. Osiem istnień z tej monstrualnej hodowli leży nieruchomo, już na zawsze.

– Jak na kogoś, kto tak się przejmuje losem ludzi ze stacji, nie zachował się ojciec zbyt racjonalnie – komentuje zrezygnowana Lombard, zamykając za nami ciężkie stalowe drzwi. – Po dwóch dniach pozostanie z nich tylko zepsute mięso. Gdyby ojciec pozwolił im żyć, starczyłyby ludziom na jakiś czas.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

Wzrusza ramionami.

– Jestem kobietą nauki. Myślę, że po śmierci jesteśmy jedynie mięsem. Nie oburzyłabym się, gdyby ktoś zjadł moje ciało, żeby przeżyć.

– Postrzegamy rzeczywistość w różny sposób, to pewne. Co sprawia mi naprawdę dużą przykrość.

– Właśnie. To prawda. Wy jesteście głosem naszego sumienia! Stoicie na straży naszej duchowej integralności! Więc proszę mi powiedzieć, ojcze Daniels, gdzie był ten wasz Bóg, kiedy na moje miasto spadały bomby, obracając w popiół całą moją rodzinę? Gdzie był, kiedy wlokłam się w ciemnościach i zimnie, żywiąc się resztkami zepsutego jedzenia znalezionej na ulicy? Gdzie był, kiedy złapało mnie siedmiu mężczyzn i gwałciło przez całe dni, mówiąc, że „zmiękczają befsztyk”? Durand sam wszedł do ich obozu i przyjrzał się każdemu z nich, spokojny, niemal zrelaksowany, chociaż, inaczej niż on, uzbrojeni byli po zęby, a potem spojrzął na mnie i uśmiechnął się... Puścił do mnie oko i ruszył niczym błyskawica...

Nagły trzask.

Ostry metaliczny dźwięk.

Zamykają się kolejne drzwi, pieczętując koszmar, ale nie cały, nie koszmar pani doktor Adčle Lombard, który kobieta wyrzuca z siebie pełnymi garściami, prosto na mnie.

Przez jej słowa widzę niemal całą scenę.

Durand staje w kręgu siedzących mężczyzn. Jest ich sześciu. Powinien być jeszcze jeden, wartownik. Ale ten nie stanowi już problemu. Już go nie ma. Teraz jest sześciu. „Tylko sześciu”, śmieje się Adčle z niedowierzaniem, kiedy to wspomina.

Durand robi półobrót i wznieca butem tuman płonących żagwi, które trafiają dwóch mężczyzn po jego lewej stronie. Jeden z nich upuszcza nóż, ogromnego bowie, i jest to jego ostatni błąd. To wystarczy. Durand podnosi nóż i płynnym ruchem rzuca nim w kierunku jednego z mężczyzn po swojej prawej stronie, którzy w tym czasie wstali i próbują wyciągnąć z kabur pistolety. Facet z nożem w gardle pada na ziemię. To jest jak sen, myśli Adčle. Scena jak w zwolnionym tempie. Jak w filmie. Nieznajomy o dobrym spojrzeniu chwyta znów płonące żagwie i rzuca je w oczy szefa bandy. Ten pada z jękiem. Durand przywiera obok niego, by uniknąć kuli. Podnosi pistolet. W tym zwolnionym tempie ma czas na to, by skrzywić się widząc, w jakim stanie jest broń. Ale wszystko będzie dobrze. Celuje i strzela, pierwszym strzałem roztrzaskuje żuchwę, a drugim przemienia w miążgę serce gościa, który do niego strzelał. Później wkłada lufę berretty do ust szefa bandytów i naciska spust.

„Jeszcze trzy strzały”, błaga Adčle.

Ale nie są potrzebne. Zabija kolejnego strzałem w głowę, dwaj pozostali zaś padają na kolana i rzucają broń na ziemię.

Przystojniak z tego wybawcy, myśli Adčle, wciąż nieprzytomna z przerażenia po tych ostatnich dniach pełnych przemocy. Przystojny i miły, myśli sobie, opatrując mu zadraśnięcie na głowie. I ma apteczkę, w dodatku pełną. Fantastyczne. I najpierw opatrzył ją samą, zadrapanie na piersi, łono, zdarty pośladek, bardzo delikatnie, jak matka własne dziecko.

Zanim mu pomogła, wskazał kciukiem na dwóch związanych facetów leżących na ziemi. Przykrył ich już prawie zupełnie śnieg. Wyglądali jak zjawy.

„Chcesz to zrobić sama?”, spytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

Kiedy na nią patrzył, kapitan Durand musiał sobie pomyśleć, że była bardzo zgrabna, i że pod brudem, zadrapaniami i skudloną grzywą kryła się piękna twarz.

„W porządku, sam to zrobię”, powiedział spokojnie. Na te słowa dwaj więźniowie wzdrygnęli się tak, że opadł z nich śnieg. Nie mogli jednak nic zrobić. Młodszy zaskowyczał, kiedy ostrze ogromnego noża podrzynało mu najpierw genitalia, a później gardło.

Drugi wykrzywił się niczym zarzynany wieprz.

W gruncie rzeczy był nim.

Jej wybawca odciągnął trupy na bok. Dorzucił do ognia fragmenty drewnianej skrzynki.

Usiadł znów obok niej w miejscu osłoniętym od śniegu.

Spytał, czy może mu opatrzyć ranę na skroni.

Ona przystała, jakby to był rozkaz.

„Jak się nazywasz?”, spytał.

Ale było jeszcze za wcześnie. Milczała, opatrując mu ranę, delikatnie i fachowo.

„Mogłabyś być lekarzem”, powiedział.

„Byłam lekarzem”, odpowie mu kilka tygodni później. „Czymś w rodzaju lekarza. Nie ma już uniwersytetów, ale jestem czymś w rodzaju lekarza”.

„Ile miałaś lat, jak to się stało? To znaczy...”

„Dwanaście”.

„Jesteś bardzo piękna”.

„Ty jesteś piękny”, odpowie mu, wyciągając się pod kołdrę u jego boku, z poczuciem pełnego bezpieczeństwa.

– Nie kochaliśmy się. Nie tamtej nocy.

– Nie musi pani... – próbuję jej przerwać. Ale Adčle zupełnie na mnie nie zważa.

– Mówienie o tym nie jest dla mnie żadnym problemem. Dla ojca jest?

– Jestem księdzem.

– Ale również człowiekiem. Jak Jezus. Jezus był człowiekiem, prawda? Z krwi i kości, tak jak my.

– No...

– Chwileczkę. Nie chcę lekcji teologii. Chcę wiedzieć jedno, od ojca. Co według ojca powinniśmy zrobić z tymi ludźmi? Jedli swoje własne dzieci. Zabijali. Hodowali dzieci jak wieprze...

– Nie mnie sądzić.

– Ach nie? A komu?

– Bogu, naturalnie.

– Pewnie. Bogu. Jak mogłam zapomnieć! Bogu, który skazał na śmierć miliony, miliardy ludzi, a pozwolił żyć tym ścierwom...

– Przecież pani żyła z nimi.

Adčle odwraca się; w jej oczach kipi gniew.

– Niech się ojciec nie waży porównywać mnie do tych ludzi! Nie jestem jedną z nich. Marc przywiózł mnie tutaj właśnie po to, żebym pomogła im zaprzestać tego procederu. To ja zaopiekowałam się tą stacją. Zrobiłam wszystko, żeby... zarzucili swoje zwyczaje...

– Ale wczoraj podali mięso na kolację.

Lombard czerwienieje. Na jej białej cerze rumieniec rozlewa się jak ślad po policzku.

– To nie był mój pomysł.

– Nie? Ich chyba też nie. Pamiętam, że żaden z mieszkańców stacji Aurelia nie tknął mięsa.

Nie odpowiada. Milczy i patrzy na metalowe drzwi, które skrywają to, co było przerażającą hodowlą, a teraz zmieniło się w grób.

Po chwili wypowiada cicho te słowa: „To mięso... było z syna diakona...”.

Odwracam się. W żołądku gwałtownie wszystko mi się podnosi. Wymiotuję bez końca kwaśnym, obrzydliwym strumieniem. Adčle podtrzymuje mi głowę, pomaga mi ustać na nogach, gdy wyrzucam z siebie wszystko oprócz wspomnienia o tym mięsie.

Podnoszę głowę. Wycieram usta grzbietem dłoni.

– Może ojciec zmówić za nich modlitwę? – pyta Adčle.

– Oczywiście.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie,
a światłość wiekuista niech im świeci,
niech odpoczywają w pokoju.

Amen.

Dlaczego czuję taki fałsz, wypowiadając te słowa?

Dlaczego zdaje mi się, że to ja błędzę, a nie doktor Lombard?

– Boże wszechmogący – mówię – zmiłuj się nad nimi i nad tymi, którzy skrzywdzili ich samych i ich dzieci. To nie ich grzechy zasługują na Twoją karę. Przez Swą niezmierną sprawiedliwość powściągnij gniew i pozwól im znaleźć na Twym łonie ukojenie, którego nie mogli zaznać na tej Ziemi.

– Amen – kończy pani doktor. – A teraz już idźmy. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Kiedy wracamy do pomieszczenia, zgodnie z moimi obawami najgorsze już się stało. Wszyscy mieszkańcy stacji Aurelia leżą na ziemi niczym popsute lalki. Prawie nie ma śladów krwi. O mur oparte są trzy całe trzonki od kilofa i jeden złamany.

Odwracam się do Lombard, spodziewając się dojrzeć wyraz przerażenia na jej twarzy w reakcji na to, co stało się z ludźmi, z którymi przeżyła tyle czasu.

Ale nie. Żadnej reakcji. Zachowuje absolutnie zimną krew, jakby się tego spodziewała. Tej bezbożnej rzezi.

– Pięć minut i jestem gotowa. Muszę zejść do laboratorium po notatki.

Odwraca się na pięcie, zupełnie obojętna na scenę śmierci.

– Sami wybrali – mówi sucho Durand, łapiąc moje spojrzenie.

– Jakby mieli alternatywę.

– Mieli. Umrzeć natychmiast albo podjąć ryzyko podróży. Wybrali – replikuje zimno kapitan. – A teraz zrywajmy się stąd. Straciliśmy dobrą godzinę ciemności.

– Zapomniał pan o czymś. Mamy tylko cztery skutery. Po dwa miejsca. A jest nas dziewięcioro.

– Nie bierzemy skuterów.

Manewrując wolno, sierżant Wenzel wyprowadza ze stacji dziwny pojazd, podobny do jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia. Znam go. Był jednym z symboli władzy pieniądza i arogancji zamożnych w świecie przed Wielką Zagładą. To hummer, pochodna wojskowego jeepa, stalowa bestia nieprzystosowana do ówczesnych cywilnych dróg. W naszym świecie jest idealny. Na dachu zamontowano jakiś tuzin reflektorów, a z przodu lemiesz odśnieżarki. Jest żółty. To idiotyczny kolor, strasznie kole w oczy.

Gwardziści ładują broń i bagaże do przestronnego bagażnika, wraz z tajemniczą ciężką skrzynią.

– Piękna, co? – Bune trąca mnie łokciem. – Po to przyjechaliśmy. – I dla mięsa – dodaje z diabolicznym uśmiechem.

Ze stacji wyjeżdża kolejny, identyczny samochód – tyle że ten hummer jest biały i nie ma lemiesza do odśnieżania. Prowadzi go kapral Diop. Jego styl jazdy jest zupełnie inny niż Wenzla. Rusza z piskiem opon z placu, po czym hamuje milimetr od zwoju drutu kolczastego.

– O kurwa – opuszcza szybę i przekrzykuje warkot silnika. – Powiedzcie mi, że w Niebie dadzą mi poprowadzić takie coś!

– Poproś ojca Jacka – radzi Bune i zabiera się, żeby wsiąść do auta.

– O nie! Ty do mojego wozu nie wsiadasz, parszywa trujdupo!

– Wsiadaj do naszego SUV-a, Bune – ucina Durand, pomagając pani doktor ułożyć wielkie torby w bagażniku i wsiąść na tylną kanapę.

– Szefie, od żółtego chce mi się rzygać.

– I tak cały czas rzygasz, jebańcu! – nie odpuszcza Diop.

– Wsiadaj do naszego bez dyskusji, Bune. A jak się zrzygasz w aucie, to przysięgam, że cię wysadzę i każę iść pieszo! Ojciec też jedzie z nami. Piątka w pierwszym aucie, czwórka w drugim.

Wyjeżdżając, nie zamykamy za sobą bram stacji. Nie ustawiamy na powrót zapór z drutu kolczastego. Pozwalamy wiatrowi wpaść przez te szeroko rozwarte bramy i wyć w tych koszmarnych, porzuconych korytarzach. Tak w starożytności Bóg karał zbuntowane miasta albo te, które go zawiodły. Ale ja jestem sługą Boga miłosiernego i w tym upadłym mieście nie dostrzegam śladu jego gniewu, lecz znak kolejnego upadku Człowieka.

Gdy sierżant odpala i rusza naszym hummerem, odmawiam w duchu modlitwę za zmarłych – za wszystkich zmarłych – ze stacji Aurelia. Ale zastanawiam się, czy jakiś Bóg słucha jeszcze moich modlitw. Czasu musi mieć sporo. Mało zostało tych, którzy mogą się do niego modlić. A i ci nie zawracają mu głowy zbyt często. Więc dlaczego nie wysłucha tych kilku prośb, które docierają do jego ucha?

Wiatr wzbija śnieżne obłoki. Wkrótce stacja Aurelia z balonem metanu na dachu znika nam z oczu.

Jakby nigdy nie istniała.

Jakby mi się tylko śniła.

Rozdział 11: Zamiast Gwiazdy Polarnej

– Zamiast Gwiazdą Polarną – mówi do mnie Wenzel – moglibyśmy kierować się sygnałami z liczników Geigera. Jedyna bomba spadła w Rzymie na dwunastym kilometrze Via Tiburtina, na północ stąd. Kiedy zbliżasz się do tego miejsca, liczniki zaczynają śpiewać jak świerszcze.

– Dlaczego zbombardowali właśnie to miejsce?

– Tam była siedziba MBDA – odpowiada siedzący obok kierowcy Durand. – Europejskie konsorcjum. Lider w produkcji broni raketowej.

– Produkowali masę dobrego towaru – dodaje sierżant. – Możliwe, że tę bombę wystrzelili Amerykanie... Żeby wyeliminować konkurencję...

– Mój przyjaciel, profesor, mówi, że bomby były dwie.

– Tak i nie – odpowiada Durand. – Spadły dwie, ale tylko jedna wybuchła. Druga nie. Celowali w lotnisko Ciampino.

– Pięćdziesiąt procent nieskuteczności – komentuje sarkastycznie Bune.

– Ale dlaczego tylko dwie bomby na stolicę państwa?

– A pamięta ojciec, co to było za gówniane państwo? Małe, tycie, ciasne gówniane państwo?

– Ale i tak...

Durand wzrusza ramionami.

– Pewnie była w tym ręka Boża. Tak to się mówi, co?

– Szefie, chce mi się rzygać – anonsuje Bune siedzący na miejscu po prawej stronie.

– Nie próbuj.

– Wenzel, ty gówniany kierowco...

– Podziękuj, że cię w ogóle zabraliśmy – odparowuje spokojnie sierżant.

Zastanawiam się, jak daje radę prowadzić w takich warunkach. Ciemno, śnieżyca, przeszkody pojawiają się w ostatniej chwili. Opony są wzmacniane kevlarom, jak mi powiedział. Cztery zapasowe zajmują połowę przestrzeni bagażnika.

Mówi o aucie z taką pasją, że nie może go prowadzić po raz pierwszy.

Zagaduję o to.

– Pewnie, że już nim jeździłem. Mieliśmy też jednego humvee, kiedy przyjechaliśmy z Zamku Świętego Anioła. To był dopiero samochód. Wojskowy model, amerykański, którego jakiś nadziany debil przerobił na limuzynę. Szkoda, że nie można było dostać części. Te dwa hummery to moje dzieci. Mam nadzieję, że Diop mi go nie zrukuje. Wzmocnione filtry powietrza i ołowiana warstwa pod dachem to moja robota. Są jak mechaniczne monstra doktora Frankensteina, bo musiałem wyciągać części zamienne z innych aut. Kiedyś byłem mechanikiem u dealera Jeepa. Zanim wszystko poszło się pieprzyć.

– Tu w Rzymie?

– *Nah*. W Hamburgu. Z naszej ekipy nikt nie jest stąd. Nie słyszał ojciec mojego akcentu? Byłem na wakacjach z dziewczyną. Zobaczyć Wieczne Miasto... Wieczne... dobre sobie... Spaliśmy w hostelach dla młodzieży, w śpiworach. Gdybym tylko wiedział, że będę musiał już prawie zawsze spać w śpiworze...

– Co się stało z dziewczyną?

Wenzel nie wzrusza ramionami, ale na jedno wychodzi. Jego głos jest neutralny, obojętny.

– Straciliśmy się z oczu. Już jakiś czas się nie odzywa. Może raz do niej zadzwonię, co ojciec na to? I jest to ironiczne epitafium dla jego utraconej miłości.

Wenzel znalazł dealera dwa kilometry od stacji Aurelia. Jak mówi, prawie wszystkie wozy to był złom.

– Ale te dwie piękności... – wzdycha i gwizdże z zachwytem.

– Stały w podziemnym garażu. Zamknięte jak w brzuchu mamy. Nikt tam nie wchodził od czasu FUBARD. Jasne, że po tych dwudziestu latach coś tam im dolegało. Ale w kilka tygodni doprowadziłem je do ładu. Nie są jak nowe, ale wystarczyło, żeby jeździły, i to jak! Przypuszczalnie były przygotowane do odbioru, kiedy spadła bomba. Chciało mi się płakać, kiedy wyjeżdżaliśmy nimi pierwszy raz.

– A mnie rzygać. Już nie mogę.

– Cicho, Bune. A ty, Wenzel, uważaj na drogę i daj spokój wspomnieniom. Przypominam ci, że wjeżdżamy na nieciekawym terenie.

W aucie od razu zapada cisza. Miłe ciepło ogrzewania, światelka deski rozdzielczej odbite w szybie ukołysały mnie w złudzeniu normalności.

Sierżant zwalnia. Droga prowadzi teraz wśród wysokich, częściowo zburzonych budynków. Ciemnych niczym góry. Wiatr chłoszcze samochód i trzęsie nim niemiłosiernie. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Od czasu do czasu Durand przegląda starą mapę drogową, której stan przypomina starożytne papiirusy. Nie zdziwiłbym się, gdyby oznajmił, że jesteśmy na Księżycu. Ten pejzaż może doprawdy zmylić.

Skręcany mdłościami Bune bez słowa opuszcza szybę po swojej stronie.

Kapitan odwraca się do niego rozwścieczony.

– Bune, ty idioto!

Coś wali w bok hummera. Spada na mnie ciało Adčle Lombard.

Przez okno weszła do środka długa, ciemna gałąź.

Nie, to nie gałąź: to ramię! Długie, szare, kościste ramię zakończone pięcioma szponami. Wyciąga się i zgina w małej przestrzeni kabiny, próbując nas chwycić. Zaciska się na torsie Bunego, który wyje z bólu.

Wenzel i Durand skaczą na równe nogi jak dwa koty i otwierają drzwi wozu. Wypadają na zewnątrz z bronią w rękę. Strzały brzmią jak odgłos burzy. Kolejne ramię wsuwa się przez okno, a za nim monstrialny pysk, jakby zdeformowanego psa, z obnażonymi krzywymi kłami ociekającymi pianą. Ku mojemu zdumieniu, Adčle wkłada potworowi lufę schmeissera do pyska i naciska spust.

Łeb odskakuje gwałtownie do tyłu, obryzgując krwią dach samochodu. Szpony zwalniają uścisk na piersi Bunego, który otwiera drzwi i wyskakuje z auta, chwytając pistolet w prawą i nóż w lewą dłoń. Wrzeszczy jak opętany, strzela, póki nie kończy mu się amunicja w magazynku, po czym rzuca się z nożem na coś, czego nie można dojrzeć w ciemnościach pełnych ruchu, złości i strzałów. Do walki musiała się włączyć ekipa z drugiego hummera, bo słychać strzelaninę z kilku automatów i wrzaski wielu ludzi. Kontrapunktem dla ludzkich głosów są odgłosy zwierzęce, tu pełne agresji, tam zwiastujące agonię. Totalny chaos.

Adčle też wyskakuje z SUV-a. W tym momencie pozostaje mi już tylko pójść w jej ślady.

Pani doktor strzela do ostatniego naboju w magazynku. Potem wkłada nowy. Z prawej strony atakuje ją jakaś bestia. Nie odwracając się, Lombard ładuje jej kulę w łeb. Stwór osuwa się na ziemię z rykiem przechodzącym w jęk. Na ziemi leżą nieruchome ciała. Żadne z nich nie wygląda na ludzkie. Mają skrzydła jak nietoperze i bardzo długie zwierzęce łapy.

Gdzie są nasi, wiem tylko dzięki błyskom ognia przeszywającym ciemność. Na ich tle przemykają szybko czarne sylwetki.

– Strzelaj, John! – krzyczy Adčle. Stoi przed jednym z potworów, jej magazynek jest pusty.

– Strzelaj, kurwa!

Nawet nie spostrzegłem, że mam w dłoniach mój karabin maszynowy. Mierzę i naciskam spust. Nic. Próbuję znowu. Nic. Broń się chyba zacięła. Już mam ją rzucić na ziemię, kiedy obok mnie zjawia się ktoś w mundurze i strzela do bestii atakującej Adčle.

Później odwraca się do mnie z wściekłą miną.

– Bezpiecznik, idioto! Odbezpiecz broń!

Ślęcę nad karabinem, żeby znaleźć ząb zabezpieczenia i w końcu odbezpieczam. W samą porę, bo w światłach drugiego SUV-a dostrzegam zbliżające się ku nam dwie olbrzymie włochate bestie, grube jak niedźwiedzie, o płonących oczach.

Durand przyklęka obok mnie i celuje.

Robię to samo. Adcłle ładuje swojego schmeissera.

Kiedy bestie są niespełna dwa metry od nas, zmasowany ogień automatów otwiera dziesiątki czerwonych gejzerów w ich czarnej sierści. Pysk jednej z nich zostaje praktycznie rozbity. Stwór wali się na ziemię. Drugi nie przerywa biegu, ale to już tylko siła bezwładności, bo tuż przed nami pada martwy z trzema krwawiącymi kikutami zamiast nóg.

Zdychając, próbuje jeszcze gryźć. Szczęki otwierają się i zaciskają, kłapiąc na próżno. Ale najstraszniejsze jest jedyne ocalałe oko. Pobłyskuje w nim ludzka inteligencja. Nie ma w nim zła. To spojrzenie osacza mnie jak rzucony urok. Mógłbym utonąć w jego błękicie przywołującym dawne niebo.

Ostatkiem świadomości wychwytyję coś na kształt muzyki, jakiś szmer, jakby melodię.

Strzał. Ogłuszający.

Błękitne oko eksploduje.

Kapitan Durand chowa pistolet do kabury. Rozgląda się nerwowo dookoła i uspokaja dopiero, kiedy zauważy Adcłle Lombard wychodzącą z mroku z karabinem maszynowym w dłoniach.

Gdzieś tam słychać jeszcze strzały, ale następująca po nich cisza potwierdza koniec bitwy. To już tylko dobijanie rannych.

Nad dwoma SUV-ami wisi piekielny smród. Zwierzęca stęchlizna pomieszana z gryzącym odorem prochu strzelniczego.

Zapach krwi.

Ta tryska strumieniami z czarnych ciał ścielących się u naszych stóp.

Durand nawołuje swoich ludzi, po nazwisku. Z różnych stron ciemności odzywają się odpowiedzi, jedna po drugiej.

Brakuje tylko Bunego.

Zaczynamy wołać go wszyscy. Ale bez odpowiedzi.

Wiatr ustał. Zaczyna prószyć śnieg.

Z ciemności wyłania się jakiś monstrualny pysk. Coś rzuca się ku mnie.

Podnoszę ręce, żeby to odepchnąć, ale dostaję w twarz.

Słyszę zdeformowany przez maskę przeciwwgazową głos sierżanta Wenzla, który wygląda w niej jak olbrzymi robak.

– Proszę założyć maskę! Natychmiast!

Macam kurtkę, kombinezon. Maski brak. W ferworze walki musiała mi upaść na ziemię. Płócienna patka, na której wisiała, jest urwana.

Odpinam z pasa latarkę i zaczynam szukać wokół siebie. Ciemność znaczą nitki światła innych laterek, skaczące po martwych ciałach. Śnieg skrzypi pod butami żołnierzy. Silniki dwóch hummerów pomrukują niczym koty, obojętne wobec całej masakry. Zabiliśmy przynajmniej osiem stworów, nie ponosząc strat, nie licząc Bunego. Są ranni, ale chyba niegroźnie.

Wracam do żółtego SUV-a i oświetlam tę jatkę na ziemi. Oto i moja maska. Leży przy pierwszym zabitym stworze. Schylam się po nią z uczuciem ulgi.

I wtedy potwór ożywa.

Odskakuję przerażony do tyłu. Potykam się i przewracam na plecy. Ciało potwora podnosi się, zwracając łeb w moim kierunku.

Po chwili wali się na bok.

Spod zwłok, prychając, gramoli się Bune.

– Kurwa, tym razem niewiele brakowało...

Twarz ma całą we krwi, ale to raczej nie jego krew. Przez białka oczu i jaśniejące w czerwieni zęby wygląda jak diabeł. Śmiejący się diabeł...

– Bune, ty kretynie!

Sierżant Paul Wenzel podnosi żołnierza siłą. Szarpiąc za klapy kurtki, ciągnie go w stronę auta i rzuca na maskę drugiego SUV-a.

Wyciąga kolta.

Wkłada mu lufę do nosa.

– Ty jebany debil, o mało co nie zginęliśmy przez ciebie wszyscy!

Kciukiem odwodzi kurek rewolweru.

– Stać, sierżancie! Proszę zostawić tego żołnierza.

Głos Duranda jest zimny, wręcz lodowaty. Podchodzi do nich wolnym krokiem. Wyciąga dłoń. Po chwili zawahania podwładny podaje mu broń.

– Świetnie. Sierżancie, proszę z powrotem na miejsce kierowcy w naszym SUV-ie.

Bune jęczy, wyciągnięty na masce auta.

Kapitan podchodzi do niego. Podaje mu rękę i pomaga wstać.

Kiedy szeregowiec jest już na nogach, prawa ręka Duranda zamyka się w pięść i trafia żołnierza straszliwym ciosem.

– Jeszcze jeden taki żart, jak ten z szybą, i jesteś martwy. *Verstehen?* Martwy!

Bune wstaje, masując sobie szczękę.

– Jasne. Na rozkaz, panie kapitanie.

– Jeszcze jeden durny wyskok i sam do ciebie strzelę. Nie zostawię nikomu innego przyjemności uwolnienia świata od twojej obecności. A teraz spieprzaj do samochodu. Nie, nie do naszego. Pojedziesz tamtym.

– Ale oni mnie nienawidzą.

– Tak, ale nie sierżant. On chce cię po prostu ukatrupić. Zjeżdżaj, żołnierzu!

Bune odchodzi posłusznie bez słowa.

Wtedy Durand odwraca się w swoją stronę.

Jego maska to inny model niż Wenzla, który mógłby w niej zagrać rolę w filmie o pierwszej wojnie światowej. Maskę przeciwgazową oficera ma szeroki wizjer, z materiału wyglądającego na plastik, a respirator prawie nie zniekształca głosu.

– Nie nosi ojciec maski.

– Upadła mi. Kiedy...

– Czy ja o coś pytałem? Powiedziałem tylko, że nie nosi ojciec maski. Nadal nie widzę jej na twarzy.

Spiesznie wciągam na głowę niewygodną osłonę z plastiku. Zastanawiam się, czy gaz, jakkolwiek szkodliwy, może wygrać z tym smrodem starej gumy i chemikaliów.

– Tak lepiej. Poza tym zaniedbaniem nie było źle.

– Dziękuję.

– Nie trzeba dziękować. Proszę po prostu nie robić głupstw, to wszystko. A teraz proszę wracać do samochodu.

Robię w tył zwrot i maszeruję do pierwszego hummera.

Przywołuje mnie znów głos Duranda.

– Ej, ojcze!

Odwracam się i spoglądam na niego.

– Witamy na powierzchni.

Rozdział 12: Napis na murze

Nawet takim wozem jak hummer nie jest łatwo poruszać się po drogach zawalonych przykrytymi śniegiem autami, na asfalcie zniszczonym przez klimat. Momentami koło SUV-a wpada w dziurę. Innym razem przejeżdża nad niewidocznymi przeszkodami – leżącymi znakami drogowymi czy też stosami ludzkich kości. Pod ciężarem kół kości łamią się, wydając dźwięk podobny do kastanietów. Ale w środku, przez grubą blachę karoserii, nie słyhać tego. Kiedyś w samochodzie słuchano by muzyki z płyty kompaktowej lub radia. Teraz nie ma już CD. Zachwalane jako wieczne w momencie powstania, nie oparły się destrukcyjnemu działaniu czasu i czynników atmosferycznych. Cienka warstwa metalicznego lakieru zniknęła, pozostawiając goły przezroczysty plastik. I żadna stacja radiowa nie zakłóca ciszy w eterze. Słyhać jedynie szumy i dudnienie, jak w opuszczonym domu nawiedzanym przez duchy.

Jakieś dziesięć mil na północ od Rzymu, na starej autostradzie A90, na wysokości Fidene, natykamy się na pierwszą prawdziwą przeszkodę – rzekę, która wystąpiła z brzegów i rozlała się po całej okolicy. Na powierzchni w kierunku morza dryfuje kra.

Most na rzece runął. Reflektory świecą w pustkę otwierającą się za pierwszym filarem.

– Koniec jazdy – mruczy Wenzel.

Durand pokazuje palcem na mapie.

– Niekoniecznie. Widzisz ten rozjazd? Możemy się tam dostać?

Sierzant drapie się po trzydniowym zaroście.

– Przy odrobinie pieprzonego szczęścia. Nie podobają mi się pęknięcia na tych filarach. Ale co tam, raz się żyje. Tak mówią, nie?

– Ale nie trupy.

Wenzel rechocze. Redukuje bieg i zaczyna zjeżdżać SUV-em wzdłuż zbocza wału.

Zjeżdżamy bardzo ostrożnie, lekkimi zrywami i podskokami, aż do bezkolizyjnego skrzyżowania. Sierzant prowadzi z niezwykle wytężoną uwagą, niczym skoczek na linie. Kilka filarów zawaliło się podobnie jak most. Pewnie bardziej ze starości i braku konserwacji niż z powodu eksplozji bomby, która przecież spadła daleko stąd. Choć może niewystarczająco daleko, bo kilka aut widocznych w świetle reflektorów leży na boku lub na dachu. Pozostałe rdzewieją w nurcie rzeki.

– Co to za rzeka? – pytam Duranda.

Zdumiony podnosi wzrok, jakbym mu zadał jakieś głupie pytanie.

– Tybr.

Patrzę na płytką, stojącą wodę jakieś dziesięć metrów pod nami. Setki samochodowych wraków rozrzuconych wzdłuż koryta i na brzegach rzeki. Fala uderzeniowa wybuchu trafiła w nie z siłą młota.

Rzeka nie ma w sobie nic majestatycznego. Coś musiało się stać na wcześniejszym odcinku. Tybr zajmuje minimalną szerokość swojego koryta. Ale nie ma czasu na zaspokajanie ciekawości. Do świtu zostały już tylko trzy godziny, a musimy znaleźć jeszcze jakieś schronienie na ten cholerny czas za dnia, kiedy promienie słońca zabijają.

Zjeżdżamy z prędkością piechura, jakbyśmy pokonywali pole minowe. Niestety, to coś jeszcze bardziej niebezpiecznego. Są tu niewidoczne przeszkody, które mogłyby złamać półkę tego stalowego pojazdu, a wtedy zostalibyśmy bezbronni wobec promieni słonecznych. Maksim, mój uczonego przyjaciela, powiedział mi, że niebezpieczeństwo bierze się ze zniszczonej warstwy ozonowej. Na początku, zaraz po dniu Wielkiej Zagłady, ludzie myśleli, że jedynym niebezpieczeństwem jest promieniowanie radioaktywne. Myśleli, że wystarczy czujnik promieniowania, żeby się poruszać na powierzchni. Ale to nie było tak. Nawet w rejonach potencjalnie wolnych od skażenia jądrowego ludzie umierali, z twarzami całymi w okropnych krostach.

Skóra schodziła z nich jak rękawiczka.

A dzieci, które się rodziły...

Widziałem próbkę na stacji Aurelia.

Maksim od razu zrozumiał, że niebezpieczeństwa, których nie mógł wykryć licznik Geigera, wiążą się ze słońcem, i że warstwa chmur przykrywająca Ziemię niczym olbrzymi całun w ogóle nas nie chroni. Próbował ostrzegać innych, ale w tych czasach Rosjanin nie był zbyt mile widziany. Żył w zamknięciu i pod dozorem. Wszystko się zmieniło, kiedy zorientowano się, że Maksim miał rację. Że próżne były wszelkie próby uprawiania czegokolwiek na zewnątrz, i że nawet szklarnie nie ratowały ludzi i roślin od strasznej śmierci.

Rośliny...

Przed Wielką Zagładą większość sądziła, że natura przetrwa każdą katastrofę. Że na polach nadal będzie rosło zboże, kukurydza, warzywa. Ale oprócz zagrożeń z powietrza i światła, nie wzięli pod uwagę czegoś równie fatalnego. Rośliny siane rok po roku wyradzały się. Po Wielkiej Zagładzie nie udały się już żadne zbiory, ale i tak by ich nie było, nawet gdyby promieniowanie nie okazało się tak silne. Pola po prostu zarosłyby chwastami. Żadnej jadalnej rośliny. Żadnego nowego zbioru, chyba że znalazłby się gdzieś zapas nasion.

Świat był pusty i jałowy. Lód i śnieg nie pozwalały martwej ziemi powstać burzą pyłków wznieconą przez wiatr, który mógł jedynie gwizdać i szaleć bez końca nad martwymi równinami.

Zastanawiam się często, co się stało z innymi miastami. Jeżeli Rzym został trafiony tylko jedną bombą i tak wygląda, to jak muszą wyglądać inne miasta, trafione kilkoma głowicami nuklearnymi? Czym są dzisiaj Nowy Jork, Pekin, Moskwa? Radio milczy, a nasz świat ogranicza się do horyzontu, który możemy objąć wzrokiem. Myśleliśmy, że jesteśmy gigantami, a przebudziliśmy się jako karły, nie!, gorzej: jako mrówki. A patrząc na stworzenia, które zabiliśmy, rozpoznając światło w ich oczach, zastanawiam się, czy nadal możemy twierdzić, że to nam przeznaczono Ziemię, i czy też może dziedzictwo ustanowione w zamierzchłej przeszłości nie zostało nam właśnie odebrane. Nie mamy nazwy dla tych stworów. O ile wiem, nikt nie usiłował ich nawet sklasyfikować, ułożyć w gatunki i podgatunki. Jedne latają, inne pełzają. Jeszcze inne, tak jak mięśnie, są dla mnie zupełnie niepojęte. Ale wszystkie mają wspólną cechę. Są niebezpieczne. Stanowią zagrożenie dla człowieka, którego zdają się nienawidzić ze wszystkich sił, nawet gdy są do niego podobne. Nawet gdy trzeba prawdziwego wysiłku, żeby nie dojrzeć w nich cech ludzkich.

– Dam dolara za ojca myśli – uśmiecha się Adčle. W kabinie SUV-a jest teraz więcej miejsca, kiedy Bune przesiadł się do drugiego wozu. I zdecydowanie więcej spokoju, jeżeli nie patrzeć za okna i nie słuchać przekleństw Wenzla prowadzącego pojazd między przeszkodami jak w rajdzie, którego stawką jest śmierć.

Jestem jej wdzięczny za to, że odrywa mnie od tych myśli.

– Myślałem o tych stworach...

– Których? Lupermanach czy barachłach?

Kręcę głową.

– Nie rozumiem.

– Barachła to te stwory z długimi łapami i małymi głowami. Nazywają je tak dlatego, że wystarczy jeden strzał i padają. Lupermany to zupełnie inna para kaloszy. Te bestie wyglądają na skrzyżowanie wilka, *lupo*, i Supermana... To chyba stąd ta nazwa. A może chodzi o dawną rasę psów – dobermanów... W każdym razie możesz wystrzelać cały karabinek, a one nie padną. Nauczyliśmy się strzelać im w łapy, wtedy zwalniają bieg i możesz je trafić w jakiś czuły punkt. Tylko nie w głowę. Mówię to na wypadek kolejnego spotkania: łeb tych bestii jest twardy jak stal. Potrzeba granatnika, żeby zrobić dziurę...

– Skąd pani je aż tak dobrze zna? Sądziłem, że naukowiec...

– Te istoty to moja praca. Bardziej niż naukowcem jestem badaczem terenowym.

Hummer ześlizguje się niebezpiecznie do tyłu po próbie przejechania przez stertę gruzu. Po chwili

prostuje tor jazdy.

– Co się dzieje? – pyta mnie łagodnym tonem Adčle, widząc, jak pograżyłem się w myślach.

– Myślałem... Mięso tych stworów...

Kobieta otwiera szeroko oczy.

– O, nie. Absolutnie nie. To czysta trucizna. Na początku... Kiedy mutacje nie były jeszcze tak agresywne... Ktoś próbował się tym żywić... Przynajmniej tymi, które... mniej przypominały... No rozumie mnie ojciec. Ale ich mięso było śmiertelnie trujące. Kto je zjadł, natychmiast chorował. I umierał.

– Pani prowadziła nad nimi badania. Zna je pani lepiej ode mnie. Może mi pani wyjaśnić jedną rzecz? Jak to możliwe, że tak głębokie mutacje zaszły w niespełna dwadzieścia lat? Te stwory wyglądają na obcych. To oczywiste, że pochodzą od jakiegoś zwierzęcia. Ale jak mogły się zmienić w tak krótkim czasie?

Adčle patrzy długo gdzieś za okno, zanim mi odpowie. Ciemności powoli ustępują, zaczyna je oblegać szarość, która zwykle przychodzi przed świtem. Koła samochodu kręcą się coraz szybciej, by prędkością pokonać słońce o zabójczych promieniach.

– Też się nad tym zastanawiałam – wzdycha Lombard, kręcąc głową. – Niektórzy twierdzą, że oprócz bomb atomowych zostały odpalone jeszcze inne głowice. Broń o wiele gorsza. Biologiczna. Czynniki mutagenne. Możliwe. Całkiem możliwe... Ale według mnie nie ma logicznego wytłumaczenia, chyba że Darwin niewąsko się pomylił.

– W jakim sensie?

– W takim, że ewolucja wcale nie jest taka niepodważalna, jak sądził. Niewykluczone, że w grę wchodzi inne... siły.

– Inne siły? Co to znaczy? Co za siły?

– Może ojciec jest lepiej przygotowany ode mnie, żeby odpowiedzieć na takie pytania.

Rozmyślam nad jej dziwnymi słowami, kiedy Durand odwraca się i ujmuje prawą rękę Adčle.

– Zdaje się, że mieliśmy szczęście. Widzicie tę wieżę?

Pokazuje dziwną budowlę w kształcie grzyba na wysokiej nodze, która wznosi się, z pozoru nienaruszona, nad pokrytymi śniegiem ruinami małego miasteczka. Potężna konstrukcja, na tyle potężna, że góruje nad śnieżną zawieruchą.

– Co to jest?

– Wieża ciśnień. Będziemy tam w niecałe dwadzieścia minut. Jak Bóg da, rzecz jasna. Proszę się modlić, żebyśmy nie potrzebowali na to więcej czasu, bo musimy jeszcze uzupełnić paliwo i schronić się na noc.

Wenzel przyspiesza, wykorzystując prosty odcinek drogi, bez zalegających wraków.

Dookoła nas nie widać niczego żywego. Domy, proste jednopiętrowe mieszczańskie budowle, otoczone porzeczawymi ogrodzeniami. Szeregi spalonych zabudowań, inne bez dachu.

– Pół biedy – mówi cicho Adčle.

– Co...?

– Pół biedy, że to wieża ciśnień. Nie znoszę tych starych budynków. Na ich widok dostaję dreszczy.

– Dlaczego?

– O, nie chodzi o same budynki. Średniowieczne budowle przetrwały FUBARD lepiej od wielu nowoczesnych konstrukcji...

– Więc pani też to tak nazywa...

– Jakie to?

– FUBARD. Zwykle mówi się Wielka Zagłada albo Dzień Wielkiej Zagłady.

– To wy, księża, tak mówicie. Ludzie nazywają to różnie. Niektóre nazwy nie przypadłyby wam do gustu. Dlaczego nie mówicie na to Dzień Sądu Ostatecznego?

– Bo Dzień Sądu Ostatecznego to co innego. To dzień, w którym na Ziemi nastanie Niebieskie Jeruzalem, kiedy będziemy mieli Nowe Niebo i Nową Ziemię, a Sprawiedliwość...

– Proszę spojrzeć na zewnątrz, ojciec Daniels! Nowe Niebo i Nową Ziemię już mamy. I cienko to wygląda, nie? A co do sprawiedliwości...

– Pani patrzy na wszystko oczami nauki. Ja oczami wiary.

– Jakie piękne słowa! Szkoda, że to, co się zdarzyło, zawdzięczamy nauce, i że wiara nie uratowała nikogo w dzień... waszej Wielkiej Zagłady.

– Oboje jesteśmy kiepsko ustawieni, nie?
Adճle odwzajemnia mój uśmiech.

– Oj tak.
Wyciągam rękę.

– Rozejm?

– Rozejm – przystaje i ściska mi dłoń.

– Dlaczego nie lubi pani starych budowli?
Patrzy na mnie z autentycznym zdumieniem.

– Jak to? Nie wie ojciec? Nigdy ojciec nie słyszał o duchach?
Kiwam przecząco głową.

– Normalnie byłabym ostatnia, żeby w to uwierzyć, gdybym ich nie zobaczyła.

– Na własne oczy? Widziała pani duchy?

– Tak. Na stacji Aurelia. I jeszcze... jeszcze w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu ze wszystkich możliwych.

– Czyli?

– Może następnym razem – przerywa nam oschle kapitan Durand. – Jesteśmy na miejscu.
SUV zatrzymuje się przed ogrodzeniem, które wygląda na nieuszkodzone, taka metalowa barykada zwieńczona zwojami drutu kolczastego. Za ogrodzeniem znajduje się najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Stacja benzynowa. Na pozór nietknięta.

Durand wkłada maskę przeciwgazową i ciężki fartuch, z tych, co to kiedyś były na wyposażeniu oddziałów wojskowych na wypadek wojny nuklearnej lub biologicznej. Chwyta karabin, wysiada z auta i idzie w kierunku bramy zamkniętej dwoma potężnymi łańcuchami.

Długo rozgląda się wokół siebie. Jakby przeszukiwał wzrokiem każdy metr dachu, każdy załom muru.

Najwyraźniej usatysfakcjonowany, wyciąga z kieszeni pęk kluczy. Nie waha się ani chwili, wybierając właściwy najpierw do jednej, a później do drugiej kłódki. Otwiera bramę na oścież. Osłania go dwóch żołnierzy z karabinami wycelowanymi w kierunku zawalonych domów wokół stacji. Wenzel rusza hummerem. Powoli, bez hałasu, tak jak zrobił to Durand, ściągając łańcuchy.

Zarówno nasz, jak i drugi hummer wjeżdżają na zamknięty teren. Dwaj żołnierze eskorty, których nie mogę rozpoznać przez maski i gumowane płaszcze, spieszenie zamykają bramę i zakładają z powrotem podwójny łańcuch.

Tymczasem Durand podniósł już kratę czegoś, co wygląda na garaż. Dwa SUV-y wjeżdżają do środka.

Wysiadamy. Rozprostowujemy nogi.

– Myślałem, że będziemy tankować – mówię do Wenzla.

– A jakże. A skoro już tu jesteśmy, to możemy nawet dać sobie umyć szyby...

I pokazuje narożnik przedniej szyby z ciemną krwawą plamą – pozostałość po jednym ze stworów.

– Zatankujemy tu, w środku. Widzi ojciec te beczki? To jest nasz skarb. Coraz uboższy, bo te bestie ssą jak dziwki. Przepraszam za francuszczyznę.

W kącie garażu stoi sześć beczek ułożonych jedna na drugiej i jakiś tuzin walających się.

– Te leżące są puste. Trzymamy je w nadziei, że mogą się jeszcze przydać. Na razie się nie przydały.

– Jak to się mówi, *spes ultima dea*... – pokpiwa Bune, przemykając obok nas jak troll, objuczony ciężkimi torbami.

Adčle klepie go przyjacielsko po ramieniu.

– Ojciec, rzecz jasna, sądzi, że to jego Bóg umiera ostatni, a nie Nadzieja. To niesamowite, jak wraca moda na bogów z przeszłości.

– To nie jest mój Bóg. To Bóg wszystkich.

Doktor Lombard nie sprawia nawet wrażenia, że usłyszała moje słowa.

– Widział ojciec kiedykolwiek obraz nagiego mężczyzny z członkiem we wzwodzie? Olbrzymim członkiem, niemalże większym od niego samego? To Priap. Bóg męskiej płodności. Na stacji Aurelia mieliśmy jego posąg w brązie. Nie wiadomo, skąd go wytrzasnęli. Przypuszczalnie nie była to starożytna rzeźba, a jedynie współczesna reprodukcja. Myśleli, że... no, że wspomaga reprodukcję. Najwyraźniej nie przeczytali punktów zapisanych małych literami. A poza tym są bóstwa o wiele skuteczniejsze.

Ostatnie stwierdzenie mnie zaskoczyło.

Ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, staje przede mną Durand z surową miną.

– Jak już skończycie wasze uczone pogaduszki, to bądźcie łaskawi za mną pójść. Pokażę wam miejsca noclegu.

To ciekawe, jak te same słowa mogą dziś określać rzeczy zupełnie inne niż dawniej. Dziś nazywamy nocą to, co kiedyś było dniem. Nasz język, podobnie jak nasz dobowy cykl, musiał się szybko dostosować do nowych praw życia. Albo przeżycia. Zakładając, że jest jakaś różnica między jednym a drugim.

Życie bowiem dzisiaj to tyle, co przeżycie.

Wieża ciśnień została połączona ze stacją paliwową tunelem zbudowanym z materiałów zastępczych: tablic reklamowych, plastikowych płacht. Do tego śnieg, który przykrył te improwizowane konstrukcje, stworzył tunel, którym przechodzimy aż do podstawy wieży. Patrząc nieufnie na pordzewiałe schody wijące się na ścianie budowli. Ale Durand uprzedza: – Nie idziemy tędy. Potem proszę użyć kolejnego klucza, do metalowych, świeżo pomalowanych drzwi. Otworzą się bez najmniejszego hałasu, zawiasy są doskonale naoliwione.

– Ten obiekt jest stałym schronieniem... – zdumiewam się. – Nigdy o nim nie słyszałem.

Ale z pewnością słyszał ojciec wyrażenie *Top secret*. No właśnie, to jest obiekt wojskowy *Top secret*.

Myślałem, że trzeba będzie wejść na samą górę, ale nie. Jest prymitywna winda, taka platforma podnoszona przy użyciu zmyślnego systemu lin i bloków, rodem z wiekowego projektu Leonarda.

Durand jakby czytał w moich myślach.

– Nie ma ojciec pojęcia, jak przydatne okazują się niektóre stare projekty. Gdyby to zależało od sakralnych tekstów, to dzisiaj wszyscy klęczelibyśmy i mamrotali psalmy w oczekiwaniu na dzień Sądu Ostatecznego. Jakbyśmy go nie mieli już za sobą. Słyszałem ojca rozmowę z Adčle. Spustoszenie zakłada też nagrodę na końcu tunelu. A ja mówię, że nie będzie żadnej nagrody. Prawdziwą nagrodą jest przeżyć, dzień po dniu. I to udaje mi się najlepiej. To mój zawód. No już, wchodźcie.

– Czy to bezpieczne?

– A co jest dziś bezpieczne? Umówmy się: jeśli dzisiaj winda spadnie, to będzie to pierwszy raz. Z góry słyhać warkot silnika wysokoprężnego, cokolwiek dychawiczny.

– Wsiadać, jedziemy! – głos Bunego z góry, spotęgowany akustyką, brzmi jak głos Boga.

Wjeżdżamy na górę powoli, bez zrywów. Betonowa kolumna jest przeogromna, jej mury pokrywa zielona pleśń. W docierającym z góry świetle ledwo da się ocenić wielkość obiektu.

– Wie ojciec, dlaczego Rzym miał tyle fontann? – pyta Adčle.

– Domyślam się, że Rzymianie lubili wodę.

– Pudło.

– Pozwól, że ja ojcu wyjaśnię – wtrąca się Durand. – Oprócz funkcji estetycznej fontanny mają też znaczenie ściśle techniczne. Są niezbędne. Chociaż starożytni Rzymianie byli wyśmienitymi inżynierami i potrafili zbudować wodociąg, który na przestrzeni setek mil zachowywał odpowiednie nachylenie z dokładnością do jednego milimetra, to woda i tak dopływała do miasta z ciśnieniem, które było zdolne rozsadzić każdą instalację, gdyby nie miało odpowiedniego ujścia. Tym ujściem były fontanny. Pionowe wodotryski służyły właśnie do tego, aby osłabić siłę wody.

– Nie wiedziałem. Dziękuję. Nie spodziewałem się po panu lekcji inżynierii.

– Bo jest ojciec wobec mnie uprzedzony. W moim... poprzednim życiu byłem architektem.

Nie zaskakuje mnie ta wiadomość. To oczywiste, że Durand jest nieprzeciętnym człowiekiem. Dziwi mnie tylko fakt, że przedzierzgnął się w żołnierza.

– Zastanawia się ojciec, jak z architekta można stać się żołnierzem?

– Tak.

– Przez czysty przypadek. Poza tym nie zostało zbyt wiele do projektowania czy budowania na tym świecie. Ale ten tunel na zewnątrz, ogrodzenie i tę windę...

– Zaprojektował pan.

– Zaprojektowałem i zbudowałem. Tymi rękami.

– Gratuluję.

– Proszę najpierw dojechać cało i zdrowo na górę.

– Ty to umiesz człowieka uspokoić – uśmiecha się Adčle, obejmując go wpół ramieniem.

Już mam mu zadać kolejne pytanie, gdy odejmuje mi mowę na widok malowidła na ścianie.

To mural, fresk, zgrzebny, ale nadzwyczajny w swej wymowie. Intensywne barwy, pewnie ze starych sprayów. Przedstawia młodzieńca w stroju gdzieś pomiędzy rzymskim legionistą a współczesnym żołnierzem piechoty morskiej. Dwa pasy z amunicją i ładunkami wybuchowymi krzyżują mu się na piersi napompowanej mięśniami. Ale twarz ma pogodną, przyjazną. Przypomina aktora z przeszłości, niegdyś legendarnego, ale dziś nie pamiętam już nawet jego nazwiska.

Durand wykonuje gwałtowny gest ręką. Winda przyspiesza. Ale nie na tyle, bym nie utrwalił w pamięci groteskowego, absurdalnego szczegółu.

Zamiast rąk chłopak z malunku ma dwa karabiny maszynowe. Jakby mięśnie ramion przechodziły od razu w broń.

Durand i Adčle podśmiewają się.

– Zaktualizowana wersja boga Mitry...

Patrzę na nich zbity z tropu.

Winda jedzie dalej w górę.

Ostatnią rzeczą, jak znika mi z oczu, jest twarz młodzieńca. Najpierw życzliwy uśmiech, później oczy zdające się nas śledzić, gdy tak wjeżdżamy w górę we wnętrzu tej budowli, która niegdyś była wieżą ciśnień, a teraz...

Czym jest teraz, nie wiem. Napis, jaki pojawia się na murze tuż przed zatrzymaniem windy, mrozi mi krew w żyłach.

TUTAJ TEN BÓG NIE MA WSTĘPU.

Pod napisem jest znak, jeden z tych, które kiedyś regulowały ruch drogowy. Czerwony, okrągły, z poziomą białą kreską, który oznaczał zakaz wjazdu.

Pod kreską, prymitywny wizerunek Chrystusa wiszącego na odwróconym krzyżu.

Spoglądam w oczy moich towarzyszy podróży, a wystudiowana pustka w ich spojrzeniu zdaje mi się nieskończenie bardziej przerażająca od potworów, z którymi walczyliśmy na śmierć pod gołym niebem.

Rozdział 13: Bóg z przeszłości

Przestrzeń na szczycie wieży jest olbrzymia. Każdy dźwięk brzmi tu jak pod sklepieniem katedry. Wrażenie sakralności podkreśla oświetlenie: kilkadziesiąt świec wzdłuż skrajnej ściany sali i kandelabr zawieszony na środku, nad czymś, co przykrywa zielona gruba folia. Od ściany posadzka biegnie pochyło w dół ku środkowi, który znajduje się przynajmniej trzy metry niżej. Pomieszczenie ma kształt olbrzymiej misy przykrytej drugą, odwróconą.

– Witamy w Schronie 14 – uśmiecha się Bune, pomagając mi zeskoczyć z drewnianej platformy. – Brak nam tu praktycznie wszystkiego, ale to, co mamy, jest za to obrzydliwe.

– Znikaj, Bune – warczy Durand. – Miałem nadzieję, że uwolnię się od ciebie, kiedy ci kazałem wsiąść do drugiego hummera.

– Niestety, mój kapitanie, twoje uzasadnione pragnienia nie ziściły się. Biedny żołnierz Bune zrobił się malusieńki jak myszka na siedzeniu tego wielgachnego auta i przez całą podróż nie puścił pary z ust.

– Trudno to sobie wyobrazić.

– Ale to prawda, przysięgam. Bo inaczej by mnie tu nie było.

– Więc jeśli chcesz, żeby życie nadal się do ciebie uśmiechało, to przestań się plątać pod nogami.

Ojciec Daniels, proszę za mną.

Idę posłusznie aż do skraju pomieszczenia, gdzie podłoga wyrównuje się na szerokości przynajmniej trzech metrów. Leży na niej z tuzin materacy i stos kołder z poduszkami w plastikowym, okropnie zniszczonym worku.

– To nie pięciogwiazdkowy hotel, ale będziemy tu bezpieczni. Uprzedzę pytanie – nie, nie można wziąć prysznicza.

– A już myślałem, że gdzie jak gdzie, ale w wieży ciśnięć to akurat można.

– Można by było. Ale spóźnił się ojciec. O jakieś dwadzieścia lat.

Wyjaśnia, że odkryli wieżę sześć lat temu. Musieli stoczyć walkę, żeby ją odbić, ale nie mówi z kim. Domyślam się, że tego epizodu kapitan nie wspomina zbyt chętnie.

– Oni mieli wieżę. I benzynę. My samochody i puste baki. No i, naturalnie, broń.

– Rozumiem.

Durand patrzy na mnie długo. Uśmiecha się.

– Nie. Nie sądzę, żeby ojciec rozumiał. Może z czasem. Ale teraz nie.

I nie mówiąc nic więcej, odchodzi.

Yegor Bitka i kapral Diop rozkładają parawany, żeby wydzielić strefę snu.

Pytam o łazienkę. Czarny patrzy na mnie, jakby nie rozumiał. Wybucha śmiechem.

– Już ci pokazuję. Chodź, chodź.

Toruje mi drogę wzdłuż kolistego muru olbrzymiego pomieszczenia, w labiryncie skrzyń i porozrzucanych przedmiotów, aż dochodzimy na jej przeciwległą stronę. Tam pokazuje mi wiadro. Kiedy widzi, że nie rozumiem, podnosi pokrywę. Wydobywający się smród wyjaśnia wszystko, nie trzeba podręcznika.

– Ostatni zwozi je do magazynu.

– Do magazynu...?

– Nie sądzisz chyba, że wylewamy szczyny i gówno. Są zbyt cenne. Nawóz. Raz na jakiś czas zabieramy go ze sobą do bazy. Pełny pojemnik wart jest dwie paczki papierosów. A za dwie paczki możesz kupić...

– Okej. Rozumiem.

Rzucam okiem na wiadro. Na szczęście brakuje jeszcze trochę do pełna. Chociaż zżera mnie ciekawość, żeby jeszcze raz zobaczyć dziwne malowidło na murze.

– To dobranoc – żegna się kapral. – Ja mam teraz wartę.

I odchodzi, zostawiając mnie z tym wiadrem. Po włosku nazywa się to chyba *bugliolo* – kubeł na nieczystości.

W środku wszystko mi się spina. Trochę dlatego, że w hummerze zjadłem tylko gotowanego ziemniaka, który smakował bardziej jak pleśń, niż jak ziemniak. Ale przede wszystkim czuję się bardzo nieswojo. Jest coś niezdrowego w tym miejscu. Kiedy już skorzystałem z „toalety”, zamiast wrócić do „sypialni” wzdłuż zataczających krąg murów, idę ku środkowi tej wielkiej przestrzeni, którą kiedyś wypełniały setki hektolitrów wody pitnej, a która dziś rozbrzmiewa jedynie odgłosami śpiących lub usiłujących zasnąć ludzi. A każdy z nich – i ten, co śpi, i ten, co czuwa – ma swoje koszmary i swoje lęki.

Ale jest jeszcze jakiś inny dźwięk, dobiegający ze środka olbrzymiego pomieszczenia. Zrazu nie do odróżnienia. W miarę jak się zbliżam, zaczynam łapać jego rytm. To ludzkie głosy, stopione w cichym, monotonnym, niemal hipnotycznym śpiewie.

Miejsce zamknięto czarną zasłoną, która tłumi światło i dźwięk. Ale nie na tyle, bym nie mógł usłyszeć i zobaczyć. Tym bardziej, że odkrywam pionowe nacięcie w zasłonie, przez które widać dobrze, co dzieje się w środku tej dużej, zamkniętej przestrzeni.

Bitka, Diop i kapitan Durand klęczą na środku przed tajemniczym przedmiotem, pochłonięci śpiewem, który zakrawa na modlitwę. Z przedmiotu zdjęto zieloną folię i oświetlono czerwonymi zniczami ustawionymi dookoła.

Kiedy dostrzegam ten przedmiot, nie mogę uwierzyć własnym oczom.

Miniaturowe lampki zabarwiają na czerwono stojący pośrodku marmurowy posąg młodzieńca, który zarzyna byka. Wygląda jak poplamiony świeżą, dopiero co rozlaną krwią. Twarze Duranda i dwóch pozostałych też zabarwione są na czerwono. Diabelskie twarze. A słowa wydobywające się z ich ust uderzają mnie bardziej, niż gdybym zobaczył w nich rozszczerzone języki. Sądziłem, że takie słowa od dawna pogrzebane są w starych księgach. Księgach wyklętych przez Kościół w bardzo zamierzchłych czasach.

Nagle dostrzegam w palcach Duranda coś błyszczącego. Spodziewałem się sztyletu, ale to pierścień. Złoty pierścień. Ten sam, który zobaczyłem w ręce Bunego na stacji Aurelia. Pieczęć Rybaka.

Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Zrywam się przestraszony.

Adçle Lombard podnosi palec do ust, nakazując milczenie. Później zachęca mnie gestem, żeby stamtąd pójść. Podążam za nią, z trudem powstrzymując się od zadawania pytań.

Prowadzi mnie wzdłuż krągłych ścian, z dala od środka i od miejsca przystosowanego na sypialnię.

Przykuca i pokazuje, żebym usiadł naprzeciwko. Potem zbliża głowę do mojej. Opiera się czołem o moje czoło. Ożywczy kontakt. Zmysłowy. Odciągam głowę do tyłu, choć nie od razu.

– Proszę nas źle nie osądzać, ojciec Daniels. John...

– Co tu się dzieje?

– Nic. Nic, czym należałoby się przejmować.

– Przed chwilą byłem świadkiem pogańskiego rytuału. To na pewno nie była msza święta. Jakiego Boga czcicie?

Adçle wygląda na urażoną.

– Ja nie chcę żadnego. A tym bardziej Mitry. To religia dla mężczyzn. Dla żołnierzy. Nie jestem ani jednym, ani drugim.

– Sądziłem, że malowidło to tylko taki żart.

– A ja sądziłam, że jest ojciec na tyle inteligentny, żeby od razu zrozumieć.

– Kultu Mitry nie sprawuje się już od dwóch tysięcy lat.

– Tak powiadają. Ale trzech faceci, których ojciec przed chwilą widział, zaprzeczają chyba temu twierdzeniu. A może nie? Niektórzy utrzymują poza tym, że kult Mitry nigdy nie został zarzucony.

– Kto namalował tę... okropność?

– A czy to ważne? Ci sami, co przytargali tu posąg boga. To nie było z pewnością łatwe przedsięwzięcie.

– Durand?

Kobieta wzrusza ramionami.

– Możliwe. Jakie to ma znaczenie?

– „Jakie to ma znaczenie? Jakie to ma znaczenie?” Sądzi pani, że kardynał Albani ucieszy się na wieść, że dowódca Gwardii Szwajcarskiej jest poganinem? Że jada ludzkie mięso?

– Proszę nie podnosić głosu! Czy ojciec oszalał? Co będzie, jak usłyszą?

– Już usłyszałem.

Suchy i zimny niczym skóra węża głos Duranda dobiega tuż zza mojego karku.

Kapitan staje obok mnie. Jego twarz jest jeszcze czerwona od krwi, którą oficer ściera sobie ręcznikiem tak zużyтым, że wygląda, jakby pochodził z zamierzchłych czasów.

– Zdziwiłby się ojciec, ile wspólnego ma kult Mitry i religia Jezusa.

– Wiem. Ale wy służycie Kościołowi katolickiemu.

– I służymy mu dobrze. Gwardia wareska cesarza Bizancjum to byli wojownicy z północy czczący boga wojny, Odyna. Najlepsza straż przyboczna, jaką cesarz miał kiedykolwiek.

– Pobudki waszego działania nie są jasne. A wasze zachowanie jest dwuznaczne. Jak mogłem zobaczyć, złamaliście wszystkie zasady, na jakich powinna się opierać wasza służba Kościołowi.

– O, proszę przestać. Jakie zasady? Jak przyjechaliśmy do Świętego Kaliksta, gdyby to zależało ode mnie, wydałbym rozkaz strzelania do Moriego i jego hołoty. A Kościół przyjął starego i jego zgraję morderców, jakby to był ktoś godny szacunku. I proszę mi nie opowiadać starej historyjki o Dobrym Pasterzu i zagubionych owieczkach. Mori to skrzyżowanie wilka z kombajnem.

Durand kręci głową.

– Każdy czas ma swojego Boga. Bóg pokoju i miłosierdzia nie ma łatwego życia w nowym świecie podarowanym przez bomby.

– A wasz Bóg? Co to za Bóg, dla którego smarujecie sobie twarze krwią?

– Twoja ignorancja jest jeszcze większa niż arogancja. Jakim prawem śmiesz mi wygłaszać kazania, ty, który zawsze żyłeś sobie bezpiecznie, na miękkim i ciepłym łonie Kościoła?

Przejście od formy grzecznościowej do formy „ty” podkreśla brak szacunku Duranda wobec autorytetu, jaki reprezentują. Nagle uzmysławiam sobie, że moja nietykalność jest zagrożona. Widziałem i słyszałem już zbyt wiele.

– To nie jest krew – mówi cicho Adčle.

– Co...?

– Mówię, że to nie jest krew. To tylko farba. Nie używają krwi. To nie tak, jak sądzisz.

Ona też zaczęła mnie tykać.

Jakbyśmy nagle wszyscy zostali wielkimi przyjaciółmi.

– Daj spokój – odzywa się Durand głosem pełnym urazy. – Dla niego to i tak bez różnicy. Krew nie ma tu żadnego znaczenia. Rzecz w tym, że nasze wierzenia podważają jego wiarę. A reakcja Kościoła w takich przypadkach może być tylko jedna: zlikwidować. Chrześcijanie mają liczącą dwa tysiące lat tradycję niszczenia każdego, kto nie myśli jak oni.

– Mówisz, jakbyś nie był chrześcijaninem.

– Bo nie jestem. Służę im, wykonuję ich rozkazy, ale nigdy nie będę jednym z nich. Jednym z was.

Patrzę na niego długo. Wytrzymuje moje spojrzenie, nie spuszcza oczu. Bawiłem się tak w dzieciństwie. Zakładaliśmy się o to, kto wytrzyma najdłużej i nie zacznie się śmiać. Ale w tej konfrontacji nie jest nam do śmiechu.

To nie do wiary, ale Durand ulega.

Twarz otwiera mu się w szerokim śmiechu. Śmieje się długo, sprawia wrażenie, że mógłby tak w

nieskończoność.

Siadam. Jeśli mam umrzeć, to przynajmniej wygodnie.

Kapitan też siada, a w ślad za nim doktor Lombard.

Kiedy tak siedzimy w kręgu, wyglądamy jak trójka dzieci na letnim obozie.

A to całkiem dobry moment na opowieść o duchach.

I oto ona.

Rozdział 14: Duchy

Opowiem ci coś, księżu.

To moja historia, ale mogłaby się przytrafić każdemu.

No, może z wyłączeniem paru drobnych szczegółów.

Tego dnia, kiedy świat się skończył, większość ludzi miała szczęście, bo umarła w domu. Ściskając dłoń żony, syna albo w objęciach przyjaciół. Ktoś pewnie zginął, kochając się. Mówią, że syreny zawyły z pięciominutowym wyprzedzeniem. Co możesz zrobić w ciągu tych ostatnich pięciu minut, kiedy świat właśnie ma się skończyć?

Ktoś może opróżnił butelkę, którą trzymał od dawna na jakąś specjalną okazję. Ktoś może pośmiał się, tak jak ja przed chwilą. Jak wariat. Inni być może powiedzieli sobie: „a do diabła z tym wszystkim”. I może poszli do łóżka z tym, kto był pod ręką. Inni pewnie próbowali się ratować. A niejeden z nich wiedział już przecież, że wszystko to na próżno.

To musiało być najintensywniej przeżyte pięć minut w historii ludzkości.

Wszystko na nic.

Ale przynajmniej w dużej części ludzie umierali u boku tych, których kochali. I w swoich domach.

Niektórzy z nas nie mieli jednak tego szczęścia.

Mówią, że z nieba spadały samoloty, dziesiątki, setki samolotów. Wszystkie, które były w powietrzu, kiedy eksplodowały bomby.

Deszcz samolotów.

W porównaniu z atomowymi wybuchami, drobne ukąszenia owadów na skórze Ziemi. Najbardziej niewiarygodny pokaz sztucznych ogni, jakie ludzkość kiedykolwiek sobie zafundowała. Oczywiście nikt z nas naprawdę nie mógł tego zobaczyć. Możemy to sobie jedynie wyobrazić. Tych, którzy to zobaczyli, już tu nie ma, nie mogą nic opowiedzieć.

Zastanawiam się, jakie to było wrażenie, zobaczyć FUBARD z zewnątrz.

Prawdopodobnie tylko astronauta ze stacji orbitalnej mogliby nam o tym opowiedzieć.

Ale pewnie już dawno nie żyją.

Kto to wie? Tyle że chociaż oni mieli to jedno jedyne szczęście. Od jak dawna nie oglądamy już gwiazd? A oni widzieli je do końca. Widzieli gwiazdy i Ziemię płonąca niczym ognisko. Widzieli, jak nad naszymi miastami wznosi się dym i przykrywa Ziemię niczym całun.

W dniu, w którym świat się skończył, byłem akurat w Muzeach Watykańskich. Nie było prawie nikogo. Jaki spokój! Próbowałem tam pójść przy okazji każdej z wizyt w Rzymie, ale nie mogłem znieść tego hałaśliwego, niepoważnego tłumu tłoczącego się w salach. Strzelające migawki aparatów fotograficznych, tysiące identycznych zdjęć tego samego obrazu, których nigdy nikt nie wywoła.

Ale tamtego dnia Muzea były puste. Stałem sam przed kasami biletowymi, czekając na otwarcie. Personel jak zwykle stawiał się do pracy. Jakby to był normalny dzień. Zapłaciłem za bilet. Kiedyś coś takiego mógłbym sprzedać na... no jak się nazywały te internetowe aukcje? O, właśnie: na eBayu. Ostatni bilet wstępu do Muzeów Watykańskich...

To była prawdziwa przyjemność, ale i duże wrażenie, spacerować tymi korytarzami w otoczeniu piękna minionych tysiącleci, piękna, które miałem tylko dla siebie. Pamiętam, że próbowałem się dodzwonić do mojej żony w Genewie, żeby jej opowiedzieć o tym dziwnym doświadczeniu. Ale linie były przeciążone. Ludzie próbowali łączyć się z innymi ludźmi i w ten sposób uniemożliwiali w ogóle komunikację...

Więc zarzuciłem pomysł. Gdybym był uparty, może prędzej czy później zdołałbym się dodzwonić i porozmawiać z Chantal. Spytałbym o dzieci... Może nawet o psa...

Ale...

Ale póki co, chodziłem dalej po pustych salach, ciesząc się ciszą i przestrzenią. W świetle poranka marmur posągów i farby obrazów lśniły niczym klejnoty.

Chodziłem tak godzinami. Aż doszedłem do Kaplicy Sykstyńskiej.

To było nowe doświadczenie.

Jakbym ją zobaczył po raz pierwszy.

Byłem sam, pod sklepieniem całym we freskach Michała Anioła. Barwy Sądu Ostatecznego na ścianie w głębi wydawały się jak nowe.

Jaka subtelna ironia, siedzieć pod Sądem Ostatecznym w dniu, w którym świat miał się właśnie skończyć...

Byłem tam przynajmniej godzinę. Siedziałem na środku i patrzyłem na Sąd.

Potem położyłem się, jak w parku. Zwinąłem marynarkę i zrobiłem z niej poduszkę. Wyciągnąłem się na posadzkę, która była świadkiem wielowiekowej historii, mszy celebrowanych przez papieży, konklawe...

Moje spojrzenie skupiło się na jednej scenie tego gigantycznego arcydzieła. Na stworzeniu Adama. Bóg wyciąga palec wskazujący w kierunku pierwszego człowieka, a Adam podaje dłoń, by dać się wyciągnąć z błota.

Pograżyłem się w tym do tego stopnia, że w pewnej chwili wydało mi się, że moje ciało odrywa się od Ziemi i lewituje w stronę Boga. Oczywiście wiedziałem, co się dzieje na świecie. Nawet w najbardziej tradycyjnych dziennikach na pierwszych stronach straszyły wielkie tytuły. A programy telewizyjne zmieniły się w jeden niekończący się dziennik telewizyjny.

Byłem tam od kilku godzin, minęło już pewnie południe, kiedy z moich snów z otwartymi oczami wyrwał mnie jakiś głos.

„Proszę pana, nie może się pan kłaść na środku Kaplicy”.

Popatrzyłem w prawo.

To był strażnik, w mundurze. Starszy mężczyzna, w okularach o staromodnych oprawkach i ze starym radiem tranzystorowym w dłoni. Wyglądał jakby wysiadł z wehikułu czasu. Jakby przyleciał prosto z lat siedemdziesiątych.

Spojrzałem na niego i nic nie odpowiedziałem. A on spróbował jeszcze w innych językach: francuskim, hiszpańskim i w łamanej angielszczyźnie. W końcu się nad nim zlitowałem.

„Mówię po włosku”, odezwałem się.

„Acha. To dlaczego pan nadal tu leży?”

„Bo to jest piękne. Bo nie ma nikogo. Nikomu nie przeszkadzam”.

„Dobrze, ale to nie jest żadne wytłumaczenie. Musi pan wstać”.

Uśmiechnąłem się.

„Jest pan pewien, że w regulaminie jest napisane, że nie mogę tego robić? Jest pan naprawdę pewien, że gdzieś piszą o zakazie kładzenia się na posadzkę Kaplicy Sykstyńskiej?”

Strażnik spojrzał na mnie zaskoczony. I zrobił coś, czego się nie spodziewałem.

Uśmiechnął się.

„A wie pan, że ma pan rację?”

I z niejakim wysiłkiem, przy akompaniamencie swych trzeszczących, artretycznych kolan, schylił się i wyciągnął obok mnie. Nie za blisko. Zachował dystans. Włosi, szczególnie starsi, są tradycjonalistami w tych sprawach. Na myśl o leżeniu obok nieznanego musiał się czuć nieswojo.

Długo tak leżeliśmy i patrzyliśmy na sceny stworzenia świata i biblijnego potopu.

„Trzydzieści lat już tu pracuję, a nie znalazłem czasu, żeby przyjrzeć się lepiej tym freskom”, westchnął strażnik.

Uśmiechnąłem się do niego.

Czułem się jak kamień na dnie rzeki, nad którym płynęły obrazy namalowane nieobecną już od

wieków ręką, ale wciąż niewiarygodnie witalne.

„Będzie panu przeszkadzało radio?”, zapytał.

Odpowiedziałem, że tak. I od razu pożałowałem. W gruncie rzeczy facet podeptał dla mnie zasady. A starsze osoby, wiadomo, przywiązane są do zasad.

„W porządku. Proszę włączyć”.

Stary wyraził mi swoją wdzięczność.

„Wie pan, nie mam już nikogo na świecie. Znaczący... mam syna, ale tak, jak bym go nie miał. Nie zatroszczył się o mnie ani razu w życiu. A jego biedna matka... gdyby pan wiedział, ile jej cierpień przysporzył...”

„Radio w porządku. Ale nie mam ochoty na rozmowę”.

Zrozumiał. Powiedziałem to po francusku, ale on zrozumiał. Włączył radio i słuchał na ściszonej regulatorze.

Mój włoski był dobry, choć nie tak dobry jak teraz. Chcąc nie chcąc, posłuchałem sobie trochę wiadomości – mówili o konsekwencjach tego, co nadal z uporem nazywali incydem dyplomatycznym. Posunięcia obu supermocarstw były jak próby dwóch szachistów sondujących możliwości przeciwnika.

Ale to była śmiertelna gra.

Głosy z radia powoli zlały się w jeden szum w moich uszach, hałas tła bez żadnego składu. Rodzaj muzyki, jak muzyka gwiazd nasłuchiwanym przez radioteleskop...

Kiedy wybuchła bomba, posadzka wyprężyła się jak koński grzbiet i opadła z powrotem. Trzy razy. Ale na sklepieniu zaczęły pojawiać się pęknięcia.

Niezmierne światło, nie mam na to innego określenia, światło absolutne, wpadło przez okna i rozświetliło postacie malowideł nadnaturalną bielą.

Odleciałem ku Bogu.

Tak właśnie pomyślałem, gdy postać Stwórcy rosła mi w oczach i była coraz bliżej.

Ale było na odwrót – to sklepienie zaczęło się osuwać, stare freski leciały w dół. Widziałem to jak w zwolnionym tempie, oblicze Boga rosło mi w oczach, a Adam zostawał gdzieś daleko za nim. Coraz dalej od Boga.

Bóg spadł obok mnie. Taki blok grubości dziesięciu centymetrów, szeroki na dwa metry.

Zmiażdżył strażnika.

Krew trysnęła spod betonu i zmieszała się z pyłem.

Usta miałem pełne pyłu i drobin tynku.

Podniosłem się z dużym trudem, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Sklepienia Kaplicy nie było. Na głowę padało mi światło słońca. Sklepienie zostało zdmuchnięte przez wybuch niemal doszczętnie. Jakimś cudem, niezrozumiałym dla mnie cudem konstrukcyjnym, jeden kawałek trzymał się jeszcze na miejscu. To niewiarygodne, ale z kilkudziesięciu postaci malowidła pozostał jedynie Adam. Prawie nietknięty. Brakowało tylko ręki, z wyciągniętym ku Bogu palcem wskazującym.

Ramię Boga kończyło się na nadgarstku.

Otrzeptałem koszulę. Absurdalny gest. Byłem cały w pyłe. Musiałem wyglądać jak duch. Wtedy w drzwiach wiodących od Stanz Rafaela pojawili się, jak inne duchy, jacyś wyblakli mężczyźni.

Najpierw dwóch gości w czarnych garniturach, z bronią automatyczną, a za nimi wszedł do Kaplicy drobnymi kroczkami korpulentny człowieczek w stroju klechy.

Wybałuszył oczy na widok tragedii. Przeżegnał się.

I rozplakał. Jak kobieta, jak dziecko. Płaczem skargi, być może pierwszej i ostatniej, jaką ludzkość wyraziła po stracie tego arcydzieła.

Zrobił kilka kroków w kierunku środka Kaplicy, ku Sądowi Ostatecznemu podzielonemu na pół długim pęknięciem.

I wtedy mnie zobaczył.

Nakazał gwardzistom opuścić broń.

„Kim jesteś, synu?”, zapytał.

Nie odpowiedziałem.

„Musimy iść, Eminencjo”.

Kardynał Albani odpowiedział im na to gestem zniecierpliwienia.

„Ten nieborak nie ma się za dobrze. Potrzebuje opieki. Zabierzemy go ze sobą”.

„Ale nie znamy go, Eminencjo. Może to...”

„Wiem, kto to jest. To człowiek w potrzebie. Bez dyskusji, kapitanie”.

Kapitan...

To był Tommaso Guidi, człowiek, którego miejsce zajmę dwa lata później. Który zakończył życie, strzelając sobie w skroń. Zostawił mi list pełen wskazówek, w którym nie pisał nic o pobudkach swojego czynu, ale podawał szczegółowe instrukcje prowadzenia tej małej zbrojnej jednostki, którą z uporem nazywaliśmy nadal Gwardią Szwajcarską. Ani słowa o tym, dlaczego postanowił z tym skończyć. Ani słowa. Do kardynała Albaniego napisał, że jestem właściwym człowiekiem, żeby go zastąpić. Dziękował mu za zaufanie, wyraził uznanie za to, co prałat zrobił, żeby uratować jak najwięcej ludzi, za jego próby stworzenia im normalnego życia, dostarczenia żywności, wody pitnej i nadziei na przyszłość.

Wyszedł na wolne powietrze, żeby odebrać sobie życie. Zrobił to w miejscu, z którego nurt rzeki miał go zabrać następnego dnia. Albani uszanował jego wolę. Zabezpieczyliśmy się w miarę naszych możliwości płachtami z grubej folii, włożyliśmy maski własnej roboty i poszliśmy patrzeć, jak ciemna woda podnosi się wolno w kierunku zwłok, które wcześniej zawinęliśmy w prześcieradło.

Woda podniosła materiał, dopłynęła do ramienia i poruszyła nim. Taki gest pożegnalnego pozdrowienia.

Ciało uniosło się na wodzie, która zabrała je w kierunku morza.

Od tego dnia jestem tym, kim jestem. Członkiem Gwardii Szwajcarskiej. Człowiekiem oddanym służbie Kościołowi. I wbrew temu, co ojciec może o mnie pomyśleć, pozostaję wiernym żołnierzem. Nigdy, nawet przez chwilę, nie pomyślałem o zdradzie. Złożyłem przysięgę, wypowiedziałem tradycyjną formułę ślubowania. I podobnie zrobili moi ludzie. My nie zdradzimy.

Durand patrzy na mnie dziwnym wzrokiem, kiedy to mówi.

Akcentuje ironicznie słowo „my”.

„A któż inny mógłby zdradzić?” – zastanawiam się.

Ale nic nie mówię.

– Mówiłeś, że to historia z duchami.

Kapitan uśmiecha się.

– Bo to jest historia z duchami. Opowiada o człowieku białym jak duch i o innym, który się zabił, i o jego zwłokach unoszących się na wodzie z gestem pozdrowienia. Opowiada o świecie, który popadł w straszną ruinę. O czwórce ludzi, którzy przeżyli i przemierzają galerie Muzeów Watykańskich w poszukiwaniu drogi ucieczki przed końcem świata. Ale gdzie możesz się schronić, kiedy świat się kończy?

„Gdzie możesz się schronić, kiedy świat się kończy?”

„W Zamku Świętego Anioła”, odpowiedział kapitan Guidi. „Ale musimy się tam dostać inaczej, Passetto nie nadaje się do użytku”.

„Passetto” było tajnym przejściem łączącym Watykan z Zamkiem Świętego Anioła. Służyło papieżom jako droga ucieczki w razie zagrożenia.

Droga, którą szliśmy do Zamku Świętego Anioła, nie była ani najkrótsza, ani najlepsza. Ale była jedyną, jaka została.

Niezbyt dobrze pamiętam, jak tam dotarliśmy.

W mojej pamięci pełno jest wynaturzonych obrazów. Rzeczy, które zobaczyłem, a których nigdy nie

chciałbym widzieć.

Ktoś powiedział, że mieliśmy szczęście.

Nie sędzę.

Z jednej strony śmierć na miejscu, w chwili wybuchu, z drugiej – umieranie całymi dniami lub tygodniami, bo taki był los tych, których napotykaliliśmy po drodze, biednych, zagubionych dusz bez przewodnika...

Nikt z napotkanych wtedy na zewnątrz nie dożył dzisiejszego dnia. To jest zasadniczo jedyna pewność, jaką mam. Zapyta ojciec: „A jak wam się udało?”.

Udało nam się, bo Guidi był osobą dbającą o szczegóły. Zanim wyszliśmy na zewnątrz, z dostępnych materiałów przygotował dla nas kitle przeciwpromienne. Udało mu się nawet skombinować prymitywne maski.

Nie było już straży miejskiej. Pewnie wrócili do domów, do rodzin.

Złupiliśmy... nie nazwę tego inaczej... automatyczne dystrybutory i parę barów przy drodze. Był też jakiś supermarket. Kraty były podniesione, ale w środku nie było nikogo. Grabieże miały się dopiero zacząć...

Użyliśmy monet euro do czterech wózków na zakupy. Wedle instrukcji Guidiego wypełniliśmy je rzeczami, które uznał za podstawowe: butelkowaną wodą, konserwami, materiałami do apteczki pierwszej pomocy...

Kiedy podeszliśmy do kas z pełnymi wózkami, zobaczyłem na jednej z półek pluszaka. Kermita, zabę z Muppetów. Pomyślałem, że spodobałaby się mojej najmłodszej córce...

I wtedy się rozplakałem. Wybuchnąłem płaczem jak ciele. Na myśl o Danielle, Chantal i Olivierze...

O całym świecie, który już nie wróci.

Guidi wymierzył mi policzek. Kazał wyjechać wózkiem ze sklepu.

I tak zrobiłem...

Tak zrobiłem...

– Ale ojciec chce historię o duchach. No to proszę.

Nie weszliśmy do Zamku Świętego Anioła główną bramą, bo była zatarasowana. Przedostaliśmy się tam przez małe drzwi po lewej stronie masywnej bramy, która oparłaby się oblężeniu. Wepchnęliśmy do środka wózki i weszliśmy do Zamku. Zna ojciec jego historię? Pierwotnie nie był twierdzą, tylko grobowcem przeznaczonym dla cesarza Hadriana. Mauzoleum Hadriana.

Na samej górze był bar.

Lodówki nie działały. W całym mieście nie było prądu. Guidi powiedział, że najpierw musimy zjeść żywność z zamrażarek, jak tylko się rozmrozi. A rozmrozi się szybko.

Zamek Świętego Anioła ma ponad dwa tysiące lat. Może przetrwać drugie tyle. Albo i wieczność. Uległ drobnym zniszczeniom, ale to nic poważnego. Tu spadł gzyms, tam runęła wieżyczka, ale to wszystko.

Tamtej nocy weszliśmy na dach, żeby popatrzeć na Rzym.

Nie było zupełnie ciemno, inaczej nic byśmy nie zobaczyli. Miasto rozświetlały płomienie trawiących je pożarów.

Zniszczone instalacje gazowe, otwarty ogień...

Słyszeliśmy, jak kapitan Guidi objaśnia technicznie dynamikę końca świata, ale w gruncie rzeczy go nie słuchaliśmy.

Kardynał Albani poprosił, żebyśmy mu pomogli klęknąć. Pochylił głowę i skupił się na modlitwie. Ze złożonymi rękami prosił Boga o błogosławieństwo dla Wiecznego Miasta i jego mieszkańców.

Nie spojrział ani razu w kierunku Watykanu.

Ja tak.

Kopuła, którą Rzymianie nazywali czule „Cupolone”, „Wielką Kopułą”, zawaliła się. Dwie

kolumnady Berniniego wyglądały jak ramiona trupa wyciągnięte ku miastu, żeby je objąć.

A na połowie nieba w kierunku na wschód... rozpościerało się... coś dziwnego... coś w rodzaju zorzy polarnej...

Coś pięknego i straszego zarazem.

Wróciliśmy do naszej reduty. I nie wychodziliśmy z niej miesiącami.

Za to inni przychodzili do nas. Zwabieni tablicą, którą Albani, wbrew protestom kapitana Guidiego, kazał wywiesić na bramie Zamku.

CENTRUM PRZYJĘĆ.

ŻYWNOŚĆ, WODA.

PUKAJCIE, A BĘDZIE WAM OTWORZONE.

Pomogłem przy tłumaczeniu tych słów na francuski i angielski.

„Dlaczego nie na rosyjski i japoński?”, ironizował Guidi, kręcąc głową.

Nie wiem, czego się spodziewał. Podejrzewam, że inwazji desperatów.

Ale ci z ocalałych, którzy zapukali do naszych drzwi, byli bardzo nieliczni. Zjawiali się małymi grupkami i nie było wśród nich bandytów, których tak obawiał się Guidi. To byli ludzie zdesperowani, uciekinierzy. Prawie sami turyści. Rzymianie, którzy na początku zostali w swoich domach, teraz, kiedy skończyły im się zapasy żywności, uciekali z miasta, żeby szukać ratunku na wsi. Guidiemu żal było tego trudu. Pokazywał na niebo. A niebo wisiało nisko, całun z ciężkich szarych chmur, z których przez większą część dnia prószył śnieg zmieszany z jakimś popiołem.

Na wsi nie znajdą nic, wyrokował. Poza tym jest ich za dużo.

Albani modlił się i za nich.

A ludzi, za których należało się modlić, wtedy nie brakowało.

Później modlitwy już nie wystarczały, więc przestaliśmy. Może oprócz samego Albaniego. Jego wiara była równie wzruszająca, co bezużyteczna.

Kolumny uciekinierów ciągnące po drugiej stronie Tybru były coraz krótsze, a potem widzieliśmy już tylko nieliczne grupki, też coraz mizerniejsze, które wlekły się nadtybrzańskim bulwarem Lungotevere w kierunku mostu Wiktora Emanuela II. Zmierzali do Watykanu, w próżnej nadziei znalezienia pomocy.

Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego ci ludzie ignorują naszą ofertę schronienia. Aż do dnia, kiedy Albani zażyczył sobie wyjść na zewnątrz. Wbrew protestom Guidiego, zorganizowano ekspedycję, jeśli można tak nazwać niespełna dziesięciminutowy spacer na przestrzeni zaledwie jednego kilometra.

W wyniku tej krótkiej eksploracji odkryliśmy dwie tablice z napisami w dziesięciu językach: MOST ZAMINOWANY i NIE ZBLIŻAĆ SIĘ.

Na wypadek, gdyby napisy nie były wystarczająco skuteczne, umieszczono jeszcze jeden sygnał, o wiele bardziej wymowny: dwie ścięte głowy, mężczyzny i kobiety, zawieszzone na szyi jednego z dwu aniołów zdobiących wejście na most.

Albani się wściekł. Kazał zdjąć tablice i pochować głowy, po czym oskarżył Guidiego o zmontowanie tego oszustwa z pobudek egoistycznych, w celu zachowania zapasów żywności i wody.

Guidi zaprzeczył na tyle przekonywująco, że kardynał uznał domniemanie niewinności.

Potem przybyło jeszcze dwudziestu uciekinierów. Ale pięciu spośród nich było w tak złym stanie, że zmarli w niespełna tydzień.

W Zamku Świętego Anioła żyło nam się dobrze. Przynajmniej dopóki były zapasy.

Później...

Zaczęliśmy racjonować wodę, a potem żywność. W fortecy była studnia, ale nie ośmieliliśmy się pić wody, nie mając liczników Geigera. Żywność topniała w oczach. Guidi obliczył rację minimalną, wystarczającą do utrzymania się przy życiu, po czym zmniejszył ją jeszcze o dziesięć procent.

Ale i tak nie mogło to już długo potrwać.

Zaczęliśmy miewać widzenia. Nawet bez głodu nietrudno było je mieć w miejscu tak przesyconym

wiekowym, tysiącletnim pyłem. Chwilami czułem się jak jeden z tych dziewiętnastowiecznych łowców przygód, którzy wchodzili jako pierwsi do piramidy lub do grobowca faraona. Wrażenie było identyczne, nie tylko dlatego, że Zamek Świętego Anioła pierwotnie był właśnie ogromnym grobowcem jednego z największych cesarzy rzymskich. Nie, to nie tyle to, ile wrażenie, że wokół nas umierał cały świat. Świat, z którego wycofał się Bóg. Odwrócił się do nas plecami. Tak mówiliśmy między sobą, z dala od uszu kardynała.

Guidi...

Guidi zachowywał swoje myśli dla siebie. Nawet jeżeli kiedykolwiek zwątpił w Boga, to nie dał tego po sobie poznać. Wiedzieliśmy, że jeżeli pozwolimy sobie na wyrażenie przy nim swoich wątpliwości, to gorzko tego pożałujemy. Guidi był zasadniczy. Jego śmierć jest na to doskonałym dowodem. To najzwyczajniej nie był człowiek kompromisu.

Ale ty chcesz duchów.

Już do nich dochodzę. Jeszcze chwila.

Pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego tam zszedłem tego dnia.

Czytałem kiedyś, że cesarz Hadrian był także świetnym architektem. Projekt odbudowy Panteonu jest właśnie jego autorstwa, a to jedna z najbardziej niezwykłych budowli w historii ludzkości.

Tego dnia, kiedy nie wiedziałem już, jak oszukać głód, postanowiłem zejść do najważniejszego pomieszczenia w Zamku, w którym znajdowały się prochy Hadriana.

Miałem z sobą latarkę. Wtedy to było normalne. Nie były cennymi unikatami z przeszłości, jak dziś. Myśleliśmy, że prędzej czy później cywilizacja powróci, nie wiedzieć jakim cudem.

Zszedłem na dół, przechodząc przez pomieszczenia coraz ciemniejsze i coraz bardziej groźne, aż dotarłem do pomieszczenia, które wskazano mi jako grobowiec cesarza.

Jakież było moje rozczarowanie, kiedy odkryłem, że nic tam nie ma! Absolutnie nic. Prochy Hadriana pewnie już dawno rozrzucono na wietrze, a urnę wykorzystano nie wiadomo do czego. Może stała w oknie wystawowym jakiegoś antykwariusza w Bostonie albo w Berlinie, nieświadomego tego, co kiedyś zawierała...

Usiadłem na zimnej posadzce. Temperatura spadała dzień po dniu, a przez chmury dostrzegaliśmy wielokolorowe błyski przerażających wyładowań atmosferycznych. Jakby starożytni bogowie wypowiedzieli sobie wojnę, ukryci przed niegodnym spojrzeniem nas, śmiertelników, za coraz bardziej przytłaczającym płaszczem chmur.

Kiedy zgasłem latarkę, salę oświetlało jedynie światło z korytarza. Próbowałem ją sobie wyobrazić z czasów, kiedy składano tu urnę z prochami cesarza. Ściany wyłożone były zapewne drogimi marmurami, które później zniknęły, pozostawiając na wierzchu spodnią warstwę cegieł. Były też pewnie pełne przepychu ozdoby, sprzęty z brązu i metali szlachetnych, posągi i...

Kiedy tak myślałem o tych przedmiotach i miejscach, w których mogły się znajdować, sala zrobiła się jakby jaśniejsza. Zacząłem dostrzegać zarysy mebli i wyposażenia. Ale na środku nie było żadnej urny z prochami. Na zwykłym, drewnianym krześle siedział jakiś mężczyzna. Nie miał w sobie nic królewskiego, ale nawet przy tym kiepskim świetle od razu zorientowałem się, kim jest. Widywałem przecież jego twarz na posągach, na portretach, na monetach.

Głód potrafi zrobić psikusa, myślałem sobie, wstając i podchodząc do niego.

Coś nie grało, to pewne. Ten człowiek był z... nieokreślonej materii. Nie wiem, jak inaczej to ująć. Krawędzie były wyraziste, ale szczegóły jakby drgały, jakby ta postać mogła istnieć tylko w tym stłumionym świetle.

Mówię „duch” tylko dlatego, że nie umiem znaleźć innego terminu. Może „anomalia” byłaby lepszym słowem. Bo od tamtego dnia zobaczyłem parę innych... takich anomalii...

Podszedłem do cesarza Hadriana, ale on na mnie nie zważał. Dopiero kiedy byłem metr od niego, podniósł głowę i spojrzał w moim kierunku, choć niezupełnie na mnie. Zdawało mi się, że próbuje skupić

na mnie spojrzenie swoich krótkowzrocznych oczu. Był już stary, chociaż nie umiałbym powiedzieć, na ile lat wyglądał. Starość w tamtych czasach musiała mocno różnić się od dzisiejszej. W pewnej chwili obraz zniknął, przed moimi oczami pozostał tylko surowy mur i mrok.

– Kościół wierzy w duchy, ojciec Daniels... Johnie...?

– Wierzymy w zmartwychwstanie ciała. Ale nie w duchy. To znaczy... nie w technicznym znaczeniu.

Durand rechocze, powtarzając to słowo.

– Technicznym...

Odchrząkuję.

– Zdarzenia nadprzyrodzone opisane są nawet w Biblii. Wizje, czary, duchy... Ale należą do starożytnego substratu. My, chrześcijanie, nie wierzymy w duchy. Nie w takim znaczeniu, jak myślisz.

– A ja tak. Dodatkowy powód, żeby nie wierzyć w twój Kościół.

– Dobrze. Ale dlaczego Mitra? Dlaczego właśnie ten bóg? Skąd ci przyszło do głowy, żeby...

– Spokojnie, poczekaj, przyhamuj. Myślisz, że to ja narzuciłem kult Mitry moim ludziom?

Nie odpowiadam.

Nie ma takiej potrzeby.

Durand wybucha śmiechem.

– Dla mnie to bez znaczenia, ten Bóg czy inny. Nie potrzebuję Boga. Nie wiedziałem nawet, kto to Mitra. Nie ja przywróciłem go do życia.

– Więc kto?

Durand wzrusza ramionami.

– Sam go znajdź. Czasu masz nadto. A teraz idź spać, księżu. Ruszamy, jak tylko się ściemni.

– Czeka.

– Co znowu?

– Ten incydent z pryskankiem... z trupim sokiem, czy jak to tam nazywacie... Chodzi o to drobne zaniechanie, którego omal nie przypłaciłem życiem. Już wiesz, kto za to odpowiada?

Durand chwilę milczy.

– Nie było czasu. Śpij, Johnie. Jutro ciężki dzień.

Przez całą noc wiatr każe nam słuchać swojego głosu przez pęknięcia zarysowujące ściany schronu. Raz brzmi to jak szeptane słowa, a raz groźnie jak syczenie węża albo stłumione wycie przyczajonego potwora.

Zastanawiam się, ile budzących grozę historii powstało w ten sposób w przeszłości, w wyobraźni ludzi zamkniętych w ciemnościach grot, czujących się bezpiecznie w schronieniu i w towarzystwie swoich kompanów, a jednocześnie zdjętych trwogą na myśl o świecie zewnętrznym, bezkresnym i nieznanym.

W głowie kłębią mi się tysiące myśli.

Zastanawiam się, do jakiego stopnia mogę ufać tym ludziom. Do jakiego stopnia mogę czuć się bezpieczny z ludźmi, którzy potrafią zabić całą wspólnotę bez mrugnięcia okiem.

Nie do pomyślenia jest już sam fakt odkrycia takich rzeczy: pogańskich obrzędów sprawowanych wewnątrz Gwardii Szwajcarskiej, istnienia wokół Rzymu baz i przyczółków, o których nie słyszałem ani ja, ani – jak sądzę – władze kościelne.

To zatrwajające.

Jeśli ci ludzie pozwolili na to, żeby dowiedział się o takich rzeczach, to co czeka mnie u kresu tej podróży?

Myślę, że odpowiedź jest łatwa do przewidzenia.

Jakiś bezimienny grób gdzieś w tym spustoszonej świecie.

I pośmiertna cześć ze strony Nowego Watykanu, jeśli misja zostanie spełniona.

Jak mogę ufać tym najemnikom? Przecież mogą mnie zlikwidować i powiedzieć, że misja się nie

powiodła, jeżeli to, co znajdziemy w Wenecji, jest bajecznym skarbem, o którym się tyle mówi...

Nawet jeżeli w głębi swojego serca powinienem szukać litości i miłości, by nie potępiać tych ludzi, to przecież jestem ostatnim członkiem tego, co kiedyś nazywano Świętą Inkwizycją. Likwidacja herezji to mój obowiązek.

Tyle myśli.

Zbyt wiele.

Szukam pocieszenia w modlitwie.

Ale i tak zasypiam późno i śpię bardzo źle.

Tyle że głosy dzieci ze stacji Aurelia nie zakłócają mego snu.

Rozdział 15: Autostrada Słońca

Nie sądziłem, że będę mógł jeszcze podróżować tak daleko i tak szybko.

Przyzwyczailem się do skorupki Świętego Kaliksta, do tych bezpiecznych ścian. Do myśli, że każdy ruch w moim życiu będzie wykonany tam, pod ziemią, i że nie zobaczę już nigdy słonecznego światła.

Podróż hummerem wprawia niemalże w euforię. Omijamy miasta i wybieramy drogi poboczne, przez co prawie nie natykamy się na przeszkody. Wprawdzie osunięcia ziemi i powodzie uszkodziły niektóre odcinki, a śnieg sprawia, że czasami nie wiemy, czy jesteśmy jeszcze na drodze, czy już na polu. Chwilami między jednym a drugim nie ma w rzeczywistości wielkiej różnicy. Ale udaje nam się utrzymać średnią prędkość w granicach dwudziestu, trzydziestu mil na godzinę.

Na desce rozdzielczej znajduje się zaskakujący relikwiarz przeszłości: nawigacja satelitarna. Maksim powiedział mi kiedyś, że znaleziono kilka i gdzieś odłożono, bo na co to komu w Świętym Kalikście, pięć metrów pod ziemią?

Nie spodziewałem się, że zobaczę tu GPS-a. Szczególnie takiego, który wygląda jakby dopiero co wyjęto go z pudełka. Bateria nie działa, ale podłączony jest do zasilania w samochodzie.

Miły i ciepły głos kobiety wydający instrukcje, prowadzący nas po drogach, których nie zobaczysz okiem, to duże zaskoczenie. A jeszcze bardziej zaskakujący jest fakt, że na orbicie zostały satelity, i że niektóre z nich nadal dostarczają danych. Jako chłopiec przeczytałem w jakimś czasopiśmie, że GPS, podobnie jak internet, to technologia wojskowa.

Internet nie przetrwał katastrofy, a GPS tak.

Może nie wszędzie. Kto to wie? Ale tu działa.

„Na następnym skrzyżowaniu jedź prosto”.

Kiedyś, jeszcze zanim świat się na nas zwał, wsiadłem do watykańskiego audi, luksusowego wozu ze skózanymi fotelami.

Pamiętam głos z nawigacji. Kobięcy, niewiarygodnie ciepły i zmysłowy, który wydał mi się wtedy niewłaściwy w samochodzie należącym do Kościoła. Kiedy dojeżdżaliśmy do celu, nie usłyszałem prostego i suchego komunikatu standardowych nawigacji: „Za trzysta metrów koniec jazdy”.

Nie.

Głos powiedział: „Za niespełna sto metrów osiągniesz cel podróży”.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy: „Oto samochód, który naprawdę rozpieszcza”.

Ale ten głos tutaj to też prawdziwy cud.

„Na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo”.

Skrzyżowanie, o którym mowa, jest niewidoczne. Jedyne, co możemy dostrzec w mocnym świetle reflektorów, to małe wzgórze pokryte śniegiem. Ale GPS widzi drogę pod tym śniegiem i prowadzi nas według instrukcji zaprogramowanych i czytanych przez osoby, które nie żyją już od przynajmniej dwudziestu lat.

Cuda może już nie są takie jak dawniej, ale wciąż się zdarzają.

Głos z nawigacji też jest w pewnym sensie głosem ducha. Kto wie, czy kobieta, której głos prowadzi nas przez noc, jeszcze żyje, a jeśli nie, to ciekawe, jak umarła.

Po sześciu godzinach, o trzeciej nad ranem, sierżant Wenzel przekazał kierownicę Durandowi. Nie wysiedli, żeby się zmienić, zaś ruchy, jakie musieli wykonać, żeby się przesiąść, były tak niezdarne, że nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

Kapitan prowadzi zupełnie inaczej niż Wenzel. Jest ostrożniejszy, jak ktoś, kto właśnie kupił nowe auto. Albo ktoś, kto wie, że nie istnieją części zamienne, chyba że sam je sobie stworzy.

W tych czasach błędy są niewybaczalne. Życie jest delikatne, a Ziemia stała się ogromnym polem bitwy. Tak nas uczą, albo uczymy się tego własnym kosztem każdego dnia, okupując to wielkim strachem i

krwią.

A jednak...

A jednak, puszczając wodze fantazji, ukołyszany ciepłem panującym w samochodzie, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że jestem chłopcem, siedzę na tylnej kanapie auta rodziców. Tata prowadzi, nucąc starą piosenkę Lemonheads, a mama rozmawia przez komórkę z babcią i opowiada jej o naszej podróży. Jedziemy właśnie do Sagaponack w Hamptons na letnie wakacje. Czekają mnie długie tygodnie kąpeli, opalania, żeglowania, i przyjaciele...

Przyjaciele to już tylko proch na wietrze...

Prochem ojciec, prochem matka.

A mój Bóg jest dla wszystkich reliktem z minionych czasów. Stary zdetronizowany król, który błąka się po radioaktywnych równinach i liczy dusze na palcach ręki.

– O czym myślisz, Johnie? – pyta Adčle. Jej oddech jest świeży, pachnie ziołami. Rzecz nie do pomyślenia w świecie, w którym nie produkuje się już ani tubki pasty do zębów.

– Myślałem o przeszłości.

– Aj.

– Nie, to było dobre wspomnienie.

Ona kręci głową.

– Przeszłość jest groźna. Przeszłość zabija. Wielu popełniło samobójstwo, kiedy się przebudzili ze snu o przeszłości.

Patrzę za okno, ale nic nie widzę. Tylko moje słabe odbicie w szybie, i jeszcze słabsze odbicie twarzy Adčle.

– Przeszłość jest wszystkim, co mamy – odpowiadam. – Starożytni Grecy uważali, że człowiek w życiu idzie tyłem do przodu. Przyszłość ma za plecami, niewidoczną. Jedyłą rzeczą, jaką widzi, posuwając się w czasie, jest przeszłość.

– Piękne. Ale zarazem i nie. To dobre dla takich jak ty, którzy żyli w tamtym świecie. Ale dziecko urodzone już po apokalipsie powinno uciekać jak najdalej od przeszłości. Przyszłość jest wszystkim, co mamy. Musimy w nią wierzyć.

– Amen – kończy sarkastycznie Durand.

Nagle głucho uderzenie, syk protestu amortyzatorów, SUV podskakuje jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemię, po czym spada na twardą, równą powierzchnię. Durand otwiera okno i manewruje dachowymi reflektorami.

Nagle słysząc wybuch radości sierżanta Wenzla.

– Jest!

Przed nami zielona tablica zniszczona przez czas i pogodę, z napisem A1.

Autostrada A1, znana kiedyś pod nazwą Autostrady Słońca, była najdłuższą autostradą we Włoszech. Otwarta w 1964 roku, łączyła Neapol z Mediolanem. Szybko stała się symbolem rozkwitu gospodarczego kraju w latach sześćdziesiątych.

Dziś nie wygląda specjalnie dobrze. Właściwie na nic nie wygląda. Jak wszystko dookoła pokryta jest dziesięciocentymetrową warstwą śniegu, w wielu miejscach zniszczona, usiana wrakami aut i resztkami powalonych drzew. Tylko bariera pobocza, nienaruszona na dłuższych odcinkach drogi, świadczy o tym, że przed Wielką Zagładą to była autostrada, którą przejeżdżały codziennie miliony pojazdów.

Słyszę niemal szum tego ruchu – dymiące na czarno ciężarówki, stojące w kolumnie piękne włoskie samochody, klaksony zniecierpliwionych kierowców...

Głos Duranda przywołuje mnie brutalnie do rzeczywistości.

– Teoretycznie wszystko odtąd powinno iść już szybciej. Autostradą pojedziemy jakieś trzydzieści kilometrów. Tutaj...

Palcem wskazującym stuka w jakiś punkt na środku mapy.

– Tu wjedziemy na drogę Rzym–Cesena.

– Dlaczego?

– Żeby ominąć Florencję.

– Jak to?

– To niebezpieczne miasto.

I nie mówi nic więcej.

Drugi hummer jedzie za nami. Przy trzydziestu kilometrach na godzinę omijamy slalomem wraki aut, dziury w asfalcie, i udaje nam się utrzymać dobrą średnią. Tylko raz musimy stanąć, kiedy nagle rój czarnych sylwetek zamiera w świetle reflektorów, jakieś dwadzieścia metrów od nas. Na ułamek sekundy wszystko zastyga w iście dantejskiej scenie – na masce jakiegoś auta przysiadły demony. Zanim mózg zdąży zarejestrować te odrażające, błyszczące czarne cielska, scena pryska w jednej, pełnej frenetycznego ruchu chwili. Wirowanie skrzydeł, trzepotanie długich czarnych ogonów... i monstrialne stwory znikają nam z oczu. W świetle reflektorów pozostaje tylko odkryte czerwone auto z otwieranym dachem. Coś siedzi na miejscu kierowcy.

Między hummerami następuje szybka wymiana sygnałów światłami pozycyjnymi i stopu. W drugim samochodzie trzaskają drzwi, dwaj Włosi, Guido i Marco, stoją już obok z karabinami, w maskach. Durand też wysiada. Bune wyskakuje na drogę w niedbale założonej masce.

Zbliżają się powoli do czerwonego auta, które lśni jak zjawia na środku drogi. Nie wytrzymuję. Wciągam maskę, zakładam plastikową ceratę i wysiadam z wozu, nie czekając, aż ktoś mnie powstrzyma.

Durand odwraca się wkurzony, ale nic nie mówi. Daje znak Adc!e, żeby nie wysiadała.

Z wycelowanymi karabinami otaczają alfa romeo giuliettę.

Kobieta za kierownicą ubrana jest na czerwono. Chociaż sukienka podarta jest w wielu miejscach, widać, że to *haute couture*. A ubrana w nią dziewczyna jest tego absolutnie godna. Śmierć – straszna śmierć, jeśli sądzić po wyrazie twarzy – nie pozbawiła jej urody.

Ręce ma przywiązane do kierownicy drutem kolczastym.

Ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Szeroko otwarte oczy, które śnieg wypełnił łzami, są tak błękitne, że wyglądają jak szlachetne kamienie.

Ubiór jest zbyt lekki. Jakby auto i kobieta przybyli z innego wymiaru albo dostali się tu przez wrota czasu z dawnych filmów science fiction. Mroźny wiatr podnosi lekki materiał, odsłaniając jej nogi.

Łono jest nagie, naznaczone głębokimi ranami, wewnętrzna część ud cała we krwi.

– Oto przykład dziewczyny, która odeszła, dochodząc...

– Cicho, Bune. Cicho bądź albo będziesz miał kłopoty.

– Tak jest. Ale...

– Zamknij się!

Durand jest wstrząśnięty.

– Te potwory... – mówię cicho.

– Pomóż mi ją podnieść.

– To one doprowadziły ją do takiego stanu?

Durand otwiera drzwi. Podnosi martwą dziewczynę delikatnie, jak ojciec córkę, która zasnęła na kanapie. Pomagam mu, choć to zbędne. Nie jest ciężka. Podtrzymuję ramiona. Jest chuda, ma lekki kościec. Wrażenie wytworności niweczy opłakany stan jej paznokci i fakt, że zapewne nigdy się nie depilowała.

– One? Nie, to nie one – mruczy kapitan, kładąc ciało na skraju drogi.

Ściąga rękawicę. Delikatnym gestem odgarnia kruczoczarne włosy z czoła dziewczyny.

Na alabastrowej skórze ktoś wyciął kółko z literą S w środku.

– Proszę się za nią pomodlić – mówi Durand.

– Nie trzeba prosić.

I tak bym się pomodlił. Odmawiam modlitwy i wykonuję rytualne gesty.

Instynktownie, nie wiedząc czemu, recytuję z pamięci wersety psalmu.

– Panie, Ty byłeś dla nas ucieczką z pokolenia na pokolenie. Zanim narodziły się góry, nim powstał świat i ziemia od wieku po wiek Ty jesteś Bogiem. Obracasz człowieka w proch i mówisz: Wracajcie, synowie ludzcy. Bo tysiąc lat w Twoich oczach jest jak dzień wczorajszy, który minął i jak nocne czuwanie...

Przez filtr maski mój głos nabiera ponurego, niemal mechanicznego brzmienia, nawet dla mnie samego.

Udzielam ciału błogosławieństwa.

Nikt się nie żegna znakiem krzyża.

Nie ma sposobu na wykopanie grobu w zmarzniętej ziemi, ale Durand nie chce zostawiać dziewczyny bez pochówku.

– Jeśli to nie te potwory, to kto mógł zrobić coś takiego? – dopytuję.

– Nie wiem. Ale jedna rzecz jest pewna. Ktokolwiek to był, jeżeli wpadnie mi w ręce, to pożałuje, że się urodził.

– Kapitanie, musimy jechać – mówi głosem pełnym szacunku sierżant Paul Wenzel.

Durand potakuje.

– Jest jakaś osada w pobliżu?

– Z tego, co wiemy, jest tylko jedna. Torrita Tiberina. Osiemnaście dusz, według ostatniego spisu.

– Dobrze. Tam się zatrzymamy. Damy radę?

– Droga jest w dobrym stanie. Dwie godziny powinny nam wystarczyć.

Durand odwraca się ku ciemnościom.

– Ile było tych bestii?

– Pięć.

– Pauli, sprawdź, ile benzyny jest w baku tego auta.

Wenzel wyciąga kluczyki ze stacyjki.

Otwiera klapkę wlewu zbiornika.

– Wystarczy – odpowiada, jakby wiedział, do czego ta benzyna ma wystarczyć.

Kapitan pochyla się i podnosi z ziemi zwłoki. Składa je delikatnie na tylnej kanapie czerwonego spidera. Przez zassany wąż Wenzel zlał ze zbiornika co najmniej trzy litry benzyny.

Durand bierze od niego kanister. Odkorkowuje i wylewa palny płyn na siedzenia i na ciało dziewczyny. Tymczasem Wenzel pobierał ze skrzyni ładunkowej wywróconej ciężarówka kilka połamanych drewnianych skrzynek po pomarańczach. Odrywa po kawałku listewki i rozkłada je na zwłokach dziewczyny.

Powietrze wibruje od oparów paliwa.

Kiedy ciała nie widać już spod drewnianych szczap, Durand daje wszystkim znak, żeby się odsunęli, i przykłada język błękitnego płomienia swojej zapalniczki do narożnika tylnej kanapy.

Buchają płomienie. Czerwień rozlewa się gwałtownie, rozpraszając ciemności. Robi się gorąco nie do wytrzymania. Języki ognia tańczą na drewnie i wnet z zaimprovizowanego stosu unosi się odór palonego ciała, któremu towarzyszy lekka woń pomarańczy.

Oddalamy się od ognia, wpatrując się w ciemności, z których czujemy się obserwowani.

Kapitan daje znak ręką, wsiadamy do hummerów.

Kiedy boczna bariera drogi nagle się urywa, Wenzel redukuje bieg i zjeżdża wzdłuż nasypu oddzielającego autostradę od drogi krajowej. Pięć minut podskoków, niebezpiecznych przechyłów i hummer toczy koła po zniszczonym asfalcie drogi znajdującej się poniżej.

– Świetna robota, Pauli.

- Dziękuję, kapitanie. Chciałbym o coś spytać...
- Pytaj.
- Przewidziany był postój w Orte. Nie w Torrita.
- Zgadza się.

Kapitan nie mówi nic więcej.

- To będzie spóźnienie – komentuje sucho Wenzel.

Durand nie odpowiada.

Wenzel kręci głową.

- Jeśli trzymać się danych z ostatniego spisu, to mają tam moździerz. Ciężka broń.
- Dla nich dobrze.
- Jeżeli wrócimy na autostradę, zdążymy do Orte przed wschodem słońca.

Durand uśmiecha się nieprzyjemnie.

- Ale my nie jedziemy do Orte. Zatrzymujemy się w Torrita Tiberina.

Rozdział 16: Czarna wieża

Wioska leży na małym wzgórzu, w zakolu Tybru.

Kiedyś musiało tu być ładnie. Dzisiaj wygląda to tak, jakby ktoś wysypał na wszystko olbrzymi wór pyłu i śniegu. W nieśmiałym brzasku świtania ukazuje nam się zdewastowany pejzaż, jak po przejściu zięjącego ogniem smoka. Górująca nad zabudową okrągła wieża spłonęła i jest prawie zupełnie czarna. Domy dookoła podzieliły chyba jej los.

Durand chowa lornetkę do futerału. Odwraca się do sierżanta Wenzla, leżącego obok niego w śniegu, pod osłoną resztek kamiennego muru.

– Wygląda na to, że czują się bezpiecznie.

Sierżant uśmiecha się, choć bardziej wygląda to na grymas.

– Ani jednego wartownika – potwierdza, kiwając głową.

Ale z komina wielkiej, niskiej budowli, niedaleko historycznego centrum, wydobywa się strużka dymu. Tam muszą być ludzie.

Dołącza do nas kapral Rossi, z lekka zasapany. Kładzie się obok nas.

– Tam, na tym placu, są dziwne ślady. Śnieg jest zupełnie zdeptany. I jest krew. Ale najdziwniejsze z tego wszystkiego są ślady kół. Olbrzymich kół. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Jakby wziąć normalną ciężarówkę i nadmuchać ją tak, że robi się dziesięć razy większa.

– Jesteś pewien, że to ciężarówka?

– Noo, nie widziałem jej. Ale ślady tak wyglądały.

– Jesteś pewien? Spadło dużo śniegu.

– Żeby je przykryć, trzeba by było z metr tego śniegu.

– Jak stare są te ślady?

– Dwa, góra trzy dni.

Durand odwraca się na plecy. Zdejmuje maskę.

Wenzel już ma zaprotestować, ale oficer powstrzymuje go krótkim gestem.

– Schodzimy. Już i tak straciliśmy za dużo czasu.

Zbliżamy się powoli w słabym wciąż świetle brzasku. W hummerach siedzą tylko Wenzel i Diop, za kierownicami. Pozostali, przyczajeni, trzymają się tuż za samochodami. Widziałem takie sceny tylko w starych czarno-białych filmach i dokumentach wojennych. Wszyscy mamy w rękach broń, chociaż nie wiem, czego oczekują od karabinu znajdującego się w moich dłoniach. Przypuszczalnie zrobiłbym więcej krzywdy sobie niż innym.

Silniki SUV-ów pracują na minimalnych obrotach, ale i tak wydaje mi się, że robią piekielny hałas. Pod wysokimi butami, które podnoszą się i opadają, skrzypi śnieg. Nie mogę dojrzeć, kto maszeruje obok mnie. W maskach i płaszczach jesteśmy identyczni. Ale osoba u mojego boku trzyma pistolet z magazynkiem bębnowym, a nie schmeissera, więc musi to być Adčle Lombard.

Idziemy tak bez słowa. Każde mijane okno, każde puste drzwi wyglądają jak otwarte martwe usta. Z każdego mogłaby się nagle wychylić lufa karabinu albo, co gorsza, ciężkiej broni, o której mówił Wenzel. Jednak nic się nie dzieje. Serce bije jak szalone, ale nikt do nas nie strzela.

Miasteczko jest martwe. Nie ma żadnych śladów na peryferyjnych drogach, którymi zdążamy ku staremu centrum z wieżą, czarną niczym grzech.

W miarę jak zbliżamy się do pierwszych domów, nasz marsz robi się coraz szybszy, rytmiczny, aż przechodzi w bieg ku jakiemuś bezpiecznemu miejscu. Wyprzedzamy hummery. Diop i Wenzel przesiadają się za ciężkie automaty zamontowane na dachach SUV-ów.

Durand w biegu wydaje nieme rozkazy palcami prawej ręki. Wystarczy jeden gest, i żołnierze ustawiają się w żądanym szyku, osłaniając się nawzajem.

Ale póki co nie widać żadnego zagrożenia, żaden alarmujący krzyk nie przeszywa ciszy. Miasteczko wydaje się martwe. Kiedyś byłoby świetnym miejscem na nakręcenie filmu o wampirach. Jednak dziś sami jesteśmy wampirami. Chowamy się pod ziemię przed światłem słońca. Dzień należy do innych, a ci już nie są ludźmi. I może nawet nigdy nimi nie byli.

Czuję ból w piersiach.

Oddycham z dużym trudem.

Odzwyczałem się od wysiłku. Nawet od takiego jak ten bieg. Śnieg okropnie głośno skrzypi pod butami. Okulary maski zaparowują od potu wyciśniętego z mojego ciała. Od wewnątrz, nie można ich przetrzeć. Widzę wszystko jakby w świetlistym kręgu. Szybko poruszający się ludzie są jak duchy, a światło...

Światło jest już zbyt mocne, pomimo kołdry z chmur. Wkrótce promienie słońca wzniosą się nad dachy domów i musną konary drzew, tam w oddali, wydobędą je z ciemności, odmalują wyraźnie każdy detal, jak obraz w książce. Wystarczyłoby zdjąć maskę...

Od dwudziestu lat nie widziałem świtu...

Ktoś potrząsa mną mocno. Szarpie za ramię.

Głos Duranda wydziera mi się prosto do ucha: „Co ty, kurwa, robisz?”.

Wytrzeszczam oczy. Maska Duranda wygląda, jakby była częścią jego twarzy. Zmienił się w szarozielonego słonia z metalową trąbą...

Jego paszcza, pełna zębów, rozwiera się...

Podnoszę karabin...

Uderzenie w policzek zamyka mi oczy białą błyskawicą. Kiedy je otwieram, Durand jest znów sobą.

– Obudź się, John!

Bełkoczę coś, sam nie rozumiejąc.

– Co ci się stało? Zwariowałeś?

Potrząsam głową.

– Nie celuj do mnie nigdy, idioto jeden! I zabezpiecz!

– Nie rozumiem...

Chciałbym mu powiedzieć, że chyba miałem jakąś wizję. Sen z otwartymi oczami...

Nie, nie sen. Koszmar.

– Dobrze się już czujesz?

– Tak...

– Nie rób więcej głupot. Zostań tu i osłaniaj nam tyły.

Durand odwraca się, jakby mnie już nie było. Gestami nakazuje ludziom rozdzielić się na lewo i prawo i iść w kierunku dwóch domów z zamkniętymi drzwiami, pomalowanymi zieloną, łuszczącą się farbą.

Ludzie biegną ku drzwiom, niezdarnie jak ropuchy. Bezskutecznie usiłują je otworzyć, próbują więc kopnięciami. Zamki puszczają, drzwi wpadają do środka, a za nimi obie grupy. Słyszę z tyłu silniki hummerów, jak z wyciem ruszają do przodu, by zatrzymać się dwa metry ode mnie. Diop i Wenzel zsuwają się z miejsc strzeleckich, zamykają metalowe włazy. Wyskakują z jadących jeszcze SUV-ów i rzucają się ku mnie z wycelowaną bronią.

– Co ojciec tu robi?! – wrzeszczy mi do ucha Diop.

– Kapitan Durand kazał mi tu zostać. Żeby osłaniać tyły...

– Żeby osłaniać tyły czy żeby strzelać w tyłki? – ironizuje czarny. – Widziałem dobrze, co się stało.

Gdybym był na miejscu Duranda, już by ojciec nie żył. Co to, kurwa, za wygłupy?

– Ja... Chyba miałem jakieś zwidy...

Diop i Wenzel spoglądają na siebie. Po chwili sierżant chwytła mnie mocno za ramię.

– Gdyby to się miało powtórzyć... Gdyby się księdzu znów zdarzyły te... zwidy... to proszę

zabezpieczyć broń. Nie, proszę ją rzucić na ziemię. Daleko od siebie.

– Co to było? Pan wie, co to było?

Wenzel wzrusza ramionami.

– Nie ma czasu na rozmowy. Teraz we trójkę zdobywamy wieżę.

– Kapitan...

– Kapitana nie ma. Teraz proszę słuchać mnie! Szybko!

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ruszyć za nimi.

Przechodzimy obok wyważonych drzwi, za którymi panuje ciemność, sporadycznie przeszywana frenetycznym migotaniem latarek.

Wenzel szarpie mnie za ramię i odciąga ku narożnikowi budynku. Za nim wznosi się droga pokryta półmetrową warstwą nietkniętego śniegu. Na jej końcu, obok czegoś, co wygląda na mały zamek, wyrasta czarna bryła wieży z pustymi otworami okien.

Pierwszy rusza kapral Diop. Biegnie dość niezdarnie, ale w kilka minut jest już pod bramą wieży. Sierżant Wenzel biegnie za nim, skacząc niczym sarna, z niewiarygodną sprawnością jak na jego masywną budowę ciała.

Teraz ja zbieram się do biegu, kiedy nagły hałas zapiera mi dech w piersiach.

Grzmot, jakby wystrzał.

Jeszcze jeden. Za nami, gdzieś w górze.

Serce podskoczyło mi do gardła, odwracam się. Trzymam w gotowości karabin, tak mi się przynajmniej wydaje.

Z okna na drugim piętrze domu po prawej stronie wychyla się Karl Bune i macha ręką w geście pozdrowienia. Uśmiecha się jak idiota. Okno jest wyłamane. I to był ten hałas.

Dwadzieścia metrów na lewo, w drugim domu wziętym szturmem przez Gwardię, roztrzaskane okno balkonu. A w nim Yegor Bitka, poważny i profesjonalny, nie to co Bune, celuje ze schmeissera w okna wieży. Daje mi znak, żebym ruszał.

Kiedy już jestem w wieży, wchodzę za Wenzlem i Diopem po krętych schodach. Wpadające przez okna światło znaczy mury jasnymi plamami, gdy cała reszta tonie w tak głębokiej czerni, jakby była z niej zbudowana.

Instynktownie unikamy światła, żeby nie musnął nas nawet najmniejszy promyczek. Ciężki karabin stał się niemal częścią mojego ciała. Mierzę nim w każdy oświetlony kąt, jakby wrogiem było światło.

Nagle wychodzę na podest. A raczej na to, co z niego zostało.

Kapral Diop chwyta mnie za rzemyk plecaka. Gdyby nie to, runąłbym w dół.

W ścianach widoczne są jeszcze otwory mocowania belek, które podtrzymywały drewnianą podłogę strawioną przez pożar. Dziesięć centymetrów od czubka moich butów zionie dziesięciometrowa dziura, jak studnia, na szerokość całej wieży. Słowa modlitwy same cisną mi się na usta, gdy serce skacze do gardła. Sierżant Wenzel pomaga mi się cofnąć w bezpieczne miejsce, na schody. Przez okulary naszych masek nie możemy sobie spojrzeć w oczy. Na jego ruch głowy odpowiadam tak samo.

„Wszystko w porządku”.

Przerwane schody półtora metra wyżej biegną dalej w górę. Ale nie ma sensu wchodzić. Na górze nie ma nic. Wieża jest pustą skorupą.

Spotykamy się na małym placu przed budynkiem. Dwa domy, do których weszli tamci, były nietknięte, ale puste.

– Wygląda na to, że jeszcze parę godzin temu ktoś tu mieszkał. W kuchni stał talerz z zupą. I nie było kurzu – kapitan Durand kręci głową. – Nie zdziwiłbym się, gdyby reszta wioski była pusta.

– Ale co? Robimy zwiad tak czy inaczej? – dopytuje Wenzel.

– Nie. Poczekamy na zmierzch, później ruszymy. Lepiej schowajmy auta gdzieś w bezpieczne miejsce.

- W tamtym domu widziałem bramę. To chyba jest garaż.
- Świetnie, Pauli. Tak zrobimy. O reszcie pomyślimy jutro.
- Zastanawiam się, co tu się stało. Mówiłeś osiemnaście osób?
- Według ostatniego spisu.
- Może siedemnaście – pokpiwa Bune. – O ile ta cipka w czerwonym była stąd...
- Dość już tego, Bune. Okej, zasłużyłeś sobie na zaszczyt – masz pierwszą zmianę warty. W garażu, z autami.

– Uuu, kapitanie, proszę nie być takim srogim dla biednego szeregowca Bunego... W tym garażu musi być cholernie zimno. A drzwi są cienkie. Skąd mam wiedzieć, że mnie nie napromieniuje, jak będę tam spał?

– Bune, ty tam nie masz spać. Masz czuwać i pilnować hummerów. A teraz zamknij się i jazda!

– A my gdzie śpimy, kapitanie? – pyta sierżant Wenzel.

Durand rozgląda się dookoła.

– Te dwa domy już spieprzyliśmy. Nie ma drzwi, wywalone okno. Zobaczmy tamten obiekt, obok wieży. Pauli, jak sądzisz, kiedy spaliła się ta wieża?

Sam mógłbym mu odpowiedzieć na to pytanie.

Nawet przez filtry maski dociera silna woń spalenizny. Kamienie muru są jeszcze ciepłe.

– Dwa, najdalej trzy dni temu.

Durand myśli chwilę.

– Dobra, idziemy znaleźć jakieś schronienie na noc. A ty, Bune, miej oczy szeroko otwarte. Rossi zmieni cię w południe.

Bune oddala się, kręcąc głową. Tym razem bez odzywek. Wenzel i Diop rzucają mu kluczyki od SUV-ów. Łapie je, nie odwracając nawet głowy.

– No już, chłopaki – pogania sierżant.

Przechodzimy pod kamiennym łukiem, pięknym w swej prostocie. Brama nie jest zamknięta na klucz.

Gwardziści wchodzą, osłaniając się nawzajem. Pięć minut później, po inspekcji budynku, przywołują mnie gwizdnięciem. Diop idzie zamknąć bramę masywnym rygłem.

– *Home sweet home* – żartuje sierżant Wenzel, po czym, ku mojemu zaskoczeniu, gwizdże sygnał z *The Twilight Zone*.

Oczywiście nie ma światła, a okiennice zamknięte są tak dokładnie, że do środka nie przedostaje się najmniejszy promyk słońca. Dla nas, wampirów, jak znalazł.

W niemal wszystkich pokojach są kominki. I choć z kurków nie kapie ani kropla, to w kuchni na podłodze stoi sześć baniaków z na pozór czystą wodą.

– Fantastycznie. I po co się stąd w ogóle ruszać? – rzuca Diop, odkręca baniak i wlewa sobie do gardła cały strumień.

Sierżant Wenzel studzi go jednym zdaniem.

– Pozostaje nam tylko odgadnąć, gdzie się podziali ci wszyscy ludzie – może się zatruli...

Kapral krztusi się wodą.

Wenzel rechocze, odbiera mu baniak i długo pije.

– Ustalmy zmiany warty. Na poddaszu jest doskonałe stanowisko. Widać wszystko, oprócz jednego ślepego zaułka, który jest raczej bezpieczny. Yegor, ty na pierwszej zmianie.

– Co za fart...

– Przynajmniej nie będziesz musiał zrywać się w nocy. Zamknijcie dobrze drzwi i okna. I pilnujcie, żeby nie wpadało światło.

Na doprowadzenie do stanu używalności trzypiętrowego budynku potrzeba niespełna pół godziny. Skuteczność tego żołnierskiego zespołu jest niewiarygodna. Ich ruchy są tak precyzyjne i zgrane, że zakrawają na balet.

W kuchni nie ma żywności, ale naczynia, szklanki i sztucze są czyste i uporządkowane. Jest nawet zapas drewna, które wkrótce już płonie w kominkach, ogrzewając i oświetlając pomieszczenia.

– Na górze są trzy pokoje – mówi Diop. – Łóżka są w porządku. Nawet kurzu nie ma. Pani może wziąć środekowy.

– Wygląda na to, że gospodarze poszli się przejść – mówi cicho Wenzel.

Ale te słowa, zamiast uśmiechu, wywołują dreszcz.

– Ja na pewno nie nadaję się do roli Złotowłosego brzdąca – żartuje czarny Diop.

Wenzel wzrusza ramionami.

– Zajmijmy się pokojami. A za godzinę kolacja.

W tych czasach kolacją nazywamy posiłek spożywany o ósmej rano czasu lokalnego.

Południem nazywamy dawną północ.

Tak jak byśmy przenieśli się do dalekiego kraju, na antypodach.

I w pewnych sensie naprawdę tak jest.

Siedzimy dookoła stołu. Na środku stoi lampa naftowa, emaliowane menażki i nietłukące plastikowe kubki, resztki puszek i żywności pakowanej próżniowo.

W piwnicy też nie było żadnych zapasów żywności.

Ani okruszka.

Były za to całe rzędy butelek przykrytych grubym dywanem kurzu i prawdziwą firaną pajęczyn. Kiedy dwaj Włosi, Greppi i kapral Rossi, odczytali etykietę na jednej z butelek wybranych na chybił trafił przez Diopa, wybuchnęli nieokiełznaną radością.

– Barolo z 2006 roku, z piwnicy Cordero di Montezemolo...

– Dobre? – pyta Diop, przestając na chwilę dłużyć wykałaczką w zębach.

– Żartujesz? Już przed FUBARD-em kosztowało krocie.

– Drogie nie znaczy dobre.

– Zobaczysz.

– Właśnie. Zobaczymy. Otwieraj.

W pomieszczeniu jest ciepło, niemal gorąco. W pokojach też czeka na nas ogień w kominku. Dawno już nie zaznałem takiej przyjemności, ciepłego jasnego pokoju.

Od czasu do czasu, jakby dla przypomnienia o zewnętrznym świecie, do komina wpada wiatr i podsycy ogień, wzbijając obłok skwierczących iskier.

Wpatruję się w butelkę trzymaną przez kaprala Rossiego i próbuję odpędzić wszystkie inne myśli.

Domyślam się, że picie takiego wina w plastikowym kubku to zbrodnia. Ale ten czas był już świadkiem większych zbrodni.

Milczymy, kiedy kapral odkorkowuje butelkę ze zniszczoną etykietą, a robi to z delikatnością sapera pochylającego się nad niewybuchem.

Korek daje się łatwo wyjąć.

Rossi nalewa parę kropel wina do swojego kubka.

Kosztuje, płucząc nim długo usta, dopiero potem przełyka.

– Dobre? – pyta Diop i podaje swój kubek.

Rossi nie odpowiada.

Wstaje, idzie do kuchni.

Szuka w każdym zakamarku, wreszcie znajduje. Wraca do nas z ośmioma szklanymi kielichami w rękach.

Stawia je na środku stołu. Kielichy, co niewiarygodne, są całe i czyste. Na ich widok, na widok ciemnego, a jednocześnie lśniącego płynu, wzruszenie odbiera nam mowę. To coś magicznego. Myśl, że to wino powstało z gron zebranych trzydzieści lat temu, kiedy jeszcze słońce było darem, a nie groźbą,

pola i łąki były zielone, złote, a świat sprawiał wrażenie wiecznego.

Podnoszę kielich. Wino kołysze się między szklanymi ściankami, zamykając światło w smugach spływających kropli. Podnoszę do ust. Próbuję.

Jak opisać to doznanie? To rodzaj mistycznej komunii, nie z Bogiem, lecz z przeszłością. Ze światem ciepła i światła, który pozostał daleko za nami. Można go odnaleźć jedynie w takich chwilach, przy trzaskającym ogniu kominka, przy tym wspaniałym płynie, który kosztujemy, wspominając świetność i glorię straconej epoki.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywa. Każdy z nas smakuje w milczeniu, pogrążony we własnych myślach. Nagle posiłek, który spożyliśmy, robi się ciężki, niestrawny. Połączenie tego codziennego jadła z nektarem takiego wina jest autentyczną zbrodnią.

Emocje. Nostalgia za utraconym światem, który już nigdy nie wróci.

Durand odchrząkuje.

– Powinniśmy zanieść kieliszek Yegorowi.

– Ale on jest na służbie – zauważa Wenzel.

– Nie bądźmy fanatykami, sierżancie. To kto mu zanieś?

Wstaję od stołu.

Durand podnosi brew.

– Ojciec?

– Dlaczego nie?

– Wedle życzenia. Dziękuję. Wystarczy wejść po schodach. Proszę narobić trochę hałasu, zanim ojciec tam wejdzie. Yegor ma lekki spust.

– A Bune?

– Co Bune?

– Dla niego nic?

– Szeregowy Bune ma karę. Poza tym nie pora na spacer, czyż nie?

Fakt, że przez okna nie wpada żadne światło, znowu mnie zmylił. To niewiarygodne, ale za zamkniętymi okiennicami świat tonie w świetle słońca. Tak łatwo przyzwyczajamy się do myśli, że na zewnątrz panuje noc. Noc, kiedy śpimy, noc, kiedy wychodzimy. Jakbyśmy mieszkali na jakiejś ciemnej planecie.

Biorę butelkę i kieliszek.

Jestem już na progu, kiedy od stołu wstaje Adčle Lombard.

– Idę z tobą.

Rossi i Greppi wymieniają porozumiewawcze spojrzenie z półuśmieszkiem, który znika z ich ust, kiedy odwraca się ku nim Durand.

– Dziękuję, to nie jest konieczne.

– Ma ojciec zajęte ręce, ktoś musi oświetlić drogę.

Kobieta bierze ze stołu lampę naftową.

– Idziemy?

Rozdział 17: Poddasze

Wewnętrzne mury budynku są stare. W dotyku są szorstkie jak skóra krokodyla.

Nie ma jednej prostej ściany, jednego prostego kąta. Wszystko zbudowano ręcznie, z krzywiznami typowymi dla budynków wielokrotnie odnawianych i przebudowywanych. W miejscach, gdzie kiedyś wisiały obrazy i dekoracje, widnieją jaśniejsze plamy. Na ścianach wielu mijanych komnat, w wąłym świetle lampy trzymanej wysoko przez Adčle, opuszczanej jedynie wtedy, gdy schody pod naszymi nogami robią się niepewne, widoczne są ślady po zdjętym krzyżu.

Idziemy w ciszy pustymi korytarzami, z ciemnymi, przerażającymi pokojami, które są niczym rozwarte, patrzące w próżnię usta. Adčle instynktownie przysuwa się do mnie, jakby szukała oparcia w mojej obecności.

Przez okna i zamknięte okiennice dochodzi do nas szum bardzo silnego wiatru. Niczym wycie wilka.

Wchodzimy na górę, mijając trzy piętra, i docieramy do szerokiego podestu. Trzy drewniane schodki wiodą do drzwi poddasza.

Zatrzymuję się przed nimi.

Podnoszę rękę do skroni.

Może wypilem za dużo wina. Nie jestem przyzwyczajony. Czuję wzbierający, pulsujący ból głowy. I mdłości, które próbuję ignorować. Moje nozdrza wciągają powietrze, jakby wyczuły jakiś nieprzyjemny zapach.

Adčle przygląda mi się zaskoczona.

– Proszę bardzo – mówię do niej z zapraszającym gestem. Czuję się bardzo niezdarnie.

Adčle uśmiecha się. Wchodzi po schodkach i otwiera drzwi.

Ku naszemu zdumieniu podest w jednej chwili zalewa światło dzienne.

Mroźny wiatr wpada na nas jak jakieś martwe zwierzę z lodu. Odrzuca Adčle w tył i przewraca ją na podłogę. Lampa wypada jej z ręki i rozbija się na ziemi. Pełzające płomienie rozświetlają scenę prawie jak światło dnia.

W drzwiach stoi niewiarygodne wprost stworzenie, zajmując całą ich przestrzeń. Jego czarne ciało lśni jak metal. Długie ramiona zakończone są strasznymi szponami. Twarzy jakby brakowało rysów. Jednak ma się nieznośne wrażenie, że to coś na nas patrzy. Patrzy do środka, do samej głębi duszy.

Mam idiotyczne odczucie.

Że wywrócono mnie na nice, jak rękawiczkę, i obnażono wszystkie moje myśli.

Zamykam umysł w modlitwie, jak pięść.

Ave Maria, gratia plena...

Dziwna moc nad moim umysłem słabnie, ustępuje.

Wracam do pełni władz umysłowych w ostatniej chwili – widzę, że potwór zszedł już na podest i zmierza ku Adčle, która patrzy na niego sparaliżowana strachem.

„Ty... jesteś... kobietą...”

Potwór podnosi łapę i wyciąga palec w kierunku pani doktor. Nie wymawia żadnego słowa, ale w jakiś sposób doskonale je słyszę.

„Nie bój się”, mówi inny głos w mojej głowie, głos dziewczynki. Opieram się mu, choć z dużym trudem.

Podnoszę z ziemi karabin, który wypadł mi z rąk.

Płomienie oświetlają plecy stwora.

Nie można chybić przy takim świetle.

Wymierzam, odbezpieczam.

„Nie strzelaj”, szepcze hipnotycznie głosik.

Lufa karabinu opada, jakby posiadała własną wolę.

„Nie strzelaj...”

Ale w tym momencie słycać krzyk Adčle.

To tak, jakby pękła szyba, jakby uwolnić zatrzymany czas.

Mierzę znów ze schmeissera i wywalam całą serię w plecy stwora.

Robię pięć czy sześć dziur w tym owadzie odwłoku.

Potwór odwraca się, a czerwien płomieni peęga na jego skorupie.

Wyciąga palec w moją stronę. Może chce porozmawiać. Ale w tej samej chwili celna seria rozrywa go na pół i miażdży mu czaszkę.

Ciemny stwór wali się na podłogę. Dwóch gwardzistów już jest nad nim, pakują całe dwa magazynki w jego skatowane ciało.

Tymczasem sierżant Wenzel gasi kocem zarzewie ognia.

– Wszystko w porządku? – krzyczy Durand, pochylając się nad Adčle i pomagając jej wstać. Potem odwraca się ku mnie i patrzy na mnie wściekłym wzrokiem.

– A ty, księże, co robięś, do jasnej cholery? Spaęś? Dlaczego nie strzelaęś?

Nie mam czasu na wymyślenie odpowiedzi. Od strony drzwi poddasza dobiega rozzierający krzyk.

Durand i Diop rzucają się tam z karabinami gotowymi do strzału.

Odgłos strzelaniny w środku jest wręcz niewiarygodny. Gdy pożar zostaje opanowany, scenę rozświetlają języki ognia wypluwanego ze schmeisserów. Wenzel rzuca koc i też rusza w stronę poddasza.

Ale walka chyba już się skończyła. Cisza, jaka zapadła po strzelaninie, jest ogłuszająca.

Sam wchodzę na górę, a w uszach mam jeden szum.

Spodziewam się najgorszego.

Ale Yegor żyje. Siedzi na ziemi z wytrzeszczonymi oczami, z opuszczonymi ramionami i katatonicznym wyrazem twarzy. Jedno z okien wygląda, jakby je wybito od wewnątrz. Wpada nim dumnie śmiertelne światło dnia.

Adčle nachyla się nad znieruchomiłym ciałem Yegora Bitki. Bada mu puls, zagłęda w oczy.

A ja idę jak zahipnotyzowany do wybitego okna.

Nie wybił go żaden wybuch. Okno nie jest okopcone, w powietrzu nie unosi się charakterystyczny swąd materiałów wybuchowych. To, co przeszło szkło, drewno i stal, to... musiało być... to coś, stwór, do którego strzelali Durand i Diop.

W tym samym momencie, jakby wywołany z samych piekieł, pojawia się w oknie monstrualny pysk. Durand opróżnia magazynek swojego pistoletu. Pysk znika. Ale trudno powiedzieć, czy dostał.

Słuchając szybkich komend dowódcy, krzątamy się, jak możemy, żeby zaślepić okno, przesuujemy ciężkie skrzynie pełne gazet i szczurzego gówna. Muszą tu być od dawna. Pewnie jeszcze od czasów sprzed Wielkiej Zagłady. Dzisiaj szczury hodujemy w piwnicy, żeby nie skazić mięsa. Tu, na górze, dozometr wskazuje minimalne promieniowanie. Mieszkańcy odwalili kawał dobrej roboty, zaizolowali doskonale dach i rozłożyli izolację na podłodze poddasza.

W pomieszczeniu zapada na powrót ciemność.

Kłękam przy Yegorze. Adčle przesuwa płonąca zapalkę przed oczami żołnierza. Żrenice Bitki nie reagują. Wciąż patrzą w próżnię. Jakby jego umysł był opuszczonym domem albo, co gorsza, domem nawiedzonym przez duchy.

– Yegor! Posłuchaj mnie, Yegor. Wracaj do siebie. Wracaj!

Głos kapitana jest mocny, ale nie surowy. Jest za to zatroskany. Oficer potrząsa żołnierzem, trzymając go za ramiona, jakby chciał uruchomić jego ciało. W końcu Yegor się otrząsa. Otwiera usta w przeraźliwym, niekończącym się krzyku. Gdy Durand policzkuje go dwukrotnie, żołnierz milknie. Drżą mu usta, rozbiegane oczy wyglądają jak zastraszone zwierzęta. Spojrzenie szaleńca.

– Trupy! Trupy! – powtarza, szcękając zębami. – Wiem, gdzie są wszystkie trupy!

Rozdział 18: Gdzie są trupy

Ruszamy dziesięć minut przed zachodem słońca. Kiedyś, zanim wszystko się zmieniło, ruszylibyśmy o świcie.

Światło słońca chowa się za szczyty wzgórz i pozostawia w cieniu małą dolinę.

Jesteśmy w rynsztunku bojowym: płaszcz, maska przeciwgazowa, odbezpieczone karabiny. Osłaniamy się nawzajem, celując w każdą potencjalną kryjówkę potworów.

Poruszamy się szybko, chociaż jesteśmy ciężsi o kanistry z wodą znalezione w kamienicy.

Najpierw idziemy po Bunego, który mówi, że po tych strzałach nie spał całą noc.

– Czekałem na zmianę, bo nikt nie przychodził. A później te strzały...

– Bądź cicho, Bune. Mieliśmy ważniejsze rzeczy niż zmiana warty – ucina Durand.

Rzeczywiście, roboty nie brakowało, musieliśmy zabezpieczyć cały budynek. Sen był już wykluczony. Za dużo hałasów z zewnątrz, zbyt głośnych i strasznych, żeby spać. Okna zostały zaatakowane na różnych piętrach. Na szczęście większość z nich miała solidne okiennice i, w razie potrzeby, rygle. Ale przecież było nas niewielu, więc i tak musieliśmy bez przerwy biegać pomiędzy piętrami, od pokoju do pokoju, żeby udaremnić kolejne potencjalne wtargnięcia.

Teraz ślady ataku są doskonale widoczne w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Długie zadrapania żłobią i drewno, i kamień. Ogromne, niezwykle mocne szpony zarysowały głęboko powierzchnię murów, jakby jakieś apokaliptyczne ptaszysko siadło na budynku i usiłowało go wyrwać z fundamentami, żeby z nim odlecieć gdzieś daleko.

Bune gwiżdże z podziwem, oglądając długie rysy i potrzaskane okiennice.

– Boże wszechmogący...

Garazu nie atakowały. Mury i bramy pozostały nietknięte.

Diop i Wenzel wyjeżdżają hummerami. Dwaj Włosi, Rossi i Greppi, zajmują miejsce za karabinami maszynowymi kaliber 14,5 mm, zamontowanymi na dachu. Pod osłoną broni ciężkiej ruszamy w kierunku wskazanym przez Yegora Bitkę.

Skąd się wzięły te instrukcje?

Bitka przysięga, że dostał je od potwora, który wtargnął na poddasze. Od tego stworzenia bez twarzy.

– Mówił do mnie w mojej głowie. W głowie, rozumiesz? Powiedział mi, gdzie są. I że to nie oni. Że to nie ich wina...

Durand ucisza go.

– Jeżeli to twój kolejny wyskok, to przysięgam, że tym razem mi zapłacisz!

– Przysięgam, kapitanie, że do mnie mówili! To prawda, jak to, że tu stoję, słyszałem głosy tych stworów!

– To teraz jest ich więcej! Ile? Dziesięć, dwadzieścia? Idioto skończony...

A jednak idziemy teraz za nim, a on biegnie wznoszącymi się uliczkami miasta, aż do małego placu. Szary śnieg jest nienaruszony, tworzy idealnie równą powierzchnię. Ślady Yegora odbijają się na nim wyraźnie, prowadząc wprost do otwartych drzwi małego kościoła.

Yegor staje na progu. Kładzie swoje dłonie na architrawach portalu, jakby chciał go podeprzeć. Albo jakby się bał, że upadnie.

Podchodzi Durand. Odsuwa go, z trudem odrywając jego ręce od marmurowych kolumn. Yegor staje obok, wypowiadając bełkotliwie jakieś niezrozumiałe sylaby, rytmicznie, jak modlitwę.

Wchodzimy.

Nic nie mogło nas przygotować na taki widok. Nic. Absolutnie nic.

Wnętrze kościołka wygląda jak rzeźnia. Do wysokości metra mury są czerwone. Nie od

zachodzącego słońca. Są czerwone od krwi.

Ławy kościelne ustawiono jedne na drugich, jak dla zabawy. Powiązane razem, żeby się nie ruszały. Tworzą ściętą piramidę wznoszącą się aż do sklepienia. Na tej piramidzie ukrzyżowano jakiś tuzin mężczyzn i kobiet. Nagie, chude ciała, powyginane, beładne. Oczy wytrzeszczone z bólu i przerażenia. Mężczyznom obcięto penisy, kobietom piersi. Odcięte części ułożono w wiklinowym koszu na ołtarzu. Jak ofiarę.

Ale najstraszniejsza rzecz to dzieci.

Trzy dziewczynki i jeden chłopiec, w wieku od sześciu do dziesięciu lat.

Przed śmiercią zostały zgwałcone.

Przed śmiercią wyłupiono im oczy.

Łzy pomieszane z krwią zmieniły ich twarze w maski.

Później je ukrzyżowali. Przybili do muru długimi gwoździami, które przeszły ich drobne nadgarstki i kostki.

Przybili do muru jak baranki.

Jak króliki.

Bune wymiotuje na brudną od zaschniętej krwi posadzkę.

Durand stoi wyprostowany w środku nawy i przygląda się długo temu muzeum strachu, bez jednego słowa.

Potem odwraca się.

– Adčle – mówi głosem zniekształconym przez maskę – możesz nam powiedzieć, kiedy umarli ci ludzie?

– Mogę spróbować.

– Dobrze. Zrób to, proszę.

Zostawiamy ją samą.

Yegor Bitka siedzi na ziemi, z plecami opartymi o kolumnę portalu. W takiej samej pozycji, w jakiej zastaliśmy go na poddaszu. Ale ręce nie zwisają mu wzdłuż tułowia. Zasłaniają okulary maski. Skrywają oczy.

Jego ciałem wstrząsa płacz.

Durand łapie go energicznie za ramię, podrywa z ziemi i ciągnie za sobą. Daje mi znak, żebyśmy szedł za nim. Idziemy w kierunku hummera sierżanta Wenzla. Wsiadamy.

Durand ściąga maskę. Ślady po uszczelniających gumach znaczą mu policzki i czoło jak czerwone tatuaże.

– To ci sami, którzy zabili dziewczynę. Myślałem, że to tutejsi mieszkańcy, ale najwyraźniej nie.

Wenzel słucha bez najmniejszej reakcji. Może i chciałby zapytać, co zastaliśmy w kościele, ale jest zbyt zdyscyplinowany, by zadawać pytania.

– Wszystko mniej więcej się zgadza. Trzydzieści dorosłych osób i czworo dzieci tu w środku. Plus kobieta na autostradzie. Sprawca eksterminacji pochodził z zewnątrz.

Zastanawia się przez chwilę, żeby dodać:

– Musimy odtworzyć dokładnie to, co tu się stało. Wkrótce dowiemy się czegoś od doktor Lombard. Ale i tak pozostaje najważniejsze pytanie: jeżeli ci ludzie nie popełnili samobójstwa, co jest raczej wykluczone, to kto ich zamordował? Ilu ich było? I jak to zrobili?

Odchrząkuje. Zdejmuje swoją maskę.

– Myślę, że co do jednego musimy się zgodzić.

Durand wolno odwraca głowę i wbija we mnie wzrok. Ma przekrwione oczy. Po tej nocy wszyscy takie mamy.

– Naszą misją nie jest polowanie na zabójców – stwierdzam.

Durand nie odpowiada.

– Naszą misją jest dotarcie do Wenecji.

Potakuje.

– Dotarcie do Wenecji... – powtarza za mną. Gładzi dłonią trzydniowy zarost.

Jego usta układają się w uśmiech, który nie wróży niczego dobrego.

– Zdaje się, że twoja misja przynosi pecha, księżu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nooo, chcę powiedzieć, że gdzie nie przejdziemy, tam zostawiamy za sobą śmierć.

Niedowierzam własnym uszom.

– Nie mówisz chyba poważnie. Nie myślisz chyba, że to moja wina...

– Nic nie myślę. Mówię tylko, że zostawiamy za sobą ogon śmierci. A nie zdarzyło nam się to nigdy przedtem.

– Zdaje się, że tu akurat śmierć trafiła przed nami.

Durand przymyka oczy. Rozważa chyba moje słowa.

– Czy ktoś w Rzymie wie o naszej misji, oprócz kardynała?

Zastanawiam się moment.

– Nie.

– Na pewno?

I nagle myśl, jak grom z jasnego nieba.

Maksim.

Serca zaczyna mi szybciej bić.

Spojrzenie kapitana jest coraz bardziej przenikliwe.

– Tak – odpowiadam, patrząc mu prosto w oczy. – Jestem pewien.

Durand przygląda mi się długo. Cichy warkot diesla podkreśla ciszę panującą w kabinie. Ciszę ciężką jak siekiera.

– W porządku. Chcę ci wierzyć. Ale ostrzegam, że dwa zbiegi okoliczności wystarczą.

Wychodzimy z auta. Słońce prawie już zaszło. Poruszamy się w świetle reflektorów. Fasady domów zmieniły się w czarne wzgórki, w wiszące nad nami groźne sylwetki. W kościele widać rozbliski latarek.

Durand kroczy przede mną w tym kierunku. Wchodzimy.

Yegor Bitka doszedł do siebie. Jego latarka towarzyszy światłu pani doktor.

Płaszcz kobiety, jej plastikowe rękawiczki są całe we krwi. Kiedy zauważa Duranda, wstaje wolno znad badanych zwłok. Upuszcza na ziemię rzeźnicki nóż.

Staje przed kapitanem, kręcąc głową.

– Doszłaś do czegoś? – pyta ją głosem nadspodziewanie łagodnym.

– Tak – odpowiada. I na tym poprzestaje.

– Powiesz mi?

Lombard wzdycha.

– Nie zrobili tego szybko. Na pierwszy ogień poszły dzieci. Są ślady wielokrotnego gwałtu, na każdym z nich. To nie jest dzieło jednego zabójcy. Gwałt zbiorowy. To samo dotyczy dorosłych.

Patrzę z przestachem na drobne ciała przybite do ściany, na zmasakrowane zwłoki zawieszane na tej konstrukcji z drewna, jak ozdoby na jakiejś potwornej choince.

– Ich też zgwałcono – kontynuuję chłodno Lombard. – A dokładniej, oni też mieli stosunki seksualne.

Bo w sumie brak śladów przemocy. Nie mogę, oczywiście, zrobić prawdziwej autopsji. Ale wszystko wskazuje na to, że tu nie było przemocy.

– Ilu?

– Nie rozumiem.

– Ilu było tych, co to zrobili? – precyzuje Durand.

Lombard nie odpowiada od razu, długo na niego patrzy.

– Ani jednego. Oni sami to zrobili. Zrobili wszystko sami. Zgwałcili dzieci. Zabili je. Uprawiali seks. A później się ukrzyżowali.

– To niemożliwe.

– Tak, to musiało być trudne. Zwłaszcza od chwili, kiedy zostało ich już niewielu. Ten ostatni, tam, widzisz? Ma wolną rękę. Wykastrował się nią. Tym nożem.

Rozgląda się dookoła. W oczach ma pozorny chłód, ale usta jej drżą.

– To miejsce musiało być jak jedna wieża Babel, jeden krzyk. A może nie. Może zmarli w ciszy. Tylko oni to wiedzą...

– Chcesz mi powiedzieć...

– Chcę ci powiedzieć, że nie mamy do czynienia z ludobójstwem. To był rodzaj ofiary. Ci ludzie oddali się w ofierze. Przygotowali tę konstrukcję, a później, jeden po drugim dali się ukrzyżować i pozbawić genitaliów. Ostatni musiał to zrobić sam.

Patrzę z przerażeniem na ołtarz umarłych. Ślady są oczywiste. Adcł Lombard ma rację.

– Ale dlaczego...? – bełkoczę.

Lombard piorunuje mnie wzrokiem.

– Dlaczego? Pyta mnie ksiądz dlaczego? Ty mi to powiedz. To ty jesteś księdzem. To twój Bóg żąda ofiary z ludzi. Nie mój.

– Mój też nie.

Ręka pani doktor Lombard startuje jak rakietą. Zaciśnięta w pięść uderza w moje ramię.

– Och, zamknij się, księżu! Co ty o tym wiesz?

I wybiega na zewnątrz, w ciemność, bez maski.

Durand daje znak Bitce, żeby za nią pobiegł. Żołnierz wyskakuje na zewnątrz.

Oficer odwraca się do mnie.

– Nie zwracaj uwagi na to, co powiedziała. To tylko histeryczna reakcja.

– Co miała na myśli, mówiąc, że Bóg żąda ofiary z ludzi?

– Nic. Bezsensowne słowa. Idziemy.

I rusza z miejsca, ale ja pozostaję na swoim.

– Jedna chwila – mówię. – Muszę jeszcze coś zrobić.

– Nie mamy czasu. Powinniśmy wykorzystać każdą minutę ciemności.

– Jedna chwila – powtarzam i wyciągam z torby fiolkę z wodą święconą i starą szczoteczkę do zębów, której używam jako kropidła.

Durand przygląda się obu przedmiotom z grymasem na twarzy.

Potem mówi: „jedna chwila” i odchodzi.

Kiedy światło jego latarki przestaje oświetlać nawę kościoła z jego przerażającą zawartością, odmawiam na głos formułę ostatniego namaszczenia.

– Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomóż cię łaską Ducha Świętego...

Moje słowa brzmią chłodno, jak krople wody kapiące na dno zamrożonej groty. Uszy zmarłych nie mogą ich słyszeć. Oczy zmarłych przyjmują ciemność tak, jak przyjmowały światło: z tą samą straszną obojętnością. Zmarli stali się przedmiotami, zimnymi jak marmur. Ale moja religia zabrania mi traktować ich jak przedmioty, moja religia każe mi się modlić za duszę, która kiedyś gościła w tym martwym ciele.

– „...Pan, który odpuszcza ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podźwignie. Amen”.

Tylko wiatr odpowiada na moją modlitwę. Wiatr i dwa silniki diesla na zewnątrz.

Zawierając wąłemu światłu przedostającemu się przez otwarte drzwi, moczę szczoteczkę w fiolce ze święconą wodą i skrapiam na ślepo ciała przede mną, a potem ciała dzieci zawieszane na ścianie jak w niegdysiejszej rzeźni. I wycofuję się powoli tyłem, by nie odwracać się plecami do tego zbiorowego grobu.

Pozostali siedzą już w samochodach. Hummer kaprala Diopa porusza się nerwowo w przód i w tył, niczym zniecierpliwiony rumak. Drugi hummer trąbi na mnie dwa razy. Wsiadam pospiesznie do auta.

– Najwyższy czas – komentuje Durand siedzący za kierownicą obok sierżanta Wenzla trzymającego na kolanach swojego schmeissera.

– Udzieliłem ostatniego namaszczenia...

– Nic mnie to nie obchodzi. Najważniejsze, że już po wszystkim.

Humer rusza.

– Myślałem... – zaczynam.

– Co myślałeś?

– Myślałem, że ich pogrzebiemy. Albo chociaż spalimy. Tak jak dziewczynę.

Durand zaprzecza ruchem głowy.

– Niestety nie. Po pierwsze: nie mamy dość benzyny. Po drugie: pożar mógłby się rozprzestrzenić i zniszczyć całą wioskę. A tego byśmy nie chcieli. To miejsce jest dobrym schronieniem.

– Nie sądzę. Ci ludzie...

– Ci ludzie zostali zaskoczeni. My mieliśmy się na baczności, dlatego nie było ofiar.

– Poza Yegorem. Mało brakowało, nie?

Durand wzrusza ramionami.

– Ale i jemu się upiekło. Wyszedł z tego praktycznie bez zadrapania...

Durand długo myśli.

– Tak. Wygląda na to, że tak.

Zwalnia i odwraca się do Adčle. Kobieta siedzi wciśnięta w fotel, oczy ma prawie zupełnie przykryte włosami.

– Byłaś świetna. Zrobiłaś dobrą robotę.

– Nieprawda. Gdybym miała sprzęt...

– Zrobiłaś dobrą robotę – powtarza Durand z przekonaniem. – A teraz my zrobimy swoją.

Za nami zamyka się ciemność martwego miasteczka i bezludnych wzgórz, i rzeki, która nadal płynie spokojnie przez dolinę, jak przez poprzednie miliony lat.

Na tę ciemność składa się tyle rzeczy... Ale kiedy patrzę, widzę jedną ciemność.

Rozdział 19: Dzieło Boże?

Potrzebowaliśmy trzech dni na to, żeby znaleźć kolejną zamieszkałą osadę. Przez te trzy dni błogosławiłem podróżowanie nocą. Wszystko, co widziałem, to śnieg, zwalone mury i wspomnienie dawnych drzew. Noc miłosiernie przykryła czarnym welonem całe połacie czegoś, co niegdyś było lasem, a teraz sterczało jak wyrzut czarnymi kikutami. Miejscami musieliśmy zjeżdżać z autostrady zablokowanej stertami spalonej blachy samochodów osobowych i ciężarówek. Jechaliśmy wtedy wolnymi drogami gminnymi, mijając ciemne wioski, przecinając opustoszałe równiny, które nie miały nic wspólnego z tym, co nazywano kiedyś Bel Paese, Piękną Krainą. Po dwudziestu latach od katastrofy nawet śnieg leciał z nieba brudny i układał szary, tłusty całun. Nasze przewiny zatruiły powietrze i wodę, pewnie na zawsze. Życie wydaje się daremnym roszczeniem, aktem pychy, który zostanie ukarany. A kara w naszym strasznym świecie jest tylko jedna. Możemy ją jedynie odroczyć. Nie możemy wyleczyć ran, które zadaliśmy, nie możemy uśmierzyć gorączki planety.

Przez dwie noce (czyli to, co nazywamy nocą z braku lepszego terminu w świecie, który odwrócił cykl sen–czuwanie) spaliśmy w zaimprovizowanych schronach. Najpierw w opuszczonym garażu przy dystrybutorze z benzyną, z którego wycisnęliśmy wystarczającą ilość paliwa, by dotrzeć do kolejnego miejsca postoju, czyli następnego dystrybutora w okolicach Perugia.

Spanie w garażu zbudowanym z prefabrykowanych blaszanych płyt nie daje poczucia bezpieczeństwa, którego zaznałem w opuszczonym pałacu w Torrita Tiberina. Na pierwszym postoju udało nam się rozpalić ogień w zardzewiałym zbiorniku. Wrzuciliśmy do niego kartony, stare gazety i drewno z rozebranych palet. Na szczęście do tych rejonów nie dotarły opady radioaktywne. Spustoszenie przyniosła tu zima nuklearna. Potrzeba będzie całych wieków, a może tysiącleci, żeby na tę ziemię powróciły zieleń i błękit, z których słynęła. Teraz kolory praktycznie nie istnieją, jeśli pominąć niezliczone odcienie szarości.

Błękit powrócił, ale we śnie.

Okrywał kobietę, którą już śniłem na stacji Aurelia.

Tej nocy młoda kobieta ma smutny wyraz twarzy. I tym razem udaje mi się dostrzec jedynie usta, cudownie pełne, i błysk oczu w cieniu kaptura. Ale to wystarczy, żebym czuł się szczęśliwy w tym śnie, jak dziecko w ramionach matki.

Jej usta układają się, by wymówić moje imię.

W tych ustach brzmi niezwykle słodko.

Za jej plecami nie ma tym razem morza, ale jakieś cudowne miasto.

Budynki wyglądają jak zrobione ze szkła albo z waty cukrowej. Wspaniałe mozaiki zdobią fasady pałaców godnych króla z zamierzchłych czasów, pałaców wznoszących się po obu brzegach rzeki o kryształowych wodach.

– Rzeczywistość nie jest już taka jak kiedyś – szepcze kobieta, jakby śpiewała. – Ale istnieją jeszcze cudowne miejsca. To jest miejsce, w którym nie ma ciemności.

Odwraca się niemal tanecznym krokiem, a rzeczywistość obraca się wokół niej, rozpląwa i przekształca. Pałace zmieniają się w ruiny, rzeka wysycha, a jej błotniste koryto usiane jest rupieciami i trupami.

Ale nad tym wszystkim błyszczy jak promień światła uśmiech kobiety w kapturze.

– Mam na imię Alessia. Odszukaj mnie, kiedy przybędziesz do Miasta Światła.

– A gdybym cię nie znalazł? – bełkoczę zupełnie zagubiony.

– Wtedy ja będę musiała odnaleźć ciebie.

Przebudzenie z tego snu było smutne jak pożegnanie. Jak słowa, które chciałem powiedzieć rodzicom, gdyby udało mi się do nich dodzwonić w dzień Wielkiej Zagłady. Ale telefony były głuche, i

tak już zostało. Słowa uwięzły mi w gardle, na zawsze, jak drzazga ciemności w sercu. Utrata dziewczyny ze snu była kolejnym ciosem, równie bolesnym.

Zastanawiam się, ile może znieść ludzkie serce. Chciałbym mieć przy sobie Pismo Święte. Odnaleźć pociechę na jego kartach. Ale książki są zbyt cenne, by ryzykować ich utratę. Muszę szukać tych słów w swojej pamięci, niedokładnej, niekompletnej. Zdecydowanie mniej żywej od moich snów.

Drugą „noc” przed znalezieniem kolejnej osady też musieliśmy spędzić w ciasnym pomieszczeniu przy dystrybutorze. Było w jeszcze gorszym stanie niż poprzednie. Brakowało pół dachu. Trzeba go było prowizorycznie połatać blachą i kartonem. Mimo że mróz był jeszcze większy, nie ośmieliliśmy się rozpalić ognia: po pierwsze, dlatego że ktoś mógł zauważyć dym, po drugie – nie mieliśmy sposobu na kontrolowanie płomieni. Przy dachu w połowie zrobionym z kartonów kapitan Durand postanowił nie ryzykować.

Nie spaliśmy za długo na tym drugim postoju. Żadnych snów, ani koszmarów. Taki niespokojny stan półsnu, niepozwalający wcale odpocząć. Tylko Bune się przespał, chrapiąc niczym stara maszyna. Wiatr trząśł blaszaną konstrukcją jak jakiś dziki gigant. Światło, posłaniec śmierci, przenikało przez tysiące szczelin w ścianach. Zimno przejmowało do kości, nawet przez koce i watowane śpiwory. Do tego wzmocniliśmy wartę, tak żeby ciągle czuwały dwie osoby pod bronią. Mnie przypadła zmiana bliżej zachodu słońca. Nie było łatwo. Strach brał się już z samego faktu, że za brudną szybą przykrytą kartonami i gazetami, żeby nie przepuszczała światła, czaił się nieznan mi świat, świat, w którym każdy fałszywy krok mógł być ostatnim.

Ale przynajmniej dozymetry dały nam spokój.

I tak było przez całą tę część podróży, aż do odcinka drogi pnącej się ku szczytom Apeninów, w stronę dawnego regionu Marche.

– Dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, żeby przenieść tutaj całą wspólnotę? – zapytałem Duranda półgłosem, żeby mu nie przeszkadzać. Prowadzenie w tych warunkach nie było prostym zadaniem. – Po co żyć pod ziemią, na obrzeżach miasta, które jest promieniotwórczym grobowcem? Tu opad radioaktywny chyba nie wyrządził szkód.

Nie raczył spieszyć się z odpowiedzią. Długo milczał, patrząc często na swój chronograf.

– To niezupełnie tak. A promieniotwórczość nie jest jedynym problemem. To co się wydaje pewne, nie musi wcale takie być. Sam zobaczysz. Popatrz na przykład tam, za tym budynkiem... Poczekaj, spokojnie. Nie pokazuj, że jesteś nerwowy. Przesuń spojrzenie stopniowo. Widzisz ten ciemny obszar między zawalonym domem a tym różowym? Tam, dwieście metrów przed nami?

Ćwiczę samokontrolę, próbuję wyglądać na spokojnego i nie kieruję od razu wzroku na domy, pomiędzy którymi, z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, mknie nasze auto, wykorzystując doskonałą nawierzchnię drogi.

Patrzę w końcu na punkt wskazany przez Duranda. Zrazu nie udaje mi się dojrzeć niczego poza stertami szmat na ziemi, pokrytymi częściowo śniegiem. Ale kiedy przejeżdżamy blisko, jedna z tych stert porusza się, potem następna, kolejna, piąta, szósta – i przybierają ludzkie kształty. Są brudni i wychudzeni. Wstają niezdarnie z ziemi. Idą ku nam, powłócząc nogami.

Kapitan zatrzymuje auto po drugiej stronie ulicy. Drugi hummer robi to samo. Przytłumiony hałas silników diesla jest jedynym tłem dźwiękowym dla wolnych, powłóczystych kroków pięciu istot.

– Co ci przypominają? – pyta mnie Durand.

A kiedy widzi, że mu nie odpowiem, dodaje:

– Widziałeś kiedyś film o zombie? Pamiętasz, jak chodziły te żywe trupy?

Patrzę na te stworzenia. Są powolne, to fakt, ale i tak już do nas docierają. Durand nie wydaje się niczym zmartwiony. Pozwala im podejść aż do auta. Jedno z nich opiera rękę na masce SUV-a. Po żółtawej skórze ściekają krople lepkiego płynu, zostawiając plamy na lakierze, a później na oknie, kiedy osobnik przesuwając ręką, jakby chciał wyczyścić szybę. Ta dłoń to kikut.

– I sprawdź jeszcze olej – żartuje sobie z niego sierżant Wenzel.

Osobnik ma zdeformowane rysy twarzy, która wygląda niczym ciasto na chleb. Źrenice rozszerzone do tego stopnia, że wydają się zupełnie czarne. Głowa kompletnie łysa. Żadnych włosów ani brwi. Ale najstraszniejsze jest to, że nie ma nawet nosa czy uszu. Na ich miejscu widnieją różowe, gruzełkowate narośla, jakby były z roztopionego wosku.

– Spadły nie tylko bomby jądrowe – wyjaśnia półgłosem doktor Lombard. – Mutacje tych biedaków są konsekwencją użycia jakiejś broni biologicznej, albo i czegoś gorszego.

– Co może być gorsze?

– Na przykład broń, która mutuje DNA ofiar. Możliwe, że mamy tu do czynienia właśnie z czymś takim. Myśli ojciec, że używamy masek przeciwgazowych dla przyjemności?

Oczy stwora wpatrują się we mnie przez okno. Wiem, że on, lub ona, nie może mnie widzieć przez przyciemnione szyby, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że jest inaczej. Że patrzy mi prosto w oczy.

Spojrzenie to nie jest agresywne czy groźne. Ale wrażenie jest jak z najgorszego koszmaru.

– Okej, wystarczy – mówi Durand, wrzuca bieg i rusza z kopyta. Niekształną istotę odrzuca na bok. Toczy się po ziemi, po czym próbuje wstać, kiedy drugi hummer przejeżdża po niej, miażdżąc kręgosłup.

– Boże wszechmogący, co wy robicie?

– Boga do tego nie mieszaj, księżo – warczy Durand. Łapie karabin samopowtarzalny podany przez Wenzla i wyskakuje z SUV-a bez maski.

Stwory odwracają się ku niemu. Niczym słońeczники. Nawet osobnik przetrącony przez auto Diopa próbuje się podnieść. Wygląda to patetycznie – podpira się ramionami i ciągnie za sobą nogi jak worek ziemniaków.

Durand czeka, aż się zbliżą. Wtedy znienacka rusza ku nim.

Kiedy jest w odległości kilku metrów od monstrów, podnosi lufę karabinu i strzela z biodra dwa razy, trafiając w głowy dwóch osobników. Upiory wał się na ziemię. Kolejny trafiony upada, jakby się roztopiał. Następny dostał w czoło i upadł, jakby się kłaniał.

Oprócz tego, który cały czas próbuje się do nas doczołgać, zostały jeszcze dwa, najwolniejsze.

Bez mrugnięcia okiem Durand kładzie na śniegu karabin i wyciąga pistolet bębnekowy. Zabija nim tych dwóch i podchodzi do ranego z przetrąconym kręgosłupem. Pochyla się nad nim niemal z czułością i kieruje pistolet w oko szpetnego stworzenia.

Naciska spust.

Kiedy wysiadam z samochodu, dowódca ładuje pistolet i karabin.

Jestem dosłownie rozwścieczony.

– Brawo! Jest pan zadowolony? Zabił pan sześciu biedaków, którzy prosili jedynie o pomoc!

– A tak, zabiłem. Przynajmniej już nie cierpią. Ej, myślałem, że jesteśmy na ty.

– Nie jestem na ty z potworami! Zamordował ich pan z zimną krwią! Nie dał im pan nawet szansy na...

Durand łapie mnie bez uprzedzenia za rzemyk plecaka i szarpie tak, że omal nie tracę równowagi.

– Ja nie dałem im szansy...? Ja jestem potworem? Chodź ze mną, głupi gnoju!

Zapieram się. Wtedy Durand podcina mi nogę i wlecze mnie po śniegu.

– Proszę mnie postawić! Postaw mnie!

Macham rękami i nogami, ale na próżno. Mocnym chwytem Durand ciągnie mnie nieuchronnie w kierunku dwóch domów, z których jeden jest cały, drugi zaś zrównany z ziemią.

Kiedy już tam jesteśmy, kapitan upuszcza mnie na śnieg.

– Do usług. Postawiłem cię.

I cofa się o kilka kroków.

Wstaję. Otrzepekuję kolana i łokcie.

Wtedy słyszę jakiś hałas.

Zrazu wydaje się, że to szum wiatru. Ale po chwili jest wyraźniejszy. Z ciemności. To głuchy, przeciągły skowyt.

Pochodzi z ciemnego miejsca między dwoma domami.

Durand wyciąga z kieszeni przezroczystą rurkę, długą i cienką. Zgina ją w pół i prostuje. Rurka uwalnia oślepiające światło.

Rzuca ją w ciemność.

Przeźrzenie między dwoma domami, oświetlona białym światłem racy niczym fleszem, jest jak scena z koszmaru. Kilkanaście stworów podobnych do tych, które Durand dopiero co zabił, siedzi na ziemi z plecami opartymi o mur. Niektóre z nich przykryte są szmatami, inne gołe, zupełnie nieczułe na chłód. Smród każe mi żałować, że nie mam na twarzy maski.

– Boże wszechmogący... – bełkoczę.

– Mam nadzieję, że Bóg nie ma z tym nic wspólnego – grzmi Durand, cofając się jeszcze o krok.

Smród uzmysłowił mi, że stwory, które właśnie zaczęły się podnosić, są identyczne jak te z dna basenu. Zmuszam się, żeby nie myśleć, że to stwory, tylko istoty ludzkie. Ale bez skutku. Stoję tak ogłupiały i patrzę, jak się zbliżają, tym swoim wolnym, niezdarnym krokiem. Ich oczy są olbrzymie i zdają się zaglądać mi do samego mózgu. Oczy coraz większe, coraz bardziej błyszczące...

Jakaś ręka wznosi się po mojej lewej stronie. Druga po prawej.

Obie trzymają pistolety.

Kiedy ich lufy wypluwają czerwone płomienie, nie słyszę strzału, ale mogę śledzić lot pocisku, milimetr po milimetrze, patrzeć, jak tnie powietrze, by wreszcie eksplodować w ciele jednego ze stworów. Wszystko jest niewiarygodnie spowolnione, zawieszona. Śledzę kolejny pocisk, tym razem wypalił pistolet Diopa, pierwszy strzelał Rossi. Strzał Diopa też zwala z nóg jednego zombie. Kolejny strzał. Wydaje mi się, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Ja sam wolno ruszam do przodu, grzęznąc z każdym krokiem w śniegu i wchodząc pomiędzy stwory. Ostatnim jest kobieta, która – to niewiarygodne – uśmiecha się, podając mi nieogryzioną jeszcze do końca kość, a wtedy trzy kule dziurawią ją i rzucają na mur. I nagle wszystko znów jest normalne, i czas, i ruchy, zapach krwi i prochu strzelniczego staje się zaś niezwykle silny. Stoję pośród tych martwych stworzeń, a Diop jest przy mnie, by zapobiec niespodziankom.

– Jak mówiłem, księżo, jest gorsza broń od bomby atomowej.

Diop i Rossi przewracają stwory na bok, w jednym tylko przypadku konieczne jest dobitcie w akcie miłosierdzia. Robią to z gracją, jak w rytmicznym balecie, podczas gdy moje ruchy są niezdarne, kiedy udzielam tym martwym stworzeniom ostatniego namaszczenia.

Jakaś twarda dłoń porywa mnie i ciągnie w kierunku hummera.

– No i co, Johnie? Co ty na to? Nadal myślisz, że błędzę, zabijając te potwory? Nie martw się o nie. Cały czas ich przybywa. Mają tu swój ul. Wróć jutro, a spotkasz kolejnych dziesięciu, zajętych pałaszowaniem tych tutaj. Są jak mrówki.

– To przerażające...

– Zgadza się z tobą. To przerażające. A naszym jedynym lekarstwem na to jest kulka.

– Dlaczego nie pozwalacie im żyć?

Durand przypiera mnie brutalnie do muru. Przez chwilę boję się o własne życie.

– Pieprzony księżo – syczy z ustami o centymetr od mojej twarzy. – Jak myślisz, za co nam płacą? Od czego według ciebie jest Gwardia Szwajcarska? My jesteśmy od brudnej roboty, żebyście wy mogli wieść w swoich norach wygodne życie. To my zabezpieczamy drogi, my umożliwiamy handel. Jesteśmy budowniczymi nowego ładu. Nowego świata, lepszego niż ten. Dlatego nie pozwalam ci na krytykę tego, co robię. Nie pozwalam!

– Marc, dość tego! Proszę cię, zostaw go.

Głos Adèle Lombard jest łagodny, lecz zdecydowany. Jej ręka dotyka ramienia kapitana. Durand

zwalnia uścisk.

– Ojciec Daniels... John... nie wie, jak to jest... żyć tu, na powierzchni. Wybacz mu. Bądź cierpliwy. Naucz się, tak jak my wszyscy się nauczyliśmy.

Durand kręci głową. Gniew szaleje jak wzburzone morze w jego zimnych oczach.

Zostawia mnie w końcu. Odwraca się i odchodzi ze spuszczoną głową. Daleko ode mnie i od Adčle.

Lombard wzdycha.

– Wszystko w porządku?

– Mniej więcej – odpowiadam.

– Marc jest dobrym człowiekiem. Robi to, co uważa za słuszne. Spełnia swój obowiązek. I proszę nie zapominać, że uratował ojcu życie, tak jak kiedyś uratował moje.

Spoglądam na nią. Wydaje mi się, że ton jej głosu i to, co mówi, ma taką samą hipnotyczną moc jak oczy tych stworów.

– Chodźmy już – mówi. – Nie możemy tracić więcej czasu.

Adčle Lombard jest piękna. Piękna i pogodna. Gdybym mógł patrzeć tylko na nią, tylko ją widzieć, pewnie łudziłbym się, że dla mojego świata jest jeszcze nadzieja.

Podnoszę oczy, bo kątem oka zauważyłem jakiś ruch.

Okno na trzecim piętrze zionie pustką jak oczodół czaszki.

Ale przez jeden moment, w świetle skwierczącej racy, która dogorywała ostatnimi przebłyskami chemicznego światła, przez jeden moment w tej czarnej ramie okna zobaczyłem twarz. Jakby oblicze jakiegoś skrzydlatego gargulca. Oczy potwora wpatrywały się w Adčle. I był w nich taki ładunek nienawiści, jakiego jeszcze nie widziałem.

Jakiś czas później Adčle śpi z głową opartą o szybę.

Wspaniała rzecz w tym aucie, o czym zdążyłem już zapomnieć, to ciepło. Jak u Pana Boga za piecem. Powietrze płynące z kratki układu klimatyzacji i filtrowania ma ponad dwadzieścia stopni. Niewiarygodny wprost luksus. Miałoby się ochotę jechać tak bez końca, gdy do snu kołysze ciepło kabiny i stłumiona praca silnika.

Wyciągam z kieszeni kurtki notes od Maksima.

Nie robiłem tego dotąd. Jego rysunki denerwują mnie. Szczególnie teraz, kiedy już wiem, że te potworne stworzenia z jego rysunków nie są owocem fantazji, ale czymś aż nadto rzeczywistym. Czymś, co grasuje w ciemnościach wokół nas. Wokół ciepłej, bezpiecznej skorupy tego auta.

Znajduję pustą stronę gdzieś w drugiej połowie moleskine'a. By tam dotrzeć, musiałem przebiec wzrokiem po rzeczach, o których chciałbym zapomnieć. Tylko nieodparta chęć pisania zmusiła mnie do otwarcia dziennika Maksima.

Piszę o nocy.

Noc to ta ciemność przecinana światłami obu samochodów.

Ciemność jest miejscem magicznym i przerażającym, w którym każda sucha gałąź, każda skała może ci się wydać przez chwilę wielkim zagrożeniem.

Ciemność jest też w naszych sercach. Chociaż chcemy ją odpędzić, jest w nas od tak dawna, że stała się częścią naszego życia. Jak krew w żyłach albo płuca filtrujące zatrute powietrze planety.

W ostatnich dniach wiele rzeczy skłoniło mnie do refleksji.

Krwawy ślad, jaki za sobą zostawiamy, jest tylko jedną z nich. I wcale nie najbardziej dręczącą. Nie. Najbardziej męczącą myślą, drażącą mój umysł w każdej chwili, nawet w snach, jest to, że Bóg może uczestniczyć w takim planie. Jakkolwiek bym się nie wysilał, nie udaje mi się zobaczyć go w czarnym scenariuszu tych dni. Jeśli świat jest dziełem Boga, to nie mogę przyjąć, że jego dzieło ograniczyło się do stworzenia – muszę też zakładać, że dobry gospodarz powinien jeszcze dbać o dobrostan mieszkańców tej planety. Jakże więc mogę uznać to wszystko – śmierć, przerażające choroby, nędzę tego świata – jakże to mogę uznać za dzieło boże? Jak mogę wielbić wszelkie stworzenie, gdy

bardzo często jest ono jedynie okrucieństwem. Weźmy na przykład światło. Albo wodę. Kiedyś były źródłem radości. Dzisiaj zaś światło jest śmiercionośne, a łyk wody może ci strawić trzewia. Jak to możliwe, by Bóg...

– Co tam piszesz?

Głos Duranda tak mnie przestraszył, że zaplaściłem stronę atramentem. Pióra są rzadkością, a atrament, którym napełniamy puste kapilary, jest beznadziejnej jakości. Wkrótce będziemy musieli wrócić do gęsiich piór. Tyle że nie ma już gęsi.

– Nic.

Jego oczy patrzą na mnie we wstecznym lusterku. Do zmiany z Wenzlem została niespełna godzina, ale twarz dowódcy wygląda na zupełnie wypoczętą. A przecież śnieg zaczął padać jeszcze przed zachodem słońca – prowadzenie po tych wznoszących się, krętych drogach nie może relaksować.

– Coś tam piszesz. To skrobanie na papierze podobne do myszy za ścianą jest wkurzające. Ale też przynajmniej nie daje mi zasnąć.

– Nie piszę nic specjalnego.

– I to dlatego nie chcesz powiedzieć?

– To moje sprawy. Refleksje, myśli. To wszystko.

– Na przykład?

– Nic takiego.

– Nic... – powtarza z grymasem. – Myślałem, że zapisujesz nasze dobre uczynki.

– Jak mi się uda zobaczyć choć jeden, to na pewno zapiszę.

– Bo dotąd nie zobaczyłeś?

– Zobaczyłem śmierć. Ogrom śmierci.

– Nie my ją niesiemy.

– Powiedz to tym ze stacji Aurelia.

Durand milknie na chwilę. Kręci głową.

– Co mieliśmy z nimi zrobić? Puścić? Skazać na śmierć głodową albo coś jeszcze gorszego pod gołym niebem?

– I może ryzykować, że któremuś z nich udałoby się dostać do Nowego Watykanu...

Durand nie wydaje się urażony moim ironicznym tonem.

– Żadnemu z nich by się to nie udało. To był akt miłosierdzia.

– Być może. Ale ja widzę to inaczej.

Przez trzy następne minuty nikt nic nie mówi.

Cisza zaczyna ciążyć. Wtedy Durand wybucha:

– Więc powiesz mi, co tam piszesz?

– Nie.

– Kretyn – mruczy przez zęby.

Szczerze mówiąc, nie mogę mu odmówić racji.

Rozdział 20: Zakazane miasto

Miejsce naszego kolejnego postoju jest cudowne. I nie chodzi jedynie o jego piękno – bo, choć pejzaż ucierpiał wskutek zniszczeń wojennych, to jednak pozostał malowniczy w tych łagodnych objęciach wzgórz – ale przede wszystkim o dym unoszący się nad dachami i charakterystyczne oznaki życia widoczne z daleka w półmroku. Oczywiście dym może też oznaczać pożar. Ale nie taki dym. To miasto jest zamieszkałe. To żywe miejsce, tętniące życiem. Widać to nawet w nikłym świetle świtu.

– Dobrze – uśmiecha się Durand, opuszczając lornetkę Zeissa. – Chyba wszystko w porządku.

– Myśli pan, że bezpiecznie się tu zatrzymywać? – pyta Wenzel.

– Nigdy tu nie byliśmy. Wrażenie robi dobre, chociaż faktycznie może to być tylko wrażenie. Ale na pewno tak będzie bezpieczniej niż spędzić dzień pod gołym niebem. Widzieliście jakieś dziwne ślady? W rodzaju tych wielkich kół? – pyta zwiadowców, którzy wcześniej obserwowali miasto z bliska.

– Nie – odpowiadają nierównym chórem.

Miasto nazywa się, czy raczej nazywało się, Urbino. To miejsce starożytne, zamieszkałe już w czasach Cesarstwa Rzymskiego. Nazwa pochodzi od łacińskich słów *urbs bina*, podwójne miasto, bo pierwotnie zbudowano je na dwu wzgórzach. Ta wiedza powraca przebłyskami, z przeczytanych kiedyś pism turystycznych i przewodników sprzed dwudziestu lat.

Miasto przecięte jest ogromnym pałacem i wygląda, jakby było przyległościami tego budynku. Jakby urosło wokół niego, by sprostać jego zwykłym potrzebom. Urbino było siedzibą rodziny Montefeltro, jednego z najpotężniejszych rodów renesansowych Włoch, podzielonych wówczas na lenna, komuny i księstwa.

Pałac wciąż istnieje i nadal jest bardzo piękny. Wygląda na to, że reszta miasta też zbytnio nie ucierpiała. Są wprawdzie ślady po pożarach, a blizny po pociskach dużego kalibru oszpeciły fasady wielu budynków, ale patrzy się na to miasto jak na jedną z pocztówek Maksima. Nadgryzł je żąb czasu, kolory wyblakły do tego stopnia, że wygląda jak czarno-biała fotografia. Ale doskonałość niektórych detali, jak te dwie symetryczne wieżyczki zamykające fasadę pałacu, zapiera dech w piersiach. To niewiarygodne, że tyle piękna ocalało po zniszczeniu planety.

Nagle poryw wiatru porusza jakimś dzwonem, i ten przypadkowy dźwięk jest tak posepny, że wywołuje na plecach dreszcze. Wstające światło dnia ukazuje mgłę na dnie dolin, mgłę ścielącą się jak szary ołowiany całun.

Zjeżdżamy w dół ze wzgórza, z którego przyglądaliśmy się miastu. Zjeżdżamy powoli, bo droga w wielu miejscach zapadła się, a dziury w asfalcie, niektóre na szerokość metra, załatano tylko żwirem. Kiedy mijamy ostatni zakręt, stajemy przed ogromnym placem leżącym poniżej zabudowy.

Silniki samochodów terenowych lekko pomrukują, ale w mroźnej ciszy ten pomruk wydaje mi się okropnym hukiem. Czuję, jak swędzi mnie skóra na karku.

Durand wysiada z hummera. Po chwili wahania robię to samo, a w ślad za mną wysiada Adčle. Myślę sobie, że widok kobiety może zadziałać uspokajająco na wartowników, którzy z pewnością są gdzieś na posterunkach.

Ale z drugiej strony nie wiadomo, jak rozumują ci ludzie.

„Nigdy nie wiesz, czego się spodziewać, kiedy spotykasz istotę ludzką”, wyznał mi pewnego razu mężczyzna, który wrócił ze zwiadu na powierzchnię. Spytałem go, czy chce się wypowiedzieć, ale on, czterdziestoletni starzec, pokręcił tylko głową, że nie.

Za każdym razem, kiedy tam, na zewnątrz, kogoś spotykasz, musisz mu się dobrze przyjrzeć. Jeżeli się pomylisz i ocenisz go błędnie, jesteś martwy. Raz przyjechaliśmy do wioski pod Pescarą. Były tam trzy rodziny, przyjęli nas na noc. Byli bardzo mili. Ale w nocy poderżnęli gardło wartownikowi i wyrzneliby całą naszą czwórkę, gdyby nie młody Vichi. Vichi wcześniej postanowił być nieufny.

Zaalarmował wszystkich, i nasza trójka wykosiła napastników. W ich piwnicy znaleźliśmy niesamowity łup. Broń, złote monety, żywność, amunicję...

Mógłbym ci opowiedzieć dużo takich historii...

Jak to się kiedyś mówiło po łacinie? *Homo homini lupus...* Ale wilki, te prawdziwe wilki, obraziłyby się za takie porównanie.

Tam, na powierzchni, uczysz się nieufności wobec wszystkich...

Dlatego jak zobaczyliśmy tego człowieka, który wyłaniał się z mgły, i najpierw wyglądał normalnie, a potem, kiedy nas zobaczył, zaczął drzeć się jak opętany...

Najpierw strzelaj, później zadawaj pytania.

Skąd ja mogłem wiedzieć?

Skąd mogłem wiedzieć, że facet biegł nam powiedzieć, że niedaleko były ukryte żona i córka?

Wrzeszczał ze szczęścia na nasz widok.

Nigdy nie wiesz, czego się spodziewać, kiedy spotykasz kogoś tam, na zewnątrz.

Kiedyś ten plac był zapewne parkingiem, miasto należało przecież do największych ośrodków turystycznych w regionie. Teraz jest ogromną pustą przestrzenią, chłostaną przez wiatr. Wjazd do podziemia zamkniętego szlabanami pilnuje dwóch strażników uzbrojonych w karabiny maszynowe, odrętwiąłych z zimna i nieprzytomnie sennych. Na nasz widok natychmiast się ożywiają. Jeden zbiega na dół, potykając się, drugi odbezpiecza broń, nie zważając na to, że jego głowę wykadrowały już w siatce celownika dwa snajperskie karabiny – po jednym z każdego SUV-a.

Albo bardzo odważny, albo głupi.

Kiedy jesteśmy dziesięć metrów od wjazdu, po schodach wychodzi grupka pięciu osób i idzie w naszym kierunku. Wszyscy uzbrojeni są w karabiny. Piątka tworzy literę V, a w jej szczycie kroczy najwyraźniej sam szef. Mężczyzna średniego wzrostu, szeroki w ramionach. Na ogolonej głowie ma czarny wełniany beret. Kroczy bardzo energicznie i przygląda się nam, jakby nas prześwietlał promieniami X. Emanuje z niego poczucie władzy i z trudem powściąganą energią. Ludzka sprężyna, gotowa skoczyć w każdej chwili.

– Kim jesteście?! – krzyczy. – Czego chcecie?

– Jestem kapitan Marc Durand z watykańskiej Gwardii Szwajcarskiej. A to są...

– Gwardia Szwajcarska...? A gdzie masz swój strój pajaca?

Twarz Duranda pozostaje niewzruszona.

Mężczyzna ciągle się zbliża, wspierany przez czwórkę ludzi, którzy muszą być jego gwardią przyboczną. Ich strzelby myśliwskie są opuszczone, ale nie do końca. W każdej chwili gotowe do strzału.

– A co wy tu, kurwa, robicie? Do Rzymu jest stąd kawałek drogi. A te dwie perełki na kołach skąd wytrzasnęliście? Przechodzą tędy różni włóczędzy i mówią, że z Rzymu. Ale żaden nie przejeżdżał jeszcze czymś takim.

– Jeśli nas wpuścicie, to o paru rzeczach moglibyśmy pogadać. O tym też.

– Czemu nie. Ilu was jest? Tylko te dwa duże SUV-y? Nic więcej? Jakiś ukryty czołg tam z tyłu?

Zła odpowiedź mogłaby być fatalna w skutkach. Jestem szczęśliwy, że to nie ja muszę wybierać właściwą.

– Tylko my – odpowiada Durand.

Mężczyzna ewidentnie kalkuluje w myślach. A ja domyślam się, że celowniki naszych strzelców wymierzone są właśnie w niego.

– A skąd mam wiedzieć, że nie opowiadacie mi bajek?

– Ma pan moje słowo żołnierza.

Mężczyzna odwraca się ku swojej eskorcie. Mówi coś szeptem, nie słyszę co. Ochrona wybucha śmiechem.

On odwraca się w naszą stronę.

– Dobra, chodźcie do środka – mówi i pokazuje rampę wjazdową do podziemnego garażu.

Durand ma ledwie kilka sekund na podjęcie decyzji.

Nie zazdroszczę mu. Cokolwiek zdecyduje, zawsze może źle wybrać i skazać nas na śmierć.

– To jak, decydujesz się, „Gwardio Szwajcarska”? Bo za chwilę zamykamy. Zaraz będzie jasno.

Chcesz się tu usmażyć?

Durand daje znak hummerom, żeby podjechały. Wsiadamy.

Kozły hiszpańskie tarasujące wjazd do garażu zostają odsunięte. Jakiś mężczyzna staje przed naszym SUV-em i pokazuje drogę. Wygląda jak technik z lotniskowca, który dawał kiedyś sygnały pilotom odrzutowców. Prowadzi nas wolnym, skomplikowanym slalomem po splekanym betonie parkingu.

– Pole minowe – szepcze Wenzel.

Mężczyzna prowadzi nas tak, podnosząc i opuszczając ramię, aż do otwartej bramy, która jest jak ogromna czarna dziura. Później schodzi na bok i pokazuje, w którym kierunku mamy jechać.

Słyszymy metaliczny zgrzyt zamykającej się za nami bramy. Nie ma w tym dźwięku nic, co by dodawało otuchy.

W świetle reflektorów zjeżdżamy powoli w dół. Ściany pokryte są pleśnią i wapiennymi naciekami. Z czasem to miejsce upodobni się do jaskini.

W pustej przestrzeni podziemnego garażu nie ma ani jednego auta. Koła SUV-ów rozpryskują miejscami kałuże wody.

Na końcu tej ogromnej pustej pieczary pali się pięć czy sześć płomieni.

Czuję się jak w starej włoskiej opowieści, w *Pinokiu*.

Jesteśmy w brzuchu wieloryba.

Zbliżamy się do płomieni i dostrzegamy, że przy tylnej ścianie garażu stoi kilkanaście piętrowych łóżek. Po nieładzie poznać, że niektóre zostały opuszczone w dużym pośpiechu.

Niski mężczyzna znów wychodzi nam naprzeciw, gestykulując ręką. Jego eskorta powiększyła się, jest ich teraz około dziesięciu, ale broń bez zmian – beznadziejna. Zastanawiam się, czy nie witają nas raczej jak Świętego Mikołaja, który przywiózł im dwa SUV-y i broń automatyczną w prezencie.

– Wysiadajcie, zapraszam. Nie obawiajcie się.

Durand pierwszy przyjmuje zaproszenie. Kolejny raz zastanawiam się nad tym, co pod przykrywką obojętności dzieje się w głowie tego człowieka.

Patrząc na jego wyprostowaną sylwetkę, kiedy spokojnym krokiem wysiada z SUV-a, ma się wrażenie, że to pewnie tylko pozory. Ale to doskonale zachowane pozory.

Podchodzi do mężczyzny w czarnym berecie, ściska mu dłoń.

– Kapitan Marc Durand – przedstawia się.

– Wiem, kurwa, już mówiłeś. Nie jestem głuchy, chociaż...

Dotyka sobie skroń instynktownym gestem, po czym opuszcza rękę.

– Jestem Davide Tucci, konetabl Księcia Urbino. Właśnie rozmawiałem z Księciem. Witamy serdecznie w naszym mieście.

Uśmiech na jego ustach wygląda jak źle dobrany garnitur albo kostium klauna na wilkołaku. Ale broń jego ludzi jest opuszczona, chociaż wątpię, żeby ich strzelby były zabezpieczone.

– Możecie zostawić kluczyki w stacyjkach. Tak to się kiedyś mówiło, prawda? A broń złożcie moim adiutantom, którzy się nią zajmą przez cały wasz pobyt.

Durand nie wykonuje najdrobniejszego ruchu.

– Może to pan jest głuchy, kapitanie...? – pyta rzekomy konetabl Księcia.

– Nie, nie jestem głuchy.

– Więc pan zrozumiał.

– Owszem, zrozumiałem. I przykro mi, ale będzie pan musiał powiedzieć Księciu, że zmuszony jestem zrezygnować z jego gościnności na takich warunkach.

Tucci mruży oczy, aż stają się dwiema małymi szparkami.

– Podziękowanie Księżciu za gościnę nie jest mądrym wyborem.

– Gdyby tylko o mnie chodziło, oddałbym swój karabin, ale kilku moich ludzi to prawdziwi nieszczęśnicy. Broń zrosła im się z rękami, nie mogą jej już puścić, chyba żeby odciąć im ramię.

Konetabl chichocze.

– Chętnie zobaczyłbym to zjawisko.

– Są w SUV-ie – odpowiada spokojnie Durand. – Może pan ich zobaczyć na własne oczy.

Tucci przygląda się przyciemnionym szybom aut, których silniki ciągle pracują na minimalnych obrotach. Jeden szybki ruch do przodu obu tych bestii w jednej chwili zamieniłby jego i eskortę w tyleż pulpetów.

Wściekłym gestem Tucci zrywa sobie z głowy beret. Durand wzdryga się. Kiedy mężczyzna odwraca się w moją stronę, poznaję przyczynę zdumienia dowódcy.

Cała prawa strona czaszki konetabla jest z metalu: błyszcząca, asymetryczna czasza.

– Na co się gapisz? – napada na mnie z wrzaskiem. – Co się tak gapisz?

– Nic...

– Właśnie, nic.

Znów spogląda w czarne szyby hummerów. Są jak straszne lustra, pełne groźby.

Odgłos pracy dwóch silników jest jak mruczenie tygrysów. Dźwięk na pozór spokojny, ale w rzeczywistości pełen groźby.

Mężczyzna drapie się po głowie, ale jego palce dotykają metalu, więc cofa je gwałtownie, jak oparzony. Z gestem wściekłości oznajmia:

– Jesteście gośćmi Księcia i będziecie postępować według jego reguł.

Głos Duranda jest opanowany, a spojrzenie spokojne.

– Proszę podziękować Księżciu za gościnę, ale ja i moi ludzie postępujemy wedle reguł Świętego Kościoła Rzymskiego.

Karabiny podnoszą się niepostrzeżenie. Wystarczyłoby słowo, jeden fałszywy ruch, a w tym ciemnym wilgotnym podziemiu rozpętałoby się piekło.

Przez chwilę mam wrażenie – nie, pewność – że Tucci ma już dać znak swoim siepaczom do otwarcia ognia. Ale w tej chwili rozlega się potężny głos i wypełnia każdy zakamarek podziemnej przestrzeni.

– Davide, wpuść tych ludzi. Poręcza za nich Kościół. A poza tym mamy tak mało gości, nie możemy pozwolić im odejść. Słyszałem wszystko, jestem naprawdę pod wrażeniem. Nie mogę się doczekać, żeby ich poznać.

– Na rozkaz, Książę.

– Dobrze, przepuść ich. Może dogadamy się na przykład w sprawie broni ciężkiej... żeby ją zostawić. Pistolety niech już będą. W gruncie rzeczy przywykliśmy do nich. Bez nich czujemy się nadzy. Ale granaty nie. I te tam, jak to się nazywa... no... ciężkie karabiny maszynowe. Na miłość boską, nie. Cekaemy zostawcie, proszę.

Durand podnosi głowę. Mówi zwrócony do sufitu, w kierunku głośników, z których dobiega sepleniący głos Księcia:

– Dziękuję za uprzejmość i wyrozumiałość. Jest jeszcze jeden szczegół. Nasze środki transportu. Są naprawdę delikatne. Wymagają ciągłej troski. Mój sierżant i jego adiutant nigdy się z nimi nie rozstają. Mogą spać w środku. Tylne siedzenia są wystarczająco szerokie i wygodniejsze od niejednego z łóżek, w których spaliśmy.

Głośniki milczą.

Po chwili słychać śmiech, niemal dziecięcy, towarzyszą mu inne, bez wątpienia kobiece.

– Niezły z pana numer, kapitanie. Zapraszam, niech pana wprowadzą na górę. Trafiliście akurat na

śniadanie. Nie ociągajcie się, bo wystygnie.

Żegnamy się z Wenzelem i Bunem, którego kapitan zaanonsował jako adiutanta. Kiedy Wenzel i Durand ściskają sobie dłonie, zauważam, jak ich palce przekazują sobie zakodowane informacje.

Zostawiamy na dole schmeissery, granaty ręczne i nasze racje polowe. Praktycznie opróżnimy kieszenie. W zamian za to Wenzel rozdaje automatyczne pistolety tym, którzy ich nie mają. Potem staje na baczność i nienagannie salutuje.

– Do zobaczenia wkrótce, Pauli – uśmiecha się dowódca.

– Tak jest, panie kapitanie. Proszę tam na siebie uważać, panie kapitanie.

– To samo miałem powiedzieć tobie. Uważaj na siebie.

– Zapewniam, że będę.

– W każdym razie... oczy szeroko otwarte i broń w gotowości.

Wenzel wraca za kierownicę. To samo zrobił już Bune w drugim SUV-ie. Chociaż raz Niemiec zachowuje się poważnie.

Tucci i jego ludzie idą przed nami z jakimiś starymi lampami naftowymi w rękach i prowadzą w głąb podziemnego garażu, gdzie przejście zamyka metalowa brama przeciwpożarowa.

Tucci uderza pistoletem w drzwi, które po chwili otwierają się ze skrzypieniem.

Za nimi stoi trzech mężczyzn uzbrojonych w lance i tarcze. Spoglądamy po sobie z Durandem.

– Zapraszam – zachęca konetabl i pokazuje kręte schody, które wiodą na górę.

– Dalej, głupcze – uderza w kark jednego z niosących lampy. – Opowiedz gościom, gdzie jesteśmy.

Młody brunet, mrużąc oczy z grymasem bólu, zaczyna wyjaśniać:

– Znajdujemy się wewnątrz baszty Mercatale. Był to główny obiekt obronny po tej stronie miasta.

Zbudował ją pod koniec XV wieku architekt sieneński Francesco di Giorgio Martini. Prowadzi z Mercatale, czyli podziemnego parkingu, aż na szczyt skały, na której zbudowane zostało Urbino. Kiedyś wejście do baszty znajdowało się na poziomie ziemi, ale ojciec obecnego Księcia kazał je dla bezpieczeństwa zamurować. Teraz dostęp jest tylko od strony garażu...

Gdy tak idziemy schodami w górę, mijając zamurowane małe okienka, które kiedyś musiały służyć obronie budynku, chłopak ciągnie swoją opowieść z silnie neapolitańskim akcentem.

– John... – szepcze mi do ucha Durand.

– Tak?

– Kto to jest konetabl, do cholery?

– Nie wiem, kim jest tutaj. Wiem, kim był kiedyś. To funkcja z czasów schyłku cesarstwa rzymskiego. Słowo pochodzi od łacińskiego *comes stabuli*, czyli urzędnika, który nadzorował stajnie cesarskie. Później był stopniem wojskowym...

Ciszę przesywa nagle głos Davide Tucciego.

– Ej, wy dwaj! To niegrzeczne mówić szeptem! Co jest, chłopak powiedział coś głupiego? Zaraz go każę wychłostać!

– Nie, chłopak jest doskonałym przewodnikiem – spieszę zapewnić. – Jesteśmy po prostu zaskoczeni waszą dobrą organizacją.

W oczach Tucciego pojawia się błysk dumy.

– Owszem, jesteśmy naprawdę dobrze zorganizowani. To zasługa Księcia i jego biednego ojca. Dwie wielkie postaci. Dwa wielkie serca. Ugościli każdego, kto prosił o schronienie. Sprawili, że cały ten obszar jest bezpieczny i prosperuje.

Kiedy tak go słucham, mam wrażenie, że recytuje same slogany i gotowe zwroty.

– Posiadamy podziemne gospodarstwa, które wytwarzają wszystko, co nam jest potrzebne. Jedzenie mamy doskonałe i jest go pod dostatkiem. Nasz szpital leczy wszystkich i nie ma czego zazdrościć szpitalom sprzed wojny.

– Ile przeszczepów serca zrobiliście w tym roku? – Adcile Lombard nie potrafi się powstrzymać.

– Co pani mówi?

– Jeśli szpital pracuje jak przed FUBARD-em... to znaczy przed Dniem Sądu, to jesteście pewnie w stanie wykonywać skomplikowane operacje, jak na przykład przeszczep serca, czyż nie?

Twarz Tucciego przybiera śmieszny, niemal krowi wyraz. Konetabl kręci głową.

– Proszę sobie nie żartować z tych spraw. Nie, nie robimy przeszczepów serca. Ale za dziesięć lat, a może i mniej, taka operacja znowu będzie w naszym zasięgu.

– To znaczy, że według pana ludzkość naprawdę może przetrwać? I doprowadzić planetę do porządku?

– A jak inaczej żyć? Ja mam trójkę dzieci i wcale nie chcę, żeby miały takie życie jak ja, więzień. Chcemy odzyskać Ziemię, która do nas należy, i światło dnia też.

– A jak zamierzacie się dogadać z potworami, które grasują na zewnątrz? Coś mi się zdaje, że one też myślą, że Ziemia należy do nich – wtrąca się Yegor Bitka.

Tucci odwraca się gwałtownie.

– Spotkaliście je? Gdzieś tu, blisko?

Odpowiedź daje mu Durand.

– Jasne, że spotkaliśmy. Ale nie blisko.

Tucci uśmiecha się.

– No właśnie. Bo tu jesteśmy bezpieczni. Nikt nie może zrobić nam krzywdy. Chodźcie.

Nikt z nas nie pofatygował się z odpowiedzią na to *dictum*.

Z baszty wychodzi się na ulicę z podcieniami. O ile nie myli mnie zmysł orientacji, kiedyś można stąd było zobaczyć bliźniacze wieże książęcego pałacu. Teraz arkady są zamknięte murem z cegieł, w którym pozostawiono nieliczne otwory strzelnicze, teraz zakryte stalowymi płytami. Wszystko to zaprzecza twierdzeniom Tucciego o bezpieczeństwie tego miejsca.

Urbino jest miastem zamurowanym. Nie ma otwartych przestrzeni. Place przykryto lepiej lub gorzej skleconymi dachami, żeby nie dopuszczać słonecznego światła. Centrum miasta stało się jakby jednym wielkim zamkniętym budynkiem. Tu i ówdzie widać drzwi – stalowe, zaryglowane. Pilnują ich strażnicy ze znudzonymi minami, po jednym albo dwóch. Bezpieczeństwo doprawdy wydaje się być priorytetem dla tutejszych mieszkańców...

Idziemy ulicami zamienionymi w korytarze.

– W Perugii też tak jest – mówi Durand.

– Co mówisz?

– Perugia, w Umbrii, jest kwitnącą osadą, bo ci, co ocaleli, zamieszkali w podziemiach. Żyją w grotach wydrążonych w skale. Te grotki kiedyś, w średniowieczu, znajdowały się na poziomie miasta. Więc oni żyją w średniowiecznych domach i piwnicach, które z czasem zagrzebano, żeby umożliwić budowę innych domów i budynków na wierzchu. Tu wygląda to mniej więcej tak samo.

Nie pierwszy już raz Durand wzmiankuje miejsca nieistniejące na urzędowej mapie z osadami, którą kiedyś ujrzałem na stole Maksima. Miejsca, o których Kościół nie ma żadnej informacji. A jednak Durand je zna. Kolejna tajemnica, jak ta z Pierścieniem Rybaka.

Ale nie ma czasu na wyjaśnianie tajemnic.

Dziwna jest myśl, że przynajmniej jeden spośród ludzi, z którymi tu przyjechałem, próbował mnie zabić. Równie dziwne jest to, że nie spróbował ponownie.

Uśmiecham się do Adčle Lombard, która idzie sprężystym krokiem z miną radosnej spacerowiczki. Ja za to mam zmaltretowany kręgosłup tą długą podróżą samochodem. „Niewdzięczniku”, mówi mi wewnętrzny głos. „Niewdzięczniku...”

Kto w tych czasach może pochwalić się podróżą samochodem? W oczach dzieci i młodzieży urodzonej po Wielkiej Zagładzie auta są wytworami wyobraźni, zupełnie jak smoki i trolle.

Idziemy wznoszącą się drogą, a po obu jej stronach majaczą puste zakurzone witryny sklepów. Na

każdym rogu stoją domowej roboty wykrywacze promieniowania: szklane bańki ze złotymi blaszkami w środku. Maksim pękłby ze śmiechu. „Przydatne jak kopalniany kanarek na gaz bojowy”, skomentowałyby zapewne, albo coś w tym stylu. Jestem przyzwyczajony do jego sarkastycznych komentarzy, ale zastanawiam się, jak by je przyjęli ci ludzie, opętani obsesją bezpieczeństwa.

Na końcu drogi, skręcającej później w prawo, znajduje się posterunek obserwacyjny. Nie mogę się powstrzymać i podchodzę do trzech wartowników stojących na tle ogromnej szyby. Szyba jest ciężka, ma co najmniej ze trzy centymetry grubości. Za nią rozpościera się plac z Palazzo Ducale, Pałacem Książęcym, wyglądający jak filmowa scena.

Budynki wydają się nietknięte, olśniewają tak samo jak przed wojną. Wiemy już, że to, co zbudowano przed wiekami, ma szansę przetrwać dłużej niż nowoczesne konstrukcje. Jakby przebyte kataklizmy uodparniały na katastrofy.

A może po prostu dawniej budowano lepiej niż w czasach Wielkiej Zagłady.

Gdy jednak spojrzeć uważniej na tę scenę przez poplamioną, zarysowaną i brudną szybę, gdy wyteńczyć wzrok, dostrzega się detale świadczące o tym, że plac nie jest już taki jak kiedyś, i że jego nieskazitelność jest jedynie złudzeniem.

Na fasadzie Palazzo wiszą dwie płócienne bladioróżowe wstęgi z nieczytelnymi już napisami. Niegdyś reklamowano tak wystawy sztuki.

W głębi placu stoi dom z pootwieranymi okiennicami, którymi targa wiatr.

W prawym narożniku placu, z przemy śniegu wystaje zderzak jakiegoś starego samochodu.

Ciężka warstwa szarych chmur wisi nad miastem niczym całun.

– Możemy już iść? – niecierpliwie się konetabl Tucci.

Korytarz skręca w prawo, później znów w lewo, i w końcu stajemy przed wejściem do pałacu.

Wszystko oświetlone jest pochodniami zatkniętymi na murach, które osadzono w otworach i przytwierdzono uchwyty służącymi w średniowieczu zapewne tym samym celom.

Gwardia honorowa – sześciu żołnierzy w czarnych mundurach, czystych i wyprasowanych – zmienia ludzi konetabla, którzy ruszają z powrotem bez jednego słowa. Tucci zaś daje nam znak, by iść za nim do wnętrza pałacu. Sześciu gwardzistów ma pistolety w kaburach, a w rękach długie, zabójczo wyglądające pałki z nabitymi na końcu gwoździemi.

Wchodzimy długimi monumentalnymi schodami. Wielka szkoda, że pochodnie nie oświetlają sufitu. Miejskami można dostrzec jakiś szczegół: posążki *puttów*, jak Włosi nazywali małe aniołki, złożone stiuki pobłyskujące jak klejnoty i pogrążające się natychmiast w ciemności.

Przepych i piękno tego miejsca kontrastują z nędzą Nowego Watykanu. To byłoby właściwe miejsce dla papieża, myślę. Ale natychmiast przepędzam tę myśl. Kościół jest wszędzie tam, gdzie jest obecna wiara i jego nauka – ozdoby i błyskotki są zbędne. Powrót do źródeł nie zawsze jest złem. Ogień nas zahartował, a może nawet oczyścił. Czas pokaże.

Na szczycie schodów czeka na nas salon oświetlony bardzo jasno długimi świetlówkami. To zdumiewające, niemal magiczne. Temperatura pomieszczenia osiąga przynajmniej dwadzieścia pięć stopni.

Konetabl łapie moje spojrzenie.

– Panele słoneczne. W okolicy była fabryka. Instalacja nie była prosta, ale warto było. Wkrótce zelektryfikujemy całe miasto. Już niedługo.

Tucci przyspieszył kroku, niemal biegnie przez ten rozjaśniony salon, w kierunku drzwi po przeciwnej stronie, zza których dobiega jakaś dawna, niezwykle czarująca muzyka.

– Szanowni państwo, złożcie pokłon Księżciu Urbino.

Nie wiem, czego się spodziewałem.

A przede wszystkim nie wiem, jakim cudem i ja, i pozostali powstrzymujemy się od śmiechu na widok Księcia.

Ten siedzi na tronie, a raczej na krześle z wysokim oparciem, pomalowanym złotą farbą, i dynda nogami.

Wygląda jak wybryk natury.

Siedzi cały powykręcany. Jest garbaty, chudy, ma skrzywiony kręgosłup. Może mieć dziesięć, ale równie dobrze dwadzieścia lat. Jego blond włosy są zbyt długie, zakrywają mu oczy. Podnosi głowę i wbija w nas wzrok, próbując skompensować niezależne od jego woli poprzeczne ruchy głowy. Ma na sobie strój z czerwonego aksamitu, a na szyi masywny łańcuch ze złota, z którego zwisa złote słońce. Na głowie diadem z perłami, wyglądający na bardzo stary, przeznaczony raczej dla księżnej niż dla księcia.

– Bądźcie pozdrowieni. Witajcie, goście moi. Wysłannicy Kościoła, nareszcie. Fantastycznie.

Proszę, rozgośćcie się.

Głos młodego Księcia brzmi jak beczenie kózki.

Jest zbyt wypachniony. Zalatuje tanimi perfumami z dawnych czasów. Paczuli, właśnie, tak to się nazywało.

Niezdarnym ruchem zsuwa się z tronu i podchodzi do długiego, zastawionego stołu.

Szerokim, gościnnym gestem wskazuje nam krzesła i zaprasza, żeby usiąść.

Gdyby to był film z przeszłości, jedna z tych „historycznych” rekonstrukcji życia Borgiów czy Tudorów, które nie schodziły z ekranów telewizyjnych przed katastrofą, to długi stół byłby zastawiony pucharami pełnymi owoców: winogron, bananów, pomarańczy. Po Wielkiej Zagładzie pojęcie egzotyki uległo jednak zmianie. Nam ten stół wydaje się niezwykle obfity, ale ktoś z przeszłości uznałby go za nędzny. Są bochenki chleba, słone tarty i pieczenie. Butelki wina, świeże warzywa i...

– Siadajcie. Zajadajcie – uśmiecha się Książę.

Nie trzeba nam tego powtarzać dwa razy.

– Kazałbym zanieść coś waszym dwóm ludziom, którzy zostali na dole, ale podejrzewam, że nic by nie zjedli. Przecież mógłbym ich odurzyć, prawda? Albo, co gorsza, otruć... A wy jesteście sprytni...

Siada u szczytu stołu.

Chwyta widelec i nadziewa sobie plaster mięsa ociekającego sosem.

Miękkie białe mięso.

Podnosi oczy i napotyka mój wzrok.

Uśmiecha się.

– Aaa, rozumiem... To gołąb. Stara specjalność Urbino. Nie jadamy tu szczurów, ani innych paskudztw. Jesteśmy cywilizowani. Tylko to, co najlepsze, dla naszych ukochanych poddanych.

Wsuwa do ust kawałek mięsa, zagryza chlebem. Głośno przeżuwa i połyka. Z ust spływa mu strużka śliny z okruskami jedzenia.

Teraz, kiedy siedzę obok niego, wyczuwam oprócz perfum dziwną, obrzydliwą woń.

– Jesteście pierwszymi ludźmi Kościoła, którzy tu dotarli – mruczy z pełnymi ustami. – A kto jest papieżem? Tamten papież przeżył zagładę? Nie, skąd, przecież był za stary. Kim jest nowy papież?

Już mam mu odpowiedzieć, kiedy uprzedza mnie Durand.

– Nowy papież nazywa się Gelazjusz. Papież Gelazjusz III. Jest Niemcem. Odbudował militarną potęgę Kościoła i stworzył układ sojuszy w całych Włoszech Środkowych. Ale mamy też posterunki w pozostałej części kraju, aż do starych granic.

– Nigdy nie słyszeliśmy o tym supermocarstwie – oponuje Tucci.

– Usiądź, Davide – zaprasza go Książę. – Usiądź tu z nami, potowarzysz nam.

– Jadłem już.

– Dobrze, w porządku, zgoda. Ale zrób mi przyjemność i usiądź z nami. Przykro mi tak patrzeć, jak tam sam stoisz. No chodź, usiądź.

Tucci przesuwa krzesło swoimi wielkimi łapskami. Potem opada na nie ciężko i spogląda na wszystkich srogim wzrokiem.

– Mówił pan papież Gelazjusz III. Nie wiedziałem, że było już dwóch takich. Ilu to rzeczy człowiek nie wie, prawda?

– Tak, jest trzecim. Przejął świadectwo od papieża, który zginął podczas... Wielkiej Zagłady.

– Aaa, to wy to tak nazywacie? My na to mówimy Katastrofa. Dzień Katastrofy. Czy jeszcze trochę sosu do pieczeni, pani...?

– Adčle Lombard. Nie, dziękuję, wystarczy.

– Pani też należy do Kościoła? Siostra? Właśnie sobie uzmysłowiłem, że nie przedstawiliśmy się sobie przed posiłkiem. Cóż za brak smaku. Ja jestem Federico Tanzi, Księżę Urbino. Poznaliście już moją prawą rękę, konetabla Tucciego...

Durand przedstawia mnie, Adčle i swoich ludzi. Chyba delektuje się każdą sylabą, kiedy określa mnie niezasłużenie szefem Świętej Inkwizycji.

– Coś podobnego – uśmiecha się Księżę. – Święta Inkwizycja. Popatrz, popatrz. To ci, którzy palili czarownice, czyż nie? I heretyków. Ilu heretyków spaliliście ostatnio?

– Może pan odpowie, kapitanie? – zwracam się do Duranda, próbując ukryć ironię.

– Z przyjemnością. Drogi Księżę, Kościół nie jest już taki jak kiedyś. Wiemy, że... Katastrofa wstrząsnęła duszami i, być może, u słabszych zachwiała wiarą w miłosiernego Boga...

Księżę puszcza oko.

– Można się spokojnie o to założyć – szepcze, ale tak, żebym i ja usłyszał.

– ...Dlatego staliśmy się, jakby to powiedzieć, trochę bardziej tolerancyjni wobec okazjonalnych i niegroźnych form odstępstwa od ortodoksji.

– No tak. Tym bardziej, że w gruncie rzeczy pomyliliście się w waszych prognozach. Znaczący koniec świata nadszedł, a świat wciąż trwa.

Durand podnosi głowę.

– Nie jestem duchownym, Księżę. Jestem żołnierzem. Nie płacą mi za myślenie i prawienie kazań, ale za obronę Kościoła przed jego wrogami.

– Muszę przyznać, że wasz przyjazd zrobił na nas wrażenie. Jeździecie takimi...

– To nasze lekkie pojazdy eksploracyjne.

– Lekkie?

– Tak. Jeśli je porównać chociażby do bojowego wozu opancerzonego Lince. Albo do czołgu Leopard.

Księżę zerka na Duranda ukradkiem. Najwyraźniej ostatnie zdanie zrobiło na nim wrażenie. Udaje sprytnie obojętnego, kiedy zwraca się do Adčle.

– A fascynująca doktor Lombard co powie o Urbino? Podoba się pani moje miasto?

– Nie miałam jeszcze sposobności przyjrzeć mu się tak, jak na to zasługuje, ale owszem, jestem poruszona. Gratuluję.

– Dziękuję. To nie tylko moja zasługa. To była praca zbiorowa. A największe zasługi oddał tu mój ojciec.

Jak na rozkaz konetabl wstaje, a gwardziści wyprężają się w postawie na baczność.

– Cześć Księciu Attilio! – krzyczy Tucci, a za nim wszyscy pozostali.

– CZEŚĆ KSIĘCIU ATTILIO!

– Cześć, oczywiście, jasne – szepcze młody Księżę Federico, wykrzywając usta.

Po tej scenie kolacja zamienia się w niemy film. Dobroduszość chłopca jakby gdzieś uleciała. Bawi się jedzeniem, odpowiada monosylabami na nasze pytania.

Aż do chwili, kiedy Durand opowiada o ataku na Torrita Tiberina.

Księżę jakby się nagle obudził.

– Ten stwór, co was zaatakował... ten, co komunikował przez myśli... Wzięliście jakieś trofeum?

– Słucham?

– Trofeum! Głowę albo łapy... mają takie długie łapy...

– My nie zbieramy trofeów.

Młody Książę wygląda na rozczarowanego.

– Nie mam nic takiego w moim muzeum...

– W jakim muzeum? – pyta Durand.

– W moim muzeum ciekawostek natury. Później wam pokażę, jeśli jesteście zainteresowani. Ale teraz proszę mi opowiedzieć o tych dziwnych stworach.

Durand wzrusza ramionami.

– Nie ma co opowiadać. Kiedy je widzę, zabijam. Może coś więcej opowie kapral Bitka.

Książę odwraca błyskawicznie wzrok w stronę Yegora.

Młody kapral przełyka ślinę, zakłopotany.

– Ja... ja nie mam za dużo do powiedzenia. Znaczący... ja też nie rozumiem tego, co mi się przytrafiło... Było tak, jakby to do mnie mówiło w mojej głowie... Byłem sparaliżowany. Nie mogłem się ruszyć. Nawet oczu zamknąć nie mogłem...

– Ale co panu mówił ten stwór?

Bitka patrzy w podłogę.

– Nic. Jakieś głupstwa.

– Głupstwa? Jakie głupstwa?

Kapral patrzy ukradkiem na doktor Lombard.

– Nic. Nie pamiętam.

Książę nalega. Każe sobie opisywać z najdrobniejszymi szczegółami dziwną, telepatyczną istotę. Prawdziwe przesłuchanie. Jaki był wysoki? Jak się poruszał? Skokami czy płynnie? Czy miał widoczne organy zmysłu? Czy był nagi?

Yegor odpowiada, jak umie, jak pamięta, czasami do rozmowy wtrąca się pani Lombard, żeby uściślić jakiś detal. Książę słucha niecierpliwie, replikuje, żąda wyjaśnień. Nagle wstaje bez uprzedzenia i rusza przed siebie swoim koślawym krokiem.

– Chodźcie. Coś wam pokażę. Spodoba się wam!

Tucci wstaje wraz z nim.

Ułomne ciało Księcia zdaje się ogarnięte jakimś absurdalnym szałem, kiedy drepcze korytarzami bokiem, niczym rak.

– Choroba popromienna? – pytam doktor Lombard po cichu, żeby nikt mnie nie usłyszał.

– Nie sądzę. Wygląda raczej na wadę genetyczną. Domyśla się ojciec, dokąd nas prowadzi?

– Miałem nadzieję, że pani będzie wiedziała...

Przechodzimy długimi ciemnymi korytarzami. Jeśli to prawda, że mają panele słoneczne, to chyba nie mają fabryki żarówek...

Korytarze są czyste, ale miejscami śmierdzą pleśnią. Przy jednej ze ścian kapie woda, wprost do emaliowanej miski.

Domyślałam się, że niełatwo jest naprawić przeciek w dachu. Czy są potwory, czy ich nie ma.

– Wchodźcie, wchodźcie – mówi Książę, wskazując na wysokie, masywne drzwi, które otworzył dziesięciocentymetrowej długości kluczem.

Wchodzimy.

Rozdział 21: Muzeum Księcia

W przeszłości załatwiało się to frazesem typu „brak mi słów, żeby to opisać”.

Przez ostatnie dwa tygodnie wiele razy narzucał mi się ten komunał.

Ale nigdy, nigdy dotąd aż tak jak teraz.

Wchodzimy do ogromnej sali, co daje się już poznać po odgłosie odbijających się echem kroków na źle założonym i miejscami wytartym parkiecie. Ale jasny obraz jej wielkości dociera do nas dopiero wtedy, gdy Księżę naciska włącznik, a na suficie rozbłyskują długie neonowe rurki. Kilka z nich świeci światłem przerywanym i wydaje z siebie bzyczenie rannego owada.

Opada mi szczęka.

Wzdłuż ścian ułożono w stosy stare obrazy, o najprzeróżniejszych rozmiarach. Ściągnięto je z murów, by zawiesić na nich przerażające rzeczy.

Smród w sali jest trudny do wytrzymania.

I nie ma się czemu dziwić.

Ten kto zabalsamował ciała na środku sali, nie mógł być ekspertem. Poznać to i po odorze zepsutych ciał, i po absurdalnych pozycjach, w jakich ustawiono te martwe stworzenia. Przeszywa mnie dreszcz, kiedy rozpoznaję trzy stwory identyczne jak te, które napadły mnie na dnie basenu. Dalej widać psa z trzema głowami, z których dwie są małe i zniekształcone jak guzy: Cerber, który za życia musiał wyć z bólu przy każdym stawianym kroku, jeśli sądzić po nedorzecznym wygięciu jego kręgosłupa. Staram się nie patrzeć na to zbyt długo, a szczególnie nie patrzeć na Księcia. Ale chłopak jest zbyt zaferowany, żeby zwracać uwagę na nas. Kuśtyka od jednego cudu do drugiego, pokazuje palcem, głaszcze te potworności, jakby to było ciało ukochanej.

– A to, popatrzcie, to przyniosła mi grupa myśliwych w zeszłym tygodniu. Patrzcie.

Na macie leży jakiś przedmiot zawinięty w przezroczystą folię.

Wygląda jak meduza, ale po chwili dociera do mnie, że to ogromna twarz, o oczach dużych jak spodki deserowe.

– Upolowana na wzgórzach pod Pennabilli. Myśliwi się spisali. W nagrodę zwolniłem ich osadę z danin na cały rok.

Pomimo folii, smród jest tak paskudny, że aż mdli.

– Jutro Tucci zabiera się do balsamowania. Pozwolisz, że ci pomogę, Davide?

– Jak sobie Księżę życzy. Ale myślę, że...

– Już się nie mogę doczekać.

Księżę jest rozbiegany, z trudem skupia się na jednej czynności i bardzo łatwo go rozproszyć.

– Tam, popatrzcie! To jeden z najmocniejszych punktów kolekcji.

Kawałek czarnego spalonego drewna przypomina indiański totem. Przedstawia kobietę w pozycji kucznej. Z pleców wystają jej drobne, ledwo zarysowane skrzydła. Z waginy wychyla się ludzka główka. I matka, i maleństwo zaciskają z bólu szczęki.

– Zdobyliśmy ją w osadzie ludojadów. To był ich bóg, a właściwie bogini. Bogini płodności podobno.

– Albo automat z przekąskami – ironizuje Durand.

Nikt się nie śmieje.

– Są osady kanibali w okolicy? – pyta Adčle.

– Były – odwarkuje srogo Tucci.

Chodzimy powoli wśród eksponatów tego dziwnego muzeum. Nie wszystkie są świeżej daty. Jest dużo przedmiotów wyglądających na bardzo stare, jak żółw zalakierowany do tego stopnia, że wygląda raczej na rzeźbę niż na coś, co było kiedyś żywe. Albo długi kieł narwala.

Prawdziwy pokój cudów, galeria osobliwości – kiedyś takie zbiory niesamowitych przedmiotów były radosną rozrywką szlachty, która trwoniła na nie swoje fortuny. Nie ma tu niczego naprawdę wartościowego. Zbieranina dziwactw, zwykła graciarnia.

Podchodzę zaciekawiony do obrazów złożonych niechlujnie pod ścianami.

Zapiera mi dech w piersiach.

Wyciągam drżące ręce do *Madonny* Rafaela. Pod nią leży obraz *Piera della Francesca*. Potem Tycjan.

Czuję jakąś dłoń na ramieniu.

– Wiem, co myślisz – szepcze Adčle Lombard. – Uspokój się.

Patrzę z przerażeniem na długie rozcięcie szpecące policzek Chrystusa. Na kłęby kurzu zalegające na płótnach.

– Chodźcie! – krzyczy Książę. – Chodźcie!

Schodzimy w dół jednymi schodami, później drugimi, coraz głębiej pod ziemię. Na ścianach nie ma już fresków, widać jedynie rudawe, gołe cegły, odbijające światło pochodni. Groteskowa scena. Potępieni goście księcia Prospera z opowiadania *Maska czerwonej śmierci* Edgara Allana Poe. O czym było to opowiadanie? Pałac okolony wysokimi murami, zamknięty stalowymi bramami, w którym książę i jego dworzanie bawili się i tańczyli, wbrew szalejącej na zewnątrz zarazie...

Podziemne korytarze, które zakręcają pod niemożliwymi kątami, nagłymi, zaskakującymi łukami, są w dodatku pozbawione prądu. Żeby nadążyć za Księciem, musimy niemal biec, zataczając się na nierównych zejściach i ryzykując, że sobie coś zrobimy.

Docieramy do olbrzymiej sali, której sufit jest niewidoczny. Panuje tu straszny mróz. Musimy być w podziemiach zamku.

Coś wydziela bardzo mocny, nieokreślony zapach. Jak zaniedbana stajnia, ale z jakąś dziwną nutą.

Twarz Księcia jest czerwona z wysiłku i emocji.

– To były niegdyś pałacowe chłodnie. Przechowywali tu przez cały rok śnieg, żeby schładzać żywność i napoje dla dworu.

– A ponieważ dzisiaj śnieg jest ostatnią rzeczą, jakiej nam brakuje, wykorzystujemy je w innych celach... – komentuje cierpko konetabl.

– To był prawdziwy cud przeszłości. A teraz znajduje się tu jeden z cudów teraźniejszości. Znaleźliśmy to podczas jednej z naszych ostatnich dalszych wypraw. Szukaliśmy zaopatrzenia, a znaleźliśmy... Nie, niech to będzie niespodzianka. Proszę, podziwiajcie!

Na znak dany przez Księcia na suficie zapala się cała bateria reflektorów i oświetla scenę światłem mocnym jak za dnia.

Na środku wielkiej sali, w klatce ze stalowych prętów, trzymetrowej wysokości stwór zwija się w mękach zadanych smagnięciem światła, jakby się palił.

To czarny robal o lśniącej skorupie. Okrągła głowa nie ma chyba oczu ani innych narządów zmysłu. Pancierz wygląda jak u karalucha.

Najpotworniejsze są ramiona i nogi, miniaturowych rozmiarów w stosunku do reszty. Choć czarne jak sam pancierz, są to ludzkie kończyny.

– Patrzcie, patrzcie! – krzyczy Książę. – To jeszcze nic!

Bierze od jednego z gwardzistów pikę i wkłada ją między prętami do klatki. Kłuje trzykrotnie końcem grzbiet stwora. Zwierzę unosi wolno głowę i przybiera pozycję półstojącą. Ten mozolny manewr możliwy jest dzięki wsparciu ogona, a nie nóg.

Kiedy Książę staje oko w oko z potworem, okazuje się, że to zwierzę jest śmiertelnie przerażone, nie karzeł. Widać to po nerwowych ruchach, po drgawkach wstrząsających segmentami jego ciała, podobnymi do odwłoka.

– Ten stwór jest inteligentny!

Teatralnym gestem Książę wznosi ramiona i woła swoim sepleniącym głosem, a właściwie piszczy:

– Potworze, pokaż, co potrafisz! Potworze, ile jest dwa dodać dwa?

Stwórz kręci głową.

Mocniejsze ukłucie piką zmusza go do schylenia głowy.

– Odpowiedz! Nie będę więcej pytał! Dwa plus dwa?

Głowa stwora kłania się. Jeden, dwa, trzy. Cztery razy.

– Świetnie! A teraz coś trudniejszego: ile jest pięć minus dwa?

Głowa natychmiast kłoni się trzy razy.

– Dalej! Sami spróbujcie! Sami go spytajcie!

Kręcę głową.

– Mnożyć też umie. Dzielić jeszcze nie. Ale uczymy go dzielenia.

Może to piskliwy głos Księcia skłania mnie do działania. A może pełen godności bezruch stwora wyglądającego jak opancerzony robak. Robak o ludzkich nogach i rękach.

Klękam na jedno kolano.

Jest coś w tym stworzeniu.

Coś, co krzyczy.

Kościół uczy nas widzieć cierpiącego Chrystusa w każdym stworzeniu.

Ale nie tylko Kościół. W ponurej celi więzienia, na kilka miesięcy przed śmiercią z rąk gwardzistów Freikorpsu, Róża Luksemburg napisała niezwykły tekst o cierpieniu pary bawołów zaprzęgniętych do wozu.

Żegnam się znakiem krzyża.

Stwórz odwraca łeb w moją stronę. Łeb bez oczu, bez uszu. Bez ust, żeby przemówić.

Schyła się.

– Co to za wyglupy? Proszę wstać! Proszę się nie ośmieszać!

Głos Księcia jest piskliwy, arogancki.

Tak jak mój jest pewny i mocny.

– Aniele Boży, stróżu jego, oświeć, chroń, wspieraj i prowadź to stworzenie, które zostało ci powierzone przez miłosierdzie niebieskie, amen.

Jakaś dłoń szarpie mnie z dużą siłą. Próbuje podnieść na nogi.

– No już, księżo! Słyszałeś, co powiedział Książę! Wstawaj, natychmiast!

Tucci podnosi ramię. W jego lewej dłoni pobrzękuje pęk kluczy. W prawej trzyma pałkę. Podnosi ją i opuszcza gwałtownie w kierunku mojej głowy.

W tym samym momencie coś czarnego i ciężkiego pojawia się między mną a Tuccim. Jakieś ramię. Nie, to język stwora. Wyskakuje między prętami klatki – raz, dwa razy. Przy drugiej próbie metrowy język opasuje ramię konetabla. Słysząc koszmarny odgłos rozrywanego ciała. Język bestii wraca na swoje miejsce, znów nie widać żadnego pyska. Oderwane od ciała ramię Tucciego leży przy prętach klatki. W dłoni ciągle tkwi pałka najeżona gwoździemi.

Konetabl patrzy z niedowierzaniem na ramię i na ranę, z której krew sika długim, obfitym strumieniem.

Pada z jękiem na ziemię.

Książę cofnął się od klatki z przerażeniem. Jak wszyscy pozostali. Zostałem tam sam jeden.

Jedną częścią swojego umysłu – tą racjonalną, która nadal wierzy w rzeczywistość – widzę Adcłe, która rzuca się na leżące na ziemi ciało i próbuje wszelkimi sposobami zatamować ten straszliwy krwotok. Ale ramię zostało wyrwane przy samym barku, i materiał uciskający ranę barwi się najpierw na różowo, a zaraz potem na czerwono.

Drugą częścią umysłu – tą, o której jeszcze kilka dni temu nie wiedziałem – wyczuwam jakiś słaby głos, głos skargi. Jak smętny hałas skrzypiącej zębarki, ale powoli zaczynam rozumieć słowa.

O ile to w ogóle są słowa.

„Każ im przestać. Proszę cię, każ im przestać. Jestem już zmęczony, strasznie zmęczony, niech przestaną”.

Z wolna podnoszę głowę i patrzę w kierunku, z którego zdaje się docierać ten głos.

Skulony w najdalszym kącie klatki, jakby chciał się stać niewidzialny, stwór o ludzkich kończynach, dziwaczny koszmarniczym z Kafki, odwraca ślepy łeb w moją stronę, a jego myśli wypełniają mnie jak czarna woda z dzbanka.

„On już nadchodzi... Nie pozwól, żeby mnie oddali temu... człowiekowi od bólu... Uwolnij mnie...”

Czy jestem świadomy, kiedy sięgam ręką do zamka klatki?

Czy moje oczy są świadome, kiedy patrzą na całą scenę i widzą, że wszyscy zajmują się ciałem konetabla Tucciego?

Czy świadoma jest moja ręka, która podnosi z ziemi pęk kluczy upuszczony przez konetabla?

„To ten najmniejszy... Otwórz... Wypuść mnie...”

Podnoszę rękę z kluczem.

Przysuwam do otworu zamka.

W tym momencie dostaję pięścią w podbródek tak, że ląduję na prętach klatki. Druga, mocniejsza pięść trafia w żołądek. Zginam się wpół.

Durand łapie mnie za włosy. Brutalnie podnosi mi podbródek.

– Posłuchaj mnie dobrze, księżu – syczy przez zęby. – Jeżeli jeszcze raz spróbujesz nas narazić, zabiję cię. Albo wiesz co? Zabiję cię wcześniej. Kiedy tylko skapuję, że masz zamiar zrobić coś głupiego.

Rozgląda się wokół siebie, żeby się upewnić, że nikt nie słyszy.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteśmy otoczeni? Jeżeli zrobimy fałszywy ruch, to tamci nas rozpieprzą. Kto według ciebie nas wyprowadzi z tej dziury? Twój Bóg?

„Ja... mogę was... wyprowadzić...”

– Kto to powiedział? – Durand staje na równe nogi. Po chwili dociera do niego.

– O mój Boże... To ty, Gregor Samsa?

W mojej głowie słychać śmiech. Jak trel srebrzystych nut.

„Ty też... myślisz o mnie... jako o karaluchu... Kafki? Ty też, małpo?”

– Małpo?

„Tym właśnie jesteś. Tym właśnie jesteście. Małpami”.

Głos w mojej głowie brzmi zdecydowanie, kiedy wymawia te słowa.

Durand już ma odpowiedzieć, kiedy histeryczny głos Księcia rozdziera mu się nad uchem.

– Zabij go! Zabij tego potwora!

Odwracam się. Ciało Tucciego leży nieruchomo w kałuży krwi. Wytrzeszczone oczy wlepione są w ciemny sufit, ale teraz już widzą pewnie o wiele dalej. W tej pozycji, nieuzbrojony, wydaje się mniejszy. Jakby zaczął się już rozpląwać na ziemi. Powinienem zmówić za niego modlitwę, ale nie ma czasu. Gwardziści Księcia kierują karabiny w stronę „Gregora Samsy”. Ale wcale nie spieszą się ze strzelaniem.

Księżę zwraca się do Duranda.

– Ty go zabij!

– Dlaczego ja?

– Bo do ciebie mówił. Chcę zobaczyć, co się stanie, jak do niego strzelisz.

– Co ma się stać?

„Stanie się to, że rozwalę ci głowę”, szepcze w naszych mózgach ludzki karaluch głosem, który jest jak podmuch wiatru.

„Twoja głowa pęknie, pęknie, pęknie...

Pęknie jak balonik”.

Na znak Księcia jego dwaj gwardziści kierują lufy karabinów ze stwora na kapitana.

Durand podnosi broń.

„Nie rób tego...”

Mierzy z beretty w łeb stwora.

Książę patrzy na niego z otwartymi ustami. Z kącika warg spływa mu strużka piany.

Czoło Duranda coraz bardziej się marszczy. Jakby każdy ruch sprawiał mu największy trud.

Podnosi jednak wolno pistolet i po chwili ma na muszce czoło potwora.

Broń drży mu w dłoni, ale palec zaczyna naciskać spust.

Wtedy ciszę pod sklepieniem olbrzymiego podziemia rozdziera straszny ryk, jak ryk tyranozaura.

Patrzę przerażony w górę.

„Człowiek Bólu...” – jęczy stworzenie.

Oczy Księcia napełniają się radością.

– Zostawcie potwora. Mam teraz coś lepszego do roboty. O nim pomyślę później.

Strażnicy na chwilę tracą czujność.

To wystarcza Durandowi.

Błyskawicznie klęka i strzela dwa razy.

Jednego trafia w czoło, drugiego w pierś, ale kolejnym strzałem go dobija.

Zaskoczony Bitka nie był aż taki szybki. Dopiero po chwili wymierza w Księcia wyjęty z kabury pistolet.

– Nie! – rozkazuje Durand.

Jednym susem dopada do kaleki. Wykręca mu rękę, aż ten krzyczy z bólu.

Kapral Diop i dwaj Włosi biegną do schodów, którymi tu weszliśmy. Yegor Bitka podnosi karabin maszynowy martwego strażnika. Odkłada go z powrotem z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Drugi automat też nie zyskuje jego aprobaty.

– Co za syf.

– A czego byście chcieli? – piszczy urażony Książę. – Nie jesteśmy żołnierzami! Nasze bezpieczeństwo to mury, a nie broń.

– Powiedz to swoim ludziom – ucina Bitka, wskazując na trzy trupy.

– Będą nam musiały wystarczyć pistolety – mówi Durand. – Ilu ludzi możemy się spodziewać na górze, jak myślisz?

– Na pewno kilkunastu.

– Dobra.

– Jeżeli mają taką samą broń, to jest nadzieja, że sami się wystrzelają.

– Nie liczyłbym na to. Dobra, nas jest siedmiu. Ja z Yegorem pójdziemy przodem, pozostali tyłem, będą nas osłaniać. My będziemy sprawdzać wejścia boczne. W porządku?

– W porządku.

– To idziemy.

W moim uchu rozbrzmiewa głos silny jak dzwon.

„Zabierzcie mnie ze sobą”.

Odwracam się.

Stwór stoi na nogach. A jego ręce – ręce, w których nie ma nic monstrualnego, ręce zupełnie normalne – chwytają się prętów klatki. Potrząsają nimi dwa razy.

„Wypuście mnie”.

Pozostali też usłyszeli. Wszyscy oprócz Księcia, który patrzy na nas zdumiony, gdy odwracamy się w stronę klatki.

„Mogę wam pomóc stąd wyjść. Mogę was wyprowadzić na zewnątrz”.

– Ach tak? – odzywa się Bitka. – A skąd mamy wiedzieć, że jak już wyjdiesz z tej klatki, to nas nie pozabijas?

„Boję się. Tak samo jak wy. Chcę stąd wyjść. Tak samo jak wy”.

– Przyznaję, że to dobry powód – kwituje Durand. – Ale to nadal...

„Mogę was stąd wyprowadzić. Ale potem mogę was prowadzić jeszcze dalej”.

Kapitan przeciera sobie dłonią najeżony siwym zarostem podbródek. Trwa to dłuższą chwilę.

Później odwraca się ku wyjściu.

Gregor Samsa, tak nazywam go już teraz w duchu, człowiek karaluch z opowiadania Kafki, opuszcza ramiona w niepocieszonym geście.

„Przybywa Człowiek Bólu. Nikt nie może się przed nim uratować. Nie wyjdziecie stąd żywi”.

Durand zatrzymuje się w pół kroku.

– Jesteś potworem! – wrzeszczy Yegor.

„Nie. Nie jestem potworem. Żadna żywa istota nim nie jest. Na zewnątrz króluje śmierć. Każde życie jest święte. Wypuście mnie. Nie zostawiajcie mnie tutaj. W imię życia”.

Durand rusza schodami w górę.

„Mogę was zaprowadzić do Wenecji”.

To słowo, nazwa tego miasta, trafia w nas z siłą bomby.

Durand przystaje w połowie schodów.

– Wypuście go – mówi. – Ale nie spuszczaście go z oka ani na chwilę. Jeden fałszywy ruch i strzelajcie. Najpierw w nogi. Później w brzuch. Tam pancerz jest chyba cieńszy. A teraz w drogę. Szybko.

– Oszaleliście? Nie możecie uwolnić tego potwora! – skrzeczy Książę.

Bitka ucisza go jednym policzkiem.

Durand patrzy na mnie podniośle. Kiwa głową.

Klucz drży mi w dłoni, kiedy go wkładam do zamka.

Przy udziale Adcła otwieram drzwi klatki, które skrzypią na nienaoliwionych zawiasach.

„Dziękuję. Dokonaliście dobrego wyboru. Ruszajmy”.

Dziwaczne stworzenie wychodzi z klatki wolnym, podniosłym krokiem i staje obok nas. Pod czarną, gładką jak plastik skórą widać olbrzymi wysiłek mięśni. Nogi i ramiona pracują jak części jakiejś maszyny, która chce poruszyć tę ciężką skorupę.

Książę zaczyna coś bełkotać, widząc zbliżającego się Gregora Samsę. Ale stwór nie zaszczycą go najmniejszą uwagą. Przechodzi obok tym swoim regularnym, nieludzkim rytmem.

„Nie pójdziemy tą samą drogą, którą tu przyszliście. Tam jest za dużo strażników”.

– Jest jakieś inne wyjście? – pytam.

– Nie – bełkocze Książę.

„Tak”, zaprzecza człowiek karaluch, uskakując na prawo z niespodziewaną zwinnością. Pozory mylą. Muszę pamiętać, żeby nie pozwalać sobie na rozluźnienie przy tym stworze.

Gregor Samsa podchodzi do jednej ze ścian, otwiera ramiona i wyciąga z niej pomalowaną płytę kartonowo-gipsową. Doskonale udawała lity mur. Za wyjętym panelem ukryte są drzwi, niezamknięte. Prowadzą do wąskich, krętych schodów.

– Dasz radę wejść? Jest wąsko – Durand ma wątpliwości.

„Tędy mnie tu sprowadzili”.

– Dobra. Idziesz pierwszy.

Gregor Samsa bez słowa zaczyna wchodzić na górę. Porusza się bardzo dziwnie. Precyzyjnie, niemal mechanicznie. Jak maszyna, a nie żywa istota.

„Ale, niestety, tak nie jest”, wzdycha głos w mojej głowie.

– Czytasz mi w myślach?

„A jak myślisz, księżu?”

– Sądzę, że tak.

„Możesz założyć się o własną dupę. Czy nie tak mówicie w waszych stronach? To znaczy, mówiliście... Mógłbym cię nauczyć wielu ciekawych rzeczy o dzisiejszym świecie. Ale wszystko w swoim czasie. Najpierw musimy stąd wyjść. A nie ma za dużo czasu”.

Potakuję.

– Masz rację.

„Mam rację w wielu sprawach, i popatrz, na co mi się to zdało. Skończyłem w klatce, dla rozrywki tego zepsutego chłoptasia”.

Idziemy tak krętymi schodami, aż Księżę zaczyna zdradzać oznaki zniecierpliwienia. Kiedy docieramy do drzwi, zapiera się rękami i nogami.

– Nie możemy tędy wyjść.

– Bo co? – pyta Durand.

„Bo nie chce, żebyśmy to zobaczyli”, odpowiada Gregor.

– Co zobaczyli?

Księżę kręci głową.

– Otwórz te pieprzone drzwi – rozkazuje Yegor Bitka, przykładając mu pistolet do czoła.

Chłoptas nie może odmówić. Otwiera drzwi, cofa się i zapiera plecami o mur, jakby chciał zniknąć w spojeniach między kamieniami.

Durand przekracza próg. Za nim Yegor, popychając przed sobą wierzgającego Księcia.

Pomieszczenie oświetlone jest dymiącymi pochodniami zamocowanymi na murach.

Panuje tu fetor zepsutego mięsa.

Ten sam obrzydliwy smród, który czuć było pod perfumami Księcia.

Na ogromnym rozgrzebanym łożu z baldachimem leży naga kobieta. Nogi i ręce ma przywiązane do kolumn baldachimu. Ma białe, wybałuszone oczy. Niczym ryba na grillu. Wije się na łożku, próbując się oswobodzić. Z jej ust spływa żółta piana.

– Co to ma być? – pyta Durand, szarpiąc Księcia za ramię.

„To jego zabawka, wypoczynek jego, jego radość”, podśpiewuje głos Gregora.

– Nie interesuje mnie, co on z nią robi. Chcę wiedzieć, co to za monstrum!

„Ta, którą nazywasz monstrum, była kiedyś ludzką istotą, kiedyś, zanim zatraciła się w Cienistej Dolinie Śmierci”.

Kapitan patrzy z obrzydzeniem na śliniące się stworzenie, które wije się w pościeli jak jakiś robal.

Przystawia pistolet do skroni młodego Księcia.

– Pytam cię po raz ostatni! Co to jest... co to za perwersja?

Usta Księcia poruszają się bezgłośnie, jak niezdolne do wyartykułowania choćby jednego słowa. Lufa pistoletu uderza w jego skroń.

Zwieracz Księcia natychmiast się poddaje. Smród odchodów wypełnia cały pokój, pokonując fetor dziewczyny.

Durand chwytą go za gardło i rzuca o ziemię. Potem staje przed stworem wijącym się w łożku.

Sznur, którym ją przywiązano, ponacinał jej ciało na nadgarstkach i na kostkach do samego mięsa. Z potwornych ran nie cieknie krew, lecz żółtawa, gęsta wydzielina.

A między nogami...

Widząc, w jakim jest stanie, żegnam się znakiem krzyża.

Między nogi wepchnięto jej butelkę.

Zbitą butelkę.

Stamtąd wypływa już krew.

Co za kreatura mogła jej to zrobić, zastanawiam się. Nawet jeżeli to coś jest potworem...

„To nie ona jest potworem. Ona jest tym, czym jest. Marionetką. Potworem jest ten, kto jej to zrobił”.

– Gregor, a kim jest marionetka? I kto jej to zrobił?

W mojej głowie rozdzwania się śmiech, brzmi dosłownie jak dzwony.

„Sądząc po twoich wspomnieniach, napotkałeś już w życiu marionetki. Zabiłeś trzy z nich na dnie jakiejś dziury. To stworzenia żyjące w stadium przejściowym między życiem a śmiercią. Nie są martwe, ale i nie są żywe. W każdym razie nie do końca. Ale to ludzkie istoty, czy wam się to podoba, czy nie. Tak jak i ja. To, co zrobicie jednemu z nich, robicie ludzkości. Nawet najpotworniejszemu z nich”.

– Nie mogę uwierzyć, że można posunąć się tak daleko – mówi chłodno Durand.

„Bo niby wy jesteście dużo lepsi, kiedy używacie nas jako celu, albo każecie nam walczyć między sobą dla swojej rozrywki? Kiedy już Książę by się mną znudził, kiedy już opatrzyłaby mu się ta nowość, skończyłbym na arenie, w walce przeciwko psom. A to, co by ze mnie zostało, trafiłoby wypchane do książęcej kolekcji. I wy nie wierzycie, że można posunąć się tak daleko?”

– Nie mam czasu na lekcje etyki udzielane przez karalucha!

Ta forma komunikacji jest tak intymna, że ktoś mógłby sobie pomyśleć o komunikacji bezpośredniej między dwoma osobami. Tymczasem zdałem sobie właśnie sprawę, że Gregor mówi teraz w głowach nas wszystkich. Może poza Księciem, siedzącym w kącie z kolanami w ramionach i pustym spojrzeniem.

– Uwolnij mnie od tego śmiecia, Yegor – mówi Durand.

– Z przyjemnością, kapitanie – rozpromienia się Bitka i wyciąga bagnet z kozaka.

„NIE!”

Głos Gregora eksploduje jak grzmot burzy w naszych mózgach.

„Nie zabijajcie go! Jest nam jeszcze potrzebny, żeby stąd wyjść!”

– A z tą co zrobić? – docieka Durand.

Myśli Gregora mrocznieją.

„Nic nie musicie robić. Sam już to zrobiłem”.

Odwracam się. Patrzę na łożko. Stworzenie już się nie rusza. Oczy patrzą w niebo. O ile w ogóle wiedziała, czym jest niebo. Zastanawiam się, czy od pewnego czasu ja sam nie rozumiem przez to przypadkiem czegoś czysto fizycznego, realnego. Kiedyś, gdy mówiłem „niebo”, myślałem o raj. Teraz przychodzi mi od razu do głowy nieistniejący już kolor, błękit, i ta nisko zawieszona pokrywa chmur, która nas uciska, szarych chmur niosących śmierć.

Pochylam głowę w obliczu śmierci.

Podnoszę rękę do czoła, by zrobić znak krzyża.

„NIE!”

Wściekły ryk w mojej głowie jest jak smagnięcie.

„Trzymaj swojego Boga z daleka! Wyjdź stąd! Wychodźcie wszyscy!”

Widzę, jak Gregor nachyla się nad zwłokami.

Jego myśli wypychają nas za drzwi.

Nie wiem, jakie obrzędy sprawują te stworzenia. Z pewnością nie te, których nauczył mnie Kościół. Może praktykują starodawne kulty jeszcze sprzed czasów Chrystusa, rytuały ekshumowane przez Wielką Zagładę. Jak kult boga Mitry. To tak, jakby starzy bogowie nigdy nie odeszli, jakby ukryli się gdzieś milczący, w oczekiwaniu, aż przywołają ich z powrotem do życia.

Zostaje w środku zaledwie kilka minut. Kiedy wychodzi, jego myśli emanują spokojem i pogodą. Ale tylko przez krótką chwilę.

„Chodźcie za mną”, rozkazuje.

Zastanawiam się, skąd czerpie informacje, które pozwalają nam przejść niezauważenie przez cały pałac. Wykorzystuje tajemne przejścia w murach i korytarze tak zakurzone, tak pokryte pajęczynami, że

nawet sam Książę nie może ich znać. I faktycznie, wygląda na mocno zdziwionego. Ale jeżeli Gregor nie z jego myśli wyczytuje wszystkie te informacje, to skąd? Z jakiej kopalni wiedzy?

Ten Gregor Samsa – słyszę wewnętrzny głos – jest dobry czy zły?

Zastanawiam się nad tym, maszerując w ciemności.

– Ani jedno, ani drugie. Jest istotą ludzką, która pewnego dnia się budzi i spostrzega, że zmieniła się w karalucha.

Echo głośnego śmiechu. Jak fala, która liznęła mój umysł i się cofa.

„Znam tę historię... Kto ci ją opowiedział?”

– To była książka. Wiesz, co to książka?

„Nie za bardzo. Pewnie zauważyłeś, że nie mam oczu. Ale widzę w twojej głowie, co to jest książka. To historia wybita na czymś, co się nazywa papierem, ze znakami podobnymi do małych czarnych robaczek. Te robaczki opowiadają wam historię, jak słoje drzewa. Widziałeś kiedyś słoje drzewa po przemianie świata? Tych niewielu, które się ostały? Widziałeś, jakie są? Kiedyś były doskonale okrągłe, jak kółka na wodzie, kiedy doń wpadnie kamień. Teraz są... Jak by to rzec? Nieregularne. Niewspółśrodkowe. Opowiadają jakąś dziwną historię. Jak się kończy historia Gregora Samsy?”

– Kończy się dobrze.

Gregor znów się śmieje.

„Nie umiesz kłamać, John. Ale co tam, twoja historia zapewne nie przejęła się myślami potwora. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, kim są prawdziwe potwory z punktu widzenia tych, których nazywacie potworami?”

Nie muszę mu odpowiadać. Już czyta moje myśli.

„Zastanów się zawsze nad tym, kto jest potworem, a kto jest normalny. Zwłaszcza w świecie, w którym monstrualność stała się regułą. Co jest dla ciebie normalne?”

Długo się zastanawiam.

Kiedy wreszcie znajduję odpowiedź, stoimy u dębowych drzwi nabijanych ćwiekami.

„Ostatnie drzwi. Odpowiedz mi teraz, księżu. Później nie będzie już czasu”.

– Myślę, że dla mnie normalność pokrywa się z dobrocią. Tam, gdzie jest dobro, tam jest i normalność.

Gregor Samsa zbliża swoją głowę do mojej tak, że moje oczy i miejsce, w którym powinny być jego, są od siebie o kilka centymetrów.

„Albo jesteś świętym, albo idiotą, ojczu Daniels. Ile dobra macie tam, skąd przybywacie? A jeśli aż tyle, to czemu go trochę nie wyeksportujecie? Dlaczego nie podarujecie go komuś mniej szczęśliwemu od was, kto żyje w cieniu Zła? Jeżeli podróżujący z tobą ludzie są heroldami Dobra, to czemu używają karabinów, a nie waszej świętej księgi?”

Podnosi rękę i uderza w sam środek drzwi. Drewno pęka. Kolejne uderzenie i drzwi łamią się wzdłuż na pół, na oczach niedowierzającego Duranda i pozostałych.

„Wyczytałem ci w myślach, jak kończy się opowiadanie o człowieku karaluchu. Piękny koniec. Normalny. Takie właśnie jest życie. Taki właśnie jest świat”.

Drzwi ustępują i otwierają się. Zniszczona połowa leży na ziemi, druga wisi na zawiasach.

Gregor rzuca się na zewnątrz, w śnieżną zawieruchę.

Seria strzałów trafia go w głowę i w pierś. Jedna odstrzelona ręka odpada od tułowia. Krew przyska mi na twarz, zalewa ściany.

Stworzenie pada w tył tuż za drzwiami. Leży nieruchomo na ziemi.

Nachylam się nad nim.

Czarna skorupa podziurawiona jest od kilkunastu kul.

Ciało wibruje jeszcze lekko pod moją dłońią, i to już wszystko.

Trudno jest stwierdzić, czy żyje, czy też nie, kiedy nie można mu zajrzeć w oczy.

Wtem jego głowa odwraca się powoli w moją stronę.

– Gregor, skończony głupcze...

„Dlaczego?”

– Wiedziałaś, że za tymi drzwiami są ludzie. Nie mogłeś nie wiedzieć. Więc dlaczego chciałeś umrzeć?

„Bo jestem Gregor Samsa, człowiek karaluch. Bo należała mi się taka śmierć”.

– Obiecałeś, że zaprowadzisz nas do Wenecji.

„I dotrzymałem obietnicy. Pojedziecie tam. Dzięki mojej śmierci”.

– Gregor...

„Żegnaj, księżu. Jak mówiło się za waszych czasów: Miło było cię poznać...”

Jego ciało przestaje wibrować. A przestrzeń w moim umyśle, w której rozbrzmiewał jego głos, jest teraz pusta.

Czuję uderzenie w ramię.

Mocne, złośliwe.

Książę trzyma w dłoni zgaszoną pochodnię, używając jej jak pałki.

Znów mnie uderza.

Szukam oczami Duranda i spostrzegam go klęczącego na ziemi, z rękami na karku. Trzech ludzi z aparatami oddechowymi, w kombinezonach przeciwpromiennych, celuje w niego i pozostałych gwardzistów z broni automatycznej.

Kolejny mężczyzna, w aroganckiej pozycji z rękami na biodrach, zajmuje cały próg. Ma na sobie czarną zbroję z błyszczącego metalu, przypominającą pancerz biednego Gregora. Przez tę zbroję wygląda jak olbrzym. Twarz tej tytanicznej postaci zakryta jest stalową maską zintegrowaną z filtrem aparatu oddechowego. Ale najbardziej niesamowita jest dekoracja na piersi zbroi: odwrócony złoty krzyż, z wiszącą na nim podobizną jednego z tych potworów o długich łapach, które zaatakowały nas w Torrita Tiberina. Krucyfiks wykonano z nadzwyczajnym zjawstwem. Ten, kto go wyrzeźbił lub odlał, musiał być prawdziwym artystą.

Nie mam czasu na inne szczegóły, bo mężczyzna wchodzi do środka, przyglądając się mi i Gregorowi zza szklanej szybki wizjera.

Podnosi nogę i kopie mnie w pierś tak mocno, że wpadam na ścianę. Kolejny kopniak, paskudny. Widzę podwójnie. Bolesne światło rozbłyska mi w mózgu niczym błyskawica.

Tą samą, obutą w metal nogą człowiek w czarnym pancerzu następuje na głowę Gregora, powoli, dopóki ta nie pęka jak zbyt dojrzały arbuz.

Ostatnie słowa, tuż przed utratą przytomności, dochodzą do mnie jakby z daleka.

„Maksim jest gotów. Musisz...”

A później już nicość. Straszna i miłosierna.

Rozdział 22: Wizja

Mogłem być nieprzytomny kilka minut, ale równie dobrze kilka godzin. Raczej kilka godzin, zważywszy, że przytomnieję na metalowej podłodze, nagi, ze związanymi rękami i nogami. Ziąb przenika ze stali jak burza igieł i wydaje mnie na pastwę konwulsyjnych drgawek. Mój oddech zamienia się w parę jak tylko opuszcza usta. Wspomnienie ciepła w SUV-ie i w księżącym pałacu tylko pogłębia dojmujące odczuwanie zimna.

Pomieszczenie, w którym mnie więżą, jest małe, oświetlone słabym czerwonym światłem. Z trudem mogę dojrzeć jego przestrzeń, aż z pomocą przychodzi mi widok drugiego nagiego ciała, które leży związane po lewej stronie metr ode mnie. Żeby je zobaczyć, wykręcam głowę powolnym ruchem, okupując falami bólu każdy pokonany milimetr.

Na podłodze leżą szmaty, cała masa szmat, śmierdzących olejem i rdzą.

W pierwszej chwili nie rozpoznaję związanej postaci, dopiero później, po krzywiźnie kręgosłupa odgaduję, że to Książę. Ma zamknięte oczy. Jest nagi jak ja, i jak ja skatowany zimnem. Nigdy bym się nie spodziewał, że zobaczę go w tym stanie. Za nim majaczą inne ciała. Wszyscy toczymy się tam i z powrotem po podłodze, która jest ruchoma. Jedni czuwają, inni wyglądają, jakby spali albo byli nieprzytomni, a ruch podłogi rzuca nimi jak fale morza butelką. Oczy Księcia za to zamknięte są siłą woli, powieki wyglądają jak zaszyte. Nie śpi, ale nie chce widzieć.

Przesuwam się z wielkim trudem, każdy ruch okupiony jest potwornym bólem, ale wreszcie daję radę przekroczyć się w prawo.

Najpierw dostrzegam ciało Duranda.

Oczy kapitana czuwają, są pełne skupienia. Nawet oko zakryte do połowy krwiakiem. Uderzenie, które rozbiło mu łuk brwiowy, musiało być straszne. Ktoś zszyl ranę jak popadnie, żyłką wędkarską. Rozcięcie jest brudne i zainfekowane.

Za nim dostrzegam Bitkę, dalej Bunego.

Durand porusza przecząco głową i zaciska usta.

„Nic nie mów”.

Odpowiadam mu twierdzącym ruchem głowy.

Zamykam oczy.

Chciałbym znów usłyszeć w mojej głowie głos Gregora Samsy. Ale słyszę tylko ciszę i szum krwi krążącej w moich żyłach.

Przez całą moją edukację na łonie Kościoła uczono mnie, że człowiek jest ponad swoją powłokę. Że dusza jest wieczna. Ale trudno tak myśleć, gdy leży się nago na mrozie, w smrodzie gówna i krwi. Po jakimś czasie sam muszę oddać mocz. Przez krótką chwilę ciepły płyn oblewający mi uda sprawia wręcz przyjemność. Ale zaraz potem jej miejsce zajmuje wstyd, a potem zmęczenie, które litościwie przynosi sen, a z nim wizje i przekazy.

Tym razem to nie błękitna kobieta, Alessia.

I nie jej tajemnicze słowa.

Śni mi się olbrzymi las, tak wielki, że zdaje się nie mieć końca. Jest dzień, ale nie lękam się. Brakuje mi powietrza. Od dwudziestu lat nie widziałem drzewa. Jest ich kilka na zdjęciu Maksima, na tym z parkiem w Paryżu, jesienią. Pewność, że te drzewa to już tylko popiół, jest jak pchnięcie sztyletem w pierś, pod żebro, aż do samego serca.

Ale tu, we śnie, którego mój umysł nie odróżnia od jawy, drzewa są żywe, ich konary szeleszczą na wietrze jak papierowe wachlarze, i czuję wręcz ich zapach.

Idę leśną ścieżką. Jestem nagi, ale nie jest mi zimno. Żwir pod moimi bosymi stopami wydaje odgłos cichego śmiechu. Przed oczami miga mi obraz małej Japonki, która śmieje się, zakrywając usta

rączką.

Ścieżka pachnie sosnami i rosą. Światło słońca przeziiera przez korony zimozielonych drzew. Lekka mgiełka ścieli się między krzewami.

Las jest pełen życia. Słyszę je z każdej strony – w drobnych trzaskach łamiących się gałązek, w szeleście liści, w szemraniu spływającej rosy.

Spaceruję, dotykając lekko gałęzi. Wyciągam rękę po idealną poziomkę. Ale w ostatniej chwili cofam dłoń. Zostawiam owoc na swoim miejscu.

Coś odpowiada radością na mój gest powściągliwości – jakiś rodzaj kosmicznego uśmiechu, nie wiem, jak to inaczej określić. Przede mną ścieżka wychodzi na polanę, na której promienie słońca tworzą niemal idealny pierścień wokół postaci siedzącej w samym środku.

Młodzieniec siedzi do mnie tyłem. W pozycji lotosu. Wyprostowane plecy, ciało w idealnym bezruchu.

Jakimś sposobem wiem – czuję – że na mnie patrzy, chociaż ma zamknięte oczy, i to też wiem bez potrzeby patrzenia. Kiedy staję przed nim, jego oczy otwierają się. Na krótką chwilę mój umysł chowa się jak ślimak do skorupki. Oczy są zupełnie białe. Czuję instynktowny odruch wstrętu. Ale usta młodzieńca układają się w uśmiech, i obrzydzenie znika.

Ramię chłopca podnosi się i daje mi znak, bym usiadł naprzeciwko.

Siadam posłusznie, jakby to był rozkaz.

Skóra młodzieńca jest zupełnie czarna, błyszcząca i wyszlifowana jak heban, z wyjątkiem kilku wypukłych, ozdobnych miejsc, jakby cienkich blizn, które tworzą poplątaną mandalę na jego piersi. Nie ma negroidalnych rysów ciała, raczej azjatyckie. Kiedy patrzę ponownie na jego twarz, oczy nie są już białe i matowe, ale błękitne, normalne, na tyle, na ile „normalna” może być para błękitnych oczu na bardzo ciemnym obliczu.

– Tak lepiej? Nie chciałem, żebyś czuł się nieswojo.

Jego głos brzmi wyraźnie w mojej głowie.

– Chciałem z tobą porozmawiać. Dlatego wszedłem do twojego snu. Wybacz mi.

– Myślałem, że to senne marzenie.

– I tak, i nie. To coś pomiędzy. Wiele rzeczy jest tak pomiędzy w tych nowych czasach. Podoba ci się mój świat?

– Jaki świat?

– Ten, który cię otacza.

– To nie jest twój świat – protestuję. – To mój świat. To świat przeszłości. Jest okrucieństwem z twojej strony pokazywać mi świat, który już nie istnieje.

Chłopak kręci głową.

Jego uśmiech obnaża rząd niewyobrażalnie białych, doskonałych zębów.

– To nie jest przeszłość. To świat, który nadejdzie.

Zatyka mi dech.

Chłopak podnosi się ruchem tak płynnym, jakby jego ciało było z wody.

Prowadzi mnie ścieżką oddalającą nas od polany.

Długo idziemy w milczeniu, gdy dookoła las tętni życiem. Pośród drzew śpiewają ptaki, których trelów nie rozpoznaję, owady bzyczą i skaczą z liścia na liść.

Wszystko jest tak cudowne, że chce mi się płakać.

Chłopak odwraca się.

– Nie powinieneś płakać. Tego wszystkiego jeszcze nie ma. A zarazem jest.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Na razie chcę tylko, żebyś zobaczył.

Mówiąc to, odchyła gałąź, jakby podnosił kurtynę. Ukazuje mi się coś cudownego. Absolutnie

przecudownego.

U stóp niskiego wzgórza, na którym się znajdujemy, rozpościera się błękitne jezioro otoczone urwistymi, pokrytymi mchem skałami. Skały mają jasne, wyraźne zarysy.

Po powierzchni jeziora suną małe żaglówki. Na ich pokładach poruszają się małe postacie. Inne pozdrawiają je ze skał. Nie widzę ich dokładnie, bo są małe jak owady, ale sylwetki są niezaprzeczalnie ludzkie. Tylko kolor jest dziwny.

– Mam nadzieję, że nie jesteś rasistą – uśmiecha się chłopak, czytając mi w myślach.

– Widziałem tak wiele dziwnych rzeczy ostatnimi czasy, że nie wiem już dobrze, co to znaczy być ludzkim. Poznałem człowieka... stworzenie...

– Nazywaj go człowiekiem. Dla nas to żadna ujma.

Kręcę głową.

We śnie – w tym, co siłą rzeczy musi być snem, choć nie jestem o tym do końca przekonany – to bardzo wolny ruch, jak byśmy byli pod wodą.

– Kościół uczy nas pokonywać uprzedzenia rasowe. W zasadzie wierzymy w jedną tylko różnicę – między Dobrem a Złem.

– Słusznie. A gdzie ostatnio spotkałeś Dobro?

– Raczej wśród tych, których nazywamy potworami, niż pośród ludzi – wzdycham.

– Opowiedz mi o człowieku, którego poznałeś.

– Nazwałem go Gregor. Gregor Samsa, jak w tym opowiadaniu Kafki...

– Znam je.

– Pewnie, że je znasz. Jesteś w moim umyśle. Wiesz wszystko, co wiem ja.

– Nie do końca tak jest, ale mów dalej. Interesuje mnie to, co mówisz. Opowiedz mi o Gregorze.

– Nazywali go potworem. Ale dał nam tylko Dobro. A ja nie wiem już, po której stronie jest Dobro.

Po której stronie sam jestem.

– To zależy od ciebie. To twój wybór.

– Nie jestem już tego pewien. Powierzono mi pewną misję, ale w moich oczach ona nie ma już najmniejszego sensu.

– Dobrze. Zejdźmy na brzeg. Co ty na to?

Przystaję. Schodzimy ścieżką ku brzegowi jeziora. Łagodnym nachyleniem. Miejscami moje bose stopy ślizgają się na jakiejś innej powierzchni, ukrytej pod żwirem.

Chłopak nachyla się, odgarnia kamienie i pył z czegoś, co okazuje się być marmurowym ogrodem, nieco wyniszczonym.

Wstaje.

To, co widzisz, było kiedyś dumnym miastem. To Moskwa. Idziesz właśnie schodami starej Biblioteki Państwowej. Mógłbym ci pokazać Waszyngton, ale nie rozpoznałbyś tego miasta. Pokazywanie ci tego byłoby okrucieństwem...

Na dźwięk słowa „tego” bukoliczna scena zmienia się na moich oczach. Na drzewa i jezioro nakłada się jakby przezroczysta karta ukazująca miasto z moich czasów, żywe i tętniące ruchem. Skały są teraz budynkami, zupełnie nietkniętymi.

Wtedy z góry spada światło.

Straszliwy syk i łoskot.

Ogień i podmuch niszczą wszystko na swojej drodze. Rozpalony wiatr rozpuszcza szkło i beton.

A potem nad wszystkim zalega ciemność i cisza, przerywane jedynie odległymi pomrukami grzmotów i trzaskaniem pożarów.

A potem na wszystko spada czarny deszcz, krople ciężkie jak kule, mieszanka wody i wypalonego popiołu.

A potem, gdy ogień przygasa, nadchodzi tortura zimna.

Mróz na całe tysiąclecia hibernuje popiół i stopiony kamień budowli.
Szkielety aut rdzewieją, zapadają się, zostają po nich tylko rude plamy.
Ściska mi się serce.

Na moich oczach świat zmienił się w lodowaty grobowiec.

Słońce wstaje i zachodzi niezliczoną ilość razy, niewidoczne zza grubej kołdry szarych chmur.
Dzień i noc, i dzień, i noc.

Tysiące razy. Miliony.

A potem, pewnego dnia, pewnego ranka, promyk słońca przebija chmury.

Kolejny, jaśniejszy i trwalszy.

W prześwicie między chmurami pojawia się prostokąt błękitu.

Powracają nieodparcie słowa najdroższego mi psalmu, tego samego, który recytowałem martwej dziewczynie w czerwonej sukience: „Bo tysiąc lat w twoich oczach jest jak wczorajszy dzień, który minął, niby straż nocna”.

Chłopak z mandalą na piersi, jakby w odpowiedzi na moje myśli, recytuje pierwsze wersy tego samego psalmu: „Panie, Ty dla nas byłeś ucieczką z pokolenia na pokolenie.

Zanim góry narodziły się w bólach,

nim Ziemia i świat powstały,

od wieku po wiek Ty jesteś Bogiem.

W proch każesz powracać śmiertelnym

i mówisz: Synowie ludzcy, wracajcie!”.

Przed moimi zdumionymi oczami, spośród zwałów gruzu zaczynają przebijać się powoli nieśmiałe źdźbła trawy. Rozpadlina pozostała po dawnej stacji metra wypełnia się krystaliczną wodą, małe jezioro rośnie powoli, wiek za wiekiem, a ruiny budowli zmieniają się w szare skały i porastają zielenią.

I nadchodzi dzień, w którym istota podobna do człowieka, lecz nie do końca jak człowiek, wychodzi na światło dnia, wyciągając ramiona ku słońcu, wygrzewając się w jego ciepłe.

Chłopak pokazuje mi tę postać. Patrzy na mnie, a z jego ust wydobywa się potężny głos – nie jego, lecz jakiś chór głosów: „Daj radość za dni, w których nas przygniotłeś, za lata, w których niedoli zazналиśmy.

Niech sługom Twym ukaże się Twe dzieło,
a Chwała Twoja nad ich synami”.

Przecieram ręką twarz, jest mokra od łez.

– Co mi chcesz powiedzieć? Co ty mi chcesz powiedzieć?

Wypowiadam te słowa, niemal krzycząc.

– Chciałem ci pokazać, że jest jakieś jutro dla naszego gatunku.

– Dla mojego czy twojego?

Chłopak kręci głową.

– Jeszcze nie zrozumiałeś? To jest to samo.

Podnosi głowę. Węszy jak zwierzę. Jego oczy znów robią się białe, zioną obcą pustką.

– Musisz już iść.

– Dokąd?! – krzyczę.

– Przybył Człowiek Bólu.

Twarz chłopaka wykrzywia grymas.

Zieleń, błękit i ciepło słoneczne rozplývają się, jakby świat pustoszał.

Powraca nieodwołalnie czerwień, i mróz.

Brutalne kopnięcie w żebra odbiera mi oddech.

– WSTAWAJ, GRZESZNIKU! NADSZEDŁ DZIEŃ SĄDU!

Rozdział 23: W rękach Połykacza Ognia

Twarz pochylonego nade mną mężczyzny jest czerwona ze złości. W kącikach ust zagubionych w krzaczastej potarganej brodzie lśnią strużki śliny. Wygląda jak cyklop Polifem albo Połykacz Ognia, straszny lalkarz z bajki o Pinokiu.

Kolejny kopniak, jeszcze mocniejszy.

Tym razem w brzuch.

Mam odruch wymiotny.

– Wstawaj, powiedziałem! – ryczy bestia po włosku, z wyraźnym akcentem.

– Może mi, kurwa, powiesz, jak on ma wstać. Nie widzisz, że jest związany?

– KTO TO POWIEDZIAŁ? KTO ŚMIAŁ SIĘ ODEZWAĆ?

Nikt nie odpowiada.

Olbrzym odsuwa mnie na bok nogą. To samo robi z Księciem, który wciąż zaciska powieki, jakby chciał sobie wmówić, że wokół niego nic się nie zmieniło, że gdyby je otworzył, zobaczyłby dawne luksusy i poczuł ciepło swojego anachronicznego dworu.

To Guido Greppi się odezwał. Widzę, jak z wyzywającą miną podnosi wzrok, kiedy zbliża się do niego to monstrum.

To dziwne, że zbuntował się właśnie on. Spośród gwardzistów wydawał mi się akurat najmniej odważny. Jeden z tych, co to wybrał żołnierkę, tak jak się wybiera zawód. Typ urzędnika. Z pewnością nie bohatera.

Brodacz ma na sobie czarny kombinezon, bardzo ciężki, z dziwnymi zgrubieniami przypominającymi watowane części kurtek. Ale to mięśnie. Dociera to do mnie, kiedy widzę, jak się nachyla, jak zbiera z ziemi Greppiego, podnosi go niczym szmacianą lalkę i płynnym ruchem rzuca na metalową ścianę. Odgłos uderzenia jest straszny – łoskot i trzask łamanych kości.

Z nie mniejszą łatwością olbrzym podnosi w czerwonym świetle jakieś ostrze – to ogromny bowie, długi na jakieś trzydzieści centymetrów – i podcina nim gardło kaprała. Nie przestaje kroić, dopóki głowa nie odpada od tułowia.

Podnosi ją za włosy i pokazuje wszystkim wkoło.

Krew Greppiego leje się na moje nagie ciało.

Ciepłe krople w zetknięciu ze skórą są niemal jak wrzątek.

– KTOŚ JESZCZE MA OCHOTĘ COŚ POWIEDZIEĆ?

Odpowiada mu nerwowy głos Duranda:

– Zabiłeś właśnie żołnierza Kościoła! Uwięziłeś wysłanników Watykanu! Zdajesz sobie chociaż sprawę z tego, co to znaczy?

Usta olbrzyma otwierają się w wielkie „O” zdumienia.

– Co, kurwa, mówisz?

– Mówię, że zabiłeś żołnierza Kościoła!

– Jakiego Kościoła?

– Kościoła rzymskiego! Jedyne, katolickiego i powszechnego! Właśnie poderżnąłeś gardło jednemu z jego żołnierzy! A człowiek, którego skopałeś, to duchowny!

Spodziewam się, że cały gniew tego ogra zwróci się teraz przeciwko kapitanowi.

Tymczasem ten upuszcza zakrwawiony nóż.

Wraca do zwłok Greppiego. Próbuje groteskowo przyczepić głowę do tułowia. Spod chaszczki jego brody wydobywa się jakieś niezrozumiałe mamrotanie. Coś na kształt „przykro mi”.

Kiedy się odwraca, w jego oczach nie ma już śladu skruchy.

Te oczy zrazu wydają się inteligentne, ale po chwili znają w nich pełnię szaleństwa.

– Panowie, musicie wybaczyć tę pomyłkę. Naprawdę bardzo mi przykro. Wprowadził mnie w błąd ten śmieć. Powiedział, że jesteście bandytami. Nie żebym mu ufał po tym wszystkim, co widziałem... Pokładać się z trupami jest najgorszą obrzydliwością... Wyłączywszy herezję, rzecz jasna...

Wtedy Durand rozgrywa swoją kartę.

– Herezja? Proszę o tym porozmawiać z ojcem Danielsem. On jest zwierzchnikiem Świętej Inkwizycji!

Nozdrza ogra węższą powietrze. Jakby umiał wykorzystywać zmysł węchu do wytropienia księdza.

– Ojciec Daniels? Ojciec Daniels? Gdzie on jest?

– To ten, którego skopałeś.

Mężczyzna odwraca się do mnie niezdarnie. Przechyla w bok głowę, żeby mieć moją twarz na wprost swojej.

– Naprawdę jesteś inkwizytorem?

Spojrzenie Duranda nie pozostawia wątpliwości.

– Tak – wzdycham i zamykam oczy.

Olbrzym klaszcze w dłonie.

– Fantastycznie! Fantastycznie!

Podnosi z ziemi sztylet.

Pochyla się nade mną.

Ostrze błyska mi kilka centymetrów od nosa.

– Wybacz mi ojcze. Wybacz mój błąd.

Przecina sznur, którym skrepowano mi ręce. Uwalnia nogi. Pomaga wstać.

Mam już upaść, nie mogąc ustać na zdrętwiałych nogach, ale on podtrzymuje mnie w pozycji stojącej.

– Zimno? Proszę poczekać, znajdę księdza ubranie. To pewnie to. Albo to?

Szpera w stosie ubrań, które z nas zdjęto. Pomagam mu i wybieram to, co w nikłym świetle wygląda na moje. On w tym czasie mruczy tylko coś niezrozumiałego pod nosem.

– Proszę ich też uwolnić – mówię.

– Oczywiście. Natychmiast, ojciec Daniels. Amerykanin, prawda?

– Tak, byłem Amerykaninem.

– Amerykanin... Amerykanin... „Oh, My Lord, what a day...” – podśpiewuje barytonowym głosem.

– Dawno już nie spotkałem rodaka...

– Jest pan Amerykaninem?

Podaje mi dłoń.

Nie ściskam jej. Jest poplamiona krwią biednego Greppiego.

Dociera to do niego. Cofa dłoń bez protestu.

– Tak. Jestem Amerykaninem. Nazywam się David Gottschalk. Może ojciec słyszał...

– Nie, przykro mi. Nie wydaje mi się...

– Byłem artystą. Teraz jestem sługą bożym.

– Jakim artystą? – pyta Durand, rozmasowując sobie nadgarstki.

Gottschalk zupełnie go ignoruje.

Mówi cały czas i pochyla się nad swoimi więźniami, by ich uwolnić z pęt.

Już nachyla się nad Księciem, żeby zrobić to samo, ale powstrzymuję go, kładąc mu rękę na ramieniu. Jest twarde jak marmur.

– Nie. Jego nie.

– Prawda. Bardzo słusznie. Jego nie – przytakuje i wymierza kalece kopniaka. – On kompletnie zawiódł. Zrozumiałeś, kutasie? Kompletny zawód! Strata czasu!

Podnosi Księcia za szyję, aż ich oczy znajdują się na jednym poziomie. Książę sapie i bezwładnie

wymachuje rękami. Oczy wyłażą mu z orbit.

Gottschalk potrząsa nim jak kot myszą.

– Słyszałeś mnie, idioto? Miałem dla ciebie masę pomysłów. Robiliśmy piękną robotę, tu, w Urbino. Ale ty koniecznie musiałeś sobie bzyknąć niemartwą! Jesteś zbrojcem! Jak twój ojciec! Ale on był wart tysiąc razy więcej!

– Proszę go puścić – zaklinam.

Gottschalk zwalnia uścisk.

Księżę zwala się na ziemię, skręca się, dyszy i łapie oddech.

– Gdzie jest kobieta? – pyta Durand, już kompletnie ubrany.

– Jaka kobieta?

– Ta, która była z nami.

– Pani doktor Lombard? Jest moim gościem.

– Nas pan związał i rzucił nagich na ziemię, a ona jest pana gościem? Żądam widzenia z nią.

Natychmiast.

Dobroduszość znika z twarzy i postawy Gottschalka.

– Pańska sytuacja nie pozwala panu na żądanie czegokolwiek, panie...?

– Durand. Kapitan Marc Durand, z gwardii watykańskiej.

– Zapytam pana tak, jak Stalin, Hitler albo jakiś inny masowy ludobójca przeszłości zapytał o pańskie wojsko: a ile dywizji pancernych ma papież?

– Wystarczająco dużo, żeby zająć się swoimi wrogami – Durand blefuje niewzruszenie.

Gottschalk głaszcze się po brodzie.

– Tak, z pewnością. Wasz wielki papież Gelazjusz... Gelazjusz IV, prawda?

– Gelazjusz III.

– A tak, prawda. Gelazjusz III. Piękne imię dla papieża. Słyszałem o nim, tak. Ale tylko tu, w Urbino, i dopiero wczoraj. Dziwne. Kiedy podróżowałem, dotarły do mnie tylko pogłoski i opowieści o jednym papieżu. O tym ostatnim. Tym, co zginął w dzień Bomby. Pokój jego duszy. A później już nic. Żadnego Gelazjusza. Żadnego Nowego Watykanu. Więc wasza wojskowa potęga jest mocno dyskusyjna, okej? Może istnieje tylko w waszych głowach.

– Widzieliście nasze dwa SUV-y? To dwa pojazdy rozpoznania. Więc możecie sobie wyobrazić pojazdy naszych wojsk pancernych.

– O, tak. Niezła ta historyjka z SUV-ami. To samo mi powiedzieli wasi dwaj ludzie w garażu. Wiecie, co im odpowiedziałem. Odpowiedziałem im: „Dobra, to w Watykanie nikt się nie zmartwi, jak sobie zostawię te dwa zwykłe wozy zwiadowcze, prawda?”. Domyślałem się, że macie ich tam całe tuziny, w tych waszych świętych garażach...

– Nie powinien pan sobie kpić z Kościoła.

– A pan nie powinien sobie kpić ze mnie, kapitanie Durand. Ani pan, ani pańscy ludzie, okej? Mogę przyjąć, że jesteście żołnierzami gwardii watykańskiej, szwajcarskiej, czy jak to się tam, kurwa, nazywa. Mogę nawet uwierzyć, że ten pan jest księdzem, dopóki się nie przekonam, że jest inaczej. I że należy do Kongregacji Nauki Wiary, a nie Świętej Inkwizycji, która nie istnieje od wieków. Ale to wszystko. Do całej reszty będziecie musieli mnie przekonać, a trzeba wam wiedzieć, że nie należę do łatwowiernych, okej? A durniem tym bardziej nie jestem. Za każde kłamstwo trzeba będzie zapłacić. I za każdy bunt. Który byłby zresztą zupełnie bez sensu.

– Nas jest wielu – mówi kapitan.

– A ja jeden. To prawda. Ale wy nie macie broni, a ja tak.

Naciska ręką na pierś. Plastikowe nabrzmiałości na ramionach otwierają się i wyskakują z nich na składanym stelażu dwa krótkie pistolety maszynowe Uzi. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w rękach bestii pojawiają się dwa pistolety z magazynkami bębnowymi.

– To tylko tak, żeby rozwiązać wasze wątpliwości.

Durand rozgląda się dookoła.

Spogląda w oczy Gottschalka.

Z trudem utrzymujemy się wszyscy na nogach na tej dziwnej metalowej podłodze, która podskakuje i trzęsie się jak grzbiet zwierzęcia. Ale kapitan stoi wyprostowany, nieruchomy jak posąg.

Dwaj mężczyźni zdają się zmagać na spojrzenia – kto pierwszy spuści wzrok.

Żaden.

Żaden nie ustępuje.

Nagle potężny wstrząs, podskok podłoża, i wszyscy leżą pokotem.

– Caliban, pieprzony śmieciu! – wrzeszczy Gottschalk. – Zaraz tam przyjdę i zdejmę ci ten głupi łeb z karku.

Szybkim, małpim skokiem mężczyzna podrywa się na wysokość niemal dwóch metrów i łapie za ostatni szczebel metalowej drabinki prowadzącej do okrągłego wjazdu w suficie. Pnie się po niej szybko i znika nam z oczu.

Kładę rękę na plecach Duranda.

– Dobrze nam poszło, ale mocno ryzykowałeś. Mógł być muzułmaninem...

– Nie, zobaczyłem krzyż.

– Mógł być protestantem.

– Ale nie był – ucina Durand.

Patrzy na Wenzla, który wygląda jak zbity pies, może dlatego, że dał się złapać w garażu zupełnie bez walki.

– Co mówisz, Pauli? Idziemy za nim?

– To byłby mało inteligentny ruch. Rozbroili nas.

– No i...?

– No to idźmy. Chyba nie mamy innego wyjścia.

Wenzla nikt nie musi prosić – robi z rąk drabinę, żeby podsadzić Duranda do pierwszego szczebla. Potem wszyscy, kolejno, naśladujemy kapitana. Wspinam się ostatni i robię to z dużym trudem. Mięśnie ramion odmawiają posłuszeństwa, ale jakimś cudem udaje mi się złapać drugi szczebel, a później następne.

Na końcu Wenzel bierze krótki rozbieg i skacze. Jego skok nie jest równie imponujący jak wyczyn Gottschalka, ale skuteczny.

Na metalowej podłodze pozostał tylko nagi, skrępowany Książę.

Kiedy dociera do niego, że został sam, otwiera oczy i zaczyna wrzeszczeć.

– Nie możecie mnie tu zostawić! Zabierzcie mnie ze sobą! Bo będę WRZESZCZAŁ!

Wenzel puszcza z westchnieniem szczebel, na którym wisiał, i spada na podłogę. Podchodzi do Księcia i wymierza mu brutalnego kopniaka w szczękę. Trzask łamanej kości jest straszny. Znalazioną na podłodze brudną od oleju szmatą sierżant knebluje pokurcza.

– Nie. Nie będziesz wrzeszczał – kwituje, po czym powtarza akrobację i dołącza do mnie na drabince, skąd oglądałem całą scenę.

– Ruszamy, ojcze. Straciliśmy już za dużo czasu.

Rura, którą idziemy, wiedzie kilka metrów pionowo w górę, by następnie przejść w poziom. Jest na tyle szeroka, by można się było nią przecisnąć, ale to wszystko. Czuję się z lekka klaustrofobicznie, gdy czołgam się po ciemku, a czas ciągnie się w nieskończoność. Wreszcie na końcu rury pojawia się jakieś światło. Słychać tumult podnieconych głosów, potem krzyk.

Wenzel przyspiesza, pchając mnie do przodu. Wypadam z tego kanału jak korek z butelki. Wlokąc się na czworakach, przedostaję się przez otwór wentylacyjny.

Stoimy na metalowej platformie, trzy metry nad podłogą.

Pod nami znajduje się duże pomieszczenie, przynajmniej sześć metrów na sześć, bardzo jasno oświetlone.

Przyglądam się lepiej i uświadamiam sobie, że to nie żadne pomieszczenie, lecz kabina jakiegoś środka transportu, sam Bóg raczy wiedzieć czego. Proporcje są bowiem absurdalne.

Za dużymi oknami widać coś, czego nie widziałem od lat, a co mi zapiera dech w piersiach: pejzaż w ruchu skąpany w dziennym świetle. Światło jest szare, zamglone śnieżycą, która chłosta szyby kabiny.

Miejsce kierowcy, czy też pilota, jest puste.

Patrzę zdumiony, a powoli cała scena i postacie zaczynają nabierać sensu. Gottschalk trzyma za lufę jeden ze swoich pistoletów i grozi kolbą niewidocznej osobie, którą zasłania oparcie miejsca kierowcy.

Olbrzymia łapa Gottschalka wrywa pilota z siedzenia i ściąga go za szyję w dół, na podłogę pokrytą gumową wykładziną.

Pilot turla się jak piłka, a na końcu staje na nogi jednym wyskokiem, niczym akrobata.

– Wracaj tu, zwierzaku! Przyjmij słuszną karę! – wrzeszczy Gottschalk, ale pilot wspina się po gładkiej ścianie i wiesz na uchwycie dziesięć centymetrów poniżej sufitu.

– ZŁAŻ! POSŁUCHAJ ROZKAZU!

W odpowiedzi pilot ściska jeszcze bardziej wątpliwą deskę ratunku.

Gottschalk mierzy z pistoletu.

– Liczę do trzech!

Nagle pojazdem zarzuca gwałtownie w lewo, wywracamy się wszyscy do góry nogami.

– Idiota! – wrzeszczy Wenzel, skacze na podłogę i biegnie ku sterom.

Wydaje mi się, że pojazd kręci się w kółko tak gwałtownie, że dostaję choroby morskiej. Leżący na podłodze Gottschalk wciąż mierzy w nieboraka skulonego pod sufitem.

Sierżant Wenzel dopada wreszcie do fotela przy sterach. Wystarczy mu jedno spojrzenie na urządzenia, i już wie, co robić. Walczy z kierownicą i z wielkim wysiłkiem sprowadza pojazd cudem do pozycji poziomej, po czym wraca na drogę. Stopniowo zwalnia i zatrzymuje maszynę.

Wstajemy, rozmasowując siniaki.

Gottschalk kieruje swój pistolet na Wenzla, na pilota pod sufitem, potem na nas. Jakby nie mógł się zdecydować, kogo zabić pierwszego.

We wzroku mężczyzny brak jest jakichkolwiek oznak inteligencji.

Sytuację ratuje Durand.

– Proszę opuścić ten pistolet, do licha! Chce nas pan wszystkich pozabijać?

Gottschalk marszczy brwi. Jakby się zastanawiał nad taką możliwością.

Opuszcza broń. Nabiegłe krwią oczy patrzą na Duranda. Są teraz jak łagodne oczęta szczeniaka. Ale nauczyłem się już mu nie ufać.

Podnosi się jak ktoś, kto całymi dniami nie wstawał z łóżka. Wchodzi po metalowej drabince wiodącej do miejsca przy sterach. Wyciąga ogromne łapsko do Wenzla.

– Dziękuję za to, co pan zrobił.

Wenzel nie przyjmuje dłoni Gottschalka. Ogranicza się do skinienia głową.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało. To czyste nieporozumienie. Żołnierze świętego Kościoła są tu mile widziani. Jeżeli mogę coś zrobić...

– Na przykład przyczepić z powrotem głowę mojemu kompanowi – ironizuje Bune.

Olbrzym rozkłada ramiona w geście bezradności.

– Obawiam się, że jest to poza moimi ludzkimi możliwościami. Mogę się pomodlić za duszę waszego przyjaciela, ale nie mogę przywrócić mu życia.

– Ciekawe, czemu nie jestem zaskoczony...

– Cicho bądź, Bune – przerywa Durand i zwraca się do Gottschalka. – Proszę mi oddać pistolet. Na znak dobrej woli.

Uśmiech marszczy brodę olbrzyma.

– Nie ma takiej potrzeby. Możecie odebrać waszą broń. Jest w tamtej szafie.

Wyciąga z kieszeni klucz, rzuca go Bunemu, a ten podbiega do szafy, żeby ją otworzyć.

– A ty możesz zejść. Nic ci nie zrobię.

Nieborak wiszący cały czas na uchwycie pod sufitem wyraźnie się odpręża i zeskakuje na ziemię.

Bez najmniejszego oporu, jakby już był przyzwyczajony do tych nagłych wahań humoru.

Kiedy już stoi na dole, zauważam ułomność jego ciała. Mierzy niespełna półtora metra. W jego wyglądzie, oprócz na wpół zamkniętego przez narośl na czole oka, najbardziej uderzają niezwykle długie ręce, niemal jak u stworów, którym musieliśmy stawić czoło na autostradzie i w Torrita Tiberina. Potężne mięśnie na ramionach napinają się jak liany.

Człowieczek staje ze skruszoną miną przed Gottschalkiem i kłania się w pas, aż dotyka czołem podłogi. Potem idzie do Duranda i, znów bez słowa, oddaje mu nienagannie wojskowy salut, stojąc na baczność.

Wchodzi po drabince, podciągając się na rękach.

Kiedy jest już na górze, uporczywie szarpie ramię Wenzla, dopóki ten nie wyjdzie zza sterów. Wtedy zajmuje swoje miejsce. Operuje dźwigniami i przełącznikami, a pojazd – czymkolwiek jest – rusza znów z miejsca, powoli, bez wstrząsów.

Budzący grozę mężczyzna, który każe się nazywać Davidem Gottschalkiem, ociera krople potu spływające mu ze skroni, choć w kabinie jest mroźno. Dopiero teraz mogę mu się przyjrzeć lepiej i zauważam jego fryzurę na rastafarianina. Dredy, jak je nazywano, te afro warkoczyki modne również wśród białych przed Wielką Zagładą.

– Z pomocą Pana udało nam się uniknąć niebezpieczeństw na drodze...

Z fotela pilota dobiega ironiczny śmiech.

– ...tak, że możemy dokończyć naszą świętą misję. Ale jedna rzecz naraz, panowie. Domyślam się, że chce wam się jeść i pić.

Durand potrząsa głową.

– Mógłby pan skończyć z tymi ceregielami? Chcę zobaczyć doktor Lombard.

– Jak pan sobie życzy, kapitanie. Nie mam nic do ukrycia przed Kościołem. Wasza misja jest moją misją. *Mi casa es su casa*. To po hiszpańsku... Znaczy...

– Wiem, co to znaczy. Proszę mnie zaprowadzić do doktor Lombard. W tej chwili.

Jeżeli to jest naprawdę pojazd, to musi być największym w historii. Przypominają mi się obrazy z telewizji, z czasów mojego dzieciństwa, kiedy gigantyczne ciężarówki NASA przewoziły do wyrzutni rakiety Saturn na misje księżycowe. Ale jesteśmy bardzo daleko od Cape Canaveral...

Przechodzimy krótkim korytarzem za kabiną pilota i wchodzimy do dużego pustego pomieszczenia pomalowanego na czarno, z wyjątkiem ściany w głębi. Widnieje na niej Chrystus ukrzyżowany. Ale nie ze złota, jak na zbroi Gottschalka, którą ujrzeliśmy w pałacu Księcia. Ten jest wycięty w drewnie. Wisi normalnie, nie głową w dół. A przede wszystkim przedstawia postać ludzką, a nie stwora o długich ramionach.

Rzeźba jest doskonała w każdym szczególe i niewiarygodnie realistyczna. Wręcz nieznośnie realistyczna. Cierpienie Jezusa pokazane jest z olbrzymią precyzją anatomiczną. Artysta był niezwykle dokładny i oddał każdą ranę z kompetencją techniczną anatomopatologa graniczącą z lubością sadysty. W rezultacie postać na krzyżu budzi przerażenie, a nie współczucie.

Gottschalkowi schlebia moje spojrzenie.

– Został wyrzeźbiony w drzewie prawdziwego krzyża. Tego, na którym powiesiliśmy szefa mrocznych, kiedy wzięliśmy szturmem ich gniazdo. Godna ozdoba naszej katedry.

Patrzę na niego, nic nie rozumiejąc.

– Mroczni? Gniazdo?

– A co? Jak wy mówicie na te stwory? I na ich nory?

Kręcę głową.

– Kościół nie ma dla nich nazwy.

– Ja na nich mówię mroczni. Inni mówią długoręcy albo myślołapy. Ale uważam, że nazywanie ich mrocznymi przydaje im godności, na jaką zasługują. „Krucjata przeciwko mrocznym” brzmi lepiej od „Krucjaty przeciwko myślołapom”, nie? Marketing nie umarł!

Jego śmiech jest nieokrzesany, długi jak wycie zwierzęcia.

Na końcu klepie się mocno w udo.

– Dobra, idziemy. Już czas uratować dworękę w niebezpieczeństwie...

Durand parska śmiechem.

– Nie traćmy czasu na pogaduszki.

Ale ja mam jeszcze jedno pytanie do tego niedorzecznego indywiduum.

– A gdzie my w ogóle jesteśmy? Co to za miejsce?

Gottschalk drapie się po głowie.

– Jak to? Nie powiedziałem ci? Nigdy o tym nie słyszeliście? To jest „Największy i Najszybszy Kościół Boży na Kołach”: jedyny, autentyczny, niepowtarzalny! Chodźcie, chodźcie, pokażę wam!

Rozdział 24: „Największy i Najszybszy Kościół Boży na Kołach”

Kiedy Adčle widzi, jak wchodzimy do pokoju, w jej oczach pojawiają się łzy.

Podbiega do Duranda i rzuca mu się w ramiona. On obejmuje ją mocno, gładzi wolno po włosach.

Są brudne, ale kapitan całuje je z nieoczekiwaną czułością.

– Drzysz – mówi.

Jestem zakłopotany. Czuję się jak intruz w tym małym pokoiku, którego jedynym wyposażeniem jest metalowe wiadro zalatujące uryną.

– Bałam się, że już cię nie zobaczę – odpowiada kobieta, chowając twarz w kołnierzu jego munduru.

– Nie zostawię cię samej. Nigdzie bez ciebie nie pojedę.

– Nie przestawaj. Mów dalej.

– Co ci zrobił? Czy...?

Adčle kręci głową.

– Nic mi nie zrobił. Ale zabierz mnie już stąd, proszę cię.

– Bądź spokojna. Zabieram cię. Zabieram cię stąd...

Gottschalk odchrząkuje za naszymi plecami.

– Ehm.

Durand odwraca się wolno.

– Co jest?

– To nie takie proste. Znaczy... chciałbym, żebyście mogli odejść, zważywszy na mój błąd i... całą resztę.

– Jaką „całą resztę”? – pyta podejrzliwie Adčle.

Durand kręci głową.

– Daj spokój. Opowiem ci później.

Trzymając cały czas Adčle w ramionach, odwraca się do Gottschalka.

Instynktownie usuwamy się na bok, w ten sposób obaj mężczyźni stoją naprzeciwko siebie.

– Co to znaczy, że nie będzie nam tak łatwo odejść?

– Nie wiem, jak to panu powiedzieć, kapitanie, ale widzi pan...

– Co widzę?

– Wasze dwa SUV-y... Jestem wprawdzie krzewicielem kultu, ale jestem też handlarzem.

Mieszkańcy Urbino oddali mi was, a ten nieudacznik, ich Księżę... oprócz paru innych rzeczy... Krótko mówiąc, musiałem się w jakiś sposób zrewanżować...

– Dałeś im nasze hummery?

Gottschalk opuszcza ramiona.

– Te SUV-y są nam potrzebne!

– Wiem! Wiem!

– Zawieź nas z powrotem. Zawieź nas z powrotem do Urbino.

Broda Gottschalka faluje. Olbrzym gryzie sobie wargi.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Umowa jest umową. Gdybym jej nie dotrzymał, moja handlowa wiarygodność spadłaby do zera. A ja nie mogę sobie na to pozwolić. Moja Krucjata jest zbyt ważna.

– Mam w dupie twoją krucjatę. Zawracaj!

– Proszę się uspokoić, kapitanie.

Wyraz oczu Gottschalka bezustannie się zmienia. Jakby się oglądało film w przyspieszonym tempie: spryt, szczerłość, skrucha, nienawiść przewijają się w nich tak szybko, że można dostać zawrotu głowy.

- Myślałem, że waszą misją było dotarcie do Wenecji.
- Kto to panu powiedział? Skąd pan to wie?
- A co to ma za znaczenie? Taka jest wasza misja czy nie?
- A jeśli tak?

– Jeśli tak, to dojedziecie tam szybciej, a przede wszystkim bezpieczniej tym pojazdem niż waszymi dwoma samochodzikami.

Durand długo zastanawia się nad tymi słowami.

- Chce pan przez to powiedzieć, że zawieziecie nas do Wenecji? Albo tam, dokąd zmierzamy?
- Jeśli waszym celem nie jest Mars...
- Nie rozumiem, co to za pojazd. Może mi pan powie?
- Wystarczy zapytać.
- No właśnie pytam.
- To proszę za mną. Łatwiej będzie zrozumieć, jak pokażę.

Wracamy do kabiny pilota i wspinamy się po drabince, którą Gottschalk ściągnął z sufitu.

- Wychodzimy – oznajmia zwyczajnie.
- Gdzie wychodzimy, na zewnątrz? – pyta kapitan z niedowierzaniem.
- Oczywiście, że na zewnątrz.
- Ale jest dzień!
- Kwestia paru minut – ucina tamten. – Okryjcie się dobrze i załóżcie maski.

Gottschalk idzie pierwszy. Potem Durand.

Ja ruszam za nimi.

Gottschalk obstawał przy tym, żeby na platformę wyszła tylko nasza trójka, na więcej osób nie było tam ponoć miejsca.

Drabinka prowadzi do włazu podobnie jak na okręcie podwodnym. Właz musi ważyć ze sto kilo, ale brodaty ogr podnosi go bez wysiłku. Do kabiny wpada powiew mroźnej zawieruchy. Kiedy wystawiam głowę poza bezpieczną przestrzeń luku, czuję, jak krew pulsuje mi w skroniach.

Światło jest okrutne. Nawet przez bure chmury razi straszliwie oczy od dwudziestu lat przywykłe do ciemności i półmroku. Serce bije mi jak szalone. To co widzę, przez dłuższą chwilę wydaje mi się absolutnie pozbawione sensu: jakby między ośnieżonymi wzgórzami osiadł olbrzymi czarny wieloryb. Jego cielsko faluje, mięśnie pod błyszczącą skórą zdają się wprost szaleć. Uzmysławiam sobie, że to martwy przedmiot, zasilany jakąś nieznaną, złowrogą energią. Największy żywy trup, jaki kiedykolwiek istniał.

– Podoba się ojcu moje stworzenie? – Gottschalk drze mi się do ucha, żeby przekrzyczeć łoskot wichury. Jego zniekształcony głos wydobywa się spod maski, która nadaje mu wygląd wieprza.

Trzyma się metalowej bariery z dumą kapitana wyprostowanego na mostku swojego okrętu. I nagle dociera do mnie, gdzie jesteśmy.

Rozumiem, co mam przed oczami.

Jesteśmy na dachu olbrzymiej ciężarówki. Największej w historii. Mogłaby przewozić Godzillę. A czarny wieloryb to ogromny worek z gazem, podobny do tego ze stacji Aurelia. Właśnie ten gaz napędza pojazd. „Zasilanie biogazem”, jak to się kiedyś nazywało. Myślałem, że to było dobre co najwyżej na samochód dostawczy. Najwyraźniej się myliłem. A dowód mam właśnie przed oczami.

Ciężarówka ma ze dwadzieścia metrów długości. A koła wyższe od wzrostu przeciętnego mężczyzny. Ciągnie za sobą równie olbrzymią przyczepę, nad którą powiewa ten niewiarygodny balon z gazem.

Pojazd i jego przyczepy poruszają się z niewiarygodną wręcz prędkością po pozostałościach starej drogi, zostawiając za sobą głęboki na metr ślad.

– Panowie – grzmi Gottschalk – przedstawiam wam „Największy i Najszybszy Kościół Boży na

Kołach”. Napęd hybrydowy, na ropę i metan. Głównie na metan... takie czasy... Moje stworzenie, moja duma, moja racja bytu. Gdyby jeszcze istniało coś takiego jak *copyright*, zarejestrowałbym tę nazwę, bo jest przepiękna. Jesteśmy Pancernikiem Pana, Krążownikiem Bożym na wzburzonych wodach życia.

Zbrojne ramię Boga podniesione na zdeprawowanych i niewierzących.

Oczy Gottschalka błyszczą ekstatycznym światłem.

Rozkłada ramiona i zaczyna śpiewać na całe gardło chorał Bacha: *Ein Festen Burg ist Unser Gott*.

„Potężną twierdzą jest nasz Bóg”.

Przez chwilę kusi mnie, żeby zepchnąć go z tego dachu.

Ale przechwytyję komunikat w oczach kapitana.

„Jeszcze nie.

Nie tutaj”.

Rozglądam się dookoła.

Oczy nie mogą się wprost nasycić tym pejzażem, który przed Wielką Zagładą uznano by za ponury i przygnębiający.

Ale teraz nie.

Teraz nie.

Widok tej otwartej przestrzeni, tego wolnego nieba nade mną sprawia, że czuję się, jakby mi miały za chwilę wyrosnąć skrzydła, jakbym miał zaraz wzbić się w powietrze i polecieć ku horyzontowi. W stronę oceanu, w stronę ziemi za oceanem, gdzie zostawiłem swoje dzieciństwo i rodzinę.

Chciałbym zdjąć maskę i oddychać świeżym powietrzem dnia, powietrzem pełnym światła. Czuję błękit naciskający gdzieś na tę kołdrę chmur, i ciepło niewidocznego słońca. Nawet gdyby powietrze miało mnie otruć, a słońce spalić, umarłbym szczęśliwy.

Odczuwam całkowitą komunie ze wszystkim, co mnie otacza.

Przychodzą mi na myśl słowa Teilharda de Chardin z moich młodzieńczych lektur, który w mistycznej ekstazie, galopując na koniu przez stepy Azji, stworzył *Mszę na ołtarzu świata*: „o jeszcze raz, o Panie, nie w lasach Aisne, lecz w stepach Azji, bez chleba, wina ani ołtarza, ponad symbole się wzniosę aż po czysty majestat Rzeczywistości; i na ołtarzu Ziemi całej, ja, Twój kapłan, pracę i trud Świata w ofierze Ci złożę.

Słońce tam blaskiem oświetla najdalszy skraj pierwszego Wschodu. Jeszcze raz, pod falą jego brzasku, żywa twarz Ziemi budzi się, drży i rozpoczyna swój wielki znój. Na mej patenie, o Panie, położę tego nowego mozołu plon oczekiwany, a kielich mój po brzegi napełnię sokiem wszystkich owoców, co dziś wyciśnięty będzie...

Nagłe uderzenie w ramię wyrywa mnie z tych myśli.

– Idziemy, ojcze. Już i tak za długo tu staliśmy.

Gdy ręce Gottschalka ściągają mnie w dół, ku trzewiom maszyny, moje oczy szukają ostatniego promyka światła, ostatniej kropli bólu od zimnych kryształków powietrza.

A potem już właz zamyka się nad moją głową jak płyta grobowca.

Gottschalk odkręca korek manierki i wlewa sobie do gardła długi strumień wody. Podaje Durandowi.

– Znalazłem ten cud w jaskini w Alpach Apuańskich. W poprzednim życiu, zanim Bóg mnie powołał, byłem rzeźbiarzem. Moje prace wystawiali w MoMA i w Muzeum Guggenheima w Bilbao. Pracowałem w marmurze. Kiedy ten świat się spierdolił, proszę wybaczyć to określenie, drogi ojcze, byłem akurat w górach, wybierać blok materiału do mojego nowego dzieła – Chrystusa Triumfującego. Słuchaliśmy radia. Widzieliśmy wybuchy na nizinie. Zostaliśmy tam prawie przez rok, chroniąc się przed promieniowaniem w jaskini. Mieliśmy wodę i żywność, bo okoliczne lasy pełne były dziczyzny. Wiedzieliśmy, że na dole wszystko musiało paść, bo nie nadawało żadne radio. Widzieliśmy satelity nad naszymi głowami, bo noce były coraz ciemniejsze, i można było policzyć wszystkie gwiazdy na niebie.

Ale żaden satelita niczego już nie nadawał.

Po roku skończyły nam się zapasy, a dziczyzna się przerzedziła. To samo z nabojami. Pięciu z całej naszej dwunastki uznało, że nadszedł moment sprawdzenia, co zostało z tego świata. Mieliśmy ciężarówkę, która, oczywiście, nie była jeszcze wtedy tym, czym jest teraz, ale i tak robiła wrażenie i dodawała otuchy. Było też dość paliwa, żeby napełnić bak i jeszcze załadować dziesięć beczek na pakę tego monstrum. I tak nasza piątka ruszyła w drogę, a reszta została. Nie mam pojęcia, jak się im poszczęściło. Kiedy się rozstawaliśmy, żegnaliśmy się ze wzruszeniem i z przekonaniem, tak my jak i oni, że żegnamy skazańców.

Początkowo opowieść Gottschalka niemal mnie wzrusza, kiedy wspomina wymarłe miasta, przez które przejeżdżali w kierunku nizin. Przestrach w obliczu zniszczenia. Lęk pierwszej nocy spędzanej pod gołym niebem.

– Wtedy nie było jeszcze tych monstrów, tych tworów Zła. Ale było już mnóstwo zagrożeń. Chociażby promieniowanie. Przecież nie wiedzieliśmy, że trzeba się chronić przed promieniami słońca. Podróżowaliśmy w dzień, spaliśmy w nocy, bo myśleliśmy, że tak jest bezpieczniej. Prawdę mówiąc, ja miałem wątpliwości, bo w dzieciństwie grałem na PlayStation w gry, które pokazywały świat w epoce po wybuchu, i wiedziałem, że lepiej się osłonić, a nawet założyć maskę przeciwgazową. Mieliśmy ich mnóstwo w magazynach jaskini. Załadowaliśmy dwie skrzynie, ale wysiadając z samochodu tylko ja się zabezpieczałem. I postanowiłem spać w kabinie. To mi uratowało życie.

– Pozostali zmarli?

– W tydzień zostałem sam. Dookoła mnie świat zionął śmiercią, przysięgam ci, że często kusiło mnie, żeby włożyć sobie w usta lufę pistoletu i nacisnąć spust. Ale Bóg w swym miłosierdziu nie chciał, żeby tak było. Zachował swojego sługę, żeby mógł go czcić i służyć mu słowami i czynem.

– Amen – mruczy Bune i wyrywa mu się ironiczny śmiech.

Gottschalk patrzy na niego krzywo. Przysuwa ręce do koksiaka stojącego na podłodze kabiny. Noc zagląda do opancerzonych okienek ciężarówki. Caliban, karzeł o długich łapach, prowadzi zupełnie niewzruszony, jakby sam był częścią tej maszyny.

Gottschalk wraca do swojej opowieści.

Opisuje pierwsze spotkanie z grupą ocalałych.

– I co najpierw zrobili? – pyta, kręcąc głową. – Zaatakowali mnie kijami i nożami. Ja miałem dwa pistolety. Zgadnijcie, jak to się skończyło... Trzech z nich podniosło łapy do góry. Poddali się. Filmowa scena, co? Była wśród nich jedna kobieta. Brudna, ale ujdzie, jak na dziką. Wystarczył rok, żeby ludzie stali się znów dzikusami... A może zawsze nimi byli... Przeładowałem pistolety. Strzeliłem w łeb dwóm facetom i zabrałem ze sobą kobietę. Na początku trzymałem ją związaną. To jasne. Nie chciałem się obudzić z głową obok szyi.

– Wątpię, żebyś się obudził – prostuje go Bune, obgryzając kolejne kurze skrzydełko.

– Daj mi opowiadać. Bądź cicho i jedz.

Woził ze sobą dziewczynę przez parę tygodni, zapuszczając się coraz głębiej na nizinę. Rozwiązywał ją tylko na chwile, które sam nazywał „nagłącymi potrzebami”. Czy to były jej potrzeby, czy też jego – tego nie sprecyzował.

W końcu, w mieście zwanym Lucca, natknął się na zorganizowaną wspólnotę. Miasto okolone było dawnymi murami, łatwo było się w nim bronić. Posiadali ciepłarnie i schrony o grubych murach przykrytych ziemią. Prosperujące zbiorowisko.

– Ale tylko ja miałem jakąś perspektywę. Jakąś wizję. Dojrzała we mnie podczas tego długiego wygnania w górach, kiedy czytałem książki przywiezione z Ameryki. Biblię, *Mein Kampf*... Byłem jedynym, którego horyzont sięgał poza długość dnia, poza pierścień tych murów. Miałem dla tych ludzi pomysł. Oni dysponowali potencjałem, ale nie potrafili go wykorzystać. Mój był młotek, a ich gwoździe.

– Więc ich „przygwoździłeś”...

– Bune... – upomina go półgłosem Durand. Z Adčle przykryci są jednym kocem. Zazdroszczę im. Samotność to przekleństwo. Jest wprawdzie częścią złożonych ślubów, ale składałem je, kiedy była jeszcze wyborem, a nie powszechnym przeznaczeniem.

– A dziewczyna? – pytam.

Gottschalk wzrusza ramionami. Gest ręki wyraża zniecierpliwienie.

Nie chce o tym mówić.

Zastanawiam się, czy ta dzikuska w ogóle dotarła do Lukki.

– Na początku, kiedy zacząłem wyklądać im moje plany, był opór. Ale wkrótce wszelkie sprzeczności zostały zażegnane i zabraliśmy się zgodnie do roboty.

Ciężarówka była ogromna, zbyt duża, żeby wjechać do miasta. Roboty prowadzili nocą poza murami, pod strażą.

– Podstawową zmianą były kuloodporne szyby pancerne. Na szczęście w mieście był handlarz stolarką antywłamaniową. Potem przyszedł czas na specjalną przyczepę. Zbudowaliśmy ją z części trzech ciągników siodłowych z naczepami porzuconych na autostradzie. A ponieważ paliwo musiało się kiedyś skończyć, wpadłem na pomysł worka z gazem. Niebezpieczne, ale jakie miałem wyjście? Widziałem wcześniej coś takiego w podróży po Chinach. To była najtrudniejsza do wykonania część projektu. Nie, poprawka: najtrudniejsze było oczyszczenie wspólnoty...

– W jakim sensie? – pytam.

W oczach Gottschalka odbija się pomarańczowy żar kosiaka.

– W tym sensie, że w sercach niektórych mieszkańców zagnieździły się nieczyste uczucia. Więc należało te serca oczyścić.

– W jaki sposób?

Gottschalk zamyka oczy.

– Ogniem i wodą.

Dzień ukończenia ciężarówki nazaczył początek nowego etapu dla wspólnoty, która przyjęła Gottschalka. Etap, którego wielu się nie spodziewało.

– Oczyszcziliśmy miasto. Całe noce świętowania, kiedy płomienie wypaliły grzech, zwracając powietrzu świeżość. Moi uczniowie zajęli się opornymi, oziębłymi, wszystkimi, którzy wyobrażali sobie, że nieróbstwo na dnie nory jest najwyższym przeznaczeniem człowieka.

– Boże wszechmogący... – szepce sierżant Wenzel.

Gottschalk kiwa głową.

– Właśnie. „Boże wszechmogący”. Dobrze powiedziane. To on przysłał mi sygnał, to on pokazał mi drogę. Na niebie pojawiła się tęcza.

– Niemożliwe!

Tym razem odezwał się Diop. To słowo, wypowiedziane spontanicznie, zabrzmiało obcym akcentem, jak echo jego ojczystego języka.

– Od dnia FUBARD nikt nie widział tęczy! Nie ma ich już! Nie istnieją! Przepierdolone! Żadnych tęczy!

Gottschalk ciągnie swoją opowieść niewzruszony.

– Na niebie pojawiła się tęcza, żeby nam wskazać drogę. To była droga na Wschód.

– Amen, bracie – mruczy Bune.

Tym razem Durand nie robi nic, by go zganić. Ale Gottschalk i tak nie zwraca na to uwagi.

– Wyjechaliśmy w trzydziestu. Najsilniejsi, najmłodszy, najbardziej natchnieni. Wsiedliśmy na pokład tego kościoła na kołach i udaliśmy się w misję, jakiej ta ziemia nie widziała od czasów Świętych Krucjat. Jutro poznacie kilku z tych wojowników, tych pierwszych rycerzy. Z trzydziestu zostało ich tylko sześciu.

„A ilu sam zabiłeś?”, chciałoby się spytać. Ale wzmianka o tęczy wzburzyła mi umysł.

Tato był skłonny dzwonić do nas nawet z pracy, z samochodu, żeby nam kazać wyjrzeć za okno na tęczę. „Najpiękniejsza tęcza, jaką widziałem”, mówił za każdym razem.

Biedny tata.

Byłbyś szczęśliwy, słuchając tego szaleńca, który opowiada o nieprawdopodobnych tęczach. A ta ciężarówka też by ci się spodobała. Przy całej pogardzie, jaką byś pewnie czuł do tego maniackalnego zabójcy, ciężarówka by ci się spodobała. Znalazłbyś nawet sposób, żeby ją ulepszyć. Jestem pewien.

– Co jest, ojciec Daniels? Moja opowieść ojca nie interesuje? Może nudzę?

Ziewam.

– Wręcz przeciwnie. Ale jestem bardzo zmęczony. Już prawie świta. Powinniśmy się położyć.

Gottschalk kręci głową.

– Na pokładzie „Największego i Najszybszego Kościoła Bożego na Kołach” nie żyjemy według rozkładu tej zgniłej, nieczystej epoki. Pozostajemy wierni czasom naszych ojców, tradycjom, które im z kolei przekazali starożytni. My śpimy w nocy i działamy w świetle słońca, tak jak nakazuje Bóg.

No to już wiemy, czemu zginęło tych dwudziestu czterech apostołów, myślę. Ale nic nie mówię.

„Maniakalny zabójca”.

Nie wolno mi nigdy zapomnieć tych dwóch magicznych słów.

Nie wolno mi nigdy rozluźniać się przy tym człowieku. Ani opuszczać gardy.

Postanawiam nie ustępować.

– Tak czy inaczej, jestem śmiertelnie zmęczony. Proszę to uznać za popołudniową drzemkę.

– Jak ojciec uważa.

– Gdzie mogę się przespać?

– Gdzie bądź.

Patrzę na niego zbity z tropu.

– Nie macie żadnej przyczyny albo czegoś takiego? Żadnego śpiwora?

– Lud Boży hartuje się poprzez trudy. My nie wierzymy w wygodę. Proszę się położyć gdzie bądź.

Miejsca nie brakuje.

– Można dostać chociaż jakiś koc?

– Nie mamy kocy. Lud Boży...

– Nie wierzy w zimno – pokpiwa Bune.

– OK, zrozumiałem – ucinam, podnosząc rękę.

Nigdy nie przepadałem za postami, umartwieniami i całym tym scenicznym aparatem ukorzenia, który według mnie powstaje w sercu i tam się kończy. W gruncie rzeczy, to kwestia świadomości, a nie pozorów. Podejrzewam, że moi protestanccy przodkowie, przewracając się bez przerwy w grobie, zasiali w sercu swojego katolickiego potomka drobną wątpliwość na temat instytucji spowiedzi, której towarzyszy szczere uczucie i to, co kiedyś zwano czynnym żalem.

Przed wyjściem z kabiny patrzę na dziwną sylwetkę tego, którego Gottschalk nazywa Calibanem. Odkąd usiadł za sterami, nie ruszył się stamtąd ani na chwilę. Jakby rzeczywiście był częścią maszyny. Kiedyś, przed Wielką Zagładą, ignorowanie innych było zupełnie normalne. Mogłeś spacerować pośród wielotysięcznego tłumu i czuć się samotny. Niezważanie na innych było regułą. Dziś musimy poświęcać bliźnim więcej uwagi. I dlatego, że jest ich tak mało, i dlatego że są potencjalnym zagrożeniem. Zastanawiam się, ilu ludzi zostało na Ziemi. I ile jest tych niewiarygodnych stworów, tych Nowych Ludzi o niebywałych kształtach i nieznanego pochodzenia. Czy doprawdy zrodziło ich piekło broni nuklearnej, chemicznej i biologicznej, czy może jednak ogień Stwórcy, który stanął przed dylematem zasadniczym? Innymi słowy, zamiast myśleć, że są potworami, może powinniśmy uznać, że są najlepszą odpowiedzią Boga, czy też Natury, na to śmiertelne wyzwanie?

Przechodzę po omacku kołyszącym się korytarzem, aż do dziwnego czarnego miejsca, które Gottschalk nazywa swoją katedrą. Jest tu trochę światła wpadającego przez szczeliny w suficie. Światło

jest bardzo wątle, ale wystarczające, żebym dojrzał rysy twarzy Chrystusa na krzyżu.

Klękam, żeby się pomodlić przed obliczem człowieka umęczonego i zabitego dwa tysiące lat temu. Modlę się za miliardy ludzi, które zginęły zaledwie w kilka minut, i za tych, którzy jeszcze umrą wskutek tej chwili szaleństwa. Nikt nie wie, jak wybuchła ta wojna. Czy w ogóle wybuchła, czy też może wszystko zdarzyło się przypadkiem, przez błąd człowieka albo maszyny.

Nikt nie napisze historii Ostatniej Wojny. Nawet gdyby ludzkość miała odrodzić się jak Feniks z popiołów.

Po modlitwie wyciągam się u stóp krzyża. Kładę głowę na ramieniu jak na poduszce. Nie mam pościeli, zwijam się w kłębek, niemal jak embrion, żeby zatrzymać ciepło. Myśli, wątpliwości, straszne wspomnienia walczą z sennością. Ale w końcu zmęczenie zwycięża i pogrążam się w krótkim, niespokojnym śnie.

Rozdział 25: Świat Przyszłości

Budzi mnie nagle jakiś hałas po lewej stronie.

Nie głośny, ani groźny, ale wystarczył, żeby mnie wyrwać ze snu.

Miałem sen, zanim to mnie zbudziło.

We śnie bardzo chciałem wrócić do świata Przyszłości – do błękitnego jeziora, do bryzy popychającej żaglówki na wodzie.

Ale śniło mi się, że jestem znów w domu rodzinnym, w Medford.

Był ranek, ciepłe światło słońca wpadało przez otwarte okno wraz z warkotem kosiarki pracującej kilka domów dalej. Z piętra niżej dobiegał głos włączonego telewizora.

Przeciągnąłem się w niebieskiej piżamie, którą chyba przestałem nosić w wieku piętnastu lat, kiedy urosłem o dziesięć centymetrów przez zaledwie kilka miesięcy.

Na końcu łóżka siedział mój ojciec.

To był on, a jednocześnie nie on.

Rysy twarzy były niewyraźne, jakby tonęły w półmroku, chociaż pokój zalany był światłem.

Ojciec miał poważną minę.

– Jest ciepło, jak na kwiecień. Wiesz już, jak spędzisz wakacje? Myślałeś już o czymś?

Powinienem mu odpowiedzieć, ale nie pozostawił mi na to czasu.

– Pomyślałem, że mógłbyś pojechać... no... jak się nazywa to miejsce? Stacja Aurelia. Mógłbyś nauczyć się przyrządzać pieczone dziecko. Mówią, że dobre.

Klepie się po brzuchu.

– Zastanawiam się, jakie wino jest dobre do mięsa z dziecka. Waham się między Zinfandelem a Shirazem. Spróbujesz i mi powiesz. Myślę, że jednak Shiraz. To musi być w gruncie rzeczy coś w rodzaju białego mięsa...

Uśmiech otwiera mu usta od ucha do ucha, jakby je rozcięto żyłką.

– Twoja matka nie przyjęła dobrze całej tej historii z wojną termojądrową. I to akurat teraz, kiedy spłaciliśmy ostatnią ratę kredytu. Poza tym myśleliśmy, że po śmierci będzie, no wiesz, pokój wieczny, Sąd Ostateczny. No wiesz, o co chodzi. A tu patrz, dalej jesteśmy tutaj i robimy ciągle to samo. Trawnik do skoszenia w każdy weekend, telewizja kablowa i wszystkie te koszmarnie wiadomości o umierającym świecie. A ty do tego wszystkiego nadal żyjesz i nie piesz.

– Nie mogę do ciebie napisać, tato. – Z gardła wydobywa mi się skrzeczący, suchy głos. – Nie ma już znaczków. Nie mam ani jednej koperty.

– Każda wymówka jest dobra. Zawsze byłeś fajnym chłopakiem. Od kiedy to zrobiłeś się taki leniwy?

Podnosi wzrok i patrzy gdzieś nade mną.

– Słyszałeś ten hałas? Co to było?

To hałas, który mnie zbudził.

Światło w „katedrze” drastycznie przygasło, kiedy spałem. Przez szpary w suficie przedostają się czerwone promyki, w których ledwo majaczą zarysy Chrystusa na krzyżu.

I jakaś inna postać, kucająca na środku. Jej oczy błyszczą lekko w ciemności, na czerwono.

Przez chwilę wydaje mi się, że to człowiek karaluch.

Gregor Samsa.

Jego skóra odbija wątle światło pomieszczenia.

Ale po chwili dostrzegam złożone skrzydła na jego plecach. Skrzydła z chityny, jak u nietoperza.

Stwór podnosi głowę.

Jego wyraźny głos, zimny jak szpilka, przeszywa mi mózg.

„Złapał cię Człowiek Bólu, Człowiek Bólu...”

– Kim jesteś?

„Nazywam się Legion. Jestem głosem wielu”.

Legion. Imię demona z Gerazy, w Ewangelii świętego Marka: „Na imię mi Legion, bo nas jest wielu”.

– Możesz mi się lepiej pokazać?

„Nie”.

– Legionie, zawodzisz mnie. Jesteś diabłem, a nie możesz zrobić choćby trochę jaśniej?

„Nie żartuj sobie ze mnie...”

– Nie żartuję.

„...Księżu”.

To słowo pada w mojej głowie jak splunięcie.

Splunięcie bezgraniczną pogardą.

Ciemna postać wstaje.

Kiedy rozkłada swoje błoniaste skrzydła, jawi się jak postać z koszmarów przeszłości. Brak jej tylko rogów, żeby wyglądała jak diabeł.

Ale niezwykle długie ręce świadczą o tym, że mam przed sobą stworzenie podobne do tych z Torrita Tiberina.

Jedno ramię unosi się powoli. Nienormalnie duży palec wskazujący mierzy w moją twarz.

„Spotkaliśmy się już. W Moskwie. W przyszłości. Pamiętasz?”

Naprawdę myśli, że mógłby zapomnieć taki widok?

– Pamiętam Moskwę. Jezioro, łódzie. Błękit. Ale nie pamiętam, żebym cię spotkał.

„Spotkałeś kogoś, kim wtedy będę”.

– Chyba nie rozumiem.

„Spotkałeś kogoś, kim wtedy będę. Teraz jestem jaki jestem. Imię me Legion”.

– We śnie mówiłeś lepiej. Mówiłeś jaśniej.

„W jakim śnie? To jest sen”.

– Co ty mówisz?

„Nie ma czasu. Posłuchaj, nie przerywaj. To ważna wiadomość. Człowiek Bólu jest dla was zagrożeniem. Ale bez niego nigdy nie dotrzecie tam, dokąd zmierzacie”.

Już mam mu przerwać pytaniem, ale biały błysk przeszywa mi mózg.

„Nie przerywaj. Słuchaj. Do samej Wenecji będziecie bezpieczni przy Człowieku Bólu. Aż do Wenecji nie możecie mu się przeciwstawić. Zobaczycie bardzo wiele. Zobaczycie dziwaczne rzeczy, rzeczy straszne. Widzę wielkie cierpienie w waszej przyszłości. Ale zostaniecie z nim. W Mieście Światła wszystko zrozumiesz”.

– W jakim Mieście Światła?

Ale postać przede mną zaczyna tracić materialność, rozplywa się w ciemności.

Ostatnie znikają czerwone rubiny oczu.

Zimna podłoga podskakuje pod moimi plecami.

To wszystko mi się śniło.

Nie tylko ojciec, w Medford, ale i skrzydlaty stwór.

Otwieram oczy. Nie widzę już obłoczku swojego oddechu. Musiała zapaść noc.

Hałas, który mnie zbudził, naprawdę skądś dobiega. Coś skrobie, drapie lekko podłogę po mojej lewej stronie. Coś porusza się w ciemności i nie chce być usłyszane.

– Kto to? Jest tu kto?

Mój głos jest skrzekliwy, niepewny.

W odpowiedzi odgłosy natychmiast milkną.

– Jest tu kto? – powtarzam.

Słyszę cienki głos, wąły jak dym ze świeczki.

Głos kobiety. Odpowiada mi z ciemności.

– Sprzątam. Nie chciałam cię budzić.

– Kim jesteś?

– Sprzątam. Właśnie skończyłam.

Chciałbym mieć latarkę, cokolwiek do oświetlenia pokoju. Ale nie mam nic.

– Pomóż mi – mówię.

– Jak ci mam pomóc?

– Masz coś, żeby poświecić?

– Nie, nie mam.

– Chcę stąd wyjść.

– Mogę cię wyprowadzić.

– Byłbym ci wdzięczny.

– To się nie ruszaj.

W moją stronę zbliża się odgłos lekkich kroków. Jak szelest suchych liści. Nie wiedzieć czemu, przechodzą mnie ciarki.

Kroki zbliżają się do mnie, a ja uświadamiam sobie, że wolałbym ich nie słyszeć tak blisko.

Że wręcz chciałbym słyszeć, jak się oddalają.

Zimne palce muskają mi twarz. Łapią mnie za nadgarstek i prowadzą w ciemności.

Kiedy docieramy do wyjścia, kobieta przystaje. Popycha drzwi, których wcześniej nie widziałem, usuwa się na bok.

Korytarz oświetlony jest pojedynczą lampą ścienną, na samym końcu. Tu dociera naprawdę niewiele światła. Ale i to wystarczy.

Kobieta jest młoda i mogłaby nawet być piękna, gdyby o siebie dbała. Ale jasne, a może siwe włosy, obcięte są bardzo krótko, prawie na zero. Jest bardzo chuda, krucha. A oczy...

Zamiast oczu ma dwa puste oczodoły, a dookoła nich pomarszczoną skórę. Twarz wygląda jak trupia czaszka.

Kobieta – dziewczyna – jest zupełnie ślepa. Trzyma trzonek miotły jak laskę.

Bełkoczę jakieś podziękowanie. Ona kłania mi się lekko, odwraca się i znika w ciemnościach.

– Proszę się nie dać wziąć na litość – grzmi głos z głębi korytarza.

David Gottschalk zmierza ku mnie ciężkim krokiem, jakby nioś ogromny głaz. Po twarzy widać, że każdy krok okupiony jest olbrzymim wysiłkiem.

– To grzesznica. Ale kończy już odbywanie kary.

– Grzesznica? A czym niby zgrzeszyła?

– A co, nie widać? Przecież to potwór!

– Widziałem jedynie ślepa dziewczynę.

– Jest ślepa, bo ją wyleczyliśmy. Ale urodziła się z oczami potwora. W kolorze, którego nikt przedtem nie widział. Były zupełnie błękitne. Kompletnie: i tęczęwka, i twardówka.

– To znaczy, że to wy...? Wy ją...?

– Wyleczyłem ją tymi rękami. Rzykując, że się zarazę.

– Czym?

– Grzechem! Kiedy leczyłem jej oczy, ten szkodliwy płyn mógł mi się dostać do organizmu.

Chyba coś zrobię.

Czuję, że chyba coś zrobię.

Moje ręce drżą, zaciśnięte w pięści. Mój język aż się pali, żeby mu wykrzyczeć, że jest obłąkany.

Ale ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Właśnie ojca szukałem.

Durand uśmiecha się.

– Potrzebuję ojca porady. David, proszę nam wybaczyć, przejdziemy tam, żeby porozmawiać o paru sprawach.

Gottschalk kręci głową. Widzę, że jest zaskoczony, jak zwierzę, które nie rozumie, co takiego zrobiło, że jego pan jest zły.

Robi nam przejście.

– Dziękuję. Widzimy się za parę minut, okej? Proszę ze mną, ojciec Daniels.

Gdy mnie prowadzi za ramię w stronę kabiny, szepcze mi do ucha trzy słowa: „Nie. Mów. Nic”.

Dopiero kiedy jesteśmy przed drzwiami kabiny, zaczyna mówić, ale bardzo cicho.

– Nie polemizuj z Gottschalkiem. Nie teraz. Jak coś zobaczysz, przełknij i nic nie mów.

– To nie jest łatwe.

– Nie powiedziałem, że to jest łatwe. Masz to zrobić i tyle.

– Znów mówisz mi na ty.

– O co ci chodzi?

– Przed chwilą zwróciłeś się do mnie *per* „ojciec Daniels”.

– To było na użytek Gottschalka. On chyba sobie wyobraża, że żołnierz Gwardii Szwajcarskiej powinien okazywać szacunek wysokiemu urzędnikowi Watykanu.

– Wysoki urzędnik? Ja?

– Jesteś szefem Świętej Inkwizycji...

– Szefem i jedynym członkiem.

– Na jedno wychodzi.

– Pewnie tak.

Durand przygląda się mojej twarzy. Niepiękny musi to być widok.

– Nie udało ci się pospać?

– Ani dobrze. Ani za długo. A wam?

– My myślimy, że lepiej dostosować się do lokalnych zwyczajów.

– I będziecie spać w nocy, a pracować w dzień?

– Tak.

– Rozumiem, że ja też będę musiał się dostosować?

– Nie musisz. Ale byłoby dobrze.

– Będzie nam trudno powrócić do naszego normalnego rytmu w Wenecji.

Durand patrzy mi długo w oczy i mówi cichym, ledwo słyszalnym głosem: – Nie jedziemy do Wenecji.

Chcę go spytać, o co chodzi, ale on otwiera drzwi, i wchodzimy do kabiny, w której zebrali się już nasi pozostali.

Siedzą, jakby wypoczywali. Jakby śmierć Greppiego w niczym nie naruszyła ich rutyny.

Sierżant Wenzel skrupulatnie ostrzy swój myśliwski nóż. Yegor Bitka majstruje coś przy swoim bezużytecznym radiu polowym. Marcel Diop czyta książkę oprawną w zielone płótno, a Bune ceruje sobie skarpetkę.

Brakuje tylko Adčle.

Już mam otworzyć usta, kiedy Durand pokazuje mi ruchem oczu kamerę za swoimi plecami. To obrotowa kamera przytwierdzona do sufitu, skierowana akurat na tę część kabiny, w której siedzi nasza grupa.

Kapitan daje mi znak, żebym usiadł na podłodze. Siadam w kręgu razem z żołnierzami.

– Nie ma mikrofonów – mówi szeptem Durand. – W każdym razie nie znaleźliśmy ani jednego.

Kamera nie rejestruje dźwięku. Może nawet w ogóle nie działa, ale nie mamy pewności. Zachowuj się

nadal normalnie. Rób coś i jednocześnie mów. Ale mówiąc, staraj się być tyłem do kamery.

– A karzeł? Caliban?

– Stamtąd nas nie usłyszysz. Zakładając, że będziesz mówił półgłosem.

– To będzie wyglądać jak rosyjski balet.

– Możliwe. Ale tak zrobimy, zgoda?

I mówi do Wenzla, nie odwracając głowy:

– Jak wypadł twój obchód, Pauli?

Wenzel pochyla głowę, żeby ukryć usta przed kamerą.

– Raczej dobrze. Znalazłem kwatery służby. Ta bestia ciągnie więcej niż jedną przyczepę. Jak pociąg. Za wagonem z katedrą, jak to nazywają, jest kolejny, ze służbą Gottschalka.

– Ilu ich jest?

– Na razie nie umiem ci odpowiedzieć. Mogę się jedynie domyślać.

– Domyślaj się.

– Około dwudziestu. Góra trzydziestu.

– Kurwa.

– Ci, których widziałem, kilkanaście osób, nie stanowią dużego zagrożenia. Wszyscy kalecy, albo z innymi problemami. Kilku z nich tak się porusza, jakby byli niewidomi.

Kręcę głową.

– Nie są niewidomi. To znaczy są ślepi, ale nie od urodzenia. Tak ich po prostu urządził.

Wszyscy spoglądają na mnie.

– Co to za perwersyjny maniak, ten cały Gottschalk? – warczy Wenzel, zwykle obojętny.

– Najgorszego gatunku – odpowiada mu Bune. – Ale jego chorobę też można uleczyć odpowiednim lekarstwem – dodaje i wyciąga z kieszeni nóż o czarnym ostrzu. Kładzie go na podłodze i zakręca nim.

Nóż długo wiruje wkoło i zatrzymuje się z ostrzem skierowanym w jego stronę.

– Widzieliście? Mnie przypada w udziale zrobić porządek z kutasem. Jak by to on powiedział?

– „Bóg tego chce” – odpowiada Marcel Diop. Od śmierci Greppiego jego spojrzenie stało się

niepokojąco uporczywe. Jakby widział ponad rzeczywistością. Jakby słyszał jakiś głos w swojej głowie, jakiś hałas tła, który odwraca jego myśli od dnia dzisiejszego, by skoncentrować je na czymś innym.

Tylko on wie na czym.

– Marcel, co to za książka, którą ostatnio ciągle czytasz? Nigdy przedtem nie widziałem, żebyś to robił.

– To nic takiego.

– No, pokaż – nalega Bune.

I wstaje z ręką wyciągniętą w stronę kieszonki kurtki Diopa, z której wystaje zielona okładka.

Ręka czarnego kaprała startuje niczym błyskawica i łapie przedramię Bunego. Później wykręca je powoli, ale z dużą siłą. Oczy Bunego wychodzą z orbit.

– Przestań, kurwa! Złamiesz mi rękę!

Ale Diop nie zamierza popuścić.

Tym razem Durand próbuje go powstrzymać.

– Diop, przestań. Puść go.

– Musi przysiąc, że już nigdy nie będzie się interesował tą książką.

– Obiecuję, kurwa! Puszczaj już!

– Nie wystarczy obiecać. Musisz przysiąc.

– Przysięgam ci, w porządku? Przysięgam!

Diop zwalnia chwyt. Na jego ramieniu widać wyraźnie każdy mięsień. Prowokacyjnie wraca do lektury, jakby nigdy nic.

Bune rozmasowuje sobie nadgarstek, klnąc po niemiecku.

– Jeśli możemy wrócić do tematu – podejmuje Durand – to chciałbym poinformować ojca Daniela, dlaczego nie ufam Gottschalkowi. Mówi, że wiezie nas do Wenecji, ale ciężarówka zmierza na wschód. W stronę wybrzeża. Tak mówią kompas. Kiedy go spytałem o drogę, mógł mi przecież powiedzieć, że jedziemy w tym kierunku, bo droga na północ jest nieprzejezdna albo na przykład niebezpieczna. Ale on skłamał. Powiedział, że jedziemy na północ, i że będziemy w Wenecji za cztery dni.

– Jedno z dwóch: albo kompas w samochodzie jest zepsuty, albo ten szaleniec kłamie – podsumowuje Bune.

Wenzel kręci głową.

– Kompas działa. Sprawdziłem. Poza tym ja już byłem w tej okolicy. Jest...

Patrzy na swojego kapitana.

Durand kiwa głową.

– Jest tu niedaleko mitreum – ciągnie Wenzel. – W Santarcangelo di Romagna. Pod miastem jest labirynt grot usytuowany na trzech poziomach. Żyje tam około trzydziestoosobowa wspólnota. To główne miejsce kultu Mitry. Rodzaj sanktuarium, można powiedzieć. Każdy wyznawca musi choć raz w życiu odbyć doń pielgrzymkę. Ja też ją odbyłem. I mówię wam, że to jest ta droga.

– Więc zostało nam już tylko jedno wytłumaczenie – zgadza się Durand. – Teraz moje pytanie brzmi: dlaczego ten szaleniec miałby nas okłamywać?

Długo milczymy. Żaden z wniosków, które nam przychodzą do głowy, nie jest uspokajający.

– Ale jest jeszcze coś – dodaje Wenzel. – Sprawa naszych dwóch hummerów pozostawionych w Urbino.

– Słucham cię – uśmiecha się Durand.

– Kiedy wyszedłem cichcem wytropić kwatery służby, tak ich nazwijmy...

– Jeśli chcesz powiedzieć to, o czym myślę, to śmiało – mówi kapitan.

– Widziałem, jak za ostatnim wagonem pojawia się i znika coś żółtego. I światła. Była zamieć, okej, i duża odległość. Ale przysięgam, że to jeden z naszych wozów. I mogę się założyć, że jeżeli jest jeden, to i drugi też.

– Bardzo dobrze. Świetna robota, Pauli. A teraz tak... z jedną rzeczą mam kłopot – dlaczego pozwolił nam wziąć broń?

Wenzel drapie się w głowę.

– Zastanawiałem się nad tym i przyszło mi na myśl kilka możliwości. Żadna nie jest miła.

– No to wal.

– Powiem tylko o tej, która wydaje mi się najbardziej prawdopodobna. Ten szaleniec nas potrzebuje. Naszej siły ognia. Każe nam zapłacić za bilet podróży pomocą w jakimś szajbniętym przedsięwzięciu. W końcu atak na gniazdo, ul, czy jak on to nazywa, na tych roślących chudzielców w pancerzu to nie jest polowanie na jelenie.

– Zgadza się.

– Tyle że nie mam pewności, czy potem puści nas wolno. A tym bardziej, czy zawiezie nas do Wenecji. Ten facet jest kompletnie walnięty, ale w żadnym razie nie jest głupi. Wie wszystko.

– Wszystko o czym? – pyta Durand, przymykając oczy.

– No, bez numerów, kapitanie. Po prostu – wie, że my wiemy. Wiemy, że jest mordercą. Kobieta na autostradzie...

– To mogły być te czarne tyczki.

– Nie. Ci... oni... nic jej nie zrobili. Oni jej nie zabili. A co do trupów w Torrita Tiberina, to nie widziałem ani jednego śladu potworów. Chyba że mówimy o ludzkich potworach. A ślady kół tego niebываłego wozu też tam były. Nie trzeba geniusza, żeby wiedzieć, ile jest dwa dodać dwa.

– Gottschalk jest dumny z tego, co robi. Ma się za świętego.

– Tak, i może niektórzy święci sprzed wieków robili to samo, a teraz są na ołtarzach z aureolą i

spojrzeniem baranka. To nie znaczy, że nie...

– Wal śmiało, Pauli.

– No co? Przecież poprzysiągł mu pan zemstę. To jasne, że każe mu pan za to zapłacić. Gottschalk o tym wie. W jakiś sposób to do niego dociera. Może i zachowa się jak grzeczny chłopiec, ale na pana miejscu nie odwracałbym się do niego plecami.

– Będę pamiętał o twojej radzie. Dobrze, sierżant Wenzel wyraził swoją opinię. Ktoś chce dodać coś od siebie?

Bune kiwa głową.

Chwilę się waha, czy mówić. Wzdycha.

– Dobra. Powiem wam, co myślę. Opowiedziałem wam o tym, co zobaczyłem w podziemiach ruin w Ostii. O napisach na murze. To było po grecku. Piękna, elegancka greka. Nawet charakter pisma świadczył o wykształceniu autora, ale też widać było, że ledwo starczyło mu sił na wydrapanie tego w tynku ścian celi. Powiedziałem wam, że to była ceta? Przypuszczalnie mężczyzna wyskrobał to, zanim go zaprowadzili przed sąd. Nie twierdzę, że jestem... byłem wielkim archeologiem, ale jako epigrafik miałem spore doświadczenie. Użycie pewnych słów, ich częstotliwość...

– Streszczaj się z łaski swej – gdera Diop.

– W porządku. Udało mi się umiejscowić tekst w czasie. Nie mógł być napisany później niż w pierwszym wieku po Chrystusie. Niemal z całą pewnością pochodził z pierwszej połowy pierwszego wieku.

– Przed rokiem 50 po Chrystusie... Więc mógł go napisać ktoś żyjący współcześnie z Chrystusem...

Bune patrzy na mnie. Uśmiecha się.

– Właśnie, ojcie Jacku. Chce ojciec wiedzieć więcej? Niektóre cechy konstrukcji gramatycznych, pewne idiomatyzmy... Wybaczcie, nie chcę być zbyt pedantyczny... Po pewnych cechach doszedłem do wniosku, że mężczyzna, który wyrył te zdania na ścianie, musiał pochodzić z Bliskiego Wschodu.

Najprawdopodobniej z Syrii.

– Dlaczego mówisz „mężczyzna”? – pyta Diop. – To nie mogła być kobieta?

– W pierwszym wieku? Mało prawdopodobne. Poza tym charakter pisma był męski. A przede wszystkim, męski zaimek osobowy.

– Niezły wywód – konkluduje Durand.

– Prawda?

– No kurwa, przecież nie powiedziałaś nam nic, czego byśmy już nie wiedzieli – protestuje Diop. – Mów w końcu, co było napisane na tej ścianie. Pewnie zdradziłaś tę tajemnicę tylko kapitanowi...

Durand kręci głową.

– Nie. Mnie też nie powiedział. Wiedziałem o napisie, ale do dziś nie wiedziałem nic o dedukcji Karla.

– A tym bardziej o tym, co było napisane – kończy Bune.

– Masz zamiar nam to streścić, czy chcesz jeszcze trochę poprzeciągać? – parska śmiechem Diop.

– Już wam mówię. Napis pozostawił mężczyzna, który twierdził, że nazywa się Saul.

– Różne propozycje – śmieje się Diop. – Ciekawe, co stało się z tak zwanym „narodem wybranym”. Może Izrael się uratował, i teraz tylko oni produkują grejpfruty i ananasy. Co prawda rynek międzynarodowy trochę się skurczył, ale...

– Skończ tę gadkę, Marcel.

– Na rozkaz, *mon capitaine*.

– Mów, Karl. Już ci nie będziemy przerywać.

– Dziękuję, kapitanie. No więc graffiti wykonał mężczyzna o imieniu Saul. Były tam pewne nawiązania do fragmentów Starego Testamentu, które mógłby znać na pamięć jedynie jakiś wielki erudyta w tej materii.

– Dlaczego na pamięć? – dopytuje Diop.

– Bo księgi w tamtych czasach były niezwykle drogą rzadkością. To nie był przedmiot, który więzień mógł sobie trzymać w celi. Poza tym w tekście były pewne osobliwości, które pokazywały, jak autor napisów nauczył się tych cytatów na pamięć, z pewnymi wątpliwościami tu i ówdzie. W każdym razie najważniejsza jest treść tego tekstu. Wciąż go pamiętam.

– Bez „wątpliwości tu i ówdzie”? – szydzi znowu Diop.

Bune w ogóle na niego nie zważa. Podnosi głowę ku sufitowi kabiny, zamyka oczy i zaczyna recytować: – „Nadejdzie czas czarnych jutrzeń, kiedy się niebo zamknie jak całun nad Ziemią, co stanie się grobem synów człowieczych, a słońce okrutne oślepi tych niewielu, którzy w błocie i chłodzie czołgać się będą. W dniach owych wielu rzecze, że »czas już się zamknął«, bo bramy piekieł jakby Ziemię pochłoną, a wielkie wody już życia dawać nie będą, a wielkie lasy w popiół się obrócą. Wicher potężny trząść będzie wyżyną i nizinami, i porwie ze sobą w pył obróconych ludzi i trony. I inni przyjdą upomnieć się o Ziemię, co też będą Synami Bożymi, lecz już nie człowieczymi...”

Diop parska śmiechem.

– Jasne... Znów proroctwo, nacztyliście się ich tysiące. Przodek Nostradamusa, ale mniej fartowny. Może go wsadzili do pierdła, bo zawracał wszystkim dupę swoimi proroctwami.

Bune kręci głową.

– Brak ci cierpliwości. Musisz jeszcze posłuchać najciekawszej części tego, co nazywasz proroctwem, bo ja tego słowa nie użyłem.

– No to posłuchajmy. I tak nie mamy nic lepszego do roboty.

– „Tymi oczami wielkie Lewiatany żelazne ujrzałem, co z morza się wynurzyły i płomieniem zionęły na miasta człowiecze. Na niebie strzały ujrzałem, a każda wielka, że sześciu człowieka trzonu jej nie obejmie, a strzały one ogień niosły miastom najdalszym. I pośród krzyku i płaczu w nieboskłon wschodziła chmura czarna, w błękicie wzrastała jak dym całopalenia, i nieba zwierciadło na zawsze zawarła. I Synów Bożych ujrzałem, co człowieczymi nie są, jak Ziemię posiąść zapragnęli, a nikt nie miał mocy, by ich powściągnąć. A wtedy Bóg...”

Bune milknie.

– A wtedy...? – zachęca go Diop.

– A wtedy nic. Tekst tak się kończy.

– I tyle? Nie było, na przykład, „ciąg dalszy w następnej celi”?

Durand podnosi rękę.

– Wystarczy już, Marcel. Skończ z tym.

Bune kręci głową.

– Nie. Marcel ma rację. To ja muszę z tym skończyć. Czas zdecydować, co dalej, a nie trzymać się bredni jakiegoś starca. Wybaczcie.

Wstaje przy akompaniamencie trzeszczących stawów. W tych czasach „starzec” nic zupełnie nie znaczy. Znałem mężczyzn i kobiety, którzy w wieku trzydziestu lat byli już zużyci. Bez zębów, z przedwcześnie posiwiałymi włosami albo zupełnie łysych. Nasz świat nie przebacza. I odwrotnie – znałem osiemdziesięciolatka, najstarszą osobę w katakumbach Świętego Kaliksta, który wyglądał na dwadzieścia lat mniej. Chudy jak drut, twardy, poważany.

Alessandro Mori.

Wielki Morderca.

Na łożu śmierci posłał po księdza. Jego gwardziści wyszli poza rejon Rady Miejskiej i wzięli pierwszego księdza, jakiego spotkali.

Mnie.

Eskortowali mnie jak więźnia. Nie mówiąc ani słowa o tym, dlaczego i dokąd mnie zabierają.

Kiedy przechodziliśmy przez okolice targu, ludzie rozstępowali się przed nami i spuszczaali wzrok.

W tamtych latach, jeszcze przed przybyciem oddziałów Kościoła, nałożyli na wspólnotę ciężkie jarzmo. Nikt o nic nie pytał. Nikt nie podnosił głowy.

Zaprowadzili mnie do metalowej bramy, niewiele mniej masywnej od tej, która zamykała wejście do katakumb. Kiedy już otworzyła się na odpowiedni rozkaz, ujrzałem jeszcze dwie, każdą strzeżoną przez grupę uzbrojonych ludzi.

W dzielnicach tak zwanej Rady Miejskiej powietrze było lepsze, bo urządzenia recyrkulacji i klimatyzacji poddawano ciągłym przeglądom, by utrzymać ich wydajność. Nie jak we wszystkich pozostałych dzielnicach, gdzie często zdarzało się, że ludzie, a w szczególności chorzy, umierali z powodu złego stanu powietrza. Tu, za trzema hermetycznymi bramami, powietrze było zdrowe. Było wręcz ciepło.

Przeszliśmy długimi pustymi korytarzami, będącymi niewyobrażalnym luksusem dla pozostałych dzielnic Świętego Kaliksta. Korytarze, choć puste, nie były gołe. Ściany pokrywały od posadzki po sufit stare płótna, z których część namalowano w kolorach tak ciemnych, że trudno było na nich cokolwiek rozróżnić. Portrety, sceny mitologiczne, ukrzyżowania, wniebowzięcia... Jedne podrapane, inne miały połamane ramy. Ten, kto je zdobył, nie zadał sobie zbytniego trudu, żeby zdjąć je ostrożnie z muzealnych czy kościelnych murów.

Ta ostentacja bogactwa i, jak sądzę, kultury, miała przygotować gościa na przepych rezydencji rodziny Morich: szeregu komnat, które powiększono tak, że miały rozmiary małego pałacu królewskiego.

Na ścianie w głębi głównej sali znajdowało się coś absolutnie nieoczekiwanego, widok zupełnie niewyobrażalny. Na murze powieszono ultrapłaski czterdziestocalowy telewizor. Ale najbardziej niesamowite było to, że telewizor działał – na ekranie pojawiały się kolorowe obrazy, i to w ruchu. Rzecz jasna, nie była to transmisja telewizyjna, tylko cyfrowe nagranie, niewiarygodnie efektowne: trzy statki kosmiczne, trzy srebrno-żółte myśliwce, leciały ze świstem w kierunku jakiejś zielonej planety. Zdumiał mnie ten widok. Jeden ze strażników szarpnął mnie za ramię i wepchnął do małego, ciemnego pokoju.

Drzwi zamknęły się za moimi plecami.

Czerwony znicz, jakie niegdyś Włosi stawiali na grobach w dzień Wszystkich Świętych, rzucał wątłe światło na znajdujące się w pokoju przedmioty. Pod nogami klepisko, żadnego dywanu czy maty.

Znalazłem po omacku jakieś krzesło.

Zajął mi chwilę, nim zrozumiałem, że nie jestem sam.

Od dołu dobiegał przerywany, lekki jak szelest przewracanej strony oddech. Kiedy oczy przywykły już do nikłego światła, spostrzegłem leżącego na pryczy starca o napiętej na kościach policzkowych skórze. Jego oczy były puste, zgaszone. Minęło trochę czasu, zanim powiązałem twarz umierającego z tym, który założył, w dobrej czy złej wierze, schron Świętego Kaliksta.

Widziałem go wcześniej zaledwie kilka razy, przy okazji wydarzeń publicznych, w jedynych chwilach, kiedy opuszczał swoje skrzydło schronu. Uderzył mnie wtedy jego młody wygląd i agresywny wyraz twarzy. Był najwyraźniej człowiekiem, którego lepiej nie mieć za wroga. Magnetyczne spojrzenie i niewiarygodna inteligencja czyniły z niego feudała równego Machiavellemu. Tylko on mógł zamienić w swój osobisty triumf moment tak trudny, jak przybycie oddziałów watykańskich. Rozegrał polityczną partię szachów przy użyciu Albaniego, i wygrał.

A teraz leży tu, przede mną. Najpotężniejszy człowiek naszej osady, a wedle mojej wiedzy, być może najpotężniejszy człowiek na Ziemi, leżał niemal nieruchomo, z pustym spojrzeniem i odorem śmierci, którym przesiąkało wszystko w tym maleńkim pomieszczeniu, od pościeli po mój ubiór.

Starzec nagle coś z siebie wydusił.

Zbliżyłem ucho do wyschniętych jak pergamin, postarzałych ust.

– Przeszedłeś... dać mi... ostatnie namaszczenie? Nie chcę...

– To nie był mój pomysł. Przyprawdzili mnie tutaj siłą. Może pan mi powie po co.

Z ust Moriego wydobył się jakiś niezytowy bulgot. Chyba miał to być śmiech.

– Masz rację. Tak, kazałem cię tu wezwać. I może nawet, w chwili słabości, pomyślałem, że potrzebuję księdza. Żeby porozmawiać, wiesz? Nie dla spowiedzi. Nie żałuję niczego. Zrobiłem to, co należało. To nie było dzieło ani boże, ani szatańskie... Zrobiłem, co było konieczne dla moich ludzi. I wielu uratowałem.

– Nikt temu nie przeczy.

– Pamiętam, jak tu przybyłeś. Nie potrzebujemy księdza, mówili mi. A tym bardziej księdza Amerykanina. Poślijmy go razem z innymi, na Gnojowisko...

– Tak to nazywacie?

– Tak to nazywaliśmy. Teraz nikt już o tym nie mówi. Wstydzą się. Ale gdyby nie było tych... Gdybym nie podjął decyzji, które podjąłem... Teraz to byłby już tylko grób, taki, jakim zawsze był.

Z przepoczonej pościeli podniosła się koścista dłoń i spoczęła na moim ramieniu. Jej skóra była sucha jak pergamin.

– To, co zrobiłem...

Ale nie dokończył. Dostał ataku kaszlu, który trząśł nim jak nawałnica drzewem. Kiedy wreszcie odzyskał normalny oddech i doszedł do siebie, w jego oczach było więcej żywego światła.

Jego powykręcane palce chwyciły mój nadgarstek.

– Moi synowie są gówno warci. Ottaviano jest słaby, zawsze trzymał się kiecki swojej matki albo innej kobiety. Mario... Mario to nieudacznik, alkoholik. Jedynym z moich synów, który odziedziczył po mnie trochę jaj, jest Patrizio. To on wygra, założę się. A pozostali dwaj skończą na Gnojowisku.

Czy to było jedyne epitafium, jakie uważał za właściwe dla dwóch spośród swoich synów? Co z niego za człowiek?

W jego oczach pojawił się przebłysk sprytu, ironii.

– Wiem, o czym myślisz. Zastanawiasz się, co ze mnie za ojciec. Jestem dobrym ojcem. Trzymałem swoje dzieci na kolanach. Nauczyłem ich wszystkiego, co sam umiałem. Kocham wszystkie, bez wyjątku. Ale jestem szefem tej wspólnoty i muszę działać na rzecz jej dobra. A jej dobro to Patrizio. To on musi wygrać. Jest psychopatą, sadystą, ale wie, jak rządzić. Będzie dla was dobrym przywódcą.

Zdenerwował się, że mu nie odpowiada.

– Ej tam, księżu. Co ci jest? Drażni cię, że nie robisz tego, po co tu przyszedłeś? Że nie robimy wszystkiego jak trzeba? Aktów skruchy, spowiedzi, świętych maści...

– Zatem po co mnie wezwałeś?

– Mówiłem już: chwila słabości. Ale skoro tu jesteś, to rozejrzyj się dookoła, bo musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Jego głos był coraz bardziej suchy.

Na ziemi stała jakaś butelka. Podniosłem ją, ale starzec tylko machnął zniecierpliwiony ręką.

– Postaw. Nie potrzebuję. Posłuchaj, bo nie mam już dużo czasu. Jesteś inteligentnym chłopakiem. Rozejrzyj się. Dlaczego najpotężniejszy człowiek wspólnoty umiera w tak nędznym pokoiku? Nie zastanowiło cię to?

– Owszem.

– Znalazłeś odpowiedź?

– Nie. Nie znalazłem.

– Więc ci odpowiem. To będzie mój grób. Kiedy umrę, zapieczętują wejście i postawią piękny nagrobek. Jestem pierwszym umierającym patriarchą tej wspólnoty. I stąd moja myśl. Zrobię jak papież w Watykanie, co ty na to? W końcu nigdy nie wiadomo, w tym miejscu jest tyle kości wszelkich świętych, że może zostanie na mnie trochę tej ich świętości. Co ty na to, księżu? Wyobrażasz sobie te jaja? Kardynał Albani, numer jeden w Kościele, przybywa do rajy i kogo tam zastaje? Tego skurwysyna Alessandra Moriego! Ale jaja, co...?

Zwolnił uścisk ręki na moim nadgarstku. Położył ją z powrotem na pościeli.

Kiedy znów zaczął mówić, jego głos był trochę poważniejszy.

– Wcale nie wiem, co mnie czeka po tym życiu. Może nic, co mówisz? Może tam nie ma nic, a wszystko, co wy, księża, opowiadaliście nam przez dwa tysiące lat, było tylko morzem bzdur, bajką dla dzieci...

– A jaka jest pana nadzieja?

Odpowiedź pada dopiero po dłuższym milczeniu.

– Mam nadzieję, że coś tam jest. Cokolwiek. Zawsze lepsze to niż nic... Dobra, a teraz do roboty, rób swoje i tyle. Załóż stulę, wyciągaj oleje święte i rób, co do ciebie należy. A właściwie nie, nie marnuj na mnie olejów. Nie warto. I tak liczy się przecież symbol, nie?

– Pan tu rządzi. Ale kilka kropel olejku jesteśmy panu winni.

– W takim razie wyciągaj. Dawaj mi tu mój paszport do Królestwa Niebieskiego.

Czy Mori naprawdę jest teraz w niebie?

Czy naprawdę czeka na nas u wrót raju z tym swoim lekceważącym uśmiechem?

To byłaby niezła drwina. Chociaż wierzę w Boga miłosiernego, trudno mi jest wyobrazić sobie tego mordercę w Królestwie Niebieskim razem z jego ofiarami.

Jedno jest pewne – tu, na tej ziemi, Alessandro Mori jest dzisiaj blisko tych, których zamordował. Żadnego monumentalnego grobowca. Anonimowa dziura na Gnojowisku, razem z umęczonymi ciałami jego ofiar.

Doganiam Bunego w korytarzu prowadzącym do katedry.

Idzie zgarbiony, opierając się o ściany.

– Karl – wołam.

Odwraca się.

– Mogę z tobą pogadać?

Wzrusza ramionami.

Wchodzimy razem do wielkiej sali. Jest pusta. Tym razem zabrałem ze sobą zapaloną lampę naftową Coleman.

– Słynne światło z Ewangelii? – pokpiwa jawnie Bune. – „Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się lampy i nie umieszcza pod korcem...”

– Znasz Ewangelię...

– Już ojcu mówiłem. Byłem kiedyś w seminarium.

– Mówiłeś wiele rzeczy. Również to, że kłamiesz.

– Kłamałem... Ź propoz, ojciec Daniels, może mi ojciec powiedzieć, co to jest „korzec”?

– To taki pojemnik do odmierzania ziarna. I zarazem jednostka miary.

– Aha.

Siada na podłodze.

Robię to samo.

– Chciałem z tobą porozmawiać o tym, co nam opowiedziałeś – mówię.

– A po co? Nie słyszałeś ich? To tylko bredzenie jakiegoś starucha.

– Tylko jedna osoba sobie z ciebie kpiła.

– Ale pozostali też nie byli chętni do słuchania.

– Ja tak. Na przykład chciałbym usłyszeć to, czego nie powiedziałaś. Bo przecież był ciąg dalszy, prawda? Było coś jeszcze na tej ścianie.

Bune chwilę milczy.

Podnosi wzrok.

Uśmiecha się.

– „A wtedy Bóg pokój zawrze między synami swemi, między jednym a drugim ludem, by podzielone

nie były. I ducha swego tchnie na wody, i życie im przywróci, a jego prawica chmury rozproszy, i światło Pana zstąpi na ziemię. Rany się zabliznią, a co jałowym było, płodnym powróci, i drzewo, co owoców nie wydawało, zalążkami stanie. I pokój Pana zapanuje na Ziemi po wieki”.

– Tak było napisane?

– Tak.

– I nic więcej?

Bune okazuje zniecierpliwienie. Nerwowym ruchem ręki.

– Tak. Było napisane nazwisko: ojciec John Daniels. I numer legitymacji ubezpieczeniowej.

– Żartujesz sobie?

– Oczywiście.

– Nie było nic więcej?

– Kilka zdań.

– Powiesz mi?

Bune przecząco kręci głową.

Nalegam.

W końcu ustępuje. Kiwa głową.

– „W mieście ewangelisty Marka, które martwym borem jest, rzecz wszelka mieć będzie koniec i mieć będzie początek. Nowe Niebo i Nowa Ziemia. Tam łuk pokoju między Człowiekiem a Bogiem powstanie, krzyż dla złych, zbawienie dla czystych. Znaki dane nie będą temu pokoleniu, lecz już następne ujrzy rękę Boga cuda czyniącą. Śmierć i choroba władzę utracą. W ten dzień chwały strasznej żywi z martwymi wraz pójdą, a człowiek dawny z człowiekiem, co przyjdzie. I Pakt nowy na morze poniesion będzie, aż do krańców świata i czasu...”

Bune milczy.

– I to wszystko? – pytam.

– Tak. Mało?

– Co to wszystko znaczy? Nie rozumiem.

– To nie jest kwestia rozumienia. Gdyby ojciec pracował naukowo jak ja, wiedziałby...

– Co bym wiedział?

– Że ten tekst jest niemożliwy. Że musi być podrobiony.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że żaden człowiek z pierwszego wieku nie mógł napisać czegoś takiego. To niemożliwe. W normalnych warunkach określiłbym go jako fałszywkę, głupi żart studenta moim kosztem. A w szczególności odwołanie do ewangelisty Marka. To czysty anachronizm. W pierwszym wieku po Chrystusie nikt nie użyłby słowa „ewangelista”. Byłem wściekły za ten żart. Ale potem wyszedłem z wykopaliska i zobaczyłem grzyba po pierwszym atomie, zobaczyłem, jak rośnie nad Rzymem. A potem kolejne eksplozje. Wróciłem na dół i... i zrobiłem sobie to.

Odpina wolno koszulę. Na skórze ma tatuaż z blizn, krzywo wyryte litery greckie wystają reliefem nad jej powierzchnią, tak jak powiedział Durand. Całe ciało pokryte jest literami, zdaniem, które przed chwilą wyrecytował z pamięci.

Zapiera mi w piersiach dech.

– Wystarczy – proszę.

Bune zapina koszulę. Wolno, z niesłychaną godnością.

– Jakie masz na to wytłumaczenie? – pytam.

– Nie mam. Miałem dużo hipotez, ale żadnej logicznej. Najmniej dziwaczna dotyczy podróżującego w czasie. Nostradamus cofający się o tysiąc pięćset lat. Styl niby jego.

– A najbardziej dziwaczna?

– Że ktoś w pierwszym wieku po Chrystusie rzeczywiście ujrzał przyszłość.

– Masz pojęcie, czym może być to „miasto ewangelisty Marka”? Miasto, które jest „martwym borem”?

Bune spuszcza głowę. Po cichu zaprzecza, ale nic a nic mnie to nie przekonuje.

– Naprawdę żadnego pomysłu? – nalegam.

Robi gest ręką, jakby chciał odpędzić muchę.

– O Marku wiemy mało. A większość to legendy. Pewne ślady wskazują na to, że urodził się i mieszkał w Jerozolimie. Pierwszy list Piotra mówi dosłownie: „Pozdrawia was wspólnota, która jako i wy wybrana została i w Babilonii mieszka; i takż Marek”. W języku pierwszych chrześcijan, „Babilonia” oznaczała Rzym. Kościół Świętego Marka, naprzeciwko Kapitolu, miał być zbudowany na miejscu, w którym Marek mieszkał podczas swojego pobytu w Rzymie. Mamy więc już dwa miasta kandydujące do tej roli. Ale żadne z nich nie przypomina mi martwego boru.

– Kolumny... – mówię szeptem.

– Co?

– Kolumny Forum. Powiedziałaś, że dom Marka był naprzeciwko Kapitolu...

– To tylko dedukcja.

– Kolumny rzymskie na Forum wyglądają poniekąd jak pnie martwego lasu...

Bune wzrusza ramionami.

– Są jeszcze inne miasta. Zostawmy Antiochię i Cypr, gdzie Marek przez całe lata głosił ewangelię. Pozostaje Aleksandria, gdzie był biskupem i poniósł śmierć męczeńską. Aquileia, w północnych Włoszech, gdzie powołał pierwszego biskupa... Chociaż ta hipoteza jest trochę naciągana...

– Ale nie wiem, jak je wszystkie powiązać z martwym borem.

– Ja też nie. No i, oczywiście, Wenecja. Gdzie szczątki Marka w 828 roku przewiozło dwóch handlarzy, którzy wykradli je z Aleksandrii.

Uderzam się ręką w czoło.

– No, oczywiście. Wenecja. Jak mogłem o tym zapomnieć?

– Często nie myśli się o rzeczach oczywistych...

– Ale w Wenecji nie ma drzew, prawda? Sądząc po zdjęciach, które widziałem, jest tam jakiś mały park, ale nie bór...

Bune wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Nigdy tam nie byłem.

– Ja też nie.

– Z tego, co wiemy, miasto może się teraz znajdować pod wodą. Albo zostało trafione bombą. W pobliżu było dużo zakładów chemicznych. Dobry cel. Albo może, żeby zrobić na złość wrogowi.

– No tak. Żebyśmy chociaż wiedzieli, kim był wróg...

– Tego się nigdy nie dowiemy.

Z korytarza dobiega nagle grzmiący głos.

Głos kapitana Duranda.

– Karl, John! Chodźcie tu szybko!

Rozdział 26: Forteca

W kabinie panuje zamieszanie. Sierżant Wenzel i pozostali gwardziści stoją naprzeciw kilkunastoosobowej grupy ludzi w czarnych mundurach, których krój przypomina ubiór amerykańskiego futbolisty: ochraniacze, nakolanniki, kaski – gdyby nie zintegrowana z kaskiem maska przeciwigazowa, ci osobnicy mogliby z powodzeniem wystąpić w rozgrywce o puchar Super Bowl. Na ich czele stoi David Gottschalk. Ma na sobie tę samą zbroję, co w Urbino, kiedy nas pojmał. Ze złotym krzyżem i wiszącym na nim potworem o długich rękach.

Wydaje się jeszcze potężniejszy. Pod pachą ma taki sam kask jak jego żołnierze.

– W czym problem? – pyta Durand, wchodząc ze mną i Bunem do pomieszczenia.

– Problem w tym, że pański sierżant odmawia mi tu posłuszeństwa.

– Powiedziałem mu, że jako żołnierz Gwardii Szwajcarskiej słucham tylko pańskich rozkazów.

– Jaki rozkaz wydał pan sierżantowi?

Gottschalk wskazuje kciukiem okienko za swoimi plecami. Za fotelem, na którym siedzi Caliban i prowadzi pojazd jak gdyby nigdy nic, okno zasnuło się gęstą mgłą.

– Dojeżdżamy do Rimini. Jesteśmy już na przedmieściach i jedziemy w stronę fortecy.

– Jakiej fortecy?

Gottschalk kładzie ręce na biodra i staje w pozycji nieznoszącej sprzeciwu.

– Forteca ateistów, którzy stawiają opór naszemu Bogu!

– Jeśli są ateistami, to jak mogą stawiać opór Bogu? – retorycznie pyta Bune.

Durand ucisza go jednym gestem.

Zwraca się do Gottschalka.

– W planie było, że zawieziecie nas do Wenecji. Nie sądzę, żebyśmy tam dojeżdżali. Chociażby dlatego, że jeszcze parę godzin temu jechaliśmy na wschód, a nie na północ.

– Zauważyliście, co? Nie dojeżdżamy jeszcze do Wenecji. Zawiozę was tam, ale przedtem będziecie mi potrzebni.

– Do czego?

– Forteca Rimini. Domyślam się, że już o niej słyszeliście.

– Nie.

– To znaczy, że potężne królestwo Watykanu nie wie, co dzieje się na krańcach jego terytorium?

Durand nie odpowiada.

– Wracając do spraw bardziej przyziemnych... Miesiąc temu Rimini miało czelność odmówić mi wjazdu. Wysłałem emisariusza, a ci barbarzyńcy odesłali mi jego głowę.

Trzeba mieć niezły tupet, żeby nazywać barbarzyńcami innych, gdy samemu bez najmniejszych skrupułów oslepia się i okalecza bezbronną kobietę.

– Czego pan od nas oczekuje? – pyta spokojnie Durand.

– Żebyście nam pomogli. Wasza siła ognia dodana do naszej może czynić różnicę.

Durand przygląda mu się długo.

– Pierwszy raz próbujecie?

– Co to znaczy?

– Pierwszy raz próbujecie wejść do miasta siłą?

Gottschalk marszczy brwi.

– Nie. Nie pierwszy raz.

– A jak to się skończyło poprzednio?

Gottschalk parska śmiechem.

– Źle. Odparli nas. Dlatego...

– Ilu ludzi pan stracił przy tej próbie?

Tamten nie odpowiada.

– Ilu ludzi? – ponagła Durand.

– Dwunastu. Ci przekłęci ateści mieli cekaem. Ale już nie mają. Zniszczyliśmy go.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście. Poza tym nie spodziewają się ataku. Widział pan mgłę? I jest dzień. Wszyscy będą spać, oprócz kilku wartowników. Możemy wziąć ich z zaskoczenia.

Kapitan nie odpowiada. Zastanawia się długo.

Wreszcie kręci przecząco głową.

– To nie jest nasza wojna. Nie rozumiem, dlaczego miałbym ryzykować życiem moich ludzi i własnym dla czegoś takiego. Życie ludzkie należy dziś do rzadkości. Zabijanie jest podwójną zbrodnią.

Gottschalk mruży oczy.

Po chwili się uśmiecha.

Nie jest to uśmiech, który uspokaja.

– Ma pan rację, kapitanie. Życie należy do rzadkości. Jest cennym dobrem. Życie mężczyzn i kobiet... R propos, już od jakiegoś czasu nie widzę pani doktor Lombard. Wie pan może, gdzie się podziała? Nie? Cóż, ja chyba coś wiem na ten temat. A właściwie na pewno wiem...

– Ty...

– Nie myśli pan chyba, że zabrałem na pokład siedmiu nieznanym ludzi bez... ubezpieczenia osobistego, że tak powiem...

– Jeśli jej spadł choćby jeden włos z głowy...

– O, proszę nie rzucać gróźb bez pokrycia, kapitanie. W tym momencie nie opłaca się panu mnie denerwować. A poza tym pozwoli pan, że zwrócę pańską uwagę na fakt, że wy macie tylko noże, a moi ludzie mają karabiny maszynowe... oprócz pięknej pani doktor Lombard – dodaje szeptem zadowolony z siebie.

Durand zaciska pięści.

– Zapłaci pan za to.

– O, proszę się nie martwić. Jestem skrupulatnym człowiekiem. Zawsze spłacam swoje długi. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, moi ludzie rozdadzą wam broń. Mamy robotę.

Zaskakuje mnie spokój, z jakim nasi gwardziści przygotowują się do walki. Ludzie bez wiary, albo z wiarą, której nie rozumiem, jedna inna od drugiej, mają jedno wspólne *credo*: zaufanie do swoich umiejętności i do dobrze utrzymanej broni.

Patrzę, jak z maniacką starannością czyszczą swoje karabiny maszynowe, jak je rozkładają i składają z powrotem zaledwie kilkoma krótkimi ruchami, w milczeniu. Wygląda to jak rytuał. Jak modlitwa.

Ja sam, nie będąc żołnierzem, niewiele mogę zrobić. Siadam w kącie. Kulę się na podłodze w obronie przed chłodem i przed równie lodowatym strachem, zamykam oczy i zaczynam się modlić.

– Johnie... Ojciec Daniels...

Otwieram oczy.

To kapral Rossi.

– Marco...

Jego oczy błyszczą od łez.

– Mogę z ojcem porozmawiać?

– Oczywiście.

Spodziewam się, że usiądzie. Ale on przede mną klęka.

– Chciałem powiedzieć... Może dzisiaj wszyscy umrzemy...

– Gottschalk jest przekonany, że nie.

Rossi macha lekceważąco ręką.

– To taki kłamca, że nie rozpoznałby prawdy nawet, gdyby go gryzła w dupę.

Uśmiecham się mimowolnie.

– Chciałem ojcu powiedzieć, że nigdy nie byłem dobrym chrześcijaninem. No kurwa, co tu dużo gadać, naprawdę trudno jest wierzyć, kiedy rodzisz się i żyjesz w takim świecie. Wy się urodziliście przedtem, może z wami jest inaczej.

– Myślę, że tak.

– Chciałem ojcu powiedzieć... No... w gruncie rzeczy zawsze byłem wiernym żołnierzem Kościoła. W imię Boga robiłem rzeczy... Nigdy nie myślałem, że coś takiego w ogóle mogę zrobić.

– Robiłeś to dla dobrej sprawy.

Chwilowy grymas na jego twarzy jest równie lekceważący jak gest ręką na wspomnienie o Gottschalku.

– Nie mówmy o Kościele. Mówmy o mnie. O tym, co potem. Ojciec naprawdę wierzy, że jest jakiś raj dla umierających? I piekło?

Wzdycham.

– Jestem bardziej skłonny wierzyć w to, że istnieje raj. Tego jestem pewien. W piekło wierzę o wiele mniej. Wydaje mi się rzeczą niegodną Boga. Taką... małą. Nędzną.

Rossi kiwa głową.

Uświadamiam sobie, że przez całą tę podróż prawie nie zauważałem jego obecności. On i Greppi byli najbardziej cichymi i trzymającymi się z boku członkami wyprawy.

– Jeśli jest jakiś raj, ojczu, to chciałbym mieć możliwość tam wejść.

– Jak ci mogę pomóc?

– Chciałbym się wypowiedzieć. Ale przedtem chciałem prosić o jeszcze jedno.

– Śmiało.

– Nie... ale... właściwie to głupie.

– Nie szkodzi. Mów.

– Powie mi ojciec, jakie to uczucie, pograć sobie na PlayStation?

Wśród pytań, których się spodziewałem, tego akurat nie było. Przemierzając tę posępną krainę, jaką jest nasz dzisiejszy świat, wiele razy zdarzyło mi się pomyśleć o miliardach zabitych, ale także o niedziałających już urządzeniach elektronicznych, których było jeszcze więcej. O milczeniu komputerów, PlayStation, telefonów komórkowych. O dawnych cichych panach świata, który już nie istnieje.

I tak, zamiast modlić się, opowiadam Marcowi Rossiemu, dwudziestolatkowi z trądzikiem i dystynkcjami kaprała, jak to było bawić się z elfami i rycerzami, zabijać smoki i ścigać się o Gran Premio w Formule 1. Słucha mnie z szeroko otwartymi oczami, które podróżują gdzieś daleko. I przez chwilę wydaje się, że stare czasy naprawdę wróciły, że powróciło światło i ciepło z całym tym światem, którego przyszłość nie była naznaczona dozymetrem.

Gdy kończę, Marco uśmiecha się.

I spowiada.

Nie ma wielu grzechów. Ale niektóre z nich są przerażające. Doprawdy trudny ciężar do udźwignięcia na tak młodych ramionach.

Wysłuchuję go. Rozgrzeszam. I czuję się jak hipokryta, bo większość tych grzechów popełnił w służbie mojemu Kościołowi.

Wstaje, dziękuje mi. Zakłada z powrotem beret z dystynkcjami.

– Gdybym miał dzisiaj zginąć, czy ojciec zmówi za mnie modlitwę?

– Oczywiście. Ale ty dzisiaj nie umrzesz.

Zagryza wargi.

– W porządku.

Potem wraca na swoje miejsce wśród kompanów.

Nie wiem, czego się spodziewałem po tym, co Gottschalk nazwał „fortecą Rimini”.

Ale z pewnością nie tego, co mamy właśnie przed oczami.

Tak zwana forteca jest w rzeczywistości współczesnym obiektem, okrągłym wielopiętrowym budynkiem, wokół którego zbudowano z odzyskanych materiałów kilka wieżyczek obronnych.

U stóp budynku znajduje się coś, co kiedyś musiało być portem dla jachtów. Ale morze cofnęło się, i teraz sterczą spod śniegu krzywe maszty żaglówek pogrzebanych dwadzieścia lat temu, które wyglądają jak zwłoki w rozkładzie.

Za budynkiem rozciąga się coś na kształt białej pustyni sięgającej po sam horyzont. Mgła, która dotąd nas chroniła, opadła i wystawiła na działanie słońca. Chowamy się za niskim murkiem.

Dostać się tutaj nie było łatwo.

Z ciężarówki wysiedliśmy na przedmieściach, kiedy mgła już się przerzedzała.

Gottschalk nie chciał zapewne ryzykować utraty swej drogocennej katedry na kołach, ale zasłonił się wymówką, że chodzi o kamuflaż wobec wroga.

Gdy zeszliśmy z wozu metalową drabinką, zatkało mnie.

To prawdziwy olbrzym, z kołami wysokimi na jakieś trzy–cztery metry. W porównaniu ze wszystkimi środkami transportu, jakie widziałem w moim życiu, ten jest jak prehistoryczne monstrum, *Tyrannosaurus Rex*. Pomalowany zupełnie na czarno, oprócz złotego krzyża lśniącego na burcie.

Bune zagwizdał z wrażenia.

Osiem metrów wyżej Caliban pomachał nam ręką ze swojej kabiny.

Wysiedliśmy najpierw my, a później ludzie Gottschalka. Domyślam się, że nie chcieli nas mieć za plecami.

Zapusciliśmy się w płataninę zburzonych lub walących się budynków, niskich, częściowo spalonych. Widziane z góry Rimini wygląda jak złamana szachownica. Niemal nietknięte dzielnice graniczą z obszarami strawionymi pożarem, które śnieg przykrył miłosierdnym całunem. Nasze buciory miażdżą na swej drodze kości i niewidoczne przedmioty. Lepiej, że ich nie widać, bo od czasu do czasu natykamy się na przewrócony wózek dziecięcy, jakieś zabawki. Jaskrawe kolory plastiku odbijają się od bieli śniegu. Marsz tymi spustoszonymi ulicami, wzdłuż budynków zionących pustką okien, jest jak droga w królestwie śmierci. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że te okna są pozbawionymi życia oczami, które zza grobu nadal na nas patrzą.

Duranda i jego ludzie nie zaprzatają chyba takie myśli. A jeśli tak, to nie dają tego po sobie poznać. Kroczą wolno, osłaniając się nawzajem i odkrywając z ulgą, ulica za ulicą, że na śniegu nie ma żadnych śladów poza naszymi, podobnymi do śladów ptaków poszukujących pokarmu.

Żołnierze Watykanu odzyskali chyba dobry humor. To niewiarygodne, bo przecież zmierzamy w stronę zorganizowanego wroga, na dodatek z misją, w którą nikt z nas nie wierzy. Domyślam się, że to za sprawą odzyskania broni. Chyba właśnie na tym polega różnica, bo mnie osobiście wcale nie jest do śmiechu.

Idziemy nerwowo w świetle dnia. Jeżeli Gottschalk liczył na mgłę, to już po nas. Ale może nie, bo on i jego ludzie idą spokojnie szybkim krokiem trzydzieści metrów za nami. Z jego łaski rozdali i nam białe płaszcze z kapturami, zrobione ze starych pościeli. Mizerna ochrona, ale zawsze coś. Udrapowani w ten sposób wyglądamy jak niemieccy żołnierze w ruinach Stalingradu, których pamiętam z filmu dokumentalnego obejrzanego w dzieciństwie.

W drodze do fortecy nie napotykałyśmy żadnej żywej istoty. Dookoła same kości i ślady śmierci.

Jakaś postać w witrynie sklepowej przez chwilę robi wrażenie żywej. Kierują się na nią wszystkie schmeissery. Ale to tylko manekin w stroju, który pozostanie na zawsze ostatnim krzykiem mody, gdy ta już nie istnieje.

Ręka Duranda w rękawicy podnosi się, dając sygnał do zatrzymania.

Stajemy i przywieramy do ziemi.

Mój oddech w obrębie maski przypomina rżenie jakiejś bestii. Szaleńczy, rozdygotany. Pomimo mrozu jestem spocony. Na szczęście wizjer maski nie zachodzi parą.

Wenzel czołga się w kierunku kapitana. Rozmawiają na stronie ściszymi głosami. Sierżant pełnie potem w stronę budynku po prawej stronie i wczołguje się do niego.

Przez chwilę nic się nie dzieje.

Nie przestaję patrzeć w nicość przed sobą, aż moją uwagę przyciąga ledwo dostrzegalny ruch. To, co brałem za pryzmę śniegu, to przysypany człowiek. Doskonale zamaskowany wartownik. I zupełnie nieruchomy, jeśli nie liczyć tego jednego ruchu, który go zdradził. Może się podrapał albo przesunął nogę zdrętwiąłą od bezruchu. Ale teraz go widzę. Zastanawiam się, jak wypatrył go Durand. Ale nie ma czasu na zbędne pytania. Nagły skok za plecami wartownika, krótki bezładny bieg, w świetle dnia błyska ostrze, zadaje cios. Czerwone rozdarcie, strumień krwi na śniegu. Dwie silne ręce przypierają wartownika do ziemi, aż nieruchomieje.

Sierżant Wenzel podnosi się znad zwłok. Daje nam znak podniesioną ręką, żebyśmy podeszli.

Podążamy schyleni w jego stronę.

– Starzejesz się, Pauli – mówi Durand. – Ile ci to zajęło?

– Nie byłem pewny, czy jest sam. Proszę spojrzeć, jesteśmy na miejscu.

I wyciąga palec w kierunku obiektu, który Gottschalk nazywa fortecą.

Kiedyś musiał to być blok mieszkalny albo hotel obsługujący mały port turystyczny. Ma dziwny kształt. Część budynku jest wygięta, przypomina rufę statku. Zapewne jest to celowy zabieg. Taki kaprys architekta. Większość okien zamurowano, i tylko smuga dymu wydobywająca się z komina świadczy o tym, że miejsce jest zamieszkane.

Usadowiliśmy się wzdłuż metrowego murka. Gottschalk i jego ludzie rozlokowali się między nami. Są uzbrojeni w karabiny wyglądające na kałasznikowy. Teraz, kiedy mogę im się przyjrzeć lepiej, stwierdzam, że nie napawają strachem jak ich dowódca. Ten po mojej lewej stronie nosi maskę z szerokim plastikowym wizjerem, przez który widać twarz. Drży. Chciałbym położyć mu rękę na ramieniu. Dodać odwagi. Ale nie ma czasu. Durand udziela instrukcji sierżantowi i Diopowi, którzy z kolei przekazują je osobie obok. Ten łańcuszek niesie rozkaz aż do chłopaka, który potakuje i przekazuje go mnie.

– Na sygnał czciwego Gottschalka skaczesz do przodu, a ja cię osłaniam. Dobiegasz do tamtego murka, a dalej robimy na odwrót – ja biegnę, a ty mnie osłaniasz. Jasne?

Kiwam twierdząco głową, ale nie zdążam już odpowiedzieć, bo Gottschalk podnosi swoją prawicę i wskazuje krzyżem fortecę.

Co drugi z nas przeskakuje murek niemal bezgłośnie i pędzi w stronę schronienia za drugim murkiem, jakieś pięćdziesiąt metrów przed nami. Ja też skaczę. Wenzel, biegnący pozornie bez żadnego trudu, mimo bardzo ciężkiego worka na plecach, pokazuje mi, żebym się bardziej schylił. Wypełniam polecenie. Biegnę, schylony najbardziej jak mogę, spodziewając się w każdej chwili serii z karabinu, która położy kres mojej gonitwie. Ale nic się nie dzieje. Żadnego strzału, żadnych krzyków na trwogę.

Dopadamy do murka, zupełnie innego niż tamten. Ten został wzniesiony byle jak, z najprzeróżniejszych materiałów – z cegieł i kawałków zbrojonego betonu – stanowiących niespójną całość, która zapewnia zdecydowanie gorsze schronienie.

Podnoszę oczy w stronę budynku, jest już dużo bliżej.

Odwracam się.

Pierwszy murek wydaje się daleki jak Księżyc.

Krzyż znów podnosi się w górę.

Kapitan Durand i ośmiu pozostałych skaczą przez murek i biegną w naszym kierunku. Powiniennem odwrócić się w stronę budynku i osłaniać ich moim schmeisserem. Ale jestem zafascynowany ich

widokiem, nie mogę oderwać wzroku od ich biegu. Tylko Gottschalk został za murkiem i patrzy na swoich ludzi.

Są dwadzieścia metrów od nas. Dziesięć. Za chwilę znów będzie moja kolej.

I wtedy nagle rozpętuje się piekło. Serie z broni maszynowej i pojedyncze eksplozje, prawdziwy piekielny koncert. Usta chłopaka obok mnie otwierają się, na twarzy maluje się zdumienie. Trzy czerwono-czarne dziury pojawiają się na jego opończy z białego płótna. Czwarty strzał łamie pleksi maski i roztrzaskuje mu twarz.

Seria z karabinu maszynowego kosi ludzi biegnących na odkrytej przestrzeni. Jeden z naszych zostaje niemal przecięty na pół.

To Rossi.

Umiera tak, jak żył. Po cichu. Pada na kolano, jakby się modlił. Potem toczy się po ziemi z ranami dymiącymi na mroźnym powietrzu.

– STRZELAJ, GŁUPI KUTASIE!

Wrzask Wenzla sprawia, że się otrząsam z koszmaru.

Podnoszę głowę nad murek.

Ściana fortecy rozbłyskuje ogniem wystrzałów. Serie z naszych karabinów znaczą mur rzędami czarnych otworów, trafiają w cel, zmniejszają liczbę rozbłysków w oknach.

Durand przysiada obok mnie.

Nie wypowiada ani słowa. Podnosi tylko moje prawe ramię. Moja ręka, która trzyma schmeissera, jest słaba, bezwolna. On przesuwając lufę mojego karabinu w stronę budynku i kiwa potakująco głową.

Maska nie pozwala mi dojrzeć wyrazu twarzy, ale jego oczy są spokojne, kiedy mierzy z karabinu w okno na trzecim piętrze, z którego wystaje lufa rozpoznawalna nawet przez takiego profana jak ja.

To cekaem.

Właśnie jedną serią zamiótł murek, zmuszając nas do schowania głów.

– Pauli, wyciągaj RGppanc! – rozkazuje kapitan. – Okno na trzecim piętrze, na drugiej godzinie.

Wenzel kiwa głową. Otwiera worek, który miał na sobie i wyciąga z niego broń podobną do bazooki. Manipuluje przy niej chwilę, po czym gwałtownie wstaje i mierzy w budynek. Bazooka pluje ogniem i wypuszcza białe pióro. W niespełną sekundę później okno z cekaemem eksploduje, wyrzucając w powietrze odłamki betonu i kawałki ciała.

Wenzel rzuca na ziemię bazookę, czy jak to się tam nazywa.

Łapie pistolet i skacze przez murek.

Nie bacząc na ogień z karabinów, pozostali gwardziści i ludzie Gottschalka z kapitanem Durandem na czele rzucają się w stronę budynku pod prawdziwym gradem kul.

Nie pozostaje mi nic innego, jak biec za nimi. Moje nogi zdają się biec same. Wychylam się nad murek i spuszczam na drugą stronę. Wstaję niezdarnie, zdziwiony, że nie dosięgła mnie jeszcze żadna kula. Strzelam na chybił trafił w nadziei, że nie trafię żadnego z naszych, i biegnę w stronę fortecy. Obok mnie pada dwóch żołnierzy, potem trzeci. Dwóch już nie wstaje. Ten ostatni chyba stracił rękę, ale podniósł się i biegnie mimo to w stronę wroga. Teraz rozbłyskują ogniem już tylko trzy okna, ale po naszej stronie pada kolejny żołnierz. Gottschalk ciągle chowa się za murem. Nie wstaje nawet, żeby osłonić nas ogniem.

Powstrzymuję siłą wrzask wściekłości w gardle, pokonując ostatnie metry, i dopadam do innych stojących już pod murem budowli.

Chroni nas teraz zadaszanie. Bune i dwóch ludzi Gottschalka pilnują narożników, podczas gdy my zajmujemy się naszym rannym.

Ramię stracił Yegor Bitka. Wenzel odciąga go z trudem w spokojniejsze miejsce.

Kapral Diop opatruje go tym, co ma w lichej apteczce zabranej zamiast bezużytecznego radia polowego.

Sierzant Wenzel, kiedy patrzy na ranę podwładnego, ma ziemistą twarz. Strzępy poszarpanych mięśni i ścięgien, biel kości i potok niedającej się zatamować krwi, pomimo opaski hemostatycznej zawiązanej przez czarnego kaprała. Ramię Bitki zostało wyrwane prawie na wysokości barku. Takiej rany nie można opatrzyć.

Żołnierz jest w stanie katatonii. Wstrząsają nim drgawki, jak od porażenia prądem. Twarz, już bez maski, blednie z minuty na minutę, aż w końcu ostatni wstrząs i Yegor nieruchomieje na zawsze.

Automatycznie, bez zastanowienia, klękam przy nim, żeby odmówić formułę ostatniego namaszczenia. Ale Durand kręci głową.

– Nie ma czasu. Skończmy tę robotę.

Rzuca spojrzenie w kierunku tego tchórza Gottschalka i wydaje instrukcje Wenzlowi i Diopowi. Pozostali, którzy przeżyli z grupy szturmowej, będą ich osłaniać.

Cała trójka idzie do drzwi budynku. Są ciężkie, ale chyba nie przerażają Duranda.

On i Wenzel nakładają na krawędzie paski czegoś w rodzaju szarego plastiku. Wciskają potem coś w tę plastelinę i oddalają się.

Wybuch jest niewielki, ale drzwi wpadają po chwili do środka. Cała trójka przekracza biegiem próg, a my za nimi.

Walka wewnątrz trwa zaledwie parę minut. Obrońców zostało niewielu, nie potrafią stawić oporu naszej zabójczej furii. Zmiotamy ich krótkimi seriami i pastwimy się nad leżącymi ciałami zbędnymi, sadystycznymi strzałami.

Ostatni, który zabarykadował się na najwyższym piętrze, rzuca broń bez amunicji i podnosi ręce do góry z oczami pełnymi przerażenia.

Wenzel podchodzi do niego i zabija dwoma strzałami w twarz z bliskiej odległości.

I to już koniec.

A wtedy następuje coś niewiarygodnego – w ciszy, jaka zapadła po strzelaninie, rozbrzmiewa płacz dziecka. A potem wielu dzieci.

Kiedy rzednie dym, dociera do nas, czego tak zaciekle bronili miejscowi. Ich skarbu. W głębi pokoju siedzi grupka skulonych kobiet i dzieci, które drżą i tulą się do siebie. Jest ich około dwadzieścioro.

Durand patrzy na nich przestraszony.

Schmeisser wypada mu z rąk.

W tej samej chwili do pokoju wchodzi Gottschalk.

Jego ciężkie kroki brzmią jak uderzenia w bęben.

– Brawo! Nasza odwaga została nagrodzona! Bóg dał nam kolejne zwycięstwo, po triumfie w Santarcangelo, kiedy starliśmy z powierzchni ziemi to haniebne gniazdo heretyków! Nasze bohaterstwo...

Durand patrzy na niego osłupiały.

Schyła się po karabin.

W odpowiedzi na ten ruch daje się słyszeć metaliczny szczęk.

Za plecami Gottschalka stoi dwunastu mężczyzn uzbrojonych w kałasznikowy. W niczym nie przypominają „żołnierzy”, którzy zdobyli fortecę. Mają twarde spojrzenia, zadbane mundury. Żadnych tam opończy ze starych prześcieradeł. Mają na sobie czarne mundury z dwoma złotymi krzyżami na kołnierzyku. Płaszcz przeciwpromienne, również czarne, wyglądają jak prosto od producenta. Podobnie karabiny.

– Na pana miejscu nie robiłbym tego – uśmiecha się Gottschalk. – A skoro już przy tym jesteśmy, to proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby złożyli broń.

Wypełniamy rozkaz.

Cóż innego moglibyśmy zrobić?

Jesteśmy zmęczeni, a oni mają miażdżącą przewagę liczebną.

Kładziemy na ziemi schmeissery.

Gottschalk podchodzi do swoich żołnierzy, którzy brali udział w ataku.

– Byliście wspaniali! Prawdziwi wojownicy Najwyższego! Dziś zapisaliście kartę chwały w historii jedynego prawdziwego kościoła, Kościoła Boga Walczącego.

– Sądziłem, że waszym zadaniem jest zabijanie mutantów i wypalanie ludzkich herezji.

To głos Bunego. Nadzwyczaj poważny i trzeźwy.

Gottschalk odwraca ku niemu głowę. Ma minę, jakby go przed chwilą ukąsił jakiś natrętny insekt.

– Co po-wie-dzia-łeś? – sylabizuje.

Bune robi krok naprzód, wychodząc z kręgu naszych. Podchodzi do kobiet i dzieci, które uwięziliśmy.

– To nie są mutanty. A co do herezji, dla Kościoła, dla prawdziwego Kościoła, to pan jest heretykiem.

Gottschalk wykrzywia twarz. Staje do Bunego plecami. Po chwili odwraca się gwałtownie. Z jego ręki wylatuje nóż. Ostrze zatapia się w ramieniu żołnierza Gwardii Szwajcarskiej. Bune pada na ziemię bez jednego jęku.

– Ktoś jeszcze chce się poskarżyć?

Stawia nogę na piersi Bunego. Wyciąga nóż. Wyciera ostrze o mundur gwardzisty.

– Dziś wypełniliście wolę Boga. Dzięki wam Rimini zostało wyzwolone, otwarte na handel i na Słowo Boże.

Rozwiera ramiona w geście, który w zamierzeniu miał być pokojowy. Ale jedno z dzieci zaczyna krzyczeć na widok tego ogra i jego czarnego pancerza.

– Dlaczego się boicie? Bo nie macie już ojca? Od dzisiaj ja będę waszym ojcem, a moi ludzie waszymi braćmi. Chodźcie mnie objąć.

Ale nikt się nie kwapi, wszyscy drżą ze strachu. Wtedy Gottschalk schyla się sam. Przygląda się dzieciom i wybiera jedno z nich. Podnosi je jak piórko. Chłopczyk o jasnych włosach szarpie się, wierzga. Gottschalk trzyma go przed sobą na wyciągniętych rękach i przygląda mu się uważnie. Po chwili podaje go jednemu z żołnierzy.

– Trzymaj, Sergio. Wydaje mi się w sam raz. Damy go Carli, która straciła swojego. Może znowu będzie normalna. Dobrze, proszę państwa. Skoro już się poznaliśmy, oznajmię wam trzy proste reguły Kościoła, do którego macie zaszczyt być przyjęci. Pierwsza reguła brzmi: należycie do Kościoła. Druga: będziecie ślepo posłuszni Kościołowi.

Uśmiecha się rozbawiony i ciągnie:

– Powiedziałem, że reguły są trzy. Nikt nie pyta, jaka jest trzecia? Dobrze. To znaczy, że nie powinniście jej poznać. I wasze szczęście. Bo jeszcze nikt z tych, co usłyszeli trzecią regułę, nie żył wystarczająco długo, żeby przekazać ją innym. A teraz idźcie już z waszymi nowymi braćmi. Zaprowadzą was do kwater, które wam przeznaczono. Dziś ujrzeliście jutrzeńkę nowej ery dla wolnej wspólnoty Rimini. Era otwarcia na handel i wiarę. Witajcie, witajcie moje dzieci.

Do nas zwraca się, jakby nagle przewrócił stronę.

– Wypełniliście dobrze wasze zadanie. Niestety, mieliśmy złe informacje na temat tego cekaemu. Zdarza się. Przykro mi z powodu rannych i zabitych.

– Jednego sam pan zranił – uściśla sucho Durand.

Gottschalk zupełnie ignoruje jego spostrzeżenie. Patrzy na swoich żołnierzy, którzy stawiają na nogi więźniów bez zbytnej uprzejmości i wyprowadzają ich z pokoju.

– Opłaciliście sobie bilet do Wenecji. Ruszamy jutro o świcie. Po ceremonii oczyszczenia.

– Chciałbym zobaczyć doktor Lombard.

– Zobaczy ją pan, zobaczy. Cierpliwości. Zobaczy ją pan na ceremonii.

– A do wieczora?

Gottschalk wygląda na szczerze zaskoczonego tym pytaniem.

– Co to znaczy?

– Co będziemy robić do wieczora?

– No, moglibyście nam pomóc posprzątać. Pochować zabitych. A my w tym czasie sprawdzimy, czy w fortecy nikogo już nie ma.

– Pochować zabitych... Możemy dostać naszą broń?

– Nie, obawiam się, że nie. I bądźcie uprzejmi zdać moim ludziom noże, które macie przy sobie. Po co mamy was przeszukiwać? Byłoby to upokarzające i dla nas, i dla was.

– Zostawiacie nas bez broni na obszarze działań wojennych?

– O, to już nie jest obszar działań wojennych. W Rimini zapanował w końcu pokój. Niech pan będzie spokojny: będą was eskortować moi ludzie. Nie macie się czego obawiać.

I rusza wyprężony ku wyjściu. Ale w progu odwraca się do nas z uśmiechem.

– A, kapitanie, chciałem panu jeszcze coś powiedzieć. Może pan to już sam załapał. Mój mały Caliban jest fizycznie upośledzony, ale za to ma słuch nietoperza. Nikt bezkarnie nie może spiskować za moimi plecami, kapitanie Durand.

Rozdział 27: Święto oczyszczenia

Grzebiemy Yegara i Marca na plaży. Nie mamy narzędzi do drążenia betonu, więc kopujemy dziurę w piasku przy użyciu kawałków blachy.

Dziura nie jest zbyt głęboka. Ale nie ma już przecież drapieżnych ptaków, które mogłyby odgrzebać szczątki.

Pozostali zabici nie mieli takiego szczęścia. Oprawcy Gottschalka nabrali nas, kiedy podjęliśmy ten temat. Sami stojąc pod wiatą, pokazali nam „praktyczne rozwiązanie”. Wedle ich wskazówek, które były raczej rozkazami, zebraliśmy jak najwięcej materiału łatwopalnego na placu przed fortem, obok dziwnej, spiralnej konstrukcji przypominającej skorupę ślimaka. Przepuszczalnie była to kiedyś dekoracja placu. Teraz to już tylko zbędna ozdóbka, symbol naszej nielogicznej, rozrzuconej przeszłości. Kiedy wartownicy uznali stos drewna i kartonów za wystarczająco wysoki, kazali nam położyć na nim zwłoki swoich kompanów.

– A tutejsi? – zapytałem.

– Jeżeli chcecie – odpowiedział jeden z nich zza maski, która upodabniała go do monstrualnego insekta. – Ale nie razem z naszymi.

Tak też zrobiliśmy. A na ciałach położyliśmy dodatkowo więcej materiałów, przede wszystkim stare tablice reklamowe, na których widniały jeszcze nazwy wielkich marek z przeszłości: Toshiba, Bacardi, Alfa Romeo. Plakat z bielizną przedstawiał rosyjską modelkę, która odniosła duży sukces na kilka miesięcy przed Wielką Zagładą. Gdy Diop rzucał to na stos, próbował sobie przypomnieć jej nazwisko. Irina coś tam.

Kiedy skończyliśmy tę robotę, stwierdzili, że możemy pogrzebać naszych.

Żaden z nich nie zaproponował pomocy. Powiedzieli nam, żebyśmy się za bardzo nie oddalali, żeby mogli nas dozorować spod zadaszenia, gdzie został i Bune, zbyt słaby, żeby nam pomóc.

Nie mamy dozymetrów. Również i je nam zabrali. Nie możemy stwierdzić, ile promieniowania przyjmujemy na zewnątrz, w tym słońcu.

Ale to i tak nie ma znaczenia.

Dotarło już do nas, że żaden z nas nie wyjdzie z Rimini żywy.

Kiedy sierżant Wenzel uznaje, że grób jest wystarczająco głęboki, on sam i Marcel Diop podnoszą ciała Bitki i włoskiego chłopaka i składają je w mokrym, zimnym piasku. Robią to z nadspodziewaną delikatnością. Sierżant schodzi do grobu, żeby ułożyć na piersi Bitki jego odstrzelone ramię.

Odprawiam nabożeństwo żałobne.

Wszyscy zdjęliśmy maski. Możemy teraz spojrzeć sobie w oczy. Ich twarze są ziemiste, napięte. Przypuszczam, że moja też musi tak wyglądać. Długo noszone maski przeciwgazowe pozostawiły czerwone ślady na skórze.

Kiedy kończę obrzęd, Durand podchodzi do otwartego grobu.

– Ja też chciałbym dodać kilka słów.

Zamyka oczy.

Jego głos jest spokojny, głęboki, kiedy recytuje z pamięci Psalm 57: Boże, zetrzyj im zęby w paszczy;

Panie, połam lwiatkom siekacze!

Niech się rozejdą jak spływające wody,
niech zwiędną jak trawa przy drodze.

Niech będą jak po ślimaku ślad,

co po drodze się rozplywa,

jak kobiety płód, niech nie widzą słońca.

Sprawiedliwy się cieszy, kiedy widzi karę,
myje swoje nogi we krwi niegodziwca.

A ludzie powiedzą: „Uczciwy ma nagrodę;
doprawdy, jest Bóg, co sądzi na ziemi”.

To nie do wiary, ale nagle jakby wiatr potężny powiał w naszych sercach.

Wiatr, który wrócił nam energię i nadzieję.

Prostujemy plecy i stajemy na bacność. Słowa utrwalają się w naszej pamięci jak złote litery w marmurze.

A kiedy odpowiadamy chórem „Amen”, czuję nadzieję.

Że nasz Bóg – prawdziwy Bóg – nas nie opuści.

Wracamy do środka.

Eskortują nas do pokoju bez okien, z żelaznymi drzwiami. Przypuszczalnie była tu kotłownia, ale każda mechaniczna część została wyniesiona, pozostawiając po sobie na posadzce ślady rdzy i oleju silnikowego.

Kiedy drzwi zamykają się, otaczają nas ciemności.

Pomieszczenie jest małe, niemal jak schowek. Żeby móc położyć Bunego na ziemi, ze złożoną kurtką Duranda zamiast poduszki, pozostali muszą zrezygnować z pozycji siedzącej.

Nikt nic nie mówi. Nie jesteśmy pewni, czy ktoś nas nie podsłuchuje. Nadmierna rozmowność doprowadziła nas właśnie do tego stanu.

A może nie.

Może i tak wszystko by się skończyło w ten sposób. Może od początku już było tak postanowione.

Drzwi otwierają się akurat na tyle, że wystarczy naszym strażnikom, by rzucić na podłogę celi mały worek.

Otwieramy go w ciemnościach, macamy zawartość. Papier zalatuje pleśnią, czymś starym, a żywność w środku pachnie nie lepiej. Suszona ryba. Niewiarygodnie słona. Oczywiście nie dali nam nic do picia. Jemy. Rozrywamy te trzy ryby palcami i przekazujemy sobie po kawałku. Kiedy się kończą, oblizujemy palce.

Zaskakuje nas cichy śmiech Bunego.

– Co jest? – pyta Durand.

– Pomyślałem, że to niesprawiedliwe.

– Co?

– Że zginęli jedyni Włosi z naszej grupy. Guido mówił wciąż o rybach morskich. O tuńczyku, ale nie tym z konserw. O doradzie, włóczyku... Nawet o sardynkach. Jak mu tego brakowało.

– I chce ci się śmiać?

– Nie. Tylko że to taka... ironia losu. On umiera, a na stół wjeżdża ryba morska. No, na stół... umownie rzecz biorąc.

– Mógł ojciec spróbować jednego z tych numerów – odzywa się Diop.

– Jakich numerów?

– No, z rozmnożeniem ryb, na przykład.

– Ten numer jest raczej poza moim zasięgiem. Udawał się, niestety, tylko jednemu.

– Mógłby ojciec chociaż spróbować.

– Jeżeli jeszcze coś zostało, to chętnie.

Siedzimy w milczeniu, gdy minuty mijają, a pragnienie rośnie.

– Skąd mają ryby? – pyta ni stąd, ni zowąd Diop. – Myślałem, że morze jest martwe.

– Nigdy nie lekceważ morza – mówi Bune szeptem, co zazwyczaj mu się nie zdarza. – Tam narodziło się życie. Nie jest tak łatwo je zabić.

Diop odchrząkuje.

– Kapitanie...

– Tak, Marcel?

– Tak sobie myślałem. Myślałem, że Yegor by chciał... Znaczący, pan na pogrzebie, tam, na zewnątrz, powiedział te słowa, chyba z Biblii, i... to były mądre słowa. Mocne. Ale myślę, że Yegor wolałby być wspominany modlitwami swojej wiary. Ja też chciałbym być żegnany słowami i obrzędami mojej wiary, kiedy już przyjdzie... no, kiedy już przyjdzie to, co ma przyjść...

Durand milczy chwilę. Wzdycha.

– Oczywiście. Masz rację. Jeśli ojciec Daniels nie ma nic przeciwko...

Staje mi przed oczami obraz Duranda celebrującego pogański rytuał w silosie za Rzymem. Kiedy recytował psalm zupełnie zapomniałem o tamtej scenie.

Chciałbym zaproponować, ale przecież ci mężczyźni kroczą w cienistej dolinie śmierci.

– Nie, nie mam nic przeciwko.

To dziwne uczucie, słyszeć Duranda w monotonnym hipnotycznym śpiewie: – „O stróże Porządku, których prawo będzie na zawsze święte, w najwyższe nieba rydwan wasz się wznosi...”

Słucham zafascynowany słów płynących z ciemności, na chwałę zapomnianego boga.

– „Przyjdzie Zbawiciel i zbudzi umarłych: zabije byka i ofiarą tą umarłych zbudzi. Z tłuszczu zwierzęcia i białego ciała zbawiciel wydestyluje napój nieśmiertelności i da go wszystkim ludziom, czyniąc nieśmiertelnymi...”

Czy to są pogańskie hymny? Z pewnością.

Czy poganami są ci, co je śpiewają? Tego już taki pewien nie jestem.

Jeśli pominąć formę, to co słyszę, nie jest przecież takie dalekie od tego, w co wierzę: sprawiedliwość, życie po śmierci...

Słuchając brzmienia zniewalającej kantyleny, zamykam oczy i, nie wiedząc kiedy, zasypiam na stojąco.

Po dobrych sześciu godzinach w korytarzu rozbrzmiewają rytmiczne kroki.

Drzwi otwierają się na oścież.

Snop światła latarki skacze po naszych twarzach.

Jest ich trzech, są uzbrojeni w karabiny maszynowe.

Mrużymy oczy, żeby obronić się przed światłem. Osłaniamy twarze rękami.

– Już, wychodzić! Ceremonia zaraz się zacznie. Ranny może chodzić?

– Tak.

– I jego szczęście. Idziemy, szybko.

Pierwszą rzeczą, jaką słyszymy, jest dudnienie bębnów. Coraz bliżej i bliżej, wybijają jakiś prymitywny rytm. Towarzyszą im instrumenty dęte: flety, saksofony i klarnet, którego melodia wiję się jak wąż na tle gęstej plataniny perkusji.

Muzyka jest ciężka, ale niepozbawiona siły. Z rodzaju tych, co podrywa nogi do tańca, a jednocześnie przejmuje dreszczem.

Plac przed fortecą pełen jest ludzi, którzy ogrzewają się przy dwóch dużych ogniskach. Scenerię oświetlają reflektory.

– Zwariowali? – szepcze Diop, wytrzeszczając oczy. – Wychodzą w nocy, żeby urządzać cały ten cyrk?

Wenzel ruchem podbródka pokazuje reflektory.

– A nie mówiłem?

Durand kiwa głową, patrząc na nasze dwa hummery. Na pokrywie silnika przykucnęli uzbrojeni mężczyźni.

Żaden z nich nie ma maski. Oprócz kobiet i dzieci wziętych w fortecy, które siedzą razem pod lufami karabinów, jest wiele osób, których nigdy dotąd nie widziałem.

Absurdalnie, głównym elementem ceremonii wydaje się sterta łatwopalnych materiałów, którą ułożyliśmy jako stos dla poległych. Na szczycie tego stosu, który został dodatkowo podwyższony, stoją dwa pale. Powietrze przesiąknięte jest zapachem paliwa.

– To nie wróży niczego dobrego – mówi szeptem Diop.

– Cicho! – rozkazuje strażnik, uderzając go w ramię kolbą karabinu.

Sadzają nas w pierwszym rzędzie.

Wenzel i Diop trzymają pod pachy Karla Bunego, który stara się zachować przytomność, ale co chwilę zamykają mu się oczy i opada głowa. Ma wysoką gorączkę, majaczy.

Pragnienie trawi mi wnętrzności.

Siedzimy tam długo i patrzymy, jak wyznawcy Gottschalka tańczą w blasku ognia, z gardłowymi okrzykami, wyrzucając co chwilę w górę ramiona, jak ongiś kibice wrzeszczący „ole!” na stadionie piłkarskim.

Bębny wzmagają swój rytm. Muzyka przechodzi w piszczącą kakofonię o spastycznym tempie. Para z ust tańczących unosi się i przybiera dziwaczne, upiorne kształty.

Kiedy paroksyzm sięga zenitu, tłum rozstępuje się, a na plac wchodzi David Gottschalk.

To triumfalne wejście. Wśród jego wyznawców podnoszą się okrzyki wielkiej radości. Jest nawet ślepa dziewczyna, która pomogła mi wyjść z ciemnej katedry. Śpiewa i tańczy z innymi, trzymając wysoko głowę z tymi swoimi zaszytymi orbitami, które są niczym martwe kratery Księżyca.

Gottschalk nie ma na sobie zbroi bojowej. Ubrany jest w czarną tunikę długą do ziemi, ozdobioną kilkudziesięcioma krzyżami haftowanymi złotem. Czoło zdobi mu mała złota korona. Zaczesane do tyłu włosy posmarowane są błyszczącym olejem. Niewiarygodne: korona imituje cierniową koronę Chrystusa. Prawdziwe bluźnierstwo.

Podnosi rękę, nakazując ciszę.

– Ludu mój, Ludu Boży, posłuchaj mnie! Dziś Pan dał nam wielkie zwycięstwo nad naszymi wrogami, zwycięstwo, za które będziemy mu dziękować i głosić jego chwałę aż po kres czasów! Dziś Bóg oddał w nasze ręce miasto Rimini! Odtąd na naszych stołach nie zabraknie ryby i soli. Bo dłoń Wszechmogącego dokonała cudów!

Podchodzi teatralnym krokiem do grupy więźniów. Wybiera młodą piękną dziewczynę i każe jej wstać. Ta wygląda na śmiertelnie przerażoną, ale jak ma zareagować? Daje się prowadzić na środek placu. Gottschalk przywołuje jednego z wojowników swojego elitarnego oddziału.

– Kobieto, głupia duma twoich władców uczyniła cię wdową. A oto ja zwracam ci płodność. Kobieto, to jest twój mężczyzna.

Żołnierz śmieje się szyderczo i ciągnie dziewczynę za rękę.

Identyczny rytuał powtarza się dziewięć razy, póki każdy z czarnogwardzistów Gottschalka nie otrzymuje swojego wynagrodzenia w postaci kobiety.

Znów wzrasta dudnienie bębnow, a pozostałe instrumenty piszczą coraz głośniej.

Gottschalk podnosi rękę.

Wszelkie dźwięki ustają jak nożem uciął.

Cisza jest tak głęboka, jak oddech nocy wokół nas.

– Ludu Boży! Nadeszła chwila oczyszczenia!

Dwa uderzenia w bębny.

– Nadeszła chwila, gdy zmyjemy z naszych szat plamy grzechu i gwałtu. Poprzez oczyszczenie ze zła mówimy Bogu, że należymy do niego, i tylko do niego.

Prawą ręką daje znać żołnierzom. Na plac zostają wprowadzone dwie małe postaci owinięte w białe płótna.

Trzy uderzenia w bębny.

– Święte księgi mówią, że Bóg żąda od swojej trzody ofiary doskonałej. Baranków bez skazy.

Białe płótna zostają zdjęte. Dwoje nagich dzieci, drżących z zimna i przerażenia, wytrzeszcza oczy na ogień i tłum.

To nie są dzieci wzięte w Rimini. Muszą należeć do trzody Gottschalka.

Ten chyli głowę. Potrzęsa nią.

– Boli nas ta ofiara. Wiemy, że jest konieczna, choć serca ściskają się na myśl o utracie dwóch jagniąt z naszej trzody. A jednak Pan żąda od nas dwóch ofiar...

Tłum faluje jak wzburzone morze. Są w nim rodzice tej dwójki dzieci.

Gottschalk uśmiecha się. Podnosi z ziemi dwa białe płótna.

– Bóg zażądał ofiary od Abrahama. Ofiary w postaci jego syna, Izaaka. I Abraham posłuchał. Ale w chwili, gdy nóż jego unosił się nad Izaakiem...

Na ramiona dzieci opadają dwa płótna.

Światła hummerów gasną.

W ciemności głos Gottschalka brzmi jeszcze potężniej.

– ...Bóg zesłał anioła, by dłoń Abrahama powstrzymać. Anioł powiedział, że Bogu spodobała się wierność jego sługi i przysłała baranka, by zastąpić ofiarę Izaaka...

Światła SUV-ów znów zapalają się i oślepiając nas.

Teatralnym gestem Gottschalk zrywa z postaci białe płótna.

Na miejscu dzieci stoją teraz mężczyzna i kobieta, zupełnie nadzy.

Mężczyzna jest chudy, kaleki.

To Książę Urbino.

Jego ciało pokrywa pajęczyna zadrapań i nacięć. Usta ma zakneblowane.

Jęczy i wije się, nadaremnie próbując krzyczeć.

Kobieta próbuje zachować godność. To doktor Lombard.

Durand staje na równe nogi.

Ręce jednego z gwardzistów sprowadzają go z powrotem na ziemię.

Gottschalkowi nie umknął żaden szczegół tej sceny.

Odwraca się z uśmiechem w stronę Duranda. Później zwraca się do swych wyznawców.

– I Bóg zesłał dwa baranki, by zastąpić naszych synów w tej ceremonii oczyszczenia!

Z tłumu dobiega radosny krzyk.

– Bóg uratował nasze dzieci! – grzmi ubrany na czarno opętaniec. – Bogu jest miła ofiara tych dwóch istot, co czystymi wcale nie są. Oto tu, przed waszymi oczami stoi młody Książę Urbino. Ten, któremu Bóg powierzył ochronę i rząd nad miastem Urbino, a który uległ swej słabej, nikczemnej naturze, by oddać się nierządowi z istotami nieczystymi, i zrobił ze świątyni ciała swego dom publiczny pełen zgnilizny. Czy chcecie, by złożyć go w ofierze?

Z tłumu dobywa się jedno wielkie: „TAK!!!”.

– A ta kobieta...

Adćle Lombard ma przestach w oczach. Rozgląda się wokół siebie, czegoś szuka. Kiedy jej oczy napotykają wzrok Duranda, uśmiecha się przez chwilę. Ale to tylko chwila.

Jej nagie ciało pokryte jest siniakami i bliznami. Na piersiach ma ślady poparzeń. Ugryzienia.

– Ta kobieta jest jeszcze potworniejszą grzesznicą. Przyznała się do wykonywania zakazanych doświadczeń, sprawy naukowe...

Na słowo „naukowe” tłum przeszywa dreszcz, wszyscy wstrzymują oddech.

– Tak, mój ludu, usłyszałeś słowo „naukowe”. Ta kobieta popełniła grzech pychy, który zaprowadził ludzkość na skraj unicestwienia. Wykonywała eksperymenty na istotach ludzkich...

– Tylko po to, żeby im ratować życie! – protestuje Adćle.

Na oczach bezradnego Duranda skrępowanego przez trzech gwardzistów i trzymanego na muszce przez czwartego, Gottschalk wymierza strasznego kopniaka prosto w głowę Adćle, która pada na ziemię

niczym worek.

Mówi Pan: „Nie pozwolisz, aby wiedźma żyła!”.

– „NIE POZWOLISZ, ABY WIEDŹMA ŻYŁA!” – powtarza tłum jednym głosem.

Bez żadnych rozkazów czterech mężczyzn chwytają ciało Adčle, niesie je na sam szczyt stosu i wiążą do pierwszego pala.

To samo robią z Księciem, który nie stawia najmniejszego oporu, jakby się już pogodził z takim końcem.

Kiedy czterej posługacze schodzą ze stosu, Gottschalk dostaje do ręki zapaloną pochodnię.

– I oto nadeszła ta chwila. W swym nieskończonym miłosierdziu Pan przyjmie na swoje łono dusze tych grzeszników, oczyszczając od zła naszą wspólnotę.

Durand jest gotów do skoku. Każdy mięsień jego ciała zdradza ten zamiar. Skoczy na Gottschalka bez względu na wszystko. Chociażby po to, żeby mieć możliwość zaciśnięcia dłoni wokół szyi tego monstrum. I ocalenia swojej kobiety.

Ale Gottschalk nie jest głupi.

Najpierw dał gwardzistom znak oczami, żeby mocno trzymali Duranda, a potem ruszył wolno w stronę stosu z kartonu i drewna.

– Proszę Boga...

Płomień pochodni zbliża się do stosu.

– ...aby tym ogniem oczyścił naszą wspólnotę.

Niebieskie jęzory ognia buchają na stercie i wznoszą się wysoko. Durand płacze, krzyczy i próbuje się oswobodzić z uścisku strażników.

Ogień liże stopy Księcia. Kaleka wydaje się otępiały. Strużka śliny spływa mu po szyi. Kiedy płomień sięga twarzy, ślina skwierczy i paruje. Książę wydaje z siebie przeciągły krzyk bólu, który brzmi jak wycie psa.

Wtedy Adčle otwiera jedno oko. Drugie zakryte jest krwiakiem od strasznego kopnięcia Gottschalka.

Spierzchnięte, poranione usta otwierają się, obnażając połamane zęby.

– Czy to jest wasz dowódca? Ten tutaj? Zgwałcił mnie! Zrobił mi rzeczy nikczemne! Jeżeli ten człowiek jest święty, to świętość jest największą ze zbrodni w oczach Boga! Ja tylko...

Pada strzał z pistoletu. Głowa Adčle rozpada się. Kiedy płomienie dosięgają jej ciała, trawią już tylko zwłoki.

Gottschalk opuszcza pistolet.

– Typowe dla bab, wszystko popsują.

Odwraca się do Duranda.

Celuje do niego z broni.

W tym momencie, jak w biblijnej opowieści, otwiera się niebo, i ciężki deszcz spada na ogień i na ludzi.

Ale to nie woda: to wirująca burza łykowatych skrzydeł, pazurów i kłów. Spada z nieba i rozlewa się we wszystkie strony, bijąc w tłum na oślep, bez rozróżnienia między więźniami i oprawcami. Jakieś długie ramię chwytają jedno z dwójki nagich dzieci i rzuca nim o mur, na którym pozostaje krwawy ślad. Jakaś kobieta zostaje dosłownie rozdarta na pół. Scena rodem z piekła, jak na obrazach średniowiecznych malarzy.

Korzystając z tego zamieszania, Durand uderza z łokcia jednego strażnika. Ze zwinnością, która ma w sobie coś magicznego, skacze najpierw w prawo, później w lewo, nokautując dwóch pozostałych. Jeden kończy na ziemi ze złamanym karkiem, drugiego dobija kopnięcie w twarz. Diop i Wenzel nie czekają na zaproszenie. Gołymi rękami atakują pozostałych strażników i błyskawicznie ich pokonują.

Nie wiedząc nawet dobrze, co robię, odwracam się i uderzam pięścią w ramię strażnika. Ale ten nie

wypuszcza broń z ręki. Podnosi karabin i wymierza mi go w twarz.

Jak w zwolnionym tempie widzę jego palec pociągający za spust...

I nagle błysk, jakiś szybki ruch.

W lecącym ostrzu odbija się światło.

Z gardła strażnika sterczy rękojeść noża rzutowego.

– Musisz być szybszy, księżo – drwi Marcel Diop, wyciągając nóż z gardła ofiary, która wije się jeszcze na ziemi.

Zabieramy broń naszych strażników.

Tymczasem skrzydlate potwory o czarnych lśniących ciałach sieją wokół spustoszenie, jednak nie atakują ani mnie, ani Gwardii Szwajcarskiej. Jakbyśmy się znaleźli w nieruchomym oku cyklonu.

Durand patrzy oniemiały na ciało Adęle trawione ogniem, na włosy, które zapalają się niczym świeczka.

Potem szuka wzrokiem Gottschalka.

Obłąkaniec rzucił się do ucieczki w stronę swojej gigantycznej ciężarówki, swojego przeklętego „Kościoła Bożego na Kołach”.

Jego bandyci osłaniają go i giną w jego obronie od szponów i kłów skrzydlatych stworów.

– GOTTSCHALK! – wrzeszczy Durand. – JUŻ PO CIEBIE IDĘ!

I skacze jak dzikie zwierzę w stronę obłąkanego maga. Z każdym krokiem maleje między nimi odległość.

Dopada go na parę metrów przed pojazdem, który Caliban już uruchomił.

Łapie go za nogi i przewraca.

Gottschalk piszczy jak mysz. Durand przygważdża go do ziemi swoim ciężarem. Zmusza do odwrócenia się.

– Już nie będziesz zabijał, bestio!

Łapie cierniową koronę i z całej siły ciągnie ją w dół głowy. Ciernie drą skórę i mięśnie aż do kości. Wyrrywają oko, rozdierają wargę, aż korona zmienia się w krwawą obrożę.

Gottschalk wyje, próbując zatamować rękami krew.

Durand wstaje. Wenzel jest już u jego boku, gdy tymczasem ja i Diop podtrzymujemy omdlałego Bunego.

Durand przeładowuje pistolet, mierzy w czoło Gottschalka.

Wtedy ląduje przed nami skrzydlaty stwór, stając na szeroko rozstawionych nogach nad znieruchomiłym ciałem.

Wyciąga długą kościstą rękę i kładzie ją na piersi kapitana.

W mózgach odbija nam się echo silnego głosu.

„NIE ZABIJAJCIE GO.

NIE ZABIJAJCIE GO.

NIE ZABIJAJCIE GO.

MAMY DLA NIEGO COŚ INNEGO”.

Durand próbuje wycelować pistolet, ale jego ręka nie daje rady. Chociaż drży z wysiłku, nie może wziąć na cel Gottschalka.

Ramię stwora odrzuca go w bok.

Nie wyglądało na to, żeby stwór się wysilił, ale Durand ląduje prawie dwa metry dalej, na przymie śniegu. Gottschalk korzysta z okazji. Ze zrujnowaną, zakrwawioną twarzą, dysząc, rzuca się do ucieczki w stronę ciężarówki. Mimo jej ogromu, wspina się zręcznie jak małpa po drabinie. Caliban otwiera mu drzwi i rusza, jakby całe piekło deptało mu po piętach. Ale nikt ich nie ściga. Oddziały Gottschalka walczą o życie. Czarne stwory nie odpuszczają. Gdy pada jeden, na jego miejsce zaraz zjawiają się dwa następne. Ludzi ubywa regularnie. Potwory nie czynią różnicy pomiędzy dorosłymi i dziećmi,

uzbrojonymi i bezbronnymi. Totalna rzeź. Tylko naszą piątkę zostawiają w spokoju. Skrzydlaty stwór, który powstrzymał Duranda, chroni nas i jednocześnie pilnuje...

Kapitan patrzy bezsilnie na masę pojazdu, który się oddala i wkrótce niknie w zawierusze.

– Dlaczego mnie powstrzymałeś?! – krzyczy do stwora.

Ten nie odpowiada. Patrzy na rzeź, która się dokonuje na placu przed fortecą. Światło ognisk i stosu, na którym zginęła Adčle, oświetla sceny rodem z *Piekle* Dantego. Ludzie przestali się już bronić. Poddają się, rzucają broń. Ale to na nic. Skrzydlate stwory krążą wśród nich niczym żniwiarki po łanie zboża. Aż wszystko nieruchomieje, trupy i zabójcy, zimni i niedostępni jak posągi.

W ciszy słychać tylko szelest padającego śniegu i trzaskanie ognia trawiącego ciała Adčle, Księcia i innych ofiar.

Nie mam odwagi spojrzeć na ciało Adčle.

Z Księcia zostało niewiele. Łańcuchy, którymi go związane, podtrzymują coś na kształt czarnego płodu. Czaszka pęka z hukiem i uwalnia kłęby pary. Zwęglona głowa toczy się w popiół, wzbijając chmurę iskier.

Gdybym mógł, gdybym tylko mógł, wpakowałbym sobie kulkę w łeb. Łamiąc wszystkie zasady i nauki mojej wiary, odebrałbym sobie życie. Mając gdzieś Dobro i Zło, piekło i raj.

Jestem zmęczony tą wszechobecną śmiercią. Zmęczony życiem w świecie, który stał się jednym olbrzymim cmentarzem. Ale moja ręka nawet nie drgnie.

Jesteśmy jak marionetki, od których odcięto ostatni sznurek.

Żaden głos nie rozbrzmiewa w naszych umysłach.

Zostawiają nas wolno.

Byśmy słuchali wiatru zawodzącego pośród trupów.

Patrzyli na resztki naszych dwóch SUV-ów.

Byśmy oddychali tym cuchnącym, śmiercionośnym, napromieniowanym powietrzem.

Byśmy mogli pożyć jeszcze trochę w królestwie Śmierci.

Skrzydlate stwory poruszają się z godnością. Ich postawa w niczym nie przypomina zwierzęcej. To świadome istoty, wyposażone w niezrozumiałą moc. Jak to możliwe, że w dwadzieścia lat, zaledwie w dwadzieścia lat, mógł powstać podobny cud, podobny koszmar?

„CZAS”, szepcze głos w mojej głowie.

„CZAS NIE JEST TYM, CZYM CI SIĘ WYDAJE. NIE JEST RZEKĄ. JEST MORZEM”.

– Dlaczego nie uratowałeś Adčle? Dlaczego nie uratowałeś tej kobiety? Przybyliście za późno!

„KOBIETA BYŁA ZŁEM. NIE POWINNIŚCIE JEJ OPŁAKIWAĆ”.

Głos milknie, przerwany hałasem przypominającym odgłosy stada ptaków.

Stwory biją skrzydłami i szybko wzbijają się w powietrze.

Pochłania je ciemność, z której się wcześniej wyłoniły.

W jednej chwili.

Jak we śnie.

Zostajemy sami.

Ja, Durand, Diop i sierżant Wenzel. No i Bune, który nie odzyskał przytomności. Jego cera jest tylko nieco mniej biała niż śnieg.

To wszystko, co pozostaje z dumnej wyprawy Watykanu.

Rozdział 28: Wbrew wszystkiemu

Nie mogliśmy pogrzebać zabitych.

Światło jutrzeńki przegnało nas do środka, do pustych pokoi rozbrzmiewających ciężką ciszą.

Nie ma już życia w ruinach Rimini.

To, co znajdujemy wewnątrz fortecy, świadczy o wspólnocie zorganizowanej, której wiodło się w miarę pomyślnie. Są dobrze zaopatrzone magazyny, a kiedy wchodzimy do pomieszczenia większego od innych, w których mieściła się szkoła, czuję ucisk w gardle.

Na ścianach wiszą rysunki i mapy geograficzne. Mała tablica.

Mapy pokazują nieistniejące już kraje i granice.

Rysunki ilustrują życie wewnątrz schronu. Żadnych drzew czy motyli, które pojawiały się na rysunkach dzieci przed Wielką Zagładą. Żadnych zwierząt, żadnej trawy. Ani słońca.

A jednak rysunki nie są smutne. To niesamowite, ale radość życia i wesołość przebijają nawet z opisu scen tak nędznych, jak polowanie na myszy w podziemiach spowitych gęstymi pajęczynami, z pajakiem niczym Szeloba z *Władcy Pierścieni*. Ktoś musiał też dzieciom opowiedzieć historię Achillesa, bo grecki heros pojawia się na wielu rysunkach. Tyle że tłem dla rysunków nie jest równina trojańska, lecz budynek z cegieł, z którego okien wychylają się uśmiechnięci mężczyźni z karabinami. Dziwna krzywizna budowli uzmysławia mi, że chłopczyk, lub dziewczynka, próbował narysować fortecę, która była jego schronieniem.

– Z Bunem jest bardzo źle – mówi Diop.

Nie słyszałem, jak wszedł.

– Już schodzę – odpowiadam.

Ale patrzymy dalej na obrazki. Jakieś dziecko próbowało namalować zwierzę, które zapewne miało być kotem. Ale proporcje są zupełnie nieprawdziwe, a i żółty kolor też mało prawdopodobny.

Kręcę głową.

– Czy Bóg nam w ogóle wybaczy?

– Nie wiem. To ojciec jest ekspertem od tych spraw.

– Już nie.

Schodzimy do pomieszczenia, które było małą izbą chorych. Nadal jest czystsze od pozostałych. Nieliczne lekarstwa i instrumenty chirurgiczne, jakimi dysponowała wspólnota, są porządnie posegregowane i przechowywane w szafce zamkniętej na klucz.

Szyby szafki są wybite.

– Nie mogliśmy znaleźć klucza – tłumaczy się Wenzel. Siedzi przy łóżku Bunego.

Twarz Karla robi wrażenie. Naciągnięta na kościach policzkowych skóra uwydatnia kształt czaszki. Ma niezdrowy, żółtawy kolor.

– Co mu daliście?

– Nic. Nic tam nie ma.

W szafce były tylko puste pudełka.

Aspiryna, antybiotyki, gaza...

Same pudełka.

– Może się ojciec za niego pomodlić?

– Tak. A gdzie jest kapitan?

Wenzel wzrusza ramionami.

Ten gest jest dla niego tak mało typowy, że zaczynam się czuć nieswojo. Jeżeli sam sierżant Paul Wenzel rzuca ręcznik, to znaczy, że jesteśmy naprawdę w tarapatkach.

To sprawia, że podejmuję decyzję.

Postanawiam otrząsnąć się z własnego odrętwienia.

– Zaraz wracam. Muszę porozmawiać z kapitanem.

– W porządku.

Idę pustymi korytarzami. Moje kroki odbijają się echem od ścian.

Odnajduję Duranda na parterze. Siedzi w środku hallu, z kałasznikowem na kolanach. Wpatruje się w próżnię za drzwiami, które wysadziliśmy, żeby się tu dostać. W blasku leżącej na podłodze latarki śnieg tworzy na wietrze mgliste widma, swego rodzaju taniec cienia ze światłem.

Normalnie pozostawienie otwartych drzwi byłoby szalonym ryzykiem. Ale Durand jakby chciał kogoś – coś – sprowokować do wejścia.

Jakby na to coś czekał.

– Kapitanie – mówię półgłosem, podchodząc do niego.

Durand nie reaguje.

– Zimno tu.

Nie odpowiada.

– Proszę wejść na górę. Proszę tu tak nie siedzieć.

Odpowiada w końcu chrapliwym głosem, jakby odzwyczaił się od mówienia.

– Dobrze mi tu.

Siadam obok niego. Podłoga jest zimna jak lód.

– Więc posiedzę tu chwilę z panem.

Spogląda na mnie. Mierzy mnie długo.

– Byliśmy już na ty.

– Kiedyś. To było dawno.

– Dlaczego mówisz do mnie *per* pan?

Wzruszam ramionami.

– Muszę porozmawiać z kapitanem Markiem Durandem z Gwardii Szwajcarskiej.

– To ja.

– Nie. Kapitan Durand, którego znam, nie siedziałby tak wpatrzony w próżnię. On ma misję do wypełnienia.

– Kapitan Durand w tej chwili jest nieobecny. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału.

Uśmiecha się.

Najpierw Wenzel, teraz on.

Już po misji.

Zostaje mi tylko jedna karta.

– Na co pan tu czeka, tak sam?

– Na kobietę. Wiesz, jak to jest czekać na kobietę?

– Nie. Nie wiem.

Odwraca się. Wpatruje się we mnie.

– W Adčle odnalazłem kobietę mojego życia. Kogoś, kogo mogłem chronić, nie tylko kochać. Dla kogo mogłem reprezentować życie. A teraz ona...

Kręci głową.

– Ten głos w mojej głowie... Głos tego potwora... Ty też słyszałeś? Mówił, że Adčle to zło.

Kiwam głową.

– Adčle była najlepszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Nie była zła. Robiła, co robiła, bo tak należało. Badała zmiany, żeby móc ich użyć na naszą korzyść.

– O czym pan mówi?

– Nie pokazała ci swojego laboratorium? Nie? Szkoda. Jej badania zbliżały się do przełomowego momentu. Naukowy sposób myślenia to dziś już rzadkość. Adčle twierdziła z uporem, że nauka może

odegrać jakąś rolę w uratowaniu planety. Ale widziałeś, co się stało. Zginęła! Wtedy ze stacji Aurelia udało jej się uratować swoje zapiski. Ale już ich nie ma. Widziałem...

Przerywa. Jakby nie chciał już wracać myślami do tego, co ma powiedzieć.

– Widziałem miejsce, w którym ten maniak ją torturował i... gdzie zrobił jej to, co jej zrobił... W kącie na podłodze leżała duża kupka popiołu. I dwie torby, które Adčle uratowała. Wszystkie jej notatki zostały zniszczone. Lata pracy wyrzucone w błoto. Myślę, że to była najgorsza tortura.

– Adčle nie żyje, Marc.

– Marc? Znowu mi tykasz? Już nie potrzebujesz kapitana?

– Mam nadzieję, że Marc i kapitan mogą się znów połączyć. Potrzebuję ich dla mojej misji.

Durand wykonuje jakiś gest. Parska śmiechem.

– Twoja misja... Ta misja jest skończona, już po niej. Zapomnij o tym, *mon ami*. Jest nas zbyt mało. Dlaczego według ciebie udawałem, że kupuję bajeczki Gottschalka o zawiezieniu nas do Wenecji? Bo bez jego ciężarówki, w takim stanie, nie zrobimy nawet mili. A Wenecja jest daleko stąd. O ile w ogóle coś tam jest.

– Więc co mamy robić?

– Ja czekam. Ty rób, co chcesz. A, byłbym zapomniał. Mam dla ciebie prezent.

– Co mówisz?

– Tam, w kącie. Zrobiłem to dla ciebie.

Wyteżam wzrok, ale nie mogę nic dojrzeć w tym mroku.

Wstaję więc i podchodzę.

Dostrzegam z obrzydzeniem, że to kupka gówna. Wydaje paskudny fetor.

Już mam się odwrócić, ale zauważam jakiś błysk wśród odchodów.

– Musisz to zrobić gołymi rękami, John! Gołymi rękami!

Głos Duranda brzmi, jakby był pijany.

Nie ma niczego, czym mógłbym przesunąć ekskrementy. Przewycięzając odrazę, robię to ręką.

Bo jestem niemal pewny, czym jest błyszczący przedmiot.

Kciukiem i palcem wskazującym wyciągam z gówna papieski sygnet. Pierścień Rybaka.

– Nie zdążyłem dać go Adčle. To miał być pierścienek zaręczynowy. Teraz jest twój. Nie, żebym chciał się z tobą zaręczyć. Ale nie jest mi już po prostu potrzebny. Może wrócić do twojego Kościoła. Trochę wody z mydłem i będzie jak nowy. Soki żołądkowe nie trawią złota. A póki co, masz, zawiń go w to.

Podaje mi chusteczkę. Zawijam w nią pierścień.

Moja dłoń drży pod symbolicznym ciężarem tego przedmiotu.

– Połknąłem go, kiedy nas uwięzili. Widziałem, że odbiorą nam wszystko. A nie chciałem, żeby znaleźli akurat to. Jesteś zadowolony? To jeden z najważniejszych symboli twojej religii...

Kręcę głową.

– Nie mojej religii. Obrzędów kościelnych. Religia jest czymś innym. Skąd go masz?

– A według ciebie skąd mogę go mieć?

– Tylko z ręki papieża.

– Dobry jesteś. Zgadłeś. Widziałem, jak na niego patrzysz, tam, na stacji Aurelia. Przyznaję, że zabawiałem się trochę z tobą jak kot z myszką. Chciałem zobaczyć, jak długo wytrzymasz, zanim mnie spytasz, skąd go mam. Cóż, gratuluję. Przeszedłeś wszelkie oczekiwania.

– Skąd go masz, Marc?

Kapitan spuszcza głowę. Siedzi tak przez dłuższy czas. Kiedy ją podnosi, na ustach pełga mu ironiczny uśmiech.

– Opowiadałem ci, że kiedy bomby spadły na Rzym, w dzień FUBARD, byłem w Muzeach Watykańskich. Mówiłem, jak kardynał i jego eskorta uratowali mnie tamtego dnia. Jak poznałem

Tommasa Guidiego, który miał zostać moim mistrzem... Ale nie opowiedziałem ci jednego, nikomu jeszcze tego nie mówiłem: jak wszedłem w posiadanie pierścienia.

Kiedy wydostaliśmy się z ruin Kaplicy Sykstyńskiej, poszliśmy labiryntem komnat, długich korytarzy obwieszonych arrasami, ozdobionych z przepychem, który przejąłby grozą samego Jezusa. Tommaso ponaglał nas, nie pozwalając się zatrzymywać. Albani wyglądał, jakby miał zaraz paść. Miał dwadzieścia lat mniej, ale był o wiele bardziej korpulentny niż teraz. Nie dawał rady. A mnie strasznie chciało się pić. Okropnie zaschło mi w gardle przez ten pył. Poprosiłem Guidiego, by pozwolił mi wejść do łazienki napić się wody.

Albani też prosił o chwilę odpoczynku.

Znalezienie łazienki nie było łatwe. Niektóre komnaty były już zawalone, inne groziły zawaleniem w każdej chwili. Watykan nie jest nowoczesną budowlą. Składa się z różnych budynków oryginalnych i dobudówek...

Znalazłem jakiś przedsionek łazienki. Sufit był zawalony. Wśród gruzu i belek leżały dwa ludzkie ciała. Przeskoczyłem przez nie. Za zwałowiskiem widać było niedomknięte drzwi łazienki.

Wewnątrz – sen marzenie.

Z kranów płynęła jeszcze woda. Wypiłem jej tyle, że aż mi zaszkodziło. Zmoczyłem sobie włosy. Fantastyczne uczucie. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to ostatni raz. Że dni bieżącej wody są policzone. Odwróciłem się i otworzyłem drzwi do WC.

Dostałem niemal zawału, kiedy ujrzałem przed sobą papieża.

Siedział na muszli. Nieruchomo. Patrzył na mnie z miną sowy, która upolowała zdobycz.

Przeprosiłem i już miałem wyjść, ale zauważyłem, że jego wyraz twarzy się nie zmienia.

Zrozumiałem, że nie żyje.

Umarł na muszli, z opuszczonymi gaciami.

Nie znam przyczyny. Może na atak serca, chociaż nie było śladów bólu na jego twarzy. Ale nie było wątpliwości, że nie żyje.

Miałem kilka możliwości.

Najbardziej oczywistą rzeczą było wyjść i wezwać kardynała i jego ludzi.

Ale ja zostałem tam i patrzyłem na tego martwego człowieka, który był przywódcą największego Kościoła na świecie. Patrzyłem na niego tak długo, że w końcu przestałem widzieć cokolwiek, poza śmiesznie ubranym facetem ze złotym pierścieniem na palcu.

Ogromnym.

Nie jestem głupi.

Wiedziałem, że stare czasy już nie wrócą. Że czekała nas niepewna przyszłość, w której cała cywilizacja będzie zagrożona. Nie znałem jeszcze rozmiarów kataklizmu. Ale było jasne, że złoto...

Złoto zawsze było środkiem płatniczym w czasach kryzysu.

Pochyliłem się więc nad papieżem i zdarłem mu pierścień z ciepłego jeszcze palca.

Musiał umrzeć dosłownie chwilę wcześniej.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, że człowiek tak potężny musiał umrzeć w samotności. Nawet dziś nie umiem sobie na to odpowiedzieć.

Włożyłem pierścień do kieszeni i wróciłem do Albaniego i eskorty. Resztę znasz. Mniej więcej.

– Opowiadano nam zupełnie coś innego o śmierci papieża – mówię.

– Wiem. Ty też poznałeś tego bufona, kamerdynera Albaniego?

– Anselma?

– Właśnie. Słyszałeś jego historię? O papieżu, który przemawiał na placu Świętego Piotra do olbrzymiego tłumu? Który stał na balkonie Bazyliki, dopóki nie spadły bomby? To wszystko bujdy. Ciekawe, ile legend powstało w ten sposób? Ci święci, którzy nigdy nie zrobili tego, co im się przypisuje. Albo lepiej – którzy nigdy nie istnieli... Żadnych tłumów nie było tego dnia na placu

Świętego Piotra. Byli modlący się ludzie, ale z pewnością nie były to tysiące. Nie, śmierć papieża była o wiele mniej heroiczna, niż opowiadają. Rzecz jasna, zostanie to między nami. Tak jak zostało to między mną i Adčle.

Kiedy wypowiada to imię, znów zaczyna wpatrywać się w pustkę za progiem.

Jakby jego głos miał moc wywołania utraconej kobiety.

– Nie możesz tak pękać – mówię.

– Nawet gdybym nie chciał, co mogę teraz zrobić?

– Mógłbyś znów dowodzić zespołem.

– Nie ma już zespołu.

Patrzy na mnie wściekle.

– Ze Świętego Kaliksta wyruszał prawdziwy zespół! Siedem zdrowych osób. Zespół ma dwa samochody terenowe! Zespół ma karabiny maszynowe! My nie mamy już nic z tych rzeczy! My nie jesteśmy już zespołem! Ledwośmy ocaleli – szepcze i zwiesza głowę. – A na dworze łyknęliśmy wystarczająco dużo promieniowania, żeby kopnąć w kalendarz.

Wracam na górę. Scena się nie zmieniła, jakby faceci, których tu zostawiłem, byli posągami.

– Sierzancie – mówię, nachylając się nad Wenzlem, który chyba przysnął. – Sierzancie, proszę się zbudzić.

– Co jest?

– Kapitan chce, żebyśmy wyszli na zewnątrz i sprawdzili.

– Co sprawdzili?

– Auta.

– Jakie auta?

– Dwa hummery.

– Po co?

– Proszę posłuchać i tyle.

– Nie przyjmuję rozkazów od ojca.

– To rozkaz kapitana.

Ktoś inny popatrzyłby na mnie podejrzliwie.

Ale Wenzel wierzy w wartości posłuszeństwa i poszanowania hierarchii.

– No to idziemy.

Podnosi z ziemi kałasznikowa.

Odnalezione schemissery okazały się bezużyteczne. Wdeptane w błoto albo spalone.

Ze sterty odzyskanej broni i amunicji podnoszę pistolet.

Nawet gdybym nie miał żadnej misji do wykonania, nie mógłbym się doczekać wyjazdu z tego miejsca, gdzie odczuwam cały ciężar tego, co zrobiliśmy. To była szczęśliwa wspólnota, o ile w ogóle można być szczęśliwym w tych czasach. A my pomogliśmy szaleńcowi ją zniszczyć, i nie wymierziliśmy nawet za to sprawiedliwości.

Najbardziej obawiam się przejścia obok Duranda. Ale jego już nie ma. Zostawił na ziemi karabin i maskę przeciwgazową.

Wenzel patrzy na broń, ale nie komentuje.

Wychodzimy.

Ciemność absolutna.

Ile nocy podróży straciliśmy już na próżno?

O ile mil mogliśmy już być bliżej Wenecji?

Wiatr, ostry jak nóż, zamiata wydmami piasku i śniegu i wszystko zamazuje.

Przechodzimy obok szczątków stosu. W powietrzu unosi się jeszcze smród zjełczałego tłuszczu, drewna i spalonego ciała.

Świecemy sobie dwiema lampkami gazowymi znalezionymi w forticy i docieramy na skraj placu. Hummery wynurzają się z ciemności, jakby nam wychodziły naprzeciw.

Oba są w opłakanym stanie. Karoseria w wielu miejscach jest podziurawiona. Trochę mniej zniszczony jest żółty wóz, ten z lewoszybem do odśnieżania.

Wenzel kiwa głową.

– Ten chyba jest w porządku.

– Reflektory na dachu...

– Mogę przełożyć z tamtego. Kwestia godziny.

Sierżant powoli ożywia się, mogąc robić to, co umie najlepiej. Krąży wokół hummera, dotyka go, trzaska drzwiami. Potem podchodzi do drugiego.

Jest chyba zadowolony z wyniku oględzin.

– Z dwóch zrobimy jednego dobrego, i to niewielkim nakładem pracy. Kapitan miał dobre oko.

– W czym miałem dobre oko? – odzywa się głos Duranda za moimi plecami.

Sierżant patrzy na niego zmieszany. Staje na baczność.

Durand przechodzi obok mnie. Nie ma ani maski, ani płaszcz przeciwpromiennego. Spokojnym krokiem podchodzi do sierżanta i żółtego hummera.

– Mówiłeś, że możesz go doprowadzić do porządku?

– Oczywiście, kapitanie!

– To zaczynaj. Wprowadź go pod wiatę.

– Nie ma kluczyków.

– Przeszukajcie zwłoki. Kluczyki muszą być gdzieś blisko. John, chciałbym z tobą pogadać.

Prywatnie.

Oddaliśmy się w milczeniu od hummerów. Wracamy w stronę resztek stosu, na którym spłonęły ciała Adcła, Księcia i poległych podczas szturm.

Durand siada na ziemi. Rozgrzebuje kijem popiół, aż ukazuje się kupka kości.

– Nic mi po niej nie zostało, jedynie wspomnienia. Kiedy ją poznałem, była zagubioną istotą. Nie pozwalała się nikomu dotykać. Ciągle płakała. Potrzeba było miesięcy, żeby doszła do siebie, ale to wystarczyło na odzyskanie kontaktu ze światem. A teraz jest tutaj. A ja już nigdy jej nie zobaczę. I proszę mi tu nie opowiadać tych bogobojnym bzdur o Królestwie Niebieskim, bo tego nie potrzebuję. Nie ma żadnego Królestwa Niebieskiego.

Kręcę głową.

– Zostałem wychowany w religii przez jezuitów. Pierwsze książki, jakie dali mi do czytania, to były eseje poddające w wątpliwość samo istnienie Jezusa. I takie, które ukazywały jego obraz bardzo odmiennie od tego, co przekazał nam Kościół. Zwłaszcza katolicki. A jednak tu jestem. Chociaż przeczytałem te książki, wszedłem do Kościoła. Tak, ciągle wierzę w Królestwo Niebieskie. I w zmartwychwstanie ciała.

Durand podnosi z ziemi jakiś kawałek gruzu. Rzuci nim w popiół, wzbijając kłęb pyłu natychmiast porwany i zawirowany przez wiatr. Potem miesza kijem w popiele, aż wznieca znów ogień. Płomienie buchają w górę, oświetlając sarkastyczny uśmiech na twarzy kapitana.

– Wracałem jeszcze wiele razy zobaczyć martwego papieża. Watykan jest kopalnią, a ja i moi ludzie byliśmy poszukiwaczami. Kiedy znaleźliśmy stację Aurelia koło się zamknęło: mieliśmy pewne miejsce, do którego mogliśmy znieść nasze łupy.

– Ale jaki to miało sens? Po co wam były skarby Watykanu?

– Używaliśmy ich jako towaru wymiennego. Złoto za żywność.

– Kto jest na tyle szalony, żeby zgodzić się na taką wymianę? Przecież złoto nie ma już żadnej wartości.

– Proszę to powiedzieć rodzinie Morich i pozostałym z Rady Miejskiej. Jak ojciec myśli, dlaczego

Rada zgodziła się na tę ekspedycję? Tylko dlatego, że kardynał Albani obiecał im skarb świętego Marka.

Durand podnosi rękę.

Wskazuje ciemność.

Jego twarz w blaskach płomieni nie jest już ironiczna, ale niewyobrażalnie smutna.

– Za każdym razem, kiedy wracaliśmy do ruin Watykanu, składałem wizytę martwemu papieżowi.

Szedłem tam sam, a reszta ekipy urządziła sobie shopping... To była moja prywatna audiencja papieska... Za każdym razem patrzyłem na rozkładające się ciało tego, który był przywódcą najpotężniejszego Kościoła na Ziemi. Widziałem przed sobą jedynie martwego człowieka, starca, którego ciało najpierw spęczniało od gazów, a później pękło i rozlało dookoła potoki zgniłej substancji i jaja robactwa. I kiedy wrócę do Rzymu... jeżeli wrócę do Rzymu... znów pójdę go zobaczyć. Jesteśmy już teraz starymi przyjaciółmi...

– Ktoś jeszcze o tym wie?

– Nie. Powiedziałem tylko Adđle. Ale przecież ona już się nie liczy.

Podnosi z popiołu jakąś kość. Jeden mały kręg przyczerniony od ognia. Odmuchuje go, czyści na mankiecie kurtki i wkłada do kieszonki.

– Jedziemy. Straciliśmy już za dużo czasu.

– Jedziemy? Skąd ta nagła zmiana zdania?

Odwraca się. Patrzy na mnie długo, jakby trudno mu było mnie dojrzeć.

Uśmiecha się.

– Nie zmieniłem zdania. Wciąż uważam, że nie uda nam się dojechać do Wenecji.

– Więc...?

– Chcę tylko dorwać Gottschalka. Jest mój.

– Ale moją misją jest dotrzeć do Wenecji...

– Chcesz się założyć, Johnie?

– Nie.

– Ja też nie. Ale założę się, że ten parszywy morderca też jedzie do Wenecji.

Rozdział 29: Pożegnanie

Nie jest trudno odnaleźć na śniegu ślady „Największego i Najszybszego Kościoła Bożego na Kołach”, chociaż potrzebny nam był prawie cały dzień, żeby przygotować się do tego pościgu.

Pożarcie jednego hummera przez drugiego wymagało jednak więcej czasu, niż przewidzieliśmy, a to głównie za sprawą braku narzędzi. Skrzynka Wenzela zniknęła, w fortocy nie było po niej śladu.

– Pewnie zabrał ją do ciężarówki, cholerny oszust – przeklinał sierżant, usiłując oderwać na siłę pancerną płytkę z pokrywy silnika zepsutego hummera. Nie mógł znaleźć klucza francuskiego.

Przekleństwa i gderania Wenzla były dźwiękowym tłem ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Praktycznie wszystko musiał zrobić sam, bo Durand zajmuje się odzyskaniem broni i zapasów na podróż, a kapral Diop siedzi przy łóżku Bunego, którego stan zdrowia pogarsza się z dnia na dzień. Ale nie on jeden źle się czuje. Cała ekipa zwraca wszystko, co tylko zje, choć to doprawdy niewiele. W tej sytuacji brak dozymetrów jest względnym błogosławieństwem. Przynajmniej nie musimy wiedzieć, ile promieniowania zaabsorbowaliśmy w tych ostatnich dniach. Przestaliśmy się tym przejmować. Jest już pewne, że nikt nie wróci z tej wyprawy żywy. Zresztą nawet samo wykonanie misji powierzzonej nam przez kardynała Albaniego stoi pod wielkim znakiem zapytania. Najważniejsze dla każdego z nas jest wykonanie osobistych misji, które sobie zadaliśmy. I tylko moja pokrywa się z tą, którą mi powierzono. Diop zajął się opieką nad Bunem aż do końca. Sierżant ma za zadanie naprawienie hummera.

A Durand...

Kiedy się na niego patrzy, jak całymi godzinami ostrzy swój nóż albo kontroluje po raz kolejny zwiędłą listę zaopatrzenia, staje się jasne, że w jego głowie coś pękło. Że w środku jakiś trybik kręci się już na biegu jałowym. W opakowaniu kapitana Marca Duranda znajduje się ktoś inny. Ze spokojem powierzyłem moje życie i misję człowiekowi, którego znałem, ale nie wiem, jakim zaufaniem mogę obdarzyć osobę, która zajęła jego miejsce.

A z drugiej strony nie mam wyboru.

O zmierzchu czwartego dnia w ruinach Rimini sierżant Wenzel informuje mnie i kapitana, że hummer jest gotowy, i że możemy odjeżdżać.

Ładujemy broń i prowiant do SUV-a.

Następnie idziemy do Bunego.

Nie wchodzę do tego pokoju od dwóch dni.

Smród jest straszliwy.

Ciało zaatakowane gangreną i inne rzeczy.

Krew, ekskrementy.

Oczy Marcela Diopa wychodzą z orbit, świecąc niesamowitą bielą w tej czarnej jak heban twarzy.

– Nie chcieliśmy cię wystraszyć.

– O, to pan kapitan. I ojciec Daniels... Ojciec nie jest potrzebny. Karl ma się dobrze. Zdrowieje, nie widać?

Widać.

Twarz Bunego praktycznie już znikła. Skóra skurczyła się, obnażając dziąsła. Jakby już nie żył. W niemal prześwitującej czaszce nabiegłe krwią oczy rozpalone są gorączką jak dwa rozżarzone węgle w czarnych oczodołach.

– Nie było łatwo... Nie było łatwo – podśpiewuje kapral Diop, kołyszając się w przód i w tył.

– Nie było łatwo, nie, proszę pana... bez antybiotyków... bez środków dezynfekujących... nawet jednego bandaża. Nie, nie było łatwo, ale udało nam się, co, Karl? Udało się...

Durand przykłęka przy nim... Ja nie mogę wejść do tego pokoju, który śmierdzi śmiercią i rozkładem. Stoję w progu i patrzę z przerażeniem na całą tę scenę.

– Marcel...

Głos kapitana jest ściszony, niemal łagodny.

Ale kto lepiej niż on potrafi zrozumieć szaleństwo?

Ze spieczonych warg Bunego wydobywa się charkot.

Jedno słowo. Dwa.

– Proszę... wstać...

A potem:

– ...kapitanie Durand.

– Przyszedłem zobaczyć, czy może chcesz...

– Współuczestniczyć... Tak...

I zamyka oczy, wycieńczony tym wysiłkiem.

Durand uroczyście potakuje. Wstaje. Rozkłada ramiona w modlitewnym geście.

– Uznaję, o Mitro, w myśli mojej, że tyś jest Pierwszym i Ostatnim, Alfą i Omegą. Ty jesteś prawdziwym stwórcą świata, panem istnienia. Spójrz na swego sługę, który budzi się z długiego, wieloletniego snu i otwiera się na nowe doświadczenie, doświadczenie światła. My chwalimy cię i składamy ofiarę, Mitro, panie łąk szerokich, niezmordowany, wiecznie czuwający, który ratujesz od śmierci swojego wiernego sługę. Ocal nas od lęku, uwolnij od zła, Mitro, nasz Panie, bo wiara nasza w ciebie nigdy nie zgasła. Ześlij strach na tych, co w ciebie nie wierzą, odbierz siłę ramionom ich, o straszny i wszechpotężny. Odbierz prędkość ich nogom, widzenie ich oczom, słyszenie ich uszom. Niech żadna ostra włócznia ni strzała prędką nie sięgną nigdy tego, którego Mitra chroni. A gdyby nawet dobrze wymierzona włócznia lub strzała celu dosięgła, to niechaj go nie zrani. Na nic się zda magia wroga, bo wiatr wymiecie strzały i włócznie. My chwalimy cię i składamy ofiarę, Mitro, panie łąk szerokich: niezmordowany, wiecznie czuwający, co sądzisz ludy i narody. Gdy domu gospodarz niewiernym mu będzie, albo pan wiejski, miasta władca albo prowincji, jeżeli jeden z nich go obrazi, Mitra w swym gniewie dom ich rozbije, i wieś, i miasto, i prowincję, i panów onych. Gdzież by nie był ów, co Mitrę obraża, przeciwko niemu wzniesie się dłoń Mitry, którego gniew gaśnie bardzo wolno. Ci, co Mitrę obrażają, szybko biec mogą, a uciec nie zdołają...

Wychodzę z pokoju. Czuję, że muszę to zrobić. Nie potrzebuję w tej chwili Boga. Żadnego Boga. Jestem głodny, chce mi się pić, i to wystarczy, by zamknąć listę moich potrzeb.

Siadam w ciemnym korytarzu.

Blask świec w pokoju tworzy kwadrat na ścianie. Głos Duranda przechodzi z wolna w rodzaj hipnotycznej mantry, która sprowadza sen.

Nie wiem, ile czasu upłynęło – kapitan i Diop wychodzą z pokoju. Budzi mnie hałas ich buciorów na parkiecie korytarza. Parkiet jest mocno zniszczony przechodzeniem tylu ludzi, zbyt wielu ludzi. Kiedy stąd odejdziemy, zostawimy jeszcze jednego ducha, który nawiedzał będzie ten budynek.

– Idziemy – mówi Diop.

– Dokąd?

– Idziemy stąd. Tu już nic nie ma.

– A Karl?

– Karl odszedł. Już go nie ma.

I tak nie mogliśmy go zapakować do hummera. Nie byłoby miejsca, żeby go położyć.

Nie wiem, jak umarł. Wolę nie zadawać pytań. Nie chcę wiedzieć, czy zasnął pośród modlitwy zanoszonej do jego Boga, czy też ktoś pomógł mu odejść.

Nie ma go już, i to wszystko.

Zobaczyłem w końcu, co to za książka, ta w zielonej płóciennnej oprawie, którą niestrudzenie czyta Diop.

To Koran.

Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jestem jedynym katolikiem wśród uczestników tej wyprawy.

Nie robi już na mnie prawie żadnego wrażenia fakt, że w tym SUV-ie znajduje się muzułmanin i wyznawca Mitry (na temat religii Wenzla nie śmiem nawet snuć przypuszczeń). Każdy z nas – ocalałych – zareagował w inny sposób na śmierć znanego nam świata. A co do młodych – tych, którzy urodzili się po Wielkiej Zagładzie – nie mam odwagi żądać od nich, by wierzyli w Boga miłosiernego. Nie w taki sposób.

Kiedyś wiara była koniecznością. Dziś jest luksusem. Czymś, na co nie wszyscy mogą sobie pozwolić.

Kościół też się zmienił. W przeciwieństwie do obłąkanego Gottschalka, nie głosimy już konieczności krucjat, nie palimy nikogo na ołtarzu wiary.

I może właśnie dlatego czuję, że misja zemsty jest również moją.

Hummer dosłownie pożera drogę.

Porzuconych aut jest bardzo mało.

Nasze śmierzdi wymiocinami. Nie za każdym razem udaje nam się zdążyć, zanim Wenzel zatrzyma auto, albo choćby otworzyć okno. Wprawdzie jeszcze oddychamy, ale śmierć już ma nas w garści.

Z naszych suchych gardeł, z naszych pustych żołądków, dobywa się tylko strumień żółci. To już wyłącznie kwestia czasu.

Ślady gigantycznej ciężarówki Gottschalka odciskają się wyraźnie na śniegu pokrywającym drogę. Dokładnie te same, na które natykaliśmy się w miejscu każdej masakry. Teraz wszystko jest już jasne. Trupy w Torrita Tiberina, dziewczyna w czerwonej sukience na autostradzie...

Zabici w Santarcangelo...

Durand chciał tam pojechać. Zobaczyć to na własne oczy.

Wszedł sam do podziemi.

Bryła fortecy – bo to była prawdziwa, starożytna forteca – przytłaczała martwą wieś leżącą u jej stóp. Ślady zniszczenia widać było wszędzie.

Kiedy w końcu stamtąd wyszedł, niósł na plecach ciężki worek.

Złożył go w bagażniku i dał Wenzlowi znak do odjazdu.

– Co tam widziałeś? – pytam.

Diop śpi na przednim fotelu. Wenzel wydaje się zupełnie skoncentrowany na prowadzeniu.

Durand wpatruje się w ciemności za oknem.

– Nic, czego byś już nie widział. Gottschalk jest obłąkańcem. Ktokolwiek z nas go zabije, powinien wbić mu osikowy kołek w serce. Była raz taka dziewczyna. Miała najpiękniejszy głos na świecie. Śpiewała jak anioł...

Nie mówi nic więcej.

Śnieg już nie pada. Nie widać gwiazd schowanych za kołdrą z chmur. Ale nie pada śnieg, i to jest najważniejsze. Ślady tego mechanicznego monstrum Gottschalka na zamrożonym śniegu wyglądają jak wyrte w kamieniu. Wenzel bardzo uważa, żeby SUV nie wjechał w te koleiny. Kiedy to się zdarza, przez nieuwagę albo z konieczności ominięcia w ostatniej chwili jakiejś przeszkody na drodze, hummer drga, jakby nim trzęsła ręka olbrzyma.

– Chciałbym go dorwać, zanim...

Nie kończy.

– Dorwiemy go – mówię.

Nie wiem, czemu to mówię. Może dlatego, że jest to jedyna właściwa rzecz.

Mam tylko nadzieję, że kiedy go dopadniemy, zostanie nam jeszcze wystarczająco dużo sił, żeby się

z nim zmierzyć.

Opuszczam szybę.

Wymiotuję żółcią.

I krwią.

Rozdział 30: Koniec polowania

Dopadamy naszą zdobycz piątego dnia.

Udaje nam się go dogonić, bo podróżowaliśmy dzień i noc, zmieniając się za kierownicą co osiem godzin. Tracąc przy tym mnóstwo czasu na tankowanie. Albo, częściej, na jego próby.

Dopadamy go na ostatnich oparach paliwa. Żadnych zapasowych kanistrów w bagażniku. Żadnych aut do wydojenia na drodze. Ktoś to już zrobił, krótko przed nami. W kilku przypadkach, w dwa ostatnie dni czuć było nawet zapach paliwa w powietrzu. Nietrudno się domyślić, kto nas uprzedził.

Na drodze był tylko jeden ślad. Coraz świeższy.

Ślad naszej zdobyczy.

Mówienie o zdobyczy jest w tej sytuacji dość niezwykle – kiedy zwierzyna łowna, którą tropisz, jest gigantyczną ciężarówką w rękach obłąkanego mordercy, a myśliwymi są czterej konający, półślepi i na wpół oszaleli od pięciodniowej, nieprzerwanej jazdy desperaci.

Z SUV-a zrobił się chlew. Smród jest potworny. Nie jedliśmy nic już od dwóch dni, a w ostatniej butelce zostało marne pół litra wody. Jesteśmy u kresu.

Nikt już nic nie mówi.

Coraz częściej błądzę myślami w dziwnych rejonach. Modłę się, powtarzając niezliczoną ilość razy tę samą modlitwę. Modłę się za moich bliskich i za tych, których zostawiliśmy za sobą w tych ostatnich dniach. Niekończąca się lista.

Chwilami zasypiam z otwartymi oczami.

Mam wizje.

Śnieg wirujący przed szybą hummera zamienia się w ducha: kobieta w błękicie. Alessia. Uśmiecha się do mnie. W cieniu kaptura jej usta są czymś najpiękniejszym, co kiedykolwiek widziałem. Moje są spękane, spieczone z pragnienia. Owrzodzone i całe w krostach. Pieką mnie oczy. Alessia wyciąga do mnie rękę przez szybę. Jej palce muskają mi czoło. Miękkim, świeżym dotykiem. A może to tylko złudzenie, bo kontakt jest krótki. Ale przez chwilę czuję się dobrze. Dociera do mnie tchnienie słów, jakby sam wiatr je wymówił: „Spotkasz mnie tam, gdzie nie ma cienia”.

Nagle gwałtowne szarpnięcie rzuca mnie do przodu, ratuje mnie tylko pas.

Wenzel raptownie zahamował.

Postać Alessii znika.

Dziesięć metrów przed nami majaczy olbrzymia czarna masa porzucona na drodze.

To ciężarówka Gottschalka.

Wysiadamy bez słowa.

Wszelkie odgłosy naszej obecności zagłusza wycie wiatru.

Podchodzimy mocno schyleni, trzymając się murów jakiegoś zawalonego budynku. „Największy i Najszybszy Kościół Boży na Kołach” wygląda jak wieloryb, który osiadł na mieliźnie. Przyczepa wykręcona jest w prawo, a metanowy wór zupełnie sflaczał.

Oto dlaczego musieli opróżnić baki aut przy drodze. To ich spowolniło. I pozwoliło nam ich dogonić.

Chciałbym mieć pewność, że to dobrze.

Drzwi przyczepy otwarte są na oścież.

Wchodzimy, osłaniając się nawzajem.

Nie założyliśmy masek ani płaszczy ochronnych. Chcemy mieć swobodę ruchów w tej, zapewne ostatniej, fazie naszej misji.

Nigdy przedtem nie widzieliśmy „kwater służby”, jak nazwał je Wenzel.

Sierżant toruje nam drogę, celując z broni w ciemność.

Jasnoniebieskie światło świtu odsłania przed nami nieprzewidziane szczegóły wnętrza.

Przyczepę wypełniają miniaturowe komórki, coś niewiele większego od miejsca w grobowcu, które wychodzą na korytarz centralny. W głębi znajduje się jakieś wspólne pomieszczenie z długim stołem i dwiema ławkami. Lufą kałasznikowa odsłania zasłonę jednej z komórek. W środku jest metalowa prycza, a na ścianie wisi zgrzebny krzyż. Na pryczy ułożono starannie kurtkę i parę spodni z workowego płótna. Nic więcej. Żadnego prześcieradła, kołdry czy poduszek.

Sprawdzam dwie kolejne dziuple i znajduję identyczne rzeczy.

– Nie ma nikogo – mówi Diop, kręcąc głową.

Trudno powiedzieć, od kiedy wagon stoi pusty. W głębi dużego pomieszczenia otwarte są drzwi.

Durand pokazuje coś głową.

– Idziemy. Pauli, ty pierwszy. Rzucę M84.

– Dobrze.

Błyskawicznym ruchem kapitan otwiera szeroko drzwi i wrzuca do środka granat błyskowo-hukowy.

Ogłuszający wybuch i oślepiający błysk.

Sierżant Wenzel skacze za próg z bronią wycelowaną prosto przed siebie.

Na sygnał dany przez Duranda ruszamy za nim.

I od razu przystajemy osłupiali.

Przed naszymi oczami tak zwana katedra Gottschalka ukazuje się jak kolejna scena z koszmaru.

Drżące, wątle światło czerwonych świec, już prawie wypalonych, pada na podłogę usłaną trupami. Na ziemi leży w nieładzie kilkunastu wyznawców Gottschalka. Nie mieli lekkiej śmierci. Twarze i kończyny świadczą o bolesnej agonii. Obok każdego z nich leży szklanka. Pod krzyżem stoi garnek wypełniony do połowy jakimś błękitnym płynem o mdłym, słodkawym zapachu.

Niektórzy mają na sobie czarne mundury elitarniej gwardii Gottschalka. Rozpoznaję tylko jedno ciało – ślepej dziewczyny, która mnie wyprowadziła z tego pokoju. To było ledwie parę dni temu, a mnie wydaje się, że minął cały wiek.

Myśleliśmy, że trzeba będzie walczyć. Że może nawet przyjdzie nam zginąć podczas próby wymierzenia sprawiedliwości.

Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego.

Ciało ślepej dziewczyny zostało naukowo okaleczone. Brakuje dużej części ud i pośladków. Ktoś ją zarznął i wybrał najlepsze kawałki mięsa. Dokładnie tak, jak robi się ze zwierzęciem rzeźnym.

– Musimy go powstrzymać – szepcze Diop. – Nawet gdyby to była ostatnia rzecz, jaką zrobimy. Ten człowiek jest wcielonym Złem.

Durand kiwa głową.

– Zgadza się. Ktoś musi skończyć z tym szaleńcem.

Daje znak Wenzlowi, który wciąż nie może się otrząsnąć. Sierżant kiwa głową. On i jego zwierzchnik wchodzą po cichu do korytarza wiodącego do kabiny sterów. To ostatnie miejsce, w jakim mógł się ukryć Gottschalk.

Ja i Diop ruszamy zaraz za nimi. Na końcu czarnego korytarza pali się jakieś bardzo silne światło. Przyspieszamy kroku.

W kabinie hula wiatr. Podłoga pokryta jest śniegiem.

Szyby zostały powybijane. Powietrze z zewnątrz całkowicie zawładnęło przestrzenią kabiny.

Wenzel wbiega po drabince na miejsce kierowcy.

– Caliban tu jest, kapitanie!

– Żyje?

– Nie żyje. Strzał w tył głowy. Przyrządy też są spieprzone. Rozwalone uderzeniami pałki.

Durand kręci głową.

– Gdzie on mógł się schować?

Patrzy w górę. Właz prowadzący do stanowiska obserwacyjnego jest otwarty.

Daje znak Wenzlowi, żeby wszedł po drabinie. Sam idzie za nim.

Otwierają właz i wychodzą w huk wietrznej nawałnicy.

Wracają po dwóch minutach z posepnymi minami.

– Nic. Uciekł.

– Przy tym wietrze nie odnajdziemy śladów – stwierdza Diop.

– Wiem. Pomyślmy o tym później. Teraz szukamy wicie czego.

Zanim zdążyłem się zastanowić nad tym, „co wiemy”, trójka gwardzistów zabiera się do przetrząsania sprzętów zawalających podłogę kabiny.

W końcu Wenzel na coś trafia.

– Proszę popatrzeć tutaj, kapitanie.

Też podchodzi. To metalowa skrzynka – ta, którą gwardziści wynieśli z garażu skuterów śnieżnych. Tajemnicza skrzynka, której utrata tak bardzo zmartwiła Duranda. Jest tutaj, chyba nienaruszona, owinięta jeszcze w gumowane zielone płótno.

Po raz pierwszy od pięciu dni na ustach kapitana pojawia się uśmiech.

Dowódca wypowiada tylko jedno słowo:

– Dobrze.

Spoglądam na niego, bo odebrało mi mowę.

Dobrze?

Jak może używać takich słów po tym wszystkim, co nas spotkało? Padamy na pysk, a on się uśmiecha?

– Teraz musimy już tylko znaleźć kody aktywacyjne – dodaje.

On i jego ludzie zabierają się do szukania z nowym zapałem.

Tym razem to Diop, kilka minut później, wydaje z siebie dziki okrzyk. Trzyma w rękach małą walizkę niczym trofeum.

Rozpoznaję ją. Już ją kiedyś widziałem. To ta, którą mężczyzna w nieziemskim kombinezonie i z dubeltówką wręczył Durandowi przed stacją Fermi na EUR.

– Otwórz – rozkazuje kapitan.

Diop długo manipuluje przy zamku. W końcu wyciąga nóż.

Walizka otwiera się z trzaskiem.

Durand nachyla się nad nią, badawczo przygląda się zawartości.

– Są kody. Nienaruszone. Możemy wypełnić naszą misję – konkluduje zadowolony i odwraca się do mnie plecami.

Już mam go spytać, co to ma znaczyć. O jakiej misji mówi.

Ale na kręgosłupie czuję lufę pistoletu.

– Niech ojciec będzie tak uprzejmy i odłoży na ziemię kałasznikowa.

Głos sierżanta Wenzla jest kulturalny jak zawsze, ale spięty.

Kładę na ziemi automat. Podnoszę ręce do góry.

– Zamknij go w jednej z tych klatek z tyłu, Pauli. Później się nim zajmiemy.

Kapitan Durand odwraca się do mnie.

– Zdaje się, że przynajmniej jeden z nas doprowadzi swoją misję do końca. Szkoda, że się one nie pokrywają. Połóż go spać, Pauli.

Rozdział 31: Dokąd lecimy

Zapadam w sen i wybudzam się.

Zanim mnie zamknęli w tej komórce, dostałem do połknięcia dwie tabletki. Diop zrobił mi jeszcze zastrzyk w rękę.

Straciłem przytomność.

I obudziłem się tutaj.

Musiało minąć parę dni, bo czuję się niewiarygodnie słaby.

No i mam te wizje.

Na ścianie są znaki. Nie widzę ich, bo jest kompletnie ciemno. Nie mogę ich wyczuć dotykiem, bo moje ręce są zupełnie sparaliżowane. A jednak je odbieram.

Jak? Tego nie wiem.

Jakimś nieznanym zmysłem, o którego istnieniu nie wiedziałem.

Z tych znaków odczytuję historię osoby, która spała w tym miejscu.

Wchodzę w jej myśli.

Zimno zimno zimno

Głód

W ostatniej wiosce nie było niczego Tak powiedział Prorok

Musimy poskromić usta

Podróżować dalej pozostając lekkimi Wyciągnij sznurek

Jest długi

Elenie trafił się krótki

Wynoszą ją na zewnątrz

Dzisiaj będziemy jedli

Odpływam umysłem od ściany, od czerwieni brudzących ją wspomnień.

Nie wiem, jak długo tu jestem.

Przeszło mi złe samopoczucie.

Nie wiem, co było w tych pigułkach, ale nie czuję się źle.

A może to ten zastrzyk.

Cokolwiek to było, czuję się, jakbym się unosił na wodzie.

„Ciało i krew Chrystusa...”

Głos Gottschalka, poprzez uszy mężczyzny, który mieszkał w tym boksie.

Głos ociekający tłuszczem.

„Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy...”

„Nie słuchaj”.

Głos kobiety jest krystaliczny.

Przebija się przez czerwoną mgłę znaków, wymazuje je, jak promień słońca.

To tak, jakby w mózgu otworzył się jakiś korytarz.

Jak w tym starym filmie, *La Bibbia*, kiedy Mojżesz sprawił cud i rozstąpiły się wody Morza Czerwonego.

Mrok się rozstępuje, a korytarzem, jaśniejącym coraz szerzej błękitnym światłem, idzie ku mnie jakaś postać, z bardzo daleka.

Chyba całej wieczności potrzeba, by postać zbliżyła się do mnie na tyle, abym rozpoznał rysy jej twarzy. Ale w tym śnie – bo to przecież musi być sen – moja cierpliwość nie zna granic, oczekiwanie nie jest dla mnie żadnym ciężarem.

Czuję spokój, jak nigdy przedtem w moim życiu.

Ubrana w błękit kobieta, Alessia, uśmiecha się. Nie widzę oczu w cieniu kaptura, ale wiem, że są głębokie, mądre.

Raz jest bardzo daleko, chwilę później stoi obok mnie. Wyciąga rękę, jej palce, lekkie niczym płatki róży, muskają mi czoło. Jak dłonie mojej matki, kiedy w dzieciństwie miałem gorączkę.

– Nie słuchaj tych głosów. Chodź ze mną.

– Z tobą? Dokąd? Przecież nie mogę się nawet podnieść.

– Ależ oczywiście, że możesz. Ale najpierw musimy zawrzeć umowę.

– Umowę?

Śmieję się. Ten mój śmiech wybucha mi w głowie, jakby pracował tam młot pneumatyczny.

Ona znów przesuwa mi dłoń po czole.

Ból maleje i całkiem znika.

– Nie śmiej się. Naprawdę, musisz zawrzeć umowę.

– Jaką umowę?

– Przysięgę. Musisz mi przysiąc, że zanim osądzisz, spróbujesz zrozumieć. A zanim zrozumiesz, spróbujesz otworzyć umysł.

– To niewiele. Co dostanę w zamian?

Jej dłoń muska moją rękę.

Czuję, że moje ciało się podnosi. Wiem, że to niemożliwe, że nie zostało mi wystarczająco dużo energii.

A jednak wstaję na nogi.

– Przyjmujesz warunek? – pyta mnie znowu.

Ja tylko się śmieję, i tym śmiechem mówię jej „tak”.

I kiedy wypowiadam tę jedną jedyną sylabę, świat w mgnieniu oka się zmienia.

Czuję przypływ nowej energii, która wypełnia mnie jak jakiś płyn.

Jestem zbiornikiem energii i światła.

Alessia uśmiecha się.

Idzie przede mną, prowadząc mnie błękitnym korytarzem. Przechodzimy przez katedrę, nie patrząc na ziemię, bo teraz już lecimy. To absurdalne, ale my lecimy. Przelatujemy przez kabinę, jakby była z powietrza. Śnieg sięga już w niej metra i przykrył wszystko. Lecimy nad drogą, mijamy ślady hummera, a później samo auto pozostawione na skraju drogi. Widzimy z góry ślady pozostawione przez dwóch mężczyzn zagubionych w wirującym na silnym wietrze śniegu. Wokół panuje cisza, spokój. Lecimy jak w bańce, odporni na wszystko.

Łądujemy na ziemi, na świeżym śniegu.

Nie jest mi zimno.

Alessia odwraca się ku mnie. Podnosi palec wskazujący prawej ręki i pokazuje nim zardzewiałą tablicę na drodze.

W NE JA.

Palec Alessii rysuje znaki w powietrzu.

Napis na tablicy zostaje uzupełniony.

WENECJA.

Rozdział 32: Martwy bór

To dziwne uczucie, iść tak obok Alessii.

Zupełnie rzeczywiste doświadczenie, bo czuję pod podszewkami butów nierówności drogi, oddycham zimnym powietrzem poranka.

A przecież to nie może być prawdą.

Umarłbym, gdybym rzeczywiście oddychał tym powietrzem.

Wystarczyłoby światło dnia, nawet przez ten ołowiany całun chmur, żeby otworzyć rany w moim ciele.

Ale ja nigdy tak dobrze się nie czułem. Nie jestem już głodny, nie chce mi się pić. Nie jest mi zimno i nie odczuwam zmęczenia.

Jest tak, jak ma być po śmierci, według tego, w co wierzę.

Zastanawiam się, czy to nie jest właśnie to – „ciało uwielbione”, o którym mówi Pismo Święte. Niezniszczalne ciało, jakie będziemy mieć po Zmartwychwstaniu. Ciało stworzone na nowo, by zamieszkiwać w niebiesiech.

Alessia śmieje się.

– Nie. Nic z tych poetyckich rzeczy. Po prostu wyzdrowiałeś. Nie musisz się już obawiać słonecznego światła. „Nie bój się żaru słońca, ni zimy srogiego gniewu...”

– Szekspir...

– Tak.

– Czym ty jesteś? – bełkoczę.

– Alessia.

– Nie. Nie „kim” jesteś, tylko „czym” jesteś?

– Cóż za absurdalne pytanie. Jestem kobietą.

Oddalam się od niej. Ona się zbliża.

Robię dwa kroki w tył. Ona podąża za mną. Jakby nie chciała, żeby odległość między nami się zwiększyła.

Idąc wciąż tyłem, potykam się.

Upadam na pryzmę śniegu.

Alessia kręci głową.

– Biedny John. Aż tak się mnie boisz?

– Pewnie, że nie – kłamię.

– Myślisz, że jestem Złem? Kuszącym demonem, jak w legendach o waszych męczennikach? Nie jestem niczym takim. Jestem kobietą. Choć to prawda, że jak na te czasy, jestem kobietą niezwykłą. Ale kobietą, a nie żadnym stworzeniem nadprzyrodzonym. A już na pewno nie demonem.

Wolnym gestem, z uśmiechem na twarzy, zdejmuję kaptur.

Ukazuje się piękna twarz, tak piękna, że czuję mocniejsze uderzenie serca.

Ma ciemnokasztanowe włosy, a oczy...

Oczy są niesamowicie żywe. Bardzo ciemne, ale jest w nich światło prosto z duszy.

Rysy twarzy ma niezwykle subtelne, arystokratyczne.

Mam odczucie, że to piękno pochodzi gdzieś z daleka. Z książkowych obrazków z Madonną. Z łagodności ust mojej matki, kiedy czytała mi bajki na dobranoc. Ze śmiechu koleżanek szkolnych, tych najładniejszych, z liceum.

To uroda sklecona z tęsknoty, z żalu.

Wszystkiego się spodziewałem, ale nie tego.

– Widzisz? Nie jestem diabłem. Chociaż mówią, że często diabeł, kusząc pustelników, przybierał

postać pięknych dziewcząt...

– Z tobą też tak jest?

– Nie. Pokaż mi swoją dłoń.

Bez najmniejszego wahania podaję prawicę. Wbrew moim oczekiwaniom, nie bierze jej w swoje ręce. Przygląda się jej tylko, muskając wzrokiem każdą kość, każde ścięgno.

– Kończówka palca wskazującego jest krzywa – konkluduje, kończąc swoje oględziny.

– Złamałem dwa lata temu. Paliczek, czy jak to się tam nazywa. Nastawiacz kości zrobił, co mógł.

– Boli cię?

– Nie. Na początku tak, ale teraz już nie. Przyzwyczyłem się.

– Przyzwyczyłeś się do czegoś niewłaściwego? Do czegoś krzywego?

– Tak.

Jej piękna twarz robi się surowa.

– Nauczę cię nie przyzwyczajając się nigdy do niewłaściwych rzeczy. Chodź.

– Dokąd idziemy?

– Na most, który niczemu nie służy.

Idziemy długo. To dziwne uczucie, tak iść na wolnym powietrzu, w świetle dnia, i nie bać się. Ale nie dziwniejsze niż żyć dwadzieścia lat pod ziemią, pośród martwych.

– Jak to jest, żyć w katakumbach? – pyta Alessia, utwierdzając mnie w przekonaniu, choć nie było już raczej takiej potrzeby, że potrafi czytać w moich myślach.

– To jest po prostu życie. Nic więcej. Nikt by nie wybrał czegoś takiego, gdyby miał wybór. To spokojne życie. Gdyby nie groźby zawalenia albo jakichś chwilowych postów, to zupełnie znośne życie.

– Nie brak wam światła?

– Po jakimś czasie przestajesz o tym myśleć. Czasami zazdrościsz tym, którzy pracują w oddziałach zaopatrzenia. Bo wychodzą na zewnątrz w poszukiwaniu przydatnych materiałów. Ale kiedy widzisz ich napięte, zmęczone twarze po powrocie, dociera do ciebie, że jesteś uprzywilejowany, mogąc sobie siedzieć na dole, pod ziemią.

– Rozumiem.

– Wy też musicie żyć pod ziemią. Jak to robicie? Wenecja jest przecież miastem na wodzie.

Jej śmiech jest jak dźwięk dzwonka. Jak kaskada czystej wody.

– To nie tak. Zobaczysz. Prościej pokazać niż wytłumaczyć.

Przechodzimy przez ruiny kompletnie spalonej dzielnicy. Czerń murów kontrastuje z bielą śniegu. Wszystko jest jak na starym druku.

– To miasto nazywało się Mestre. Było połączone z Wenecją mostem. Było bardzo brzydkie, ale stanowiło jednocześnie jeden z głównych węzłów kolejowych we Włoszech. To dziwne, że nie dosięgła go żadna bomba.

– Więc co je zniszczyło?

– Główne zniszczenia nastąpiły po tygodniach, a może nawet po miesiącach od wybuchu bomb. Jakiś niedokreślony gaz. Zwarcie w instalacji elektrycznej. Drobne pożary, które rozprzestrzeniały się, niszcząc całe miasta. Żadnej straży pożarnej, żadnej wody do gaszenia...

Wskazuje na odległy punkt, na południe. Kilka krzywych kominów fabrycznych przełamuje monotonię pejzażu.

– To jest Marghera. Były tu instalacje petrochemiczne i inne zakłady przemysłowe. Możliwe, że pożar powstał właśnie tutaj.

– Wenecję też zniszczył?

Alessia kręci lekko głową, jakby zamyślona.

– Nie. Między Margherą a Wenecją było morze.

– W jakim sensie było?

Wspinamy się na grzbiet pokryty śniegiem, zadając sobie trud, by dotrzeć na szczyt.

– W takim – odpowiada i pokazuje otwartą przestrzeń między nami.

Nie byłem w ogóle przygotowany na to, co zobaczyłem.

Spodziewałem się, oczywiście, że Wenecja zrobi na mnie wrażenie, ale nie w ten sposób.

Miasto ukazuje się daleko, ze swoimi dzwonniami i dawnymi pałacami. Jednak między nami a miastem nie ma laguny, lecz połąć odsłoniętej ziemi.

Smagany wiatrem step przecięty jest zerwanym mostem.

– To jest Wenecja – uśmiecha się Alessia. – A to ten słynny most, teraz już bezużyteczny – uśmiecha się nadal, schodząc ze wzgórza wesoła jak dziecko. – Wygląda jak zatoka Dorothy Cove w czasie odpływu, prawda?

– Co ty wiesz o Dorothy Cove?

Ona odwraca się ode mnie ze śmiechem i zsuwa się ze wzgórka.

– Ej, pytałem cię, skąd wiesz o Dorothy Cove? – krzyczę za nią. Ale ona nie odpowiada, ani nawet nie przystaje.

Idę za nią. Jest tak, jakbyśmy chodzili po piaskowych wydmach. Między nami a dawnym miastem dożów odległość znaczą inne wydmy, mieszanka ciemniejszej ziemi i śniegu. Na oko niewiele poniżej czterech mil.

Nie mam przy sobie ani broni, ani zapasów.

Nie mam maski ani ciężkiej odzieży.

A jednak czuję się lekko, jakbym miał dwadzieścia lat.

I naprawdę piaskowa połąć ziemi przede mną przypomina mi zatokę Dorothy Cove pod Nahant. Tata zabierał nas tam w weekendy. Dla mnie było to najpiękniejsze miejsce w Massachusetts, a może nawet na świecie. To był prawdziwy raj znalezisk. Chodziliśmy plażą, która podczas odpływu była ogromna. W naszych dziecięcych oczach stawała się nieogarnionym obszarem eksploracji. Zbieraliśmy muszelki i kawałki drewna oszlifowane przez morze. Pewnego razu mój młodszy brat, Thomas, aż krzyknął z radości, bo coś znalazł. Pokazał to tacie. Wyglądało jak ogromny szmaragd. Błyszczowało. Bardzo mu zazdrościłem. Ale tata wyjaśnił mi jednak, że to kawałek dna od butelki. Musiał wykazać przy tym dużo cierpliwości, bo Tommy długo nie chciał mu uwierzyć. Ta pustynia piasku i błota porzucona przez morze też ma swoje skarby. Przechodzimy obok szczątków dawnej łodzi. Obok kawałków zardzewiałego metalu na dnie – może to pozostałość po szpadzie, a może po prostu resztki puszkii po piwie. Kto to może dziś wiedzieć?

Maszerujemy tak, a piasek i śnieg chłoną nasze kroki. Zostawiamy za sobą dwa długie warkocze bliźniaczych śladów, kiedy pokonujemy drogę pod mostem, który zawalił się w połowie swojej długości. Właściwie są dwa równoległe mosty: kolejowy i drogowy, ale tak blisko siebie, że wyglądają jak jeden. I oba zawały się w połowie długości.

Kiedy jesteśmy jakieś sto metrów od zwałiska, uzmysławiam sobie powód. Na most spadł samolot i wybuchł. Resztki wraku widać jeszcze między kamieniami. Przez te dwadzieścia lat rdza i sól nie zdążyły jeszcze strawić do reszty francuskich barw narodowych na tym, co pozostało z ogona samolotu.

– Gdybyśmy mogli latać, pokazałabym ci, gdzie spadły inne samoloty. Siedem. Pozostawiły po sobie wielkie kraterki w piasku. Widzisz? Lotnisko weneckie było tam. Niektóre samoloty spadły z powodu impulsu elektromagnetycznego, ale większość z nich krążyła nad laguną, aż im się wyczerpało paliwo. Pasy lotniska są pokryte samolotami, które wylądowały i nie mogły już ruszyć. Było ich tyle, że inne nie miały gdzie wylądować.

Odwracam wzrok od wraku. Nie chcę myśleć o mężczyznach, kobietach i dzieciach na pokładzie. Chociaż po chwili zdaję sobie sprawę, że w sumie mieli szczęście. Epidemie i głód w pierwszych latach po Wielkiej Zagładzie pociągnęły za sobą o wiele więcej ofiar niż same bomby.

Alessia znów naciągnęła kaptur na głowę. Z tyłu, w tym swoim błękitnym płaszczu, wygląda na

jakaś legendarną postać, księżniczkę elfów.

Zastanawiam się, ile ma lat. Wygląda bardzo młodo, na niewiele ponad dwadzieścia, ale w jej oczach jest głębia emanująca jakąś starożytną mądrością.

Dawno już nie widziałem tak pięknej kobiety.

Wiem, że nie powinienem tak myśleć, ale nie mogę się temu oprzeć.

Alessia jest niesamowitą istotą.

Chciałbym ją spytać, jakim cudem dostała się do moich snów. Ale z góry wiem, że jej odpowiedź nie zadowoliliby mnie. Więc tylko za nią idę. Jakkolwiek bym nie przyspieszył kroku, nie udaje mi się jej dogonić. A tymczasem miasto rośnie w moich oczach, w miarę jak się zbliżamy.

Natykamy się na inne szczątki, coraz liczniejsze. Drewniane statki, motorówki, a nawet na gondole ze złocnym grzebieniem na dziobie. Wygląda jak martwy delfin.

Panuje nierzeczywista cisza.

Nie chce się wierzyć, że kiedyś powietrze roiło się od ptaków i owadów. Takiego bogactwa życia już nie ma.

Ziemia zmieniła się w jeden wielki cementarz, powtarzam to sobie po raz kolejny.

– Co się stało z trzema mężczyznami, którzy byli ze mną? – pytam Alessię, przekrzykując wycie wiatru, który się nasilił. Miasto schowało się przed nami jak za szarym murem. Porywy wiatru muszą dochodzić przynajmniej do pięćdziesięciu mil na godzinę. A jednak, mimo że śnieżycy smaga mi twarz, nie czuję ani zimna, ani bólu.

– Dlaczego się o nich martwisz? – odpowiada pytaniem.

– Powiedzieli, że mają inną misję. I mają coś ze sobą. To może być jakaś straszna broń.

– Sądziłiśmy, że macie już dość strasznych broni.

Sens tego zdania nie jest dla mnie jasny.

– Nie powinieneś o nich myśleć – dodaje pospiesznie, a towarzyszy temu dziwny gest ręki. – Powinieneś myśleć o swojej misji. Wszystko pójdzie dobrze.

Nigdy nie wierzyłem w magię. Do pojęcia cudu też nigdy nie miałem przekonania. Ale jestem pewien, że gest Alessii, jej delikatne poruszenie palcami, lekkie zgięcie nadgarstka, przekonało mnie, że naprawdę nie ma się czego bać.

Że wszystko pójdzie dobrze.

A z drugiej strony, co mi pozostaje, jeśli nie podążać za nią? Wokół nas śnieżycy przykryła wszystko niczym kołdra, a wiatr pcha nas teraz w przód, ku martwemu miastu.

Maszerujemy na oślep, ja idę za Alessią, a ona daje się prowadzić jakiemuś instynktowi czy zmysłowi, którego nie znam. Od czasu do czasu w zamieci migają czarne kształty, które przejmują mnie dreszczem. Nie sposób nie pamiętać mięśni grasujących wokół Rzymu.

To pewnie przez ten smród zgnilizny, który zaczynam wyczuwać, idąc między ścianami czegoś, co wygląda na wąwóz. Rozbrzmiewa w nim echo naszych kroków.

– Tu ich nie macie? – mówię szeptem, wystawiając ją na podwójną próbę, bo wymawiam te słowa tak cicho, że sam ich nie słyszę.

– Czego? – reaguje. – A, rozumiem. Nie, nie mamy. To wasza specjalność, lokalna.

I w ten sposób rozwiewa mi resztki wątpliwości.

– Jeżeli możesz mi czytać w myślach z taką łatwością, to wiesz, że martwi mnie coś jeszcze.

– O, tak. Ten człowiek. Znamy go. Ale to nie jest problem. Nie teraz. I nie na długo.

– Nie na długo – powtarzam z drwiną.

Jest chyba lekko urażona, kiedy mi odpowiada.

– Wy, starożytni, martwiliście się ciągle o przyszłość. Baliście się nawet, że Słońce wybuchnie, że wszechświat skończy się za miliony lat. Tyle strachu. I na co wam się to zdało? Zginęliście prawie wszyscy.

– Jak mnie nazwałaś? „Starożytny”?

– Jestem młoda. Jaki inaczej miałabym cię nazwać?

– Wy, „starożytni”... Mogę mieć co najwyżej dwadzieścia lat więcej od ciebie. Mogę być „stary”, okej. Ale „starożytny”...

– Nie miałam na myśli tego znaczenia. O, ale powiedziałaś „okej”... Wieki całe tego nie słyszałam...

– Jestem Amerykaninem. To znaczy byłem.

– Amerykaninem... Wiesz, że jest wysokie prawdopodobieństwo, że to wszystko się od was zaczęło?

– Wysokie prawdopodobieństwo...?

– Fifty-fifty powiedzmy.

Nie wiem, co jest bardziej surrealistyczne. Iść przez tę ponurą równinę, prowadząc miłą konwersację, czy pozbyć się w jednej chwili wszelkiego strachu związanego z Durandem i jego tajemniczą skrzynką, albo z...

– Martwi mnie coś jeszcze – mówię.

– Za dużo się martwisz.

– My, „starożytni”, tacy byliśmy. Martwi mnie taki jeden. Właściciel ciężarówki, w której mnie znalazłaś.

– „Największy i Najszybszy Kościół Boży na Kołach”, czy tak? Mówisz o Davidzie Gottschalku, Człowieku Bólu...

– Tak.

– On też nie przedstawia żadnego zagrożenia. Wszystko pójdzie dobrze, John. Zobacysz. To wszystko jest częścią planu.

– Jakiego planu?

– Wkrótce zrozumiesz. A teraz przygotuj się, bo zaraz zobaczysz coś cudownego.

Przystaje. Stoi, jakby nasłuchiwała jakiegoś głosu, którego ja nie słyszę.

Po chwili, najpierw jako ledwie słyszalny szmer, potem jako wyraźny dźwięk, dociera do mnie hałas maszerującego tłumu. Nawoływania, muzyka, głosy dzieci, zdania wypowiedane wesołym tonem w nieznanym mi językach. Gdybym zamknął oczy, mógłbym wręcz poczuć się jak kiedyś w parku rzymskim albo na zatłoczonej ulicy jakiegoś centrum sztuki, pełnej turystów.

Wiatr cichnie. Śnieg przestaje padać. Zastąpiła go mgła. Ale ona też ustępuje. W szarej poświacie tych oparów zaczyna rysować się jakiś dziwny kształt: olbrzymi łuk, prawie nad naszymi głowami. Łuk staje się coraz bardziej widoczny, ukazując na swym grzbiecie jaśniejsze plamy, które wyglądają jak oczy. Dziesiątki oczu.

Ostatni gwałtowny podmuch wiatru rozpędza mgłę i przed moimi oczami ukazuje się wysoko na niebie kamienny most o jednym przęśle.

Widziałem go niezliczoną ilość razy w filmach dokumentalnych i na zdjęciach. Nigdy na żywo, ale obraz pozostał w pamięci.

To most Rialto.

Otwieram usta ze zdumienia, kiedy tak patrzę, obracając się wokół siebie aż po zawrót głowy.

Hałas tłumu maleje, aż znika zupełnie.

Most jest nad nami naprawdę.

Stoimy w środku wąwozu, którego ściany stanowi las martwych drzew. A na tych drzewach pałace, które wyglądają jakby wyszły z jakiejś bajki. Ich fasady wyglądają niczym wyhaftowane w marmurze i w granicie.

Wenecja.

Canal Grande zupełnie suchy.

Obracając się wokół siebie, patrzę z niedowierzaniem na tłum ludzi wychylonych przez balustradę mostu, stojących wzdłuż nabrzeży kanału. Setki osób ubranych w długie czarne płaszcze, z twarzami ukrytymi pod białymi maskami i w trójgraniastych kapeluszach na głowach. Milczący, nieruchomy tłum. Tylko lekki podmuch wiatru porusza połami płaszczy.

Czuje, że tracę grunt pod nogami

Lecę w dół z jakiejś dużej wysokości.

Upadając, macham ramionami. Na próżno.

Uderzam plecami w wyschłe błoto.

Jak na filmie w zwolnionym tempie widzę najpierw śnieg uciekający w górę, a potem zaraz znów spadający w dół.

Zamykam oczy z wizerunkiem Alessii pod powiekami, z twarzą zwróconą ku górze i szeroko otwartymi ustami w milczącym wołaniu o pomoc.

Rozdział 33: Serenissima

Budzę się i czuję, jak coś chłodnego i wilgotnego gładzi mnie po czole. Otwieram oczy.

Alessia siedzi obok mojego legowiska, trzyma w ręku namoczoną gąbkę.

Nie jest już ubrana w płaszcz z kapturem. Czarne włosy zebrane są w warkocz.

Zmartwienie w jej oczach znika, kiedy widzi, że odzyskałem przytomność.

– Witaj z powrotem.

– Witaj z powrotem...? To ja gdzieś byłem?

– Ty mi to powiedz.

– Dziwne...

– Co?

– Śniłaś mi się przez tyle nocy, a teraz, kiedy mam cię tak blisko, już mi się nie śnisz.

– Nie zawsze sny się pamięta.

– Właśnie. Ale gdybyś mi się śniła, pamiętałbym.

– Wszyscy duchowni są takimi dżentelmenami?

Rumienię się. Czuję przyływ ciepła na policzkach. Czuję też coś innego: nie boli mnie już nic.

Podnoszę rękę do twarzy i wyczuwam gładką, świeżą cerę.

– Chcesz lustro?

– Tak.

Ręka Alessii podaje mi okrągłe lustro z zardzewiałą ramką.

Patrzę na siebie z coraz większym niedowierzaniem.

– Co mi się stało?

Dziewczyna zabiera mi z ręki lustro i odkłada do niewidocznej kieszeni.

– Nic. Jesteś zdrowy. Wszystko w normie.

– Nie mówię, że nie jest. Ale było ze mną bardzo źle, kiedy mnie znalazłaś. Promieniowanie, zmęczenie. A teraz wszystko jest tak, jakby się nic nie stało. Czuję się lepiej niż przed wyjazdem z Nowego Watykanu. I ty mówisz, że wszystko jest w normie?

– Wolałbyś czuć się jak przedtem?

– Ależ nie. Co to ma do rzeczy? Po prostu nie wydaje mi się to, jak mówisz, w normie.

– Ważne jest nie to, co mówię, ale to, co jest.

Spoglądam na nią, niezupełnie rozumiejąc. I zadaję jej pytanie, które najbardziej bałem się zadać.

– To ty?

– Co ja? – odpowiada pytaniem i wygląda na szczerze zaskoczoną.

– No na przykład czy to ty mnie wyleczyłaś?

– Nie. To nie ja.

– Więc kto... co to było?

Alessia wzrusza ramionami. Wygląda teraz jak dziewczynka. Jej obojętność wobec cudów wydaje się szczerą, zupełnie naturalną.

– Czekałam na ciebie tak długo – mówi szeptem.

– Czekałaś na mnie? Jak to możliwe?

– Czasami my o kimś śnimy, a czasami śnią o nas.

– Jak długo spałem?

– Dwa dni – odpowiada, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. – Wstań. Muszę ci coś pokazać.

Pokój, w którym odpoczywałem – o ile „odpoczywanie” jest tu dobrym słowem – ma dziwny, okrągły kształt. Jest ciasny i wysoki niczym komin fabryczny. W ceglany murze wydrążono półki. Na

jednej z nich pełgają płomyki trzech grubych, niskich świec.

Wstaję z nastawieniem, że zaraz zrobi mi się niedobrze albo przynajmniej zakręci w głowie. Nic z tych rzeczy, wstaję zupełnie normalnie.

Mniej normalne jest natomiast to, że wstaję zupełnie nagi.

Znów się rumienię.

O wiele bardziej niż za pierwszym razem.

Alessia zakrywa sobie ręką usta, by ukryć uśmiech.

Odwraca głowę, żeby na mnie nie patrzeć, rozbawiona jak mała dziewczynka.

– Ubranie jest na tamtej półce.

Na półce leżą złożone czarne spodnie, biała koszula i czarna kamizelka ze złotymi haftami, które tworzą skomplikowane geometryczne arabeski czy też mandale.

Żadnej bielizny.

Ani guzików. Są za to haftki – męcę się chwilę, żeby je pozapinać. Zamiast paska przy spodniach jest sznureczek do wiązania, jak w dawnych dresach gimnastycznych.

– Skończyłeś? Mogę się odwrócić?

– Tak.

– Ale jesteś elegancki. Buty są tam.

Mokasyny z barwionego na czarno płótna. Podeszwa zrobiona jest z opony samochodowej.

Rozmiar doskonale dopasowany.

Mieli przecież dwa dni na to, żeby mnie wymierzyć...

Stroju dopełniają czarny płaszcz bez kaptura i trójgraniasty kapelusz z tkaniny.

Alessia patrzy na mnie zadowolona.

– Wszystko w porządku? To idziemy.

Odsuwa na bok ciemną zasłonę, za którą biegnie krótki korytarz przechodzący po dziesięciu metrach w kolejny okrągły pokój, tyle że większy. Stąd wiedzie kolejny korytarz do kolejnego pokoju, i tak dalej. Jeżeli katakumby Świętego Kaliksta wydawały mi się klaustrofobiczne, to co powiedzieć o tym labiryncie pomieszczeń różnej wielkości, zbudowanych na wspólnym planie koła?

– To miejsce jest przedziwne – mówię. – Dlaczego pokoje są okrągłe? To chyba nie jest zbyt praktyczne.

– Ale to nie są pokoje. To dawne zbiorniki. Wenecja powstała i rozwinęła się na słonej wodzie. Studnie artezyjskie należały tu zawsze do rzadkości. Zaopatrzenie w wodę pitną, przed zbudowaniem wodociągu w XIX wieku, opierało się zasadniczo na tych zbiornikach, w których gromadzono deszczówkę. Były ich tysiące: spis z 1857 roku ujawnił 180 zbiorników publicznych i ponad sześć tysięcy prywatnych. Praktycznie rzecz biorąc, tylko najuboższe domy ich nie posiadały. Popatrz.

W jej rękach widzę jakąś kartkę. Wygląda jak strona wydarta ze starego atlasu.

– Widzisz? – mówi. – Wenecja ma kształt ryby.

To prawda. Rozpoznaję obraz ryby: ciało, ogon. Nawet oko, w najjaśniejszym obszarze stacji kolejowej.

Szary plan miasta usiany jest czerwonymi punkcikami. Jedne są większe, drugie mniejsze. W niektórych miejscach są tak gęste, że cały obszar pokolorowany jest na czerwono.

– To jest mapa ze zbiornikami Wenecji.

– Niewiarygodne – kręcę głową.

– Jak możesz się domyślić po skali, miały najróżniejsze wymiary. Były cysterny bardzo małe, ale i ogromne: w klasztorze Świętych Jana i Pawła na przykład powierzchnia zbiorcza cysterny wynosiła 2500 metrów kwadratowych. Kiedy w 1884 roku zbudowano wodociąg, prawie zupełnie przestano korzystać z cystern. Ale puste przestrzenie zostały. Zajmują olbrzymią powierzchnię w podziemiach miejskich: ich powierzchnia to prawie dziesiąta część całej powierzchni miasta. Wystarczyło połączyć zbiorniki, żeby

stworzyć podziemne pomieszczenia doskonale nadające się do zamieszkania. I wróciliśmy do starożytnych studni artezyjskich. Wydrążono je przy użyciu dawnych technologii. Mniej więcej takich, jakimi dysponujemy dzisiaj...

Kiedy docieramy do drewnianych drzwi, Alessia ściąga z szyi klucz: imponujący przedmiot z brązu. Wkłada go do zamka. Drzwi otwierają się na zewnątrz.

Światło i zimne powietrze wbijają mi się w oczy.

– Nie mogę tak wyjść! Zamarznę! Ty też jesteś za cienko ubrana.

Alessia śmieje się. Podaje mi czarną maskę z dziwnym długim dziobem.

– „Nie bój się żaru słońca, ni zimy srogiego gniewu...”

– To była poezja. A tu jest rzeczywistość.

Ale dziewczyna mnie nie słucha. Rusza, nie zważając na moje protesty, i schodzi po sznurkowej drabince. Jesteśmy na wysokości około czterech metrów nad dnem wyschniętego kanału.

W końcu postanawiam też zejść na dół.

Dzisiaj widoczność jest zdecydowanie lepsza. Chociaż mgła wciąż wisi nad dnem kanału, od wysokości półtora metra powietrze jest przejrzyste aż do pokrywy z szarych, ciężkich chmur. Wkładam maskę, naciskam na głowę trójgraniasty kapelusz i jestem gotów.

Przez ten dziwny dziób maski oddycham powietrzem gęstym, bogatym w zapachy roślin, ze słonawym posmakiem. Dziwne, ale przyjemne.

Jakie to niesamowite uczucie chodzić w świetle dnia, w spadającym na nas niewidzialnym deszczu śmierci, i „zła się nie ulęknąć”, jak mówi Pismo Święte.

Idę za Alessią głębokim, szerokim kanałem wijącym się jak wąż. Wrażenie martwego lasu jest coraz silniejsze. Kilka budowli nie wytrzymało próby czasu i żywiołów. Jedne są spalone, inne zawalone. Ale większość się oparła – stoją dumnie i wspaniałe na skomplikowanej płataninie pali.

– Wenecję zbudowano na ponad stu tysiącach pali wbitych w muł, część z nich jest naprawdę bardzo stara. Brak tlenu powoli zamienił drewno w kamień.

Pokazuje mi jakiś punkt, którego bym nie zauważył. Wenecja jest miastem kamuflaży i zmyłek. Zrazu oko nic nie zauważa, dopiero gdy wyteńczyć wzrok, dostrzega się oznaki i ślady życia, tak dobrze zamaskowane, że są nierozpoznawalne. Jakiś wartownik uzbrojony w lancę i szpadę odrywa się nagle od ściany. Kolor jego stroju jest identyczny jak kolor pali, o które się opierał. Twarz i ręce też pomalowane są w barwach maskujących. Kiedy do nas podchodzi, ma się wrażenie, że oto zbliża się część miasta.

Alessia nic nie mówi. Wymieniają tylko spojrzenia, i to wszystko. A może jest coś jeszcze, ale mnie nie udaje się tego uchwycić. Wartownik przepuszcza nas.

– Nie zauważyłem go – mówię z podziwem.

– Tak jak i pozostałych.

– Byli jeszcze inni?

– Minęliśmy czternastu.

I nie mówi nic więcej. Ja też o nic nie pytam. I tak mam już o czym rozmyślać.

Kiedy docieramy do zakrętu tego, co kiedyś nazywało się Canal Grande, natykamy się na szczątki statku na wpół zatopionego w wyschniętym błocie. Przechylony na bok, zniszczony przez wodę i przez dwadzieścia lat niepogody, wygląda bardziej na trupa jakiegoś olbrzymiego zwierzaka niż na szczątki statku.

– Nie byłeś nigdy w Wenecji – uśmiecha się Alessia. I nie jest to pytanie.

– Nie. Ale tak jakbym tu był. To chyba przez filmy. I zdjęcia.

– To przepiękne miasto. Nawet teraz, ale z wodą musiało być niesamowite.

– Dlaczego wyschło?

Alessia pokazuje jakiś odległy punkt, daleko za ujściem kanału.

– Nie wiemy. Morze cofnęło się o dziesięć kilometrów. Niektórzy mówią, że to przez mróz.

Zwiększyły się pokrywy lodowe na biegunach. Mówią, że przechodzimy właśnie małą epokę lodowcową.

– Tak, też o tym słyszałem.

Śnieg sięga nam po kostki. Wiatr wiejący nieprzerwanie od czasów wojny nie pozwala mu się nawarstwiać. Gdyby śnieg pędzony wiatrem mógł swobodnie opadać, utworzyłby metrową warstwę, powiedział mi to kiedyś Maksim. Jak ja bym chciał, żeby on tu był, żeby mógł zobaczyć to miasto. Pospacerować w świetle dnia.

Alessia każe mi się zatrzymać.

Wspinamy się po metalowej drabinie wspartej na ścianie „wąwozu”. Sfosylizowane pnie przypominają martwy bór bardziej niż kiedykolwiek.

Skomplikowaną sekwencją uderzeń Alessia puka do drzwi znajdujących się pod fundamentami pałacu o fasadzie zdobionej delikatnymi intarsjami i marmurowymi maswerkami, które przydają budowli niezwyklej lekkości, jakby była ze szkła.

Drzwi otwierają się. Dwóch strażników usuwa się na bok, by zrobić dla nas przejście.

Przez perfumowane filtry, które wypełniają zapewne dziób mojej maski, dociera lekko drażniący zapach.

Cierpka, słodkawa woń.

Przechodzimy krótkim korytarzem, a za ciężką czarną kotarą wchodzimy do dużego pomieszczenia o niskim suficie. Wygląda na wydrążone w glinie. Jedyne światło pochodzi od dwóch świec zawieszonych po przeciwnych stronach lokalu. Jest wątle.

Ale światło nie jest potrzebne przebywającym w pomieszczeniu.

Trupy zawieszono są na ścianach bocznych.

Wiszą po kilkadziesiąt na błyszczących hakach rzeźnickich.

Czas zmumifikował ciała. Skóra jest sucha niczym pergamin, zęby obnażone w straszących uśmiechach. Ręce złożone na piersiach, ciała zawinięte w bandaże jak mumie. Wysuszone oczodoły zakryte są spuszczone powiekami, jakby martwi pogrążeni byli we śnie.

Alessia jak gdyby nigdy nic chodzi między dwoma rzędami wiszących zwłok.

A ja za nią. Cóż innego mi pozostało?

Martwi są w różnym wieku. Bardzo wiele dzieci, rozmieszczonych w dwóch poziomych rzędach, jedno nad drugim. Do piersi mają przypięte kartki z nazwiskami i wiekiem.

„Pięć lat”.

„Sześć lat i dwa miesiące”.

„Trzy lata”...

Zmawiam w myśli modlitwę za nich wszystkich.

Alessia odwraca się z uśmiechem.

– Oni odpoczywają w pokoju. Nie potrzebują modlitwy.

Podchodzi do mumii jakiejś dziewczynki, zawiniętej w tkaninę, która kiedyś musiała być różowa.

– To moja siostra.

Uświadamiam sobie z przerażeniem, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby martwa dziewczynka ukłoniła się lekko, żeby się przedstawić.

– Umarła dawno temu. Miała jedenaście lat. Widzisz?

– Dlaczego trzymacie tu swoich zmarłych? – pytam słabym głosem.

– Dlaczego pytasz? A wy co robicie ze swoimi?

Jej pytanie zbija mnie z tropu.

– No, grzebiemy ich.

Jej twarz jest teraz surowa.

– W jaki sposób?

– Kiedy ktoś umiera, przyjeżdża ekipa z urzędu i wywozi go na zewnątrz.

– A później?

– No, są grzebani.

Alessia kręci głową.

– Przecież zmarznięta ziemia jest twarda jak kamień.

Już wiem, do czego zmierza. Mnie też nieraz to zastanowiło. Nikt nie wie, czy ekipy pogrzebowe robią naprawdę to, co powinny, czy też może pozbywają się ciał w jakiś inny sposób.

Jak wiele innych rzeczy w naszym życiu, tak i to jest kwestią wiary.

Alessia posmutniała.

– A przecież życie w katakumbach. Starożytni chrześcijanie wydrążyli je po to, aby grzebać tam zmarłych obok grobów świętych. A wy wyrzucacie swoich na zewnątrz, jak śmieci...

Odwraca się do mnie plecami.

Zwieszona wzdłuż tułowia ręce zaciskają się w pięści, jakby chciała powstrzymać złość.

Nigdy jej takiej nie widziałem.

Gładzi ramię martwej dziewczyny. Robi to ze wzruszającą delikatnością.

– My nie przeganiamy naszych zmarłych. Zostają z nami na zawsze.

– Trzymacie ich tutaj wszystkich?

Alessia śmieje się gorzko. Niemal prześmiewczo.

– Zmarłych z całej Wenecji? Nie, to niemożliwe. Doświadczenie nauczyło nas wybierać stanowiska najbardziej odpowiednie. Czyli takie, w których warunki powietrza i ziemi pozwalają na zachowanie procesu konserwacji. Utrzymanie kontaktu ze zmarłymi jest dla nas bardzo ważne.

Jeszcze jedno czułe dotknięcie mumii siostry, potem odwraca się do mnie tyłem i oddala w stronę wyjścia.

Kolejny korytarz, jeszcze krótszy od pierwszego.

Wydrążone w skamieniałych pniach schody wiodą na parter budynku.

Żyłem tak długo w ciemnościach podziemia, że zapomniałem już, jakim cudem jest światło. Jak cenną jest rzeczą, cenniejszą od wody i powietrza. Patrzyć na błyszczące przedmioty, na pozostawiane przez nie cienie – to niezwykle widowisko. To tak, jakbym przez długie lata był ślepy, jakbym znał przedmioty tylko z dotyku, a teraz odkryto przede mną świat po raz pierwszy.

– Podoba ci się? – pyta ze śmiejącymi się oczami.

To niewiarygodne, w jaki sposób zmienia się jej humor. Ta dziewczyna jest jak burzowy dzień.

– Przepiękne – odpowiadam.

– Jeszcze nic nie widziałeś.

– Czyje to miejsce?

– To? To jest mój dom.

– Ten pałac? Twój dom?

– Tak. Chodź, coś ci pokażę.

Wchodzimy imponującymi, szerokimi schodami zalanymi światłem, wprawdzie szarym i zamglonym, ale wspaniałym.

Patrzę z otwartymi ustami na sufity ozdobione stiukami, na olbrzymie żyrandole, na obrazy, z których surowe twarze różnych postaci – prałatów, wojskowych w zbrojach i siedemnastowiecznych perukach, urzędników i wielkich dam – rzucają mi pogardliwe, wyniosłe spojrzenia.

Pokonujemy dwa monumentalne biegi schodów, po czym Alessia prowadzi mnie do salonu z sufitem porytym freskami. Pod ścianami stoją wielkie witryny z fantastyczną zawartością.

– Wenecja słynęła kiedyś z produkcji szkła. Cała jedna wyspa, zwana Murano, specjalizowała się w tej sztuce.

Witryny zawierają prawdziwą konstelację cudów: wazy i kielichy w niewiarygodnych barwach,

ozdobione z taką fantazją, że zapiera mi dech w piersiach.

Alessia prowadzi mnie ku najmniejszej z witryn, w której znajduje się jeden jedyny przedmiot. To przezroczysty flakonik kilkucentymetrowej wysokości. Wydaje się tak lekki, że pewnie mógłbym go zdmuchnąć.

– To bardzo stara rzecz – mówi szeptem, jakby nie chciała zakłócać jego spokoju. – Znaleziono go na rzymskim statku. Kiedy woda opadła w lagunie, odkryliśmy wielkie skarby. To szkło ma ponad 1800 lat. Jest wspaniałe, prawda?

Kiwam głową. To niewiarygodne, że coś tak kruche mogło przetrwać tysiąclecia, nie tracąc nic ze swego piękna.

Alessia znów chyba czyta mi w myślach.

– Zginął cały świat, miliardy ludzi... Całe miasta zostały pochłonięte, planeta jest jedną radioaktywną ruiną...

Otwiera witrynę. To surrealistyczny gest, bo „witryna” jest zupełnie pozbawiona szyb. Nie ma więc żadnej praktycznej potrzeby otwierania skrzydła. Ale ona je otwiera.

Delikatnie podnosi w palcach flakonik z podstawy i podaje mi go.

– Chcesz go zbić? Możesz to zrobić.

Moje palce sięgają po szklany przedmiot. Przez chwilę naprawdę odczuwam pokusę zaciśnięcia ich na tej nieskazitelnej powierzchni, zgniecenia flakonu, tak że nikt, nawet cud boski go nie uratuje.

Cofam rękę.

– Nie – mówię. – To byłoby nie w porządku.

Alessia wygląda na rozczarowaną.

– Wiem, że zabijaliście ludzi, żeby tu dotrzeć. Wiem, że ty też zabijałeś.

Chciałbym móc zaprzeczyć.

Ale, oczywiście, nie mogę.

Kręcę głową.

– Zrobiłem to, co musiałem, żeby tu dotrzeć. Moja misja...

– No właśnie. „Twoja misja”. To jest najważniejsze. Tylko to się liczy. Co jeszcze jesteś gotów zrobić dla tej twojej świętej misji?

– Wszystko, co będzie konieczne – odpowiadam jej ze smutkiem płynącym z samych trzewi.

– Byłbyś gotów mnie zabić dla twojej misji? – pyta odkładając na miejsce cenny antyczny przedmiot i zamykając skrzydło witryny.

– Nie – odpowiadam. – Nie mógłbym cię nigdy zabić.

– A dlaczego nie?

Co mam jej odpowiedzieć? Co mogę jej odpowiedzieć?

Z moich ust padają słowa, których nigdy bym się po sobie nie spodziewał.

– Bo to miejsce jest przepiękne. A ty do niego należysz. Nie mógłbym nigdy zrobić wam krzywdy.

– Nawet gdyby od tego zależało powodzenie twojej misji?

– Tak. Nawet wtedy. Nigdy nie będę twoim wrogiem.

Alessia wygląda na rozczarowaną.

– Nigdy jest mocnym słowem. Nigdy to mnóstwo czasu.

Zastanawiam się nad jej słowami. Ma rację. Nigdy to naprawdę mnóstwo czasu.

Ale nie waham się, by powtórzyć swoją przysięgę.

– Nigdy nie zrobię ci krzywdy.

Alessia uśmiecha się.

W jednej chwili spływa z niej cały smutek.

I znowu jest tą lekko kroczącą dziewczyną, która zaczarowała moje sny.

– Popatrz na to, John. Podobają ci się? Nazywają się *goti de fornasa*, „kielichy z pieca”. Artyści,

k którzy dmuchali szkło, robili je dla siebie, jako szklanki. To były pojedyncze egzemplarze, nieprzeznaczone do handlu. Potem wszystko się zmieniło, ale te tutaj, w witrynie, są oryginalne. Mają ponad pięćdziesiąt lat. Są starsze od ciebie.

Jest jakaś żartobliwa nuta w jej ostatnim zdaniu.

Ton lekkiej drwiny, a jednocześnie jakby porozumiewawcze mrugnięcie okiem.

Takie słowa byłyby normalne między kobietą i mężczyzną, którzy coś do siebie czują. Ale nie są normalne między kobietą i księdzem.

Chyba powinienem jej to powiedzieć.

Więc dlaczego nie mówię?

Dlaczego się uśmiecham i odpowiadam:

– Mało jest rzeczy starszych ode mnie na tym nowym świecie.

Alessia prowadzi mnie do kolejnych pokoi z nowymi skarbami.

– Musieliśmy zgromadzić dzieła sztuki w pewniejszych miejscach. Niektóre budynki się zawaliły, kiedy morze się cofnęło. Inne się chwieją.

Pokazuje mi obrazy, stopy cennych tkanin i inne przedmioty, które w moich oczach są zwykłymi rupieciami: Barbie bez ręki, zużytą talię kart... Przed moimi oczami, zniewolonymi każdym jej krokiem, porusza się z zachwycającą lekkością.

Nigdy nie byłem namiętym mężczyzną. Nie z wyboru, lecz z natury, już od dziecka wolałem rozkosze intelektualne od cielesnych. Śluby czystości usankcjonowały jedynie pewien stan rzeczy.

Nie, w tej młodej kobiecie pociąga mnie piękno samo w sobie, uroda nie różniąca się w moich oczach od piękna szklanego flakonika, który mi właśnie pokazała. To piękno, o którego posiadaniu nie śmiem nawet śnić. Które w moich rękach nie byłoby nic warte, nie przetrwałoby.

A jednak...

A jednak gdzieś w głębi duszy mam jakieś poczucie straty. Poczucie płynące ze świadomości, że ta kobieta nie będzie nigdy moją, jak nie będzie moją przeszłość, chwile, które na zawsze już pozostaną za nami.

– Jesteś smutny – mówi do mnie szeptem.

– Tak.

– Nie powinno ci być smutno. To jest miasto radości. Dzisiaj w nocy urządzimy ci wielkie przyjęcie.

Na te słowa zamiera mi serce. Pamiętam przerażające przyjęcie w Rimini. Śmierć wielu niewinnych osób.

– Musisz z tym skończyć – wyrzuca mi surowo Alessia. – Nie możesz brać na siebie przewin całego świata.

– Masz rację. Żeby mnie przygnieść, wystarczą moje.

– Twoje? Jakie? Co ty możesz mieć za grzechy? Nie ty wywołałeś wojnę. Nie ty zniszczyłeś świat. Prawda jest taka, że nigdy nie dowiemy się, kto to zrobił. Ale z pewnością nie ty.

– Nie o to chodzi. Mam inne grzechy. Osobiste. Ta wyprawa była błędem. Zostawialiśmy za sobą tylko śmierć, i nie mogę sobie tłumaczyć, że to nie była moja wina. Nasza wina.

– To głupie, sama taka myśl już jest głupia.

– Ja jestem głupim człowiekiem. Powierzenie mi tej misji było błędem.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? Nigdy nie dowiedziałam się, co było twoją misją.

– Ale skoro umiesz czytać w moich myślach...

– Nie, nie umiem.

– Nie kłam.

– Ja nigdy nie kłamię.

Wzdycham. Jak takie oczy mogłyby kłamać? Młode, najwyraźniej młodsze od tego świata i od

wszelkiego grzechu. Oczy ciemne, niemal czarne, a jednocześnie niezwykle promienne.

Słowa wymykają mi się z ust zbyt szybko, bym mógł je powstrzymać.

– A jednak jestem pewien, że czytasz w moich myślach.

Alessia podnosi rękę do ust. Oczy jej się śmieją.

– No, nie! Naprawdę tak myślisz? Ależ nie umiem czytać w twoich myślach. Nikt z nas tego nie potrafi, oprócz Patriarchy...

Na dźwięk tego słowa doznaję szoku.

– Więc Patriarcha istnieje!

– Oczywiście, że istnieje. Dlaczego cię to dziwi?

– Bo...

Długo się waham. W końcu postanawiam zmyślać.

– Bo myślałem, że to tylko legenda.

– Pewnie, że nie legenda. Dzisiaj w nocy zobaczysz go na przyjęciu. Chodź, pokażę ci twój pokój.

Wiesz, że patriarcha istnieje, powinna mi napełnić serce radością. Moja misja dobiega kresu. Ale wszystko zeszło na drugi plan wobec cudowności tego miejsca i jego skarbów, wśród których pierwszym jest Alessia.

Podążam za nią w milczeniu.

Idziemy długimi korytarzami, przechodzimy przez inne pokoje, pogrążone w ciemności. W kilku wydaje mi się, że widzę jakieś osoby śpiące na ziemi. Ale próbuję nadażyć za szybkim krokiem Alessii i nie udaje mi się dojrzeć szczegółów.

W kolejnym korytarzu wiszą na ścianach puste ramy.

– Gdzie się podziały wszystkie obrazy? – pytam.

Na jej twarzy pojawia się grymas, który bardzo szybko znika.

– Nie wiem.

Obok jednego z obrazów dostrzegam błysk. Nachylam się z wymówką, że muszę zawiązać buty.

W szczelinie ramy tkwi odłamek szkła pomalowanego z jednej strony na srebrno.

To nie były ramy obrazów, lecz luster.

Alessia popęda mnie niecierpliwym ruchem z pokoju w głębi korytarza. Wyjmuję drobnutki odłamek lustra, zawijam go w swoją tłustą, brudną chustkę i wkładam do kieszeni. Pospiesznie dołączam do mojej przewodniczki.

Pokój jest duży. W Świętym Kalikście takiej przestrzeni nie ma pewnie i sam kardynał Albani. Musiało tu stać duże łóżko, bo na parkiecie są jeszcze ślady nóg. Ale nie ma go. Jest tylko coś w rodzaju japońskiego futonu na samym środku pokoju, a obok leży złożona kołdra, nieskazitelnie czysty ręcznik i niewielka kostka mydła na malutkim talerzyku.

Po jednej stronie pokoju, od podłogi aż po sufit, stoją stosy książek najprzeróżniejszej wielkości – od wydań kieszonkowych po osiemnastowieczne opasłe tomiska.

Łączy je wszystkie jedno – nie mają okładek. Okładki złożono na stosach przy przeciwległej ścianie. Jakby ktoś zadał sobie specjalnie trud odarcia z nich książek, jak zwierząt ze skóry.

Alessia uśmiecha się.

– Kiedy rządzi głód, wszystko może służyć za pokarm. Niektóre z tych okładek, te ze skóry, zostały ugotowane na rosół. Potem ktoś wyczytał, że można zagotować klej i uzyskać z niego jadalną pastę. Wyskrobali więc klej z książek i wygotowali z niego syrop, z którego zrobili cukierki.

Kręcę głową.

– Mój przyjaciel, Rosjanin, opowiadał mi, że w Leningradzie oblężonym przez wojska niemieckie robili to samo. W ten sposób udało się przeżyć jego rodzicom.

Gładzę grzbiet jakiejś książki. Czytam tytuł. *De Phaenomenis in Orbe Lunae, 1612*. Ciekawe, gdzie podział się środek z tekstem. Pewnie na tamtej kupce.

– Książki przystawione do ściany służyły jako materiał izolujący – wyjaśnia Alessia.

– Książki można lepiej wykorzystać – wzdycham.

– Pewnie, że można. Ale to nie pomoże ci przeżyć.

Wychyłam się przez okno nad czymś, co kiedyś zwało się Canal Grande, a teraz wygląda na księżycowy krajobraz.

Przeciągam dłonią po policzku. Oprócz trzydniowego zarostu nie wyczuwam ani blizn, ani ropnych krost, które byłyby zupełnie normalną rzeczą dla kogoś, kto spędził tyle czasu na wolnym powietrzu. Zresztą nawet nie powinienem być w stanie podnieść ręki. A najprawdopodobniej powinienem już nie żyć.

– Jak chronicie się przed promieniowaniem? – pytam podziwiając jej idealną skórę.

– Tak jak chronimy się przed zimmem i głodem. Nasz Patriarcha myśli o wszystkim. Zobaczysz.

W kanale prawie nie ma śniegu. Na dachach też jest go mało. Z dna długiego błotnistej kanionu wystają co kawałek ciemniejsze przedmioty.

– Co to jest? – pytam, pokazując palcem jeden z nich.

– Wraki. Znaczą, nieduże wraki. Szczątki małych łodzi transportowych, które osiadły, gdy wody się cofnęły, a później zniszczały. Nie ma w nich skarbów. Skarby znaleźliśmy gdzie indziej. W Arsenale, na przykład. Albo na otwartym morzu. Jest takie miejsce, już poza cieśniną Bocca di Lido, gdzie możesz znaleźć cudowne rzeczy...

– Ilu was jest? – przerywam jej.

Alessia marszczy brwi.

Nie odpowiada.

– To nie jest trudne pytanie – nalegam.

Odwraca się do okna. Na jej twarz pada światło i przeobraża ją.

Z większą intensywnością niż kiedykolwiek przychodzi mi na myśl pojęcie ciała uwielbionego.

Ciała, które będziemy mieli po zmartwychwstaniu: podobne do fizycznego, ale jednak inne – oddychające, przyjmujące pokarmy, ale niepodlegające już chorobom i śmierci. Ciało zdolne przemieszczać się swobodnie między ziemią a niebem, z jednego miejsca w drugie w jednej chwili, jak zmartwychwstały Jezus. Ciało podobne do ludzkiego, a jednak nieskończenie doskonałe.

Wyciągam rękę ku jej ramieniu, i wtedy przez drobną chwilę światło robi mi psikusa. Jej ciało staje się przejrzyste, mam wrażenie, że moja ręka przejdzie przez nią jak przez powietrze.

Alessia odwraca się, a ja znów zostaję więźniem jej magicznych oczu.

– Możesz wykazać jeszcze odrobinę cierpliwości? Proszę cię. Kiedy spotkasz Patriarchę, zrozumiesz wszystko. Teraz musisz odpocząć. To bardzo ważne, żebyś się dobrze czuł, kiedy się z nim zobaczysz. Prześpij się trochę, dobrze?

– Jak mogę spać w takim miejscu? To tak, jakbyś kazała dziecku przespać się przed wejściem do Disneylandu...

Kiwa głową.

– Nie pytasz mnie, co to jest Disneyland?

Alessia odwraca ode mnie wzrok. Znów wpatruje się w kanał za oknami, przez szyby tak czyste, jakby były z powietrza i światła. Szkło, które nic nie odbija. Które może nawet nic nie pamiętać.

– Wiem, co to jest Disneyland. Co to było.

– Ale przecież nie możesz mieć więcej niż dwadzieścia lat. Skąd wiesz, co to jest Disneyland?

Alessia uśmiecha się. Wypowiada kilka słów w nieznanym mi języku.

Patrzy mi prosto w oczy.

– Przysięgłeś, że zanim osądzisz, spróbujesz zrozumieć. A zanim zrozumiesz, spróbujesz otworzyć umysł.

Robię jeden krok. Staję u jej boku. Patrzymy chwilę na pusty kanał, a ja próbuję sobie wyobrazić,

jak wyglądał z wodą, kiedy jego nabrzeża były pełne ludzi, a nie puste niczym ruiny katedry.

– Musiała być przepiękna – mówię szeptem. – A teraz, popatrz tylko.

– *Quomodo sedet sola civitas.*

– Znasz łacinę.

– Trochę. Wiem, co znaczą te słowa. „Jakież puste jest miasto niegdyś pełne ludzi”...

– Ale nie wiesz, ilu was jest.

– Nie powiedziałam, że nie wiem. Mówiłam tylko, że nie chcę ci powiedzieć. Musisz poczekać.

Dzisiaj wieczorem wszystkiego się dowiesz. A teraz wyciągnij się, odpocznij.

– A ty dokąd idziesz?

– Gdzie indziej.

– Dlaczego nie zostaniesz?

Absurd moich słów dziwi mnie samego. Czuję, że się rumienię.

– Jesteś dorosłym mężczyzną – odpowiada bez zastanowienia.

– I księdzem – dodaje pospiesznie.

Alessia nie mówi nic.

Gdy patrzy mi w oczy, jej oczy wydają się coraz większe i coraz ciemniejsze.

Aż czuję, że uginają się pod mną kolana i już leżę na ziemi. W pokoju zapada chyba ciemność.

Cienie odrywają się od ścian i pełzną w moją stronę. Sen jest coraz większym basenem, w którym się topię. Jakieś silne ręce, które nie mogą być rękami Alessii, wkładają mnie do śpiwora, zasuwają zamek. Śpiwór zalatuje pleśnią, i to jest moje ostatnie świadome odczucie.

Rozdział 34: Kot

Ze snu bez snów budzi mnie coś zupełnie nieoczekiwanego. Czuję, jakby ktoś oddychał mi w policzek. Świeżym, rytmicznym, niemal hipnotycznym oddechem.

Kiedy otwieram jedno oko, mam przed sobą dwie pionowe źrenice.

Podnoszę głowę, a kot robi trzy kroki w tył. Nie odskakuje. Absolutnie pewny siebie.

Nie widziałem kota od dni Wielkiej Zagłady.

Sądziłem, że wyginęły. Jedynymi zwierzętami, jakie spotkałem przez te ostatnie dwadzieścia lat, są szczury. Dzieci polują na nie w skrajnych korytarzach katakumb, żeby później sprzedawać ich mięso i skóry.

Ale kot...

Mówią, że watahy tych zdziczałych zwierząt grasują w ruinach, polując na samotnych ludzi. Mówią też, że wałęsają się sfory psów, a niektóre z nich są wielkie jak kiedyś niedźwiedzie.

Ale żadna ze znanych mi osób nigdy ich nie spotkała.

Jedyny pies, jakiego widziałem po dniu Wielkiej Zagłady, to był mastif Morich. Zwierzę w bardzo złym stanie z racji wieku i różnych dolegliwości, które plątało się pod nogami patriarchy Alessandra przy okazji jego publicznych wystąpień. Kiedy stary zmarł, pies podążył za nim w zaświaty, ale nie do grobu. W tunelach krążyły legendy, że został podany na stół w trakcie kolacji młodych Morich.

Jakkolwiek schorowany, był jednak rzadkim przysmakiem...

Kot przygląda mi się długo. W jego uważnych, czujnych oczach widać inteligencję. To młody kot. Szara, pręgowana sierść, zielone oczy. Wygląda na zdrowego, dobrze odżywionego.

Wspieram się na łokciach, żeby usiąść.

Wpadające przez okna światło obciążone jest już cieniem. Światło wieczoru.

Kot nie przestaje mi się przyglądać.

Po chwili odwraca się ode mnie z wielką godnością i kroczy w stronę okna.

I tam znika.

Znika.

Dosłownie.

Jakby go wchłonęło szkło i światło.

Wpatruję się z niedowierzaniem w miejsce, w którym zniknęło zwierzę.

– Obudziłeś się – grzmi jakiś męski głos.

Odwracam się.

To wysoki, chudy chłopak w masce, która zakrywa mu pół twarzy, od nosa po czoło. Ubrany jest w dziwny, starodawny kostium, pewnie siedemnastowieczny. Kostium wygląda autentycznie, łącznie z lekką szpadą zapiętą na sprzączkę przy boku. Spodnie sięgające do kolan i kubrak przeplatane są złotymi nićmi układającymi się w skomplikowany kwiatowy wąż. Na to wszystko narzucił czarny płaszcz.

– Kim jesteś? – pytam.

– Nazywam się Alberto. Mam cię eskortować na przyjęcie.

– Myślałem, że Alessia mnie tam zaprowadzi.

– Ona się przygotowuje.

Wstaję. Zazwyczaj trzeszczy mi w kolanach. Ale nie dzisiaj. I mimo że nie jadłem nic przed zaśnięciem, nie pamiętam nawet, kiedy w ogóle przedtem coś przełknąłem, to czuję się bardzo dobrze. Wypoczęty i w formie.

A jednak zastanawiam się mimowolnie, co wskazałby dozometr. Wielkie okna na pewno nie są barierą dla promieniowania – ani słonecznego, ani powstałego w wyniku rozpadu atomowego. Zresztą, nie powinny też chronić od zimna, a przecież...

A przecież temperatura w tym pokoju jest wystarczająco wysoka, żeby mój oddech nie zmieniał się w chmurę pary, kiedy mówię do chłopaka: „Daj mi dziesięć minut”.

Znalazłem łazienkę u dołu schodów. Jest bardzo mała, słabo oświetlona. Ale światło i tak na nic by mi się zdało, bo i tutaj lustro jest wybite. Była może kiedyś herezja, która lustra uznawała za coś złego? Czy też może jest to zafałszowane wspomnienie opowiadania Borgesa?

Cokolwiek to jest, muszę zdać się na zmysł dotyku, żeby się ogolić i nie pozacinać.

Myję się najlepiej jak umiem tym miniaturowym kawałkiem mydła, który zostawili mi obok łóżka. Gdy się wycieram, nieskazitelnie czysty ręcznik robi się od razu szary.

Kiedy wracam na górę, znajduję kupkę ubrań na podłodze obok śpiwora. Para czarnych lakierków, na pozór nowych, stoi bez kompleksów obok eleganckiego smokingu i reszty wieczorowego ubioru. Dalej leży czarny płaszcz z futrzanym kołnierzem, złożony z niezwykłą starannością. A na nim maska z długim dziobem, podobna do tej, którą nosiłem rano, choć nie taka sama.

Żadnego trójgraniastego kapelusza.

Żadnej peleryny.

Żadnych butów na podeszwie z opony.

Strój galowy.

Alberta nie ma.

Wychyłam się przez okno.

Ludzie w ciemności przechadzają się kanałem. Byliby niewidoczni, gdyby nie poruszające się nad ziemią, niczym błędne ogniki, płomyki lampionów czy też świec.

Dziesiątki, setki osób.

Zastanawiam się, jaki sens ma ten milczący marsz, gdy zbliża się noc, aż ciszę przeszywa odległy dźwięk rogu.

Dźwięk ponury, który odbija się echem od fasad domów i ścian tego dziwnego kanionu.

Posłuszni wezwaniu rogu, pielgrzymi przyspieszają kroku. Wydaje się, że schodzą się z wszystkich bocznych kanałów, jak dopływy. Schodzą też z domów po długich drewnianych schodach lub po sznurowych drabinkach, dołączając do strumienia płomyczków i tworząc wolno płynącą rzekę światła.

Niesamowity widok.

Chłopak w masce, który znów bezszelestnie zjawił się za moimi plecami, odchrząkuje.

– Musimy iść.

– Oczywiście – odpowiadam zamyślony.

– Trzeba się przebrać.

– Dobrze.

Alberto wycofuje się pełen respektu.

Przez szyby słyhać chyba muzykę.

Jakkolwiek wydaje się to niemożliwe, to chyba piosenka Conora Obersta, *Milk Thistle*. Piosenka, która nigdy się nie zestarzeje, bo nie ma nowych piosenek. W naszych podziemnych schronach nikt nie śpiewa. Stare CD, które miały być wieczne, rozpadają się, a głosy i dźwięki stają się duchami, kodem cyfrowym, którego nie jest w stanie odtworzyć żaden sprzęt.

Ubieram się starannie i nucę półgłosem słowa piosenki.

Lazarus, Lazarus Why all the tears?

Did your faithful chauffeur Just disappear...?

Dziwne uczucie – zakładać nowe, czyste ubrania.

Na dodatek leżą na mnie jak ulał.

– Jesteś niezwykle elegancki.

Odwracam się.

Alessia jest zachwycająca.

Ma na sobie długą sukienkę, z tych, co to kiedyś diwy zakładały na premierę albo na noc rozdania Oscarów.

Odwraca się lekko w prawo i w lewo. Z uśmiechem.

– Podoba ci się? Mówią, że miała ją na sobie Audrey Hepburn. Wiesz, kto to był?

– Tak, wiem.

– Ja nie. Jest bardzo stara, prawda?

Czerwona sukienka podkreśla bladość jej twarzy i czarny kolor jej oczu. Na ramionach ma czarną pelerynkę, która zdaje się być uniformem weneccjan. Jest z lekkiej tkaniny, praktycznie bezużytecznej jako zabezpieczenie przed zimmem czy opadem promieniotwórczym.

– A dlaczego dla mnie jest płaszcz? – pytam.

Alessia przechyla głowę jak ptaszek.

Wzrusza ramionami.

– Jeśli chcesz pelerynkę, mogę ci ją załatwić.

– Nie, płaszcz jest w porządku. Pelerynka jest czymś w rodzaju waszego stroju narodowego?

– Stroju...? Nie. To tylko rzecz, której używamy.

– Czyli coś w rodzaju mody.

– Nie wiem. Co to jest „moda”?

Chodzi wokół mnie drobnymi lekkimi kroczkami, jakby miała mnie wrysować w kółko na parkiecie. Sunie niesłychanie lekko, jakby tańczyła milimetr nad ziemią, zupełnie bez tarcia. Pamiętam pozytywkę w domu staruszka, któremu wozilem gazety. Raz, kiedy rzucałem mu na podjazd „Boston Herald”, spadłem z roweru i zdarłem kolano. On zaprowadził mnie do swojego domu. Kiedy szukał środka dezynfekującego, ja przyglądałem się przedmiotom na półce w kuchni. Były tam stare zdjęcia, oprawione artykuły i wyhaftowany gotyckimi literami tekst GOD BLESS THIS HOME.

Na środku półki stało czarne, lakierowane pudełko, a na nim figurka baletnicy.

„Podoba ci się?”, zapytał staruszek, wracając z buteleczką wody utlenionej i rolką gazy.

„Co to jest?”

„Poczekaj, pokażę ci”.

Otworzył pudełko. W środku był kluczyk. Włożył go gdzieś z tyłu pudełka i zaczął kręcić w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Kiedy skończył, wyjął kluczyk.

Z pudełka zaczęła wtedy płynąć łagodna muzyka, jakiś wesoły walczyk. A baletnica na pudełku zaczęła tańczyć w jej rytm. Podnosiła się i opadała w rytm tej muzyki.

Alessia przypomina mi tę baletnicę. Jej lekkość, jej nieprzemijalność.

Gdzieś na półce w starym domu w Medford mała baletnica zbiera na sobie kurz, patrzy swoimi otwartymi miniaturowymi oczyma na zmieniające się pory roku, na padający z nieba śnieg, na rdzewiejące na ulicy auta, na aurę spowijającą wszystko niczym całun.

Zastanawiam się czasami, kim my właściwie jesteśmy, żeby zrozumieć Boże zamysły. A jeżeli on zdecydował, w swej nieskończonej mądrości, że czas Człowieka dobiegł kresu? Skąd wiadomo, że fakt naszego przeżycia nie napawa go wstrętem? Może Ziemi przeznaczony jest powrót do ciszy, do czasu sprzed istnienia czasu? A jednak na myśl o przynębiającym stanie mojego starego miasta kraje mi się serce. Może nie kochaliśmy życia wystarczająco mocno, w tamte dni, które teraz dopiero nazywamy szczęśliwymi. Może musieliśmy przejść przez to wszystko, aby je naprawdę docenić. Żeby na nowo docenić rzeczy tak proste jak łyk czystej wody czy kolor żdźbła trawy. W tym sensie Wielka Zagłada była wręcz odrodzeniem. Ale to krucha świadomość, dar, który niezwykle łatwo utracić.

– Jesteś smutny – wyszeptuje Alessia. A w jej słowach odbija się ten smutek.

– Myślałem sobie o czymś...

– O czym?

– O pewnym przedmiocie. O czymś, co widziałem bardzo dawno temu.

– Mamy tu wiele przedmiotów. Znajdziesz sobie coś innego.

Spoglądam na nią.

Uśmiecham się.

– Masz rację. Znajdę sobie coś innego.

Wsuwam buty. Są miękkie, ale jednocześnie solidne. Kosztowne obuwie.

Zakładam płaszcz.

Chciałbym się przejrzeć w lustrze.

Ledwie o tym pomyślałem, na policzki wypłynęły mi rumieńce.

Jak mogłem zapomnieć kim jestem, czym jestem?

O mojej misji, o mojej godności kapłańskiej.

– Nie możesz się aż tak wszystkim przejmować – mówi Alessia. – Nie możesz brać na swoje ramiona całego zła i smutku tego świata.

– Mój mistrz tak robił.

– Twój mistrz nie żyje.

Kręcę głową.

– My wierzymy, że zmartwychwstał.

– To byłoby smutne. Bo po nim nikomu się już nie udało.

– Zmartwychwstanie jest obietnicą. Nikt nie wie, kiedy nadejdzie.

– To byłby najlepszy moment, nie sądzisz? Teraz, kiedy wszyscy umarli.

W jej oczach błyszczy rozbawienie.

Są jak oczy dziecka, które właśnie coś spsociło.

– Nie wszyscy. Ja i ty żyjemy – odparowuję.

Alessia nic na to nie odpowiada i rusza ku drzwiom.

Ja stoję w miejscu.

Po chwili wraca ku mnie.

Patrzy na mnie bez słowa. Czeka, żebym to ja przełamał milczenie.

– Był tutaj kot – odzywam się w końcu.

– Kot?

– Kot w prążki. Młody.

– Tu nie ma żadnego kota.

– Ja go widziałem.

– Nie ma żadnego kota. Chodź, idziemy. Nie powinniśmy się spóźniać.

Pewnie mógłbym odmówić. W każdym razie tak sobie myślę.

Mógłbym wrócić i schować się w śpiworze. Zacisnąć mocno oczy, żeby już nic więcej nie widzieć.

Kiedyś było coś takiego jak film animowany. Oglądałeś to w takiej skrzynce, w której byli ludzie i małe zwierzęta...

Za tysiąc lat tak o tym będą opowiadać.

Jeden taki film animowany opowiadał o strusiu. Nie pytaj mnie, co to jest struś. To taki zwierzak z przeszłości, teraz już ich nie ma. Ten struś miał się za bardzo sprytnego. Pewnego dnia gonił go kojot. Kojot był takim zwierzakiem jak szczur, tylko trochę większym, i miał ostre kły, że aż strach. Biegli przez pustynię jak strzały. Pustynia to było takie coś jak dzisiaj wszędzie dookoła, ale tam było ciepło, gorąco, i nie było śniegu. Biegli tak aż na skraj wąwozu, i jeszcze dalej, w powietrzu. Struś zatrzymał się po drugiej stronie, a kojot przystanął w powietrzu...

Wtedy Struś Pędziwiatr pokazuje Kojotowi próżnię pod jego łapami. Ten łyka głośno ślinę, robi łapką „pa pa” i spada na dno wąwozu.

Łups.

Z dna kanionu unosi się kurz w kształcie grzyba.

– Piękna historia. Struś, kojot...

Patrzę na nią.

– Mówiłem coś głośno?

– Nie mówiłeś. Tylko pomyślałeś.

I uśmiecha się.

– Idziemy?

Jej dłoń jakby błyszczała w ciemności korytarza.

Podążam za nią.

Za oknami jest noc.

Szyby nie odbijają wnętrza pokoju.

Serce bije mi szybko, jak małemu chłopcu.

Szczęśliwemu i przestraszonemu.

Rozdział 35: Inne duchy

Schodzimy na samo dno kanału.

Jest noc, bez księżycy i bez gwiazd, jak wszystkie nasze noce już od dawna.

Ale nie pada śnieg. Niebo jest niewiarygodnie spokojne, nieruchome.

Dwa kroki przed nami idzie Alberto z lampą w ręce.

Przeszliśmy w milczeniu przez pomieszczenie z mumiami, z którym już prawie się oswoiłem. W każdym razie przestało mnie dziwić, że Alessia znów głaszcze swoją siostrę i szepcze jej do ucha słowa, których nie rozumiem.

Kiedy wychodzimy, zaskakuje mnie nocny mróz. Mimo że w moim pokoju nie było żadnego ogrzewania, nie cierpiałem chłodu w lekkiej osłonie śpiwora. Gdyby to była zwykła chwila, pewnie poprosiłbym moich przewodników o wyjaśnienie tego zjawiska. Ale chwila wcale nie jest zwykła. Wkrótce osiągnę cel mojej podróży. Wkrótce spotkam się z Patriarchą Wenecji. Do kieszeni smokingu włożyłem list Albaniego. Przez tę długą podróż zmiął się i pomoczył, ale powinien być jeszcze czytelny. Woskowa pieczęć jest zniszczona, ma połamane brzegi, ale pozostaje wciąż nienaruszona. Pomimo zdrady Duranda moja misja może się jeszcze udać.

Przyspieszamy kroku i doganiamy ostatnich podróżników zmierzających na przyjęcie. Dołączamy do nich. Idą zwawym krokiem, któryś z nich rzuca dowcipem, wybuchają śmiechem. Ja też się śmieję, a Alessia kiwa aprobująco głową, widząc moją wesołość.

To niewiarygodne, że kiedy patrzyłem na ten świętujący tłum z góry, przez szyby, pomyślałem, że to duchy.

– Ale duchy istnieją. W Wenecji zawsze były. Prawda, Alberto? Alberto wie wszystko o weneckich duchach...

– To prawda, proszę pani.

– Może opowiesz ojcu Danielsowi jakąś historię, Alberto?

– Z przyjemnością. Którą ojciec woli?

– Nie wiem.

– Opowiedz mu historię córki Tintoretta.

Alberto zastanawia się przez chwilę.

– Czyli o wiedźmie, która wyszła z muru? Nie, dla Johna lepsza będzie inna. Ta o starym lichwiarzu z Campo de l'Abbazia.

– Tak, opowiedz. Nie słyszałam jej jeszcze.

Albert zmienia tembr głosu. Jego brzmienie jest teraz głębokie, uroczyste.

– Jeżeli będziecie kiedyś przechodzić nocą przez Campo de l'Abbazia i natkniecie się na starca zgiętego pod ciężarem olbrzymiego worka, to nie słuchajcie go. Poprosi was o pomoc. Ale kiedy się zbliżycie, zamieni się na waszych oczach w rozżarzony szkielet. To duch starego lichwiarza, Bartolomea Zenniego. Pewnej majowej nocy 1437 roku, gdy wybuchł pożar, odmówił pomocy sąsiadom w ratowaniu ich dzieci. Był zbyt zajęty wynoszeniem z płomieni worka ze swoim dobytkiem. Ciągnął go aż do kanału, ale zniknął w wodzie pod jego ciężarem.

Albert podnosi latarnię i oświetla odnogę kanału.

Przez chwilę zdaje mi się, że widzę jakąś postać zgiętą w pół pod ciężarem worka, kuśtykającą w naszym kierunku.

– Stary lichwiarz powrócił kilka nocy później. Miał wciąż na plecach ten ogromny, ciężki pakunek. Oddychał z trudem i prosił każdego o pomoc. Ale wszyscy, którzy go znali, omijali go szerokim łukiem, a kiedy ktoś litował się, wnet zmykał przerażony, bo na jego oczach stary Bartolomeo zamieniał się w rozżarzony szkielet. Powiadają, że dusza starego lichwiarza nie zazna spokoju, póki ktoś nie pomoże mu

zanieść worka aż do kościoła Santa Fosca. Ktoś...

Kroki idącego ku nam bocznym kanałem nieznanego słycać coraz bliżej.

Alberto robi przerwę obliczoną na efekt i podnosi znów lampę, by oświetlić nieznanego.

– ...taki jak wy!

To nie żaden starzec, jak widzę. I nie ma na sobie żadnego worka, ale niesie dwójkę dzieci. Cała trójka ma maski na twarzach. Maluchy – chłopiec i dziewczynka – wyglądają jak bliźnięta.

– Wystraszyłeś go, Alberto! – mówi Alessia.

Ten wzrusza ramionami. Ojciec z dwójką dzieci oddala się niepewnym krokiem ze zdziwieniem na twarzy.

– Chce ojciec posłuchać jeszcze jednej? Tej o białej damie z dziedzińca Lucatello? A może tej o krzyżowcu bez honoru?

Alessia śmieje się.

– Alberto był pisarzem w poprzednim życiu. Pisał historie o duchach.

– Nie tylko. Organizowałem też wycieczki turystyczne po Wenecji, po jej magicznych miejscach. A może nawiedzanych.

– Przykro mi. Jestem księdzem. Nie wierzę w magię.

– Ale przestraszył się ojciec Nanego i jego dwójki dzieci.

– Przecież twój Kościół wierzy w cuda – dodaje smutno Alessia.

Ta mina małej pilnej uczennicy przypomina mi, jaka jest młoda.

Wzdycham.

– Cuda to nie magia.

– Nie? To czym w takim razie są? Jak odróżniasz je od magii?

Mógłbym wyrecytować jej definicję cudu według doktryny Kościoła: „to zawieszenie normalnego biegu natury za sprawą działania samego Boga”. Ale jaki to miałoby sens? Sam wyszedłbym na ambitnego sztubaka, powtarzającego wykute formułki.

– Cuda są czymś dobrym. Magia nie zawsze.

– Cuda są czymś dobrym? – zaperza się Alberto z szyderczym śmiechem. – Wszystkie cuda? Te Mojżeszowe też? Chociażby plagi egipskie? Rzeź pierworodnych Egipcjan? Deszcz krwi?

Myślę, jak tu wyjść z tego narożnika, kiedy w sukurs przychodzi mi Alessia.

– Zostaw już ojca Johna, Alberto. Opowiedz nam jeszcze jakąś historię.

Nasz przewodnik kręci głową.

– Nie. To magiczne historie. Księdza nie interesują.

I maszeruje przez jakąś chwilę w milczeniu.

Jest coś, co nie pasuje mi w tej scenie, chociaż nie umiem powiedzieć co. Jakaś fałszywa nuta, którą wychwytuje część mojego mózgu, ale nie potrafi jej wyrazić.

W końcu Alberto postanawia się odezwać.

Robi to z werwą, niemal ze złością. Urywając zdania.

– Skoro tak wierzysz w cuda, ale w magię nie, to powiedz mi, co sądzisz o tym. Jak to wytłumaczysz? Idziemy sobie na wolnym powietrzu bez waszych masek i kombinezonów! Żyjemy w słonecznym świetle, kiedy chcemy i jak chcemy. Nie potrzebujemy jedzenia ani picia! Według twojej logiki powinniśmy już wszyscy nie żyć! Jeżeli to nie jest cud, to co to jest?

– Zostaw go już – prosi Alessia.

– A dlaczego? On głosi swojego Boga, a ja nie mogę chwalić mojego?

Wzrok Alberta jest pełen napięcia, wręcz rozgorączkowany.

– Kim jest twój Bóg?! – krzyczę mu w twarz.

Na mój krzyk ludzie idący obok odsuwają się od nas instynktownie.

Czuję mdłości. Nie wiem, czy to skutek mojej nagłej reakcji, czy coś innego.

Alberto nie odpowiada. Odwraca się i oświetla nam drogę.

Mdłości powoli ustępują.

Cały czas idziemy wyschlłym dnem dawnego Canal Grande. Chwilami światło lamp pada na osiadły na dnie sprzęt pływający. Zwykle są to dziurawe łodzie, często trudno już nawet je rozpoznać. Ale tuż przed Mostem Akademii światło ukazuje coś niewiarygodnego.

Szkielet jakiegoś olbrzymiego stworzenia morskiego.

Pozostali ignorują tę gigantyczną sylwetkę, przechodząc obok.

Ja przystaję i przyglądam się jej.

Białe żebra tworzą klatkę, jak klepki jakiegoś statku z kości. Pysk stworzenia jest niesłychanie dziwny – skrzyżowanie ryby i jakiegoś lądowego drapieżnika, rodem z mitologicznego bestiariusza, koszmarny stwór zrodzony w wyobraźni średniowiecznego miniaturzysty.

– Co to jest? – bełkoczę, a mdłości znów powracają.

Alessia wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Jest tu od dawna.

– Znowu magia. A może kolejny cud – komentuje sarkastycznie Alberto, nie zatrzymując się.

– Od kiedy tu jest?

– Nie wiem. Od zawsze. Zawsze go tu widziałam – odpowiada lakonicznie Alessia. – O, zobacz tam, na moście: połykacze ognia.

Patrzę w górę.

Most Akademii nie ma w sobie niczego podniosłego. To nie jest już majestatyczna architektura kamiennego mostu Rialto. Ten jest drewniany i wygląda bardzo prowizorycznie. Ale w tej chwili jest najbardziej fascynującym mostem, jaki kiedykolwiek widziałem.

Na długości całego przęsła ustawilo się około dwudziestu mężczyzn i kobiet w maskach. Każde z nich ma w jednym ręku butelkę, a w drugim pochodnię. Od czasu do czasu pociągają z butelki płyn i pluja nim, a ten zapala się w zetknięciu z pochodnią. Powstają kilkumetrowe płomienie wycinające w ciemności fantastyczne kształty smoków, kwiatów, bajecznych ptaków.

Otwieram usta z zachwytem. Cały most wygląda jak jeden wielki ognisty smok, który wygina się, trzęsie, ryczy.

Jako mały chłopiec byłem raz w bostońskim Chinatown na obchodach chińskiego Nowego Roku. Kolory i głośna muzyka wystraszyły mnie na równi z wielonogim smokiem, który wił się i falował wśród tłumu. Jego pysk z wytrzeszczonymi ślepiami skierował się prosto na mnie, zaś długie wąsy zdawały się drgać, jakby mnie wachał.

Zacząłem wrzeszczeć.

I nie mogłem przestać.

Kiedy otwieram oczy, most znowu jest mostem, a pochodnie akrobatów oddalają się wolno w lewą stronę.

– Dokąd idą? – pytam Alessię.

– Tam, gdzie my wszyscy. Do pałacu Patriarchy.

– Nie wchodzimy na most?

– Nie. Dojdziemy tam kanałem. Wiesz, jest tyle sposobów, żeby dojść do jednego miejsca.

Idziemy więc dalej, wzdłuż brzegów najeżonych wspaniałymi pałacami, które toną w ciemności. Nic nie wygląda na żywe w tym mieście, oprócz piechurów, hałasu ich kroków i szelestu szat na zamarzniętym mule. Z wolna kanał zaczyna się rozszerzać. Po prawej stronie, wysoko, jakby stał na wzgórkach, wznosi się kościół Santa Maria della Salute, niczym forteca broniąca miasto przed morzem. Podpiera go ponad milion pali, tak gęstych, że wyglądają jak skalna ściana.

Trójkątny budynek zamykający cypel przypomina dziób krążownika. Poza tą budowlą, dawnym składem celnym, otwiera się posępna dolina, która niegdyś była Laguną Wenecką.

Szczątków jest tutaj więcej. Jeden wrak góruje nad pozostałymi – to gigantyczny prom wycieczkowy, nie mniej zdumiewający od szkieletu potwora przy Moście Akademii. Biały statek leży na jednej burcie, z pozoru nienaruszony, ale pochylony pod kątem prawie trzydziestu stopni.

Wokół niego rozsiane są mniejsze wraki.

– Laguna cofnęła się o kilkanaście mil – wyjaśnia Alberto. – Nie wiemy dlaczego.

– Pewien rosyjski profesor, mój znajomy, mówi, że to przez mróz. Pokrywy lodowe na biegunach tworzą się na nowo, przez co opada poziom wód w morzach całego świata.

– Pewnie i tak. Ale niektórzy mówią, że to przez bomby.

– Nie wierzę.

Alberto przygląda mi się długo.

– Jak na księdza, to w zbyt wiele rzeczy ojciec nie wierzy. Jest coś, w co ojciec wierzy?

Nie ma wiatru. A jednak postać Alberta jakby się chwiała w moich oczach, jakby załamywała się niczym płomień.

Jakiś ostry ból przeszywa mi mózg, jak ostry odłamek. Zamyka mi się prawe oko.

– Wierzę w Boga, który stworzył pana i mnie, i ten świat – odpowiadam z mocą, zaciskając zęby.

W odpowiedzi słyszę tylko śmiech.

– Bóg nie stworzył tego świata. My go takim stworzyliśmy. To my stworzyliśmy ten cud. Niech ojciec spojrzy tam.

Przewyciężam ból w głowie i podążam oczami w kierunku wskazanym przez pochodnię.

Między budynkami lewego nabrzeża, które wydaje się ciągnąć całymi kilometrami, dwa potężne snopy światła wycelowane są w niebo i sięgają na wysokość przynajmniej jednej mili.

Przypominają mi coś, jakiś obraz z przeszłości.

– To też my stworzyliśmy. Nie ma niczego takiego na całym świecie. Niczego podobnego...

Oddała się ze śmiechem, idzie tak szybko jakby biegł. Wraz z innymi wydaje się być przyciągany do tych światel jak ćma. Płomienie pochodni zaczynają podrygiwać, gdy wszyscy przyspieszają kroku. Dopiero po chwili zauważam, że i ja biegnę razem z nimi w kierunku dwu bliźniaczych promieni światła.

Nagle uświadamiam sobie, co mi przypominają. Twin Towers, drapacze chmur, które runęły 11 września, 32 lata temu. Wygląda to tak, jakby dwie wieże projektowały swoje pozaziemskie światło na niebo nad Wenecją.

Czuję, jak palą mnie płuca, kiedy biegnę do utraty tchu ku temu światłu, a pulsujący, rytmiczny odgłos moich kroków łączy się z krokami pozostałych, i dociera do mnie wreszcie, co mnie tak uderzyło, co zauważyłem, a czego nie dostrzegłem, gdy maszerowałem z pozostałymi kanałem.

Ten olbrzymi tłum nie zostawiał za sobą śladów.

Ani jednego śladu po naszym przejściu.

Jakbyśmy lecieli, a nie szli.

Albo jakby nas tam nigdy nie było.

A potem otwiera się przede mną plac Świętego Marka, prawdziwy i niesamowity.

Rozdział 36: Bal

Z dna kanału wchodzimy w górę stromo nachylnym podejściem z ubitej ziemi. Prawie jak zboczem piramidy.

Gdy tak wchodzimy wyżej i wyżej, odsłania się przed naszymi oczami widok na wielki plac.

Plac Świętego Marka wygląda dokładnie tak jak na zdjęciach. Budynki są prawie nienaruszone. Chociaż pewnie od wieków nikt go takim nie widział. Okna pałaców są czarne. Żadnego światła, nawet jednej świecy.

A jednak plac skąpany jest w świetle.

Dwie potężne lampy fotoelektryczne ustawione są na dachu budynku, który rozpoznaję jako Wieżę Zegarową, tę z posągami dwóch Maurów z brązu, którzy odmierzali godziny, uderzając młotkami w dzwon.

Maurów już nie ma.

Na ich miejscu są dwa posągi z papier maché albo z jakiegoś innego lekkiego materiału, bo wystarczy lekki powiew wiatru, by nimi zachwiać: nagi mężczyzna i naga kobieta, z listkami figowymi. Są tacy różowi, że aż karykaturalni. Między nimi, tam gdzie wisiał kiedyś dzwon, postawiono drzewo, też z papier maché. Na jego liściastych gałęziach zawieszono jedno olbrzymie jabłko. Czerwone jak jabłko macochy dla Królowy Śnieżki.

Wchodzenie w górę podejściem prowadzącym na plac jest jak podróż w czasie. Witryny kawiarni i sklepów są nietknięte, podobnie stoliki, jakby były gotowe w każdej chwili przyjąć tłum turystów. Ale żaden z zamaskowanych weneccjan nie siada. Tłum płynie dalej, niestrudzenie, jak ławica rekinów. Stoliki pozostają puste.

Idę za Albertem i Alessią, a oni torują sobie drogę wśród tłumem. Na placu zgromadziły się chyba tysiące osób. Wiem, że to niemożliwe. Że dzisiaj tłum to kilkadziesiąt osób, nie tysiące.

Ale wrażenie jest właśnie takie.

Wszyscy mają na twarzach maski i pelerynki, jakby to były części uniformu. I wszyscy ustępują miejsca Alessii, kłaniając się i zdejmując trójgraniasty kapelusz na znak szacunku.

Spoglądam w stronę dwóch kolumn zamykających plac od strony dawnego morza. Kolumny wciąż stoją, ale na szczycie nie ma już skrzydlatego lwa, symbolu świętego Marka i Wenecji, ani świętego Jerzego ze smokiem.

Na pierwszej stoją posągi mężczyzny i kobiety.

A na drugiej...

Nie mam czasu, żeby się przyjrzeć lepiej, bo Alessia woła mnie zaborczym tonem, jak dziecko.

Rzucam ostatnie spojrzenie na rzeźbę, ale nie mogę nic dostrzec. Jakby mgła spowiła mi oczy, jakby zarysy postaci się rozmyły.

– Chodź! Patriarcha na nas czeka...

Przechodzimy przez jakąś bramę.

Po mojej lewej stronie miga mi przez ułamek sekundy widok rzeźby z ciemnego kamienia, a dokładniej grupy posągów: czterech króli, czy może żołnierzy w jednym uścisku.

– Tetrarchowie. Dwóch Cezarów i dwóch Augustów współrządzących cesarstwem po reformie Konstantyna – wyjaśnia Alberto. – Ale dawni weneccjanie myśleli, że to czterej Turcy, którzy usiłowali skraść relikwie świętego Marka. A ten zamienił ich w posągi. Legendy, legendy i jeszcze raz legendy...

I biegnie aż do łuku triumfalnego jakby żywcem wyjętego z Disneylandu.

Potem kłania się prześmiewczo, odwraca na pięcie i oddala tanecznym krokiem. Nie ma już w dłoni pochodni. Niby po co? Dookoła noc jest zupełnie jasna, radosna. Słychać dawną muzykę, która odbija się od kamiennych murów i rozgrzewa noc.

Rozpoznaję chyba tę muzykę.

Już to kiedyś słyszałem.

Chciałbym przystanąć, sprawdzić, skąd dobiega i co to jest. Ale zaczynam tracić z oczu Alessię. Czerwień jej sukienki pojawia się chwilami pośród jednolicie czarnego tłumu. Próbując za nią nadążyć, przechodzę pod jakimś łukiem, wchodzę pod górę monumentalnymi schodami.

Wygląda na to, że cała Wenecja umówiła się tutaj, na dziedzińcu i pod kolumnadami Pałacu Dożów. Niesamowity widok. Tyle ludzi i tyle piękna. Wszystko wygląda na nietknięte. Jakby nic się nie stało. Mężczyźni i kobiety w maskach patrzą z góry na przybywających, witając ich ukłonami i wesołymi pozdrowieniami.

Alessia wyrasta nagle obok mnie jak spod ziemi.

– Chodź, John. Chodź zobaczyć.

Arkadowe krużganki są pełne ludzi. Setki osób w maskach, poruszających się niczym wrząca woda w garnku. Mężczyźni i kobiety zdjęli z siebie czarne narzuty. Teraz widać w całej krasie ich kolorowe kostiumy: długie suknie, rozkloszowane spódnice, jak kwiaty maków, eleganckie stroje rycerzy. Wszyscy mają na głowach upudrowane peruki, a na bladych od pudru twarzach poprzyklejane sztuczne pieprzyki, jak to było w zwyczaju w osiemnastym wieku. Maską zakrywająca oczy przydaje ich wyglądowi tajemnicy. Górna część twarzy jakby zaprzeczała radości ust otwartych w śmiechu albo wypowiadających komplement pełen erotyzmu, tak jak to ma miejsce w przypadku przebranego za Casanovę mężczyzny zwróconego ku bujnej, choć niespełna osiemnastoletniej dziewczynie.

Długie, suto zastawione jadłem i napojami stoły zajmują centralną część krużganków. Obfitość niewiarygodna, a najdziwniejsze, że nie jest to żywność z puszek. Owoce wyglądają na świeże, podobnie jak chleb.

Na podium w głębi loggii około dwudziestoosobowa orkiestra, również w strojach z epoki, gra cudowną muzykę.

– Podoba ci się?

– To Vivaldi?

– Nie! Boccherini. *Menuet*. Ale podoba ci się?

Mówimy podniesionymi głosami, żeby się usłyszeć. Tłum szumi wesołą paplaniną, zaraża swoją wesołością.

– Myślałem, że ją znam – krzyczę – a jednak nie.

– Wolałbyś coś, co znasz?

– Tak.

Dawna muzyka rozbrzmiewa nadal.

Co za rozczarowanie.

Myślałem, że ona rzeczywiście potrafi czynić cuda.

Ale po chwili uświadamiam sobie, że bardzo powoli, nuta po nucie, dawny menuet ustępuje miejsca innej melodii, która zaczyna najpierw przebijać się w tle, a potem triumfalnie wychodzi na pierwszy plan. To stara piosenka z lat osiemdziesiątych.

The Wind Beneath My Wings.

– Ta bardziej ci się podoba?

– Tak – mówię.

– Co powiedziałaś?

– Tak!

– Więc czemu nie tańczysz?

– Księża nie tańczą...

Alessia wybucha śmiechem.

– Tu wszyscy tańczą! Ty też musisz!

Kręcę głową.

Wtedy Alessia z rozbawioną miną rzuca się w tłum tańczących. Taniec nie ma w sobie nic z dawnych tańców. Mężczyźni i kobiety, a nawet kilkoro dzieci, podnoszą rytmicznie ręce, poruszają się w kółku i przemieszczają w bok, rysując swoimi ruchami skomplikowane figury. Kiedyś w starym „National Geographic” widziałem schematy figur kreślonych przez pszczoły w poszukiwaniu kwiatów. Doskonałe, trójwymiarowe figury geometryczne. Wydaje mi się, że kroki tańczących kierują się podobną logiką, kreśląc skomplikowane schematy, których ja nie jestem w stanie zrozumieć.

– Teraz ci dobrze? – pyta mnie głos Alessii gdzieś zza pleców.

– Tak.

– Więc tańcz!

I nagle moje nogi zaczynają poruszać się jakby samoistnie, stawiając pierwszy krok, potem następny i kolejny, aż kroki zaczynają się układać w taniec, zrazu wolny, a później coraz bardziej rytmiczny. I już tańczę w kółku z weneccjanami, za nimi, przed nimi, wpasowując się w ich rytm. Ja też podnoszę i opuszczam ramiona, poruszam nimi w prawo, w lewo, podczas gdy nogi wydeptują niewidzialną, lecz ustaloną linię.

Gdzieś z boku rozbrzmiewa śmiech Alberta.

Odwracam się i przez chwilę, w odbiciu jakiegoś szkła, jego twarz wygląda jak maska: trupia czaszka. Puste oczodoły, koronka zębów...

Ale już po chwili stoi przede mną Alberto, a na jego twarzy widać drwinę.

– No i co, John, ty też tańczysz? Ty też się z nami bawisz?

Obrazy innej zabawy, potwornej, pukają znów do mojej głowy. Do jedyne, coraz drobniejszego miejsca w mojej głowie, które rozumuje. Tymczasem moje nogi nie przestają wierzcąc. W tle muzyki Boccheriniego słyszę chyba coraz głośniejsze, obłąkańcze bicie w bębny, które przejmuję mnie długim dreszczem. Czuję w ustach przykry smak, a w głowie tętniący na nowo ból.

Znów widzę czarne kształty, skrzydlate szybkie postacie spadające jak grom z jasnego nieba na bezbronny tłum, widzę, jak rozszarpują, ćwiartują... Opętańczy śmiech Gottschalka mrozi mi krew w żyłach. Ale to nie Gottschalk: to Alberto na czele galopującego łańcuszka masek. A wśród nich Alessia – z potarganymi włosami, spocona – skacze i tańczy z zamkniętymi oczami.

Nie wiedzieć jak, ja też kończę w tym długim łańcuszku, obezwładniony muzyką i potrzebą utrzymania kontaktu z jedynymi osobami, które tu znam.

Przesuwamy się długimi korytarzami, nieskończonym ciągiem komnat, to ciemnych, to znów jasnych jak dzień od olbrzymich żyrandoli z dmuchanego szkła, które też zdają się podrygiwać w rytm muzyki.

Nie wiem, kto z tego naszego łańcuszka ciał zaczął wrzeszczeć pierwszy. Wiem, że do tego długiego wesołego wycia dołączyli się stopniowo wszyscy pozostali, nawet z mojego gardła wydobył się ten zwierzęcy głos, ten krzyk radości starszy od człowieka. Najmniejsza cząstka zmęczenia, wszelka kropla świadomości odleciały, gdy pojawił się ten prymitywny wrzask, który wypompuje mi płuca, który rozjaśnia mi w głowie tak, jak błyskawica rozdziera chmury.

Wyję.

Na moje wycie odpowiada wyciem dziewczyna przede mną, ktoś jeszcze inny, i Alessia, która przyspiesza kroku. Biegniemy jak szaleni przez komnaty pałacu, niepomni niczego, omijając w ostatniej chwili meble, krawędzie, i nikt z nas nie robi sobie krzywdy, galopujący tłum nie przystaje, pędzi niczym wiatr, hałaśliwy, ogłuszający.

Boję się, że nie wytrzyma mi serce. Ale biegam i skaczę bez wysiłku, jakbym miał wciąż piętnaście lat i biegał po lesie za domem w poszukiwaniu rannego jelenia, którego podobno widział Tommy, i który się jednak nie odnalazł...

Nagle łańcuszek pęka. Tańczący rozbiegają się jak kule uderzone kijem bilardzisty. Jedni znikają za progiem innych komnat, drudzy dosłownie rozplývają się w powietrzu, jakby pochłonęły ich ściany.

Zostajemy tylko ja i Alberto.

Alessii już nie ma.

Nie mam nawet czasu zastanowić się, gdzie się podziała i jak mogła tak zniknąć na moich oczach, bo Alberto, zdyszany, wsparty rękami na kolanach, żeby nabrać tchu, mierzy mnie zza swojej maski rozpalonymi oczami.

– Teraz jesteś gotów się z nim spotkać?

– Z kim?

– Z Patriarchą! Po to tu chyba przyjechałeś, czyż nie?

– Gdzie on jest?

– Chodź. Zaprowadzę cię do niego. To niedaleko.

Torując sobie drogę w tańczącym tłumie, wchodzimy do olbrzymiej sali, długiej pewnie na pięćdziesiąt metrów, ozdobionej obrazami, które wiszą na każdej ścianie. Inne malowidła widnieją na suficie, we fryzach i złożonych gzymsach. Piękno i wielkość, które zapierają dech w piersiach.

– Sala del Maggior Consiglio, czyli Wielkiej Rady! – wrzeszczy mi do ucha Alberto, by przekrzyczeć muzykę, rozbuchanego kankana. – Serce i mózg Serenissimy.

Nogi tańczącego tłumu, niczym szarża bawołów, wprawiają posadzkę w drzenie.

– Mieściła ponad dwa tysiące osób.

Prawie go nie słyszę. Stoję z otwartymi ustami przed ogromnym płótnem zajmującym ścianę w głębi sali.

– *Raj* namalowany przez Tintoretta – wyjaśnia.

Znam ten obraz ze zdjęć.

Ale widzieć go na żywo to szok.

Nogi niosą mnie ku wielkiemu malowidłu, rojącemu się od postaci, które, jakby niesione jakimś powietrznym prądem, kierują się wszystkie ku dwóm sylwetkom w środku sceny: Chrystusowi i Madonnie w świetle chwały.

Ale coś jest nie tak.

Ktoś pociął obraz.

Wygląda to tak, jakby każda postać, każda twarz została wyrżnięta brzytwą. Wandale musieli pastwić się w szczególny sposób nad wizerunkiem Chrystusa, który został kompletnie pocięty.

Jeżeli to dzieło szaleńca, to musiał to być systematyczny szaleniec, bo nie oszczędził nikogo. Najmłodszym aniołkom o dziecięcych twarzach zostały wydłubane oczy.

Odwracam się, żeby spytać Alberta, kto dokonał tego bestialskiego czynu, a wtedy doznaję ataku.

Strasne uczucie, jakby czyjaś ręka przewracała mi bebechy od środka. Pulsujący ból nie do zniesienia. Przyklękam. Krzyczę. Czuję ostre smagnięcie w kark. Upadam do przodu, uderzając policzkiem o posadzkę. Przenika mnie mróz. Słyszę jakieś głosy, zamieszanie wokół mnie, ale nikt nie przychodzi mi z pomocą, nikt mnie nie podnosi z ziemi.

Słyszę, jak z ust wydobywa mi się słowo „ratunku”. Ale bez skutku.

Muzyka staje się piskliwa, ponura. Dźwięki pełzają niczym węże.

„Alessia”, krzyczę, ale tylko wewnętrznie, bo ani głos, ani oddech nie wydostają się już z moich zamazanych płuc.

Przez chwilę zdaje mi się, że widzę jej twarz pochyloną nad moją, ale po chwili zmienia się w twarz kogoś innego, później jeszcze w coś białego, niewyraźnego, a głosy przechodzą w bulgotanie, brzmią jak woda spływająca po ścianie ciemnej jaskini.

Zostawiają mnie na pastwę śmierci, pozwalają umrzeć, wyciągniętemu tak na podłodze, gdy moje ciało stygnie, sztywnieje...

Kiedy znów otwieram oczy, zamiast posadzki widzę przed sobą długi tunel. Wygląda jak z mleka albo białej wody. Albo z gęstego dymu. Jego powierzchnia nie przestaje się poruszać. To bardzo długi

tunel.

Wstaję z niewiarygodną, wręcz dziwną lekkością.

Tunel jakby się rozszerzał, żeby mnie przyjąć, żeby umożliwić mi stanie na nogach. O ile to w ogóle jest stanie na nogach. Czuję raczej, jakbym latał, unosił się w powietrzu. Nie robię ani kroku, a jednak czuję się, jakbym podróżował, jak gdyby wyrzuciła mnie do przodu jakaś dłoń. Okrągłe ściany, które mnie otaczają, sprawiają wrażenie ruchu w jakimś kierunku. Wyciągam rękę. Ręka jest otoczona białą poświatą, która w ruchu pozostawia za sobą świetlisty warkocz. Poruszam się. Do przodu, ku końcowi tunelu, o ile w ogóle ma jakiś koniec.

Wszystko, co widzę, jest matowe, zniekształcone. Przez chwilę wydawało mi się, że na końcu tunelu jest jakaś postać. Ale musiało mi się przywidzieć. Wciąż się przemieszczam, ale teraz mam wrażenie, że w górę, a nie do przodu. Moje ciało poddaje się temu nurtowi, pozwala się nieść. Głowa i nogi w stosunku do tułowia zostają nieco z tyłu, jakby podnosiła mnie dłoń jakiegoś olbrzymia.

Odczucie mdłości nasila się w środku niczym gęsty, trujący płyn. Na przemian wchodzę i wychodzę ze stanu świadomości, podczas gdy postać zaczyna się wyraźniej zarysowywać to znów zamazywać na przemian. Jakby udawało jej się jakimś sposobem wprowadzać w błąd moje oko.

Wtedy dociera do mnie głos, potężny, jak wtedy, gdy włączasz radio, a głośność jest przypadkiem nastawiona na maksimum.

– KTO SZUKA PATRIARCHY?

Głos pochodzi od zniekształconej postaci na końcu tunelu. Niezwykle długie i chude ręce, gładkie, błyszczące ciało.

Coś w tej postaci przypomina skrzydlate stworzenie z poddasza w Torrita Tiberina, ale także nieszczęsnego Gregora Samsę. A jednocześnie, pomimo poświaty rozmywającej krawędzie, istota ta wydaje się być czymś kompletnie odmiennym.

Ciągle rośnie uczucie mdłości i ból w skroniach.

Zwymiotowałbym, gdybym miał czym.

Istota na końcu tunelu jakby czytała w moich myślach.

Jej głos brzmi ironicznie.

„Od jakiego czasu nic nie jesz? Od jakiego czasu nie pijesz?”

Kręcę głową. A przynajmniej usiłuję, ale to tak, jakbym był zaplątany w pajęczynę albo zanurzony w gęstym płynie. Moja głowa kołysze się wolno, zbyt wolno.

„Podoba ci się moje przyjęcie?”

Nie mogę mu odpowiedzieć.

„Podoba ci się Alessia?”

Chciałbym odpowiedzieć, żeby o niej nie wspominał. Żeby jej dał spokój. Ale z ust nie wydostaje mi się ani sylaba. Przez głowę przetacza mi się fala smutku. Nie mojego smutku. Pochodzi od istoty, którą mam przed sobą, i której nadal nie mogę dobrze dojrzeć przez tę mieniącą się świetlistość.

„Wasz świat był piękny. Nadal by był”.

Pojawia mi się przed oczami obraz oceanu. Widok jest tak realny, że wstrzymuję oddech ze strachu przed upadkiem do tej wody.

Moje ciało zanurza się w oceanie. Płynę jak delfin tuż pod powierzchnią wody, nad rafą koralową o jaskrawych kolorach. Wstrzymuję oddech tak długo jak mogę, a później otwieram płuca i oddycham otaczającą mnie wodą.

Podwodny gejzer, olbrzymia bańka pary podnosi mnie i wyrzuca w niebo. Błękitne niebo, jakiego ta planeta nie widziała już od dwudziestu lat.

„Ziemia była rajem. Gdybyście tylko potrafili to wtedy zrozumieć...”

Wenecja, setki metrów pode mną, jest bezkresem czerwonych dachów i suchych kanałów.

Tuż za granicami miasta śnieg przykrywa wszystko. Jakby miasto było bliźną albo wyspą na białym

oceanie oślepiającym na równi z błękitem nieba.

„Wasz dawny Bóg powiedział, że ześle wam znak, by dać świadectwo pokoju z ludźmi...”

Na zachodzie wstaje gigantyczna tęcza, która wygina się i rozpościera kilkadziesiąt kilometrów w kierunku wschodu.

„Ale znak, który ja wam zsyłam, jest o wiele większy...”

Mój lot zostaje zawieszony w powietrzu. Moje oczy kierują się – albo zostają skierowane – ku dziwnej wyspie, niemal idealnie kwadratowej, wznoszącej się na śnieżnym bezkresie jak jakaś dawna mała twierdza.

Wyspa dosłownie płonie od światła. Jakby emitowała oślepiające, absolutne promieniowanie. Wyspa aż wibruje od światła. Być może to jakiś sygnał.

„Przyjdź na spotkanie ze mną, ludzka istoto. Przyjdź. Czekam na ciebie na wyspie umarłych...”

Nagle zaczynam spadać. Macham rękami i nogami, ale lecę w dół ku ziemi.

Zderzenia...

Rozdział 37: Co pozostaje

Zderzenia z ziemią nie ma.

Nie ma.

Już byłem przygotowany na śmierć.

Na to, że się rozbiję, że zostanie ze mnie miazga.

Ale otwieram oczy i widzę starą podłogę z drewnianych desek.

Z trudem skupiam wzrok. Długi, falujący rząd desek. Postrzępiony róg brudnej zasłony, która kiedyś mogła być biała, a teraz jest szara.

Światło przenika przez kłęb kurzu leżącego tuż przed moim nosem.

Lekki podmuch wiatru zanoszą go pod ścianę.

Podłoga jest lodowata.

Leżę w takiej samej pozycji, jak w chwili, gdy zobaczyłem tunel.

Ale nade mną już nie szaleje zabawa, i jest dzień, a nie noc.

Z ogromnym wysiłkiem, przy okropnym bólu całego ciała, przewracam się na plecy.

Nade mną, niczym ponure, złote niebo, wiszą malowidła i dekoracje sufitu.

Oddycham głęboko.

Bolą mnie od tego płuca.

Moje ciało jest słabe i zwiotczałe. Próbuję wstać, wspierając się na łokciach. Udaje mi się usiąść, później wstać na nogi. Kręci mi się w głowie.

Gdzie się podziali wszyscy ci ludzie?

Rozglądam się dookoła załamany. Po nocnym przyjęciu ani śladu. Jakby go w ogóle nie było. Jakby wszystko było tylko snem. Gdzie są błyszczące żyrandole? Gdzie długie stoły zastawione jadłem?

Kręcę się tak, powłóczę nogami w kurzu.

Dopiero kiedy spuszczam wzrok, zaczynam rozumieć.

Kurz pokrywa całą podłogę.

Tylko ślady moich nóg zakłócają monotonię tej szarej powierzchni. I nie są to ślady tancerza. To kroki kogoś zmęczonego, kto dowlóknął się od wejścia na środek pokoju i tam padł.

To moje kroki.

Tylko moje.

Wielka sala tonie w półmroku. Przez drzwi wpada niewielka ilość światła.

Ogromne malowidło na ścianie w głębi jest prawie niewidoczne – niewyraźna masa kształtów.

Podchodzę, powłóczę prawą nogą. Spodnie kombinezonu polowego rozdarte są na wysokości kolana, ciemne od jakiegoś zaschniętego płynu, który chyba jest moją krwią.

Przesuwam ręką po twarzy, jest nieogolona. Palce napotyka ją na skórze otwarte blizny, małe ropne wypryski, krosty zaschniętej krwi.

Chciałbym mieć jakieś lustro. Ale przecież w tym mieście lustra zostały wyklęte.

Idę w stronę obrazu.

Więc to wszystko mi się śniło: bal, muzyka, Patriarcha.

Alessia.

Ale jeśli tak jest, to jak długo już śnię? Może odkąd Alessia uwolniła mnie z komórki tej dziwacznej katedry na kołach. Albo od chwili, w której mi się wydawało, że to wszystko się dzieje...

Jestem kilka kroków od ściany, gdy zauważam, że obraz jest nienaruszony. Nienaruszony na tyle, na ile może taki być obraz wystawiony na mróz i na wilgoć przez cały ten czas. Ale nie jest pocięty. Nie okaleczono postaci.

Powoli narasta we mnie ból i zmęczenie. Jak woda napełniająca wazon.

Spękany wazon.

Niepotrzebne mi lustro, żeby zrozumieć, że umieram.

Zszedłem monumentalnymi schodami wiodącymi na wewnętrzny dziedziniec pałacu.

„Schody Gigantów”, głosi napis na żółtej tablicy o porzewiałych brzegach.

Dziedziniec Pałacu Dożów jest jedną ruiną. Zwoje drutu kolczastego poczerwieniałego od rdzy, na wpół zawałone zabezpieczenia z worków z piaskiem...

I biel kości, jaśniejszych od śniegu.

Wczoraj w nocy miałem złudzenie, że w mieście nie ma śniegu. Ale jest inaczej. To był tylko sen, fikcja. Świeży śnieg sięga kolan, a pod nim jest warstwa lodu, grubego pewnie na metr.

Nawet strój, który miałem na sobie... który sądziłem, że mam na sobie...

Dotykam z przestachem szorstkiego płótna mojego kombinezonu polowego.

Kręcę głową.

Zimno mi.

Podnoszę z ziemi opończę z gumowanego płótna, jest prawie w całości. Tkanina zeszywniała na mrozie, boję się, że popęka, kiedy ją ruszę.

Ale zostaje cała.

Zakładam ją.

Podnoszę też maskę przeciwgazową.

Już mam ją założyć, kiedy z filtra wysypuje się jakiś czarny osad.

Rzucam ją z obrzydzeniem. Przechodzę przez bramę prowadzącą na zewnątrz.

Poranne niebo jest ciężkie od śniegu. Czarne chmury napęczniały jak wymiona jakiegoś zwierzęcia, ale martwego. Na wieży zegarowej nie ma żadnego reflektora. A posągi na dwóch kolumnach placu stoją tam jak zawsze: skrzydlaty lew na jednej, święty Jerzy ze smokiem na drugiej. Stoję i patrzę na nie długo, próbując odgadnąć, jak moje zmysły mogły się aż tak pomylić.

Plac wygląda jak plaża usiana wrakami. Domyślam się, że ludzie, nie wiedząc, dokąd pójść, zebrali się tutaj, żeby się ratować.

Albo żeby umrzeć.

Wysoki śnieg skrywa miłosiernie ludzkie szczątki. Ale to, co wystaje – dziecięca spacerówka, plecak ze zniszczonego materiału i breloczek z Hello Kitty – podpowiada historie, których nie chciałbym usłyszeć.

Odwracam się tyłem do morza, czy raczej do tego, co kiedyś nim było. Wzdycham i przy akompaniamencie moich trzeszczących kolan ruszam w stronę centrum miasta, zapuszczając się w labirynt uliczek zamkniętych między ceglanyymi murami domów niczym żyły w ciele bez krwi.

Chodzenie tymi wąskimi zaułkami robi wrażenie. Bez tłumy turystów, który ożywiał je kiedyś, napawają strachem. Okna wyglądają jak martwe oczodoły. Cisza sprawia, że każdy szmer, każdy trzask mrozi krew w żyłach. Często łapię się na tym, że odwracam się za siebie z tłukącym sercem z powodu echa cichych kroków za moimi plecami. A każde otwarte drzwi ziejące ciemną pustką sprawiają, że wstrzymuję oddech.

Ponieważ nie mam maski przeciwgazowej, zrobiłem sobie śmieszny filtr z jedwabnego szala znalezionego w wybitym oknie wystawowym sklepu Gucciego, którym owinałem sobie kilka razy usta. Tu też lustra leżały w kawałkach. Jakby po Wielkiej Zagładzie Wenecja znalazła się w rękach rozjuszonych niszczycieli luster, którzy doprowadzili swoją krucjatę do granic niemożliwości. Z niezrozumiałą metodycznością i zaciekłością wzięto na cel wszystkie powierzchnie, które mogły odbijać jakikolwiek obraz.

Jakbym słyszał pytający głos Bunego: „Nie mieli nic innego do roboty?”.

Jaki sens ma chodzenie i bicie luster w świecie, w którym najtrudniejszym zadaniem jest przeżycie do następnego dnia?

Ale w takim razie jaki sens ma spacerowanie w tej chwili? A jednak nie przestaję iść, i to w kierunku, który obrałem nie wiadomo dlaczego. Pewnie dlatego, że przyciąga mnie tam jakaś tajemnicza moc, jakieś wezwanie.

Wiem, gdzie znajduje się tajemnicza wyspa, kwadratowa wyspa.

Ta, którą widziałem we śnie, albo w wizji, jakkolwiek by tego nie nazwać.

Jest niedaleko stąd.

Ale żeby tam dojść, będę musiał przeciąć całe miasto z południa na północ.

Wenecja kształtem przypomina rybę. Próbuję sobie przypomnieć mapę z katakumb Świątego Kaliksta.

Wysilam pamięć i udaje mi się. Jest i kwadratowa wyspa. W połowie drogi między miastem a wyspą Murano. Rozpoznawalna na pierwszy rzut oka dzięki swojej niemal idealnej formie geometrycznej.

To Wyspa Świątego Michała.

Wenecki cmentarz. Wyspa, na której grzebie się wszystkich zmarłych od 1807 roku, kiedy to weszły w życie edykty napoleońskie zakazujące chowania umarłych w obrębie miasta. Pierwotnie były to dwie małe wysepki, które połączono, żeby stworzyć przestrzeń na potrzeby miejscowej ludności. Były plany, aby ją powiększyć, ale wątpię, czy to zrobiono, po Wielkiej Zagładzie...

Chciałbym lepiej wiedzieć, jak tam dotrzeć i jaki dokładnie ma kształt.

Na szczęście podczas jednego z częstych, przymusowych przystanków na złapanie oddechu, dostrzegam coś nieoczekiwanego.

Wszystkie drzwi i okna wystawowe ograbionych sklepów, które dotychczas mijałem, były zniszczone. Ten nie jest wyjątkiem.

Ale moją radość wzbudza to, co dostrzegam wewnątrz.

W półmroku widać obrotowy stojak z kartkami, mapami i planami miasta. Przymuszalnie łupieżcy nie uznali sklepu za godny uwagi.

Wchodzę do środka. Moje stopy miażdżą kręgosłup jakiegoś szkieletu, który się łamie.

Szkielety są dwa, leżą w poprzek zaraz za wejściem. Jeden ma dziurę od kuli w czole i tył czaszki rozbity przez wylatujący pocisk. Trzeci szkielet jest za ladą. Pośród kości znajduję strzelbę z obciętymi lufami. Podnoszę ją. Jest zardzewiała. Kule są też do niczego, jak większość towarów. Bardziej przydatny jest nóż, który znajduję, rozchylając kurtkę jednego z leżących przy drzwiach. Wsuwam go sobie do kieszeni. Przy drugim, drobniejszym szkielecie nie ma broni. W każdym razie nic nie dostrzegam. Pod kośćmi człowieka za ladą leży jeszcze portfel, ale nie mam najmniejszej ochoty go podnosić, a tym bardziej otwierać, bo zrobiła się z niego jedna zgnięta masa. Bardziej interesująca byłaby tożsamość łupieżców. Ale ci nie mają portfeli. W każdym razie, mam co innego do roboty.

Utykając, podchodzę do stojaka. Drżącymi palcami wyciągam najwyżej wiszącą mapę. Jest pożółkła, wilgotna, ale udaje mi się ją rozłożyć. I oto jest – wyspa i uliczki, którymi muszę do niej dojść. Nie jest daleko. Przeszedłem więcej, niż myślałem. Mimo że kierowałem się wyczuciem, przebyta droga jest niemal linią prostą. Jakby coś mnie prowadziło.

Wybucham śmiechem.

Musiałem chyba zwariować.

Ostatnie dni przeżyłem w strachu przed stworzeniami z zewnątrz, a teraz czuję się szczęśliwy na myśl, że kieruje mną jedno z nich. Mało tego – idę do niego, i to z własnej, nieprzymuszonej woli.

Ale czy naprawdę tak jest?

Czy naprawdę istnieje coś takiego jak wola, kiedy wydany jesteś na pastwę czarów i magii, które zmieniają rzeczywistość na twoich oczach, które potrafią uczynić z martwego miasta buchające kolorami miejsce fantastycznej zabawy? Pod arkadami Pałacu Dożów widziałem coś, co w świetle wielkich żyrandoli w nocy wydało mi się wspaniałomyślnie zastawionym stołem. Światło poranka natomiast

obnażyło stertę spróchniałych desek z zardzewiałymi gwoździemi, które wystawały z drewna, jakby chciały ugryźć. Na deskach mała szczurza czaszka patrzyła na mnie swoimi pustymi oczodołami.

Martwa natura obśmiewająca moją naiwność.

A przecież złudzenie było niesłychanie realne...

Wyciągam ze stojaka tyle kartek, ile tylko mogę. To głupia rzecz, wiem, ale nie mogę się powstrzymać. To jest coś z przeszłości, co daje mi poczucie bezpieczeństwa. Jakbym trzymał w garści kawałek solidniejszych, stabilniejszych czasów. Kawałek świata, kiedy jeszcze istniała nadzieja, radość, przyszłość. Jak kruchy był ten świat! Opierał się na równowadze delikatniejszej od tej pajęczyny. Dawnej pajęczyny. Wystarczy mój oddech, nawet przez szal, by pozostał z niej pył.

„Ciekawe, kiedy zginął pająk, który ją utkał”.

„Pierwszy zginął ostatni pająk, czy ostatnia mucha?”, rozmyślam śmiejąc się w duchu z tego głupiego pytania.

Jakby to miało jakieś znaczenie.

Przestaję się śmiać. Jak nożem uciął.

Już czas znów ruszyć w drogę.

I dopiero po wyjściu, po przejściu jakiegoś odcinka od zniszczonego sklepu z kartkami, dopiero wtedy zaczynam rozmyślać nad tym, jak spojrzałem na te trzy ciała na ziemi. Z jaką obojętnością je potraktowałem. Moją powinnością było udzielić im ostatniego namaszczenia albo przynajmniej wyrzec parę słów. A ja potraktowałem ich na równi z czaszką szczura. Obojętny na fakt, że to były kiedyś ludzkie istoty.

To miasto mnie zmienia.

Wcale nie podróż.

Tylko to miasto.

Pośród tych starych, opustoszałych budowli coś poddaje w wątpliwość, wywraca gdzieś głęboko moją wiarę jak domek z kart. Dopóki wykonywałem gwałtowne ruchy, przechodząc od jednego odkrycia do drugiego, byłem jak jedna z postaci dawnych kreskówek...

I nagle znów zaczynam myśleć o Alessii, takiej, jaką widziałem po przebudzeniu. Kiedy wydawało mi się, że widzę obok siebie kota. Po tym, jak we śnie mówiłem coś nieświadomie o Strusiu Pędziwietrze i o Kojocie. W każdym razie tak mi powiedziała. Że mówiłem przez sen.

Ale jak ty właściwie odróżniasz to, co ci się śniło, od tego, co było naprawdę? To, co powiedziałaś, od tego, co tylko pomyślałaś?

– Dlaczego przyszedł ci do głowy struś z kreskówek? – pyta jakiś głos obok mnie.

Głos Alessii.

Brak mi odwagi, żeby odwrócić głowę i stwierdzić, że obok mnie nie ma nikogo.

Albo coś jeszcze gorszego.

Wolę zdać się na to, co słyszę, na młody, spokojny głos wyszeptujący swoje pytanie tak blisko mojego ucha.

Idę dalej. Dwa kroki, trzy, i dopiero odpowiadam.

– Myślałem o podróży z Rzymu aż tutaj. Myślałem, że to tak, jak z tymi bohaterami z kreskówek, którzy biegną w powietrzu i dopiero kiedy ktoś im pokazuje, że pod ich stopami jest pustka, spadają w dół.

– Rozumiem. Ale co tu ma do rzeczy pustka?

Mam wrażenie, że widzę, jak wzrusza ramionami.

Jak kręci głową.

Pokusa odwrócenia się jest bardzo silna.

Wyobrażam sobie jej twarz, jej włosy. Jakbym ją odtwarzał z pamięci.

– Pustka to jest to miasto – odpowiadam jej. – Albo raczej chodzi o pustkę, którą to miasto

wydrążyło mi w środku. Zanim tu przyjechałem, byłem duchownym, miałem misję do spełnienia, wierzyłem w coś, co zwiemy rzeczywistością...

– Jakie to dziwne. Spodziewałabym się raczej, że powiesz, iż wierzysz w Boga, a nie w rzeczywistość.

– Wciąż wierzę w Boga. Bardziej niż kiedykolwiek.

– Bo potrzebujesz wierzyć?

– Nie. To zupełnie co innego. Wierzę w Boga, bo w tym mieście poznałem moc, która przerasta wszelkie wyobrażenie. I wiem, że ta moc jest niczym w porównaniu z mocą mojego Pana. Mam jeszcze jego. Z całej reszty nie zostało mi już nic.

– Został ci świat. Widziałeś, jaki może być piękny.

– O, tak. Jasne. Piękny jak sen pijaka.

– To nie jest sen.

– Cokolwiek to jest, odpuściłem już sobie. Ufam mojemu Bogu, który mnie nie opuści. Cała reszta się nie liczy.

– Ja też? – szepcze Alessia z nutą nieogarnionego smutku w głosie.

Odwracam się gwałtownie, ze złością.

Obok mnie nie ma nikogo.

Na śniegu są tylko moje ślady.

Idę uliczkami zwanymi *calli*, o niesłychanych nazwach.

Salizzada San Canziano.

Calle del Fumo.

Calle Larga dei Botteri.

Calle della Vida...

Kiedyś te wąskie zaułki roiły się od ludzi. Turyści z całego świata deptali stare kamienie, muskali palcami i ubraniami mury. Szum i muzyka były dźwiękowym dywanem, który łączył się z powietrzem pełnym aromatów, ale i mniej przyjemnych zapachów, które jednak były żywym oddechem miasta.

Z tego składało się życie.

Teraz, kiedy miasto jest martwe, całe to zmarnowanie życia budzi wściekłość. Nic nie zostało, nic. Cisza, pustka, chłód: tylko to zostało. Nic ludzkiego, chyba że nasze kości, ruiny naszych straconych dni i szalony ksiądz wlokący się ulicami, których nie zna, na północ, ku wyspie zmarłych. Wiatr dmie mi w plecy i popycha naprzód.

Od mrozu mam skorupę na oczach. Łzy zmęczenia i złości krzepną w bolesne grudki. Nie mogę wytrzymać z otwartymi oczami, ale nie mogę też ich zamknąć. Dantejska tortura.

Igiełki mrozu przedostają się przez szal, kłują usta i policzki.

Każdy kolejny krok kosztuje mnie więcej wysiłku.

Czuję, że brak mi już sił, że gaśnie we mnie ciepło.

Kiedy mam już wrażenie, że nie podołam, że nie wyjdę z tego labiryntu, wychodzę zdyszany z Calle della Vida i staję przed niewiarygodnym widokiem: dwie wyspy, jak dwie ziemne fortece. Według mapy ta dalsza, ze zburzoną dzwonnica, to Murano. Bliższa, kilkaset metrów ode mnie, to Wyspa Świętego Michała.

Cmentarz Wenecji.

Padam na kolana. Moje usta bełkoczą słowa bez ładu i składu.

– No nie, ojczu. Żeby tak od razu klękać...

Ze zdumienia otwieram usta.

Ale uświadamiam sobie, że musi to być kolejne złudzenie. Kolejny okrutny cud tego miasta.

Kolejne oszustwo.

Patrzę na drewniane molo, do którego przybijały promy. Jest częściowo zawałone, ale powinienem

dość łatwo zejść po nim na dno laguny. Stamtąd już nie będzie mi trudno dotrzeć do wyspy.

Najważniejsze to zejść na dno.

– Nie słucha mnie ojciec.

Odwracam się, żeby przepędzić tę marę.

Twarz Davida Gottschalka jest jak maska z wrzodów i blizn. Jedno oko wypłynęło, drugie jest na wpół zamknięte pod obrzmiałą powieką.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

Choć słaby i źle wymierzony, cios szaleńca trafia mnie prosto w twarz. Padam jak długi.

Gottschalk nachyla się nade mną, szarpie za ramiona.

– Ej, księżu, tylko mi tu nie umieraj. Nie umieraj, dobra? I musimy zawrzeć układ, ja i ty: ten, który ostatni wyciągnie kopyta, musi rozgrzeszyć drugiego. Nie chce mi się pałętać po czyścicu, wiesz? Po tym wszystkim, co zrobiłem dla Królestwa Niebieskiego, spodziewam się jazdy wypasioną limuzyną z przyciemnionymi szybami i tak dalej. O tak, bo choć podróżujesz do cienistej doliny śmierci, najważniejsze, byś podróżował z klasą, czy nie?

Jego oddech jest koszmarny: mieszanka surowego mięsa i zgnilizny.

Kiedy zarzuca mnie sobie na ramiona jak martwe zwierzę, skóra na jego policzku pęka w zetknięciu z moją kurtką, uwalniając straszliwy smród.

W filmach widziałem zombie, którzy wyglądali zdrowiej niż ten obłąkany kaznodzieja.

Trzymając mnie na plecach, szaleniec rusza zniszczonym pomostem, schodząc nim jak schodami.

– Ale się namęczyłem, żeby cię znaleźć. Przetrzęsnałem całe to miasto ulica po ulicy. No, może niezupełnie, okej, bo wtedy zobaczyłbym od razu twoje ślady. Myślałem po prostu, że znajdę cię w centrum, a nie na tym zadupiu. Kiedy już tak pokrażyłem na próżno, pomyślałem sobie, że może warto przetrząsnąć kościoły, bazyliki i całą resztę. No i godzinę temu, bingo!, znalazłem twoje ślady i przyszedłem po nich aż tutaj. Chciałem ci zrobić niespodziankę, i udało mi się, nie?

Na przemian zamykam i otwieram oczy w nadziei, że wizja zniknie, że Gottschalk wróci do piekła, skąd wyszedł.

– Nie no, zgoda: były między nami różnice. Były tarcia. Ale teraz, skoro już tu jesteśmy, chyba należałoby sobie nawzajem pomóc, jeżeli chcemy wykonać naszą misję.

– Naszą...?

– No jasne. Myślisz, że jestem głupi? Myślisz, że nie wiem, co tam chowaliście w tym waszym SUV-ie?

Gottschalk robi ironiczny gest cudzysłowu, zginając trzykrotnie palce wskazujący i środkowy obu rąk.

– Myślisz, że się nie domyśliłem, czym twój Kościół chce egzorcyzmować czarnego diabła?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jasne! A wiesz, że przeczytałem pamiętnik twojego rosyjskiego przyjaciela?

– Więc to ty mi go ukradłeś!

– Ukradłeś to brzydkie słowo. Powiedzmy, że w tych czasach jest tak niezwykle trudno o coś oryginalnego do przeczytania, że odkrycie pamiętnika Maksima było promykiem światła w tej szarzyźnie życia poświęconego służbie Bożej... No i to radio! Nadzwyczajne!

Gottschalk drapie się w szyję. Pęka mu wrzód, z którego wycieka ciepły, lepki płyn i spływa mi po szyi.

Ropa cuchnie odrażająco.

– Wybacz. Domyślam się, że ty też jesteś wybrednym typem, jak wszyscy księża. Nie jesteście już tacy jak kiedyś. W czasach krucjat i stosów.

Gdybym tylko mógł zemdleć. Zasnąć i nie słyszeć już tego przypochlebnego głosu, zniszczonego mroźnym powietrzem i zapewne piciem, bo wśród nieskończonej różnorodności odorów składających się

na ten dewastujący oddech jest i alkohol.

Gdy jesteśmy mniej więcej w połowie koślawego zejścia, Gottschalk rozwiera ramiona jak ekwilibrysta na linie.

Patrzę na deski starego mola niebezpiecznie wyginające się pod naszym ciężarem. Trzeszczą jak w agonii, ale wytrzymują. Wreszcie ogr stawia nogi na stałym gruncie, który niegdyś był dnem laguny. Lód trzeszczy pod jego buciorami. RzUCA mnie na śnieg jak jakiś worek.

– Gotowe. Widzisz, człowieku małej wiary?

Wyciąga z kieszeni wyświechtanej kurtki z kapturem linę alpinisty i nóż. Podśpiewując, wiąże mi za pomocą kawałka liny ręce ciasnym węzłem. Z dłuższego kawałka liny robi pętlę i wiąże mi nogi.

– Nie mogę cię nosić na plecach. Pojedziesz saniami. To znaczy z ciebie zrobię sanie.

Nie zdążam mu nawet odpowiedzieć, kiedy przerzuca sobie linę przez ramię i zaczyna mnie wlec po świeżym śniegu. Ułatwia mu to znajdujący się pod spodem lód.

– Długo cię szukałem, wiesz? Chciałem z tobą pogadać. Tylko pogadać, przysięgam. Jesteś interesującą osobą. Od razu to pojąłem. Przykro mi, że były nieporozumienia. Ty i ja jesteśmy ulepieni z jednej gliny, wiesz? Jesteśmy ludźmi Boga...

Żeby odwrócić uwagę od bezsensownej paplaniny Gottschalka, próbuję zrozumieć, dokąd mnie ciągnie. Przez chwilę miałem nadzieję, że kieruje się w stronę wyspy zmarłych. Ale skręcił w prawo i poszedł wzdłuż linii zabudowy. I nie przestaje paplać.

– ...ty też ich widziałeś. Znaczących umrzyków. Głosy, ludzi w maskach. Nie widzisz ich nigdy wyraźnie, ale są. Nie jestem wariatem. Widziałem ich i słyszałem. To cierpiące dusze, a ich panem i władcą jest demon. Jego też widziałem. Wszyscy oni cisną się do ciebie. To ty ich przyciągasz. Chcą właśnie ciebie. Ale ja jestem sprytniejszy od nich. Teraz, kiedy mam ciebie, trzymam ich wszystkich w garści. Jeśli chcą ciebie, to będą musieli przyjść do mnie. Poczekam na nich. Nie boję się demonów. Tylu ich przepędziłem egzorcyzmami. Mieczem i wodą. I ogniem, rzecz jasna. Mam na nich odpowiednie lekarstwo...

Ma zmęczony głos, dyszy z wysiłku, ciągnąc mnie i dźwigając swoją chorobę, która go zżera od środka.

– To miasto pełne jest zwidów. Jest jak pustynia, na której diabeł kusił naszego Pana. Nie możesz słuchać tych głosów. Nie możesz wierzyć mirażom. Prawda...

Nie kończy zdania. I ciągle wlecze mnie po śniegu.

– Gdzie mnie prowadzisz? Dokąd prowadzisz?

Gottschalk nie odpowiada.

Śnieg wchodzi mi pod ubranie, ziębi plecy. Kamienie, odłamki szkła i inne przedmioty niewidoczne pod białą kołdrą drapią mnie, ranią.

Człowiek, który mnie uwięził, nie może tego nie widzieć, ale nadal wlecze mnie niewzruszony, jakbym był workiem, pniem albo czymś martwym. Gdybym znalazł jeszcze choć trochę mocy w sobie, próbowałbym się oswobodzić. Ale samo oddychanie jest już nie lada wyczynem.

Po chwili Gottschalk znowu zaczyna do mnie mówić.

– Dzięki za prezent. Najpiękniejszy, jaki w życiu dostałem. Powinieneś być przeczytać pamiętnik przyjaciela. To rzecz, która otwiera umysł. Wiesz, jak daleko przed nami byli Rosjanie w niektórych sprawach? A twój przyjaciel był najdalej ze wszystkich. Dziwię się, że nie sprzątnęli go po upadku Związku Radzieckiego. Albo że nie został numerem jeden działu badań naukowych i rozwoju jakiegoś wielkiego międzynarodowego konsorcjum...

„O kim ty mówisz”, mam ochotę go spytać. „O Maksimie? Daj spokój!”

– ...ale domyślałem się, że pojechał do Rzymu, żeby znaleźć schronienie pod skrzydłami Kościoła. Zwykle Rosjanie prosili o azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych. Ale twój przyjaciel schronił się w Watykanie. No powiedz. Z tego, jak o tobie pisze, wynika, że byliście kumplami. I przez cały ten czas nie

wiedziałeś, kim był i nad czym pracował?

– Nic nie wiem.

– Mówię ci, że ten facet otworzył mi umysł. To geniusz. Wiesz w końcu, co jest w tym pamiętniku?

– Nie czytałem go.

– Wiem. Gdybyś przeczytał, to by było widać. Nikt nie może tego przeczytać i pozostać normalnym.

W tym pamiętniku jest wszystko. Wszystko. Wyjaśnienie tego, co się stało... Potwory... Te stwory z piekła rodem...

Zastanawiam się, jak takie indywiduum jak Gottschalk może mówić o potworach.

– Wszystko tam jest! Nawet sposób na to, jak je powstrzymać. Ale to jeszcze nie wszystko! Nie, nie.

Twoje radio... To, które ci zabrałem razem z pamiętnikiem, w Urbino... To gówniane radio, które wyglądało na żart jakiegoś dzieciaka... Ni stąd, ni zowąd, zanim dojechaliśmy do Rimini, twoje radio zaczęło odbierać jakiś sygnał. Zapaliło się światełko i jakiś głos zaczął coś mówić. Pytać o ciebie. Niewyraźnie, ale można było zrozumieć. Od dwudziestu lat nie słyszałem radia. To był szok. Najpierw pomyślałem, że to jakaś interferencja, ale głos powiedział, że nadaje z Nowego Watykanu. I wtedy, bingo!, zrozumiałem, że wszystko to była prawda. No, to, co mi wcześniej mówiłeś. Powiedziałem mu, że źle z tobą, co było zresztą bliskie prawdy, nie? I że jak tylko wyzdrowiejesz, odezwiesz się do niego. I zgasiłem radio, sugerując, że siadają baterie. No i zacząłem cię szukać...

– Dlaczego? – dyszę.

– Dlatego że ty jesteś moją przepustką do ocalenia. A może nawet do czegoś więcej. Ty wprowadzisz mnie do Nowego Watykanu i to z wszelkimi honorami. Kiedy uratujemy świat od demona, żadna nagroda nie będzie zbyt duża. Może nawet mógłbym zrobić karierę, co ty na to? Kazania umiem głosić, a prezencji też mi nie brakuje...

Słuchanie podobnych błazenad przyprawia mnie o mdłości.

– Więc czemu mnie nie uwolnisz? Jeśli mamy być przyjaciółmi, to dlaczego mnie nie rozwiążesz?

Olbrzym robi jeszcze trzy kroki i zatrzymuje się raptownie. Puszcza linę, na której mnie włókł.

Odwraca się do mnie.

Widok jego twarzy jest przerażający.

– Masz rację. Oczywiście. Jeśli jesteśmy przyjaciółmi, powinienem traktować cię lepiej. Już idę, już idę.

Wyciąga z pochwy długi, szeroki, zabójczo wyglądający nóż. Podchodzi do mnie z tępym uśmiechem. Nachyla się i dwoma zdecydowanymi cięciami uwalnia mi ręce i nogi.

Siadam z trudem i rozmasowuję sobie nadgarstki, żeby przywrócić krążenie w rękach.

– Niestety, łeb nie działa mi już zbyt dobrze – tłumaczy się. – To cholerne, gówniane powietrze!

Gorsze niż kryptonit. Chcesz wody?

Gottschalk odpina od pasa metalową manierkę.

Odkręca i podaje mi.

– Masz. Jest dobra. Ze stopionego śniegu.

Patrzę na manierkę z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– Pij!

Nie pozostaje mi nic innego jak go posłuchać.

Pociągam mały łyk, próbując nie myśleć, na co się narażam, pijąc tę wodę, której daleko do czystości.

– Dobrze – mówi i potrząsa manierką. – Picie jest ważne. A jadłeś coś? Jesteś głodny?

Kiwam przecząco głową.

– Nie kłam. Widać, że nie jadłeś. Masz tu.

Wyciąga z kieszeni parki kilka skrawków czegoś w kolorze ceglanym.

– Spróbuj, no już. To jest dobre. Daje energię.

Wkładam do ust zakurzony, brudny kawałek.

– Dobrze pogryź...

Jak dawno nie słyszałem takiego polecenia. Kiedy udaje mi się odgryźć wystarczająco duży kęs, żeby poczuć smak, jest tak, jakbym włożył do ust przeszłość. Kiedy gryzę to z zamkniętymi oczami, smakuję minione pory roku, deszcz, słońce, powiew ciepłego wiatru na skórze.

A potem nagle uświadamiam sobie, co mam w ustach.

Co przeżuwasz.

Wypluwam.

Gottschalk wybucha śmiechem.

– Co masz przeciwko komunii ciała? Pamiętasz ślepą dziewczynę?

– „Komunii”...?

– Pamiętasz ślepą dziewczynę? Tę, która cię wyprowadzała z katedry? No to właśnie ją przed chwilą wyplułeś.

Przez chwilę okropność jego słów nie chce mi się przebić do świadomości.

Ale później nie mogę już udawać, że nie zrozumiałem.

Gottschalk pokłada się ze śmiechu.

– Zjadłbym nawet waszą doktor! Ta dopiero musiała być delikatna!

Ryjąc, rzucam się na niego z całą moją siłą. Czyli niewielką. Najmocniejszym możliwym ciosem pięścią udaje mi się zaledwie sprawić, że na chwilę traci równowagę. A potem, ciągle się śmiejąc, szalony kaznodzieja uderza mnie w twarz tak, że upadam.

To uderzenie ratuje mi życie.

Słyszę jakiś syk nad uchem, a zaraz później głuchy trzask, kiedy kula trafia w śnieg.

Odgłos strzału słyhać dopiero teraz.

Rozglądamy się obaj dookoła.

Na jednej z wież dzwonnicy pojawia się metaliczny błysk.

Kolejny strzał.

Ramieniem Gottschalka szarpie, szaleniec upada na mnie. Wstaje na czworakach wyjąc z bólu, podnosi się i ucieka zygzakami, żeby zmylić snajpera. Kieruje się w stronę Wyspy Świętego Michała.

Długi kanał, po którym niegdyś pływały tramwaje wodne, jest głębszy o jakieś dwa metry od reszty laguny. Jest jak długi okop łączący Wenecję z wyspą cmentarzem. Gottschalk, który nie jest głupi, biegnie właśnie w kierunku tego kanału.

Kolejny strzał rozpryskuje śnieg obok mojego policzka. Wstaję i zaczynam biec w przeciwną stronę, w stronę lądu.

Nie wiem, co mną kierowało w tym wyborze. Jeśli to instynkt, to z pewnością atawistyczny, jak u pierwotnych łowców. Taki bieg zmusza niewidocznego snajpera do dokonania wyboru. I mierzenia do kilku celów.

Biegnę zygzakami, jak Gottschalk. To też zwiększa moje szanse.

Cel jest już tak blisko: suchy kanał, osłonięty od strzału szeregiem domów. Jeszcze parędziesiąt kroków, i już mnie nie trafi.

Gdyby tylko udało się dotrzeć...

Kości bolą całą symfonią bólów, oddech kaleczy, jakbym zamiast powietrza wciągał do płuc żyłki. Pulsowanie krwi w uszach jest ogłuszające.

Nie słyszę już strzałów. Widzę tylko śnieg bryzgający w górę jak z małej fontanny. Trzy, cztery, pięć razy. Coraz celniejsze strzały zmuszają mnie do rezygnacji z pierwotnego celu. Wylot małego kanału zatarasował leżący w poprzek wrak motorówki, a szerokie przejście między domami wystawione jest na strzał snajpera.

Kieruję się w stronę wylotu większego kanału.

Chwila, kiedy tam biegnę, wydaje mi się całą wiecznością. Snajper nie strzela. Pewnie zmienia pozycję.

Przebiegam pod kamiennym mostem.

Zanim połknie mnie czeluść kanału, odwracam się w stronę Wyspy Świętego Michała. Z początku nie dostrzegam Gottschalka. Ale po chwili jego głowa wyłania się znad zasy śnieżnej. Z nadspodziewaną zwinnością Gottschalk skacze i znika w głębokim wykopie łączącym wyspę z miastem.

Przeklinając snajpera, który odciąga mnie od mojego celu, wchodzę do większego kanału.

Długa seria z broni maszynowej uwalnia z muru po mojej lewej stronie czerwony deszcz ceglanych odłamków i rozbija tablicę z nazwą ulicy.

Udaje mi się odczytać włoskie słowo MENDICANTI, „Żebraków”.

Teraz już wiem, że snajper nie jest sam.

Jest przynajmniej jeszcze jeden łowca.

Strzelba. Pistolet maszynowy. A cóżby innego?

Rzucam się biegiem w stronę dziwnego budynku – to jakiś hangar ze schodami wiodącymi do kanału. Szkielet łodzi w budowie uzmysławia mi, że to jedna ze stoczni małych łodzi, z których niegdyś znana była Wenecja. Nazywano je wtedy *squero*. Ale najważniejsze, że mogę tam znaleźć schronienie. Wspinam się z trudem, tracąc niejednokrotnie oparcie pod nogami. W końcu daję radę. Dopadam do hangaru i osuwam się wycieńczony na zewnętrznym murze.

Ziajany rzucam okiem na przebytą drogę w przekonaniu, że już mi się udało.

Moje ślady na śniegu są bardzo wyraźne.

Za bardzo.

Nawet ślepiec trafiłby po nich do mnie.

Tłumię w sobie krzyk desperacji i wstaję na nogi. Brama zewnętrzna jest zamknięta na klucz.

Nie pozostaje mi nic innego jak tylko zejść z powrotem do kanału, w nadziei, że będę szybszy od moich prześladowców.

Ale nie znam miasta, jest ryzyko, że trafię prosto w ich ręce. Mapę zgubiłem. Nie wiem gdzie, nie wiem jak. Pozostaje mi już tylko modlić się i słuchać instynktu. Na tym brzegu kanału budynki są niskie. Na drugim natomiast – bardziej monumentalne.

Po mojej lewej stronie widać fasadę z czterema kolumnami korynckimi, to chyba kościół. A droga wzdłuż kanału jest otwarta. Zbyt otwarta.

Nie ma tam dla mnie żadnego schronienia.

Podejmuję niezrozumiałą dla siebie decyzję – zamiast pójść dalej kanałem, zawracam i biegnę w stronę mostu. Pokonuję pół drogi, licząc każdą sekundę w oczekiwaniu na strzał.

Ale nikt nie strzela.

Słyszę za to inne odgłosy, trudno powiedzieć: z daleka, czy z bliska. Odgłosy biegnących kroków, stłumionych nawoływań.

W połowie drogi do mostu nieoczekiwanie pojawia się jakiś zabity deskami tunel albo coś w tym rodzaju. Gdy biegłem w tamtą stronę, w całym tym zapamiętaniu musiałem go przeoczyć.

Ale teraz nie.

To jeden z wlotów, którymi przepływały łodzie z zaopatrzeniem do domów stojących nad kanałem. Jest wysoki na prawie dwa metry i zamknięty tylko częściowo drewnianą kratką, która wygląda na mało solidną. I rzeczywiście, nie trzeba wiele siły, żeby złamać jedną deskę, później kolejną. I już mogę wejść.

Tunel jest ciemny, nie mam niczego, żeby sobie poświecić. Do wysokości półtora metra ściany pokryte są czymś, co wygląda na powłokę z zaschniętych alg, i cuchną zgnilizną. Poruszam się w nikłym świetle przedostającym się przez wlot tunelu, szukając wyjścia, które musi gdzieś tu być.

W końcu znajduję. Opierając się na łokciach, wchodzę na pierwszy z trzech stopni wiodących do drewnianych drzwi.

Są zamknięte, ale desperacja przywraca mi siły.

Cztery zdecydowane pchnięcia ramieniem i drzwi wylatują z zawiasów.

Hałas przy wlocie do tunelu rozbrzmiewa jak strzał.

Szybko przekraczam próg, wstawiam z powrotem drzwi, chociaż nie mam złudzeń. Zostawiłem na śniegu zbyt wyraźne ślady.

Potrzebowałbym tylko więcej czasu.

Ten podziemny tunel podsunął mi pewien pomysł.

Może jest jeszcze szansa, by uciec moim prześladowcom.

O ile to, co widziałem w ostatnich dniach, nie było jedynie delirium.

Wkrótce będę miał na to dowód.

Rozdział 38: Doktor Livingstone, jak mniemam

Próbuję przypomnieć sobie mapę, którą pokazywała Alessia, oprowadzając mnie po swoim podziemnym królestwie.

Czerwone punkciki oznaczające studnię lub zbiornik podziemny na kartce tego atlasu były zdecydowanie liczniejsze w centrum miasta. W obszarach zewnętrznych, jak tutaj, ich koncentracja była o wiele mniejsza.

Nie wiedząc, czy są jakieś oznaczenia wskazujące wejścia do tego rozległego podziemnego świata, mogę się tylko zdać na instynkt.

Próbuję robić jak najmniej hałasu, chodząc po parterze domku, do którego się wkradłem. Nie ma on nic z pałacu Alessii. W nikłym świetle przedostającym się przez szpary w okiennicach widać zwyczajne, skromne meble. Woń stęchlizny i soli morskiej jest wszechobecna.

Siadam w pokoju, który musiał być kiedyś salonem. Nazwanie go biblioteczką byłoby nie na miejscu, chociaż są tu i książki. Z pewnością nie są to jednak cenne tomy oprawne w skórę, ani rękopisy z miniaturami. Na regale z Ikei stoi w równym rzędzie około setki kieszonkowych wydań, które wilgoć skazała już na zgrzybiały schyłek życia. Wyjmuję jedną, a raczej próbuję to zrobić. Książka nie chce wyjść, bo jej okładka przykleiła się do innych, stojących obok. Kiedy już rozerwałem je na siłę, zobaczyłem, że wybraną pozycją jest *Księżę Kaspian* C. S. Lewisa.

Pamiętam, że czytałem ją w dzieciństwie, po obejrzeniu filmu.

Nic po niej nie zostało w moim sercu, a w pamięci niewiele. W moich czasach jej autor zyskał kuriozalnie sławę z powodu jednego zdania, którego prawdopodobnie ani nie napisał, ani nie wypowiedział.

„Dzisiejszy ból jest częścią wczorajszego szczęścia”.

W filmie mówił to Anthony Hopkins, który grał Lewisa. Ale zdanie wymyślili scenarzyści.

Próbuję otworzyć książkę, ale strony są sklezione.

Książka jest bezużyteczna.

Rzucam ją w kąt. Wzbijam tym kłęby kurzu, w których gubi się promyk światła. Przez chwilę wydaje mi się, że widzę w tym pyłe ludzką twarz, ale to tylko złudzenie.

Pył opada.

I w tym momencie uzmysławiam sobie jedną rzecz.

Na ziemi nie ma żadnych śladów, poza moimi.

W opuszczonym domu byłyby normalnie ślady myszy albo ptaków.

Byłyby pajęczyny w kątach.

A ten dom jest martwy. Jak całe miasto.

Żadnych odgłosów zwierząt, żadnych drobnych kroczków truchtających w ciemności, jak w podziemnych tunelach Świętego Kaliksta. Jedyne zwierzę, jakie tu widziałem, kot, zniknęło przez szybę.

Miasto jest martwe.

To królestwo ułudy. Nie możesz tu ufać własnym zmysłom.

Śnieg na dnie Canal Grande był nietknięty po przemarszu całego tłumu ludzi w maskach udających się na przyjęcie.

I potłuczone były wszystkie lustra, kawałki szkła wymiecione do ostatniego.

A może i to było złudzeniem?

Lustra były stłuczone, ale ten jedyny raz, kiedy spojrzałem z ukosa na Alberta, zobaczyłem roześmianą szyderczo trupa czaszkę.

Zastanawiam się, co bym zobaczył, gdybym spojrzał na moją twarz w lustrze.

Nieogolony zarost.

Oczy głęboko zapadłe w oczodołach.

Nie jem już od wielu dni. Czyżby Patriarcha miał rację? Czy to też jest cud? W takim razie i gorączka? I kaszel, który rozrywa mi płuca? My, mieszkańcy jaskiń, zdani na niekończącą się zimę, jesteśmy tak przyzwyczajeni do chorób płuc, że nie zwracamy już na nie uwagi, chyba że nas zabijają...

Ale jest niezaprzeczalnym faktem, że odkąd tu jestem, kaszlę o wiele bardziej. Może mam gorączkę. To by wszystko wyjaśniało.

Wizje, całe to delirium z otwartymi oczami.

Gorączka...

Myślę, że mógłbym tu zostać już na zawsze.

Oparty o ścianę.

Byłoby nienajgorzej.

Najprostsze rozwiązanie.

Mógłbym się tu zatrzymać i patrzeć, jak życie ucieka ze mnie niczym piasek w klepsydrze.

A później? Po śmierci? Co by się ze mną stało?

Stałbym się jednym z tych duchów, które zamieszkują miasto?

Zobaczyłbym znów Alessię i innych?

Jak wyjaśnić ten stan zawieszenia...

Między życiem a śmiercią...

Jak to pogodzić z chrześcijańskim pojęciem raju...?

I piekła...?

Zasypiam, jakbym zsuwał się w głębinę.

Gdy tracę świadomość, gdy tak pogrążam się w nicości, zdaje mi się, że pył szepcze moje imię głosem lekkim jak szelest...

Budzi mnie jakiś hałas.

Kroki w pokoju obok.

Nie wiem, ile czasu upłynęło.

Godzina? Dzień?

Chciałbym, żeby mnie zostawili w spokoju.

Chcę spać.

Spać...

Czuję coś, jakby świeży oddech na moim policzku.

Nie otwieram oczu.

Pięknie jest czuć jej oddech na mojej skórze. Nie chcę otwierać oczu. Nie chcę nic widzieć.

Mam wrażenie, że małe, chude palce muskają mi szyję, brodę.

Wstrzymuję oddech.

– Otwórz oczy – mówi Alessia szeptem.

– Nie.

– Otwórz oczy, John.

– Jak je otworzę, znikniesz. Już tak było. Już nieraz tak zrobiłaś.

– Przysięgam, że nie zniknę. Otwórz je, John.

– Nie.

– Musisz uciekać. Natychmiast. Idą po ciebie.

– Jest mi tu dobrze.

– Otwórz oczy.

Alessia jest zapłakana.

– Nie możesz się poddawać, John.

– Jestem zmęczony.

– Spójrz na tę kartkę.

– Ja...

– Spójrz!

Przed oczami mam mapkę Wenecji ze studzienkami i podziemnymi zbiornikami.

– Spójrz na nią! Musisz na nią spojrzeć!

Wyteżam oczy. Ale te czerwone punkciki, szarość i błękit przyprawiają mnie o mdłości.

– Nie możesz się poddawać. Wstań. Nie ma już czasu.

– Nie dam rady wstać.

– Nie mogę ci pomóc, John. Musisz to zrobić sam.

Patrzę na nią. Wydaje się taka prawdziwa. Co by się stało, gdybym wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy?

– Wstań, John.

Nie wiem, skąd biorę na to siły, ale powoli, z bólem, podnoszę się centymetr po centymetrze.

Czuję się jak potwór Frankensteina ze starego filmu. Niezdarny, powolny. Chaotyczny. Jak zombie.

– Chodź za mną, John.

Podążam za nią przez ciemny korytarz, nie potykam się, nie chwieję. Jakby prowadziło mnie jakieś światło.

Alessia otwiera drzwi wychodzące na mały plac. Taki placzyk w Wenecji nazywają *campiello*.

Szare światło dnia wdziera się do środka wraz z zacinającym wiatrem, który wpycha mnie z powrotem.

– Chodź, John.

Podążam za głosem Alessii, za zamazaną sylwetką w śnieżnej zawiei. Za cieniem ciemniejszym od mroku dnia. Szal spada mi z twarzy, powiewa mi z tyłu niczym czerwona flaga.

PAF!

Pierwszy strzał drasnął mur o pięćdziesiąt centymetrów od mojej stopy.

Unikam drugiego, rzucając się w boczną uliczkę.

Deszcz odłamków rani mi twarz.

Trzeci strzał dosięga mi ramienia, nieco poniżej barku.

Jest jak kopnięcie. Okropne. Zatyka mi dech.

Krew brudzi pokrywą śniegu.

Prawe ramię jest sparaliżowane.

Boli. Jak cholera.

Pękają mi płuca.

Mam ochotę położyć się na ziemi i umrzeć.

Ale nie mogę. Ocalenie jest już tak blisko...

Próbując nałożyć obraz mapy, jaki mam w pamięci, na rzeczywistość, biegnę do końca uliczki i skręcam w prawo. Wiem, że to błąd, że zawracam w stronę zniszczonego mola przy Fondamenta Nuove, i że nie będę się miał gdzie tam schować. Ale zorientowałem się już, że ten rewir zamknięty jest z czterech stron kanałami, których nie zdążę przemierzyć.

Biegnę więc dalej, zatykając sobie ranę ręką.

Alessii już nie ma. Zniknęła.

Ktoś gwizdże pięćdziesiąt metrów za mną. Gdyby uliczka była prosta, już by mnie zobaczył.

Wypadam na kolejny placzyk, jeszcze mniejszy.

Nagle przypomina mi się mapa. Staje mi przed oczami, jakby tu rzeczywiście była.

Szukam w pamięci nazwy placzyku.

Potem wracam do rzeczywistości.

Jest!

Głaz z siedmioma otworami.

Ciężki. Nawet dwiema rękami ciężko byłoby go podnieść, a co dopiero jedną...

To już koniec.

Ocalenie jest tak blisko, ale to już koniec.

Dysząc, opieram się na cembrowinie studni na środku placyku.

Patrzę w dół.

Pozostało mi tylko jedno.

Kroki łowców rozbrzmiewają niczym uderzenia werbla przed egzekucją.

Jest ich trzech.

Ich nawoływania są głośniejsze od świszczącego wiatru, który smaga stare mury.

Nie próbują się nawet ukrywać.

Są szybcy, zdeterminowani. Pewni siebie.

Ukryty na dnie studni słyszę, jak się zbliżają.

Przywieram do wilgotnej lodowatej ściany, usiłuję stać się niewidoczny. Nie patrzę w górę, gdzie światło zmierzchu rysuje nieregularne koło wylotu studni. Wiem, że zawieja śnieżna jest jak szare prześcieradło. Wiem, że skrywa chmury o jeszcze ciemniejszym odcieniu szarości, które wiszą nad martwym miastem. Wiem to, nie muszę nawet podnosić głowy.

Była jedna możliwość na trzy, że studnia jest ślepa, niepołączona z siecią podziemnych chodników miasta.

Jedna na trzy. I ja musiałem ją trafić.

Z tej dziury nie ma wyjścia.

Wtulam się w ceglany mur, jak w dzieciństwie kuliłem się w pościeli ze strachu przed potworami.

Teraz potwory naprawdę na mnie polują.

I nie ma już ojca, który przepędzi je, zapalając światło. Ani przytulnych ramion matki, w których mógłbym się schronić.

Rana na ramieniu pulsuje. Ale na razie ból jest odległy. Jakby ręka miała pięć metrów długości. Kula przeszła na wylot, pozostawiając wyraźny otwór. Zatkaną go byle szmatką, żeby jakoś zatamować upływ krwi.

Czuję się słaby jak baranek.

Wiele razy wyobrażałem sobie tę chwilę, ale nie przygotowało mnie to wcale na zderzenie z rzeczywistością. Nie spodziewałem się takiego końca – na dnie studni bez wyjścia, w mieście pełnym koszmarów i zjaw.

W głowie kłębi mi się tysiące wspomnień bez związku, fragmenty rozbitego lustra.

Kroki słychać już zupełnie blisko. Wkrótce moi prześladowcy spojrzą w dół.

Zamykam oczy.

Bez nadziei, że je jeszcze otworzę.

Biały rozbłysk przeszywa mrok.

Kolejny.

Snopy światła z dwóch latarek szperają w ciemności.

– Kapitanie, tu jest! – krzyczy jakiś głos zniekształcony przez filtr maski przeciwgazowej.

Spokojne, miarowe kroki zbliżają się do cembrowiny studni.

Głos Duranda daje się za to rozpoznać nawet przez filtr maski.

– Doktor Livingstone, jak mniemam. Jak ty tam znalazłeś?

– Są metalowe stopnie...

– Więc skorzystaj z nich, żeby wyjść, bardzo proszę. Masz broń?

Kręcę głową, że nie.

– Masz broń, John? – pyta ponownie, ale głosem zdecydowanie mniej cierpliwym.

- Nie! – krzyczę.
- Więc włącz na górę. No chodź, chcę cię zobaczyć.

Rozdział 39: Spotkanie rodzinne

– Wiesz, ojczec, zadałeś nam niezłego bobu. Byliśmy niezłe zaskoczeni, jak zobaczyliśmy, że to ty. Ale zanim sobie zdaliśmy sprawę, zdążyliśmy ci posłać parę kulek. Bo przecież nie mogliśmy zawołać: „Ej, John, chodź tutaj, to my, watykańscy przyjaciele”. Jak wróciliśmy do tego pierdolonego kościoła na kołach i zobaczyliśmy, że uciekłeś, to był szok. Jak ci się udało uwolnić? Pauli był niezłe wkurwiony. Musiałbyś go słyszeć: „Nikt jeszcze nie uwolnił się z moich węzłów, nikt!”.

Kapral Diop mówi i jednocześnie mnie przeszukuje. Kulturalnie, ale skrupulatnie. Wątpię, żeby choć wykałaczką mogła ujść jego uwagi.

– Jest czysty, kapitanie.

– Dobrze.

Durand zeskakuje z cembrowiny.

Podnosi maskę.

Teraz już wiem, do kogo jest podobny.

Do tego rosyjskiego polityka, prezydenta Putina.

To samo lodowate spojrzenie, taki sam kształt głowy.

– Możesz wierzyć albo nie, ale cieszę się, że cię odnalazłem – uśmiecha się.

Podaje rękę.

Pokazuję mu zranione ramię.

Ma zmieszana minę.

– Kapralu, spójrz tylko na to.

– Tutaj mam to robić?

– Z grubsza. Prawdziwe leczenie odkładamy na później. No i co, John, jak ci tu poszło? Masz jakieś dobre wieści dla kardynała Albaniego?

Nie odpowiadam.

Kapral Diop ogląda moją ranę.

– Kula wyszła. Rana jest czysta. Zabandażuję prowizorycznie, żeby nie krwawiła.

– Żadnych wieści? – nalega Durand, gdy Diop mnie opatruje.

– Jeśli je mam, to przekażę kardynałowi – odpowiadam.

Durand kręci głową.

– Słusznie. Bardzo słusznie. Ale wiesz, jak to się mówi, lepiej nie wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka. Załóżmy, że coś ci się stanie w drodze do Rzymu... Ktoś musi przekazać kardynałowi...

Tym razem kolej na mój uśmiech.

– To znaczy, że będziecie jeszcze bardziej uważać, żeby mi się nic nie stało.

– Dobrze powiedziane, księżo – śmieje się Marcel Diop.

– Cicho bądź, kapralu. A więc nie chcesz nam powiedzieć, co znalazłeś przez te trzy dni?

– Minęły trzy dni?

Durand wygląda na szczerze zdziwionego.

– A co? Nie wiedziałeś?

– To niemożliwe.

– Niemożliwe jest to, że trzymasz się jeszcze na nogach – kręci głową Wenzel. – Spójrz na siebie.

Kiedy ostatnio jadłeś?

Durand macha niecierpliwie ręką.

– Będzie jeszcze czas na pytania. Teraz wracamy do bazy.

– Do jakiej bazy? – pytam. Ale nikt nie zaszczycą mnie odpowiedzią.

– Idziemy. Przed nami kawałek drogi. Dasz radę?

– Jak ci powiem, że nie, to co zrobisz?

– Jedno pytanie naraz proszę – uśmiecha się Durand. – Dobra, idziemy.

– Nigdzie nie idę. Nie dam rady.

Siadam w śniegu.

Ramię zaczyna mnie boleć coraz bardziej.

Jestem zmęczony.

Mój żołądek przypomina sobie właśnie, że poszczę już od trzech dni.

Durand kuca obok mnie. Jego lodowate oczy widoczne przez wizjer maski są teraz na wysokości moich.

– Musisz dać radę, księżu. Albo natychmiast wstaniesz, albo wysyłam cię do twojego Boga.

W jego oczach jest jakiś niepokojący błysk.

To nie jest obietnica bez pokrycia.

Wyciskając z siebie ostatnią kroplę energii, podnoszę się z ziemi.

Muszę oprzeć się o mur, ale jednak stoję.

Durand kiwa głową.

Uśmiecha się.

– Nie mamy więcej masek, ale promieniowanie jest tutaj relatywnie niskie. To dziwne, że miasto jest wymarłe. W każdym razie, możesz się przykryć, tak jak wcześniej. Znaczą szaleć. Musi wystarczyć. W końcu używałeś go do tej pory i wciąż żyjesz. Pauli, daj mu trochę wody.

I rusza w drogę.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko za nim pójść, między Diopem a sierżantem Wenzlem. Lufy ich karabinów skierowane są na zewnątrz, ale nie mam wątpliwości, że wystarczyłby jeden fałszywy ruch, a strzeliliby do mnie jak nic. Przez chwilę kusi mnie nawet, żeby to zrobić, żeby odskoczyć. Ale mam misję do spełnienia i jestem tak bliski celu, że nie mogę sobie pozwolić na zaprzepaszczenie wszystkiego. Nie mogę ulec desperacji.

Postanawiam iść z nimi.

Niewielka ilość wody z dna manierki Wenzla przywróciła mi nieco sił.

Stawiam kroki z dużym trudem, a w głowie mam mętlik.

Czuję się, jakbym miał kilometr wzrostu, a głowa błędziła między chmurami. Mam wrażenie, że gdybym się potknął, leciałbym w dół całymi godzinami.

Chwilami sierżant musi mnie podeprzeć, widząc, że zaraz upadnę.

– Proszę się trzymać. Już niedaleko – mówi szeptem.

To też zbyt wiele dla mojego ciała. Nie wiem, skąd wykrzesalem siły na ten szaleńczy bieg kanałami, ale teraz moja energia już się wyczerpała, jestem kompletnie wydrenowany. Idę jak starzec, czując bezsilność każdego mięśnia, niepewność każdego kroku.

Odczuwam ogromną ulgę, kiedy Wenzel oznajmia, że jesteśmy na miejscu.

Skrećamy, a za rogiem wyrasta przed naszymi oczami bazylika Świętego Marka.

– Kiedyś były tu takie tłumy, że nie mogłeś nawet podejść do bazyliki – komentuje Durand, otwierając masywne odrzwia.

Światło dnia wchodzi wraz z nami, wydobywając refleksy i kładąc cienie we wnętrzu świątyni. Wenzel i Diop zamykają pospiesznie drzwi.

Durand podnosi z ziemi świecę, zapala ją. To samo robią Wenzel i Diop.

Podążam za nimi, przyciągany światłem niczym ćma. Wokół nas pełgają złote odblaski płomieni.

Moje nogi miażdżą coś na posadzce. Pewnie jakieś patyki, myślę, bo łamią się z takim trzaskiem. Ale gdy Durand opuszcza świecę, z ciemności wyłania się czaszka.

Wszyscy trzej opuszczają świece i oświetlają scenę.

Posadzka usłana jest kośćmi.

Dziesiątki, setki szkieletów. Dywan śmierci ścielący się chyba w całej bazylice.

Instynktownie cofam się i przywieram plecami do kolumny. Durand i pozostali nie okazują za to najmniejszego zakłopotania.

– No co ty, John. Chyba nie boisz się paru kości...?

To nie strach.

To szacunek.

To emocja na widok tyłu szczątków moich braci zebranych w miejscu kultu. Kości, na które natykałem się w uliczkach weneckich, jawiły się w moich oczach poniekąd jako część krajobrazu. To straszne, ale tak jest. Natomiast ci zmarli są dla mnie zupełnie czymś innym. Po raz pierwszy odkąd tu jestem, patrzę na ludzkie szczątki tak, jak powinienem.

Musieli tu być zgromadzeni, kiedy dotarła do nich wieść o wojnie. A może zgromadzili się dopiero, kiedy zrozumieli, że nie uda im się przeżyć. Kiedy opad radioaktywny i epidemie zaczęły ich kosić jak zboże.

Wiedzeni instynktem, przyszedli do miejsca, w którym mogli zrobić ostatnią rzecz, jaka im pozostała. Modlić się.

Umrzeć przy relikwiach dawnych męczenników.

Myszę, że w chwili ich osobistego Sądu Ostatecznego odnaleźli wiarę, która była natchnieniem ich przodków, a która zatraciła się gdzieś w konsumpcjonizmie i relatywizmie późniejszych Włoch.

Dość mizerna to pociecha, odnaleźć tyłu wiernych, wiernych na krótko przed śmiercią.

Gdybym tylko mógł ich nie deptać... Ale to niemożliwe.

Modlę się za nich w duchu, idąc tą cienistą doliną śmierci, która wkrótce i mnie przyjmie.

– Proszę ze mną, ojciec – mówi sierżant.

Odprowadza mnie, podtrzymując za rękaw zdrowej ręki, w stronę pogrążonych w ciemnościach schodów wiodących gdzieś na dół.

U dołu schodów czeka na mnie coś, czego bym się nigdy nie spodziewał.

Wyglądająca na średniowieczną krypta, oświetlona pochodniami wiszącymi na ścianach. Coś totalnie nieoczekiwanego w mieście zbudowanym na wodzie.

Ale jeszcze bardziej niespodziewany jest widok tego, co leży na ziemi, pomiędzy kolumnami krypty.

– O tak, nauwijaliśmy się trochę, kiedy ojciec przechadzał się po mieście – komentuje Durand rozbawionym tonem.

Podłoga dosłownie usłana jest skrzynkami, w których poupychano po same brzegi przedmioty ze szczerego złota. W świetle pochodni blask odbijający się od drogocennych kamieni sprawia, że posadzka krypty wygląda jak rozgwieżdżone niebo.

Przed skrzynkami leży nastawa ołtarza. Ona też lśni złotem. Została pocięta piłą na drobniejsze fragmenty, łatwiejsze do przewożenia. Szlachetne kamienie wyrwano, nie bacząc na nic. Twarz jednego ze świętych została przy tym pocięta dłutem i wygląda teraz jak Joker, przeciwnik Batmana.

Odwracam się do kapitana.

– No co ty! Nie udawaj oburzonego. Te skarby i tak już tu się nikomu nie przydadzą.

– Kościołowi też nie są potrzebne.

Durand mruży oczy.

– Powierzono nam misję odzyskania skarbu świętego Marka.

– I relikwii świętego. Wiem. Ale to była tylko przykrywka! Żeby przekonać Radę Miejską! Inaczej nie zgodziliby się na tę wyprawę! Prawdziwą misją było przywiezienie do Rzymu Patriarchy!

Durand kręci głową.

– John, John, John... Co za naiwność... Wiemy doskonale, jaką misję powierzył ci naprawdę Albani. Cały czas wiedzieliśmy. Kiedy ci mówię, że naszą misją jest odzyskanie tego skarbu, to nie mówię przecież, że tę misję powierzył nam Albani. Rozkazy dostaliśmy od Patrizia Moriego. I

wypełniliśmy je, jak widzisz. Przynajmniej częściowo. Jest jeszcze przed nami dużo roboty. A, właśnie – zebraliśmy też kości świętego. Są w tamtej skrzynce.

– Ty służysz Morim! Zawsze im służyłeś! Co za brudna podwójna gra...

Z pełnym spokojem kapitan wyciąga pistolet z kabury i mierzy mi w czoło. Od wylotu lufy dzieli mnie zaledwie kilka centymetrów. Jego dłoń nawet nie drgnie.

– Mogłem cię zabić już tam, na zewnątrz.

– Zdaje się, że próbowałeś. Wypadek z „pryskankiem”. To nie był wypadek, prawda?

Durand uśmiecha się.

– Nie. Rzeczywiście, nie. Muszę przyznać, że na początku wydawało mi się, że możesz nam trochę zawadzać...

– Więc dlaczego zmieniłeś zdanie? Zabrałeś mnie ze sobą, żebym zażył trochę sportu na wolnym powietrzu?

– Sympatyczne. Nie. Zrobiłem to dla tego, co tu widzisz. Jest kupa rzeczy do zabrania, i każda dodatkowa para rąk mnie urzęda. Jak to się mówi, „bogate jest żniwo, a żniwiarzy mało”...

– „Para” rąk w moim przypadku, to chyba drobna pomyłka.

– Marcel zaraz opatry cię dokładniej. To nie jest duża rana. W każdym razie, gdybyś się zatrzymał, nie oberwałbyś.

– Wezmę pod uwagę następnym razem. A teraz mogę usiąść? Jestem zmęczony.

– Domyślam się. Jasne, że możesz usiąść. Marcel, przynieś Johnowi coś do zjedzenia. Do picia też. I zrób porządek z tą raną.

Siadam na ziemi, plecami opieram się o kolumnę.

– Patrzyłeś na siebie ostatnio w lustrze? – pyta Diop, zdejmując mi kurtkę, żeby mnie opatryć.

– Nie znalazłem ani jednego. Bo co?

– Bo wyglądasz jak zombie.

– Może nim jestem. Nie boisz się, że cię ugryzę?

– Nie. Dzisiaj zombie radzą sobie lepiej niż żywi. Ile czasu byłeś na powietrzu bez maski?

– Nie wiem.

– Nie wiesz. Dobrze... Okej, teraz cię zaboli.

Zaciskam zęby. Kiedy kapral dezynfekuje mi ranę, mam wrażenie, że wylewa mi na nią jakiś żrący kwas.

– Masz szczęście, że odkryliśmy na nowo penicylinę. I że Gottschalk nam jej nie podprowadził.

– Odkryliście na nowo...?

– Doktor Lombard. Jej badania. Ze stacji Aurelia wywieźliśmy między innymi mały zapas lekarstw. To była wyjątkowa kobieta. Chciałbym dostać w swoje ręce tego pierdolonego maniaka Gottschalka.

Wystarczyłoby mi parę minut...

– To ty do niego strzelałeś? I do mnie...?

– Tak. Wybacz.

– Gdybyś był wiedział, że to ja, też byś strzelał?

– Nie.

– Więc nie ma potrzeby, żebyś przeproszał.

Diop opatruje mnie bandażami, które z pewnością nie są sterylne. Ale nie mogę sobie pozwolić na wybrzydzenie.

Oczy kaprala są czerwone, nabiegłe krwią.

– Ciebie też nie oszczędzało, co? – mówię.

– No nie, ciężko było. To miasto jest... dziwne.

– Tajemnicze?

– Tak.

Wzrusza ramionami.

– Widziałeś coś dziwnego, prawda? – nalegam.

Kapral kiwa głową twierdząco.

– Co to było?

– Nic.

Ale jego oczy patrzą w moje. Szerokie źrenice pełne są strachu.

– Jesteś pewien, że nie chcesz mi o tym powiedzieć?

– Widziałem coś, co nie może istnieć.

– We śnie?

– Nie. Nie we śnie. Na przykład, że patrzyłem za okno i widziałem kanały wypełnione wodą. I ludzi.

Ale kiedy otwierałem okno, to znikali, i woda też. A raz... proszę się nie śmiać... raz zobaczyłem kota.

– Kota.

– Tak.

– Jak wyglądał?

– Czarny. O oczach zielonych jak ten szmaragd.

Wyciąga z kieszonki kurtki szlifowany szmaragd, wielki jak orzech.

Na moje pytające spojrzenie odpowiada kolejnym wzruszeniem ramion.

– Wszyscy musimy myśleć o starości. A tu jest tego dość dla wszystkich. Ró propoś...

Znów wkłada kciuk i palec wskazujący do kieszonki i wyciąga z niej złożoną papierową kopertę.

Otwieram.

Pierścień Rybaka pobłyskuje, jakby do mnie puszczał oko.

– Zabrałem go, kiedy kapitan kazał ojca związać. Przykro mi.

– Nawet się nie zorientowałem. To ostatnia rzecz, o jakiej bym pomyślał.

– Bo jest ojciec księdzem. Ale ja mam trójkę dzieci w Świętym Kalikście. Muszę myśleć o ich przyszłości. Kiedy wyjeżdżam na misję, zawsze jest ryzyko, że nie wrócę.

– Więc przyszłość jednak istnieje. Ktoś nadal o niej myśli...

– Wszyscy ci, którzy mają dzieci – kończy Diop z lekkim wyrzutem w głosie. – No, gotowe. Jest ojciec jak nowy.

Wstaje i odchodzi.

Ja przyglądam się długo pierścieniowi. Wydaje mi się, że nie mogę na nim skupić wzroku.

Ale to też jest symbol, w epoce, w której przetrwało bardzo niewiele symboli.

Odkładam go do papierowej koperty i wsuwam do kieszeni.

Diop wraca po kilku minutach z talerzem i butelką.

– Nie mamy już wody. Ale za to znaleźliśmy masę wina. To powinno być dobre. Szkoda, że nie ma już z nami Marca i Guida...

Szkoło butelki, już odkorkowanej, pokryte jest kurzem.

Spoglądam na etykietkę.

Vertigo di Livio Felluga, 2008.

– Dojrzewało dwadzieścia pięć lat – mówię. – Będę musiał je wypić z należyтым szacunkiem.

– Racje żywnościowe to też stary rocznik. Teoretycznie królewskie danie... Zostało ich już niewiele. Tu mamy... chwila, niech spojrzę... gulasz z czegoś tam, z dodatkiem zielonego groszku. W każdym razie, z jakąś zieleniną. Wie ojciec, jak to działa? Rozdziera się torebkę wzdłuż tej kreski, a danie podgrzewa się samo.

– Rarytas. Pomożesz mi z winem?

– Jestem na służbie.

– Może poprawi ci się celownik, jak się napijesz.

Diop przygląda mi się dłużej.

Kręci głową. Uśmiecha się.

– Gdyby nie brzmiało to jak herezja, powiedziałbym, że Wenecja zrobiła ojcu dobrze. Skąd to poczucie humoru?

– Z dna pewnej studni. Ale już je straciłem.

– Nie powiedziałbym. A, jeszcze jedno.

– Tak?

– Mój celownik jest w porządku. Chciałem go unieruchomić, tego gnoja, nie zabić. Do tego, co kapitan chce mu zrobić, potrzebny nam jest żywy.

Odwraca się, żeby odejść.

– Kapralu Diop...

– Tak?

– A ja? Ja też jestem wam potrzebny żywy?

On zaciska usta z opuszczoną głową.

Potem patrzy mi prosto w oczy.

– Dopóki nie załadujemy skrzyń.

I odchodzi. Zostawia mnie samego, z jedzeniem, dwudziestoletnim winem i jedyną, wątpliwą pociechą, że przysmaki te znikną trochę wcześniej niż ja.

Ale właśnie takim myśлом nie powinienem ulegać. Jeżeli popadnę w przygnębienie, umrę i nie będę miał możliwości wypełnić misji. A misje, jak symbole, są w tych czasach rzadkością. Taką jak czyste powietrze, jak żywność, jak wszystko to, co służy człowiekowi do przeżycia.

Zaufałem Durandowi. A powinienem był podejrzewać go od samego początku, choćby z powodu tych dwóch nieprzewidzianych postojów na EUR i na stacji Aurelia, o których kardynał kamerling nic mi nie wspomniał. A jego ludzie? Czy wiedzieli od samego początku, że ich misja nie jest służbą na rzecz Kościoła?

Zasypiam. Kiedy po raz ostatni odstawiam butelkę na ziemię, jest jeszcze do połowy pełna.

Albo w połowie pusta. To wciąż pozostaje subiektywną kwestią. Oczywiście wiem, że alkohol nie gasi pragnienia. Ale wino jest dobre, ma smak przeszłości.

Za to jedzenie, trochę zbyt treściwe, przyprawiło mnie o mdłości. Zmusiłem się by je przełknąć tylko dlatego, że mój organizm tego potrzebuje. To było mniej więcej jak tankowanie. Paliwo dla ciała. Mechaniczna czynność, bez odrobiny przyjemności.

Zastanawiam się, czy młody człowiek zrozumiałby dzisiaj sens słowa „tankowanie”.

Z języka zniknęło tyle wyrażeń, których używamy jeszcze tylko my, „starzy”. My „sprzed”.

Wino pomaga mi zapaść w sen, przekroczyć granicę, za którą nic nie jest już pewne. Ale cały świat wokół mnie już dawno tę granicę przekroczył. Więc kiedy sen nadchodzi, nie umiem powiedzieć, czy aż tak różni się od jawy.

Zaczyna się dalekim odgłosem bicia w bębny. I widokiem ogni gdzieś w oddali. A ja lecę, i, jak powiedziałbym kiedyś, jest to nierzeczywiste. Ale z Alessią też latałem, i to było rzeczywiste. Tak przynajmniej sędzę.

Bębny wybijają wolny, hipnotyczny rytm. Dźwięki rozchodzą się jak w wodzie. Czarnej wodzie, bo po takiej maszeruję. Z naprzeciwka zbliża się do mnie jakaś postać, czarna jak ta woda, nieodbijająca się od płynnego lustra, które ma pod swoimi stopami.

Jest już kilka kroków ode mnie, a ja wciąż nie widzę rysów jej twarzy, która jest jak płynna, ciągle zmieniająca się powierzchnia. Przebiegają przez nią mieniące się refleksy.

„Jadłeś”, mówi delikatnym szeptem jakiś głos prosto do mojego ucha. „Wypoczywasz. Rana się goi”.

– Kim jesteś?

Postać nie odpowiada. Podnosi dwa palce, a gdy je otwiera, pojawia się między nimi motyl, który

unoszą się do lotu.

– Już mnie nie boli – mówię cicho, czując się zupełnie zagubionym.

„Ból brał się ze strachu. A ty nie boisz się mnie teraz. Te obrazy, woda, owad o kolorowych skrzydłach, wszystko to powstaje w twojej głowie i jest dla ciebie przyjemne. Dlatego nie ma bólu”.

– Wzięłaś te obrazy z mojej głowy?

„Nie wzięłam. Ty mi je dałaś”.

– Alessia... też była tylko obrazem?

Nagle i nieoczekiwanie ból powraca. Jeśli to sen, to dlaczego uczucie jest takie żywe, takie gwałtowne?

„Kobieta Alessia nie była w twojej głowie. Kobieta Alessia została zabrana przez miasto. Miasto ujawniło ją tak samo, jak ujawniło maski i pałac. Mogłoby nawet ujawnić wodę wielkiego kanału, i błękitne niebo, i wiele innych rzeczy”.

– Nie rozumiem. Co znaczy „ujawnić”? Co było rzeczywiste z tego wszystkiego, co widziałem? Podziemne tunele... wiszące, zmumifikowane ciała... To wszystko było złudzeniem?

Postać oddala się ode mnie, ślizgając się po wodzie. Nie widać jej genitaliów, a nogi i ręce są bardzo długie. Długo milczy, jakby nie znajdowała słów.

Po chwili powstaje między nami trójwymiarowy obraz. Kwadratowa wyspa, wyspa zmarłych. Świętego Michała – San Michele.

Palec wskazujący dziwnej istoty skierowany jest na wyspę. Obraz powiększa się, aż wchłania nas do swego wnętrza. Stoimy teraz na jakiejś zwirowej alejce, pośród grobów. Światło jest ciepłe od słońca. W zaroślach słychać bzyczenie owadów. Ich szum brzmi niczym piosenka.

Dziwna postać idzie między grobami. To dawne miejsca pochówku, z wyblakłymi albo zupełnie zatartymi od niepogody nazwiskami. Dłoń o szczupłych palcach muska kamień nagrobny, a wtedy napisy odzyskują kolory, a kamień polor nowości. Znika mech i szara patyna czasu.

„Kamień wyraża nieistotność czasu”.

– Nie rozumiem.

„Zrozumiesz”, ta odpowiedź spływa do mojej głowy jak szept.

„Chodź do mnie, a zrozumiesz”.

Postać oddala się wolno i z namaszczeniem. A ja nie mogę się poruszyć. Jakbym miał sparaliżowane nogi.

– Nie odchodź! Kim jesteś? Skąd przychodzisz?

Postać odwraca się. Choć ta twarz nie ma żadnych rysów, jestem pewien, że w tej właśnie chwili, patrząc na mnie, uśmiecha się.

„Chodź do mnie, ojciec Johnie Daniels. Ale pospiesz się”.

– Jestem więźniem. A to jest tylko sen. W rzeczywistości jestem więźniem. Nie mogę do ciebie przyjść.

„Co to jest rzeczywistość? Co to jest sen? Jesteś więźniem tego rozróżnienia. Uwolnij się od tej iluzji, a będziesz prawdziwie wolny”.

Jego niekształtna ręka – taką przynajmniej jawi się w moich oczach – wykonuje gest cięcia. Cmentarz Świętego Michała znika, a na jego miejscu pojawia się dawna cela. Jakiś ciężko dyszący starzec leży w ciemnościach na sienniku.

„Bóg, w którego wierzysz, uwolnił Piotra, swojego apostoła, z więzienia”.

Starzec wstaje. Z jego rąk i nóg spadają łańcuchy.

Mur otwiera się na naszych oczach. Kamienie wypadają, a na ich miejscu powstają drzwi.

Strażnicy przy wyjściu z celi śpią głębokim snem.

Podążam za starcem z niedowierzaniem.

Na zewnątrz jest zimno. Pada śnieg, a wiatr wciska go aż pod ubranie. Płatki tną niczym żyłki...

„Od kiedy nie używasz żyletki?”, pyta głos w mojej głowie. „A jednak jej wyobrażenie nadal w tobie jest. Czujesz, jaka jest ostra, sztywna, zimna. Co odróżnia żyletkę w twojej głowie od prawdziwej żyletki? Tną obie”.

Starzec znika w chmurze mroźnego pyłu. Wraz z całym pejzażem.

A ja stoję przed bazyliką Świętego Marka.

Moje ślady wyglądają, jakby wychodziły z muru.

Czuję narastającą gwałtownie złość.

– Dlaczego mi to zrobiłeś? Jeżeli jesteś zdolny uwolnić mnie z więzienia, to dlaczego pozwoliłeś, żeby mnie złapali? Byłem tak blisko wyspy! Dlaczego mnie powstrzymałeś?

Wokół mnie odbija się echem śmiech – śmiech miasta.

– Poczekaj! – krzyczę, powstrzymując złość. – Powiedz, czy masz jakieś imię!

„Imię me Legion”, szepcze głos w mojej głowie.

Głos wiatru i śniegu siekącego ulice, popychającego mnie ku mojemu celowi, maskującego moje ślady.

Rozdział 40: Wyspa umarłych

Wyspa umarłych odcina się od dziwnej mgły, gęstej i mlecznej, jakiej nigdy przedtem nie widziałem. A San Michele znów wygląda jak wyspa, a nie jak forteca z mułu i kamienia. Mgła rozścieliła perłowe morze wokół murów.

Na godzinę przed świtem światło zaczyna rozbierać ciemności.

Przyjmuję to z ulgą. Nie było łatwo tu dojść. Chętnie uznałbym, że prowadziła mnie jakaś nadprzyrodzona siła, pomagając wydostać się z labiryntu ulic.

Potrzebowałem w nocy dużo czasu, by przebyć w ciemnościach uliczki prowadzące z placu Świętego Marka do Fondamenta Nuove. Jeżeli naprawdę wszystko ma jakiś sens, to zastanawiam się, jaki sens miała ta absurdalna strata czasu na ponowne krótkie połączenie się z Durandem i jego ludźmi, a potem na ucieczkę.

Mam teraz miasto za plecami i czuję się jak marynarz na okrętowym mostku. Przedemną majaczy jakaś dziwna ziemia obiecana, gdzie cuda miesza się z gusłami, a potwory są jedynymi istotami, które rozmawiają z tobą ludzkim głosem. Tygodnie podróży zahartowały mnie krwią i błotem. Trzy dni samotności i postu wyostrzyły mnie niczym szpadę.

Cokolwiek jest moją misją, nie będę już nigdy bardziej gotowy niż teraz.

Byłoby pięknie, gdyby z mgły wyłoniła się łódź, by przewieźć mnie na drugi brzeg. Wystarczyłby nawet łabędź olbrzym. Albo skrzydlaty koń. Hipogryf...

Uśmiecham się na myśl o sobie w roli bohatera.

„Lepiej za dużo nie marzyć. Ten zewnętrzny świat potrafi być strasznie konkretny, mój przyjacielu...”

Czy to ja, czy może głos w moim mózgu?

Wzruszam ramionami.

Co to za różnica?

– Głos w twojej głowie powiedział, że jego imię jest Legion – mówię na głos. Ale ten głos jest chropawy, chrapliwy, niemal napawa mnie strachem.

– Wiem.

– A zatem wiesz także, co to znaczy?

– Pewnie, że wiem.

Cytuję samemu sobie fragment Ewangelii świętego Łukasza o opętanym z Gerazy.

– „Jezus zapytał go: »Jak ci na imię?«, a on odpowiedział: »Legion«, bo wiele demonów w nim zamieszkało. I błagali go, by nie kazał im w otchłań odchodzić...”

– Widzisz? On sam, ten odrażający potwór, powiedział ci, że jest demonem! Jak możesz odpowiadać na jego wezwanie? Dlaczego chcesz do niego iść?

– Uwolnił mnie.

– Tylko po to, żeby ci gorszy los zgotować.

– Nie sądzę, żeby tak było.

– „Nie sądzisz, żeby tak było!” Krótko mówiąc, ufasz mu...

– Myślę, że tak.

– Naprawdę nic już nie pamiętasz? Potworów w podróży, ataku na Torrita Tiberina... Strachu...

– Pamiętam też stwora, którego nazywałem Gregor Samsa. On też wyglądał jak potwór. A przecież nim nie był. Więc milcz już. Pozostaw mnie z moimi wątpliwościami. Skończył się czas triumfalnych pewności.

Ostatnie słowa nie zdążyły jeszcze wybrzmieć, kiedy schodzę z zawałonego mola i po raz drugi stawiam stopę na suchym dnie laguny. Stawiam pierwszy krok we mgle i kieruję się w stronę

niewidocznej wyspy.

Zaskakuje mnie moja własna reakcja, a raczej brak reakcji na zdradę Duranda. Może prawda jest taka, że już wcześniej przestałem mu ufać, kiedy odkryłem, że jego wiara nie jest moja.

Kroczę po dnie tego morza mgły, a ku wyspie kieruje mnie jakiś wewnętrzny kompas.

Bo wiem, że idę właśnie tam. Nie potrzebuję dowodów. Moja wiara, którą od dwudziestu lat miałem za wygasły płomień, odzyskuje na nowo moc w sposób zupełnie niewiarygodny. W tym, co mi się tutaj przytrafiło, a jeszcze wcześniej w podróży, jest coś, co przekracza granice ludzkiego rozumienia. Czego nie da się wytłumaczyć.

Kiedy byłem młodym księdzem, uważałem siebie za nic nieznaczący pionek w walce między Dobrem a Złem. Moi nieprzyjaciele też nie byli wielkimi figurami. Teraz wydaje mi się, że na szachownicy nie ma już pionków, że pozostały same najważniejsze figury. Teraz wiem, że partia dobiega końca, i że każdy mój ruch jest bardzo ważny.

Zastanawiam się tylko, czyja ręka mną kieruje.

Kim jest Gracz przesuwający mnie po szachownicy.

Jeszcze kilka dni temu nie miałbym wątpliwości. Czułem się żołnierzem Boga.

Teraz nie jestem już tego taki pewny.

Kiedy poszedłem do kolegium jezuitów, w wieku siedemnastu lat, dali mi do przeczytania książkę o Jezusie, której autor udowadniał niestrudzenie, że nasz Zbawiciel miał tylko i wyłącznie ludzką naturę. Pamiętam, że kiedy ją przeczytałem, poszedłem do duchownego, który miał być moim duchowym ojcem. Powiedziałem mu o swoich wątpliwościach. Zapytałem, dlaczego dali mi do przeczytania książkę, która obalała wszystkie, co do jednego, moje przekonania.

On uśmiechnął się.

– Wszystkie twoje przekonania? – zapytał. – Chcesz przez to powiedzieć, że straciłeś wiarę w Jezusa?

– Nie – odpowiedziałem. – Wciąż wierzę w Jezusa.

– Zatem twoja wiara stała się po prostu czystsza. Uwolniłeś się jedynie od pozorów, oczyściłeś z osadów. Do tego była ci potrzebna ta lektura.

Kiedy byłem chłopcem, ten duchowny był już stary. Gdyby jeszcze żył, miałbym do niego wiele pytań na temat tego, co jest potrzebne i komu.

Na przykład, komu potrzebna była ta podróż? Tyle ludzi zginęło! I po co?

Za to na pytanie o powody, dla których wbrew wszystkiemu trwam w swojej misji, muszę sobie odpowiedzieć sam.

Nikt inny nie może tego zrobić za mnie.

Ale odpowiedzi na razie nie mam.

Mogę tylko iść dalej, we mgłę, w stronę wyspy.

Poruszam się zupełnie po omacku, rozróżniając jedynie, gdzie jest góra, a gdzie dół – to wystarczy, żeby nie upaść.

Jakimś cudem wiem, że zmierzam w dobrym kierunku.

Ziemia pod moimi stopami jest gładka, bez żadnych przeszkód.

Ale droga do piekła też jest gładka...

Kręcę głową.

Za chwilę znów zacznę ze sobą dyskutować, jak obłąkaniec.

A z drugiej strony, muszę nim chyba być. Idę zupełnie bezbronny na spotkanie z istotą, która ma moc wskrzeszania zmarłych...

W tej perłowej mgłę nie widzę nawet własnych rąk. Gdyby sądzić po tym, co zobaczyłem w tych dniach, czy raczej sądziłem, że widzę, ja sam mogę już być tylko duchem, iluzją.

Jednak wbrew temu, pomimo dręczących mnie lęków i wątpliwości, nie przerywam marszu.

Podążam w tej nicości ku czyhającym niebezpieczeństwom i czekającym odpowiedziom.

Wyspa wita mnie murem z cegieł i zaschniętego mułu wysokim na kilka metrów. Nie ma żadnego sposobu, by po nim wejść. Pozostaje mi tylko obejść ją dookoła w poszukiwaniu wejścia.

Spodziewam się jakiegoś wyłomu w murze. Ale po przejściu wzdłuż dwóch boków kwadratu dostrzegam schody wydrążone w mule. Dwa szerokie stopnie, które udaje mi się dojrzeć, wyłożone są kamieniami nagrobnymi.

Wierzchołek tonie we mgle.

Wchodzę schodami i wyłaniam się w szarym świetle dnia.

Przed oczami ukazuje mi się wielka brama z kutego żelaza.

Ktoś pomalował ją czerwoną farbą.

Niepewną, drżącą dłonią ktoś wymalował tą samą farbą napis na prawej kolumnie.

JERUSALEM'S.

Litera S jest niepełna i kończy się długą pionową kreską.

„Jerozolima”.

Czy naprawdę dłoń nieznanego nawiązywała do wizji z Apokalipsy świętego Jana?

„I ja, Jan, ujrzałem miasto święte, Jeruzalem nowe, z nieba od Boga zstępujące, przystrojone jako oblubienica dla męża swego...”

A jeżeli ten, kto to napisał, chciał wyrazić zupełnie coś innego?

Było takie opowiadanie Stephena Kinga. Nakręcili nawet film na jego podstawie.

JERUSALEM'S LOT. Dola Jeruzalem.

Opowieść o wampirach.

Żywe trupy, które nawiedzały miasto.

Niezależnie od intencji tego, kto umieścił tu ten niekompletny napis, popycham bramę.

Nie skrzypi jak w paskudnym horrorze.

Ale przed moimi oczami otwiera się niewiarygodna sceneria.

Gdzie nie spojrzeć, ciągną się rzędy grobów. Setki, tysiące grobowców. Horyzont zamykają częściowo zawalone ściany z niszami do chowania zmarłych.

To prawdziwe *Necropolis*, miasto umarłych.

Stawiam pierwszy krok na śniegu, który trzeszczy jak stare drewno.

Nie sposób poruszać się bezszelestnie w tym miejscu.

Byłem tu już we śnie, kiedy monstrualny stwór, którego zwa Patriarchą, pokazywał mi swoje królestwo. Idąc alejką pośród grobowców, czuję się jak aktor grający sztukę po raz drugi.

Najmniejszych wątpliwości.

I, co jeszcze dziwniejsze, żadnego niepokoju.

To miejsce z pewnością wyglądało inaczej, kiedy drzewa i krzewy były jeszcze zielone. Teraz sterczą jedynie upiorne kikuty. W głębi góruje nad wszystkim ponura bryła kościoła, którego widok w żaden sposób nie podnosi mnie na duchu. To po prostu budynek. Świat odebrał znaczenie tak wielu rzeczom.

Jak mogłem myśleć, że to miejsce jest jakimś wyjątkiem? Wystarczył sen?

Zieleni już nie ma. Koniec, kropka.

Teraz wszystko jest białe i szare, jak śnieg, który właśnie zaczyna padać wielkimi płatami.

Co sprawia, że poruszam nogami?

Z pewnością nie poczucie, że moja misja może się powieść.

Takiego poczucia już nie mam. Przestałem o tym myśleć. Wiem, że energia, która mnie niesie, jest jedynie złudzeniem. Wiem, że może nie wystarczyć mi jej nawet na to, żeby stąd wyjść. Brak jedzenia i picia sprawia, że jestem powolny, niemal katatoniczny: dziwny żółt w maskującym, zielonym kolorze, poruszający się w otoczeniu, w którym nie pozostało już chyba nic zielonego, w czym by się

można zakamuflować.

Jak we śnie, większość napisów na nagrobkach jest nieczytelna.

To stare groby.

Czas próbował je strawić, i jego pełny sukces jest bliski. Pozostawione bez opieki, wkrótce wszystkie te napisy znikną, pamięć się wyzeruje.

Poprawiam sobie szal na twarzy. Mówię swojej prawej nodze, żeby się ruszała, a ona ślizga się w przód, robi pół kroczku.

Teraz kolej na lewą.

Właśnie w ten sposób się poruszam, jak robot z uszkodzonym oprogramowaniem.

Każdy krok okupiony jest ogromnym wysiłkiem. Jakby nagle wzrosła siła grawitacji. W głowie pęcznieją mi żyły, pulsują jak szalone.

Kiedyś znałem modlitwy na każdą okazję. Nawet modlitwę o deszcz – co zawsze wydawało mi się niezwykle prymitywne. Gdybym chciał uładzić świat, jaką modlitwę powinienem wybrać?

Może najlepszym wyborem byłaby modlitwa za zmarłych, *Wieczny odpoczynek*. W tej podróży zmawiałem ją już tyle razy.

Zagubiony w myślach dostrzegam nagle, że na jednym z grobów ktoś siedzi. To nie jest rzeźba, jak inne zacieniające ten zakątek cmentarza posągi, ma bowiem kolory żywej, realnej istoty. Ale jej bezruch jest bardzo mylący. Choć jestem niewiele żywszy od umrzyka, przyspieszam kroku, żeby podejść do ubranej na biało istoty, ale ta zdaje się mnie wcale nie zauważać.

Podchodzę bez zachowania najmniejszej ostrożności.

Postać jest cała skuta lodem. Jej żywe kolory znikną wkrótce pod bielą śniegu.

Porozdzierane ubranie jest sztywne jak kamień.

Twarz, choć pokryta wrzodami i ranami, jest pogodna. Usta lekko rozciągnięte w uśmiechu.

„Alberto”, szepcze jakiś głos w mojej głowie.

Głos Patriarchy.

Czarnego potwora, który twierdził, że nazywa się Legion.

Mówi szeptem, ale w mojej głowie te trzy sylaby wybuchają jak pocisk.

Wnętrznosci ścisną mi jakieś lodowate imadło.

Szczęki zaciskają mi się tak gwałtownie, że przygryzam sobie język.

„Wybacz mi”.

Jakaś postać ukazuje się moim oczom w świetlnej poświacie, ale sama jest bardzo czarna.

„Alberto jest teraz w świetle. Dobrze mi służył. Nie jak ten drugi stwór...”

Żelazna krata zamykająca rodzinny grób otwiera się z hukiem, wypada z niej jakaś postać. Wygląda jak olbrzymi czarny niedźwiedź, który miota się, jakby chciał uniknąć pojmania. Smaga powietrze jedną łapą, wyje, skacze z grobu na grób, wściekle rycząc.

Z przerażeniem rozpoznaję w tym monstrum Davida Gottschalka.

Nie ma włosów. Jego czaszka jest jedną czarną skorupą, jak reszta ciała.

Prawa ręka wisi bezwładnie z barku jak jakiś koszmarny stalaktyt.

„W tym, co było kiedyś człowiekiem, przyjrzyj się daremności Zła”, skanduje głos w mojej czaszce.

Każda sylaba jest jak smgnięcie batem, powoduje ostry, szarpiący ból.

Gottschalk jest ślepy.

Jego twarz niemal się stopiła, zatracając zupełnie rysy. Nie ma już oczu, nosa, uszu. Zauważam z przerażeniem, że podobny jest do złego stwora, którego mogłem zobaczyć z bliska w Torrita Tiberina.

„Ten bezbożnik poznaje właśnie gniew tego, któremu rzucił wyzwanie”, ryczy głos w moim mózgu.

„Jego dni zostaną zaraz zżęte jak chwasty na paszę. I na cóż mu się zdało służenie Złu? Oto nadchodzi kosa!”

Gottschalk tańczy nieprzerwanie swój spastyczny taniec, uderzając w kamienie nagrobne, potykając

się, ale natychmiast odzyskując równowagę, jakby oczy i mózg w ogóle nie były mu potrzebne do utrzymania się na nogach.

Patrzę na to z niedowierzaniem, kiedy coś podrywa go w powietrze na wysokość dwóch metrów i zaczyna nim obracać, jakby miał oś na środku pleców. Gottschalk obraca się jak śmigło, a z ust wychodzi mu czarny dym, w którym zdaje mi się chwilami rozpoznawać postacie. Ale moje oczy jakby nie chciały wyraźnie zobaczyć tego, co pojawia się w dymie. Ciało Gottschalka kręci się i kręci coraz szybciej, aż zaczyna wyglądać jak bąk. Nagle wirowanie ustaje, a ciało zostaje odrzucone na niewiarygodną odległość. Rozbija się o mur z niszami grobów, niczym melon wyrzucony z katapulty. Bezkształtna masa zalewa krwią marmur i spływa po nim na ziemię.

– Po co to zrobiłeś? – wrzeszczę, rozglądając się dookoła. – Po co go zabijać, kiedy odebrałeś mu już wszystko?

„Ja go nie zabiłem”, odparowuje Legion.

– Zwariowałeś? Popatrz tylko na niego!

Głos w mojej głowie wybucha śmiechem.

Ten śmiech jest jak padające ukosem ostre tafle lodu, które przygważdżają mnie do ziemi.

Ściskam sobie skronie i wrzeszczę, niemal wypluwając płuca.

Ból ustaje tak samo nagle, jak przyszedł.

„Popatrz na niego”, szepcze głos.

Odwracam głowę. Leżąc na ziemi, dostrzegam tylko mur z niszami, rzędy płyt obryzanych gęstą krwią Gottschalka.

To niewiarygodne, ale zza grobów wychyla się głowa obłąkanego kaznodziei. Później ramiona i reszta ciała. Wrażenie, jakie sprawia na mnie odrodzony Gottschalk jest doprawdy potężne. Twarz jest cała, a jedyna osobliwość to uprzejmy uśmiech, który zupełnie się z nią nie kojarzy.

Gottschalk ma na sobie czarną zbroję bojową. Nie tę z Urbino, lecz pancerz, który można by uznać za średniowieczny, gdyby nie anachroniczne blaszki najeżone metalowymi kolcami na barkach i na plecach, upodabniające go do dzikiego dinozaura. W prawicy odrodzony Gottschalk dzierży ogromny miecz z absurdalnymi ozdobami. Rodem z powieści science fiction albo z ilustracji Franka Frazetty, które kolekcjonował mój ojciec, kiedy był mały.

– To niemożliwe – kręcę głową. – Gottschalk nie żyje. Widziałem, jak zginął.

Mam wrażenie, że słyszę westchnienie.

Wewnątrz mojego umysłu Patriarcha kręci głową.

„Jesteście jak dzieci, które bawią się na podwórku i myślą, że to cały świat. Jesteście jak dzieci, które skarżą się na otarcie kolana i myślą, że ich ból to cały ból tego świata. Który zostanie już na zawsze...”

– Jesteście jak dzieci – szepcze głos Alessii, przez chwilę nakładający się na głos Patriarchy, a później kontynuujący jego myśl. – Boicie się cieni, cieszycie się z powodu nic niewartej zabawki. Ignorujecie rzeczy naprawdę wielkie, które was otaczają, a biegacie za motylkiem i kłóćcie się o byle co.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć.

Jest przepiękna.

Nigdy nie miałem problemu z kontrolowaniem własnych popędów, zwłaszcza seksualnych. To wzbudzało zazdrość moich kolegów z seminarium. Uwielbienie, jakim darzę Alessię, nie ma nic wspólnego z seksem czy pożądaniem. To coś o wiele większego. W tym przynajmniej nie czuję się dzieckiem.

– Tęskniłeś za mną, John? – pyta z uśmiechem.

– Miałem ciężki dzień, ale tak, tęskniłem za tobą.

– Już blisko. Wkrótce będziesz mógł odpocząć.

– Wkrótce? – pytam, nic nie rozumiejąc.

– Każdy z nas jest małą kosteczką w mozaice wielkiego planu. Jakkolwiek mała by nie była ta kostka, stanowi część mozaiki, która byłaby niekompletna bez tego brakującego fragmentu układanki.

Wyciągam rękę, żeby ją dotknąć.

Ona wymyka się moim palcom, choć zupełnie nie mam wrażenia, żeby się poruszyła.

– Chodź, pokażę ci coś – mówi tym swoim wesołym głosem i rusza między groby.

Odwracam się w stronę Gottschalka, który zmierza w odwrotnym kierunku, w stronę wyjścia z cmentarza, przy metalicznym akompaniamencie swojej zbroi.

– Zostaw go. On już wie, co ma zrobić.

Alessia wskazuje na jakieś drzwi w wewnętrznym murze cmentarza.

– Chodź. Nie mamy za dużo czasu...

– Wiem. Trzej faceci...

– Już tu idą. To dlatego David wyjdzie za bramę.

– David? Nazywasz tego potwora po imieniu?

– Ten, którego widziałeś, to nie jest już Gottschalk. Ten człowiek się oczyścił. Teraz służy Patriarsze.

– Ale widziałem, jak zginął! Czym jest ten twój Patriarcha? Czarownikiem voodoo?

Alessia parska śmiechem.

Wchodzi na gruzy murów grobowych. Ludzkie kości, szczątki trumien, kawałki marmuru tworzą schody wiodące do innego sektora cmentarza – do usianego krzyżami placu podzielonego na cztery części przecinającymi się alejkami. Za nim wznosi się masywny budynek bez okien. Kikuty spalonych cyprysów wyglądają jak kolumny czarnej, zburzonej świątyni.

– Patriarcha jest tam – mówi szeptem Alessia. – Ale najpierw musisz coś zobaczyć...

Przyspiesza kroku.

Niemal biegiem pokonuje przestrzeń dzielącą ją od grobu na środku kwadratowego placu.

Z uśmiechem małej dziewczynki pokazuje mi zniszczone zdjęcie w środku kamiennego, chropowatego krzyża.

Przyklękam na jedno kolano i kładę rękę na krzyżu.

Rękawica zdrapuje ze zdjęcia lód.

Ze starej fotografii w kolorze sepii patrzy na mnie twarz Alessii. Rysy twarzy rozmył czas, ale to z pewnością ona.

Drżącymi palcami odgarniam konwulsyjnie śnieg z napisów na krzyżu.

Imię ALESSIA.

Nazwisko.

Dwie daty.

Podnoszę oczy. Patrzę na nią.

Wyciągam ku niej rękę. Alessia nie robi tym razem nic, żeby się wymknąć.

Moje palce zbliżają się do jej ramienia. Drżą coraz bardziej...

Ciszę łamie odgłos strzału, po którym słychać serię z pistoletu maszynowego.

Wściekłe wrzaski.

Kolejny strzał.

Alessia odwraca się i rusza biegiem ku niskiemu, masywnemu budynkowi na końcu alejki. Nie pozostaje mi nic innego jak podążyć za nią. W połowie drogi zbacza w lewo, w prostopadłą alejkę. Wciąż podążam za nią. Seria strzałów niszczy grób dwa metry za nami. Gdybym nie poszedł za Alessią, już bym nie żył.

Biegnę dalej. Nie rozumiem, skąd biorę na to siły. Zaledwie parę godzin temu, kiedy dotarłem do miejsca, skąd ujrzałem wyspę, czułem się u kresu sił. A teraz biegnę jak mały chłopczyk po łące.

Kolejny grób eksploduje marmurowym pyłem i śniegiem. Oglądam się za siebie na ułamek sekundy. David Gottschalk walczy swoim dziwnym mieczem – obracając nim wkoło, absorbuje uwagę dwóch postaci w kombinezonach polowych i maskach przeciwgazowych. Trzeci mężczyzna celuje w naszym kierunku.

Nie mogę odgadnąć, który z tej trójki do nas strzela, ale wiem na pewno, że to nie Durand. On by nie chybił.

Sylwetka Gottschalka góruje nad wszystkim i naprawdę robi wrażenie. Ale żołnierze Gwardii Szwajcarskiej zdali już sobie pewnie sprawę z tego, że zagrożenie z jego strony jest tylko pozorne. Jeżeli żaden ich strzał, żłobiąc dosłownie krwawiące kraterzy w pancerzu olbrzyma, nie osłabia jego wojowniczej furii, to jasne jest, że ostrze jego miecza, jakkolwiek przerażające, nie grozi nawet zadrapaniem. Miecz wiruje przed ich twarzami, sprawiając, że dwaj mężczyźni cofają się przed nim, ale jego ostrze wcale ich nie dosięga. Tymczasem mężczyzna z pistoletem maszynowym klęczy na jednym kolanie i spokojnie mierzy.

Wiem, że tym razem nie chybi.

Jakbym miał oczy z tyłu głowy, widzę lufę karabinu wycelowaną w moją głowę i zmrużone oko snajpera.

Palec wskazujący spoczywa na spuście.

Myśliwy odgina go wolno na chwilę, jakby rozkoszował się każdym ułamkiem sekundy.

Palec naciska spust...

Pistolet nie wypala. Kurek uderza w pustkę. Żołnierz, pomstując rzuca kałasznikowa na ziemię. Maski na tyle zniekształca jego wściekłe okrzyki, że wychodzą z niej zwierzęce pomruki. Wrzeszczy coś do współników. Cała trójka przestaje zważać na zjawę Gottschalka, który dwoi się i troi, by wystraszyć żołnierzy, ale nie daje już rady ich odciągnąć. Teraz strzelają we trzech do mnie i do Alessii.

Ale przecież Alessia nie żyje, powtarzam sobie z niedowierzaniem.

Alessia nie żyje.

Na grobie widniały daty: „1883–1904”.

Dwadzieścia jeden lat.

I prawie sto trzydzieści lat od śmierci.

Jej śmierci.

Nie da się zaprzeczyć oczywistości.

Jakkolwiek Alessia wydaje się żywa, jest duchem.

„Ale przecież dotknąłem jej”, powtarzam w myślach. A później uzmysławiam sobie, że nie, że to nieprawda – nigdy jej nie dotknąłem. Nigdy mi się to nie udało. Wrażenie dotyku jej rąk na moim rozgorączkowanym czole musiało być właśnie tylko tym – wrażeniem.

Złudzeniem.

Za moimi plecami trójka mężczyzn rzuciła się w pościg. W rękach nie mają już broni palnej, ale długie maczety.

Podążając za Alessią, przeskakuję przez pozostałości zburzonego muru.

Pędzimy na złamanie karku w stronę budynku, który wygląda na opuszczony od wieków.

Okładamy go, aż znajdujemy wejście – drzwi z brązu pokryte zieloną patyną czasu i żywiołów. Tylko skrzydło zachowało jeszcze pierwotny złotawy kolor metalu. Ostatnio ktoś używał tego wejścia niejednokrotnie. Świadczą o tym ślady na śniegu, przed drzwiami. Ślady ludzkie i inne, dziwne ślady, których nie potrafię określić, bo Alessia ponagliła mnie, zmusza do wejścia.

Drzwi zamykają się z głuchym odgłosem.

Spowijają nas ciemności.

– Zobaczą ślady – mówię szeptem.

– Nie. Nie zobaczą ich.

Głos Alessii jest tuż przy moim uchu.

Wydaje mi się, że czuję ciepło jej oddechu.

Na moich oczach zaczyna się wolno dziać coś niewiarygodnego.

Drzwi z brązu jakby się rozplływały.

Robią się przezroczyście.

Trzej mężczyźni z Gwardii Szwajcarskiej idą ku nam między grobami.

Posuwają się ostrożnie, sprawdzając przestrzeń za każdym nagrobkiem. Idą zgięci w pól, by oprzeć się porywom wiatru smagającego cmentarz.

Odwracam się. Alessia uśmiecha się. Wskazuje na ziemię przed wejściem do grobowca.

Ślady zniknęły. Wiatr wywiał śnieg, wyrównał powierzchnię. To zbiło z tropu naszych prześladowców.

– To sprawka Patriarchy?

– Nie. On jest jak... jak dyrygent. My to wszystko robimy.

W tym momencie na moich oczach dokonuje się kolejny cud. Za plecami żołnierzy, w zawierusze śnieżnej podnoszą się kamienie nagrobne, i ze zmarzniętej ziemi wychodzą koszarne postaci – upiory ludzkie, trupy z pustymi oczodołami i rękami wyciągniętymi ku trzem nieświadomym mężczyznom, którzy ciągle zbliżają się do naszej kryjówki. Żywe trupy wydają z siebie gardłowy, przerażający dźwięk. Wycie wiatru nie wystarcza, by go zagłuszyć. Jeden z trzech żołnierzy odwraca się i zamiera z przerażenia. Maczeta wypada mu z dłoni. Ucieka. Dwaj pozostali też cofają się przed tą ogromną masą gnijących ciał, która napiera na nich nieubłaganie.

– Oni też są złudzeniem? – bełkoczę, widząc, jak jeden z trupów uderza w krzyż i przewraca go.

– Nie. Oni nie są złudzeniem. Chodźmy już – mówi Alessia. – Nie powstrzymają ich zbyt długo.

Patrzę z przerażeniem, jak zgniłe ciała otaczają i izolują Diopa i Wenzla, jak zaciska się wokół nich krąg ramion, zębów i szponów.

Drzwi przestają być nagle przezroczyście, a wycie wiatru prawie zupełnie cichnie.

Alessia podnosi z ziemi lampę naftową. Zapala ją.

W świetle lampy prowadzi mnie korytarzem, w którego ścianach wydrążono setki wnęk grobowych, od ziemi po sam sufit. Marmurowe płyty, którymi kiedyś były zamknięte wnęki, zostały zerwane. Kości i pozostała zawartość grobów zostały potrzaskane, jakby jakiś nieznośny dzieciak porozbijał je młotkiem.

Chciałbym spytać Alessię, kto to zrobił, ale zdumienie odbiera mi mowę.

W głębi korytarza otwiera się okrągłe pomieszczenie oświetlone pochodniami zawieszonymi na murach, szerokie na co najmniej dwadzieścia metrów. Otwór w posadzce na samym środku pełen jest wody.

A w głębi pomieszczenia...

W głębi pomieszczenia siedzi istota, która wtargnęła do moich snów, która wdarła się do mojej głowy.

Siedzi bezładnie na kamiennym tronie. Nie ma w niej teraz nic podniosłego. Jej drżące ciało sprawia wrażenie obolałego i potwornie zmęczonego.

– Nie zdoła utrzymać ich zbyt długo na wodzy – mówi szeptem Alessia, patrząc na istotę oczami pełnymi uwielbienia.

Istota, którą nazywają Patriarchą, która sama przedstawiała się jako Legion, podobnie jak ewangeliczny demon, siedzi skulona w kamiennym fotelu. Długie ramiona obejmują ciało, a szpony szarpią je, pozostawiając blizny, które natychmiast się goją. Od czasu do czasu potrząsa głową jak w bolesnych konwulsjach. Oparcie tronu poplamione jest krwią.

„Synu mój, córko moja. Uchodźcie stąd. Wkrótce tu będą”.

Słowa wybuchają mi w głowie niczym ogłuszające strzały.

Ból jest potworny.

Padam na kolana.

– Muszę z tobą porozmawiać!

„Nie ma już na to czasu”.

– Moja misja straci sens, jeżeli z tobą nie porozmawiam! – warczę niczym pies przez zaciśnięte zęby, które chyba zaraz stracę.

„Musisz stąd odejść”.

– Musisz ze mną pójść do Rzymu! – wrzeszczę ostatkiem sił.

On śmieje się w mojej głowie. Ból ustaje.

„Do Rzymu? A po co? Żeby zginąć na stosie?”

– Kardynał kamerling chce zwołać konklawe. Ty jesteś Patriarchą tego miasta...

„To niepoważne. Twój kardynał nigdy nie uzna mojej władzy. A teraz idź już. Idźcie stąd”.

Twarz Legiona przeszywa cierpienie. Przez jej czarną, gładką powierzchnię przebiega coś na kształt błysku.

Smgnięcie tego bólu dosięga mojej prawej skroni. Zataczam się. Muszę się wesprzeć na tronie, żeby nie runąć na ziemię.

„Podoba ci się mój tron? Moi wierni przynieśli mi go z wyspy Torcello. Nazywano go „tronem Attyli”. A teraz to mój tron. Jak możesz myśleć, że ktoś, kto zasiada na tronie Attyli, mógłby uczestniczyć w konklawe?”

Kręcę głową.

Absurdalność mojego postępowania jest uderzająca.

Czy naprawdę pomyślałem o tym, żeby doprowadzić tę istotę do Rzymu i przedstawić ją Albaniemu jako Patriarchę Wenecji? Co mnie opętało? Jak mogłem być tak głupi?

„Ja JESTEM Patriarchą – wyje głos w mojej głowie. – Lud tego miasta wybrał mnie w dniu, w którym siedem plag egipskich spadło na tę ziemię. Mnie udało się im pomóc! Mnie udało się ich ocalić! I tak ten, którego traktowano jak monstrum, został ich Zbawicielem. A oni, na znak wdzięczności, podarowali mi ten tron i tytuł Patriarchy. Zanim jeszcze rządzi tu dożowie, u zarania jej dziejów, Wenecja była miastem patriarchalnym. Moja władza pochodzi od pierwszych apostołów”.

Odkrycie, że ta istota, ten... potwór... mieni się chrześcijaninem, poważnie mnie przygnębia. Wszelkie przekonania, wszelkie dogmaty wyuczone przy rezygnacji z mojej myślowej niezależności, wszelkie podwaliny mojej egzystencji runęły wobec tego lśniącego owadziego oblicza, wobec tego głosu, który w mojej głowie prawi mi o apostołach i plagach egipskich...

„Twoja religia jest martwa – szepcze głos tonem niemal czułym. – Ja nie jestem chrześcijaninem. Formy twojej wiary, jej tytuły, jej przekonania, są jedynie wsparciem dla nowej religii, którą ja głoszę. Przecież sam widziałeś – jeżeli nawet mój największy wróg, jakim był David Gottschalk, staje się narzędziem mojej wiary, to kto się jej oprze? Zatem po co miałbym wybierać papieża?”

Moim ciałem wstrząsają konwulsje.

Po chwili uświadamiam sobie, że to śmiech. Wybucham niepohamowanym śmiechem. Nie mogę przestać się śmiać.

Alessia jest przestraszona.

„Widzę w twoich myślach, co cię tak śmieszy. Masz rację. Na samą myśl o papieżu takim jak ja...”

– Nie, chodzi o to, że... wybacz... ale od wieków wierni oczekiwali czarnego papieża... Tyle że z pewnością nie myśleli o czymś takim, mówiąc „czarny”...

„Ja nigdy nie będę papieżem. Wkrótce wejdą tu moi wrogowie. Wyrwą mi trzewia. Nigdy mnie już nie będzie”.

– A twoi zombie...

„Nie mogą ich dłużej powstrzymać. Oni tu wejda. Zabiją mnie. To jest zapisane. Czas nie jest prostą drogą, jak ci się wydaje. Czas to spirala. Z jednego miejsca tej spirali zobaczyłem już tę chwilę. Ani ja, ani ty nie możemy nic zrobić. Mój koniec jest nieunikniony. Ale mój koniec będzie początkiem wielu rzeczy”.

Odgłos uderzeń w drzwi w głębi korytarza.

Coraz mocniejszych.

„Idź już. Ty i Alessia musicie uciekać. Ci ludzie niosą ze sobą straszliwe zło. Dźwigali je aż tutaj. To taka machina, jaka zniszczyła twój świat. Jest tutaj. Musisz zapobiec zniszczeniu wszystkiego. Nie możesz dopuścić, żeby nowa śmierć obciążyla wagę, która odmierza całe zło twojego świata”.

– To niemożliwe. Durand i jego ludzie są tu po to, żeby pomóc mi w przewiezieniu cię do Rzymu.

„Tak ci powiedziano. Ale to nie jest prawda. Albani chce, żebym zginął, a dla pewności chce zabić każdego mieszkańca tego miasta”.

– Ale przecież w Wenecji nikogo nie ma!

„Mylisz się. Chociaż ich nie widziałeś, w tym mieście mieszka wielu podobnych do mnie.

Poprosiłem ich, żeby zachowywali się dyskretnie, aby cię nie niepokoić. Ale zdaję sobie sprawę, że nie jest ci łatwo uważać ich za osoby. Porozmawiajmy zatem o ludziach. Podziemne korytarze wydrążone pośród korzeni tego miasta zamieszkuje wielu z nich. Wenecja liczy ponad trzystu mieszkańców. Są też ci, których odrodziłem, urodzeni po raz wtóry, moje dzieci, ich też są tysiące, najpiękniejszy kwiat w moim ogrodzie. Bomba, która zniszczy miasto, ich również zabije. Są z nim związani bardziej, niż ci się zdaje. Nie przeżyją, jeżeli miasto umrze”.

– Jak możesz nazywać to życiem?

„Życie ma różne formy. Ale to zawsze życie. Równowaga została zaburzona i nie można było jej odtworzyć, a jedynie znaleźć inne formy, inne sposoby. Życie się przystosowuje. Ja jestem tego najlepszym przykładem. Wasza droga wiedzie donikąd”.

Kolejna seria uderzeń. Coraz silniejszych.

„Idźcie już. Znajdziecie bombę u wlotu kanału, który łączy tę wyspę z miastem”.

Odwracam się do Alessii. Nigdy nie wydała mi się piękniejsza niż teraz, z tą bladą, wzburzoną twarzą, kiedy tak patrzy raz na Patriarchę, a raz na korytarz, naszą drogę ucieczki.

– Ale ty przecież zginiesz!

„Nic nie ginie naprawdę. Nic. Przypomnij sobie Pismo Święte: jeżeli ziarno nie umrze, to jak będzie mogło wydać owoc? Idźcie już. I przekaz moje słowa twojemu kardynałowi, człowiekowi, który rozkazał swoim żołnierzom zniszczyć mnie i to miasto. Powiedz mu, że jego nagroda jest w drodze”.

Drzwi z brązu wyskakują z zawiasów i wałają się na ziemię z wielkim łoskotem. W korytarzu rozbrzmiewają kroki jednego mężczyzny. Utykającego. Po chwili słycać powłóczenie nogami innych osób.

„Za późno”, wzdycha głos w mojej głowie.

– Jacku... Daniels... Przeklęty... łajdaku...

Kapitan Durand mówi przerywanym, dyszącym głosem.

Mężczyzna, który wyłania się w świetle pochodni okrągłego pomieszczenia, jest ranny. Zerwana maska przeciwgazowa zwisa na piersiach. Prawe ramię ocieka krwią. Ale lewa dłoń trzyma mocno maczetę z zabrudzonym ostrzem.

– Zdrajco swojej religii! – wrzeszczy do mnie.

– Co cię obchodzi moja religia? Nie wierzysz w mojego Boga!

– Wierzę w o wiele większego Zbawiciela niż twój ukrzyżowany Judejczyk.

– Wierzysz w Boga martwego od tylu wieków, że znaczy mniej niż zero!

– Mylisz się! Wierzę w Boga nieskończenie starszego od twojego! Boga, dla którego warto się bić i umrzeć!

– Twoja misja od początku była zdradą! Służysz Morim, a nie Kościołowi!

– Służę jednemu i drugiemu, durniu! Mori dostanie złoto świętego Marka, a kardynał śmierć swoich wrogów, swojego jedynego rywala. I ktokolwiek zwycięży w lochach Świętego Kaliksta, ja będę jego zaufanym człowiekiem.

Kręcę głową.

– Spójrz za siebie.

Żywi zmarli stanęli za nim w półkolu. Spodziewałem się, że na niego skoczą, by go zagryźć. Oni jednak zastygli w oczekiwaniu.

W oczekiwaniu na znak Patriarchy.

Legiona.

Durand skacze jak kot za jego tron. Przykłada ostrze maczety do gardła Patriarchy.

„Jak mnie znalazłeś?”

Durand wybucha śmiechem.

– Doprowadził nas do ciebie twój przyjaciel, ojciec John Daniels. Dziękuję, ojcze.

– Szedłeś moimi śladami?

– Szedłem za logiką. Odkąd cię przyłapaliśmy wczoraj, przy Fundamenta Nuove. Wystarczyło tam wrócić i popatrzeć przed siebie. Gottschalk uciekł w kierunku tej wyspy. Poszedłbym o zakład, że to był również twój cel. Ale wystarczyłoby mi dorwać tego opętańca. Miałem z nim rachunki do wyrównania. Niestety, już nie żył. Mogłem jedynie naszczać na jego trupa. I zakpić z jego ducha. Mam nadzieję, że będzie krążył po tym cmentarzu przez całą wieczność, z tą swoją żalosną zbroją i mieczem. Ale za to jaki fart! Pomyśl tylko – znalazłem to monstrum. Kardynał będzie zachwycony, jak się dowie.

– A więc chcesz go zabrać do Rzymu...

Durand patrzy na mnie zdumiony.

– A po co?

Wyciąga z kieszeni coś, co wygląda na telefon komórkowy. Jeden z tych aparatów, które na początku XXI wieku opanowały świat. Nie widziałem takiego od...

I nagle paraliżuje mnie jedna myśl.

Staje mi przed oczami obraz warsztatu.

I mężczyzny o rozczochranych włosach, który pochyla się nad takim właśnie aparatem i majstruje coś w jego wnętrznościach.

Maksim.

Durand patrzy na mnie. Uśmiecha się.

– Dał mi go twój współlokator. Tobie dał to gówniane zepsute radio polowe, a mnie dał to.

Podnosi w lewej ręce smartfona, żebym mógł zobaczyć wyświetlacz.

Coś takiego w dzisiejszym świecie robi większe wrażenie, niż zrobiłby Excalibur.

Nie sądziłem, że jeszcze istnieją. I że mogą działać.

Na czterocalowym wyświetlaczu widnieje koło, na którym pojawiają się i znikają świetliste różnokolorowe punkciki: niebieskie, żółte, czerwone.

– Kiedy wypuścili tę aplikację, na krótko przed wojną, nikt nie wiedział, jak działa. A jej działanie opierało się na tym, że sensory smartfonów były w stanie wychwycić różnice potencjałów kwantowych. Cokolwiek to znaczy, nazywano je „Ghost radar”, bo myślano, że służy do wykrywania głosów zmarłych, które pojawiały się na ekranie. W rzeczywistości zmarli nie mają z tym nic wspólnego, ale fizyka kwantowa tak.

– To bzdura. Telefon komórkowy już nie istnieje.

– Rzeczywiście, ten program nie musi łączyć się z komórką. Komunikuje przy wykorzystaniu mechaniki kwantowej. Jak twoje improwizowane radio. Tylko że ono akurat nie działa.

Mógłbym zaprzeczyć. Powiedzieć mu to, co usłyszałem od Gottschalka.

Ale z głośnika komórki dobiega właśnie jakiś kobiecy głos.

„HALO”.

To samo słowo pojawia się na wyświetlaczu komórki.

– Maksim? Jestem tu! – krzyczy Durand.

Na ekranie pojawia się czerwony punkt, który się przesuwa.

I pojawia się kolejne słowo.

„DOSKONALE”.

– Przekaż kardynałowi, że misja wypełniona.

„KARDYNAŁOWI. POWIEDZIEĆ”.

– Jestem tu, przed tym jego Patriarchą. To monstrum.

„POWTÓRZYĆ”.

– To potwór. Jeden z tych czarnych stworów z piekła rodem.

„WIE. POWIEDZIEĆ”.

– Wywołuje duchy. Otacza się zombie. Jest tu ich pięciu w tej chwili.

„POWTÓRZYĆ”.

– Wywołuje duchy.

Długa cisza. Na zielonym wyświetlaczu telefonu pojawiają się w szybkiej sekwencji czerwone, niebieskie i zielone punkciki.

Po chwili z telefonu rozbrzmiewa jedno jedyne słowo.

„ZABIĆ”.

Bez chwili zawahania Durand przeciąga ostrzem maczety po szyi Legiona. Skóra pęka. Strumień ciemnej krwi tryska na środek pokoju, obryzgując mi twarz.

Pięciu żywych zmarłych, niczym marionetki, które odcięto od sznurków, osuwa się bezładnie na ziemię.

Durand wydaje z siebie triumfalny okrzyk.

Odwracam się.

Alessia zniknęła.

Nagle dociera do mnie chłód i wilgoć pomieszczenia. W nozdrzach czuję smród trupa.

Durand odkłada komórkę na podłokietnik tronu i kładzie mi rękę na czole. Krwią Patriarchy znaczy mi palcem jakiś symbol.

„PRZYWIEŹĆ”, mówi kobiecy głos.

Naznaczony symbol to trójkąt.

Durand robi z dłoni miseczkę, nabiera krwi i maże nią sobie twarz, tak że wygląda jak w masce.

– Misja wypełniona – mówi szeptem. – Co ci teraz przypominam?

Kręcę głową.

„AKTYWOWAĆ”.

– Nie pamiętasz tego starego filmu *Apocalypse Now*?

– Nie.

„CZAS”.

– Wykonałem rozkazy. Nie zostało już wiele do zrobienia. Załadować SUV-a i wrócić do domu. Pomożesz mi w załadunku. Później, jeśli ci to pasuje, możesz tu zostać.

„ZIMNO.

NIGDY.

ZATRZYMAĆ”.

Nie odpowiadam. Nie słucham już nikogo i niczego. Z pochyloną głową i złożonymi rękami odmawiam modlitwę za Legiona i za dzisiejszych zmarłych, zbyt wielu zmarłych.

„Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci...”

Durand parska śmiechem.

– Chociaż, jak się zastanowić, to mogę sobie poradzić równie dobrze sam. Trochę więcej wysiłku, trochę więcej czasu, ale dałbym radę.

„BOMBA”.

– Opróżniliśmy kilka kotłów. Mamy dość paliwa na powrót do domu. Musisz tylko zdecydować, czy chcesz mi pomóc i wrócić ze mną do Rzymu, czy może chcesz tu zostać i umrzeć.

„MOCNO”.

„NIGDY”.

„NIEBEZPIECZEŃSTWO”.

Podnoszę wzrok. W zakrwawionej twarzy Duranda oczy lśnią jak u szaleńca.

Maczeta łąduje na mojej szyi. Jej ostrze na tyle uciska mi gardło, że muszę podnieść głowę.

– Podjąłeś decyzję? – syczy Durand.

Jego oddech jest straszny. Zalatuje zgnilizną.

Spoglądam na ciało Patriarchy.

Przez chwilę jestem jak sparaliżowany. Nie dowierzam.

Potem uśmiecham się.

Ramię Legiona podrywa się i wytrąca maczetę z dłoni Duranda. Ostrze rani mi lekko policzek i odbija się od ściany.

Rzucam się na Francuza całym ciężarem swojego ciała.

Ręka Legiona opada bezwładnie.

Krótki cud, który uratował mi życie, już się dokonał. Teraz pozostała walka.

Durand jest o wiele silniejszy ode mnie, ale jest ranny w ramię. Udaje mi się go trzymać pod sobą bez trudu i przyprzeć go plecami do podłogi. Tak mi się przynajmniej przez chwilę zdawało, bo jednym wyrzutem bioder gwardzista zrzuca mnie z siebie, wstaje i zaczyna okładać pięścią, choć ciosy jego prawicy są słabe i źle wymierzone.

Tym niemniej, moje szanse w walce z nim są nikłe. Mój organizm wyczerpany jest wielodniowym postem. I czuję całe zmęczenie, które nagromadziło się przez tę podróż.

Cofam się krok po kroku w stronę środka pokoju, ku zbiornikowi z wodą w posadzce. Durand nastaje na mnie, uderzając coraz mocniej i trafniej. Puchnie mi oko, przez krwawy woal widzę jego twarz wykrzywioną w diabolicznym grymasie.

Kolejny cios paraliżuje mi policzek. Jednym kopniakiem w kolano Durand posyła mnie na ziemię. Upadam twarzą w dół.

Francuz podnosi maczetę. Podchodzi do mnie spokojnie. Nie mam siły się podnieść.

Łapie mnie za włosy i ciągnie do zbiornika z wodą.

– Chcesz się pomodlić po raz ostatni, księżę? A może chcesz, żebym ja to za ciebie zrobił? Mój Bóg jest potężniejszy od twojego!

Kręcę głową. Mam rozbitą górną wargę.

Kręci mi się w głowie.

Telefon Duranda chyba oszalał.

Kobięcy głos nie przestaje powtarzać mechanicznie: „PRZEKAZYWAĆ, PRZEKAZYWAĆ, PRZEKAZYWAĆ”.

Znów przecząco kręcę głową.

Kapitan podnosi maczetę.

Przez chwilę wydaje mi się, że z głębi zbiornika podnosi się biały księżyc, powoli, jakby zbiornik był bardzo głęboki. Księżyc płynie ku górze, robi się coraz większy i zmienia się w twarz.

Wszystko to dzieje się w jednej chwili, gdy tymczasem ostrze maczety podnosi się nade mną, by w końcu opaść.

Błada twarz Alessii wypływa z głębi ciemnej wody.

Jej oblicze jest poważne, surowe. Zdeterminowane. Jej piękne czoło jest zmarszczone.

I nagle, nad wszelkim dźwiękiem, nad dokuczliwym jazgotem telefonu, rozlega się potężny głos w mojej głowie, który zdaje się wypełniać całą przestrzeń wokół mnie.

„Nadszedł czas, żebyś poznał wielkość Boga!”

Alessia wyskakuje z wody, ale sama jest formą wodną, lśniąca jak metal. Jej ręce chwytają kapitana za gardło i unoszą w górę. Maczeta pogrąża się w toni wody. Patrzę z niedowierzaniem, jak Alessia i Durand kręcą się pod wysokim sufitem, jakby tańczyli.

„Nie jesteś lepszy od zabójcy, na którego polowałeś”, grzmi Legion.

Oni kręcą się pod sufitem coraz szybciej, niczym derwisze. Jeszcze chwila, a oczy Duranda wyskoczą z orbit. Język wystaje mu w połowie z ust. Twarz ma coraz bardziej czerwoną, nabrzmiałą. Wierzga w powietrzu nogami. Jeszcze dwa kopnięcia, trzy. Cztery. Nieruchomieje. Ciało kołysze się jak wahadło zegara.

Alessia zwalnia uścisk dłoni.

Durand spada do wody i znika w jej toni.

Alessia wykrzywia twarz, kiedy patrzy na niego, ale w jej spojrzeniu jest litość.

Czuję, jak siła tych dwóch rąk podnosi mnie za ramiona z ziemi.

Z trudem trzymam się na nogach.

Alessia stoi przede mną. Nigdy nie była tak piękna.

– Durand nie żyje – mówi. – Teraz jesteś wolny.

– Wolny?

Kręcę głową.

– I co niby mam zrobić z tą wolnością? Dokąd pójść?

– Możesz wypełnić swoją misję.

– Moja misja... Ja już nie mam żadnej misji. Nie rozumiesz? Wszyscy zdradzają wszystkich...

– Ty nie – mówi szeptem, a ja czuję jej oddech na mojej szyi.

Oddała się ze śmiechem, a ja znów nie zdążyłem jej dotknąć.

Staje równo na nogach i skacze do wody. Zanurza się w niej z perfekcyjną techniką.

Patrzę, jak płynie w dół, coraz dalej od światła.

Ciało Duranda zniknęło już w otchłani.

Zanurzam rękę w wodzie. Palce napotykają kamień.

Basen ma głębokość niespełna dziesięciu centymetrów.

Kiedy go dotknąłem, stał się tym, czym jest naprawdę. Ale przecież ta iluzja pochłoneła człowieka...

„Porozmawiaj ze mną”.

Głos Patriarchy jest zmęczony, drżący. W miarę jak zablźnia się potworna rana na jego szyi, jego słowa stają się bardziej zrozumiałe.

– Uratowałeś mi życie...

„To najmniejsza rzecz z tego, co mogłem zrobić”.

– Widziałem twoją ranę. Przecież to niemożliwe...

„To, co widziałeś, jest możliwe. Widziałeś. To się zdarzyło. To było. To możliwe”.

– Nie mogę zrozumieć, czym jesteś. Czy jesteś żywy? Jesteś duchem?

„Jestem kim jestem. Dotknij mnie”.

Wyciągam rękę w stronę jego piersi. Moje palce przechodzą przez jego ciało, nie czując nic oprócz lekkiego swędzenia.

„Wiele z gwiazd, które widzisz na niebie, umarły miliony lat temu. Ich światło jest światłem martwych gwiazd”.

– Od dwudziestu lat nie widziałem ani jednej gwiazdy.

„Spróbuj użyć wyobraźni. Niebo pokazuje ci rzeczywistość – to, co widzisz jako obecne niebo jest w rzeczywistości złożone z gwiazd, których światło podróżowało bardzo długo, zanim do nas dotarło. Każde z tych światel pochodzi z innego czasu. Mój świat jest taki sam. Materia jest jedynie jedną z faz życia, i wcale nie najważniejszą. Musisz wyjść poza schemat, jeżeli chcesz zobaczyć schemat. Albo go zmienić...”

W toni basenu, z głębin, płynie powoli w górę postać owinięta długimi białymi wstęgami czy też welonami, które łagodnie falują w wodzie.

„Alessia jest najpiękniejszym darem, jaki mogłem ofiarować Wenecji. A jednocześnie jest to dar, jaki miasto ofiarowało mnie. Umarła bardzo młodo, ale jej uroda wycisnęła swoje piętno na tym mieście. Łatwo było sprowadzić ją tu na powrót. To wspaniała istota”.

Legion, Czarny Patriarcha, stoi przede mną. Jego gładkie ciało, wyglądające jak plastik, jest nienaruszone.

Przyklęka na jednym kolanie, zanurza swoje monstrualnie długie ramię w wodzie, chwytając rękę Alessii. Podnosi ją do brzegów basenu.

Kiedy puszcza jej dłoń, dziewczyna się chwieje, jakby zaraz miała upaść.

Chwytam ją instynktownie.

Moje ręce ją przytrzymują.

Zapiera mi dech w piersiach. Trzymam w ramionach realne, żywe ciało.

Alessia obejmuje mnie. Jest ciepła. To nie złudzenie.

„Jak mówiłem, Alessia jest moją najcenniejszą istotą. To mój dar dla życia”.

– To czary. To...

„Nie. To dar. Wasza broń dała mi moc przywracania do życia zmarłych. Czy wasz Jezus nie czynił podobnie? A wy witaliście te cudy jako znak jego boskości. Dlaczego moje cudy miałyby być sprawą czarów?”

Oczy Alessii są ciemne i głębokie jak woda, z której się wyłoniła, woda jej narodzin.

– Musimy iść, John.

– Iść? Dokąd?

– Do nowego miejsca. Miejsca, w którym posiejemy ziarno życia.

– Moje miejsce jest na łonie Kościoła.

„Kościół... – wzdycha głos Patriarchy. – Kościół nie wie, co robić z moimi darami. Ma swoje pomysły, projekty długoterminowe. Wy ciągle jeszcze myślicie, że możecie uratować życie w waszych podziemnych schronach. Mylicie się. To droga donikąd. Świat staje się coraz mniej gościnnym miejscem dla waszej rasy. Zasoby, dzięki którym bronicie się przed nieubłagany postępem entropii, wyczerpują się. Kiedy zużyjecie ostatnią kroplę benzyny, kiedy włożycie do ust ostatnią rację żywności, świat was pożre. Kościół kroczy niewłaściwą drogą. Pomyśl o waszej drodze tutaj, pełnej przemocy, usianej trupami. Z tej podróży powinieneś wyciągnąć naukę, że twój Kościół sieje zło. Przypomnij sobie jego emisariuszy. Popatrz, co zrobili. Nazywasz potworem Davida Gottschalka. Jak zatem nazwiesz kapitana Marca Duranda?”

Nie wiem, co mu odpowiedzieć.

„Wielki poeta z waszej przeszłości napisał, że czeka na śmierć, by się odrodzić, jak książka »w nowym wydaniu, poszerzonym i poprawionym przez autora«... Ja jestem w stanie napisać ten świat na nowo. I rasę ludzką też stworzyć na nowo. Mogę was przystosować do tych nowych czasów. Czy w ostatnich dniach odczuwałeś w ogóle potrzebę odżywiania się? Picia? Albo jakąkolwiek inną potrzebę cielesną? Ocalałeś w tym mieście, pomimo światła słonecznego. Bez maski, bez zabezpieczeń”.

Rozpościera ramiona. Otwiera dłonie o długich palcach. I zamyka je obie w pięść.

„Ja mam ten dar dla was wszystkich. Możecie go przyjąć albo nie, ale wasza przyszłość leży w

jednej z tych dłoni. To trudny wybór, ale należy do ciebie”.

– Dlaczego akurat do mnie?

„Bo ty jesteś wysłannikiem Kościoła. Między mną a wami nie było wojny, ale wy zachowaliście się jak wroga armia. Tobie przypada w udziale przeprosić i przyjąć pokój”.

– Nie mam takiej władzy.

„Każdy z was ją ma. Wielu już postanowiło pójść z nami i żyją szczęśliwie w mieście, które chcieliście zniszczyć”.

– Ja nie...

„Znasz pojęcie odpowiedzialności zbiorowej? Pewnie, że znasz”.

Odpowiadam dopiero po długim milczeniu.

– Mogę zdecydować tylko za siebie samego.

„To mi wystarczy. Decyduj”.

– Nie zostanę ani z tobą, ani z Kościołem. Wybieram trzecią drogę.

„Nie ma trzeciej drogi”.

Uśmiecham się. Wyciągam prawą rękę i ściskam dłoń Alessii.

– Mylisz się, Legionie. Kiedy obie alternatywy są złe, musisz wybrać trzecią. A jeżeli jej nie ma, to musisz ją sobie stworzyć. A teraz pozwól, że ci powiem, jaka jest moja decyzja.

Epilog: Początek i koniec

Szliśmy długo, żeby dotrzeć do miejsca, z którego widać morze, przy dawnych cieśninach portu. Przechodziliśmy kanałami, które kiedyś stanowiły morskie drogi dostępu do miasta. Śnieg znów zaczął padać, ale słabiej. Szliśmy bez przeszkód i bez opóźnień.

Od czasu do czasu oglądałem się za siebie, ale nie aż tak często, jak się spodziewałem.

Wiele osób towarzyszy mi w tej podróży. Są dookoła mnie. Jedni prawdziwi, w takim sensie, że są z krwi i kości, inni bez cielesności, ale nie mniej żywi. Jednym z nich jest Alberto. Przepraszał, że nie może mi pomóc w niesieniu ładunku, ale próbował umilić mi drogę opowiadaniem historyjek o duchach i magicznych zakątkach Wenecji, których nie miałem przyjemności zobaczyć.

No i jest Alessia.

Alessia, moja Alessia, przechodzi z jednego stanu w drugi z oniryczną łatwością. Czasami udaje mi się dotknąć jej ręki, innymi razy moje palce przenikają przez coś w rodzaju gęstego powietrza, lekko naelektryzowanego. A jeśli jej słowa docierają raz po raz do moich uszu, to częściej słyszę je w mojej głowie, z dziwną wyrazistością, jak we śnie.

I rzeczywiście wydaje mi się, że śnię, mogąc tak iść w pełnym świetle dnia, na czele zastępu nieboszczyków, duchów i żywych istot, które postanowiły nie sprzeciwić się mojemu wyborowi, wbrew zagrożeniom, jakie to dla nich niesie. Ciemne moce Patriarchy utrzymują ich przy życiu, tak jak mnie przez wszystkie te dni. Nadal mogę oddychać tym zatrutym powietrzem. Nie jestem głodny, nie jest mi zimno. Czy nasze ciała są uwielbione, jak ciało Chrystusa po Zmartwychwstaniu? Nie wiem. Nie czas jeszcze na rozważania teologiczne. To jest czas życia, działania, uchronienia od człowieczego szaleństwa dziwnych nasion, które odkryłem w tym mieście. A opieka Patriarchy też ma swoje granice. Kiedy oddalę się od Wenecji, znów będę musiał liczyć na własne siły. Podróżować nocą. Używać maski. Szukać pożywienia. Prawdopodobieństwo, że dotrę do Rzymu, jest znikome. A jednak w głębi serca, tam, gdzie są korzenie najsilniejszych lęków i nadziei, mam pewność, że mi się uda.

Nie mam wątpliwości.

Przyszliśmy tu, żeby pożegnać tych, co wyjeżdżają. Żagle statku, który ich zabierze, widać już z daleka na horyzoncie – dwa białe trójkąty, niczym płetwy rekina.

Tych, którzy postanowili wyjechać jest około setki. Prawie wszyscy żywi. Nie mają ze sobą żadnego bagażu. Tylko własne ciało, a niektórzy nie mają nawet tego. Mężczyźni, kobiety. Starcy, dzieci. Dzieci niezwykle ułożone, pogodne.

Alessia kroczy lekko u mojego boku. Brzeg jej długiej błękitnej sukni ciągnie się po zmrożonym piasku, ale nie brudzi się. Ona nie pojedzie z pozostałymi, którzy zmierzają w bezpieczne miejsce na drugim brzegu morza. Ona podejmie ryzyko niepowodzenia mojej misji. Zostanie w Wenecji, tym dziwnym mieście, w którym komunია żywych i martwych – jeden z najstarszych dogmatów mojego Kościoła – wydaje się cudownie spełniona. Ale w pewnym sensie wyjedzie też ze mną. Jej obecność będzie mi towarzyszyć przez całą podróż, podobnie jak błogosławieństwa Patriarchy, które będą moją przepustką w świecie koszmarnych stworzeń zamieszkujących ciemności. On odcisnął na mnie swoje piętno.

Nawet idąc cienistą doliną śmierci, zła się nie ulękę.

Statki są już blisko. Ci, którzy mają się zaokrętować, stoją w dwóch równych rzędach. Alessia przechodzi wśród nich i kieruje do każdego gest pożegnania, jakieś słowo, uśmiech.

Odwracam się za siebie. Wenecja – niegdysiejsza pani laguny – teraz, kiedy woda opadła, wygląda jak zamek najeżony wieżami. To dzwonnice miejskie, niegdyś symbol wiary w krzyż, a teraz gniazdo nietoperzy i innych stworzeń, które, gdy tylko odejdę, zaczną na nowo chodzić uliczkami i wyschniętymi kanałami. To nowy, dziwny świat, który został przede mną częściowo, tylko częściowo odkryty. Świat, w

którym została zakwestionowana sama definicja życia. Poznałem tu więcej, niż może przetworzyć moja inteligencja. Popracuję nad tym w podróży.

Pierwszą rzeczą, jaką będę musiał zrobić, moją pierwszą misją, by użyć ulubionego słowa Duranda, będzie zrozumienie, kim się stałem. Czy nadal jestem duchownym Świętego Kościoła Rzymskiego. Kościoła tak silnego, że przeżył nawet koniec świata, ale może jednak pozbawionego sensu w nowym świecie, w którym urodziłem się na nowo dzięki Wenecji i jej Patriarsze. To nie do wiary, ale trzymam w swych niegodnych, kruchych dłoniach broń, która może zapewnić triumf albo zadekretować koniec mojego Kościoła. Do mnie należy decyzja. I tylko do mnie. Olbrzymia, niesłychana odpowiedzialność. Żadnej postaci ludzkiej z Nowego i Starego Testamentu nie dano podobnej władzy.

Dlatego postanowiłem, że moja podróż będzie możliwie jak najdłuższa. Żeby dać sobie czas na zrozumienie wszystkiego i, kiedy już zrozumie, na podjęcie decyzji.

Wychodząc z krypty Patriarchy, celebrowałem ostatni obrządek jako katolicki duchowny. Pochyliłem się nad zmalretowanym ciałem Paula Wenzla. Na rozerwanych ustach sierżanta zastygł na zawsze sarkastyczny uśmiech. Jakby śmierć była sprawą, której nie należy brać serio.

Zamknąłem mu oczy.

Kciukiem zrobiłem znak krzyża na jego czole pokrytym grudkami lodu.

Wypowiedziałem słowa modlitwy.

– Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomóż cię łaską Ducha Świętego. Pan, który odpuszcza ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podźwignie.

Później poszukałem Diopa.

Czarny żołnierz leżał pośród okaleczonych ciał. Musiał bić się do samego końca, uzbrojony jedynie w maczetę. Jego też śmierć nie zaskoczyła. Stawił jej czoło jak mężczyzna, zaglądając jej prosto w oczy.

Nie znając obrzędów muzułmańskich, odszukałem w pamięci jedyny znany fragment z Koranu.

– W imię Allacha, Miłosiernego Litościwego, twój Bóg nie zapomina cię i nie opuszcza.

I dodałem:

– Odpoczywaj w pokoju, Marcelu. I zajmij swoje miejsce wśród zastępów aniołów.

Nie miał oczu, żebym mógł je zamknąć. Jego twarz była kompletnie zmasakrowana.

Czy sam wierzyłem w te słowa? Czy wierzyłem swoim własnym ustom? Może nie. Może obrzędy są sposobem na potwierdzenie, wbrew naszej inteligencji, że Wiara jest większa od naszych wątpliwości, od naszych lęków.

„To miasto wiele mi dało, ale też dużo odebrało”, pomyślałem sobie, zostawiając za plecami to miejsce zmarłych.

Oba statki opuszczają trapy. Wenecjanie zaczynają wchodzić na pokład.

– Gotowe – uśmiecha się Alessia. – Mówią, że najtrudniejszą częścią podróży jest pierwszy krok.

– Nie wiem – powątpiewam.

Dla mnie najtrudniejsze było wyrzucić z siebie wszystko, co miałem w środku, by następnie dać się wypełnić tym, co zobaczyłem i poznałem w tym mieście.

Oczyścić się: to właśnie było dla mnie najtrudniejsze.

– Nie musisz wyjeżdżać, John.

Jej głos jest niewyobrażalnie łagodny i jednocześnie smutny.

Kręcę głową.

– Gdybym nie pojechał, żyłbym w ciągłym strachu, że pewnego dnia ktoś inny spróbuje znowu zniszczyć to, co tu budujecie.

– To długa podróż.

– Tak. Ale nie będę sam. I mam wiele do przemyślenia. Nie będzie lepszej okazji od tej długiej podróży.

Alessia uśmiecha się. Rzuca zamyślane spojrzenie w stronę morza.

– Zmieniłeś się. Wenecja cię zmieniła.

Przez chwilę jej nie odpowiadam. Coś zaabsorbowało moją uwagę.

Jedno z dzieci trzyma na rękach kota, takiego samego jakiego widziałem w pałacu Alessii, albo przynajmniej wydawało mi się, że widzę.

Dziewczyna przygląda mi się ukradkiem.

– Coś nie tak?

– Ten kot...

– Jaki kot?

Pokazuję palcem. Ale dziecko ma na rękach płócienny worek.

Kręcę głową.

– Tak. Wenecja mnie zmieniła. I cały czas to robi.

Ona kiwa głową. Gładzi mnie ręką po plecach. Nie krępuje mnie to, nie wprawia w zakłopotanie. Nauczyłem się, że są inne rzeczy, których należy się bać albo wstydzić.

Zaokrętowanie kończy się szybko, w niewiarygodnej ciszy. Marynarze – dziwne istoty, których największą osobliwością jest to, że, jakkolwiek bym się nie starał, nie mogę ich dobrze dojrzeć, jakby się poruszali za jakąś zasłoną – mają już podnieść kotwicę.

– Dlaczego nie płyniesz z nimi? – pytam Alessię.

Odwraca twarz. Niebo jest względnie czyste tego ranka. Chmury są wysoko. Choć to niemożliwe, wygląda na to, że w każdej chwili może się przejaśnić.

– Nie płynę, bo moje miejsce jest tutaj.

– Ale gdyby moja misja się nie powiodła...

– Ta misja też się nie powiodła. I wyniknęło z tego coś dobrego, prawda? Ale ja jestem pewna, że dasz radę.

Patrzę na moje sanie z ładunkiem owiniętym w czarną ceratę. Już przyciągnięcie ich tutaj nie było łatwe.

– Pewnie. Dam radę – odpowiadam.

Alessia żegna gestem dłoni pasażerów stłoczonych przy burtach statków. Niewielu odwzajemnia ten gest, jakby wszyscy byli już myślami gdzie indziej.

– Zanim odejdę...

– Tak?

– Mam coś dla ciebie – mówię.

Wkładam rękę do kieszeni. W zaciśniętej dłoni trzymam Pierścień Rybaka.

Kiedy mam już otworzyć dłoń, Alessia przytrzymuje mi palce.

– To nie jest właściwy prezent dla mnie. Dziękuję ci, John.

– Nawet nie widziałaś...

– Wiem, co to jest. I wiem, co znaczy. To nie dla mnie, powtarzam ci. Należy to zwrócić człowiekowi, do którego należy. Poza tym spójrz...

Pochyla się. Wkłada rękę pod śnieg. Kiedy ją podnosi, trzyma w palcach złoty pierścień z olbrzymim rubinem, wokół którego lśni korona mniejszych kamieni.

Kładzie mi go na dłoni. W zamrożonej skorupie z piasku pierścień jest lodowaty.

Alessia znów się schyla.

– Przez całe wieki, każdego roku w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego przyplływali w to miejsce dożowie, na połączanej galerze o nazwie Bucentaur w otoczeniu wielu innych łodzi, by świętować zaślubiny Wenecji z morzem. Doża wrzucał do morza pierścień, wypowiadając formułę: *Desponsamus te, mare, in signum veri perpetuique dominii*: „Zaślubiamy cię, morze, na znak prawdziwego i wiecznego panowania naszego”.

Zatapia w piasku obie ręce.

Kiedy je wyjmuję, w kołysce dłoni błyszczą dwa wspaniałe pierścienie. Ich blask jest oślepiający. Alessia chwytą je palcami, pokazuje mi i odrzuca daleko.

– Możesz wziąć, ile chcesz. Nic nie znaczą. Kiedy byłam małą dziewczynką...

Milknę.

– Mów – zachęcam ją szeptem.

– W dzieciństwie byłam bardzo biedna. Bardzo biedna i bardzo niedouczona. Teraz mam wszystko.

Ten pałac...

– Twój pałac?

Alessia śmieje się.

– Nie jest mój. Ja go sobie tylko wzięłam. Mogłam równie dobrze wziąć sobie inny, ale ten mi się podobał. Wybrałam go, bo miał te przepiękne okna.

– Dziewczynka w podziemiach nie jest twoją siostrą?

– Nie.

Statek wolno odbija od brzegu. Żagle napinają się, wydęte nagle wiatrem, który wziął się nie wiadomo skąd, i niosą okręt na otwarte morze.

– Myślę, że pewnego dnia niebo znów będzie błękitne – mówi Alessia.

– Ja też jestem tego pewien. I tego dnia ty będziesz tutaj i to zobaczysz.

– Ty też.

Uśmiecham się.

– Oczywiście – odpowiadam, odwracając głowę. Nie chcę, żeby zobaczyła łzy w moich oczach.

Otwieram dłoń.

Leżą na niej dwa pierścienie.

Sygnet papieski i pierścień doży.

Oba są potężnymi symbolami.

Ale kiedy im się przyglądam lepiej, widzę jedynie dwa bezużyteczne, wystawne świecidełka z minionej epoki.

„Marność nad marnościami i wszystko marność”.

Podnoszę ramię. Cofam je do tyłu.

Rzucam oba pierścienie daleko, z wszystkich sił.

Wpadają do wody dwadzieścia metrów dalej, wzniecając dwa małe bryzgi.

Zostają po nich dwa kręgi na wodzie, które też wkrótce znikają.

Prostuję plecy. Czas pomyśleć o mojej nowej misji...

Droga na południe jest płaska i pozbawiona przeszkód. Wystarczy, że pójdę wybrzeżem. W odpowiedniej chwili odbiję na zachód. Do tego dnia nie będą mi potrzebne mapy ani kompas. Droga będzie naprawdę prosta – wystarczy iść po zamarzniętym piasku, trzymając się dawnej linii brzegowej po prawej stronie. Wenecjanie zbudowali sanie tak, żeby łatwo było je ciągnąć po takiej powierzchni. Kierował nimi w tej pracy duch starego skutnika.

Przesuwam dłonią po gumowanym płótnie. Pod nim przygotowana jest bomba atomowa.

Mogłem załadować ją na hummera Duranda, z pełnym bakiem, albo próbować naprawić monstrualną ciężarówkę Gottschalka. Ale przecież moja podróż jest także formą ekspiacji. Dlatego chcę odbyć ją pieszo. Przynajmniej będę miał czas na rozmyślanie nad roztropnością mojej decyzji i, ewentualnie, na jej zmianę. Może Bóg, mój dawny Bóg, którego głosu nigdy nie słyszałem, uzna, że warto do mnie przemówić. A może będę musiał się bez niego obejść i zdać się na sąd mojego serca.

Inteligencja nie wystarczy. To kwestia serca i wiary. Święci i męczennicy przeszłości żyli i umierali w przekonaniu, że Miasto Boga jest ponad Miasto Człowieka. Tu natomiast objawił mi się świat, w którym Bóg i Człowiek zamieszkują jedno miasto. Pale, na których jest ono zbudowane, i serca mieszkańców, są korzeniami niebios. Tu miałem wizję przyszłości, która nadaje sens wszystkim naszym cierpieniom i

wszystkim utrapieniom.

Ta przyszłość jest na wyciągnięcie ręki.

Wystarczy ją wyciągnąć i złapać.

To właśnie zrobię w mojej podróży.

A może u kresu drogi spełni się też ostatnie proroctwo, i z nieba zejdzie tęcza, by pokazać, że Bóg zawarł wreszcie pokój z Człowiekiem. Ta planeta nie widziała tęczy od dwudziestu lat.

To jeszcze nie teraz, myślę sobie, patrząc na całun chmur przygniatający ziemię.

Ale ten dzień nadejdzie.

Alessia i ja patrzymy na siebie długo.

Stoimy naprzeciw i patrzymy na siebie bez słowa.

Zaczyna wiać wiatr.

Nie dziwi mnie, że wieje we właściwą stronę.

– Żegnaj – mówię.

– „Żegnaj” to brzydkie słowo.

– Zatem do widzenia.

Ona rusza pierwsza. Podchodzi do mnie blisko, nasze twarze dzieli zaledwie kilka centymetrów.

Pozostajemy tak znów bez jednego słowa, bez jednego gestu.

Potem Alessia odwraca się i odchodzi w stronę miasta.

Patrzę za nią długo w nadziei, a jednocześnie z obawą, że się odwróci.

Ale ona idzie nieprzerwanie, aż staje się małą postacią, bardzo daleko ode mnie.

Nie odwraca się.

Zostaliśmy sami, ja i bomba.

Przebyłaś długą drogę, żeby tu dotrzeć, myślę, a ja teraz zabieram cię z powrotem.

Co za ironia.

Co za głupota.

Ludzie, którzy cię zbudowali, nigdy nie mogliby wyobrazić sobie takiego świata jak ten, mówię do niej. Ani tego, że posłuchysz do tak dziwnego celu.

Gładzę płótno, które ją przykrywa. Moją towarzyszkę podróży.

Przed odejściem muszę zrobić jeszcze jedną rzecz.

Wyciągam z kieszeni telefon komórkowy Duranda. Aktywuję program, który uruchamia radar.

Ghost Radar, tak go nazywał.

Potem włączam radio, które dał mi Maksim w naszej małej izbie w Świętym Kalikście. Wydaje mi się, jakby to było sto lat temu. Radio, które przemówiło do Gottschalka.

Przekręcam włącznik, ustawiam częstotliwość.

Ekran symulowanego radaru rozświecła się czerwonymi i zielonymi punktami. Szaleńcza wprost aktywność.

– Maksim? – mówię do mikrofonu radia od przyjaciela. Radia, które według Duranda nie działało.

Na zielonym wyświetlaczu komórki pojawia się słowo: „MAKSIM”.

Kobiecy głos powtarza je mechanicznie i beznamiętnie.

– Maksim, przekaz kardynałowi, że wracam – wymawiam wyraźnie każdą sylabę z osobna.

„MAKSIM” – czytam na ekranie.

„PRZEKAZAĆ KARDYNAŁ WRACAM”.

Ekran pozostaje długo pusty.

Potem pojawia się słowo.

„JOHN”.

„JOHN”, powtarza głos.

Usta rozciągają mi się w uśmiechu.

Rzucam na ziemię najpierw telefon, później radio.

Depczę je obcasem buta, póki nie znikają pod piaskiem.

Podnoszę z ziemi szelki pociągowe i wpinam je w skórzaną uprząż, którą dla mnie przygotowali.

„Mówią, że najtrudniejszą częścią podróży jest pierwszy krok”, powtarza głos Alessii w mojej głowie.

Nie umiem powiedzieć, czy tak jest naprawdę.

Wiem za to, że po pierwszym kroku następuje kolejny, i następny, a później już odgłos ciągniętych sań narzuca rytm, a droga jest gładka i prosta, a ja znam masę piosenek, których ten świat nie słyszał, a jeszcze więcej nie znam, ale jestem pewny, że ta podróż mnie ich nauczy.

